



JULIAN SANCTON

Klasyk w czystej postaci.  
„SUNDAY TIMES”

Wciągająca bez reszty.  
„NEW YORK TIMES”

Zniewalająca i absorbująca.  
„GUARDIAN”

Epicki survival.  
MICHAEL PALIN

# OBŁĘD, NA KRAŃCU ŚWIATA

WYPRAWA STATKU BELGICA  
W MROK ANTARKTYCZNEJ NOCY

Media Rodzina

JULIAN SANCTON

# OBŁĘD, NA KRAŃCU ŚWIATA

WYPRAWA STATKU BELGICA  
W MROK ANTARKTYCZNEJ NOCY

Przełożył  
MIŁOSZ URBAN

**Media Rodzina**

Tytuł oryginału  
*Madhouse at the End of the Earth.*  
*The Belgica's Journey into the Dark Antarctic Night*

Copyright © 2021 by Julian Sancton.  
All rights reserved.

Copyright © 2022 for the Polish translation by Media Rodzina Sp. z o.o.  
Published in agreement with Aevitas Creative Management, USA c/o Book/lab  
Literary Agency, Poland

Maps copyright © 2021 by David Lindroth, Inc.  
Frontispiece image copyright © De Gerlache Family Collection

Fragment *Moby Dick*a Hermana Melville'a w tłumaczeniu Bronisława  
Zielińskiego (s. 169).

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów  
książki - z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych - możliwe  
jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich.  
Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność, promuje wolność  
słowa, przyczynia się do tworzenia żywej kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz  
praw autorskich, a więc nie kopiujesz, nie skanujesz i nie udostępniasz książek  
publicznie. Dziękujemy za to, że wspierasz autorów i pozwalasz wydawcom  
nadal publikować książki.

Projekt okładki  
Elena Giavaldi

Adaptacja okładki, skład i łamanie  
Andrzej Komendziński

ISBN 978-83-8265-255-0

Wydawca:  
Media Rodzina Sp. z o.o.  
ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań  
tel. 61 827 2519  
[wydawnictwo@mediarodzina.pl](mailto:wydawnictwo@mediarodzina.pl)

Konwersja: eLitera s.c.

# Spis treści

SŁOWO OD TŁUMACZA

PROLOG DWUDZIESTY STYCZNIA 1926 ROKU LEAVENWORTH, KANSAS

## CZĘŚĆ I

Rozdział 1 A DLACZEGO NIE BELGIA? SZESNASTY SIERPNIA 1897 ROKU  
ANTWERPIA

Rozdział 2 ZŁOTO I DIAMENTY

Rozdział 3 UKŁONY DLA NEPTUNA

Rozdział 4 DECYDUJĄCE CHWILE

Rozdział 5 POKONANI PRZED BITWĄ

Rozdział 6 OFIARA

Rozdział 7 NIEZBADANE ZIEMIE

Rozdział 8 NA POŁUDNIE!

## CZĘŚĆ II

Rozdział 9 W OKOWACH LODU

Rozdział 10 OSTATNI ZACHÓD SŁOŃCA

Rozdział 11 POGRZEB NAJDALEJ NA POŁUDNIE

Rozdział 12 PARADA OBLĄKAŃCÓW

Rozdział 13 ZAKON PINGWINA

Rozdział 14 OBŁĘD

Rozdział 15 CIEMNOŚĆ PRZY SŁOŃCU

Rozdział 16 CZŁOWIEK PRZECIWKO LODOWI

Rozdział 17 OSTATNI WYSIŁEK

Rozdział 18 OBCA TWARZ W LUSTRZE

PO BELGICE

OD AUTORA

PODZIĘKOWANIA

WYBRANA BIBLIOGRAFIA

INFORMACJA O ŹRÓDŁACH

O AUTORZE

*Jess, Maya, Leila (i Suki) - ta książka jest dla Was*

## SŁOWO OD TŁUMACZA

NA POCZĄTKU PIĘTNASTEGO WIEKU świat zaczął się kurczyć – z niezapisanych krawędzi map zniknęły smoki i lwy, zastąpione postrzępionymi kreskami odległych wybrzeży. W miarę jak Ziemia stawała się coraz bardziej okrągła, a nieznanne wcześniej lądy coraz bliższe, przybywało śmiazków, których marzeniem było postawić stopę tam, gdzie nie stał jeszcze nikt. Coraz mniejsza liczba nieodkrytych miejsc zmuszała do pośpiechu tych, którzy chcieli sięgnąć po palmę pierwszeństwa. Kilkaset lat później na Ziemi pozostało już tylko jedno nieodkryte i niezbadane miejsce – Antarktyda.

Podjmując się przełożenia książki o wyprawie statku Belgica na ten mroźny kontynent, zareagowałem z entuzjazmem należnym takiej pozycji – lecz nie wiedziałem jeszcze, że to nie jest zwykła opowieść o pierwszym zimowaniu pośród antarktycznych lodów. Julian Sancton na przygotowanie tekstu poświęcił pięć lat, przedarł się przez niezliczone archiwa i dotarł do materiałów, z których wcześniej nikt nie korzystał, w tym do nieznanymi relacji marynarzy, dokumentów i wewnętrznej korespondencji krążącej między kajutami. W ten sposób powstał niezwykle wierny zapis historii euforii, niepewności, męki i okupionego okrutnym czekaniem zwycięstwa.

Rozpoczynając tłumaczenie, wiedziałem już na pewno, że praca nad nim będzie zupełnie inna niż nad jakąkolwiek z przełożonych wcześniej książek. Autor korzystał z wielojęzycznych źródeł, w tym dzienników dwóch naszych podróżników – Henryka Arctowskiego i Antoniego Dobrowolskiego. Relacja z wyprawy pierwszego z nich nigdy nie ukazała się w języku polskim, co było dużym utrudnieniem, gdyż cytaty wybitnego naukowca musiały przekroczyć barierę wręcz czterech języków – najpierw Arctowski wydał je w obcym języku, później autor tłumaczył je na swoje potrzeby na angielski, by w końcu w niniejszym

wydaniu ukazać się po polsku. Z Dobrowolskim sprawa była znacznie prostsza, gdyż mogłem sięgnąć do oryginału jego dzienników i cieszyć się niespotykaną dzisiaj barwnością i obrazowością opisów.

Korzystanie z wielu źródeł opisujących te same zdarzenia pozwala lepiej je zrozumieć, a pojawiające się między relacjami różnice dają wgląd w stan umysłu twórców tych zapisów. Konsultacje z autorem książki, przeczytanie kilkudziesięciu pozycji dotyczących tamtych czasów i wydarzeń oraz rozmowy z marynarzami, geografami, a nawet specjalistami z Muzeum Instrumentów Muzycznych w Poznaniu umożliwiły mi, mam wielką nadzieję, w sposób możliwie najwierniejszy przekazać w języku polskim opisane na kartach Obłędu emocje, fakty i zdarzenia. Dla łatwiejszego odbioru pozwoliłem sobie jedynie przeliczyć jednostki miary na metryczne, stopnie Fahrenheita na Celsjusza, a w miejscach, gdzie miałem wybór i wątpliwości przy doborze słownictwa, starałem się oddawać głos Antoniemu Dobrowolskiemu, którego obszerny opis wyprawy był kopalnią wiedzy na temat codziennego życia na pokładzie Belgiki i używanych w rozmowach z Henrykiem Arctowskim nazw pomieszczeń i przedmiotów.

Onieśmielony odwagą ludzi, którzy ruszali na dwuletnią wyprawę do miejsca, co do którego istnienia nie mieli pewności, czułem wstyd, myśląc o planowaniu tygodniowego urlopu w miejscu, w które jeździmy od lat. Chciałem, by ten przekład choć w drobnej części stał się hołdem dla ich straceńczej brawury i wytrwałości. Mam nadzieję, że podołałem temu zadaniu, przekładając na polski najwierniej, jak potrafiłem, zapis ich zmagania i przeżyć.

*M.U.*

# PROLOG

DWUDZIESTY STYCZNIA 1926 ROKU  
LEAVENWORTH, KANSAS

PRZEZ WĄSKIE, ZABEZPIECZONE KRATAMI OKNA więziennego szpitala w Leavenworth w stanie Kansas sączyło się słabe światło chłodnego poranka. Zmęczony czternastogodzinnym dyżurem starszy lekarz posprzątał gabinet i dał znać strażnikowi, że jest gotów wrócić do swojej celi na jednym z niższych pięter. Przekazując obowiązki zatrudnionemu w szpitalu lekarzowi z zewnątrz, na powrót stawał się zwykłym osadzonym: więźniem numer 23118.

Doktor padł ciężko na pryczę. To była długa noc. Kraj tkwił w szponach bezprecedensowej epidemii opiatów, więc po zmroku ostatnie piętro szpitalnego skrzydła zmieniało się - jak doktor sam to określił - w narkotyczny dom wariatów, bo męczeni bólem odstawienia narkomani wyli o ratunek. Lekarz mieszkał w jasno oświetlonej celi w piwnicy trzykondygnacyjnego budynku z cegły. Do dyspozycji miał pojedyncze łóżko, krzesło i bieżącą wodę, a ściany ozdabiały skomplikowane robótki ręczne, które sam wykonał za pomocą szydełka. Mieszkał w znacznie lepszych warunkach niż większość współosadzonych, włącznie ze słynnym gangsterem i bimbrownikiem z Chicago Dużym Timem Murphym (który stał się jego przyjacielem i obrońcą), a później również Carlem Panzramem, zatwardziałym seryjnym mordercą z bardzo długą listą ofiar (z nim nie połączyły go żadne więzy). Jednak skazany o numerze 23118 dostał wyrok za przewinienia zgoła innej natury. Sześćdziesięciolatkowi udowodniono oszustwo w związku z działaniami równoznacznymi ze stworzeniem piramidy finansowej opartej na akcjach firmy naftowej. Mężczyzna odsiadywał trzeci rok z czternastoletniego wyroku - daleko surowszego



niż orzekane w podobnych sprawach, acz sprawiedliwego, biorąc pod uwagę skalę trwania procederu.

W czasach jego na wespół zapomnianej młodości, długo zanim popadł w niełaskę, medyk cieszył się sławą wielkiego odkrywcy i polarnika. Deklarowane zdobycie bieguna północnego w 1908 roku wyniosło go na piedestał i uczyniło bohaterem narodowym, którym pozostał do czasu podniesienia zarzutów, że sfałszował to osiągnięcie, podobnie jak cały szereg innych. „Niezależnie od wszystkiego, zapewnił sobie miejsce wśród największych oszustów świata” – ogłosił wówczas „New York Times”. „Właśnie to, a nie zdobycie bieguna, zapewni mu nieśmiertelną sławę”.

Poprzedniego wieczoru strażnik poinformował go o zapowiedzianych odwiedzinach. Od przestąpienia progu więzienia lekarz odmawiał spotkań z przyjaciółmi i rodziną, lecz człowiek, który na niego czekał, był prawdopodobnie jedyną żyjącą osobą na całym świecie, dla której gotów był zrobić wyjątek. Do nielicznych należały dni, w których doktor nie wspominałby swego dawnego towarzysza, potężnego pięćdziesięcioletniego marynarza, z którym niemal trzydzieści lat wcześniej uczestniczył w przerażającej wyprawie na Antarktydę. Norweg, niegdyś jego pomocnik i uczeń, gdy chodziło o kwestie polarne, dziś wymieniany był wśród największych odkrywców, jakich nosiła Ziemia – i jakby tego było mało, naprawdę zdobył biegun południowy. Jego szeroko relacjonowane w prasie podboje i naturalna swoboda, z jaką ich dokonywał, roztaczały wokół niego niemal mityczną aurę. Na środkowy zachód Stanów Zjednoczonych trafił podczas światowego objazdu, w ramach którego wygłaszał odczyty, by spopularyzować swoją kolejną ekspedycję. Postanowił wykorzystać okazję, by złożyć wizytę swemu dawnemu mentorowi...

Szybko rozeszła się wieść, że popularny odkrywca ma spotkać się z najbardziej znanym więźniem jednostki penitencjarnej w Leavensworth. Gest publicznego wsparcia dla skompromitowanego lekarza wystawiał na szwank reputację Norwega. Jednak wizyta w więzieniu nie była jedynie aktem współczucia okazanego staremu

druhowi w potrzebie. Lata zawziętej rywalizacji o najbardziej pożądane geograficzne zdobycze na naszej planecie odcisnęły na potężnym Norwegu swoje piętno. Płonący w nim ogień zaczął wypalać go od środka. Toczony zgorzknieniem i postępującą paranoją miał coraz mniej przyjaciół; zostało się ich ledwie kilku, którzy go rozumieli, i doktor, od którego tak wiele się nauczył w czasach, gdy wszystko było prostsze i gdy liczyło się jedynie przetrwanie. Jednak przede wszystkim Norweg uważał, że sprawą honoru jest odwiedzić człowieka, któremu zawdzięczał ocalenie życia.

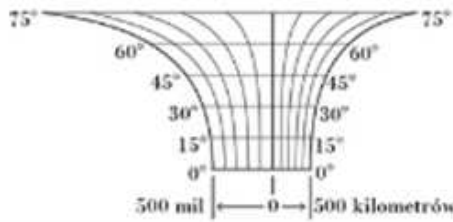
Drogi obu mężczyznom rozeszły się całkowicie od ostatniego spotkania, a dramatyczne losy odcisnęły swe piętno na ich twarzach. Więzienie pozbawiło doktora rumieńców i witalności. Jego ciemnoszare oczy straciły elektryzujący błysk, przeredziły się niegdyś gęste i błyszczące włosy, a okazały nos, o ile to w ogóle możliwe, jeszcze trochę urósł. Lecz kiedy się uśmiechnął, pokazując kilka złotych zębów, dało się dostrzec ślad jego młodszego wcielenia.

Gość z Norwegii górował nad kruchym i drobnym medykem. Miał „brązową twarz, ogorzałą i spaloną słońcem odbijającym się od polarnych śniegów, pooraną zmarszczkami, ale wciąż pełną wigoru” – jak później wspominał doktor. Odkrywca był „u szczytu sławy, gdy ja sięgnąłem dna penitencjarnego potępienia... na początku czułem się onieśmielony, lecz dawna zażyłość szybko usunęła wszystkie zahamowania. Znowu byliśmy jak bracia”.

Chwycili się za dłonie i długo nie chcieli ich puścić. By zmylić wścibskie uszy wokół nich, zaczęli rozmawiać w języku, który doktor określił jako „mieszane narzecze Belgiki”. Belgica była statkiem, na pokładzie którego spotkali się w najlepszych latach swego życia i na którym odbyli swą pierwszą podróż na Antarktydę. Różne języki, którymi wówczas posługiwali się naukowcy, oficerowie i załoga, przenikały się i mieszały jak przy budowie wieży Babel, by stworzyć amalgamat francuskiego, holenderskiego, norweskiego, polskiego, angielskiego, rumuńskiego i łaciny. Wyprawa nauczyła obu mężczyzn, jakie spustoszenie w duszy mogą wyrządzić przejmujące zimno

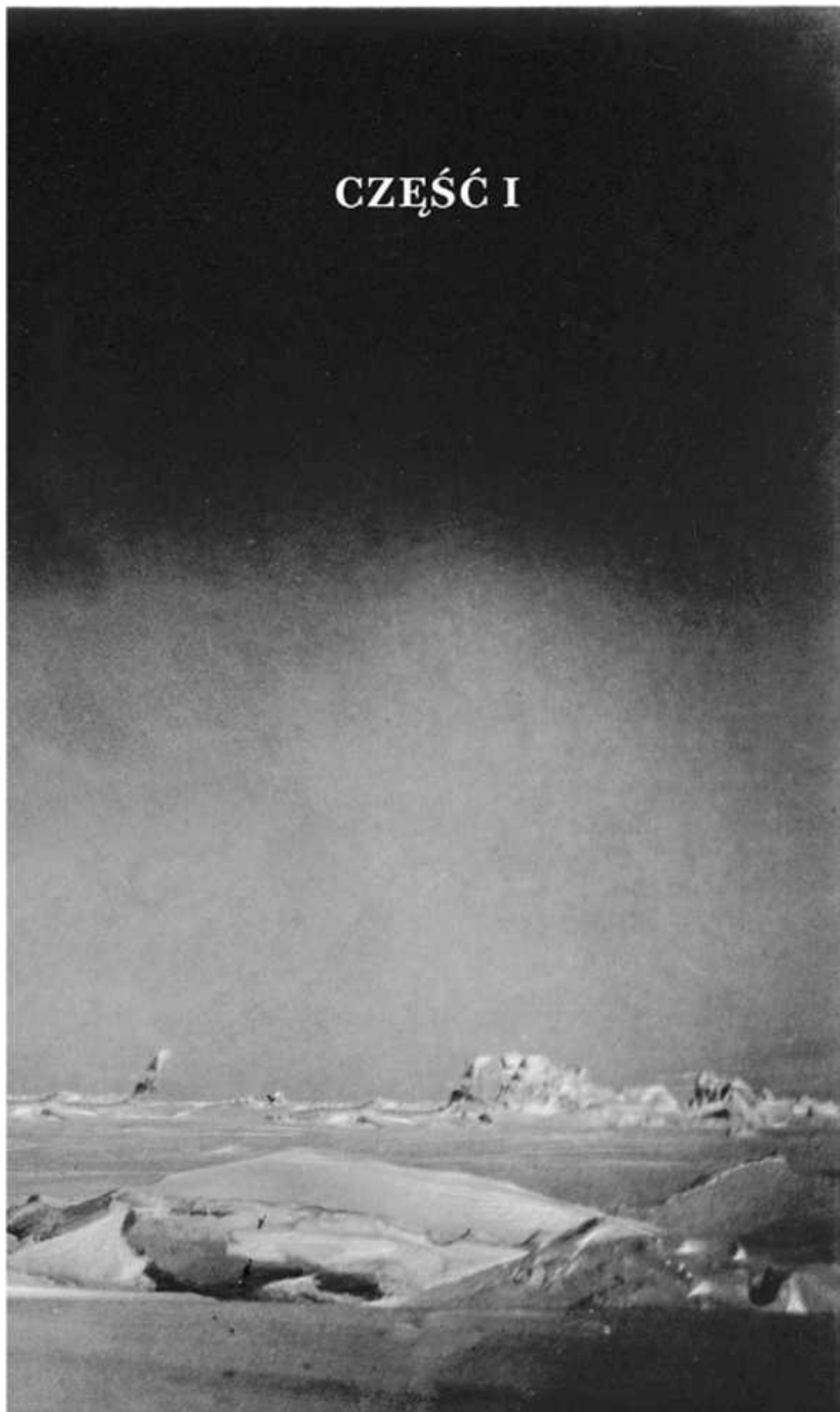
i ciemność. To dzięki tej podróży doktor nauczył się czcić słońce. W owym czasie również był więźniem - lecz wolności nie ograniczały mu kraty, a ciągnąca się w nieskończoność pokrywa lodowa. I wtedy, jak dziś, słyszał przeraźliwe, nocne krzyki.

**WYPRAWA BELGIKI  
NA ANTARKTYDĘ  
1897-1898**





# CZEŚĆ I



*Czasem nauka jest pretekstem dla wypraw.  
Nader rzadko jest ich powodem.*

GEORGE LEIGH MALLORY

## Rozdział 1

# A DLACZEGO NIE BELGIA?

SZESNASTY SIERPNIĄ 1897 ROKU

ANTWERPIA

RZEKA SKALDA WIJE SIĘ LENIWIE z północnej Francji przez całą Belgię, by niedaleko samego portu w Antwerpii skręcić gwałtownie na zachód. W tym miejscu staje się też na tyle głęboka i szeroka, że mogą na nią wpływać statki oceaniczne. Tamtego bezchmurnego letniego poranka ponad dwadzieścia tysięcy osób zgromadziło się na nadrzecznych bulwarach, by pożegnać wypływającą Belgicę i napawać się blaskiem jej chwały. Świeżo pomalowany na stalowoszary kolor trójmasztowy żaglowiec długości 113 stóp, wyposażony w silnik parowy ruszał właśnie na Antarktydę, by opisać niezbadane jeszcze brzegi i zebrać informacje o tamtejszej florze, faunie i geologii. Lecz to nie obietnica naukowych odkryć przyciągnęła tak wielki tłum na nabrzeża, a raczej narodowa duma: oto Belgia, ta malutka Belgia, państwo powstałe ledwie sześćdziesiąt siedem lat wcześniej i tym samym młodsze niż wielu z jego obywateli, porywało się na to, by przesunąć granice ludzkich odkryć.

O dziesiątej rano statek podniósł kotwicę i ruszył majestatycznie w stronę Morza Północnego, tak obciążony zapasami węgla, prowiantem i wyposażeniem, że pokład znajdował się ledwie kilkadziesiąt centymetrów nad wodą. Belgica dumnie sunęła przez miasto w eskorcie jachtów wiozących oficjeli rządowych, sympatyków wyprawy i dziennikarzy. Poruszając się wzdłuż obwieszonych flagami kamienic wzniesionych na nabrzeżach, minęła okazałą gotycką katedrę, górującą nad domami, i Het Steen, fortecę wznoszącą się nad rzeką od



czasów średniowiecza. Wojskowa orkiestra ustawiona na barce grała *Brabansonę*, hymn narodowy Belgii, utwór stworzony z rozmachem kontrastującym z niewielkimi rozmiarami kraju. Rozległa się salwa honorowa. Z obu brzegów rzeki wystrzeliwały w niebo fajerwerki. Jednostki z całego świata włączyły syreny i każda z nich dumnie prezentowała belgijską czarno-żółto-czerwoną flagę. Kiedy Belgica mijala tłumy, ludzie wiwatowali radośnie i można było odnieść wrażenie, że całe miasto wibruje.

Komendant wyprawy, trzydziestojednoletni Adrien de Gerlache de Gomery, z mostka Belgiki przyglądał się falującemu morzu transparentów, flag, chusteczek do nosa i kapeluszy. Jego twarz nie zdradzała emocji, lecz w spojrzeniu jego oczu spod ciężkich powiek widać było płomień ekscytacji. Każdy szczegół jego wyglądu został bardzo starannie przygotowany z myślą o tej właśnie chwili – od podkreśconego wąsika, przez szpic przystrzyżonej brody, do węzła fularu. Jego ciemne dwurzędowe palto było zbyt ciepłe na ten sierpniowy poranek i zdecydowanie zbyt lekkie na lodowate zimno krańca Ziemi, jednak dodawało mu aury godności pasującej do człowieka, który wyruszał tworzyć historię. Od czasu do czasu, w odpowiedzi na głośne wezwania, zdejmował z głowy czapkę opatrzoną emblematem statku i trzymając za daszek z lakierowanej skóry, unosił ją wysoko, by pomachać zebrany. Już od dawna marzył o tych wiwatach; tak długo za nimi tęsknił, że początek wyprawy jawił mu się wręcz jako jej zakończenie. „Czułem się wówczas” – zapisał w dzienniku – „jak człowiek, który właśnie osiągnął swój cel”.

I w pewnym sensie rzeczywiście tak było. To, że wyprawa doszła do skutku i wypływała w morze, było jego osobistym sukcesem. Mimo wzruszającego pokazu patriotyzmu, jaki oglądał tamtego ranka, Belgijska Ekspedycja Antarktyczna w mniejszym stopniu była zasługą narodowego zrywu, a w znacznie większym manifestacją niezachwianej woli i uporów samego de Gerlache'a. Ponad trzy lata spędził na planowaniu, gromadzeniu sprzętu i zbieraniu funduszy. Samą determinacją zjednywał sceptyków, rozwiązywał sakiewki i porywał za

sobą rodaków. Dziś, mimo że od celu dzieliło go ponad dziesięć tysięcy mil, rozkoszował się smakiem chwały. W taki dzień, pełen euforii, okrzyków i wiwatów, de Gerlache łatwo mógł zatracić się w radości i zapomnieć, że ta chwała jest niejako na kredyt. By na nią zasłużyć, musiał przetrwać w jednym z najbardziej niedostępnych miejsc na Ziemi, na kontynencie tak nieprzyjaznym ludziom, że dotychczas nikt nie przebywał tam dłużej niż marnych kilka godzin, a i to na samym wybrzeżu.

Granica między Belgią i Holandią na północny zachód od Antwerpii jeszcze przez kilkanaście mil ciągnęła się wzdłuż rzeki Skaldy. Zanim Belgica ją przekroczyła, przybiła do nabrzeża w Liefkenshoek, by załatwić ostatnią sprawę przed wypłynięciem. Pośród całego świętowania na pokładzie i na jachtach, które tłumnie odprowadzały statek ku morzu, załoga krzątała się tam i z powrotem między ładowniami a keją, przenosząc łącznie pół tony tonitu – materiału wybuchowego, który miał być potężniejszy jeszcze od dynamitu. Kostki tonitu, które spoczęły w ładowni Belgiki, złożone w kilkunastu dużych skrzynkach, były dla de Gerlache’a polisą ubezpieczeniową. Nie miał pojęcia, czego spodziewać się po lodach Antarktyki, jednak przeczuwał, że kontynent, któremu do końca dziewiętnastego wieku z powodzeniem udawało się trzymać ludzi na dystans, wymagał dużej dozy szacunku i pokory. Zdawał sobie sprawę, że istnieje niejeden sposób, w jaki statek może ulec zniszczeniu – zderzyć się na przykład z górą lodową albo nieoznaczoną na mapie rafą. Lecz najbardziej chyba bał się wizji uwięzienia Belgiki w lodzie i zmiążdżenia kadłuba albo utknięcia tam już na zawsze, co oznaczałoby wyrok śmierci głodowej dla całej załogi. Taki los stał się wcześniej udziałem kilku głośnych ekspedycji w okolice bieguna północnego. De Gerlache zakładał, że pół tony tonitu to aż nazbyt, by wyrwać statek ze szponów zamrożonego morza. Wtedy to po raz pierwszy nie docenił potęgi Antarktydy, ale, co miało okazać się później, też nie po raz ostatni.

W czasie kiedy załoga przenosiła materiały wybuchowe do ładowni, z jednego z jachtów zeszła na nabrzeże delegacja dygnitarzy i wstąpiła

na pokład Belgiki, by życzyć de Gerlache'owi i jego ludziom powodzenia. Jako marynarz z krwi i kości kapitan znacznie swobodniej czuł się na morzu niż w tłumie, a ostatnie trzy lata wykształciły w nim niechęć do poklepywania po plecach i kordialnych uścisków dłoni, bo przecież więcej czasu poświęcił już na zebranie o fundusze, niż planował spędzić na Antarktydzie. Wymieniając grzeczności z ministrami, bogatymi darczyńcami i naukowcami z Belgijskiego Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, które zostało sponsorem wyprawy, czuł ciężar odpowiedzialności wobec nich. Gdyby pokusić się o stwierdzenie, że skutki lodem kontynent nie budził w nim wystarczającego strachu, to opinii tych ludzi o sobie bał się stanowczo zbyt mocno.

W przypadku porażki i fiaska wyprawy sam musiałby dźwigać na swoich barkach brzemię rozczarowania ojczyzny, choć - w jego mniemaniu - znacznie gorsza byłaby hańba, jaką przyniósłby swojej znamienitej rodzinie. Ród de Gerlache'ów był jedną z najstarszych arystokratycznych dynastii Belgii, a jego udokumentowane początki sięgały czternastego wieku. Jeden z przodków, baron Etienne-Constantin de Gerlache, znalazł się w gronie ojców belgijskiej państwowości, należał do głównych twórców jej konstytucji i został wybrany pierwszym premierem (choć jego kadencja trwała ledwie jedenaście dni). Dziadek i ojciec służyli w belgijskiej armii, gdzie zdobyli szereg wysokich odznaczeń i sięgnęli rangi pułkowników. Opinia publiczna oczekiwała od de Gerlache'ów wspaniałości i chwały. Rodzina Adriena rzuciła na szalę dobrą reputację, by w prasie i w kręgach towarzyskich Brukseli wesprzeć jego wysiłki przy organizacji wyprawy na Antarktydę. To wszystko sprawiało, że komendant odczuwał jeszcze większą presję.

Rodzice Adriena, jego siostra i brat - obiecujący oficer armii belgijskiej - również znaleźli się na pokładzie Belgiki i poczekali, aż dygnitarze wrócą na swój jacht. Jedynym sponsorem, któremu pozwolono zostać, była hrabina Léonie Osterrieth, najbardziej zaangażowana i pełna entuzjazmu zwolenniczka wyprawy. Korpulentna

pięćdziesięcioletnia wdowa po jednym z bardziej prominentnych antwerpskich kupców traktowała de Gerlache'a jak rodzony syna, a on uważał ją za swą zaufaną powierniczkę (za hojne wsparcie ekspedycji członkowie załogi ochrzcili ją mianem *Mère Antarctique*, co oznaczało Matkę Antarktykę, ale zarazem występowała tu homofonia z wyrażeniem *Mer Antarctique*, czyli morzem antarktycznym). Kiedy nadszedł czas pożegnań, ojciec de Gerlache'a objął po kolei i przytulił każdego z członków ekspedycji, poczynając od szeregowych marynarzy, a kończąc na naukowcach, i drżącym głosem nazwał ich wszystkich swoimi „drogimi dziećmi”. Matka komendanta szlochała niekontrolowanie, jakby miała przecucie, że po raz ostatni widzi swojego pierwotnego syna. Dwudziestośmioletni kapitan Belgiki, niski i zdecydowany Georges Lecointe, dał jej słowo, że on i cała załoga zrobią dla jej syna absolutnie wszystko, a oficer nie był typem człowieka, który łamie obietnice. Zaraz potem wezwał podwładnych do trzykrotnego powtórzenia wiwatu: „Niech żyje madame de Gerlache!”. Płacz kobiety wciąż unosił się nad wodami Skaldy, kiedy kapitan zaczął wydawać rozkazy.

- Wszyscy na stanowiska!

Rodzina de Gerlache opuściła pokład Belgiki i przesiadła się na jacht o nazwie Brabo, który zawrócił i ruszył z powrotem w stronę Antwerpii. Komendant żegnał ich, machając czapką, i choć udało mu się powstrzymać łzy, z relacji jednego z obserwujących wiemy, że „potężne emocje odznaczały się grymasem na jego twarzy”.

- *Vive la Belgique!* - zawołał jeszcze za oddalającym się Brabo, a potem ze zwinnością akrobaty zaczął wspinać się na maszt. Potrzebował mniej niż piętnaście sekund, by dostać się do bocianiego gniazda - umieszczonej na czubku drzewca beczki - skąd dalej machał czapką, aż jednostka wioząca w zasadzie wszystkie osoby bliskie jego sercu zniknęła za zakrętem rzeki.

De Gerlache nigdy nie mieszkał w żadnym kraju poza ojczyzną, a mimo to najbardziej w domu czuł się w kajutach statków i okrętów, dokądkolwiek by akurat zmierzał. Urodził się w Hasselt, w Belgii, drugiego sierpnia 1866 roku. W przeciwieństwie nie tylko do brata, ojca i dziadka, ale i całej linii męskich przodków, nie interesowała go kariera w wojsku. Był całym sercem pacyfistą i marzył o życiu na morzu – dziwaczna fascynacja dla chłopca dorastającego w Belgii, która po odłączeniu się od Holandii w 1830 roku pozostała w zasadzie bez jakiegokolwiek marynarki, przy szczątkowej flocie handlowej i z zaledwie czterdziestoma milami linii brzegowej.

Już jako dziecko de Gerlache nie przepadał za zabawami w wojnę. Czas wolał spędzać w swoim pokoju, gdzie w samotności budował niezwykle szczegółowe modele statków. Jego najbardziej udanym dziełem była miniatura wspaniałego jachtu z w pełni sprawnym ożaglowaniem i takielunkiem, nad którą pracował przez całą zimę, korzystając jedynie z pomocy czulej i kochającej matki. Kiedy skończył, zwodował jednostkę na rzeczce nieopodal wielkiego rodzinnego domu i promieniał z dumy, przyglądając się, jak wiatr wypełnia żagle jednostki, by z coraz większym przerażeniem i bezradnością patrzeć, jak jego dzieło porywa prąd, a potem jak model znika za progiem wodnym. Cambrier – bo tak nazwał masztowiec – był pierwszym statkiem, którym dowodził, i pierwszym, który stracił.

Jednak tamten smutny wypadek nie stłumił jego morskich ambicji. Rodzina początkowo cierpliwie tolerowała marzenia młodego Adriana, przypisując je młodzieńczej fascynacji, lecz w miarę jak mijały lata, jego fiksacja na punkcie morza rosła i przybierała na sile wraz z pochłanianiem opowieści o brawurowych wyprawach i wyczynach odkrywców. W wieku szesnastu lat rozpoczął naukę na Wolnym Uniwersytecie w Brukseli i okazał się świetnym studentem. W czasie wakacji zaciągał się do pracy na pokładzie liniowców transatlantyckich kursujących głównie między Antwerpią, Nowym Jorkiem i Filadelfią, ale też innymi portami.

Pułkownik Auguste de Gerlache z dezaprobatą przyjmował wybór Adriena, uważając, że to zajęcie niegodne jego syna, nieodpowiadające jego pozycji społecznej i wykształceniu. Cierpiał na myśl o tym, że chłopak szoruje pokład, śpi w podwieszonym hamaku, spożywa twarde jak kamień suchary i jako początkujący marynarz musi znosić poniżające go zachowania. Ze wszystkich sił zachęcał go do zmiany decyzji i wyboru bardziej szanowanej profesji, lecz szybko się okazało, że Adrien nie radzi sobie na lądzie. „Ledwie wracał do domu, stawał się nostalgiczny”, wspominała jego siostra Louise. „Po zejściu z pokładu, wolny od obowiązków i hierarchii, w dobrej wierze wrócił do studiowania inżynierii; szybko jednak podupadł poważnie na zdrowiu. Dopadła go okropna melancholia, w jego wzroku pojawiła się tęsknota charakterystyczna dla marynarzy i podróżników, która przemienia spojrzenie tak, że nawet gdy patrzą komuś prosto w oczy, zdają się spoglądać na bezgraniczne przestrzenie gdzieś bardzo, bardzo daleko”.

Auguste w końcu przestał się sprzeciwiać. Zezwolił synowi zapisać się na kurs nawigatorów i zgłosić do skromnej liczebnie Belgijskiej Marynarki Wojennej, jaką dysponowała ojczyzna. De Gerlache dokładał wysiłków, by nie zawieść ojca i udowodnić swą wartość. Jego nauczyciele szybko odkryli, że młodzieniec nosi w sobie naturalną miłość do statków i dar umiejętności odczytywania wiatrów i prądów. De Gerlache zmienił więc swój luźny strój marynarza i zbyt dużą zydwestkę na mundur kadeta. Szybko stał się największą nadzieją belgijskiej marynarki. Niewiele to jednak znaczyło, gdyż belgijska marynarka zajmowała się wówczas w zasadzie jedynie obsługą linii promowej na Morzu Północnym. By zdobyć doświadczenie konieczne do uzyskania patentu kapitana, de Gerlache nie miał innego wyjścia, jak odbyć służbę na okrętach obcych krajów. Przygoda ta dała mu zasmakować potężnej i niszczycielskiej siły oceanu. W czasie jednego z rejsów, gdy przez przylądek Horn zmierzali do San Francisco, Craigie Burn, amerykańska jednostka, na której służył de Gerlache, została tak bardzo sponiewierana potężnymi wiatrami i poobijana przez skały

wzdłuż wybrzeża Ziemi Ognistej, że trzeba było ją opuścić i porzucić. Tym samym stała się drugim statkiem, którego stratę obserwował.

Po kilku latach pracy na holenderskich i amerykańskich liniowcach awansował na oficera i został przeniesiony do służby na promie kursującym między Ostendą i Dover. I to na tej linii w 1890 roku de Gerlache po raz pierwszy spotkał króla Belgii, który akurat zmierzał do Londynu. Leopold II, wysoki i pełen godności mężczyzna o haczykowatym nosie i siwej brodzie, zainteresował się karierą młodego oficera, po pierwsze z racji jego nazwiska, a po drugie dzięki temu, że zdążyły dotrzeć do niego wieści o jego obiecującym talencie. Monarcha odwiedził dwudziestotrzyletniego oficera na mostku i zapytał, czy cieszyłaby go możliwość odbycia służby dla belgijskiej ojczyzny. De Gerlache odpowiedział ze szczerością typową dla jego wieku.

- Bardzo. Choć, przynajmniej w kwestii nawigacji, to raczej monotonne zajęcie. Nie mam jednak wyboru, bo to wszystko, czym dysponuje nasz kraj.

Leopold, dla którego brak poważnej belgijskiej obecności na morzach był powodem wstydu, zaniemówił w obliczu szczerości de Gerlache'a.

- Cóż - odrzekł w końcu. - W tym momencie.

Niedługo później de Gerlache otrzymał szansę, by pomóc w naniesieniu sieci rzecznej na mapy Wolnego Państwa Konga, liczącej przeszło milion mil kwadratowych części Afryki Środkowej, którą Leopold zajął nie jako belgijską kolonię, a swą prywatną własność, by przez jej eksploatację pomnażać osobiste bogactwo. Zadanie to uwięziłoby de Gerlache'a na mętnych wodach podobnych do tych, na które trafili Kurtz i Marlow w *Jądrze Ciemności* Josepha Conrada, choć bez wątplenia przyspieszyłoby jego karierę, zbliżając do króla Leopolda.

Ryzykując ponowną irytację monarchy, de Gerlache odrzucił jego propozycję. Nie interesowała go żegluga po rzekach i śródlądowych

zbiornikach ani tym bardziej Kongo, bo wzrok kierował już w stronę ziemiejszych horyzontów.

Choć wielkie połacie Ziemi nie zostały jeszcze naniesione na mapy przez odkrywców z zachodniego świata – głównie mowa tu o Afryce, Ameryce Południowej i Azji Środkowej – tylko jeden kontynent pozostawał w zasadzie zupełnie nieznanymi rodzajowi ludzkiemu: Antarktyda. Najbardziej wysunięty na południe skrawek Ziemi, potężny, bo powierzchnią równy Ameryce Południowej, był białą plamą na wszystkich mapach, może z wyjątkiem kilku z grubsza naszkicowanych fragmentów wybrzeża, na które od 1820 roku – czyli od czasu, gdy po raz pierwszy zauważono jego istnienie – zapuściło się ledwie paru odkrywców, wielorybników i łowców fok. Teraz należało zbadać, czy dalej rozciągały się otwarte wody, ocean lodu czy bezkresny kontynent. Antarktyda stanowiła w tamtych czasach największą geograficzną zagadkę.

Tylko trzy ekspedycje w podróży na południe przekroczyły siedemdziesiąty równoleżnik. Takie przedsięwzięcia wymagały nieprawdopodobnych nakładów finansowych i niosły ze sobą tak wielkie ryzyko, że od ostatniej z nich minęło już niemal pół wieku. Wśród stowarzyszeń geograficznych z całego świata panowało przekonanie, że od dawna powinna trwać nowa era antarktycznych odkryć. De Gerlache z wypiekami na twarzy i ekscytacją przysłuchiwał się opowieściom o przygodach polarnych i czuł determinację, by brać w nich udział. W 1891 roku dotarła do niego wiadomość o ekspedycji antarktycznej planowanej przez barona Adolfa Erika Nordenskiölda. Natychmiast zgłosił się jako kandydat i zobowiązał pomóc w gromadzeniu potrzebnych funduszy na terenie Belgii. Wysłany przez niego list pozostał bez odpowiedzi. I choć inni mogliby stracić zapał i chęci, dwudziestopięcioletni de Gerlache dostrzegł w tym swoją szansę. Gdy organizacja wyprawy Nordenskiölda skończyła się fiaskiem i nikt po nim nie podjął tematu Antarktydy, z ziarenka pomysłu, które od lat kiełkowało w umyśle młodego oficera, nagle wyrósł gotowy plan. Ignorując brak jakiegokolwiek doświadczenia w tej materii, postanowił



samodzielnie zorganizować ekspedycję, tak by przynieść sławę i chwałę Belgii i sobie. W jego głowie nawet na chwilę nie powstały wątpliwości w rodzaju: dlaczego akurat Belgia? Dlaczego akurat ja? W ich miejscu najwyraźniej pojawiły się pytania: a dlaczego nie Belgia? Dlaczego nie ja?

Jedną z oczywistych odpowiedzi były koszty. Aby zgromadzić fundusze na wieloletnią podróż, bo taką planował, de Gerlache musiałby przekonać rodaków nie tylko o znaczeniu wyprawy, ale też o roli, jaką on sam miał w niej odegrać. A to wymagałoby kampanii perswazji równie misternej jak modele statków, które niegdyś składał.

De Gerlache zdawał sobie sprawę, że jego potencjalni sponsorzy mogą wahać się przed podjęciem ryzyka, które z łatwością można było zdezawuować jako dziecięce marzenie niedoświadczonego kapitana. Zdecydował się więc odwołać do ich patriotyzmu; jako sprawny nawigator wyczuwał powiew nacjonalistycznych ciągót obejmujących całą Europę i postanowił je wykorzystać do swoich celów. Planował wytłumaczyć, że państwo równie młode jak Belgia nie mogłoby nawet marzyć o lepszej okazji, by zaprezentować się światu, jak wzniesienie swojej flagi na krańcu świata, przyciągając uwagę prasy ze wszystkich zakątków globu.

Z drugiej strony, młody oficer był przekonany, że największą szansą na zdobycie wsparcia dla jego zamiarów było przedstawienie wyprawy jako ekspedycji naukowej. Dziewiętnasty wiek był czasem eksploracyjnego szaleństwa; narody Europy walczyły o kolonizowanie kolejnych terytoriów, które pozwalałyby zwiększać ich globalne wpływy i dostarczać surowce, by nakarmić nienasycony rodzimy przemysł. Z biegiem czasu ewoluowało jednak uzasadnienie dla kolejnych eksploracji, dzięki czemu wśród odkrywców równie łatwo można było spotkać naukowców i przyrodników – jak Charles Darwin czy Alexander von Humboldt, co żeglarzy, żołnierzy, kupców czy misjonarzy. Wiedza – o roślinach, zwierzętach, geologii i ludności – stała się równie cenioną zdobyczą jak w minionych czasach złoto, przyprawy czy tania siła robocza. Po podbiciu większości znanego świata Zachód wkładał wiele

wysiłku w próby jego zrozumienia. Tak właśnie narodziła się między towarzystwami geograficznymi Europy i Ameryki kultura współzawodnictwa, w którym główną wygraną były postęp naukowy i prawo do poczucia narodowej wyższości; jeśli zaś przy okazji dochodziło do odkrycia cennych surowców naturalnych, tym lepiej dla zwycięzców<sup>1</sup>!

Nauka mogła być dla de Gerlache'a jedynie środkiem prowadzącym do celu, a jednak potraktował ją na tyle poważnie, by szukać wsparcia u kilku szanowanych belgijskich naukowców. I choć każdy z nich z pewnością znał jego nazwisko, o nim samym żaden wcześniej nie słyszał. Mimo to wszyscy z entuzjazmem zareagowali na antarktyczne zamiary młodego komendanta. Dzięki ich pomocy powstał obszerny plan, który de Gerlache złożył pod koniec 1894 roku w Belgijskim Królewskim Towarzystwie Geograficznym w Brukseli. Miało ono decydujący głos w kwestiach wszystkich wypraw pod belgijską flagą i doradzało rządowi w sprawach ich finansowania. Sporządzony starannym, odręcznym pismem elaborat wyglądał – i brzmiał – jak praca pilnego ucznia. Przewidując, że towarzystwo może mieć obiekcje związane z jego młodym wiekiem, de Gerlache starał się nadać opracowaniu podniosły, godny ton, posługując się liczbą mnogą zamiast pojedynczej, tak zwaną formą liczby mnogiej majestatu: „odczuwając niepowstrzymaną fascynację wszystkim, co związane z wiedzą o polarnych rejonach, zadajemy sobie pytanie, czy byłoby możliwe zorganizować belgijską wyprawę mającą na celu eksplorację morza antarktycznego”.

Towarzystwo geograficzne wyraziło zainteresowanie planami de Gerlache'a i zaprosiło go do zreferowania ich w dostojnym, neoklasycystycznym Pałacu Akademii w centrum Brukseli. Dziewiątego stycznia 1895 roku, pokonując niechęć do publicznych wystąpień, dwudziestoosmioletni de Gerlache stanął przed najważniejszymi siwobrodymi przedstawicielami belgijskiej nauki i szczegółowo opowiedział o swoich zamiarach. Tłumaczył, że choć świat od dawna obserwował wzrost zainteresowania wyprawami do Arktyki – w tym

konkretnym roku nie mniej niż cztery zmierzały w kierunku bieguna północnego - „Ocean Południowy pozostawał w znacznej mierze niezbadany, przynajmniej z naukowego punktu widzenia”. De Gerlache roztoczył przed nimi wizję bogatego programu badań naukowych, które planował przeprowadzić. Zamierzał, między innymi, zbierać dane zoologiczne, botaniczne, oceanograficzne i meteorologiczne, mierzyć pole magnetyczne Ziemi i zająć się zgłębianiem słabo zbadanego fenomenu zorzy polarnej. Planował sporządzić staranną mapę wybrzeża od Półwyspu Antarktycznego aż do Ziemi Wiktorii, po drugiej stronie globu, gdzie nieustraszony brytyjski marynarz i odkrywca James Clark Ross pięćdziesiąt lat wcześniej ustanowił wciąż niepokonywany rekord najdalej wysuniętej na południe obecności człowieka, wynoszący 78°09' szerokości geograficznej południowej.

Proponowana ekspedycja miała trwać dwa lata. De Gerlache planował wyruszyć we wrześniu 1895 roku, na Antarktydę dotrzeć na początku grudnia, a następnie posuwać się na południe aż do połowy kolejnego roku. Wyczerpującą zimą (która pokrywała się z latem na półkuli północnej) chciał przeczekać w Australii, by na Antarktydę powrócić wiosną, gdy tylko puszczą lody. Żaden człowiek nie doświadczył jeszcze zimy na Antarktydzie, za kołem podbiegunowym, gdy morze skuwa gruba lodowa tafla, a słońce znika na długie miesiące. De Gerlache również nie brał tego pod uwagę, choć wyrażał nadzieję, że dysponując odpowiednim statkiem, wgrzyzie się w pak lodowy Antarktyki głębiej niż ktokolwiek przed nim.

Kiedy skończył mówić, sala wykładowa rozbrzmiała oklaskami. Obecni naukowcy, porwani odwagą i młodzieńczym wigorem de Gerlache'a, wyrazili jednogłośnie poparcie dla Belgijskiej Ekspedycji Antarktycznej.

De Gerlache uważał, że aby przejść do historii - i udowodnić ojcu, że marzenia o morskiej chwale nie pozostaną jedynie marzeniami - musi przywieźć z wyprawy jakiś rekord, coś, co zdobędzie pierwszy. Wyprawy polarne od dawna sprowadzały się do heroiczych czynów: kto zdoła osiągnąć najdalej wysunięty punkt, kto przetrzyma najniższe

temperatury czy pokona największą odległość. Takie osiągnięcia elektryzowały uwagę opinii publicznej i głęboko zaspokajały ludzkie pragnienie wyznaczania ścieżek pośród nieznanego.

Wybór takiego celu uzgodnił ze swymi doradcami naukowymi. Byli oni wyjątkowo zainteresowani zaproponowanymi przez niego badaniami pola magnetycznego. „I to, samo w sobie – tłumaczył astronom Charles Lagrange – można uznać za wystarczające, by nadać wyprawie jej *raison d'être*”.

Lagrange był zdania, że odkrycie południowego bieguna magnetycznego – co nie udało się Rossowi w 1842 roku – „zapisałoby się w historii”.

Uważano wówczas, że biegun magnetyczny znajduje się w okolicach siedemdziesiątego piątego równoleżnika<sup>2</sup>. Wyznaczenie jego dokładnej lokalizacji mogłoby okazać się bardzo przydatne, gdyż pozwoliłoby nawigatorom na wprowadzenie poprawek w odczytywaniu kompasów i tym samym precyzyjniejsze wyznaczanie pozycji. Najważniejsze jednak, że stanowiłoby to kluczowe osiągnięcie. De Gerlache uzupełnił zatem plan wyprawy: zamierzał wysadzić na ląd czteroosobowy zespół, którego zadaniem byłoby przygotowanie zimowego obozu na Ziemi Wiktorii, na południe od Nowej Zelandii, by przy pierwszych oznakach nadchodzącej wiosny móc wyruszyć w kierunku bieguna magnetycznego.

Wsparcie towarzystwa geograficznego nie mogło przyjść w bardziej korzystnym czasie. Ledwie sześć miesięcy później, w lipcu 1895 roku, w Londynie zebrał się VI Międzynarodowy Kongres Geograficzny – spotkanie towarzystw geograficznych z całego świata – i zdecydował, że eksploracja Antarktyki jest kwestią pilną i priorytetową. W oficjalnym podsumowaniu kongres wyznaczył wręcz konkretne ramy czasowe dla tego przedsięwzięcia: „[...] działania te winny być podjęte przed zakończeniem tego stulecia”. Padł więc sygnał do rozpoczęcia antarktycznego wyścigu, stawiając dzielnego, acz mało znanego belgijskiego oficera marynarki przeciwko narodom o największej morskiej tradycji, jak Niemcy, Anglia czy Szwecja, które szybko

zareagowały obwieszczeniem planów wysłania ekspedycji na ten kontynent.

De Gerlache musiał działać szybko. W stanowisku Belgijskiego Królewskiego Towarzystwa Geograficznego tkwił jeden haczyk: za oficjalnym poparciem i udzielonym błogosławieństwem nie szło w parze wsparcie finansowe. De Gerlache szacował, że wyprawa miałaby kosztować około trzystu tysięcy franków (co przekłada się na obecne 1,8 miliona dolarów amerykańskich). Doradcy naukowci uważali tę sumę za zbyt niską – i rzeczywiście, okazała się jedynie ułamkiem budżetów zaproponowanych przez inne wyprawy antarktyczne, przygotowywane na całym świecie. De Gerlache utrzymywał jednak, że ta kwota daje mu przewagę, ponieważ była realnie możliwa do pozyskania.

Mając wyznaczony budżet, komendant wyruszył na poszukiwania majątnego darczyńcy. Rozpoczął od najbardziej prominentnego obywatela Belgii, króla Leopolda II. Zakładał, że poza wszystkimi innymi profitami monarchę mogłaby skusić wizja nazwania jego imieniem nowo odkrytych ziem. De Gerlache wysłał do królewskiego pałacu plan ekspedycji, lecz nie doczekał się odpowiedzi. Oficer uznał wówczas, że król Leopold wciąż żywi do niego urazę wywołaną odmową udziału w jego kongijskim przedsięwzięciu.

Niezrażony de Gerlache kontaktował się z najbogatszymi obywatelami w całej Belgii, korzystając przy tym z rozległych rodowych koneksji. Z domu rodzinnego w parkowej dzielnicy Brukseli rozpoczął wyczerpującą kampanię pisania listów z prośbą o wsparcie. W odpowiedzi zalany został życzeniami powodzenia, jednak za ciepłymi słowami nie szły pieniądze.

I kiedy był już bliski utraty nadziei, udało mu się pozyskać 25 000 franków od pięćdziesięciosiedmioletniego potentata branży wydobywczej Ernesta Solvaya, jednego z najbogatszych Belgów, który znaczną część swojej fortuny poświęcił na wspieranie rozwoju nauki. Męczyznę ujęła śmiałość de Gerlache'a, która być może przywołała wspomnienia własnej długiej drogi na szczyt. Promesa wsparcia ze

strony Solvaya w jednej chwili dodała Belgijskiej Ekspedycji Antarktycznej powagi, której wcześniej jej brakowało. Za jego przykładem szybko podążyli inni darczyńcy. De Gerlache mógł rozpocząć poszukiwania odpowiedniej jednostki, której zakup miał stanowić najpoważniejszy jednostkowy wydatek.

Młody oficer uznał, że najrozsądniejszym krokiem będzie wybór statku, który sprawdził się już w arktycznych warunkach. Jako że próżno było szukać takich jednostek w belgijskich stocznicach, poszukiwania przeniósł dalej na północ, do Szkocji i Norwegii, szczególną uwagę zwracając na wytrzymałość kadłuba na miazdzący nacisk antarktycznego lodu. W marcu 1895 roku de Gerlache przyjął zaproszenie maklera morskiego na trzymiesięczną eskapadę na pokładzie zgrabnego norweskiego trzymasztowca o nazwie Castor, łączącą połowy wielorybnicze i polowanie na foki u wybrzeży Grenlandii. Ledwie dwa lata wcześniej jednostka poławiała wieloryby w okolicach Antarktydy, a teraz można było ją kupić. Udział w wyprawie miał dla de Gerlache'a dwa cele: mógł oswoić się ze statkiem i nauczyć się zawiloci polarnej nawigacji. Mimo lat spędzonych na morzach niewiele wiedział o lodzie.

Sezon łowiecki w Arktyce był bardzo urodzajny, a de Gerlache przyglądał się - przy czym czuł się raczej nieswojo - skórowaniu i pozyskiwaniu tłuszczu z delfinów butlonosych, jak również brutalnemu uśmiercaniu pałkami młodych focząt, których futro było najbardziej pożądane ze względu na jego nadzwyczajną delikatność. Okoliczne wody przemierzały również inne jednostki polujące na foki, młody oficer mógł więc z pokładu Castora przyjrzeć się konkurencji. Niedaleko Jan Mayen, niewielkiej wyspy wulkanicznej na Oceanie Arktycznym, w połowie drogi między Norwegią i Grenlandią, jego uwagę przyciągnął zwodowany jedenaście lat wcześniej bark o nazwie Patria, choć jego sylwetce dużo brakowało do zgrabności i smukłości Castora. Przy stu stopach i dwustu czterdziestu czterech tonach wyporności był też najmniejszą z jednostek wchodzących w skład norweskiej floty wielorybniczej, a jednak zachwyty budził sposób, w jaki

radził sobie z lodem, jego wytrzymałość, gdy przeciskał się między górami lodowymi i gdy wślizgiwał się na pak lodowy, by skruszyć go swoim ciężarem. De Gerlache poczuł, że chce go mieć, lecz gdy dyskretnie zapytał o cenę, usłyszał w odpowiedzi, że jednostka nie jest na sprzedaż. W tamtym momencie odmowa nie miała jednak wielkiego znaczenia, gdyż poza promesą od Solvaya i kilku innych darczyńców wciąż dysponował jedynie ułamkiem kwoty, której potrzebował, by zakupić statek.

W sierpniu 1895 roku de Gerlache wrócił do Belgii bez statku i wszystko wskazywało na to, że jego wielki projekt skazany jest na porażkę. Miesiąc przed pierwotnie zaplanowaną datą rozpoczęcia wyprawy Belgijska Ekspedycja Antarktyczna składała się w głównej mierze z osoby samego Adriena de Gerlache'a, inkaustu i papieru. Młody oficer nie miał pomysłu, do kogo jeszcze mógłby się zwrócić o wsparcie, a porzucenie marzenia, teraz, gdy obwieścił je całej Belgii i zaprezentował swoje odważne plany rodakom, i zwrot szczodrej kontrybucji Ernestowi Solvayowi oznaczałyby trudną do zaakceptowania kompromitację.

Nic nie wskórawszy apelami do króla i rządu, de Gerlache zwrócił się bezpośrednio do rodaków. Z początkiem stycznia 1896 roku Belgijskie Królewskie Towarzystwo Geograficzne pomogło zorganizować narodowy system wsparcia, którego celem było opłacenie kosztów wyprawy. Darowizny, małe i znaczące, popłynęły wartkim strumieniem; jakiś nauczyciel wpłacił jednego franka, listonosz trzy, a jeden z senatorów tysiąc. Towarzystwo, podobnie jak lokalni patroni, tacy jak Léonie Osterrieth, w całym kraju organizowali festyny, koncerty, wykłady, wyścigi rowerowe i sprzedawali bilety na przeloty balonem.

Łącznie dwa i pół tysiąca obywateli i obywaterek Belgii dorzuciło się do organizacji ekspedycji, a ich wspólny wysiłek do maja 1896 roku przyniósł kwotę 115 000 franków. Dopiero wtedy, gdy plany de Gerlache'a w końcu zaczynały się materializować, rząd w końcu sięgnął do skarbcza i tak w czerwcu tego samego roku obie izby parlamentu

zagłosowały za przyznaniem dodatkowych stu tysięcy franków. Nowy wymiar, który nagle zyskała wyprawa, przepelniał de Gerlache'a ekscytacją, ale i niepokojem. Sponsorzy nie tylko wsparli jego antarktyczne marzenie: wyprawa, która przez całe lata istniała jedynie w jego głowie, wywalczyła sobie miejsce w zbiorowej wyobraźni jego rodaków, również głodnych części chwały. De Gerlache dawał im szansę na jej urzeczywistnienie, lecz jednocześnie zaciągnął dług emocjonalny, który, chcąc nie chcąc, musiał spłacić. To brzemię miało pozostać z nim do samego końca, a sączące się w jego głowie obawy zatruwały ogromne ambicje strachem przed porażką i wstydem.

De Gerlache uświadomił sobie wówczas, że ekspedycja przestała być wyłącznie jego przedsięwzięciem. Pogodzenie sprzecznych interesów Towarzystwa Geograficznego (które obstawało przy ściśle naukowym charakterze wyprawy), sponsorów (którzy ponad wszystko przedkładali rozsądne wydatkowanie ich darowizn) oraz spragnionego chwały społeczeństwa (które oczekiwało, że uczestnicy wyprawy będą się mierzyć ze śmiertelnymi niebezpieczeństwami i wykażą się heroizmem), jak również członków rodziny (którzy liczyli, że nie przyniesie on hańby nazwisku), jawiło się de Gerlache'owi niemożliwą sztuką.

De Gerlache w końcu mógł sfinansować zakup statku. Korzystając z pośrednictwa posłańca, którym był belgijski konsul w Norwegii Johan Bryde, ponownie złożył ofertę zakupu Patrii, jednostki, której właściciele rok wcześniej odrzucili jego awanse. Bryde okazał się świetnym negocjatorem, bo zdołał zbić cenę Patrii do siedemdziesięciu tysięcy franków. Latem 1896 roku de Gerlache udał się do Sandefjord w Norwegii, by odebrać swój nabytek. Stał na pokładzie i przesunął dłońmi po relingach; w końcu posiadał statek, o którym mógł powiedzieć, że jest jego własnością - po raz pierwszy od czasów dzieciństwa. Piątego lipca przechrzczył jednostkę, nadając jej imię Belgica.



Początkowo de Gerlache planował w tym właśnie czasie wyruszyć na Antarktydę, ale wciąż nie był gotowy. Nie miał innego wyboru, jak przełożyć początek wyprawy o okrągły rok, gdyż za wszelką cenę chciał uniknąć przybycia na Antarktydę w porze tamtejszej budzącej grozę zimy.

Następnych kilka miesięcy spędził w Sandefjord, osobiście nadzorując konieczne modyfikacje, by przygotować jednostkę na trudy wyprawy na Antarktydę. Czas ten wystarczył, by nauczył się płynnie posługiwać językiem norweskim. Kadłub Belgiki został wzmocniony najwytrzymalszym dostępnym drewnem tropikalnego gatunku *greenheart*, by ochronić go przed morderczym uściskiem lodu. We współpracy ze skutnikiem Larsem Christensenem (który, nawiasem mówiąc, był teściem Bryde'a), de Gerlache dodał warstwę filcu i drewna, jako izolację i barierę chroniącą wewnątrz statku przed świdrakami okrętowcami. Christensen wymienił silnik i zamontował nową stalową śrubę napędową, którą można było schować, gdyby statek został unieruchomiony przez lód. Powiększył również rufówkę, dobudował mesę oficerską i ciemnię przeznaczoną do wywoływania płyt fotograficznych. Na koniec wznosił na pokładzie dwa laboratoria, które de Gerlache wyposażył w najlepszy sprzęt pomiarowy i badawczy, sprowadzany z różnych zakątków Europy. Modernizacja Belgiki przeciągnęła się bardziej, niż planowano, i opóźniła rozpoczęcie wyprawy o kolejny rok, lecz kiedy Christensen ukończył swoje dzieło, próżno było szukać warstw starego tłuszczu, nie czuło się już wszechobecnego wcześniej zjełczałego smrodu, a statek uwodził wyglądem luksusowego jachtu.

Dysponując już własną, odpowiednio dostosowaną jednostką, de Gerlache musiał znaleźć naukowców i marynarzy, którzy zamieszkaliby na jej pokładzie. Rozpoczynając poszukiwania załogi, młody oficer napotkał problem, który prześladował go jeszcze długo po wyjściu z portu, choć w rzeczywistości miał zapewne znacznie mniejsze znaczenie, niż mu się wydawało. Bojąc się bardziej hańby niż śmierci, wykształcił w sobie niemal chorobliwą fobię przed belgijską prasą,

która, jak się spodziewał, rozszarpie go bez litości, jeśli załoga Belgiki nie będzie się składać w całości z uczonych i marynarzy pochodzących z ojczyzny. Przy czym taki warunek był z założenia niemożliwy do spełnienia. De Gerlache, mając na uwadze skromne morskie tradycje swego kraju, nigdy nie łudził się nawet, że znajdzie w nim dostateczną liczbę wystarczająco doświadczonych marynarzy, zdolnych znieść trudy planowanej ekspedycji. Wyprawa, na którą zapraszał, była nie tylko niebezpieczna, ale i mało zyskowna – belgijscy poszukiwacze przygód wybraliby zapewne Kongo, by tam szukać szczęścia i bogactwa. I choć Belgia nie mogła narzekać na brak zdolnych naukowców, najlepsi już wcześniej zdążyli się zniechęcić – wielu zgłosiło chęć uczestnictwa zaraz po ogłoszeniu planów wyprawy. W miarę jednak jak przeciągały się przygotowania, a jej rozpoczęcie odkładano na kolejny rok, wszyscy, jeden po drugim, wycofali swoje kandydatury. Pokonała ich frustracja z powodu opóźnień i zmęczenie obawami o powodzenie źle zorganizowanego i niedofinansowanego w ich odczuciu przedsięwzięcia.

I tak jedynym członkiem załogi, który nie opuścił de Gerlache'a, okazał się Emile Danco. Był on jednym z jego najstarszych przyjaciół. Połączył ich los cichych, wycofanych dzieci wojskowych rodzin. Gdy de Gerlache robił karierę w marynarce, Danco zaciągnął się do belgijskiej armii, gdzie dosłużył się rangi porucznika artylerii. I choć silnie zbudowany, przystojny młody mężczyzna z kwadratową szczęką wyglądem pasował do obrazu arktycznego odkrywcy, w rzeczywistości nie był ani naukowcem, ani nawet marynarzem, jednak brak kwalifikacji nadrabiał nieposkromionym entuzjazmem. Matkę stracił jako młody chłopiec, zaś po śmierci majątnego, lecz dominującego ojca, Danco został sam, z dużym spadkiem i desperackim pragnieniem zobaczenia świata poza Belgią. De Gerlache nie mógł marzyć o znalezieniu bardziej oddanego i zdeterminowanego towarzysza, który nie dość, że nie oczekiwał żadnej zapłaty, to jeszcze sam wpłacił na wyprawę kilka tysięcy franków. Ledwie oficjalnie dołączył do ekspedycji – co wymagało specjalnego zwolnienia z wojska, podpisanego osobiście

przez króla Leopolda II, Danco zaczął zwracać się do przyjaciela z dzieciństwa *per* „kapitanie”, a nieoficjalny zaimek osobowy *tu* zastąpił znacznie bardziej formalnym *vous*.

Dwie osoby to jednak wciąż za mało, by stanowiły całą załogę. De Gerlache stanął przed wyborem jednej z trzech opcji: mógł zatrudnić kilku obcokrajowców, zgodzić się na słabo lub zgoła niewykwalifikowanych Belgów albo znów opóźnić rozpoczęcie wyprawy, co być może tym razem równałoby się definitywnemu zakończeniu marzeń o ekspedycji. W sytuacji, w jakiej się znalazł, zdecydował się zaryzykować i częściowo odrzucić patriotyczny wymiar projektu, gdyż oparcie się w całości na źle przygotowanych rodakach równałoby się skazaniu przedsięwzięcia na porażkę. Dodatkowo, bez odpowiedniego zespołu naukowców nie mógłby przecież mówić o misji naukowej. Tym samym Belgijska Ekspedycja Antarktyczna z potrzeby i braku alternatywy stała się wyprawą międzynarodową – co przyniosło pozytywne skutki.

Do zespołu, zaraz po Danco, dołączył Henryk Arctowski – wybitny, acz bardzo ubogi polski chemik i geolog związany z Uniwersytetem w Liège w Belgii; jego zazwyczaj pozbawiona uśmiechu twarz, bujna broda, starannie wyprasowane garnitury i długa lista publikacji sprawiały, że wyglądał na znacznie więcej niż dwadzieścia trzy lata. Dopiero kilka miesięcy później Arctowski wyznał, że formalnie nie zakończył wykształcenia uniwersyteckiego. „Muszę się przyznać, że nie posiadam żadnego stopnia naukowego – napisał do de Gerlache’a. – A wynika to z faktu całkowicie niezależnej ścieżki edukacji, jaką podążałem, przy czym daleki jeszcze jestem od osiągnięcia celów, jakie sobie wyznaczyłem”. Przy braku listy chętnych na jego miejsce, de Gerlache nie mógł wybrzydzać i Arctowski zachował stanowisko. Belgica miała stać się jego tytułem naukowym.

Znacznie więcej czasu zajęło de Gerlache’owi poszukiwanie zoologa. Emile Racovitza<sup>3</sup>, dwudziestosiedmioletni mężczyzna urodzony w majątnej rumuńskiej rodzinie, studiował na Sorbonie w Paryżu, a jego wyjątkowa praca traktująca o życiu organizmów pelagicznych,

zwłaszcza morskich robaków, wzbudziła ogromne zainteresowanie wykładających tam profesorów. I choć na członka wyprawy rekomendował go Henryk Arctowski, nie dałoby się chyba wskazać dwóch bardziej różnych osobowości. Ich charaktery doskonale odzwierciedlały wybrane dziedziny nauki: geologa cechowała sztywność, oschłość i twardość, a zoolog był ciepły i pełen życia. Możliwe, że dla de Gerlache'a przy zatrudnieniu Racovitzy na równi z jego osiągnięciami liczyła się gotowość do służby bez wynagrodzenia.

Po naukowcach przyszła kolej na skompletowanie załogi. Nieliczni belgijscy marynarze, których udało się namówić do uczestnictwa w wyprawie, nie zaliczali się do pierwszej ligi ludzi morza. Wśród nich znalazł się choćby mechanik Joseph Duvivier, którego przełożony oficer w liście polecającym – brzmiącym bardziej jak ostrzeżenie – opisał go następującymi słowami: „Podsumowując, *istnieje pewne prawdopodobieństwo*, że pan Duvivier może pojąć zasadę funkcjonowania prostego silnika – jak jednostka Belgiki na przykład – lecz nie mogę tego zagwarantować”. De Gerlache i tak go zatrudnił.

Kolejnym Belgiem, który zgłosił gotowość do służby na pokładzie Belgiki, był Louis Michotte, dwudziestoosmioletni leń i łachudra, który dopiero co wrócił z Afryki z pięcioletniego kontraktu we francuskiej Legii Cudzoziemskiej, w czasie którego jeden z miejscowych odgryzł mu kciuk. „Jako beztroski człowiek popełniłem kilka grzechów młodości” – pisał do de Gerlache'a. – „Mój ojciec wciąż ma mi je za złe, lecz gdybym mógł, w jakiegokolwiek roli, towarzyszyć panu, sir, zyskałbym zapewne przebaczenie, a pan, sir, zrobiłby jeszcze jeden dobry uczynek”. Wśród umiejętności przydatnych w wyprawie na Antarktykę Michotte wymienił między innymi stawianie płotów. I również został zatrudniony.

Trzon załogi musieli jednak stanowić ludzie, na których de Gerlache mógłby polegać i którzy potrafiliby radzić sobie z lodem i ekstremalną pogodą. Norwegia – z rozbudowanym przemysłem stoczniowym i długą linią brzegową, z wikińskimi tradycjami i morskimi mitami – jawiła się jako naturalne miejsce dalszych poszukiwań. Znacznie trudniej byłoby

chyba znaleźć Norwega, który nic nie wiedział o statkach. W czasie pobytu na pokładzie Belgiki w Sandefjord de Gerlache najął kilku głodnych przygody Norwegów, i to zarówno weteranów wypraw arktycznych, jak i nastoletnich młodzików.

Pod koniec lipca 1896 roku de Gerlache otrzymał list, który zwrócił jego uwagę.

*Do kapitana A. de Gerlache'a*

*Dowiedziawszy się, jakoby nie planował pan wyruszyć z ekspedycją antarktyczną przed kolejnym rokiem, pragnę zwrócić się z pytaniem o wolne miejsca pośród załogi. Gdyby dostępne było jeszcze stanowisko dla marynarza, byłbym zobowiązany, jeśli zechce pan rozważyć moją kandydaturę.*

*Mam dwadzieścia cztery lata, w 1894 służyłem na Magdalenie pod kapitanem Stöcksenem na Morzu Arktycznym, a w tym roku na pokładzie Jasona pod kapitanem Evensenem.*

*Ukończyłem szkołę średnią, zdałem maturę i egzamin w szkole dla nawigatorów. Dysponuję certyfikatem poświadczającym, że jestem w najlepszym zdrowiu. Dodatkowo chciałbym wspomnieć, że dobrze jeżdżę na nartach i uczestniczyłem w kilku trudnych wyprawach narciarskich w wysokich partiach gór.*

*Byłbym wdzięczny za odpowiedź...*

*Roald Amundsen*

Wiadomość wystarczająco zaintrygowała de Gerlache'a, by osobiście spotkał się z Amundsenem. Komendanta powitał mężczyzna jakby żywcem wzięty ze stron powieści podróżniczych, jakimi zaczytywał się za młodu. Bez mała metr i dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, dziewięćdziesiąt kilogramów wagi, a do tego twarz o ostrych rysach sprawiały, że Amundsen wyglądał jak współczesny wiking. Gdyby de

Gerlache rozpytywał o niego w dokach, dowiedziałyby się, że młody marynarz zdążył zyskać opinię godnego zaufania pracownika i podróżnika o niezwykłych ambicjach. Szczególne wrażenie na Belgu zrobiły jego umiejętności jazdy na nartach. Narciarstwo przełajowe dopiero zaczynało zyskiwać popularność poza miejscem narodzin Amundsena, więc jeśli de Gerlache miał w ogóle myśleć o dotarciu do południowego bieguna magnetycznego, doświadczony narciarz byłby nieocenionym wsparciem. Warto przy tym zauważyć, że, podobnie jak Danco i Racovitza, Amundsen również nie oczekiwał zapłaty za służbę, bo liczył jedynie na zdobycie doświadczenia.

To Bryde przekazał de Gerlache'owi list Amundsena. Dyplomata zostawił w rogu entuzjastyczny dopisek: „Bierz go, przyjacielu!”. De Gerlache przypadkowo trafił na prawdziwy diament i choć nigdy nie nauczył się właściwie oceniać ludzi, nawet on rozumiał, że ten potężny Norweg marnowałaby się, służąc na pokładzie jako zwykły marynarz. Mimo że właśnie o taką funkcję Amundsen się ubiegał, de Gerlache z miejsca uczynił go pierwszym oficerem<sup>4</sup> – co według morskich prawideł plasowało Norwega na pierwszym miejscu do przejęcia dowództwa, gdyby jemu samemu przytrafiło się coś złego. Prawdopodobieństwo tego, że Norweg miałby przejąć dowodzenie na Belgice, nie było idealnym rozwiązaniem. Danco sugerował nawet, że może to zachęcić norweską część załogi do wypowiedzenia posłuszeństwa względem pierwszego dowództwa statku, a może i nawet do buntu.

De Gerlache zdawał sobie sprawę, że prasa w końcu dowie się o tym, że Belgowie stanowią ledwie połowę załogi Belgijskiej Ekspedycji Antarktycznej. Kierowany przez niego zespół miał realizować pierwszą w dziejach prawdziwie międzynarodową ekspedycję naukową, lecz jemu nie o taką palmę pierwszeństwa chodziło. Jednym ze sposobów, które rozważał, by obejść ten problem, było nakłonienie części swoich ludzi do przyjęcia obywatelstwa belgijskiego; porzucił jednak ten pomysł, gdy Arctowski wytłumaczył mu, że pewnego dnia zamierza

wrócić do Polski i że zgodnie z prawem rosyjskiego zaborcy każda osoba, która bez zgody tegoż zmieniła obywatelstwo, zostaje skazana na roboty przymusowe.

Znacznie lepsze rozwiązanie znalazł w czerwcu 1897 roku, na dwa miesiące przed wyruszeniem w podróż, zatrudniając jeden z bardzo nielicznych talentów - poza nim samym - z belgijskiej marynarki. Dwudziestoosmioletni Georges Lecointe, kolega Danco, był porucznikiem belgijskich sił morskich, choć w tamtym czasie służył akurat w wojsku francuskim. Lecointe, znany ze swych umiejętności astronawigacji, został kapitanem Belgiki, funkcją ustępując jedynie komendantowi de Gerlache'owi, czym zepchnął Amundsena o stopień niżej w hierarchii<sup>5</sup>. Jeden z belgijskich dziennikarzy napisał, że niewysoki Lecointe, „nerwowy i ruchliwy jak wiewiórka”, miał wojowniczy, wybuchowy styl kierowania ludźmi, mocno kontrastujący z naturalnym spokojem de Gerlache'a.

Pod koniec czerwca Belgica wyruszyła z Sandefjord do Vlissingen w Holandii, gdzie Lecointe miał wejść na pokład - i niemal jak na zawołanie pojawił się dowód na to, dlaczego naprawdę był potrzebny załodze. Dwudziestego ósmego czerwca, tuż przed przybyciem kapitana, statek wpłynął na mieliznę nieopodal miasta Den Helder, odnosząc przy tym uszkodzenia, których naprawa miała zająć przynajmniej kilka dni. Lecointe zaczął się zastanawiać, w co się w ogóle wpakował - jeśli załoga nie potrafiła nawigować na świetnie opisanych wodach u wybrzeży Europy, to jak mieli sobie poradzić z nieznanymi i nieprzewidzianymi niebezpieczeństwami czyhającymi na wodach Antarktyki? „Nic nie mogłoby wzbudzić we mnie większego zaniepokojenia - pisał później - niż ten statek wyruszający lada dzień w podróż, którego załoga, choć wciąż niekompletna, już teraz składała się w sporej części z niezdyscyplinowanych i wręcz będących zagrożeniem marynarzy”. Ale nawet jeśli wątpił w de Gerlache'a, nigdy nie podważał jego kompetencji ani decyzji; wręcz przeciwnie - Lecointe miał stać się jego największym obrońcą.

Dzięki sprytnej strategii szukania wsparcia w rządzie – oraz oferując chętnym płatne wycieczki po pokładzie Belgiki cumującej przy nabrzeżu portowym w Antwerpii – de Gerlache w końcu uezbiarał konieczną kwotę, niewiele mniejszą niż wymarzony budżet trzystu tysięcy franków. Niemal do ostatniego dnia trwała akcja uzupełniania braków w personelu. De Gerlache zatrudnił między innymi Jana Van Mirlo, młodego, porywczego mieszkańca Antwerpii, który zgłosił się wiedziony chęcią uniknięcia służby wojskowej i skłamał, mówiąc o swoim doświadczeniu marynarskim (jedyną pracą, jaką kiedykolwiek wykonywał, było rozwożenie wózkiem rowerowym chleba z piekarni jego ojca). W tym samym mniej więcej czasie komendant znalazł również zwalistego i wybuchowego francuskiego kucharza Alberta Lemonniera, który miał skłonność do picia i talent do obrażania każdego w zasięgu głosu.

Jednym ze zdarzeń zwiastujących zbliżające się problemy z dyscypliną na pokładzie było samowolne opuszczanie statku na dłuższy czas przez kilku Belgów. Podoficer nazwiskiem Coene wręcz zdezerterował. Po tym, jak główny mechanik Henri Somers ruszył na dwudniową pijacką eskapadę po antwerpskich barach, zawiadomiony o fakcie Lecointe zdał raport de Gerlache'owi. „Somers – napisał – w dramatyczny sposób naraża na szwank dobre imię całej załogi, doprowadzając się publicznie do stanu upojenia (cały czas nosząc mundur)”. Lecointe zasugerował natychmiastowe zwolnienie Somersa. Wraz z jego odejściem maszynownia Belgiki pozostała w niedoświadczonych i niezbyt sprawnych rękach Duviviera.

De Gerlache'a martwiła niemożność znalezienia chirurga pokładowego, na co złożył się pech i skutki własnych działań. Pierwszy z kandydatów, doktor Arthur Taquin, został dużo wcześniej wskazany przez sekretarza generalnego Belgijskiego Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, lecz komendant wyprawy obawiał się, że lekarz zostanie koniem trojańskim towarzystwa, nastawionym na odebranie jemu jako dowódcy faktycznej władzy. A że sam dążył do uniknięcia konfrontacji, brudną robotę pozostawił swemu ojcu. Pułkownik Auguste



de Gerlache wykorzystał swoje ogromne wpływy, by odsunąć Taquina, nagłaśniając jego wcześniejsze błędy lekarskie i grożąc mu pozwem<sup>6</sup>.

De Gerlache rozważał kandydatury kilku innych lekarzy, zanim zdecydował się zatrudnić młodego Belga Jules'a Poupliera, który dopiero co ukończył edukację medyczną. Lecz piętnastego sierpnia, dzień przed planowanym wyjściem z portu, Pouplier niespodziewanie zrezygnował, zasłaniając się koniecznością zaopiekowania się siostrą, która nagle podupała na zdrowiu.

Komendant rozumiał, jak lekkomyślną decyzją jest wyruszenie w podróż na najniebezpieczniejsze wody na Ziemi z załogą daleką od ideału i w dodatku bez lekarza na pokładzie. Jednak zdawał sobie również sprawę, że jeśli nie podniesienie kotwicy zgodnie z planem, równie dobrze może już nigdy jej nie podnieść. Szesnastego sierpnia, pośród wiwatów, huku sztucznych ogni, głośniejszej muzyki i powiewających belgijskich flag, de Gerlache powtarzał sobie, że jakoś musi się udać.

Ledwie jacht wiozący na pokładzie rodzinę zniknął mu z oczu, de Gerlache opuścił bocianie gniazdo Belgiki. Czuł błogą wolność. „Uwolniłem się z jarzma niewdzięcznych obowiązków, które przez trzy ostatnie lata całkowicie pochłaniały mój czas. Nie muszę już prosić o pieniądze, przekonywać i godzić się na kompromisy, nie muszę biegać za wiecznie niewystarczającymi zapasami... Wyjście z portu oznacza uwolnienie, ucieczkę... niekończącą się nadzieję”.

Belgica następną noc spędziła na kotwicy przy holenderskim porcie Vlissingen, u ujścia rzeki Skaldy. A gdy promienie zachodzącego słońca padły na okna kajuty wychodzące na sterburtę – kajuty, której ściany zdobiły obrazy polarnych pejzaży i zdjęcia Augusta de Gerlache'a – komendant usiadł za biurkiem i pozwolił myślom wypełnić ciszę. Sprzedając swoje polarne marzenia w otoczeniu patriotycznego zrywu, wystawił się na naciski równie przerażające jak to, czego spodziewał się doświadczyć w uścisku antarktycznego lodu. Sukces dowodzonej

przez niego wyprawy zapewniłby Belgii międzynarodowy rozgłos i podziw, lecz gdyby doszło do porażki, de Gerlache stałby się jej jedynym ojcem, z czego doskonale sobie zdawał sprawę.

Już następnego ranka pojawił się pierwszy problem. Ledwie Belgica wyszła w pełne morze i odpaliła silnik parowy, pod nadzorem niedoświadczonego Duviviera doszło do przegrzania skraplacza i awarii. De Gerlache był zmuszony wydać rozkaz powrotu – który po tak pompatycznym pożegnaniu wydawał się ogromnym upokorzeniem. „Niemalże w ukryciu” wpłynęli do Ostendy na wybrzeżu Morza Północnego, by dokonać tam koniecznych napraw.

De Gerlache miał nadzieję, że jego pobyt w Ostendzie pozostanie niezauważony, lecz los sprawił, że wybrał najgorsze z możliwych wówczas miejsc do rzucenia kotwicy – bo tuż obok jachtu króla Leopolda, Clémentine, na którym lada dzień oczekiwano pojawienia się monarchy. Nieuniknione już wtedy spotkanie przebiegło w wyjątkowo żenujący sposób, bo król Leopold pojawił się na pokładzie Belgiki, by pozdrowić jej załogę, jednak udawał, że nie rozpoznaje statku. Krótka wizyta była bardzo krępująca dla de Gerlache’a, który nadal żywił urazę do monarchy za odmowę wsparcia jego antarktycznej wyprawy. „Padły banalne pytania i życzenia powodzenia” – zwierzał się później Léonie Osterrieth. „Był uprzejmy i oficjalny. Jego zdaniem dopiąłem swego, gdyż nie znalazłem wsparcia u wysoko postawionych ludzi. Innymi słowy, oddał nam przysługę, nie przejawiając zainteresowania wyprawą!!!”.

Odczytując awarię silnika jako zły omen, trzech marynarzy zeszło na ląd w Ostendzie. Dwóch z nich – cieśla i bosman – było doświadczonymi norweskimi marynarzami i tłumaczyło swoje odejście kłopotami z belgijską częścią załogi, której członkowie nie chcieli wykonywać ich poleceń, a kolejny, mechanik, zgłosił problemy zdrowotne, po czym zniknął bez śladu. W desperacji de Gerlache ponownie zatrudnił Somersa, mechanika zwolnionego wcześniej za publiczne pijaństwo. Komendant rozumiał, że tworzy zły precedens, lecz problem ze

skraplaczem wzbudził w nim obawy przed pozostawianiem maszynowni jedynie Duvivierowi.

„Niemal po kryjomu” de Gerlache powrócił do Antwerpii, by znaleźć nowych rekrutów. Dwóch doświadczonych Norwegów zastąpił daleko mniej sprawnymi Norwegami, i tak członkami załogi zostali Engelbret Knudsen i Ludvig Hjalmar Johansen. To jednak nie rozwiązywało problemu niesubordynacji belgijskich marynarzy, co zwiastowało poważne perturbacje. Komendanta szczególnie martwiła grupka składająca się z Fransa Doma, Maurice’a Warzéego i Jana Van Damme’a, trójki doświadczonych, ale bardzo nieposłusznych Belgów, którzy nie ukrywali niechęci do współpracy z obcokrajowcami. Niezależnie od tego, jak bardzo kusiło go odesłanie ich wszystkich na ląd, de Gerlache bał się konsekwencji takiej decyzji. Zwolnienie ich nie tylko uszczupliłoby znacząco załogę już na początku wyprawy, ale też zachwiałoby stosunkiem liczby Belgów do obcokrajowców na pokładzie. To dawało im przewagę w sporze z de Gerlache’em i podważało jego autorytet. Obawy komendanta, że spotka się z zarzutem niechęci w stosunku do rodaków, sprawiały, że trójka wichrzycieli mogła bez przeszkód działać dalej.

Jeszcze w czasie postoju w Ostendzie de Gerlache wziął na pokład dodatkowego naukowca, młodego polskiego studenta Antoniego Dobrowolskiego. Dobrowolski, prywatnie bliski znajomy Arctowskiego, był zdeklarowanym marksistą, który po niedawnej ucieczce z carskiego więzienia zamieszkał w Belgii, gdzie żył w wielkiej biedzie, zaspokajając głód „powietrzem i takimi tam”. Jego deklaracja służby na pokładzie Belgiki bez wynagrodzenia i zobowiązanie do wykonywania najprostszych prac idealnie wpisywały się w oczekiwania komendanta.

Mimo ogromnej wdzięczności za miejsce w załodze – i regularne posiłki – Dobrowolski żywił ogromne obawy co do powodzenia ekspedycji, marynarzy i kapitana. „Z jakiegoś powodu nie ufam ani Belgice, tej łupince, przy której budowie popełniono wiele błędów, ani jej kapitanowi [de Gerlache’owi], który wprawdzie robi świetne wrażenie, jednak nie potwierdza go w praktyce” – pisał nowy członek

załogi w dzienniku. „Zobaczymy, jak sprawy się potoczą. Przy czym wśród marynarzy od początku da się wyczuć niezadowolenie [nim]”.

Tak oto na pokładzie brakowało już tylko lekarza. De Gerlache otrzymał kilka zgłoszeń z zagranicy, lecz nie rozpatrywał ich wcześniej, jako że bał się krytyki ze strony prasy za zatrudnienie kolejnego obcokrajowca. Teraz jednak stanął przed alternatywą wyruszenia w drogę z lekarzem z zagranicy albo w ogóle bez lekarza. Wrócił więc do telegramu, który otrzymał kilka tygodni wcześniej. Wiadomość została nadana z Brooklynu w Nowym Jorku.

MÓGLBYM DOŁĄCZYĆ DO PAŃSKIEJ EKSPEDYCJI  
W MONTVIDEO [sic] ZAPEWNIĘ ARKTYCZNE  
WYPOSAŻENIE RÓWNIEŻ PSY ZAPRZĘGOWE ODPOWIEDŹ  
NA MÓJ KOSZT. + DR COOK

## Rozdział 2

### ZŁOTO I DIAMENTY

PARNEGO WIECZORU DZIEWIĘTNASTEGO SIERPNIĄ 1897 ROKU goniec Western Union pędził na rowerze ulicami Brooklynu, zwinnie unikając zderzenia z piszczącymi i zgrzytającymi wagonami elektrycznych tramwajów, których ofiarami regularnie padali piesi, co nawet zainspirowało właścicieli lokalnej drużyny bejsbolowej do nazwania jej Brooklyn Trolley Dodgers<sup>7</sup>. Chłopak miał dostarczyć telegram pod adres Bushwick Avenue 687, do eleganckiej kamienicy w lepszej części miasta.

W środku, w gabinecie, doktor Frederick Albert Cook przyjmował ostatniego tego dnia pacjenta, a następnie zamierzał zasiąść do obiadu. Po latach wysiłków, by zebrać grono stałych klientów, trzydziestodwuletni lekarz w końcu mógł cieszyć się odniesionym sukcesem. W okolicy wszyscy wiedzieli, że doktor na domowe wizyty podjeżdża sportową dorożką ciągniętą przez wspaniałego białego konia. Cook zyskał rozpoznawalność, uczestnicząc jako lekarz w słynnej wyprawie arktycznej i prowadząc działalność charytatywną, co podniosło prestiż jego gabinetu oraz zapewniło mu uznanie wśród pacjentów, bo u niego nawet rutynowe badania miały w sobie posmak przygody.

Cook posiadał wyjątkowy dar nawiązywania kontaktu z pacjentami, zdobywania ich zaufania, ba, miłości wręcz – i być może właśnie dzięki temu uchodziło mu na sucho, że ostatnimi dniami był jakby nieobecny duchem. Jego myśli krążyły wokół miejsc oddalonych o tysiące kilometrów i szybowały nad lodowymi krajobrazami Antarktyki, o której nigdy nie przestał marzyć. Rozważania te zakradały się nawet do jego zapisków medycznych, gdzie między krótkimi odręcznymi notatkami –

traktującymi o uciążliwym kaszlu pana Lurana, otyłości pani Green czy jej nawracających wzdęciach - umieszczał wycinki z gazet o niezdożytym dotychczas biegunie południowym, powstawaniu gór lodowych czy słońcu o północy w czasie polarnego lata. Bieguny Ziemi przyciągały go, jakby reagował na ich magnetyzm. Zamiłowanie do włóczęgi, niemożliwe do zaspokojenia pragnienie przygód i głód sławy nie pozwalały mu cieszyć się komfortowym, miejskim życiem lekarza rodzinnego.

Ktoś zapukał do drzwi wejściowych. Kiedy Cook otworzył, goniec Western Union wcisnął mu do ręki bilet do świata jego skrytych marzeń.

To niespokojna natura pozwoliła Frederickowi Cookowi wyrwać się z objęć paralizującego ubóstwa, jakim naznaczone było jego dzieciństwo. Młodzieńcze losy przyszłego lekarza doskonale wpisują się w historię, na podstawie której powstała legenda o możliwościach, jakie daje Ameryka. Cook urodził się dwa miesiące po zakończeniu wojny secesyjnej, w północnej części stanu Nowy Jork, nieopodal rzeki Delaware, na której przeciwległym brzegu rozciągał się stan Pensylwania. Jego ojciec, emigrant z Niemiec, Theodor A. Koch, w czasie wojny służył jako lekarz, i to wtedy nazwisko rodziny zostało zangielszczone. Frederick w domu rozmawiał z rodzicami po niemiecku. W 1870 roku, po śmierci ojca, który zachorował na zapalenie płuc, matka, Magdalena, tylko przez jakiś czas była w stanie utrzymywać dzieci, odbierając zaległe honoraria męża od jego byłych pacjentów. To źródło dochodów wyschło jednak dość szybko i rodzina z trudem wiązała koniec z końcem. Cook, według własnych słów, dorastał „niedożywiony i przeuczony”. Często brakowało jedzenia, a rzadko pojawiający się na stole świstak wydawał się prawdziwym rarytasem.

Matka, zmuszona do podjęcia pracy zarobkowej, przeniosła się z rodziną w dół rzeki, by w końcu zamieszkać na Brooklynie, po czym znalazła zatrudnienie w dzielnicy Williamsburg jako szwaczka w firmie,

w której musiała ciężko harować za marne pieniądze. Wynajęła komórkę przy South First Street, w parnej, przemysłowej dzielnicy wyrastającej wzdłuż East River, gdzie powietrze przesączone było wymiotnie słodkawym smrodem z działającej nieopodal rafinerii cukru. Niedługo po przeprowadzce na szkarlatynę zmarł młodszy brat Fredericka.

Cook zaczął zarabiać na siebie w wieku dwunastu lat, mając się najrozmaitszych zajęć. Wszechstronnie rozwinięty chłopak o nosie, którego rozmiary już wtedy zwiastowały przyszłą wielkość, pracował ciężko w blasku magmatycznych płomieni w fabryce szkła i przemierzał ulice jako zapalacz latarni. Wraz z bratem Williamem prowadził później stoisko z owocami i warzywami na targowisku Fulton na Manhattanie. Mimo niehumanitarnych godzin pracy – od drugiej nad ranem do północy – Cook nie porzucił edukacji.

Frederick postanowił iść w ślady ojca, którego ledwie pamiętał, i wybrał szkołę medyczną, przy czym zupełnie nie zraził go fakt, że nie było go stać na czesne. Dzieciństwo spędzone na przedzieraniu się na bosaka przez las w towarzystwie równie dzikich kolegów z hrabstwa Sullivan zahartowało go i uświadomiło, jak niewiele trzeba do przeżycia, a dorastanie na Brooklynie nauczyło go, jak kombinować. Już jako młody chłopak przejawiał talent w rozwiązywaniu problemów i tworzeniu wynalazków; dwie cechy, z których będzie korzystał przez całe dorosłe życie. Za mikre oszczędności zakupił niewielką używaną prasę drukarską, na której drukował plakaty, ulotki, reklamy i pocztówki dla lokalnych sprzedawców. Kiedy jego interes rozkwitł, sprzedał go zaraz, by zdobyć fundusze na kolejny. Za zarobione pieniądze kupił prawa do rozwożenia mleka na obszarze, który od tego momentu obsługiwał do spółki z bratem. Firma The Cook Bros Milk & Cream Company dynamicznie się rozwijała, z czasem obejmując tereny sięgające aż do Rockaway Beach. Cook wykazywał się genialną pomysłowością, co pozwalało jego firmie wyprzedzać konkurencję; kiedy w marcu 1888 roku wielka burza śnieżna przykryła Wschodnie Wybrzeże ponad metrem śniegu, całkowicie paraliżując ruch uliczny

Nowego Jorku, Cook z bratem przymocowali płozy do łodzi i zaprzęgli do niej konia, dzięki czemu mogli dostarczać do odbiorców bardzo pożądany w mieście węgiel - i świetnie na tym zarabiać.

W 1887 roku Cook zapisał się do College'u dla Lekarzy i Chirurgów na Uniwersytecie Columbia. Kiedy Columbia przeniosła kampus na Manhattan, został studentem szkoły medycznej Uniwersytetu Nowojorskiego, mieszczącego się wówczas przy Dwudziestej Szóstej Ulicy. Krótsza droga na zajęcia oznaczała oszczędność czasu, co pozwalało mu w nocy rozwozić mleko na Brooklynie, a w dzień się uczyć. Sypiał przy tym bardzo niewiele.

Jakimś sposobem udało mu się znaleźć dość czasu, by rozwinąć znajomość z młodą stenografką Libby Forbes, którą spotkał na festynie wstrzemięźliwości w kościele metodystów w dzielnicy Williamsburg. Ślub odbył się wiosną 1889 roku, a jesienią Libby zaszła w ciążę. Cook miał przed oczyma jasno zaplanowaną przyszłość: za dziewięć miesięcy skończy studia i zostanie ojcem. Chciał sprzedać swój biznes mleczarski i otworzyć prywatny gabinet lekarski. Zwolniłoby gorączkowe tempo jego życia, a rodzina Cooków dałaby się ponieść codzienności tego, co wówczas jeszcze nie było nazywane stylem życia wyższej klasy średniej. Tak to sobie przynajmniej wyobrażał, bo jego dotychczasowe losy nie dawały podstaw do tego, by sądzić, że stateczność i rutyna kiedykolwiek dadzą mu szczęście. Los jednak nie pozwolił mu się o tym przekonać.

Jeszcze to wygodne, dostatnie życie nie znalazło się dobrze na wyciągnięcie ręki, a już zostało mu odebrane. Latem 1890 roku Libby urodziła dziewczynkę, lecz w wyniku komplikacji maleństwo zmarło kilka godzin po porodzie, a tydzień po córce na skutek zapalenia otrzewnej odeszła również Libby. Jedną z rzeczy, które Cook zdążył jej powiedzieć, była wiadomość, że zdał egzaminy.

Zrozpaczony Cook przeniósł się z pracą na drugą stronę rzeki i otworzył praktykę na Manhattanie. Już jako dwudziestopięcioletek



doświadczył żałoby i wyczerpującej pracy, czym można by obdzielić znacznie dłuższe życie, a jednak na jego chłopięcej twarzy próżno było szukać ich piętna. Zapuścił brodę, jak wielu mężczyzn na zakręcie życia i jednocześnie jak wielu młodych lekarzy chcących poważnego traktowania ze strony pacjentów. Mimo nadziei na znalezienie ukojenia w ciężkiej pracy – i mimo robiącego wrażenie zarostu – niewielu było gotowych mu zaufać.

Po raz pierwszy od ponad dziesięciu lat Cook nie miał co robić. Bezczyenne godziny spędzane w gabinecie jedynie wzmagają poczucie osamotnienia i niechęć do miejskiego życia. Chłopiec ze wsi – bo nigdy nie przestał nim być – nie polubił Nowego Jorku: „był brudny i mokry, kiedy padał śnieg, a latem duszny, gorący i śmierdzący” – zapisał w dzienniku – a od śmierci żony jeszcze trudniej było mu znieść to miasto. Do późna w nocy zaczytywał się w opowieściach o odległych zakątkach globu; miejscach daleko gorętszych i znacznie zimniejszych niż Nowy Jork. Wyjątkowo pociągały go relacje podróżników, takich jak Elisha Kent Kane, amerykański awanturnik i lekarz, który w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku przeżył dwie mordercze zimy na pokładzie statku uwięzionego w arktycznych lodach, czy Henry Morton Stanley, oszust pochodzenia walijsko-amerykańskiego, który w imieniu belgijskiego króla Leopolda II eksplorował większość Afryki Środkowej.

Wyprawy Stanleya i wiele słynnych ekspedycji polarnych opisywane były obszernie przez „New York Herald”, gazetę, którą Cook namiętnie się zaczytywał. Zaczęła kiełkować w nim chęć podróży w nieznane. „Mając dość czasu na myślenie i planowanie, zapragnąłem wyrwać się z tego miejsca i ruszyć w niezbadane rejony, by przecierać szlaki życia pełnego pożytecznych przygód” – zapisał.

Wczesną wiosną 1891 roku Cook trafił w „Heraldzie” na krótki artykuł napisany w Filadelfii, który nadał jego życiu kierunek – w stronę biegunów. Inżynier morski Robert E. Peary planował wyprawę za koło podbiegunowe, by odkryć północne granice Grenlandii, i szukał ochotników chcących wziąć w niej udział. Frederick wysłał zgłoszenie i już kilka dni później spotkał się w Filadelfii z organizatorem

ekspedycji. Cook przez całe życie nie podróżował daleko poza granice Nowego Jorku, a jego skromne lekarskie doświadczenie nie obejmowało też wielu sytuacji mających przełożenie na brutalne, niemal frontowe warunki wyprawy polarnej. Ale znał ludzi, wiedział, co chcą słyszeć, i jeśli sam czegoś bardzo pragnął, zazwyczaj znajdował sposób, by to osiągnąć. Peary wyczuł drżącą w nim pasję, jego hardość i odwagę. Kiedy więc Cook wracał na Brooklyn, miał już zapewnioną posadę chirurga w obsadzie wyprawy.

Zespół zgromadzony przez Peary'ego składał się z niego samego, Cooka, czterech marynarzy i żony kapitana. Josephine należała do grona bardzo nielicznych kobiet biorących udział we wczesnych wyprawach na tereny podbiegunowe. Z początkiem lipca na pokładzie Kite'a, barkentyny z silnikiem parowym, która najlepsze czasy miała już za sobą, dotarli do siedemdziesiątego szóstego stopnia szerokości geograficznej północnej, do Zatoki Melville'a w północno-zachodniej części Grenlandii. Cook przekonał się o bezwzględności natury Arktyki, jeszcze zanim miał szansę zejść ze statku: jedenastego lipca, kiedy Kite przeciskał się między krami gromadzącymi się wzdłuż wybrzeża, do uszu lekarza dobiegł przeraźliwy krzyk z okolic mostka. Okazało się, że kawał lodu zablokował ster statku i szarpnął nim tak silnie, że żelazny rumpel trafił kapitana w nogę i łamiąc kości, przycisnął go do pokładu. Cook nastawił złamania, po czym na oczekaniu skonstruował łupki i kule dla Peary'ego. Towarzysze z wyprawy we wspomnieniach wielokrotnie opisywali nieposkromioną wyobraźnię doktora i jego umiejętność nieszablonowego rozwiązywania problemów. „Doktor Cook” – pisał później młody norweski poszukiwacz przygód Eivind Astrup, jedyny obcokrajowiec pośród Amerykanów biorących udział w ekspedycji – „miał niesamowity talent tworzenia dobrych i przydatnych przedmiotów z niespodziewanych materiałów”.

Wyprawa postawiła obóz na szczycie skalistego wzniesienia nad Zatoką McCormicka. Przez sześć miesięcy, których potrzebowała noga Peary'ego na zrośnięcie się, Cook był odpowiedzialny za kontakty z Inuitami zamieszkującymi okoliczne tereny. Członkowie ekspedycji

nie tylko polegali na ich znajomości regionu, ale też mieli nadzieję na nawiązanie z nimi handlu wymiennego, dzięki któremu mogliby zdobyć świeże mięso, psy pociągowe, futra, buty i inne przydatne rzeczy. Doktor, choć nigdy nie przejawiał talentu do nauki obcych języków, lokalne narzecza szybko opanował w stopniu pozwalającym na porozumiewanie się, choć i tak musiał wspomagać się gestami i swoją naturalną charyzmą.

W trakcie wyprawy Cook był nie tylko lekarzem, ale także etnologiem. W ramach swoich zadań fotografował miejscowych, kobiety i mężczyzn, całkowicie nagich, i dokonywał pomiarów ich ciał. Ta uprzedmiotawiająca praktyka wówczas, w czasach rodzącej się dopiero antropologii, nie budziła kontrowersji. Jego ciekawość i empatia sięgały jednak znacznie głębiej.

Okoliczni Inuici zaczęli traktować Cooka jak kogoś w rodzaju angakoka czy szamana. „Od czasu do czasu” – wspominał później lekarz – „nadarzała się okazja, by przeprowadzić jakiś zabieg czy podać lekarstwo, co się Eskimosom bardzo podobało i przez co zaczęto przypisywać mi nadnaturalne moce”. Dzięki temu miejscowi pozwalali mu uczestniczyć w swoich rytuałach. Jadał z nimi mięso focze i z karibu, a potem słuchał historii, które opowiadali. Obserwował ich pogłębiające się przygnębienie w czasie wielomiesięcznej zimowej nocy i to, jak wraz z powrotem słońca odzyskują chęć do życia. Fascynowały go animistyczne wierzenia Inuitów, a przynajmniej to, co potrafił z nich zrozumieć: że w świetle drzemią boskie moce, ludzkie dusze zamieszkują ich cienie, a znikające okresowo słońce pociąga za sobą coś na kształt zaniknięcia ducha. Z czasem zaczął postrzegać te założenia jako coś więcej niż tylko lokalny folklor<sup>8</sup>.

Pewnej nocy w lutym 1892 roku Cook doświadczył sytuacji z rodzaju tych, które na zawsze zmieniają podejście człowieka do śmiertelności. Po wspinaczce na mocno wyniesiony płaskowyż, skąd Cook, Astrup i Peary (do tego momentu kości w jego nodze już się zrosły) mieli nadzieję powitać powracające po długiej nieobecności słońce, wzniesli oni prowizoryczne, koślawe igloo, by schronić się w nim przed

gwałtowną zamiecią śnieżną. Wśliznęli się do śpiworów ze skór reniferów i we względnej wygodzie zapadli w sen. Nad ranem brutalny wiatr porwał dach ich schronienia – płaski, sklecony jedynie z nart złożonych niczym belki stropowe, a nie w kształcie kopuły, na podobieństwo śnieżnych domów Inuitów – przez co cała trójka obudziła się zasypana grubą warstwą śniegu.

Cookowi i Peary'emu udało się uwolnić. Spanikowani zaczęli rozkopywać zaspę, która całkowicie przykryła Astrupa, starając się utrzymać drożny otwór, by miał czym oddychać. Pracowali najpierw rękoma, a potem znaleźli łopatę. Następnie, żeby ochronić się przed porywami huraganowego wiatru, trójka mężczyzn skryła się za ocalałą ścianą igloo. Kucali na mrozie, ubrani w samą bieliznę, bo buty i wierzchnie odzienie zaginęły pod ponad metrową warstwą śniegu. Jedyne, co im pozostało, to przeczekać burzę śnieżną bez żadnej ochrony poza przemoczonymi śpiworami. Chronili się przed wiatrem jeszcze przez pół dnia, w każdej minucie biczowani siekącym śniegiem, przed którym nie było już ucieczki.

Peary, Cook i Astrup trwali zawieszeni między snem a przytomnością, a śnieg stopniowo przeszedł w grad i zamarzający deszcz. Co pewien czas rozlegał się krzyk, kiedy Peary przypominał towarzyszom, by poruszali się i zmieniali pozycję, co miało uchronić ich przez zamarznięciem. Po jakimś czasie chmury się rozstały, na niebie zaświecił księżyc i przestał padać śnieg, jednak silny wiatr dalej smagał płaskowyz. Gwałtownie spadła temperatura, a Cook powoli tracił czucie w członkach. W końcu dostał dreszczy, których nie mógł opanować. Jego śpiwór pokrył lód. Lekarz nie mógł zmieniać pozycji, co potęgowało poczucie zimna. Peary wykopał wtedy w śniegu podłużny dół kształtem przypominający mogiłę, wturlał do niego Cooka, uprzednio wykuwszy go z lodowego więzienia, i położył się na wierzchu, by ochronić zmarzniętego towarzysza przed powiewami wiatru. Cook nie pamiętał, co czuł, leżąc sparaliżowany chłodem, pod Pearym; czy był zdjęty strachem, zubożniały czy może pozostawał w szoku. Trudno jednak wyobrazić sobie, by nie zastanawiał się, czy

jego pierwsza polarna przygoda nie okaże się zarazem ostatnią. Kiedy burza ucichła, a on odzyskał czucie w ramionach i nogach, uświadomił sobie, że przeszedł właśnie chrzest polarny. Doświadczenie to wywarło na nim ogromne wrażenie i uświadomiło niepohamowaną siłę lodu i śniegu, a także łatwość, z jaką na terenach podbiegunowych można pożegnać się z życiem.

Wyprawa Peary'ego była dla Cooka szkołą, dzięki której został podróżnikiem. Przetrwał morderczą arktyczną zimę. Od towarzyszy nauczył się wielu pożytecznych rzeczy, w tym jazdy na nartach, strzelania, wspinaczki po lodowych i śnieżnych urwiskach po wyłupanych siekierką stopniach. Prawdopodobnie jeszcze więcej cennej wiedzy dał mu czas, który spędził pośród Inuitów. To dzięki nim posiadał nie tylko wiele praktycznych umiejętności, od których w przyszłości nieraz miało zależeć jego życie – jak kierowanie psim zaprzęgiem, prawidłowe techniki budowy igloo czy wyprawiania skór – ale też ogromną pokorę wobec sił natury.

„W czasie naszej krótkiej znajomości z miejscową rdzenną ludnością nauczyliśmy się odrzucać cywilizowaną inteligencję, by zrobić miejsce dla użytecznej perspektywy dzikich mieszkańców tych terenów” – pisał Cook. – „Dla kogoś, kto ma przeżyć w Arktyce, im szybciej pozbędzie się swoich nawyków i zacznie naśladować miejscowych, tym lepiej”.

Przypisując Cookowi „niemalże całkowite uchronienie wyprawy przed jakimikolwiek chorobami”, Peary zaprosił go do uczestnictwa w swojej kolejnej ekspedycji, oferując nie tylko stanowisko lekarza, ale i swego zastępcy. Cook początkowo przyjął propozycję, lecz kiedy Peary odmówił mu zgody na zamieszczenie obserwacji i zdjęć Inuitów w prasie naukowej, tłumacząc to przyjętą konwencją, zgodnie z którą publikacja jakichkolwiek odkryć i materiałów zgromadzonych w czasie ekspedycji jest prerogatywą dowódcy, Cook zrezygnował z dalszej współpracy. Nie chciał pozostać w cieniu innego odkrywcy, więc ich drogi się rozeszły – jak na razie w pokojowej atmosferze.

Po powrocie do Brooklynu i otwarciu nowego gabinetu, Cook zorientował się, że pojawienie się jego nazwiska w prasie miało zbawienny wpływ na interesy. Jednak mimo kolejek pacjentów czekających na przyjęcie w nowej lokalizacji przy Rutledge Street, nie mógł przestać marzyć o odległych szerokościach geograficznych. Grenlandia go zmieniła. Tęsknił za arktycznym powietrzem i za bezkresnymi polami bieli, przy których największe miasto Stanów Zjednoczonych wydawało się maleńkie. Być może najbardziej uzależniająca była świadomość, że udało mu się oszukać śmierć. Nie miał wyboru: musiał wrócić tam, gdzie był lód.

Cook zaczął planować organizację własnej ekspedycji polarnej. Swoją uwagę skupił na wówczas jeszcze bardzo słabo zbadanej Antarktyce, po części dlatego, że chciał uniknąć konkurencji z Pearym w eksploracji Arktyki, a po części dzięki nieograniczonym możliwościom w badaniu południowych krańców Ziemi, które wcześniej skusiły Adriena de Gerlache'a.

Uważał, że zastosowanie inuickich sposobów przemieszczenia się i ubioru wydatnie zwiększy szanse jego wyprawy na powodzenie w Antarktyce. Jednak zanim obwieścił światu swoje plany, chciał wrócić na terytoria zamieszkałe przez Inuitów, by pozyskać psy zaprzęgowe i ubrania z futer, a także by dokończyć swoją pracę badawczą dotyczącą „arktycznych górali”, jak wielu nazywało tamtejsze rdzenne ludy. W tym celu, a także w ramach gromadzenia funduszy na własną wyprawę antarktyczną, Cook zorganizował wycieczkę na Grenlandię, w której odpłatny udział zaoferował kilku klientom. Większość kosztów została szczerze sfinansowana przez majątnego profesora z Yale, którego zafascynowany wyprawami na biegun syn usłyszał na uniwersytecie, jak Cook opowiada o swoich arktycznych przygodach, i sam zapragnął na własne oczy zobaczyć bezkresne północne pustkowia.

Latem 1893 roku Cook wynajął siedemdziesięcioosmiostopowy szkuner o nazwie Zeta i wziął swoich bogatych klientów na wyprawę na Labrador i zachodnią Grenlandię. Na Brooklyn wrócił z początkiem

października, przywożąc piętnaście grenlandzkich psów, kilka skrzyń futer i dwójkę inuickich nastolatków, Kahlahkatak i Mikoka, których nazywał Clarą i Williem. Piękną Kahlahkatak zobaczył w placówce handlowej w Rigolet na Labradorze, kiedy wykonywała powabny tradycyjny taniec, i momentalnie wyobraził sobie, jaką sensację by wywołała w Stanach Zjednoczonych. Lekarz przekonał ojca dziewczyny, by pozwolił mu zabrać ją i jej brata Mikoka do Nowego Jorku, i zobowiązał się, że następnego lata dostarczy tę dwójkę z powrotem. Oni mieli zyskać możliwość zobaczenia wielkiego miasta, a on mógłby pokazywać ich na wykładach i odczytach jako żywe eksponaty.

Inuickie dzieci zamieszkały w namiocie rozbitym w ogrodzie dawnego domu doktora Cooka przy Pięćdziesiątej Piątej Ulicy na Manhattanie, który obecnie zajmowała jego matka. Lekarz przyciągał prawdziwe tłumy, ilekroć przechadzał się przez miasto w towarzystwie dwójki Inuitów i sfory dyszących husky. Psy zgłosił na wystawę Klubu Kynologicznego Hrabstwa Westchester, gdzie zdobyły trzy nagrody. Jednak zwierzęta bardzo ciężko znosiły lato w mieście; mimo że Cook kazał je przystrzyc, kilka padło z przegrzania. Pozostałe wysłał więc do brata na farmę w hrabstwie Sullivan, gdzie, miał nadzieję, uda się je rozmnożyć. Willie i Clara również nie byli zachwyceni gorącym Nowym Jorkiem i oboje uważali lody za najgorsze paskudztwo. Zimą za to narzekali na chłód. Cook pomógł im zbudować igloo.

Licząc na to, że wykłady i odczyty pomogą zgromadzić pieniądze na projekt wyprawy antarktycznej, Cook zatrudnił ekstrawaganckiego promotora majora J.B. Ponda, który wcześniej organizował [tourné](#) dla Peary'ego, Stanleya, P.T. Barnuma, Marka Twaina i młodego Winstona Churchilla (ten ostatni miał zrezygnować z jego usług, nazywając Ponda „wulgarnym jankeskim impresariem”). Doktor Cook okazał się mieć naturalny talent do wystąpień publicznych i doskonale umiał wyczuć, co rozpali wyobraźnię tłumu.

„Doktor Cook miał żyłkę do skupiania na sobie uwagi publiczności” – wspominał później właściciel nowojorskiego centrum rozrywkowego, gdzie Cook przez cztery tygodnie wygłaszał swoje odczyty i gdzie,

mniej więcej w podobnym czasie, występował również Harry Houdini. Wzbogacona oprawą antropologicznego wykładu prezentacja arktycznej wyprawy Cooka - bywały dni, że występował z nią dziewięć razy - nie była otwarcie obliczona na wzbudzenie sensacji, lecz czerpała z wyzysku równie mocno jak pokazy Buffalo Billa, oparte na pokazywaniu rdzennych mieszkańców Ameryki, czy Barnuma, który pobierał pieniądze za popis kobiety z brodą. Lekarz wkładał futrzany strój polarny i opowiadał o przygodach w Arktyce, dowolnie upiększając swoje doświadczenia. W towarzystwie Kahlahkatak i Mikoka opisywał straszną, wielomiesięczną zimową noc oraz egzotyczne praktyki Inuitów z północnej Grenlandii (z którymi Kahlahkatak i Mikok nie mieli wiele wspólnego, jako że pochodzili ze stosunkowo bliższej zachodnim zwyczajom osady sporo poniżej koła podbiegunowego; ani Cook, ani Pond nie uważali jednak, by miało to jakieś znaczenie).

W drugiej zaś połowie prezentacji roztaczał przed słuchaczami wizję planowanej wyprawy antarktycznej. Ekspedycja, o której marzył, nie różniła się co do zasady od tej, którą planował de Gerlache, ale też Cook nie zamierzał z nią konkurować. W 1894 roku przesłał do Amerykańskiego Towarzystwa Geograficznego propozycję, w której napisał, że gdy Arktyka została już w dużej mierze odkryta i zbadana, „tereny wokół bieguna południowego wydają się zaniechane, jako że wciąż niewiele wiadomo o Antarktyce”. Podobnie jak belgijski oficer (o którym dopiero miał usłyszeć), Cook planował wyruszyć w podróż na pokładzie statku wielorybniczego napędzanego silnikiem parowym, „przygotowanego i wyposażonego specjalnie do działania na wodach skuwanych lodem”, i przez cały czas trwania ekspedycji dokonywać pomiarów i obserwacji naukowych.

Plany de Gerlache'a i Cooka różniły się tym szczegółem, że lekarz miał ambicję zostać pierwszym człowiekiem, który przezimuje na tym kontynencie, a następnego lata, dzięki psim zaprzęgom, posunie się tak daleko na południe, jak to tylko możliwe - być może nawet aż w okolice bieguna geograficznego. Zamiary de Gerlache'a i Cooka różniło



zasadniczo coś jeszcze: ponieważ Cook na własnej skórze doświadczył okrucieństwa polarnej zimy, rozumiał konieczność przygotowania swoich ludzi do pozerającego duszę i przeciągającego się w nieskończoność mroku. „Kiedy słońce niknie” – pisał w liście do towarzystwa – „wszelkie prace badawcze w terenie muszą ustać, a ich miejsce zajmą systematyczne ćwiczenia dla ciała i umysłu”.

Doktor Cook koszty ekspedycji oszacował na 50 000 dolarów, co w przeliczeniu dawało niewiele niższą kwotę niż budżet zaplanowany przez de Gerlache’a. „Pieniądze te planuję zgromadzić w ramach darowizn od osób prywatnych i towarzystw naukowych” – pisał. – „Większość kwoty mam już zabezpieczoną w promesach, a część zamierzam zebrać poprzez cykl wykładów”.

W rzeczywistości nie miał żadnych gwarancji od prywatnych darczyńców. Mimo to, przekonany o ostatecznym powodzeniu, doktor Cook zamówił papeterię oznaczoną: „Oficjalne Biuro Amerykańskiej Ekspedycji Antarktycznej, dr Frederick Cook, dowódca”. I choć wykłady nie przynosiły zysków, które pozwoliłyby zakupić statek, nie wspominając o zatrudnieniu i wyposażeniu załogi, wywoływały takie zainteresowanie i rozgłos, że lekarz postanowił przygotować kolejną wycieczkę na Grenlandię, która, w zamierzeniu, miała przynieść blisko 50 000 dolarów zysku, potrzebnych do realizacji antarktycznego planu.

Cook reklamował swoją wycieczkę obietnicą polowań na niedźwiedzie polarne, poznawania Inuitów i ich zwyczajów oraz gromadzenia wiedzy na temat historii Grenlandii. Kwota, jakiej oczekiwał za bilet, wynosiła pół tysiąca dolarów. Mimo to w dość krótkim czasie Cook sprzedał pięćdziesiąt dwa bilety, z czego większość studentom i wykładowcom elitarnych uniwersytetów. Wycieczka miała również umożliwić lekarzowi odwiedzenie Kahlakatak i Mikoka do domu, razem z kilkoma innymi Inuitami z Labradoru, którzy utknęli w Stanach Zjednoczonych po Wystawie Światowej w Chicago w 1893 roku, gdzie byli żywymi eksponatami.

Żeby zmieścić tak pokaźną grupę podróżników, Cook wynajął dwustudwudziestostopowy parowiec o stalowym kadłubie o nazwie

Miranda, lekceważąc pogłoski, jakoby statek ten był przeklęty, czego dowodem miały być częste zderzenia ze skałami i innymi jednostkami. Niestety, wyprawa Cooka potwierdziła jedynie złą reputację jednostki. Siedemnastego lipca 1894 roku, niedaleko wybrzeży Nowej Funlandii, pasażerowie usłyszeli głośny metaliczny hałas, który niektórzy wzięli za eksplozję, a zaraz potem rozległ się przeciągły zgrzyt trącego o coś metalu. Okazało się, że Miranda miała kolizję z potężną górą lodową. Uderzenie pozostawiło pokaźne wgniecenie w prawej burcie i zasypało pokład i mostek bryłami odłupanego lodu. Ledwie trzy tygodnie później, po przekroczeniu Morza Labradorskiego w kierunku Grenlandii, Miranda wpłynęła na rafę z takim impetem, że częściowo wynurzyła się z wody i niebezpiecznie przechyliła na bok. Na pokładzie wybuchła panika. „Zdaje się, że sprawdzaliśmy głębokość wody pod kilem” – poinformował Cooka jeden z marynarzy.

Uszkodzenia były znacznie gorsze niż po pierwszej kolizji: Miranda nabierała wody, a jej stan nie pozwalał kontynuować podróży z pasażerami na pokładzie. Z opanowaniem, które zaskarbiło mu zachwyty Peary'ego, Cook w towarzystwie niewielkiej grupki pasażerów i marynarzy wyruszył w otwartej łodzi wiosłowej wzdłuż smaganego wiatrami wybrzeża Grenlandii i pokonał sto mil, szukając jednostki, która mogłaby zaoferować rozbitkom z Mirandy transport do jakiegoś większego portu. W końcu jeden z inuickich przewodników Cooka dostrzegł szkuner rybacki Rigel, którego portem macierzystym był Gloucester w Massachusetts. Kapitan zgodził się skrócić połów, by pomóc swoim rodakom w potrzebie – w zamian za cztery tysiące dolarów i część z tego, co uda się uratować z rozbitej Mirandy. Cook nie miał wyboru i przystał na jego warunki. Coraz wyraźniej rozumiał, że wyprawa zamiast przynieść zysk, wygeneruje jedynie koszty i oddali realizację marzeń o biegunie południowym. Lekarz i jego klienci dotarli do Halifaksu, gdzie weszli na pokład Portii, która okazała się jednostką bliźniaczą Mirandy, równie pechową jak ona. Rankiem dziesiątego września, niedaleko Cuttyhunk Light w stanie Massachusetts, Portia uderzyła centralnie w burtę szkunera Dora M. French, rozpoławiając

go. Trzech marynarzy zaplątanych w liny nie zdążyło uwolnić się z wraku i razem z nim spoczęli na dnie.

Po powrocie z wyprawy, rozmawiając z dziennikarzami w ogrodzie swego domu na Brooklynie, Cook starał się bagatelizować jej niepowodzenie. Ba, próbował nawet przedstawiać ją w kategoriach sukcesu: „wspaniała wycieczka, pełna ciekawych przygód, czasem wręcz niebezpiecznych, a jednak żaden z członków załogi czy pasażerów nie zgłaszał zastrzeżeń”. Przy czym przynajmniej ostatnie słowa z jego opisu były wierutnym kłamstwem, bo od pierwszej kolizji z górą lodową Cook musiał mierzyć się z ustawicznie pojawiającymi się skargami. Niewielu wprowadzie o to, co się stało, obwiniało go osobiście, jednak katastrofa Mirandy ciągnęła się za nim jak nieprzyjemny zapach, psując mu reputację i utrudniając, jeśli w ogóle nie uniemożliwiając, gromadzenie funduszy na antarktyczną ekspedycję.

Cook zwiększył wysiłki, by rozreklamować swoje polarne plany, stosując propagandę sukcesu, by pokonać przeciwności losu. W desperackim ruchu okroił o połowę zakładany budżet wyprawy: od tej chwili szacował, że jej koszt nie powinien przekroczyć dwudziestu pięciu tysięcy dolarów, zamiast pięćdziesięciu tysięcy, o których mówił wcześniej. Pod wpływem swego impresaria, teatralnego w zachowaniu J.B. Ponda, Cook dramatycznie podniósł poprzeczkę obietnic, zbliżając się do poziomu Barnuma. Sugerował możliwość wybuchu nowej, polarnej gorączki złota, podobnej do kalifornijskiej bonanzы z końca lat czterdziestych dziewiętnastego wieku: „Nie możemy z całą pewnością powiedzieć, że Antarktyda nie skrywa złota i diamentów, jak Afryka” – tłumaczył doktor, jak donosił później dziennikarz „New York Timesa”. Cook wskazywał wręcz na możliwość odkrycia przez wyprawę zupełnie nowej, nieznaney wcześniej cywilizacji. Opierał się przy tym na tajemniczym wpisie w dzienniku norweskiego kapitana Carla Antona Larsena, który w czasie wyprawy wielorybniczej w pobliże Półwyspu Antarktycznego w 1893 roku mówił o odkryciu około pięćdziesięciu „kul zbudowanych z mieszaniny cementu i piasku, ustawionych na

kolumnach z tego samego materiału, wyglądających na dzieło ludzkich rąk”. Kule zabrane przez Larsena, jak sam przynajmniej twierdził, zostały zniszczone w pożarze, co dla sceptyków jawiło się aż zbyt wielkim zbiegiem okoliczności, jednak Cook wolał twierdzić, że bez dowodów nie można zarzucić Larsenowi kłamstwa.

„To pierwszy dowód na obecność człowieka na Antarktydzie” – wyjaśniał Cook dźwięcznym tenorem, podnosząc głos z końcem każdego zdania. „W moim odczuciu ludzkie osadnictwo na wybrzeżach Antarktydy nie jest niemożliwe, więc tym bardziej nie wykluczam natrafienia na odizolowane plemię, które żywność i odzienie pozyskuje z tamtejszej obfitości morza”.

I choć Cook nieodmiennie bawił i wzbudzał zainteresowanie publiczności, przedstawiciele finansjery nie chcieli sięgnąć do kieszeni – a przynajmniej nie chcieli tego robić pierwsi. Mijały miesiące, a jedyne oferty, jakie docierały do Cooka, pochodziły od szaleńców i marzycieli, takich jak brazylijski wynalazca, który twierdził, że skonstruował maszynę w kształcie ptaka, która mogła szybować nad lodem, rozpędzając się do prawie dwustu kilometrów na godzinę.

Im więcej mijało czasu, w którym Cook pozostawał bez poważnego inwestora, tym mniej wykonalne wydawały się plany młodego lekarza. Jego antarktyczne marzenie rozsypywało się powoli, kalecząc jego serce i duszę. Na początku 1897 roku Cook podjął ostatnią próbę zdobycia sponsora, który pokryłby wszystkie koszty ekspedycji. Podobnie jak wielokrotnie wcześniej Cook i tym razem postanowił myśleć nieszablonowo: uznał, że nie ma sensu poświęcać czasu na potencjalnych inwestorów posiadających jakieś pieniądze, skoro może udać się bezpośrednio do najmajętniejszego z nich. Właściwą osobą wydał mu się Andrew Carnegie, sześćdziesięcioletni magnat stalowy z Pittsburgha, który zdobył światowy rozgłos. I jakimś cudem Cookowi udało się umówić z nim na spotkanie.

Carnegie przyjął lekarza w Union League Club na Manhattanie, wspaniałym pałacu otoczonym kolumnadą, na narożniku Piątej Alei i Trzydziestej Dziewiątej Ulicy, będącym ucieleśnieniem ekscesów

pożłacanego wieku. Kiedy Carnegie usiadł wygodnie w fotelu i zaczął słuchać propozycji Cooka, na jego okoloną brodą twarz padało kolorowe światło sączące się przez kunsztowne witraże zaprojektowane przez Louisa C. Tiffany'ego, a jego początkowo oficjalny wyraz twarzy powoli złagodniał. Cook był zaskoczony, widząc szczery entuzjazm w oczach biznesmena, który słynął z bezwzględności w interesach i pogoni za zyskiem. Być może ten szkocki imigrant, sam niegdyś bez grosza przy duszy, dostrzegł, jak bardzo są z Cookiem podobni: dzieci Europy, które odkryły, że Ameryka niczym nie ogranicza ich ambicji. Uprzejma rozmowa o ekspedycji polarnej trwała nieco ponad godzinę, po czym Carnegie wstał, uściśnął dłoń lekarza i powiedział: „Doktorze, chciałbym zgłębić pańskie lodowe interesy. Jaki kolor może mi pan zaoferować z zamian za mój złoty? Do zobaczenia w poniedziałek, ewentualnie może pan do mnie napisać”.

Carnegie wzywał Cooka, by naświetlił mu, w jaki sposób ekspedycja na południowe krańce Ziemi mogłaby przełożyć się na zysk, co oznaczało, że nie przekonały go wzmianki młodego medyka na temat potencjalnej gorączki złota. W czasie kolejnego spotkania usiedli w narożniku pełnej przepychu sali klubu na Manhattanie, gdzie powietrze przesycone było dymem z drogich cygar. Cook wiedział, że to nie miejsce na grzeczności i że tym razem nie może polegać na swojej charyzmie i snutyach opowieściach, dlatego przygotował szczegółowe wyjaśnienie proponowanego programu naukowego wyprawy i wynikających z niego konkretnych zysków. Mówił „jasno i rzeczowo”, jak później zapisał we wspomnieniach ze spotkania. Jego prezentacja zdawała się trafiać do magnata stalowego, lecz akurat kiedy doktor Cook dotarł do najważniejszej części, do Carnegiego podszedł znajomy członek klubu i „niegrzecznie przerwał coś, co zmierzało w kierunku uściśnięcia sobie dłoni”. Zanim Cook odzyskał uwagę Carnegiego, moment minął i nie udało się odbudować atmosfery.

Potentat wstał i odprowadził Cooka do schodów.

- Tak wiele jest jeszcze do osiągnięcia w bliższym nam świecie - powiedział. - Ledwie trzy mile nad nami znajdziemy cały lód, jaki jest

nam potrzebny. Niech pan wymyśli sposób, jak go tu sprowadzić.

Cook był załamany. Dopiero teraz zrozumiał, że kiedy Carnegie mówił pod koniec pierwszego spotkania o „lodowych interesach”, zupełnie poważnie miał na myśli interes zrobiony na lodzie, a więc możliwość pozyskiwania lodu z lodowców Antarktydy w tak prozaicznym celu jak chłodzenie i przyrządzanie drinków!

Odmowa magnata przypieczętowała los Amerykańskiej Ekspedycji Antarktycznej. Cook w końcu uznał swoją porażkę i zniechęcony wrócił do szanowanego, choć znacznie mniej ekscytującego życia lekarza. Los, odbierając możliwość zobaczenia Antarktydy, dawał mu szansę, by kiedyś z radością wspominał polarne eskapady jako przygody młodości. Tymczasem wrócił do domu prowadzonego przez matkę zmarłej żony, która zamieszkała w nim z dwiema pozostałymi córkami, nauczycielkami z zawodu. Cook zaczął adorować młodszą z nich, Annę Forbes, i dość szybko doszło do zaręczyn.

Mimo prowadzenia praktyki lekarskiej nadal czytał każdą dostępną książkę i każdy pojawiający się artykuł na temat Antarktydy. Jego fascynacja tym skutym lodem kontynentem ponownie rosła od chwili, kiedy Międzynarodowy Kongres Geograficzny w 1895 roku wezwał do niezwłocznej eksploracji tych terenów. Bolało go, kiedy dowiadywał się o kolejnych pretendencjach do czegoś, co w głębi duszy cały czas uważał za trofeum, które należało się właśnie jemu. W głębi duszy cieszył się też ich porażkami.

Okazało się jednak, że nie wszyscy odpadli z tego wyścigu: przeglądając „New York Sun” z szóstego sierpnia 1897 roku, zatrzymał wzrok na notce traktującej o zbliżającym się początku wyprawy antarktycznej z – że też akurat stamtąd! – Belgii.

Wiadomość wypełniła lekarza obezwładniającą mieszaniną zazdrości i ekscytacji. Kapitan Adrien de Gerlache, kimkolwiek był, dokonał tego, na czym Cook poległ. A jednak sam fakt, że z jednego z portów miała wyruszyć w kierunku Antarktydy duża i poważna wyprawa naukowa, wzbudziła w młodym medyku nieoczekiwaną radość.

Autor notki nie wspominał o trudnościach, jakie de Gerlache napotkał, poszukując lekarza pokładowego i innych członków załogi. W głowie Cooka – zawsze otwartej i podświadomie szukającej nowych możliwości – informacja ta i tak jawiła się jako zaproszenie. Wcześniej sam miał poprowadzić taką wyprawę, a nie jedynie w niej uczestniczyć, tym bardziej pod dowództwem jakiegoś nieznanego kapitana, a już w ogóle nie w przedsięwzięciu, które miałyby przynieść zaszczyty i sławę jakiegokolwiek innemu narodowi niż Amerykanom. A jednak szansa na wzięcie udziału w takich ekspedycjach jako odkrywca pojawiała się zbyt rzadko, by mógł ją przepuścić – a poświęcając się rodzinnemu życiu, przestałby ją pewnie brać na poważnie.

I tak szóstego sierpnia Cook wysłał telegram do de Gerlache’a, informując o chęci uczestnictwa w jego wyprawie. Zobowiązał się przy tym do pokrycia kosztów swojego udziału i przywiezienia psów pociągowych z Grenlandii, które nadal posiadał

Kilka dni później nadeszła odpowiedź od kapitana: z wielkim żalem musiał odrzucić jego hojną propozycję, jako że wszystkie prycze na Belgice były już zajęte.

Dziewiętnastego sierpnia Cook wciąż jeszcze odczuwał piekący policzek, jakim była dla niego odmowa de Gerlache’a, lecz tego dnia wieczorem rozległo się pukanie do drzwi, a w progu stanął zdyszany goniec Western Union z zaadresowanym do doktora telegramem nadanym w Ostendzie.

POUVEZ REJOINDRE MONTEVIDEO, MAIS N’HIVERNEREZ  
PAS – CDT DE GERLACHE

Przecucie podpowiadało Cookowi, że to dobra wiadomość – bo z jakiego innego powodu de Gerlache miałby do niego ponownie pisać? – jednak nie znając francuskiego, tym bardziej w formie skrótowej, stosowanej przy nadawaniu telegramów, nie mógł mieć pewności, czy dobrze odgadł treść informacji. Około północy, z otrzymaną właśnie

karteczką w dłoni, wszedł do elektrycznego tramwaju i udał się przez most Brookliński na Manhattan, do biur zajmowanych przez „New York Sun”, by skorzystać z pomocy przyjaciela, Cyrusa Adamsa, redaktora ds. geograficznych. Cook pokazał mu telegram i wysłuchał, jak wąsaty mężczyzna tłumaczy wiadomość: „Można dołączyć w Montevideo, ale nie zimujemy”.

Rozradowany Cook już o drugiej nad ranem wysłał odpowiedź: TAK JESTEM GOTÓW DOWODZIĆ<sup>9</sup>.

Tuż przed ostatecznym wyruszeniem Belgiki w drogę, Cook otrzymał najświeższe instrukcje, zgodnie z którymi miał wejść na pokład w Rio de Janeiro.

Przygotowując się do wyprawy, Cook znalazł czas na rozmowę z dziennikarzem „New York World”, by opowiedzieć mu, czego się spodziewa. „Od lat już” - tłumaczył lekarz - „pozostawałem w korespondencyjnym kontakcie z kapitanem de Gerlache’em”. Co oczywiście było kłamstwem, bo kontakt po raz pierwszy nawiązali ledwie miesiąc wcześniej. Cookowi zależało na przedstawieniu swego uczestnictwa w ekspedycji jako w większym stopniu świadomą decyzję niż akt desperacji, jakim w rzeczywistości ono było - dla niego i dla de Gerlache’a. Po latach dostosowywania się do oczekiwań słuchaczy naginanie prawdy weszło Cookowi w krew.

Młody lekarz ogłosił, że do Rio de Janeiro uda się na pokładzie parowca Hevelius wyruszającego z portu w sobotę, czwartego września. Już o ósmej rano przy molo na Fulton Street zebrał się pokaźny tłum, by pożegnać podróżnika. Znalazły się w nim jego matka i siostra, i spora liczba ciekawskich nowojorczyków, chcących zobaczyć człowieka, który jako pierwszy Amerykanin miał przekroczyć oba koła podbiegunowe. Kobiety i mężczyźni wyciągali szyje i rozglądali się w poszukiwaniu śmiałka, jednak do chwili, gdy statek miał odbijać, Cook się nie pojawił. Dziennikarze poprosili kapitana parowca, by poczekał trochę, a że podróżnik miał być najznamienitszym gościem na pokładzie, oficer zgodził się zostać przy nabrzeżu. Po kilku minutach nie chciał już dłużej zwlekać i Hevelius wyszedł w morze.



Kiedy parowiec był jeszcze w zasięgu wzroku, przesuając się niedaleko Statuy Wolności, do zebranych dotarła wiadomość, jakoby Cook sprawdził rozkład rejsów i uznał, że może wypłynąć później, jeszcze w tym miesiącu, i wciąż zdąży przesiąść się na Belgicę. W rzeczywistości jednak na decyzji lekarza zaważył strach – lecz nie o siebie. Jego narzeczona Anna podupadła na zdrowiu i choć żaden z nowojorskich lekarzy nie potrafił wskazać, co jej dolega, Cook podejrzewał gruźlicę. Jako wdowiec nie mógł przemóc się, by zostawić Annę samą, więc czuwał u jej boku, aż po kilku tygodniach jej stan zaczął się poprawiać. Tymczasem Anna, widząc, jak przygnębiająco na jej narzeczonego działa myśl, że Belgica mogłaby ruszyć na podbój Antarktydy bez niego, zapewniała, że czuje się lepiej, i zachęcała, by dłużej nie zwlekał.

I tak w deszczowe i chłodne popołudnie dwudziestego września Cook wszedł na trap i zniknął na pokładzie parowca Coleridge, a za nim na statek ruszyła z pozoru niekończąca się procesja bagaży, w skład których wchodziły dwie pary sań, narty, skrzynia z lekarstwami, deski orzesznika z hrabstwa Sullivan i przeszło piętnaście skrzyń ze śniegowcami, książkami, futrami przywiezionymi z Grenlandii, materiałami do wznoszenia namiotów, wyposażeniem sprawdzonym w Arktyce i amerykańską flagą o wymiarach dziesięć na piętnaście stóp. Zabrakło jednak psów.

Coleridge odbił od nabrzeża i powoli opuścił nowojorski port. W miarę jak Manhattan malał w oddali, Cook czuł, że jego głowę opuszczają również miejskie zmartwienia. Początek wyprawy na lodowy kontynent nie wyglądał tak, jak sobie wymarzył, ale mimo szczątkowej wiedzy na temat de Gerlache'a, jego ludzi czy zamiarów, ani przez chwilę nie żałował podjętej decyzji.

„Antarktyda zawsze była moim największym marzeniem” – zapisał w pamiętniku. – „A początek drogi na nią był wówczas moim wyobrażeniem o szczęściu”.

## Rozdział 3

### **UKŁONY DLA NEPTUNA**

BELGICA WYSZŁA Z PORTU W OSTENDZIE dwudziestego trzeciego sierpnia 1897 roku po zachodzie słońca. „Tym razem jesteśmy w drodze” – pisał komendant do Léonie Osterrieth. – „Wolałem odbić od brzegu bez akompaniamentu orkiestry i wiwatów”. W końcu rozpoczął podróż, z trzynastoma Belgami na pokładzie, dziesięcioma obcokrajowcami i dwoma kotami o imionach Nansen i Sverdrup.

Na długo zanim Belgica miała zmierzyć się z nieznanymi niebezpieczeństwami czyhającymi w Antarktyce, musiała pokonać potężne sztormy, z których słynęła Zatoka Biskajska u wybrzeży Francji. Silne wiatry popychały ją na południe. W miarę jak statek kołysał się poruszany szalejącymi falami, komendant przez okno swojej kajuty widział raz burzowe chmury, raz kotłującą się wodę. By uspokoić rozszalałą kipiela, de Gerlache rozkazał wyrzucić za burtę worki z olejem i przeciągnąć wzdłuż statku, co pod koniec dziewiętnastego wieku było jeszcze zwyczajną praktyką. Już kilkanaście litrów wystarczyło, by ciecz rozlała się cienką warstwą po znacznej powierzchni. Plama powłoki olejowej o grubości ledwie jednej cząsteczki pozwoliła częściowo osłabić wpływ podmuchów wiatru, zmniejszając ich tarcie względem powierzchni wody. Zamiast porywać korony fal i wzburzać je, wichura, przynajmniej w teorii, ślizgała się po nich. Lecz o ile olej mógł uspokoić morze wokół statku, nie był w stanie powstrzymać potężnych fal nadchodzących z daleka.

Choroba morska nie oszczędziła prawie nikogo. Jeden z młodych norweskich marynarzy, Carl August Wiencke, opisał w swoim pamiętniku drastyczną scenę: „Kapitan (Lecointe) stoi na mostku, dzierży ster i wymiotuje. Naukowcy leżą przy włazach i wymiotują.

Mechanicy siedzą w maszynowni i wymiotują. A majtkowie stoją przy relingach i wymiotują z górnego pokładu”.

Wiencke należał do nielicznego grona tych, których kołysanie pokładu nie przyprawiało o mdłości, i gdy jego towarzysze wisieli przewieszeni przez nadburcia, on bez chwili zwłoki wykonywał każde polecenie, biegając po niestabilnym pokładzie i wspinając się po takielunku, jakby nie przejmował się swoim bezpieczeństwem. Z okrągłymi policzkami i bez brody wyglądał jak dziecko, szczególnie kiedy miał na sobie ubranie w marynarskie paski i czapkę z wyszytą nazwą Belgica. Do zgłoszenia się na wyprawę skłoniło go pragnienie przeżycia przygody życia, a dzień przed ostatecznym opuszczeniem portu Wiencke skończył dwadzieścia lat. Był bystrym, ciekawym świata człowiekiem, sumiennym marynarzem i powszechnie lubianym towarzyszem. I choć zawsze okazywał pełne oddanie i poświęcenie ekspedycji, wpisy w jego dzienniku ujawniają głęboką nieufność wobec dowódców.

„Kapitan Lecoint [sic] zaprezentował się dziś z wyjątkowo złej strony” – zapisał pod datą trzydziestego pierwszego sierpnia, kiedy fale w Zatoce Biskajskiej miały Belgicą, jakby była niewielką łupiną.

Sverdrup załatwił się na pokładzie. Kapitan cierpiał na chorobę morską, przez co nie mógł iść prosto i stąpnął prosto w to, co ten kot zostawił. Zdenerwował się ponad miarę, tak że złapał Sverdrupa za kark i cisnął nim za burtę. Przerażone zwierzę płynęło i piszczało wniebogłosy, tak długo, jak go widzieliśmy. Takie zachowania nie służą budowaniu pozycji i sympatii wśród załogi.

Wiencke równie bez ogródek zapisywał swoje obserwacje i przemyślenia dotyczące de Gerlache’a. Zniecierpliwieniem kwitował uparcie powtarzane przez komendanta pomysły, jakoby wszyscy na pokładzie Belgiki byli równi, a oficerowie i naukowcy nie mogli liczyć na specjalne traktowanie.

„Wywody Gerlache’a o równości są po prostu śmieszne” – zapisał. – „Do oficera nie wolno odezwać się nieproszonym, a marynarzy i przełożonych dzieli ogromny dystans”.

Połączenie braku doświadczenia i nieposłuszeństwa wśród części członków załogi od samego początku wyprawy wywoływało problemy, a w pierwszych dniach września niemal doprowadziło do tragedii. Walcząc z wiatrami południowo-zachodnimi, Belgica mogła poruszać się jedynie dzięki silnikowi parowemu. Pod pokładem zawsze panowała – delikatnie mówiąc – duchota, lecz na samym początku podróży, z ładownią wypełnioną po brzegi węglem, którego spalanie powodowało wydzielanie gazów, zbiornikami pełnymi wody i przy wściekłym ryku nienasyconego pieca, atmosfera zrobiła się nie do wytrzymania. Para wodna ulatniała się na wszystkich łączeniach i zaworach, a potem skraplała się na ścianach i suficie. Woda kapała z niskich belek, a pot, ściekając, zostawiał meandrujące ślady na czarnych od sadzy policzkach mechaników. Po dwóch godzinach przerzucania węgla Jan Van Mirlo upuścił szufłę, osunął się na kolana i zaczął łkać.

Koledzy z wachty pomogli mu wstać i wyprowadzili go na pokład, żeby zaczerpnął świeżego powietrza. W zamieszaniu nikt nie zauważył, że wziął ze sobą rewolwer, który wisiał na ścianie. Ledwie mężczyzna znalazł się na dworze, doskoczył do relingu i zaczął wymachiwać bronią.

Amundsen nie wiedział, czy Van Mirlo zamierza użyć rewolweru przeciwko sobie, towarzyszom, czy może zaraz wyskoczy za burtę, lecz nie zamierzał czekać, żeby się o tym przekonać: rzucił się na krzyżącego Belga, cisnął nim o deski i wyrwał mu broń z rąk. Dwójka marynarzy potoczyła się po pokładzie; Amundsen był najwyższym i najsilniejszym mężczyzną na Belgice, lecz Van Mirlo wpadł w szal, przez co trzeba było jeszcze pięciu osób, żeby go obezwładnić.

Kiedy Van Mirlo się uspokoił, zbadał go rumuński zoolog Emile Racovitza, który do pojawienia się Cooka dysponował wiedzą najbliższą

medycznej. Rumun uznał, że nagły obłęd, który ogarnął marynarza, został wywołany nadmiernym wysiłkiem i stresem z przepracowania.

Co najdziwniejsze, Van Mirlo, jakby nic się nie stało, już kilka dni później wrócił do służby. Groźny epizod pogłębił jednak dręczące de Gerlache'a obawy, gdyż komendant nie wiedział, czy i na ile może polegać na swoich ludziach. Spiesząc się, by wypłynąć zgodnie z planem, został zmuszony do kompromisów i zatrudnienia ludzi bez doświadczenia lub właściwego przygotowania morskiego. Miał nadzieję, że długa podróż na południe wystarczy, by przygotować całą załogę na niebezpieczeństwa i trudy pobytu w Antarktyce, jednak problemy zaczęły się nawarstwiać, jeszcze zanim na dobre wyruszyli w drogę.

I choć de Gerlache martwił się stabilnością emocjonalną i wytrzymałością swoich ludzi, niewiele mógł w tej kwestii uczynić. Chłodny, wycofany i wrażliwy, z inklinacją do intelektualizowania, nie należał do wybitnych liderów, którzy inspirowaliby członków załogi i skłaniali ich do ponoszenia poświęceń w imię powodzenia misji. Nie był również z natury surowym służbistą czy cholerykiem jak Lecointe – nikt nie potrafiłby wyobrazić go sobie w roli osoby, która wyrzuca kota za burtę, karząc go w ten sposób za zanieczyszczenie pokładu. Na dodatek de Gerlache, nawet gdyby miał inny charakter, nie dysponował zbyt wieloma środkami dyscyplinowania załogi. Ponieważ Belgica nie była okrętem wojskowym – z formalnego punktu widzenia płynęła jako jednostka Antwerpskiego Klubu Jachtowego – za niesubordynację nie mógł nikogo postawić przed sądem wojskowym ani zakuć w kajdany. W przeciwieństwie do oficerów większość członków załogi nie podpisała nawet prostego kontraktu przed wejściem na pokład. Jediną karą, po jaką mógł sięgnąć komendant, było wyrzucenie nieposłusznych marynarzy na ląd, przy czym zaplanowanych postojów w drodze do Antarktyki było bardzo niewiele. Lecz nawet tej opcji de Gerlache nie zamierzał użyć, przestraszony myślą, jak zareaguje prasa, kiedy dowie się po jego powrocie, że wyrzucił jednego z belgijskich marynarzy.

W ten sposób problemy jedynie się nasilały. Niełatwo było zapanować nad wielojęzyczną i wielokulturową zbieraniną osób. Napięcia na tle narodowościowym nie słabły i wciąż pojawiały się coraz to nowe linie podziału, antagonizując załogę i oficerów, Norwegów i Belgów, Belgów z Flandrii, posługujących się niderlandzkim, i Belgów z Walonii, mówiących po francusku. Lecz niezależnie od tego, jak w innych kwestiach byłaby podzielona załoga, jedna sprawa jednoczyła wszystkich: nikt nie mógł znieść francuskojęzycznego kucharza Lemonniera. Przywracanie porządku regularnie spadało na barki Lecointe'a i Amundsena, którzy, choć młodszy od de Gerlache'a, lepiej radzili sobie z dyscyplinowaniem podwładnych. Przy czym styl dowodzenia obu oficerów różnił się równie wyraźnie, jak różniła ich postura. Lecointe był niski, zadziorny i wybuchowy; Amundsen raczej lakoniczny, za to wysoki i barczysty. Uzupełniali się jednak bardzo skutecznie w ten sposób, że Lecointe pilnował agresywną klikę: Warzée - Dom - Van Damme, a Amundsen działał jako pośrednik w kontaktach z bardziej skorymi do współpracy Norwegami.

Trzynastego września, po trzech dniach postoju na portugalskiej Maderze, Belgica podniosła kotwicę i korzystając z pasatów, ruszyła w dalszą drogę. By oszczędzać węgiel, całkowicie wygaszono palenisko i rozwinięto wszystkie żagle. W miarę jak statek zbliżał się do strefy tropików, temperatura była coraz trudniejsza do zniesienia. By chronić się przed poparzeniami, wszystkie elementy z brązu na mostku owinięto płótnem żaglowym. Dodatkowa warstwa izolacji, której celem była ochrona przed antarktycznym zimnem, bardzo utrudniała wymianę powietrza pod pokładem, co szybko doprowadziło do tego, że temperatury osiągały tam 55 stopni Celsjusza. W kajutach nie dało się spać, więc marynarze przenieśli się z hamakami na pokład śródokręcia.

Rejs przez tropiki na samych żaglach był błogim doświadczeniem.

„Wieje przyjemny, delikatny wiatr i słysząc muzykę fal rozbijających się o burty” – zapisał pewnej nocy Wiencke w swoim pamiętniku, prawdopodobnie kołysząc się w hamaku. – „Od czasu do czasu rozlega się łopot żagli, na co unosimy wzrok i w świetle księżyca widzimy białe

plótno wypełnione wiatrem, i chyba nie ma w świecie piękniejszego widoku niż ten”.

W szranki ze spektaklem księżycowej poświaty i poruszonymi pasatem żaglami na tle nocnego nieba stawał sam ocean, rozświetlony bioluminescencją tętniącego w nim życia i znaczący ślad za Belgicą i prowadzącymi ją delfinami, mieniący się błękitem i zielenią. W miejscach, w których te morskie ssaki zderzały się ze świecącymi meduzami, pojawiały się rozbłyski białego światła, a co jakiś czas na pokładzie lądowały latające ryby, z czego bardzo cieszył się Nansen, jedyny pozostały przy życiu kot.

Pewnego wieczoru po kolacji załoga zebrała się na pokładzie dziobowym, by się zabawić. Johan Koren, młody norweski żeglarz i utalentowany rysownik, uwiecznił tę scenę w swoim pamiętniku: wykorzystując pokrywę luku ładowni w charakterze parkietu, dwóch marynarzy ruszyło w tany w rytm muzyki z niewielkiej katarynki, akordeonu i trąbki. Reszta załogi zebrała się dookoła i paląc fajki, śpiewała na przemian sprośne belgijskie szanty i melancholijne norweskie ballady.

Wesołe i tęskne dźwięki docierały na mostek, gdzie zebrali się oficerowie i naukowcy, i sprawiły, że Amundsen zaczął wspominać swój dom. Można wyobrazić go sobie, jak stoi oparty o reling i słuchając muzyki, wpatruje się w horyzont, a wiatr porusza jego rzadkim, ale niesamowicie szerokim wąsem w kształcie skrzydeł lecącej mewy. Potężny Norweg od tak dawna marzył o polarnych ekspedycjach, że wyprawę tę traktował jako swoje przeznaczenie.

Roald Amundsen, podobnie jak Cook, zdecydował się pójść w ślady ojca, którego prawie nie znał. Jens Amundsen, właściciel statku i kapitan, który zarabiał na toczących się wojnach, większość czasu spędzał z dala od domu, by w końcu zginąć na morzu, kiedy syn miał czternaście lat. Młody Amundsen znał go właściwie jedynie z opowieści, z których tylko część była przesadzona, a część z całą

pewnością prawdziwa. Zgodnie z jedną z nich kapitan Jens przeżył brutalny atak siekierą, zdusił bunt i odzyskał władzę nad statkiem, a wszystko to w czasie transportu trzystu chińskich pracowników do Hawany. Bezwzględny i surowy, zmusił chińskich buntowników, by sami powiesili swojego przywódcę. W umyśle Roalda mężczyznę otaczała niemal magiczna aura i chłopak robił wszystko, by mu dorównać. Czas miał pokazać, że przez całe życie będzie ścigać się z jego legendą.

Podobnie jak de Gerlache, Amundsen dorastał, niemal nałogowo pochłaniając polarne opowieści. Rok po śmierci ojca Roald trafił na kolejnego idola, brytyjskiego odkrywcę z początku dziewiętnastego wieku sir Johna Franklina. Łysy, tęgi oficer marynarki, którego wyprawy w kanadyjskie rejony arktyczne znaczyły tragedie i błędne decyzje, nie wydawał się oczywistym wyborem jako wzór dla młodego marynarza. W latach 1819–1822 Brytyjczyk prowadził pieszą ekspedycję wzdłuż rzeki Coppermine, tracąc podczas niej większość ludzi, którzy stali się ofiarami mordów, zmarli z głodu lub wyczerpania, a on sam zyskał miano „człowieka, który zjadł swoje buty”. W połowie lat czterdziestych dziewiętnastego wieku Franklin dowodził statkami HMS Terror i HMS Erebus w czasie próby pokonania Przejścia Północno-Zachodniego, lecz obie jednostki zostały zmiażdżone przez lód, co kosztowało życie ponad 130 osób. W przypadku obu wypraw dowodzonych przez Franklina pojawiały się pogłoski o kanibalizmie, do którego mieli się posunąć członkowie załóg, lecz to właśnie trudności i nieludzkie warunki zawładnęły wyobraźnią Amundsena. „Najdziwniejsze w tym wszystkim, że najbardziej przemawiały do mnie cierpienie i trudy, których doświadczył sir Franklin i jego ludzie” – pisał Amundsen. – „Do tego stopnia, że w mojej głowie pojawiło się osobliwe pragnienie, by przeżyć równie nieludzkie próby”.

Jednak największy wpływ na życie i wybory Roalda Amundsena miał norweski naukowiec i odkrywca Fridtjof Nansen. Starszy od Amundsena o jedenaście lat podróżnik zdobył światową sławę w 1888 roku, pokonując na nartach lądolód grenlandzki. Wysoki blondyn o krzaczastych brwiach i świdrującym spojrzeniu błękitnych oczu



wyglądał jak żywcem przeniesiony z norweskich podań. Został obwołany bohaterem narodowym jeszcze zanim Norwegia, która od czasów Napoleona znajdowała się pod panowaniem szwedzkim, oficjalnie odzyskała niepodległość. Siedemnastoletni Amundsen znajdował się pośród tysięcy gapiów, którzy trzydziestego maja 1889 roku zebrali się wzdłuż wybrzeża zatoki Kristianiafjorden<sup>10</sup>, by powitać powracającego Nansena: „pamiętny dzień w życiu wielu młodych Norwegów” – wspominał później Amundsen. – „Z pewnością taki był dla mnie”.

Nansen podniósł poprzeczkę cztery lata później, gdy w czasie dowodzonej przez niego wyprawy statek Fram został uwięziony przez lód i unieruchomiony przez trzy lata dryfował niesiony prądami morskimi, by dotrzeć bliżej bieguna północnego niż ktokolwiek wcześniej. Razem z jednym z towarzyszy ruszyli na nartach i z psim zaprzęgiem na północ, osiągając rekordowe 86°13'6" szerokości geograficznej północnej, co oznacza odległość około 365 kilometrów od bieguna. Po wyczerpującej podróży z powrotem na południe Nansen z towarzyszem nie mogli znaleźć statku, czego zresztą się spodziewali, gdyż Fram odpłynął, dryfując z lodowym pakiem, w którym był uwięziony. Zbudowali więc kamienną chatkę, w której spędzili zimę, żywiąc się mięsem upolowanych niedźwiedzi i morsów, po czym wraz z nadejściem wiosny ruszyli w dalszą drogę na południe. Cudownym zrządzeniem losu uratowała ich, przepływająca w pobliżu brytyjska wyprawa polarna.

Zainspirowany dokonaniem Franklina i Nansena, Amundsen bardzo wcześnie postanowił zostać badaczem terenów polarnych, a jego pragnienie z czasem przerodziło się w ambicję graniczącą z obsesją. W mniejszym stopniu niż de Gerlache'a i Cooka interesował go naukowy aspekt wypraw badawczych – a znacznie bardziej łaknął chwały, jaka mogła przypaść mu w udziale. Amundsen poddał się wyczerpującemu treningowi fizycznemu i psychicznemu, poświęcając mu wszystkie inne aspekty życia, włącznie z edukacją i życiem uczuciowym. Przez całą zimę sypiał przy otwartym oknie, by

przyzwyczać ciało do chłodu, i regularnie wyprawiał się w góry otaczające Kristianiafjorden.

Chcąc podnieść umiejętności w biegach narciarskich i sprawdzić granice swoich możliwości, Amundsen ze swoim bratem Leonem wyruszyli w styczniu 1896 roku na wyprawę przez budzący strach Hardangervidda, ciągnący się przez ponad sto pięćdziesiąt kilometrów płaskowyż na zachód od Kristianiafjorden. W mrocznych zimowych miesiącach potężny, surowy i pokryty śniegiem obszar Hardangervidda bardzo przypominał bezkresne polarne pustkowia, które Amundsen pragnął przemierzać. Po kilku dniach podróży nadeszła burza śnieżna i bracia zgubili drogę. Temperatura spadła poniżej -10 stopni Celsjusza, więc zatrzymali się, by przeczekać noc, chroniąc się w zagłębieniu. Ponieważ zakładali, że o tej porze roku znajdą przed wieczorem pustą chatę pasterską, nie mieli ze sobą namiotu. Amundsen musiał improwizować. Wykopał w śniegu podłużną, wąską jamę, wsunął się w nią głową naprzód i podciągnął śpiwór pod samą brodę.

Kiedy spał, śnieg nie przestawał padać, aż w końcu nazbierało się go tyle, że zablokował wejście do wydrążonej jaskini. Temperatura dalej spadała, zmieniając w lód śnieg nadtopiony ciepłotą ciała i oddechem Roalda. Jego schronienie stało się grobowcem. „Obudziłem się w środku nocy” - wspominał później. - „Byłem ścierpnięty, więc odruchowo chciałem się poruszyć i zmienić pozycję. Ale nie mogłem. Nie byłem w stanie przesunąć się nawet o cal. Znalazłem się w środku twardego jak skała bloku lodu! Szarpałem się rozpaczliwie, próbując się uwolnić, ale nic to nie dawało. Krzyczałem i wzywałem pomocy, lecz brat nie mógł mnie oczywiście usłyszeć”.

Paniczne wołania Amundsena skutecznie tłumił śnieg. W wydrążonej jamie zaczynało brakować powietrza, więc mężczyzna zamilkł, by oszczędzać resztkę tlenu. Przez ponad godzinę dyszał coraz ciężiej w swojej lodowej pułapce, bez efektu starając się drapać palcami śliskie, twarde ściany, aż z ratunkiem pospieszył mu Leon - który mimo nocy i zamieci zachował dość zdrowego rozsądku, by przebudzać się co pewien czas i strząsać z siebie śnieg. Kiedy dostrzegł wystającą z lodu

końcówkę reniferowego śpiwora brata, rzucił się, by go odkopać. Amundsen był - dosłownie - o włos od śmierci. Doświadczenie z płaskowyżu Hardangervidda nauczyło go pokory i uświadomiło wagę właściwego przygotowania. Był to także pierwszy przypadek, kiedy wspomniano o nim lokalne gazety.

Kolejnym krokiem Amundsena na wyznaczonej przez siebie drodze było zdobycie doświadczenia na morzu, by pewnego dnia móc samemu poprowadzić wyprawę polarną. W tym celu dołączył do załogi statków Magdalena i Jason w czasie letniej wyprawy poławiaczy fok w Arktyce. To właśnie po powrocie z tego rejsu do norweskiego portu Sandefjord w lipcu 1896 roku młody mężczyzna po raz pierwszy zobaczył Belgicę, która w tym samym miejscu wciąż poddawana była przeróbkom przygotowującym ją do antarktycznej misji. Kiedy Amundsen usłyszał, że de Gerlache poszukuje śmiałków do załogi, natychmiast zgłosił swoją kandydaturę, widząc w belgijskiej wyprawie szansę na zdobycie polarnego doświadczenia.

Ponieważ nigdy wcześniej nie dowodził ludźmi, decyzja komendanta de Gerlache'a, by obsadzić go w roli pierwszego oficera, była bez wątpienia ryzykowna. Lecz dla Amundsena rola ta wydawała się naturalnym etapem w jego niepowstrzymanym marszu po polarną sławę i chwałę. Metodyczny i skupiony na celu, Roald zaciągnął się jeszcze na kolejny statek, tym razem handlowy, by rok dzielący go od wyprawy poświęcić między innymi na szlifowanie umiejętności nawigowania. By móc kierować wielonarodową załogą Belgiki, kilka miesięcy spędził też w Antwerpii, gdzie uczył się flamandzkiego, i w Cognac, gdzie szlifował francuski.

Osiemnastego czerwca 1897 roku był już z powrotem w Sandefjord, akurat na czas, by uczestniczyć w spotkaniu z Fridtjofem Nansenem, który odwiedził Belgicę przed jej wypłynięciem do Antwerpii. Na statku zapanowała ekscytacja, kiedy na trapie pojawił się słynny podróżnik w charakterystycznie przekrzywionej białej marynarskiej czapce. Przy dwóch metrach wzrostu wyglądał jak półbóg, przewyższając Amundsena i znacznie górując nad pozostałą częścią załogi. Po

wykonaniu wspólnych zdjęć Nansen podarował de Gerlache'owi swoją fotografię z odręczną dedykacją: „Dla Adriena de Gerlache'a z życzeniami powodzenia, Fridtjof Nansen”.

Dla Amundsena błogosławieństwo Nansena było niczym przyjęcie do ekskluzywnego klubu badaczy polarnych. Przy czym już wtedy wyobrażał sobie siebie w roli jego sukcesora. Niemal na pewno to Amundsen miał udział w nazwaniu kota pokładowego imieniem swego bohatera, mimo tego, że zwierzę było kotką.

Droga Amundsena do podboju Antarktyki była wyznaczona dużo wcześniej, metodycznie opracowywana i zaplanowana w najdrobniejszych szczegółach. Jednej rzeczy tylko nie przewidział, bo nie przygotował się na upały panujące w tropikach, które stały się nie do wytrzymania, kiedy Belgica wpłynęła w równikowy pas ciszy. Amundsen był jedną z trzynastu osób, które nigdy wcześniej nie przekroczyły równika. Szóstego października, zgodnie z morskim zwyczajem, miała się odbyć uroczystość inicjacji dla wszystkich, którzy pierwszy raz znaleźli się po drugiej stronie najdłuższego równoleżnika.

Uroczystość przekroczenia równika to tradycja, której korzenie sięgają dawnych czasów, praktykowana na całym świecie, zarówno w marynarce wojennej, jak i na statkach handlowych. I choć różni się oczywiście szczegółami, główne punkty ceremonii pozostają niezmiennie i obejmują przesłuchanie przez Neptuna, boga mórz, i jakąś formę rytualnego poniżenia. To, że Amundsen stał w hierarchii wyżej niż marynarze organizujący uroczystość, nie wyłączało go z obowiązku wzięcia w niej udziału. Tradycja to tradycja. De Gerlache, który kilka lat wcześniej przeszedł podobny chrzest na amerykańskim statku zmierzającym do San Francisco, z zadowoleniem przyglądał się przygotowaniom.

Amundsen był pierwszy w kolejce. O dziesiątej rano dwóch pomocników Neptuna zaprowadziło odzianego w łachmany pierwszego oficera na śródkręcie. Roald patrzył, jak zbierają się jego dręczyciele. W dzienniku tego samego wieczoru następująco opisał procesję: „Neptun” – w tej roli wystąpił wybitnie krnąbrny belgijski marynarz

Maurice Warzée - „przybył z całym dworem: żoną, duchownym, fryzjerem i przedstawicielami różnych narodów”.

Kostium boga mórz składał się z długiej brody, spiczastego kapelusza z szerokim rondem i trójzębu, zrobionego z dużego widelca do porcjowania, przywiązanego do jakiegoś trzonka. Otaczała go zgraja marynarzy przebrana w najbardziej rasowo stereotypowy sposób: jeden z mężczyzn miał twarz przemalowaną na czarno i turban na głowie, inny namalował sobie na twarzy wąsy jak chiński żeglarz i przymocował na plecach kawał grubej liny w charakterze warkocza, a za pasem nosił dwa wielkie pistolety, jakby wpisując się w wyobrażenia na temat wyglądu książkowych piratów.

Odpychający francuski kucharz Lemonnier grał golibrodę, odziany w swój biały kucharski uniform. Wczuwając się w rolę, ponurym wzrokiem mierzył Amundsena, wymachując czymś, co miało zapewne przypominać potężną brzytwę, choć zrobioną z drewna. Obok stał Neptun i w dłoni dzierżył pędzel do golenia unurzany w obrzydliwej, czarnej mazi zrobionej z mąki, wody, łożu i sadzy.

- Jak ci na imię?! - zawołał Neptun, wymachując przed twarzą pierwszego oficera pędzlem do golenia.

Amundsen, nie znając przebiegu ceremonii, nie wiedział, że lepiej trzymać buzię na kłódkę, i spróbował odpowiedzieć. Ledwie otworzył usta, bóg mórz wepchnął mu między zęby brudny pędzel. Zakneblowany w ten sposób Roald nie mógł protestować, kiedy Neptun zaczął niedbale mydlić mu twarz.

„Jeśli masz pecha i nosisz brodę” - pisał tego dnia Amundsen w dzienniku, acz nie bez rozbawienia! - „z pewnością przynajmniej tydzień zajmie ci oczyszczenie jej z tego wszystkiego”.

Kiedy jego sumiaste wąsy pokryła cuchnąca maź, pierwszy oficer bez protestu oddał się w ręce Lemonniera trzymające drewnianą brzytwę, a na koniec doczekał się świętego namaszczenia w postaci trzech wiader słonej morskiej wody, chluśniętej prosto w twarz. Po zakończeniu ceremonii Amundsen umył się, zapalił cygaro i zajął

miejsce, „by nacieszyć oczy torturami pozostałych”. Świeżo ochrzczeni ludzie morza otrzymali prześmiewcze dyplomy, na których znajdowały się ich karykatury. Amundsen cenił swój certyfikat na równi ze wszystkimi oficjalnymi dyplomami, które otrzymywał w różnych momentach życia.

Sama ceremonia chrztu i trwająca później zabawa spełniły cel, w jakim podobne rytuały zostały wymyślone: zbliżały ludzi do siebie i tworzyły między nimi więzi. Zanikały różnice rang i pochodzenia. Belgica stała się rodziną – przynajmniej tamtego dnia, a muzyka i tańce trwały do późnej nocy.

„O dziesiątej wieczorem” – zapisał Amundsen – „przy akompaniamencie strzelających korków szampana przekroczyliśmy równik”.

Dwudziestego drugiego października lało jak z cebra, kiedy za prawą burtą Belgiki przesunęła się góra zwana Głową Cukru. Rzęsisty deszcz zakrywał przed wzrokiem marynarzy większość zatoki Guanabara i rozległe miasto Rio de Janeiro, niwecząc również uroczysty efekt, na jaki liczył de Gerlache. Wiedział bowiem, że są pierwszym belgijskim statkiem od lat, który zawija do tego portu. Mimo wszystko zostali dostrzeżeni: w ich stronę ruszyła niewielka jednostka parowa. Załoga obstawiała, że na jej pokładzie znajduje się zapewne amerykański medyk, z którym komendant de Gerlache umówił się na spotkanie właśnie w Rio de Janeiro – człowiek, którego żaden z marynarzy i oficerów nigdy nie widział, ale każdy o nim słyszał.

Wszyscy z Belgiki ruszyli do relingów, by przywitać sławnego doktora Cooka, i spośród obsady parowego statku wybierali osobę, która – ich zadaniem – najbardziej wyglądała na amerykańskiego lekarza.

- To ten niski grubasek, ten, co jest taki ruchliwy!
- Absolutnie nie, to ten wysoki chudzielec!
- A może ten z brodą?

Żaden z nich nie był Cookiem. Jednostka, która ruszyła im na spotkanie, wiozła belgijską delegację i worek listów z domów, lecz nie było na niej lekarza z Ameryki. Jak się mieli zaraz dowiedzieć, doktor przybył do Rio dwa tygodnie wcześniej i zamieszkał w luksusach, czterdzieści mil za miastem w małym, górskim miasteczku Petrópolis, jako gość belgijskiego ministra, hrabiego van den Steena de Jehay.

Dopiero następnego ranka, kiedy słońce jasnym blaskiem zalało zatokę, a ich oczom ukazała się cudownie biała, piaszczysta plaża i soczyście zielone góry w oddali, członkowie załogi zrozumieli, dlaczego Rio de Janeiro uchodzi za jeden z najpiękniejszych portów na Ziemi. Spokój i harmonia bijące z rozciągającej się przed nimi panoramy ustąpiły przed chaosem, kiedy tylko oficerowie zeszli na ląd i zanurzyli się w gąszczu zatłoczonych ulic, uliczek i chodników Rio. W mieście panowały zamęt i galimatias; członkowie bogatej elity portugalskiego pochodzenia mieszały się w tłumie z biednymi rdzennymi mieszkańcami Amazonii i potomkami afrykańskich niewolników. Czasy też były niespokojne, pełne powstań i zamachów. Skorumpowana policja nie była w stanie zapanować nad falą przestępczości – jeden z marynarzy Belgiki, przechadzając się nocą nabrzeżem, został zatrzymany przez policjanta, ogłuszony płazem szabli i okradziony ze wszystkiego, co dało się zabrać.

Jedną z przyczyn, dla których doktor Cook zdecydował się zamieszkać w podmiejskiej posiadłości van den Steena, była szalejąca w mieście epidemia żółtej febry. Pewnego poranka, niedługo po zawinięciu Belgiki do portu, Cook i hrabia van den Steen wsiedli w Petrópolis do pociągu kolei zębatej, który krętymi i miejscami bardzo stromymi torami ruszył powoli przez góry i doliny, aż dotarli do zatoki Guanabara. Następnie przepakowano cały przywieziony bagaż lekarza na pokład parowego holownika, którym mieli dostać się na Belgicę. Zbliżając się do jednostki, która na jakiś czas miała stać się jego domem, lekarz poczuł lekki zawód na widok niepozorności Belgiki na tle eleganckich szkunerów, zwinnych jachtów czy majestatycznych fregat stojących akurat w zatoce. W myślach porównał ją nawet do

„małego buldoga zagubionego w sforze chartów - niskiego, pokracznego i przyciężkiego”.

Kiedy tego gorącego poranka Cook wspinał się drabinką linową na Belgicę, widział, jak w upale parują nasączone deszczem deski pokładu. Na samym czele kolejki, która zebrała się, by zobaczyć nowego członka załogi, stał wiewiórkowaty kapitan Georges Lecoince, który wymamrotał kilka słów powitania. Jako że mężczyzna wypowiedział je po francusku, Cook nie zrozumiał nic a nic z wygłoszonej formułki, bo choć słynął z niepohamowanej ciekawości na różnych polach, posługiwał się jedynie angielskim, łamanym grenlandzkim z grupy języków inuickich i resztkami niemieckiego, który zapamiętał z dzieciństwa. Zaraz po Lecoince do lekarza podszedł komendant de Gerlache i uścisnął mu dłoń. Czas, który spędził, służąc na amerykańskich jednostkach, sprawił, że był jedną z dwóch osób na Belgice, która jako tako mówiła po angielsku. Obok niego czekali Danco i Amundsen. Komitet powitalny zamykali naukowcy z Europy Wschodniej, Racovitza i Arctowski, z którym Cook szybko znalazł wspólny język, prowadząc rozmowę w czymś, co przypominało niemiecki.

Nowy towarzysz podróży wydawał się marynarzom z Belgiki bardziej postacią z operetki niż wykształconym lekarzem. Pierwsze, co rzucało się w oczy, to jego ogromny nos. Eleganckie i drogie ubrania, stanowczo zbyt grube na panujące warunki, w połączeniu z gęstą brodą i złotym zębem, który prezentował, co chwilę uśmiechając się szeroko, jak na Amerykanina przystało, upodabniały go raczej do alaskańskiego poszukiwacza złota, któremu się poszczęściło. „Cook wygląda jak typowy jankes” - zapisał Wiencke w pamiętniku. - „Na spotkanie przybył w grubym futrze”.

Bariera językowa nie zwiastowała niczego dobrego, biorąc pod uwagę fakt, że lada dzień zdrowie i życie wszystkich miały znaleźć się w rękach lekarza z Ameryki. Cook miał jednak w sobie coś magnetycznego, coś, co - przynajmniej w głowach jego nowych towarzyszy - jawiło się jako typowo amerykańskie: blask optymizmu,



który emanował z każdego jego słowa. Rola, jaką odegrał w wyprawie Roberta Peary'ego na Grenlandię w latach 1891-1892, rozślawiła go wśród entuzjastów polarnych odkryć na całym świecie. Norwegowie – a Amundsen w szczególności – czytali o nim w popularnych w kraju wspomnieniach z tamtej ekspedycji, spisanych przez ich rodaka Eivinda Astrupa. Amundsen podziwiał Astrupa, więc siłą rzeczy musiał również podziwiać Cooka i wyczekiwał spotkania z Amerykaninem od chwili, kiedy Belgica odbiła od nabrzeża w Antwerpii. Jako pilny i głodny polarnej wiedzy uczeń Amundsen chciał się jak najwięcej od niego nauczyć.

Mimo burzliwych czasów w brazylijskiej polityce przełomu wieków obecność Belgiki w zatoce Guanabara stała się wydarzeniem narodowym. Hucznie witani na każdym kroku, w stałej obstawie dziennikarzy śledzących ich wszystkie ruchy, członkowie wyprawy wieczory spędzali na hulankach, a poranki na leczeniu kaca (Cook wyjątkowo długo nie wstawał z łóżka – od czasów prawie pozbawionej snu młodości w Nowym Jorku, gdzie za dnia studiował, a w nocy zarabiał, nigdy nie przepuszczał okazji, żeby odespać tamte czasy). Wieczorki zapoznawcze za każdym razem zmieniały się w bachanalia, w czasie których w licznych językach wznoszono toast za toastem za powodzenie antarktycznej wyprawy.

Najbardziej poruszający hołd, którego echo miało wprawiać w drżenie serca polarników, kiedy Belgica zmierzała w stronę antarktycznych lodów, miał miejsce w czasie przyjęcia w Brazylijskim Instytucie Historyczno-Geograficznym. Jego rzecznik, doktor Alfredo Nascimento, wygłosił długi, pełen erudycji i elokwencji toast, w którym wychwalał odwagę śmiałków. W najważniejszej części przemowy nie zawahał się użyć literackiego języka, by opisać to, na co się porywają:

O, wędrowcy! W swojej śmiałej wizji człowiek o niezwykłej wyobraźni, Juliusz Verne, umieścił słynnego kapitana Hatterasa na biegunie północnym; a pisząc o przygodach podwodnego statku Nautilus, wysłał kapitana Nemo aż do dziewięćdziesiątego stopnia

szerokości południowej, by pozwolić mu zatknąć czarno-złotą flagę na antarktycznym biegunie! Tak! Panowie! Postęp nauki pozwolił zrealizować śmiałą wizję, jaką był Nautilus, dzięki czemu dziś łodzie podwodne nie są już jedynie tworem wyobraźni. Dokończcie więc wypełnienie proroctwa: urzeczywistnijcie wizję, wyrывая z bieguna tamtą czarną flagę narodu, który nie istniał, a w jej miejsce zatknijcie wasz znak! Wymażcie z map nazwisko kapitana Nemo – bo oznacza ono dosłownie „nikogo” – a w jego miejsce wykaligrafujcie: Adrien de Gerlache!

Belgijska Ekspedycja Antarktyczna ubrana została w szaty misji naukowej, lecz w gruncie rzeczy była romantyczną przygodą. De Gerlache zorganizował ją, bo puste miejsce na dole mapy przyciągało go niczym magnes. Pustka, której wypełnienie faktami i danymi obiecywali sobie naukowcy na pokładzie Belgiki, na potrzeby chwili zapełniana była fantazją i fikcją. Ludzkie pojmowanie nieznanego i niezbadanego Antarktydy z braku innych opcji uformowane zostało przez literaturę – jak na przykład inspirowana nauką fikcja stworzona przez Juliusza Verne’a.

Przez cały dziewiętnasty wiek niezbadane pustkowia biegunów stanowiły inspirację dla płodnych umysłów popularnych pisarzy, w tym między innymi dla Verne’a właśnie. Jako chłopcy de Gerlache i podlegli mu oficerowie zaczytywali się w jego książkach. W 1870 roku opublikowano powieść 20 000 mil podmorskiej żeglugi, w której Juliusz Verne biegun południowy opisał jako skałę wystającą z bezkresnego morza lodu, pod którym Nautilus mógł przemieszczać się bez przeszkód. Do 1897 roku, kiedy Belgica wypłynęła z portu, wiedza na temat Antarktydy pozostała w zasadzie na tym samym poziomie! Nikt nie mógł jednoznacznie i kategorycznie zaprzeczyć rozbudowanej i pełnej starannych opisów wizji Verne’a. Najbardziej wysunięty na południe kontynent – pod warunkiem, że rzeczywiście był kontynentem, a nie lodową wyspą na oceanie – pozostawał równie tajemniczy, jak

inne miejsca, które Verne chętnie przedstawiał: wnętrze Ziemi, głębie oceanu czy powierzchnia Księżyca.

Podobnie jak de Gerlache – a możliwe, że częściowo i przez de Gerlache’a – Verne wyczuwał zbiorowe zainteresowanie Antarktydą: począwszy od stycznia tego roku, starzejący się francuski autor powrócił na biegun południowy w *Sfinksie lodowym*, publikowanym w odcinkach, dwa razy w miesiącu. Powieść, pod oryginalnym tytułem *Le sphinx des glaces*, opisywała biegun południowy jako lodową górę w kształcie uskrzydłonego sfinksa, o tak silnym polu magnetycznym, że porywała statki z zawrotną prędkością pędzące w stronę jej zboczy, o które roztrzaskiwały się na drobne kawałki. De Gerlache, który bardzo sobie cenił tę książkę, wnętrze Antarktydy określał czasem słowem „sfinks”.

Verne napisał *Sfinksa lodowego* jako kontynuację i jednocześnie hołd oddany jedynej powieści Edgara Allana Poego, *Przygody Artura Gordona Pyma*, która ukazała się w 1838 roku. Pośród najbardziej makabrycznych dzieł w kanonie morskich opowieści ta wybijała się nawet na tle standardów Poego, głównie przez mistyczne zakończenie. Po przebyciu serii niebezpiecznych przygód na wodach południowej półkuli główny bohater wraz z towarzyszem dryfują w niewielkiej łodzi przez niezbadane akweny, a nad ich głowami krążą albatrosy. W miarę zbliżania się do bieguna południowego woda przybiera mleczną barwę, a z nieba sypie się podobny do białego popiołu pył. Ich łupina, przyciągana jakąś nieznaną siłą, przyspiesza do nieprawdopodobnej prędkości. Rozstępująca się mgła ukazuje ich oczom zapierającą dech w piersiach wysoką ścianę wody: „Porównać ją można tylko z olbrzymią, bezmierną kaskadą toczącą się bez szmeru z jakiegoś ogromnego, gubiącego się w niebiosach wału” – relacjonuje Pym. – „Gigantyczna zasłona zakrywała cały horyzont południowy. Panowała nieprzerwana cisza”<sup>11</sup>.

W ostatnim akapicie powieści Pym podpływa do podstawy tego pionowego oceanu – do końca Ziemi: „W tej chwili pędziliśmy z niesamowitą szybkością do krawędzi kaskady, a bezdenna czeluść

otwarła się, aby nas wciągnąć. Lecz oto nagle wynurzyła się przed nami osłonięta całunem postać ludzka, nieskończenie większa i potężniejsza od któregośkolwiek z mieszkańców ziemi. A barwa skóry tej postaci lśniła oślepiającą białością śniegu”.

W tym miejscu książka się kończy, prawdopodobnie śmiercią narratora.

Luksusowo oprawione wydanie zebranych opowiadań Poe'go, przetłumaczonych przez znanego francuskiego poety Charles'a Baudelaire'a, spoczywało opakowane i ukryte w ładowni Belgiki, czekając, aż zostanie otwarte. Siostra de Gerlache'a, Louise, wybrała bowiem i zgromadziła dla brata książki, które miał podarować z okazji świąt Bożego Narodzenia wszystkim naukowcom i oficerom na pokładzie. Opowiadania Poe'go przeznaczyła dla lekarza z Ameryki, doktora Cooka, co podkreślały jego inicjały wyhaftowane na ręcznie stworzonej oprawie<sup>12</sup>. Wśród dzieł zebranych w tym tomie znalazło się opowiadanie *Rękopis znaleziony w butli*, w którym, podobnie jak w powieści o Pymie, pojawia się łódź dryfująca na południe, w stronę Antarktydy, tyle że w tym przypadku świat nie kończy się bezgranicznie wysokim wodospadem, a bezdennym wirami.

Pomysł, by bieguny północny i południowy były źródłem niepokonanej, złowrogiej siły przyciągającej podróżników i odbierającej im rozum, przewijał się przez całą dziewiętnastowieczną literaturę, poczynając od *Rymów o sędziwym marynarzu* Samuela Taylora Coleridge'a z 1798 roku, poematu mówiącego o statku, na który klątwę ściera marynarz, strzelając do albatrosa, przez co jednostka utyka w antarktycznym lodzie. Kiedy Belgica ruszała w drogę, związek między polarną obsesją i szaleństwem był w literaturze czymś oczywistym. Budzące grozę i niezbadane bieguny stanowiły idealną kanwę dla tego, co wymyka się ludzkiemu pojmowaniu.

Wymyślone i metaforyczne, opowieści tego typu znajdowały podatny grunt, trafiając do głów załogi Belgiki. Ich własne dzienniki i wspomnienia z ekspedycji, włącznie z tymi, które spisali naukowcy, przeplatane są literacką kwiecistością, którą przypisać można

inspiracjom - a czasem i bezpośrednim nawiązaniom - dziełami Poego i Verne'a. W miarę jak przedstawiane wydarzenia coraz wierniej wpisywały się w archetyp polarnej grozy, język dzienników stawał się bardziej ponury i pozbawiony nadziei.

## Rozdział 4

### **DECYDUJĄCE CHWILE**

WCZESNYM POPOŁUDNIEM NA POKŁADZIE BELGIKI kręcili się członkowie delegacji brazylijskich oficjeli. Uprzejmie ściskali wszystkim dłonie, oglądali statek, opierali się o nadburcia i szarpali liny, aż do chwili, kiedy Duvivier przerwał sielankę i zrobił scenę. Choć woda w zatoce była zupełnie spokojna, belgijski mechanik zataczał się, jakby jednostką rzucał potężny sztorm. Roztaczając wokół siebie smród alkoholu, obraził brazylijskiego wiceadmirała, niweczając dobre wrażenie, jakie Belgica robiła od początku postoju w porcie.

Amundsen zgłosił zajście Lecointe'owi, który wezwał Duviviera do swojej kabiny. Krnąbrny mechanik bezczelnie odpyskował kapitanowi, wybiegł na zewnątrz, minął członków brazylijskiej delegacji i rzucił się w stronę pokładu dziobowego. Nie przestawał przy tym krzyczeć; obrzucił Amundsena niekończącą się litanią obscenicznych obelg, w tym nazywając go „pierdolonym Norwegiem”. W pijackim szale Duvivier sięgnął po dwa rewolwery ze stojaka na broń (które z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu nie zostały schowane pod kluczem po wcześniejszym epizodzie z Van Mirlo). Załoga walczyła z mechanikiem, usiłując unieruchomić go na deskach pokładu, a członkowie brazylijskiej delegacji przyglądali się temu zmieszani i zapewne zastanawiali się intensywnie, w jaki sposób ta zgraja niesubordynowanych szaleńców miałyby przetrwać srogie warunki Antarktyki, skoro będzie można mówić o cudzie, jeśli przeżyją pobyt w Rio. Jednak gdy de Gerlache, który w tym czasie przebywał z wizytą w Petrópolis, usłyszał o incydencie, uznał, że należy o nim zapomnieć.

Kwestia braku dyscypliny na pokładzie już niedługo miała okazać się o wiele poważniejszym problemem, niż de Gerlache był gotów

przypuszczać. Tydzień zgrabnego radzenia sobie z cieszącym się złą sławą pampero – chłodnym południowo-zachodnim wiatrem przynoszącymi zimne powietrze znad pampasów Ameryki Południowej – i to, co wydarzyło się zaraz potem, już po rzuceniu kotwicy w Montevideo, dobitnie pokazało, że komendant de Gerlache posiadał znacznie większe umiejętności panowania nad statkiem, nawet w skrajnie trudnych warunkach, niż panowania nad załogą i utrzymywania spokoju wśród swoich ludzi. Bliskość lądu równała się bliskości alkoholu, którego działanie potęgowało niesubordynację marynarzy. Alkohol podsycił też tłące się od dawna zatargi wśród załogi. Zarzewiem pożaru okazał się artykuł prasowy o ekspedycji, w którym dziennikarz uznał, że Norwegowie, przyzwyczajeni do chłodu i zrównoważeni, lepiej nadają się do wyprawy na Antarktydę niż gorąco krwiści i porywczy Belgowie. Nerwowa reakcja tych drugich stanowiła świetny dowód na zasadność postawionych tez. „Wściekał ruchliwych, popędliwych Belgów względny spokój i obojętność synów północy” – bezstronnie notował w dzienniku Dobrowolski. – „Zaś po tym artykule szykowało się silne zaostrenie stosunków narodowościowych na okręcie”<sup>13</sup>.

Belgijski prowodyr, Frans Dom, gotował się do awantury. „Ci obcokrajowcy, *God verrrdamelt*<sup>14</sup>, oni chcą być lepsi od nas, Belgów! Chcą być lepsi od Belgów!” – warczał marynarz rodem z Flandrii, waląc się pięścią w pierś, by podkreślić oburzenie. A ponieważ Belgów i Norwegów było mniej więcej po równo, Dom skierował swoją mocno podlaną alkoholem złość na francuskiego kucharza Lemonniera, który spał, albo przynajmniej udawał, że śpi, na jednej z piętrowych prycz w zwężającym się ku dziobowi forkasztelu. Miesiące bezustannego i nieuzasadnionego wyżywiania się na towarzyszach sprawiły, że Lemonnier nie mógł liczyć na niczyje wstawiennictwo, mimo że tamtej akurat nocy jego jedynym przewinieniem było podanie niesmacznej kolacji w postaci grochu na wodzie. Nadszedł jednak czas odpłaty, na którą długo i sumiennie pracował.

Dom doskoczył do łóżka Francuza i zaczął wymachiwać pięściami.

- Wynocha stąd, *God verrrdamelt!* - wrzeszczał na kucharza.

Lemonnier wstał z łóżka i wyprostował się, przy czym nienaturalnie wielką głową niemal dotykał belek niskiego sufitu.

Wyteżając wszystkie siły, Dom uniósł prawie stulitrowy kocioł z wodą dla załogi i wylał jego zawartość na Lemonniera, podtapiając cały kubryk. Kiedy minął pierwszy szok, mężczyźni rzucili się na siebie, złapali się za gardła i padli na podłogę, rozbryzgując rozlaną wodę. Inny z Belgów, Jan Van Damme, dołączył do kotłowaniny. „Van Damme, również pijany, mając jeszcze dawniejszą do kucharza urazę, trzasnął go potężną pięścią w gębę, tak że aż zranił...”<sup>15</sup> - wspominał Dobrowolski. Polski naukowiec próbował przerwać bójkę, ale został odepchnięty, a dwójka innych marynarzy, którzy początkowo chcieli odciągnąć od siebie walczących, ostatecznie szybko odstąpiła od pierwotnych zamiarów, pospołu okładając Lemonniera pięściami.

Zakrwawiony kucharz wypadł chwiejnym krokiem na śródokręcie i zataczając się, ruszył w stronę kajut oficerów. Na podtopionym przednim pokładzie królował znacznie lepszy nastrój, wynikający z pozbycia się wspólnego wroga. Belgowie, uświadomiwszy sobie, że rankiem przyjdzie im ponieść konsekwencje zakończonej właśnie bijatyki, uradzili, by postawić de Gerlache'owi ultimatum: albo odejdzie francuski kucharz, albo oni. Norwegowie, z którymi Lemonnier również miał na pieńku, a którzy dodatkowo nie chcieli zaognić stosunków z agresywną kliką Warzée - Dom - Van Damme, zgodzili się poprzeć ich żądanie.

„Woda szybko została wytarta z podłogi, przewracane stoły postawione na nogi i przy powszechnej aprobacie otworzono butelki, które na wszelki wypadek zgromadzono w forpiku” - notował Wiencke. Świętowanie trwało do trzeciej nad ranem, a Belgowie, ramię w ramię z Norwegami i polskim naukowcem, śpiewali na zmianę narodowe hymny swych krajów.

Następnego ranka, widząc zmaltretowaną twarz Lemonniera i słysząc odgłosy hałaśliwej zabawy dobiegające z forkasztelu, Lecointe rozpoczął postępowanie dyscyplinarne. Zaraz po wschodzie słońca



wszedł do kwater marynarzy, by przekonać się, że panuje tam idealny porządek, a członkowie załogi stoją w szeregu i mają na sobie przepisowe, czyste mundury. Lecointe nakazał im stawić się po kolei w swojej kajucie, by w trakcie dochodzenia ustalić przebieg nocnego zamieszania. Marynarze zmówili się wcześniej, by pogrążyć Lemonniera, i zgodnie z ustaleniami wszyscy przedstawili tę samą historię złożoną z półprawd i jawnych kłamstw, z których wynikało jednoznacznie, że bójkę rozpoczął kucharz. I jakby tego było mało, miał przy tym wulgarnie obrażać de Gerlache'a i pozostałych oficerów. Załoga zarzekała się również, że Lemonnier planował sabotaż całej ekspedycji, gdyż żywił osobistą urazę do komendanta, który jakoby miał uniemożliwić mu zostanie osobistym kucharzem króla Leopolda II.

Skonfrontowany z tak zjednoczonym frontem Lecointe nie miał wyboru i musiał nakazać francuskiemu kucharzowi iść spakować rzeczy, a potem opuścić statek. Wiadomość o podjętej decyzji przekazał komendantowi de Gerlache'owi, który już wtedy bał się coraz bardziej, że w miarę zbliżania się do wód Antarktyki, nieposłuszeństwo wśród załogi będzie rosło. Miejsce kucharza zajął główny oprawca Lemonniera, marynarz Van Damme.

De Gerlache był zadowolony, mogąc scedować kwestie dyscyplinowania załogi na Lecointe'a. Sam po szczeblach hierarchii wspinał się pchany miłością do oceanu i dzięki nadzwyczajnemu talentowi do odczytywania wiatrów i prądów morskich, a nie w pogoni za władzą. Często tęsknie wspominał dawne czasy, kiedy jeszcze jako zwykły marynarz wykonywał rozkazy, zamiast je wydawać.

Pewnego dnia szedł przez tętniący życiem rynek w Montevideo w towarzystwie mieszkającego tam Belga, targował się ze sprzedawcami i uzupełniał zapasy świeżych owoców, warzyw, ryb i mięsa, by dać załodze odpocząć od jedzenia konserw. Kiedy de Gerlache napełnił płuca wiosennym powietrzem i poczuł znajomą mieszaninę aromatów tutejszego rynku, myślami wrócił do czasów swojej ostatniej wizyty w Montevideo. Był tu dziesięć lat wcześniej, w równie gorący dzień, służył wtedy jako marynarz na pokładzie

Craigie Burn, angielskiego żaglowca zmierzającego do San Francisco. Jednostka została poważnie uszkodzona przez sztormy szalejące przy Ziemi Ognistej, więc zawrócili do Montevideo, by sprzedać ją na części. De Gerlache, jeden z bardzo nielicznych członków załogi, który nie porzucił służby ani nie został z niej wyrzucony, towarzyszył kapitanowi, który wybrał się na rynek, by uzupełnić zapasy. Miał wówczas na sobie jedynie prostą flanelową koszulę i spodnie z płótna żaglowego. Kiedy wracał na pokład z żywym indykiem w każdej ręce, cieszył się twardą ziemią pod bosymi stopami.

Przyjemne wspomnienia wzbudziły w nim falę melancholii. „Od tamtego czasu wiele się zmieniło. Zostałem kapitanem i dowódcą wyprawy. Ale czy jestem teraz szczęśliwszy?” – pytał de Gerlache w swoim dzienniku. „To była twarda szkoła życia w milczącym posłuszeństwie, ale miałem wówczas dwadzieścia lat, nie dręczyły mnie zmartwienia i wierzyłem w swoją przyszłość. Przyszłość, o jakiej wtedy marzyłem, właśnie nadeszła, lecz jakaż codzienność mierzyć się może ze słodkim splendorem marzeń! Dziś nie odpowiadam już przed nikim, tylko przed sobą, a jednak wciąż ciążą na mnie obowiązki i przygniata mnie odpowiedzialność... dawniej życie było prostsze”.

Największą troską dręczącą dowódcę wyprawy była świadomość, że lada dzień ponownie wpłynie na zdradliwe i niebezpieczne wody wokół przylądka Horn, nie wspominając o Antarktyce, i to w towarzystwie załogi, której nie mógł ufać. Musiał przyznać, że pozbycie się Lemonniera poprawiło trochę morale; mimo to na przednim pokładzie wciąż mieszkali samowolni wichrzyciele – Duvivier, Van Mirlo, Dom, Warzée i Van Damme – którzy każdego dnia narażali na szwank dobre imię ekspedycji albo mogli doprowadzić do czegoś znacznie gorszego.

Pierwszego albatrosa u wybrzeży Argentyny zauważono siedemnastego listopada. Następnego dnia załoga mogła nacieszyć oczy pierwszym pingwinem, niewielkim przedstawicielem preferującego ciepłe wody gatunku pingwina magellańskiego (gatunek ten, wyróżniający się plamiastymi, białymi wstęgami biegnącymi przez pierś, został nazwany

na cześć portugalskiego podróżnika i odkrywcy Ferdynanda Magellana, który pierwszy zobaczył je w tych samych wodach w 1520 roku, w czasie podróży dookoła świata). Z każdą godziną, z którą Belgica zbliżała się do najdalej wysuniętego na południe punktu Ameryki Południowej, robiło się coraz chłodniej, a dni stawały się coraz dłuższe. Słońce kryło się za horyzontem na tak krótko, że ledwie starczało czasu, by na granatowym niebie dostrzec gwiazdozbiór Krzyża Południa.

Dwudziestego siódmego listopada Belgica musiała zmierzyć się z pierwszym prawdziwym testem. Mroźne huraganowe wiatry nacierały najpierw z północnego wschodu, by potem diametralnie zmienić kierunek i smagać ją z południowego zachodu. Warunki były tak złe, że uniemożliwiały dalszą drogę i zmusiły statek do złożenia broni. Powierzchnia oceanu zmieniła się w rozszalałe morze żywych gór, które rzucały Belgicą z taką siłą, że utrzymanie się na nogach było dla marynarzy prawdziwą walką. Potężne fale przewalały się przez nadburcia, zalewając pokład i laboratoria, by wylać się przez szpigaty, otwory w nadburciach, umieszczone na poziomie pokładu. Wiatr był między masztami, wywołując dźwięki, które Cook opisał później jako „szaleńcze zawodzenie”. „Nigdy wcześniej czegoś takiego nie słyszałem” – przyznał. Podmuchy miały dość siły, by wyrzucić dorosłego mężczyznę za burtę i całkowicie zagłuszyć jego krzyki.

Żywioły wymierzały karę, której de Gerlache równocześnie bał się i wyczekiwał, kiedy przykuty do biurka błagał majątnych Belgów o wsparcie ekspedycji. Odpowiedzialność dowódcy ciążyła mu coraz bardziej, a postępująca niesubordynacja załogi budziła obawy, czy na pewno jest gotów na takie wyzwanie. W obliczu tego, co działo się na morzu, w końcu stanął przed szansą, by udowodnić sobie, że nie znalazł się tam przez przypadek.

Worki z olejem wrzucone do wody tylko odrobinę uspokajały rozszalałe fale. Nie mogąc posuwać się dalej wzdłuż wybrzeża, de Gerlache zdecydował odbić w stronę Falklandów, wyrastających z Atlantyku dzień drogi na południowy wschód. Na jego rozkaz

marynarze trzymający wachtę rzucili się do bloków i zaczęli szarpać się z linami, by rozwinąć foksztaksel i bramsel. Przez kilka godzin Belgica płynęła pod wiatr, aż w pewnej chwili burza zniknęła równie nagle, jak się wcześniej pojawiła, i przestała męczyć statek. „Chmury się rozstępują i pierwszy gwiazdozbiór, jaki ukazuje się naszym oczom, to Krzyż Południowy” – zanotował de Gerlache. – „Nie będąc przesądnym, czy mogę postrzegać to inaczej niż jako dobry znak?”.

Odważnym i umiejętnym manewrem de Gerlache zapewnił sobie podziw wszystkich na pokładzie. Załoga dobrze poradziła sobie z trudną sytuacją, lecz największe wrażenie zrobił na członkach ekspedycji styl, w jakim Belgica zmierzyła się z rozszalałym oceanem. Statek posłusznie reagował na każdą komendę, prawie nie nabrał wody, a żagle wytrzymały potężną siłę wiatru.

Belgica okazała się wyjątkowo dzielną jednostką, potwierdzając jedynie, że de Gerlache podjął właściwą decyzję, stawiając ją przed innymi, zgrabniejszymi statkami. Cook, który po pierwszym spotkaniu z Belgicą w zatoce Guanabara miał bardzo mieszane uczucia, diametralnie zmienił zdanie. „Z każdym dniem niesie nas dalej od domu i z każdym dniem coraz bardziej zależą od niej nasze życia” – pisał. – „Już teraz zaskarbiła sobie nasze uczucia, równie gorące jak ukochany koń”.

Dla wszystkich na pokładzie Belgiki pokonany właśnie sztorm stał się właściwym początkiem wyprawy. „Wszystkie późniejsze zdarzenia datujemy w odniesieniu do dnia, w którym się z nim zmierzyliśmy” – zanotował Cook. Jak starotestamentowy potop, woda i wiatr zabrały ze sobą wszystkie animozje. Belgowie i Norwegowie współpracowali ramię w ramię, szczególnie zgodnie po odejściu Lemonniera, a Cook nawiązywał bliskie relacje z towarzyszami podróży, nie zważając na barierę językową.

„Dziwna sprawa!” – pisał kapitan Lecointe. – „Komunikujemy się z doktorem jedynie gestami, a mam wrażenie, że staliśmy się prawie przyjaciółmi. Co więcej, jedna wspólna cecha zbliża nas jeszcze mocniej: Cook również cierpi na chorobę morską!”.

Statek okrążył przylądek Cabo Vírgenes i wpłynął w Cieśninę Magellana, która oddziela kontynent od wysp Ziemi Ognistej, łącząc Ocean Atlantycki z Pacyfikiem. Belgica, korzystając jedynie z silnika parowego, powoli posuwała się na południowy zachód, by pierwszego grudnia dotrzeć do chilijskiego portu Punta Arenas, najbardziej wysuniętego na południe miasta na świecie. W zatłoczonym i pełnym życia porcie prawdopodobnie mało kto zwrócił uwagę na jej przybycie; przed ukończeniem Kanału Panamskiego większość statków przepływających z jednego oceanu na drugi korzystała z Cieśniny Magellana, by uniknąć smutnego końca na morskim cmentarzysku, jakim dla wielu stały się wody wokół przylądka Horn. I niemal wszystkie zatrzymywały się po drodze w Punta Arenas.

Miejscowość była skażona przeszłością kolonii karnej, która z czasem przekształciła się w niespokojną osadę, a kiedy w 1877 roku wybuchły w niej rozruchy i bunt, chilijski rząd zareagował zniszczeniem połowy miasteczka i bezwzględnym wymordowaniem większości jego mieszkańców. Na zgliszczach tego, co pozostało po pierwszej osadzie, dwie dekady później wyrastało tętniące życiem miasto zamieszkane przez ponad sześć tysięcy dusz. Ściągali do niego pasterze i poszukiwacze złota, rdzenni mieszkańcy Ziemi Ognistej i łowcy nagród. Na ulicach panowało poczucie wolności i bezprawia, przypominając nieco amerykańskie miasteczka w czasach Dzikiego Zachodu.

Punta Arenas stała się jednym z najbardziej anarchizujących miejsc na świecie, gdzie niemal pod co drugim adresem działał bar lub dom publiczny. Alkohol podawano nawet w kościołach i to nie w czasie komunii. Pijaństwo było tak powszechne, że domy wznoszono z pustych butelek spojonych betonem. „Alkohol jest matką wszystkich przestępstw i większości uciech w Punta Arenas” – zauważył Cook.

Pod wpływem napitków w niepamięć poszedł pokój, jaki zapanował na pokładzie Belgiki po pokonaniu wielkiego sztormu. Kapitan Lecointe opisywał w dzienniku wzbierający bunt i pijackie awantury:

Sobota, czwarty grudnia. - [Somers] i [Warzée] są w sztok upojeni; wywołali awanturę na pokładzie, obrażając się i prowokując nawzajem. Po mojej interwencji uspokoili się nieco, lecz już po dwóch minutach przepychanki wybuchły ze zdwojoną siłą.

Niedziela, piąty grudnia. - [Somers] zapomniał się do tego stopnia, że pobił majtka. O północy [Tollefsen] wrócił na pokład pijany. [Michotte] i D... zostali na noc w mieście.

Poniedziałek, szósty grudnia. - Dowódca wysłał rozkazy do przekazania [Warzéemu], który łódką udał się na brzeg, by przewieźć na pokład dwie skrzynie z rzeczami - dla załogi. [Warzée] odmówił, dodając, że nie jest tragarzem.

Prowadzrzy i wichrzyciele pośród marynarzy - Van Damme, Dom i Warzée - sprawdzali, jak daleko mogą się posunąć, a dowódca oblewał test za testem. Doszło do tego, że nawet część sumiennych i porządnych załogantów znalazła się pod ich wpływem. Przez cały tydzień trwał festiwal niesubordynacji. Im dłużej nieposłusznym marynarzom udawało się unikać kary, tym częściej odmawiali wykonywania rozkazów i zachowywali się samowolnie. Noc w noc wbrew rozkazom opuszczali pokład i ruszali przez miasto, szukając bójek, dziwek portowych i wypijając morze alkoholu. Słabość de Gerlache'a, który od początku nie potrafił wyegzekwować od swoich ludzi dyscypliny, doprowadziła do utraty autorytetu i pozwoliła na pogłębienie zatargów między marynarzami. Zachowania na pokładzie nie były regulowane poleceniami oficerów, lecz atawistyczną walką o dominację.

Wieczorem dziewiątego grudnia Jan Van Damme stanął w drzwiach kajuty de Gerlache'a i zażądał zaliczki na poczet wypłaty, gdyż zamierzał zejść na brzeg. W jego zachowaniu nie było widać pokory, a roszczeniowość: kiedy dowódca odmówił, grzecznie wskazując na

fakt, że nie udzielił zgody na opuszczenie pokładu, a poza tym Van Damme wydał już więcej, niż należało mu się za całą wyprawę, marynarz zagroził, że odejdzie. Patrzył de Gerlache'owi w oczy z pewnością człowieka, który wie, że ma przewagę. Różnica w sposobie, w jaki obaj mężczyźni doświadczali morza, była nader wyraźnie wypisana na ich twarzach. De Gerlache miał jasną, gładką skórę osoby, która większość życia spędzała za biurkiem i w kajutach oficerskich; Van Damme, choć trzy lata młodszy od dowódcy, wydawał się dobrych dziesięć lat starszy: miał przystojną, spaloną słońcem i wychłostaną surowymi wiatrami twarz, typową dla kogoś, kto pracuje na otwartym powietrzu. Nie chcąc stracić jednego z nielicznych Belgów (a i przy okazji kucharza), de Gerlache ugiął się, wydał Van Damme'owi pozwolenie na zejście na ląd i nawet dał mu pieniądze, o które prosił.

De Gerlache miał nadzieję udobruchać i uspokoić tym gestem Van Damme'a, jednak efekt, jaki osiągnął, był zgoła przeciwny. Van Damme skrzyknął pięciu innych marynarzy - czterech Belgów i jednego naiwnego Norwega Ludviga Hjalmara Johansena - których namówił, by towarzyszyli mu w całonocnej włóczędze po barach. Rankiem oficerowie wysłali łódź, by przywieźć ich na pokład. Van Damme oznajmił, że wróci, kiedy będzie mu się podobało, a teraz jeszcze mu się nie podoba. Pozostali, włącznie z Domem i Johansenem, poszli za jego przykładem. De Gerlache, który od dziecka karmił się historią podboju mórz i oceanów, zrozumiał, że tak właśnie rodzi się późniejszy bunt na pokładzie: kiedy pojawia się charyzmatyczny przywódca, któremu pozostali członkowie załogi ufają bardziej niż dowódcy statku.

De Gerlache, Lecointe i Amundsen resztę dnia spędzili na wyłapywaniu marynarzy, którzy rozpierzchli się po spelunach i melinach Punta Arenas. Van Damme wrócił dopiero wtedy, kiedy uznał, że już na to czas, i z miejsca zaczął się pakować, zdecydowany opuścić statek - w ten czy inny sposób. Niedługo po nim na Belgicę wrócił Dom i rzucił się na swoją koję spać. Lecointe wpadł do pomieszczenia dla załogi w forkasztelu, szarpnięciem wyrwał go ze snu i tonem przesączonym sarkazmem zapytał, czy aby nie jest chory. Dom

wyjaśnił, że nie, ale ma straszego kaca, więc kapitan ma mu dać spokój. Van Damme i Dom nie kryli się z wrogim nastawieniem do oficerów: poprzedniego wieczoru w czasie pijackiej eskapady ustalili, że na pokładzie Belgiki doprowadzą do ostatecznej konfrontacji.

Przesilenie przyszło, kiedy Van Damme wcisnął do marynarskiego worka ubrania, które przydzielono wszystkim członkom ekspedycji – włącznie z mundurem. De Gerlache, który najwyraźniej był gotów przymykać oko na pijaństwo, nie zamierzał jednak tolerować kradzieży. W końcu tupnął nogą i zażądał oddania ubrań. Van Damme odmówił i na oczach całej załogi obrzucił stojącego przed nim dowódcę wulgarnymi epitetami.

To był punkt zwrotny. Dla de Gerlache’a akceptacja jawnej niesubordynacji i brak reakcji na zachowanie Van Damme’a oznaczała ostateczną utratę kontroli nad statkiem – i to bezpowrotnie. Miał jednak również świadomość tego, że na pokładzie jest pod dostatkiem broni, a część marynarzy jest głęboko sfrustrowana. Dowódca nie wiedział, ilu dokładnie ludzi wzięłoby stronę Van Damme’a i Doma, gdyby doszło do otwartego konfliktu, ale rozumiał, że miał niewielkie pole manewru. Gdyby sytuacja się zaogniła i doszłoby do aktów przemocy, wtedy on, Lecointe i Amundsen mogliby zginąć lub odnieść rany. A skoro wcześniej nie udało mu się zaskarbić szacunku załogi, nic nie wskazywało na to, by akurat teraz miał odnieść sukces. Uznał, że jedyną opcją jest wezwanie pomocy.

De Gerlache kazał wciągnąć na grotmaszt czerwony proporzec, by zawiadomić chilijską marynarkę i władze portu Punta Arenas, że ich pomoc i wsparcie są pilnie potrzebne. W przeciwieństwie do niego lokalni wojskowi i urzędnicy mieli prawo do zatrzymywania i zamykania w areszcie marynarzy, którzy stanowili zagrożenie dla porządku publicznego. Mijały godziny, napięcie na pokładzie rosło z każdą minutą, a Chilijczyków nie było widać. Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. W obawie, że władze portowe w ciemności nie dostrzegą flagi, de Gerlache uznał, że nie może pozwolić sobie na dłuższą zwłokę. Kazał opuścić łódź i ruszył w stronę stojącego nieopodal okrętu



chilijskiej marynarki wojennej, powierzając Lecointe'owi i Amundsenowi pieczę nad zbuntowanymi Belgami.

O zmierzchu do burty Belgiki przybiła mała łódka, w której oficerowie dostrzegli tylko jedną osobę: okazało się, że to Warzée wracał z nieregulaminowej eskapady. Był przy tym mocno pijany, pyskaty i aż rwał się do awantury. Z coraz bardziej wściekłymi Domem i Van Damme'em, zamkniętymi na przednim pokładzie, i bez de Gerlache'a Lecointe i Amundsen znaleźli się w mniejszości, a potencjalni buntownicy zyskali przewagę. By uniemożliwić Warzéeemu dołączenie do pozostałych, Lecointe natychmiast złapał go za kołnierz, zaciągnął na pokład rufowy i zakazał stamtąd odchodzić. Spoglądając raz na Warzéeego, raz na przedni pokład, kapitan trzymał rękę w kieszeni i muskał palcem spust rewolweru. Był zdecydowany „odstrzelić łeb każdemu, kto choćby drgnie”. Amundsen stał przy mostku, gotów w każdej chwili ruszyć na pomoc kapitanowi. Przez kolejnych dziesięć minut napięcie na pokładzie stale rosło, a obaj oficerowie zastanawiali się gorączkowo, dlaczego dowódca tak długo nie wraca.

W końcu, o północy, do Belgiki podpłynęła łódź z dowódcą i jedenastoma uzbrojonymi chilijskimi żołnierzami. Dwóch z nich zaraz podeszło do drzwi forkasztelu i stanęło na warcie. W środku Dom i Van Damme pod nadzorem Lecointe'a kończyli pakowanie bagaży. Kapitan zapewne nadmiernie się odprężył, czując wsparcie uzbrojonych Chilijczyków na pokładzie, bo zanim się zorientował, co się dzieje, Van Damme sięgnął po rewolwer i grożąc nim, zażądał, by zaprowadzić go do kabiny dowódcy. Lecointe wykonał polecenie.

Kilka chwil później Van Damme stanął twarzą w twarz z komendantem wyprawy, który wracając z chilijskimi żołnierzami, z całą pewnością nie spodziewał się zobaczyć wycelowanej w siebie broni. Van Damme zaczął obrzucać go obelgami i groźbami. W pewnym momencie pokazał de Gerlache'owi dziennik, w którym, jak zapowiedział, dokumentował wszystko, co działo się na Belgice, by po powrocie do Belgii opublikować swoje zapiski. To zapewne przeraziło

dowódcę bardziej niż możliwość śmierci od kuli. Za Van Damme'em stał Lecointe z rewolwerem gotowym do strzału i uważnie obserwował każdy gest marynarza.

Kiedy Van Damme skończył mówić, razem z Warzéem zostali siłą doprowadzeni do łodzi władz portu. W pewnej chwili musieli już po raz ostatni minąć dowódcę, a wtedy ten zrobił coś, co wprowadziło wszystkich w osłupienie: obu wcisnął w dłoń po funcie szterlingu. I choć tłumaczył później, że był to gest przebaczenia, w rzeczywistości kupował ich milczenie.

Porządek został przywrócony około wpół do drugiej nad ranem. Następnego dnia Dom został postawiony przed wyborem, czy chce zejść z Belgiki, czy zostać na pokładzie i dalej pracować. Wybrał pierwszą opcję, choć nieoficjalnie przysiągł, że dokona zemsty. On również otrzymał na odchodnym monetę jednofuntową<sup>16</sup>. De Gerlache wykorzystał czystkę, jaka się dokonała, i przy okazji – w końcu! – pozbył się też Duviviera, którego niekompetencja stanowiła zagrożenie dla załogi.

Dziesiątego grudnia z pokładu Belgiki wyrzuconych zostało czterech członków załogi, przy czym wszyscy byli Belgami. Od tego dnia na statku przeważali obcokrajowcy, co samo w sobie zakrawało na skandal. Po zwolnieniu Van Damme'a Belgica ponownie została pozbawiona kucharza. De Gerlache powierzył tę funkcję swemu osobistemu adiutantowi, pełnemu dobrych chęci, acz kompletnie pozbawionemu kulinarnych umiejętności Louisowi Michotte'owi. Była to brzemienna w skutki decyzja, mająca duży wpływ na samopoczucie załogi na Antarktyce.

Obsada statku zmniejszyła się drastycznie, lecz już wkrótce miała drastycznie wzrosnąć, a Belgica jeden poważny problem zmieniała na inny. Podczas postoju na kotwicy w Punta Arenas Belgica przycumowała do węglarki o nazwie Martha. Przez dwa dni marynarze przerzucili do ładowni ponad sto ton węgla. Unoszący się pył ufarbował ich ubrania i skórę na tak głęboką czerń, że pod koniec dnia białka ich oczu zdawały się emitować światło.

Kiedy załoga spała, nocną ciszę przerywało głośne popiskiwanie. Na pokładzie Marthy pojawiły się drobne, zwinne cienie. Wspinały się po linach cumowniczych i nadburciach. Jeden z nich przeskoczył pomiędzy statkami... potem kolejny... i jeszcze jeden...

## Rozdział 5

### **POKONANI PRZED BITWĄ**

CZTERNASTEGO GRUDNIA BELGICA WPŁYNEŁA w labirynt górzystych wysp i wysepek przy krańcu Ameryki Południowej, wioząc na pokładzie dziewiętnaście osób i nieznaną liczbę szczurów. Samowolne odejścia i przymusowe zwolnienia przyniosły ten dobry skutek, że zredukowały załogę do najbardziej godnych zaufania i oddanych członków akurat w czasie, kiedy statek miał wpłynąć na najniebezpieczniejsze wody, na jakich kiedykolwiek pływał.

Istniała jednak kwestia, która dużo bardziej martwiła de Gerlache'a. Powolna i niebezpieczna podróż do Ushuaii – 155 mil w linii prostej na południowy wschód od Punta Arenas, lecz znacznie bardziej okrężną drogą po morzu – dodatkowo zwiększała i tak już spore spóźnienie, które miała już od pierwszego dnia po opuszczeniu Antwerpii. Z każdym dniem malała szansa, by przed zimą dotarła do Ziemi Wiktorii, po drugiej stronie Antarktydy. Gdyby rzeczywiście nie udało im się osiągnąć tego celu, należałoby przemyśleć od nowa cały plan ekspedycji.

Oczekiwania naukowców groziły spowodowaniem jeszcze większych opóźnień. Dla zoologa Racovitzy i geologa Arctowskiego niezamieszkane w większości i niezbadane wyspy południowego archipelagu Ziemi Ognistej były źródłem niepokonanej fascynacji. Każdy zbiornik wodny i każda skalna ściana mogły stać się przyczynkiem do epokowego odkrycia. Prezentując sponsorom wyprawę jako misję naukową, de Gerlache od początku czuł się zobligowany do tego, by zaspokoić ich ciekawość. Można jednak wyobrazić sobie jego frustrację, kiedy Racovitza naciskał na całodobowy postój, bo zamierzał zbadać porosty albo jakiś rzadki

gatunek pajęczaka; albo kiedy Arctowski zapuszczał się w głąb moren i zatopiony w rozmyślaniach zbierał pojedyncze kamienie.

Choć dla de Gerlache'a opóźnienia stanowiły powód do frustracji, pozostali oficerowie w przymusowych postojach widzieli nowe możliwości. Kiedy naukowcy oddawali się pracy, Roald Amundsen rozwijał swoje pasje, doskonalcąc umiejętności zawodowego podróżnika i odkrywcy, który podążał śladami Fridtjofa Nansena i Jensa Amundsena. Codziennie stawiał sobie jakieś wyzwanie - na przykład zdobycie najbliższego szczytu pokrytego śniegiem, pokonanie wysokiej grani, niewiele szerszej niż grzbiet konia, czy przepłynięcie nago lodowatego górskiego strumienia. Im bardziej wyczerpująca była wspinaczka czy skała, po której szedł, krucha, tym większe czuł szczęście. Lubił bawić się myślą, jak wyglądałby dla kogoś, kto z dala obserwowałby jego wyczyny, i wyobrażał sobie, że jawi się jako „skradająca się pantera”; porównywał się też do Ibsenowskiego bohatera Peera Gynta. Na pokład Belgiki wracał zmarznięty, przemoczony, zmęczony, obolały, ubłocony, podrapany i szczęśliwszy niż kiedykolwiek.

Doktor Cook planował poświęcić czas spędzony pośród wysp archipelagu Ziemi Ognistej na badanie trzech plemion rdzennych mieszkańców tych ziem - Alakalufów, Jagan (którzy sami siebie nazywali Yámana) oraz ludu Ona (którego przedstawiciele nazywali się Selk'nam). Podobnie jak na Grenlandii rdzenni mieszkańcy fascynowali go równie mocno jak miejsce, w którym się znalazł. Brak wykształcenia antropologicznego nie stanowił dla niego problemu - niewiele osób otrzymało akademickie przygotowanie, jako że dyscyplina ta dopiero raczkowała - czas spędzony pośród Inuitów zrodził w nim przemożne pragnienie poznawania lokalnych, pierwotnych społeczności, co w oczach de Gerlache'a dawało mu kwalifikacje do pełnienia funkcji etnologa ekspedycji. Nie mógł się doczekać, by z bliska przyglądać się miejscowym rytuałom - mimo niepokojących wcześniejszych raportów. Charles Darwin, który odwiedził te okolice w 1833 roku na pokładzie H.M.S. Beagle, miejscowych określił „kanibalami” w „najbardziej

prymitywnym stadium barbarzyństwa”. Lud Ona miał składać się w dużej mierze z niemal dwuipółmetrowych wojowników regularnie najeżdżających europejskie osady. Jednak od czasu przybycia do Ziemi Ognistej jedynymi przedstawicielami ludności tubylczej, z którymi Cook miał okazję wejść w jakąkolwiek interakcję, byli stosunkowo dobrze przystosowani do życia w zachodniej cywilizacji uchodźcy z chrześcijańskiej misji niedaleko Punta Arenas, którzy salwowali się ucieczką przed brutalnymi czystkami dokonywanymi przez białych farmerów. Cook dowiedział się, że zostały się tylko nieliczne miejscowe wioski i gdyby chciał ich szukać, to największe szanse miałby na dzikich terenach poza Ushuaią.

Belgica, korzystając z silnika parowego, płynęła na wschód kanałem Beagle, by w ciemną, bezksiężycową noc, dwudziestego pierwszego grudnia dotrzeć do półwyspu Ushuaia. Nigdzie w zasięgu wzroku nie mogli dostrzec zaznaczonej na mapach latarni morskiej, więc przez jakiś czas posuwali się na ślepo. Dopiero rankiem odkryli, jak niebezpiecznie blisko nabrzeżnych skał rzucili kotwicę!

Ushuaię, stolicę argentyńskiej Ziemi Ognistej (Tierra del Fuego) z trudem można było nazwać choćby wioską. Osada składała się z około dwudziestu rozrzuconych bez ładu budynków i drewnianej kaplicy. De Gerlache wsiadł do łodzi i o wiosłach dopłynął do brzegu, by udać się do przedstawiciela lokalnej administracji i wezwać do realizacji obietnicy argentyńskiego rządu, który w akcie wsparcia podarował ekspedycji węgiel – przy czym trzeba zaznaczyć, że był to jedyny powód, dla którego komendant tak daleko zboczył z trasy. Na miejscu okazało się jednak, że gubernatora nie ma w osadzie, a zastępujący go urzędnik nie posiadał żadnych informacji o darowiźnie. Zwyczaj jednak nakazywał, żeby w tak odległych i bezludnych miejscach na Ziemi oddawać przysługi i nie odmawiać prośbom: urzędnik sprawnie zorganizował dla Belgiki ponad sto ton węgla, który czekał w składzie w zatoce Lapataia, kilka godzin na zachód. Kolejny zwrot z kursu przekładał się na dodatkowych kilka dni opóźnienia, jednak komendant nie miał wyjścia: zapasy węgla na pokładzie Belgiki były bliskie

wyczerpania. Statek wyruszył najszybciej, jak się dało, jednak bez Cooka i Arctowskiego, którzy mieli badać rdzennych mieszkańców z plemienia Jagan, osiedlonych w misji prowadzonej przez Anglika Johna Lawrence'a.

Następnych kilka dni Belgica uzupełniała zapasy węgla w porcie w zatoce Lapataia, która pięknie wrzynała się w ląd, przypominając Norwegom fiordy w ich ojczyźnie. W wigilijny wieczór Arctowski wrócił z Ushuaii w towarzystwie dwójki przewodników z plemienia Jagan, którzy zostali zaproszeni na pokład na wspólny posiłek. W czasie kolacji wachtowy dostrzegł z daleka dym: ogień, który Arctowski rozpałił na brzegu, by zawiadomić załogę Belgiki o swoim przybyciu, nie został prawidłowo wygaszony i rozprzestrzenił się na suchą trawę, krzaki i wreszcie drzewa. De Gerlache natychmiast wysłał na brzeg ludzi z toporkami i płóciennymi wiadrami, a sam z Amundsenem zostali na pokładzie, skąd obserwowali, jak szalupy przecinają mieniącą się refleksami powierzchnię, w której odbijała się czerwień płomieni.

Tego wieczoru na szczęście nie wiał wiatr, a mimo to gaszenie pożaru zajęło niemal godzinę. Kiedy cuchnący dymem marynarze wrócili na Belgicę, zastali całkowicie odmieniony pokład.

Ogień na brzegu dał de Gerlache'owi i Amundsenowi doskonały pretekst do tego, by pozbyć się całej załogi ze statku, a sami wykorzystali ten czas, by we wszystkich pomieszczeniach rozwiesić świąteczne ozdoby. Pośrodku kubryku stała choinka, pod sufitem wisiały kolorowe flagi, a na koi każdego członka załogi czekał prezent przygotowany zawczasu przez Léonie Osterrieth: ciepłe zimowe ubrania, układanki i wysmienity tytoń. Dorośli mężczyźni, patrząc na to wszystko, czuli się znów jak małe dzieci. Oficerowie i naukowcy również otrzymali podarki - szale, opatrzone monogramami książki i srebrne pieczęcie zdobione grawerunkiem: *audaces fortuna iuvat* (los sprzyja odważnym).

Następnie podano grog, grała muzyka, wznoszono patriotyczne toasty, a wśród załogi zapanowała braterska atmosfera, serdeczna jak nigdy wcześniej, zbliżając oficerów i marynarzy, Belgów i Norwegów.

Ostatni toast tego wieczoru wzniosł de Gerlache, za pomyślność w pokonywaniu wyzwań, z jakimi niedługo przyjdzie im się zmierzyć.

„Moi przyjaciele! Nie jest nas wielu i nieraz będziemy zmagać się z doniosłymi zadaniami, jednak jestem przekonany, że każdy z nas sprosta swoim obowiązkom! Niech żaden z was nie przychodzi narzekać na zmęczenie - nie macie prawa być zmęczonymi! Tylko choroba to zmieni - jeśli będziecie chorzy, pozwolimy wam odpocząć”.

De Gerlache przypomniał załodze słowa belgijskiego zawołania, wypisane nad wejściem do kajut oficerskich: *L'Union fait la force*. Jedność daje siłę. Wiwaty zagłuszyły jego ostatnie słowa. To była niezwykle odważna i emocjonalna przemowa komendanta. Od czasu zwolnienia nieposłusznych członków załogi i wysadzenia ich na brzeg w Punta Arenas de Gerlache zyskał pewność siebie.

Krótko po północy wszyscy wrócili do swoich kabin. Niektórzy zostawili otwarte bulaje, by do środka wpadało usypiające, łagodne powietrze znad wody. Na brzegu, w wielu miejscach pogorzelniska znów pojawiły się zarzewia ognia, a w niebo wzbily się tysiące migoczących iskier.

Trzydziestego grudnia Belgica wróciła do Ushuaii po doktora Cooka. Lekarz wszedł na pokład w towarzystwie Johna Lawrence'a, misjonarza, u którego się zatrzymał, a który poprosił o podwiezienie do Harberton, osady należącej do majątnego angielskiego byłego misjonarza, a obecnie hodowcy owiec Thomasa Bridgesa, któremu Lawrence winien był wizytę - trzydzieści pięć mil na wschód kanałem Beagle, w drodze na Atlantyk. A że de Gerlache zdążył się nauczyć, że w takich miejscach rzadko odmawia się przysług, przystał na prośbę misjonarza.

Słońce zaszło krótko po dziesiątej wieczorem pierwszego dnia 1898 roku, co oznaczało, że lada chwila zrobi się zbyt ciemno, by dostrzec czyhające pod powierzchnią rafy. Zgodnie z zasadą zarządzoną przez komendanta zaraz po wpłynięciu na wody wokół archipelagu Ziemi



Ognistej, załoga miała rzucić kotwicę najpóźniej równo z nadejściem nocy. Do Harberton zostało jeszcze tylko kilka mil, więc popłynęli dalej, opierając się na wskazaniach kompasu i mapy, o której wiedzieli, że jest niekompletna i pozbawiona wielu szczegółów. Oficer wachtowy polecił Tollefsenowi, by sondował głębokość kanału: dwadzieścia osiem metrów, więcej niż wystarczająco, by płynąć dalej. Norweski marynarz nachylił się i w zapadającym zmroku dostrzegł pod powierzchnią wody dywan morskiej roślinności. Natychmiast ponownie opuścił sondę. „Siedem metrów!” – krzyknął ostrzegawczo. Sekundę później rozległ się kolejny meldunek: sześć metrów! Sternik zakręcił kołem sterowym, a mechanik przełączył maszynę na całą wstecz, lecz to nie wystarczyło i chwilę później niesiony siłą rozpędu statek zatrzymał się z głośnym trzaskiem. Marynarze, zataczając się, wybiegli na pokład i rzucili na dziób sprawdzić, co się wydarzyło: Belgica wpłynęła na rafy.

De Gerlache próbował uwolnić statek, polecając mechanikowi Henriemu Somersowi przełączać między całą naprzód a całą wstecz, raz za razem. Bez efektów. Sondowanie dało pełniejszy obraz sytuacji: Belgica utknęła na skale w kształcie kopuły, skrytej cztery metry pod powierzchnią wody. Silny prąd kanału od rufy przyciskał statek do przeszkody. Przy odrobinie szczęścia, myślał de Gerlache, przyływ uniesie Belgicę i uwolni z pułapki.

Obie szalupy i obie łodzie wielorybnicze zostały spuszczone na wodę, by oświetlić unieruchomioną Belgicę. Cook, Lecointe i Arctowski w towarzystwie dwóch marynarzy odплыnęli na usłany muszlami brzeg, by wypatrywać momentu przyływu. Zimny wiatr zaczął marszczyć gładką dotychczas powierzchnię wody. Wczesnym rankiem poziom morza znów opadł. Przyływ przyszedł i się skończył, a statek nawet nie drgnął. W miarę opadania wody Belgica przechylała się powoli na prawą burtę. Jednostce groziło położenie się na boku, gdyby poziom wody w kanale opadł jeszcze bardziej, a z takiej pozycji statek nie miałby już szans się podnieść. Woda wlałaby się przez pokład do wnętrza kadłuba i jednostka byłaby stracona. Przerazenie ścisnęło de Gerlache'a za gardło. Kiedy wyobrażał sobie, jaka katastrofa mogłaby

przerwać ekspedycję, przed oczyma miał coś bardziej podniosłego i honorowego, apokaliptycznie wzburzone morze, setki gór lodowych i sięgające nieba białe klify, o które z hukiem roztrzaskiwały się fale. Poleciał załodze przynieść zapasowe reje – poziome drzewce, do których przymocowywano żagle – i zaprzeć je między skałą a prawą burtą jako wsporniki, by powstrzymać przechył statku.

Opracowano więc plan, by podnieść Belgicę za pomocą kotwic. Opuszczono je do szalup, które odplynęły najdalej, jak się dało, po lewej stronie statku, i tam zrzuciły balast do morza. Marynarze wrócili na pokład i umocowali liny kotwic – jedną na dużym kołowrocie, drugą na wyciągarce parowej. W zamierzeniu miało to pozwolić wyprostować statek i, być może, uwolnić go z pułapki. Załoga z całych sił naparła na kołowrót, tłoki wyciągarki parowej pracowały na granicy możliwości, a liny napięły się jak struny, tak że można było na nich grać. Mimo to dwustuczterdziestoczerotonowy statek ani drgnął. Krążące nad masztami mewy zdawały się kpić z problemów jednostki.

Tuż przed świtem dwudziestotrzyletni Lucas Bridges, syn Thomasa Bridgesa, hodowcy owiec z Harberton, wyjrzał przez okno domu na wybrzeżu, kilkaset metrów od miejsca wypadku, i dostrzegł przechylone pod nienaturalnym kątem maszty. Przez jakiś czas obserwował próżne wysiłki załogi, która za pomocą kotwic usiłowała uratować Belgicę, aż w końcu spuścił na wodę swoją niewielką łódkę i podplynął do uwięzionej jednostki. Kiedy się zbliżył, usłyszał z pokładu powitanie wypowiedziane po angielsku z amerykańskim akcentem. „Wołał do mnie elegancko ubrany, sympatyczny mężczyzna” – wspominał później Bridges. – „Niewiele po trzydziestce i pełen życia. Raczej niskiego niż średniego wzrostu i szczupłej budowy ciała. Przedstawił się jako doktor Cook, lekarz i antropolog”.

Bridges zaproponował pomoc w odciążeniu Belgiki, by mogła swobodnie unieść się na falach przy wieczornym przyptywie. Razem z Cookiem popłynął na brzeg, a po kilku godzinach wrócił z płaskodenną barką i kilkoma rdzennymi mieszkańcami okolicznych terenów, którzy pracowali na jego farmie. Przez następne godziny

miejscowi pracowali ramię w ramię z załogą statku, rozładowując w sumie około trzydziestu ton węgla i innych ładunków. Transport frachtu na brzeg był niebezpieczną operacją: wiatr przybrał na sile i rozkołysał wodę w kanale do tego stopnia, że fale załamywały się i zalewały pokład barki i łodzi.

„Ledwie dwie lub trzy barki zostały rozładowane na brzegu, kiedy nagle pojawiła się burza. Chmury i deszcz spłynęły wąwozami z wyższych partii gór, a północno-zachodni wiatr obudził tak wysokie fale, że dalsza komunikacja z unieruchomionym statkiem nie była już możliwa” – zapisał Cook, który razem z Bridgesem i miejscowymi pracownikami popłynął wcześniej rozładowywać barkę na brzegu. Belgica mogła liczyć tylko na siebie. Cook przyglądał się bezradnie, jak potężne fale unoszą statek i ciskają nim o podwodną skałę.

Na pokładzie podmuchy wiatru uderzające raz za razem w kadłub wywoływały ciarki na plecach każdego członka załogi. Kiedy rozpoczął się przyływ, de Gerlache chciał wykorzystać wszystkie środki, jakie jeszcze miał do dyspozycji: siłę pary z kotła, siłę ludzkich mięśni i wiatr. Opróżnił zbiorniki statku z cennych zapasów wody pitnej, by jeszcze bardziej zredukować jego masę, lecz nawet tak ekstremalne kroki nie wystarczyły, by uwolnić kil. Przyływ nadszedł i się skończył; Belgica wyprostowała się trochę, lecz zaraz znów przechyliła się na burtę, tym razem lewą, a najgorsze, że przechył ten coraz bardziej się pogłębiał. Załoga rzuciła się, by między skałę a burtę wepchnąć każdy zapasowy bom i reję i podeprzeć nimi statek. Przyglądali się z napięciem, jak Belgica jęczy, napierając na kawałki drewna, a potem nieruchomieje.

Ku przerażeniu marynarzy i oficerów ledwie dziesięć minut później wszystkie podpory połamały się jak zapałki pod ciężarem statku. Belgica z rozdzierającym łomotem i drzeniem osiadła na rafie. Ludzie wraz ze śmieciami i wszystkimi nieumocowanymi przedmiotami potoczyli się po mocno nachylonym pokładzie. Książki powypadały z półek, a obrazy na ścianach zmieniły pozycję o ćwierć obrotu. Morze uderzało o burty i z obu stron zalewało pokład i kajuty, przeciskając się przez szpary pod drzwiami i znajdując drogę do wnętrza statku.

Tego momentu de Gerlache bał się bardziej niż tylko utraty statku. Łodzie i szalupy odpłynęły na brzeg, a morze ryczało z wściekłością i nie można już było liczyć na żaden ratunek. Nawet najlepsi pływacy nie przetrwaliby długo w takich wodach, a przecież większość osób pozostałych na pokładzie w ogóle nie potrafiła pływać – w tym również komendant.

De Gerlache wezwał do swojej kabiny Lecointe'a i Amundsena. Mężczyźni przedarli się przez zaśnieżone i śliski od morskiej wody pokład, chwytając się wszystkiego, co tylko mogło dać im jakieś podparcie. W środku komendant zapytał, czy są zdania, że Belgica jest już stracona, czy należy podjąć decyzję o zejściu z tonącego statku, czy może w desperacji wyrzucić wszystko, co tylko pozostało na pokładzie, by odciążyć jednostkę. Zanim de Gerlache wysłuchał ich odpowiedzi, zupełnie się załamał, a jego wyuczony spokój zniknął. Rozszłochał się. Belgijska Ekspedycja Antarktyczna miała się zakończyć, zanim w ogóle się zaczęła – pomyślał. „Porażka przed bitwą”. Cisza w kabynie podkreślała gwizd wiatru na zewnątrz i głośny trzask drewnianego kadłuba napierającego na podwodną skałę, co brzmiało jak powolny marsz żałobny. Belgica była stracona.

Razem wrócili na zewnątrz, gdzie szalała burza. Lecointe polecił Arctowskiemu przynieść największą belgijską flagę – tę, którą z taką dumą wciągali na maszt, kiedy wchodzili do portów Montevideo i Rio de Janeiro. Jeśli Belgica miała iść na dno, to godnie, z wciągniętą banderą. Naukowiec przekazał ją Danco, który umieścił flagę na maszcie, a kiedy to robił, na twarzy marynarza krople deszczu mieszały się z łzami.

Patrząc na łopoczący czarno-żółto-czerwony materiał, de Gerlache wyobrażał sobie nagłówki w prasie, kiedy wróci do domu. Pośród listy wszystkich jego koszmarów i strachów przed hańbą i upadkiem, taką sytuację umieścił bardzo blisko szczytu. Udało mu się ściągnąć na siebie uwagę świata i skupić ją na zorganizowanej przez siebie wyprawie – gdyby miał zawieść, nie osiągnąwszy nawet południowego

krańca Ameryki, na zawsze stałby się wstydem dla swej ojczyzny i hańbą dla rodziny.

Nie mając niczego do stracenia, wbrew nadziei i zdrowemu rozsądkowi, postanowił dać losowi jeszcze jedną szansę. Kazał rozwinąć niewielki marsel, po czym wysłał wszystkich marynarzy do kołowrotu, by naciągnęli linę kotwicy i tym samym spróbowali unieść cały statek. „Napieraliśmy jak opętani” – pisał później Amundsen. Korzystając z pokładowego telegrafu łączącego mostek z maszynownią, de Gerlache nakazał mechanikom zwiększyć ciśnienie do maksymalnych wartości. Piec został nakarmiony węglem, doprowadzona do wrzenia woda gotowała się wściekle, a zamknięte zawory nie pozwalały ulatywać parze. Takie działanie mogło łatwo doprowadzić do zniszczenia silnika, lecz jaki byłby pożytek ze sprawnej maszyny parowej, gdyby zaległa na dnie kanału Beagle?

Kiedy przyływ osiągnął apogeum, wiatr wiał z ogromną siłą, a silnik parowy był bliski eksplozji, de Gerlache wydał kilka komend jedna po drugiej: „Przygotować żagle, podnieść kotwicę! Cała naprzód!”.

Wiatr naprężył płótno, marynarze przy kołowrocie stęknęli z wysiłku, tłoki obracały wałem z prędkością, do jakiej silnik ten nie został zaprojektowany, a ledwie zanurzona śruba napędowa kręciła się szybciej niż kiedykolwiek. Połączony wysiłek ludzi, sił natury i maszyny sprawił, że Belgica uniosła się lekko, by zaraz znów oprzeć się na boku. Przyływ zaczął się cofać. Statek zakołysał się, a potem brutalnie runął na bok. De Gerlache wezwał do ostatniego wysiłku.

I wtedy Belgica niespodziewanie wyprostowała się. Kil ześlizgnął się z podwodnej skały i statek znów był wolny.

Wszyscy na pokładzie zaczęli krzyczeć ze szczęścia. De Gerlache, samotny na mostku, jęknął z ulgą. Wiencke widział go z daleka: „Komendant stał tam ze łzami w oczach i spoglądał w toń wody”.

Próby uwalniania statku trwały łącznie trzydzieści sześć godzin. Cook miał później żartować, że skała, na której utknęli, to w istocie

pierwsze odkrycie geograficzne ekspedycji.

Doprowadzenie Belgiki do stanu pozwalającego na podjęcie dalszej podróży zajęło kilka dni, lecz w połączeniu z wcześniejszym, skumulowanym opóźnieniem, oznaczało to, że ekspedycja wpłynie do Antarktyki miesiąc po planowanym terminie. Lucas Bridges, farmer, który pomógł w częściowym rozładunku statku, wspomniał Cookowi, że „niecałą milę dalej obozowała grupa członków plemienia Ona, prawdziwych długowłosych wojowników, odzianych w zwierzęce futra”, i zaproponował, że go do nich zabierze. Cook był zachwycony wizją spotkania i uwiecznienia na fotografiach słynnych przerażających gigantów z Ziemi Ognistej.

Podobnie jak na Grenlandii, lekarz zdobył ich zaufanie, lecząc chorych. Udało mu się częściowo przywrócić wzrok chłopca, który cierpiał na rzeżączkę, przez co jego oczodoły wypełniała ropa. Bridges ostrzegł wcześniej Cooka, że ludzie z plemienia Ona nieufnie spoglądają na aparaty fotograficzne, dlatego lekarz przygotował się odpowiednio i wziął worek landrynek, by ich udobruchać. Kilkadziesiąt zdjęć wykonanych przez Cooka zbudowanym na zamówienie obiektywem Zeissa – wódz wioski w dumnej pozie, odziany w futra upolowanych zwierząt, naga kobieta w ciąży z wyzywającym spojrzeniem, wojownik celujący z łuku w niebo – to jedne z pierwszych fotografii członków plemienia Ona. Do dziś pozostają bezcennym zapisem życia nieistniejącego już ludu i obrazują talent Cooka do uchwycenia dramatyzmu chwili. Lekarz nie mógł się doczekać poruszenia, jakie jego zdjęcia wywołają w Nowym Jorku.

Kolejnym cennym dokumentem opisującym życie jednego z zagrożonych plemion archipelagu Ziemi Ognistej był słownik zawierający trzydzieści tysięcy słów i zwrotów z języka jagańskiego, które przez przeszło trzydzieści lat pracy w tych okolicach spisał i przetłumaczył na angielski Thomas Bridges. Kiedy Belgica przygotowywała się do opuszczenia Harberton, Cook zaoferował, że zabierze jedyny istniejący egzemplarz słownika do Nowego Jorku, gdzie

dopilnuje, by został on opublikowany. Jednak mając w pamięci niedawne zmagania statku z podwodnymi skałami niemalże u progu swego domu, Thomas Bridges zdecydował, że dzieło swego życia owszem powierzy Cookowi, ale dopiero w drodze powrotnej. Jeśli w ogóle wrócą z Antarktydy.

Przed wpływieniem na Morze Południowe należało zrobić jeszcze jeden przymusowy postój. Cała słodka woda ze zbiorników Belgiki została wylana do kanału Beagle przy próbie podniesienia statku i uwolnienia go z rafy. Najbliższe źródło wody pitnej znajdowało się na Wyspie Stanów, w języku hiszpańskim znanej jako Isla de los Estados - argentyńskiej kolonii karnej, oddalonej ledwie dwadzieścia mil od końca archipelagu Ziemi Ognistej - będąc jednocześnie najdalej wysuniętym na południe zamieszkanym miejscem Ziemi.

Skazańcy mogli swobodnie się po niej poruszać, bowiem ucieczka z Wyspy Stanów graniczyła z niemożliwością. Większość wybrzeża była tak najeżona ostrymi skałami, że mogły się na nie dostać jedynie foki, pingwiny i ptaki. W czasie sztormów potężne fale rozbijały się o wysokie klify, wyrzucając nad ich krawędzie słony deszcz. Statki jedynie rzadko odwiedzały to miejsce. Belgica zbliżyła się do tej skalistej wyspy siódmego stycznia, zatem osiemnaście miesięcy po ostatniej jednostce, która wpłynęła do zatoczki San Juan de Salvamento. Krótco po rzuceniu kotwicy na pokład przybyła delegacja składająca się z dwóch przedstawicieli lokalnej społeczności: pana Fernándeza, prefekta wyspy, oraz lokalnego lekarza, doktora Ferranda. De Gerlache zaprosił obu do mesy oficerskiej na powitalny toast i by zabawić gości, uruchomił niewielki patefon, z którego popłynęły dźwięki Ave Maria w wykonaniu Charles'a Gounoda. Ku zaskoczeniu komendanta delikatna melodia sprawiła, że doktor Ferrand zalał się łzami: okazało się, że utwór ten słyszał ostatnio kilka miesięcy wcześniej w wykonaniu córki, zanim wyruszył na wyspę.

Jednego z kolejnych wieczorów, kiedy argentyńscy żołnierze pospołu z zesłańcami wypełnili zbiorniki statku wodą pitną ze źródeł na wyspie,

wędrowcy zostali zaproszeni na obiad w podprefekturze, w którym mieli wziąć udział przedstawiciele socjety tego wysuniętego na najdalszy skraj cywilizacji miejsca: Fernández, Ferrand, dwóch oficerów, dystyngowany kapitan piechoty, który za zamordowanie swego przełożonego został skazany na spędzenie reszty życia w kolonii karnej, oraz jego czarująca żona, która wybrała zesłanie u jego boku. Trzydniowa wieczerza składała się z baraniny, baraniny oraz baraniny podanych na zastawie poskładanej z wielu kompletów wydobytych, podobnie jak meble, z wraków regularnie rozbijających się w okolicach statków.

Kiedy czternastego stycznia o siódmej rano Belgica opuszczała wyspę, Fernández ze służącym stali na brzegu i machali im na pożegnanie. Byli ostatnimi ludźmi, których załoga widziała przed długim okresem osamotnienia. Statek skierował się na południe, prześlizgując się między niezliczonymi wrakami, którymi usłane były wody wokół przylądka Horn, gdzie zderzały się fale Atlantyku i Pacyfiku, a wiatr wiał bezustannie wokół Ziemi.



## Rozdział 6

### **OFIARA**

ANTARKTYDĘ LUDZIE WYMYŚLILI, ZANIM JĄ ZOBACZYLI. Starożytni Grecy, którzy już wówczas uważali, że Ziemia jest okrągła, doszli do wniosku, że w dolnej części planety musi istnieć jakiś wielki ląd, żeby równoważyć masę znanych kontynentów na półkuli północnej. Przez kolejne stulecia to hipotetyczne miejsce było określone różnymi nazwami, włącznie z *Terra Incognita Australis*. Ta, która funkcjonuje dziś - Antarktyda - to antonim Arktyki, słowa pochodzącego od greckiego ἄρκτος, oznaczającego niedźwiedzia, co wynikało z faktu, że wysunięte najdalej na północ tereny naszej planety leżą bezpośrednio pod gwiazdozbiorami *Ursa Maior* (konstelacja Wielkiej Niedźwiedzicy) i *Ursa Minor* (konstelacja Małej Niedźwiedzicy).

Zgodnie z polinezyjską legendą żyjący w siódmym wieku naszej ery wielki żeglarz Ui-te-Rangiora w kanoe wykonanym częściowo z ludzkich kości zapuścił się tak daleko na południe, że zobaczył nagie skały wyrastające z zamrożonego oceanu - przy czym mówił zapewne o górach lodowych. Gdyby była to prawda, oznaczałoby to, że odwiedził on Antarktydę na tysiąc lat przed tym, zanim kolejny człowiek poczuł jej lodowaty oddech. Pierwszą osobą, o której wiemy, że tego dokonała, był angielski korsarz Francis Drake. Opłynął on Ziemię w czasach, kiedy kartografowie wypełniali puste przestrzenie u dołu map chimerycznymi potworami. Otrzymał zadanie znalezienia *Terra Incognita Australis* i ogłoszenia królowej Elżbiety władczynią nowych ziem - ciesząc się przy tym pozwoleniem, by zatrzymać wszystek hiszpański dobytek, jaki uda mu się zdobyć po drodze - Drake wsiadł na pokład *Golden Hind*, jednego z trzech galeonów, którymi dowodził. W 1578 roku wpłynął między wyspy archipelagu Ziemi Ognistej. Kiedy

dotarł do Pacyfiku, potężny sztorm porwał jego okręt i pchnął na niezbadane wody na południe od przylądka Horn.

„Wiatry były tak potężne, jakby ktoś uwolnił wnętrzości Ziemi” – zapisał Francis Fletcher, duchowny z pokładu Golden Hind. – „Lub jakby wszystkie chmury skrzyknęły się w jedno miejsce, by uwolnić w nim swoją siłę”. Pół tysiąca mil dzielących przylądek Horn od Szetlandów Południowych określa się dziś jako Cieśninę Drake’a. Kolejnych sześćdziesiąt pięć mil dzieli te wyspy od Półwyspu Antarktycznego – zwanego również Ziemią Grahama – wyciągniętej macki mroźnego kontynentu.

Belgica potrzebowała siedmiu dni na pokonanie niebezpiecznego i ponurego odcinka, stanowiącego granicę między cywilizacją a lodowatym podbrzuszem planety. Początkowo płynęli po relatywnie spokojnych wodach, prawie nie odczuwając furii, o której pisał Fletcher i wielu marynarzy po nim. De Gerlache zdołał nawet utrzymać statek w bezruchu wystarczająco długo, by Arctowski mógł przeprowadzić serię sondowań głębokości – pierwszych takich pomiarów wykonanych na południe od przylądka Horn.

Polski naukowiec badał swoją teorię, zgodnie z którą Szetlandy Południowe i góry, o których wiadano, że wyrastają na Półwyspie Antarktycznym, w rzeczywistości miały być częścią pasma Andów, stanowiącego kręgosłup całego kontynentu, które później zmieniają kierunek na wschód i kończą się na Wyspie Stanów. Wykorzystując maszynę parową, opuszczał sondę, a potem wciągał ją na pokład, odliczając sążnie, dzięki czemu stwierdził stromy spadek dna morskiego i to aż do głębokości 4040 metrów.

Arctowski nie mylił się w swoich przeczuciach: wielu współczesnych geologów uważa, że Andy i góry Półwyspu Antarktycznego były niegdyś ze sobą połączone. Odnalezione na Antarktydzie skamieliny gadów i fragmenty drzew iglastych wskazują na panujący tam niegdyś umiarkowany klimat. Głębina odkryta przez Arctowskiego jest dowodem na występowanie zjawiska, które dziś znane jest jako

wędrówki kontynentów i które około pięćdziesięciu milionów lat temu otworzyło Cieśninę Drake'a.

Kiedy Arctowski pracował, marynarze umilali sobie czas, polując na albatrosy. Stosowali przy tym dość specyficzną metodę: nabijali przynętę na haczyk wędki i wyrzucali ją wysoko w górę. Ptak nurkował, by pochwycić jedzenie, zanim znajdzie się pod wodą, a kiedy chwycił haczyk, był wciągany na pokład i zabijany. Marynarze odkryli, że długie, puste kości albatrosów doskonale nadają się do wykorzystania jako fujarki.

Załoga najwyraźniej zapomniała już o poemacie Coleridge'a. Niemal natychmiast skończyło się szczęście Belgiki do ładnej pogody i już następnego dnia trzeba było olejem uspokajać rozeżłone morze.

Dziewiętnastego stycznia na horyzoncie pojawił się błysk, który rozświetlił mroczne niebo. Był to tak zwany odbłask lodu, światło odbijające się od pokrytych śniegiem i lodem Szetlandów Południowych, leżących poniżej horyzontu. Nieco później tego samego dnia wszyscy rzucili się na lewą stronę pokładu, by przyjrzeć się pierwszej z napotkanych gór lodowych - białej bezkształtnej masie, którą mijali w odległości kilku mil. Ciekawość szybko ustąpiła miejsca zdenerwowaniu. W nocy mgła zgęstniała, a Belgica bardzo wolno posuwała się przez ciemność, z której bez ostrzeżenia wyłaniały się białe kształty - niektóre przewyższające maszty statku - jeden za drugim, niemal ocierając się o burty.

Pewnego ranka, kiedy Somers obniżył ciśnienie w maszynie parowej, by naprawić źle pracujący skraplacz, w zapadłej nagle ciszy załoga mogła usłyszeć odległy grzmot napierających na siebie mas lodowych - zew antarktycznej bestii. Z mgły wynurzyła się niespodziewanie pojedyncza góra lodowa. Lecointe próbował uniknąć zderzenia, lecz było już za późno: kil statku zahaczył o podwodny lód. Rozległ się mrozący krew w żyłach trzask i zgrzyt, a na powierzchnię wypłynęły kawałki drewna.

De Gerlache przejął ster. Mimo ostrzeżenia od losu nakazał płynąć naprzód, gdyż nie mógł doczekać się wymarzonego celu wyprawy.

I choć góry lodowe pojawiały się coraz częściej i z każdą chwilą były coraz większe, Belgica zwinnie lawirowała między nimi. Chłód i niebezpieczeństwo zdawały się dodawać komendantowi chęci do życia. Sponsorzy, krytycy, zbuntowani marynarze i sabotażyści zostali daleko z tyłu – czuł, że znalazł się dość blisko upragnionego miejsca, by poczuć jego zapach. Nic nie mogło powstrzymać go przed dopłynięciem tam, gdzie planował.

Jego odwaga imponowała Amundsenowi, ale jednocześnie trochę go przerażała. „Komendant się nie boi... silnik wciąż pracuje na siedemdziesięciu pięciu obrotach” – zapisał pierwszy oficer w dzienniku pod datą dwudziestego pierwszego stycznia. – „Nie mogę przestać podziwiać jego odwagi. Zawsze do przodu. Za kimś takim chcę iść z uśmiechem na twarzy i jak najlepiej wypełniać swoje obowiązki”.

Dwudziestego drugiego stycznia, krótko przed południem, wachtę nawigacyjną pełnił August Wiencke. Niespodziewanie pojawił się wyjątkowo mocny wiatr i w jednej chwili rozkołysał morze. Pingwiny wyskakiwały nad wodę i zaraz ginęły w spienionej kipieli, przemieszczając się między wodą a powietrzem. Reagując na zmiany kierunku, nachylenia i wysokości, Wiencke kręcił kołem sterowym, by w miarę możliwości utrzymać statek na kursie, omijając jednocześnie nadpływające góry lodowe. Dopiero wszystkiego się uczył. Dwudziestoletni Norweg zatrudniony na Belgice znalazł jako chłopiec okrętowy, a marynarzem został dopiero w Punta Arenas, w uznaniu ambicji, zapału i dobrego nastawienia po tym, jak z pracą na pokładzie pożegnało się kilku nieokiełzanych Belgów.

Wiencke szybko nauczył się lubić muzykę najgorszych burz, kiedy wiatr „zdawał się chcieć rozerwać wszystko na kawałki, wył wysoko, szarpiąc takielunkiem, by zaraz przejść do najgłębszego basu”. Do życia budziły go potężne sztormy pełne dźwięków przypominających sonaty Beethovena. Powszechnie lubiany przez załogę i oficerów, Wiencke nigdy nie zawiódł pokładanego w nim zaufania. Dobrowolnie zgłaszał się do najniebezpieczniejszych zadań, palił się, by

zademonstrować swoją zwinność i nader często lekceważył ostrzeżenia Amundsena, który wręcz błagał go o ostrożność.

W tamtej chwili stanął przed najtrudniejszym z dotychczasowych zadań. Góry lodowe zagrażały Belgice z każdej strony, a z nieba sypał śnieg, coraz mocniej ograniczając i tak słabą już widoczność. Porywana wiatrem woda ściekała po żółtej zydwestce Wienckego i sztormiaku, w który był ubrany.

W pewnej chwili wyjątkowo potężna fala załała śródkręcie Belgiki, a przez otwarty właz woda dostała się do ładowni. Zaraz potem Wiencke usłyszał wołanie Amundsena, który przekrzykując wiatr i szalejące morze, wzywał go, by zszedł z mostka i mu pomógł. Po przekazaniu steru Belgowi Gustave'owi Dufourowi Wiencke zszedł po drabince na śródkręcie i znalazł się po kolana w wodzie, która nie mogła wrócić do oceanu. Walający się po pokładzie węgiel utknął w szpigatach i zablokował je, więżąc wodę między nadburciami. Kiedy statek się kołysał, woda przelewała się gwałtownie z jednej strony na drugą. Jej poziom zwiększał się z każdą falą załamującą się nad relingami. Wiencke ruszył w stronę Amundsena, przy każdym kroku walcząc o zachowanie równowagi. Na początku oficer polecił młodemu Norwegowi pomóc innemu marynarzowi, Ludvigowi Johansenowi, udroźnić odpływy. Przy jednym z nich zebrało się już kilku mężczyzn i przez niemal godzinę uderzali w zator drewnianą żerdzią. Jedyne, co udało im się osiągnąć, to mocniej ubić węgiel w zwężającym się na zewnątrz otworze. Trzeba było wymyślić inny sposób odblokowania szpigatu.

Johansen uznał, że nie ma innego wyjścia, jak podjąć próbę odblokowania otworu od zewnątrz, spoza statku. Przyniósł długi, metalowy pręt, który przymocował do drewnianej żerdzi, by stworzyć coś na kształt kilofu, który mogliby wykorzystać do wyłuskania zakleszczonego węgla. Wiencke miał położyć się na nadburciu, trzymając zaimprovizowany kilof w rękach wyciągniętych już poza statek, wycelować i oprzeć metalową końcówkę o zator w odpływie,

a zabezpieczony liną Johansen planował wychylić się poza jednostkę i młotem uderzać w metalowy pręt od drugiej strony.

Wiencke położył się na całkowicie mokrym nadburciu, cały czas ubrany w śliski sztormiak, i jedną ręką złapał się relingu. Przyłożył kilof, jak uzgodnili, a Johansen zaczął uderzać w niego młotem. Nic to jednak nie dało. Johansen odsunął się od nadburcia, żeby pomyśleć w spokoju nad nowym sposobem odblokowania odpływu. Stał plecami do Wiencke'ego.

Z gęstej mgły ledwie kilka metrów przed dziobem wyłoniła się niespodziewanie góra lodowa. Kiedy Belgica wykonała gwałtowny skręt na prawą burtę, by uniknąć zderzenia, wiatr nagle wypełnił żagle i szarpnął statkiem naprzód. Jednocześnie pokład zalała kolejna gargantuicznych rozmiarów fala. Johansen szybko się odwrócił, ale Wienckego już nie było.

Marynarz doskoczył do nadburcia i spojrzał w dół – nic. Dopiero kiedy popatrzył za rufę, jego oczom ukazał się przerażający widok: młody chłopak tonął w lodowatej wodzie, zostawał coraz bardziej z tyłu.

Johansen pobiegł do kwater oficerskich, pchnął gwałtownie drzwi i ryknął na całe gardło:

- Wiencke za burtą! Wiencke za burtą!

Słyszając jego krzyk, de Gerlache i Lecointe wybiegli ze swoich kajut.

- Olej, szybko! - polecił komendant.

Johansen wdrapał się na mostek i wyjaśnił Dufourowi, co się stało, a potem kazał skrócić pod wiatr, żeby statek zwolnił. Belg za sterem zmierzył go krytycznym spojrzeniem, po czym wrócił do obserwowania pojawiających się licznie gór lodowych. Po raz pierwszy bariera językowa na pokładzie Belgiki miała przynieść fatalne skutki. Johansen uciekł się do gestów, próbując wyjaśnić Belgowi, co się dzieje, jednak sternik dalej nic nie rozumiał. Wiencke z każdą zmarnowaną chwilą zostawał coraz dalej z tyłu.

Nawet przy spokojnym morzu na tej szerokości geograficznej człowiek w ciągu kilku minut po wpadnięciu do wody umierał w wyniku

hipotermii. W czasie sztormu dochodziło jeszcze równie duże prawdopodobieństwo utonięcia, co dawało jeszcze mniej czasu, by bezpiecznie powrócić na pokład, zanim dojdzie do tragedii.

Nie zastanawiając się długo, de Gerlache wdrapał się na mostek. Odepchnął Dufoura na bok, przejął ster i mocno nim zakręcił, ani na chwilę nie spuszczać wzroku ze zbliżających się gór lodowych. Amundsen w tym czasie sięgnął do telegrafu pokładowego i przesłał do maszynowni komendę: „cała wstecz”.

Log - cienka lina oznaczona węzłami oddalonymi od siebie w równych odstępach, ciągnięta za rufą statku, wykorzystywana do określania jego prędkości - przesuwiał się szybko obok Wiencke'ego. Chłopak ruszył gorączkowo w jego stronę, złapał, zanim ten go minął, i owinął sobie jego koniec wokół nadgarstka. Pęd statku napiął linę i szarpnął marynarzem. Cook schwycił log w miejscu, w którym był przymocowany do pokładu, i zaczął wciągać tonącego Norwega, walcząc przy tym z naporem fal. Ciągnął Wienckiego przez rozszalałe morze, a przy każdym wybraniu liny ciało chłopaka obciążało ją, jakby wyciągał dwustufuntową rybę walczącą o odzyskanie wolności. Lekarza paliły mięśnie ramion i barków. Lina wrzynała się w skórę dłoni, a jednak Cook wyczuł, że ciężar nie był taki sam, jak na początku: zimno obezwładniało marynarza, który nie mógł się utrzymać i przesuwiał się ku końcowi logu. Johansen ruszył pomóc lekarzowi, lecz kiedy do niego dobiegł, Wienckiego ledwie było widać spod powierzchni.

Kilku członków załogi przekonywało de Gerlache'a, że trzeba natychmiast spuścić szalupę. Krzyczeli tak głośno, że słyszeć ich było mimo ryku fal. Komendant był jednak zdania, że sztorm jest zbyt silny, i odmówił zaryzykowania czterech czy pięciu żyć, by spróbować uratować jedno. Lecointe zgłosił się na ochotnika, by wskoczyć do wody. Owinął się szybko liną, zabezpieczył pętlę węzłem ratowniczym i poprosił de Gerlache'a o zgodę na skok.

Porwane przez wiatr krople lodowatej wody uderzyły komendanta w twarz. De Gerlache zawahał się: nie mógł porzucić Wienckiego na

pastwę losu, ale nie mógł też pozwolić sobie na stratę kapitana, drugiej osoby w hierarchii, którego doświadczenie w nawigacji było nie do zastąpienia. Lecointe odczytał milczenie komendanta jako zgodę; w akcie bezprzykładnej odwagi wspiął się na nadburcie, odczekał, aż statek opuści się na falach i skoczył.

Ryk wiatru i krzyki towarzyszy z pokładu zamilkły w chwili, kiedy Lecointe wpadł pod wodę. Słyszał jedynie szum oceanu. Buty i ubranie ciągnęły go w dół, bardzo opóźniając powrót na powierzchnię. Morze ledwie przekraczało minus dwa stopnie Celsjusza, czyli temperaturę zamarzania wody morskiej. W takich warunkach człowiek zamiast zimna odczuwa wszechogarniający ból.

Lecointe wynurzył się obok Wienckiego i z trudem łapał powietrze. Młody marynarz miał szeroko otwarte oczy i patrzył gdzieś w dal. Był sparaliżowany zimnem, ale wciąż oddychał, wydmuchując nosem wodę morską. Kapitan objął go ramionami. Marynarze na pokładzie zaczęli wciągać linę. Lecointe przebywał w wodzie dopiero kilka sekund, ale to wystarczyło, by poczuł skurcze mięśni. Potężne fale unosiły splecionych ze sobą mężczyzn niemal na wysokość nadburci, by zaraz potem cisnąć ich w otchłań, jakby wisieli na szubienicy. Ilekroć lina się napinała, kapitan słabiej trzymał Wienckiego. Marynarz mu nie pomagał; jego bezwładność i przemoczone ubranie sprawiały, że wydawał się jeszcze cięższy. Jeszcze dwa lub trzy razy fale rzuciły nimi z góry, aż w końcu Lecointe nie był w stanie dłużej przyciskać Norwega.

Kapitan kołysał się bezradnie przy burcie. Poniżej siebie widział, jak log odwija się z nadgarstka Wienckiego, zostawiając na skórze głęboki, biały ślad. Belgica kołysała się tak gwałtownie, że przy każdej fali młody marynarz znajdował się niemal na wyciągnięcie rąk ludzi na pokładzie. Johansen wychylił się przez reling, przytrzymywany przez Danco i Amundsena: udało mu się pochwycić Wienckiego za lewą dłoń. Lecz ledwie statek przechylił się na lewą burtę, ciężar bezwładnego Norwega okazał się zbyt trudny do utrzymania. Johansen czuł, jak jego palce ześlizgują się po mokrej skórze i jak traci siłę. Kiedy Belgica wróciła na prawą burtę i z impetem rozbryznęła wodę, Johansen nie był



w stanie dłużej trzymać towarzysza. Morze opadło i zabrało ze sobą Wienckiego.

Wiencke unosił się na plecach. Towarzysze z pokładu w końcu mogli go wyraźnie zobaczyć, ale to, co ujrzeli, przejęło ich grozą: w postaci w wodzie nie spostrzegli młodzieńca, którego znali. Tonący miał czarną, nabrzmiąłą twarz i pianę na ustach.

Z każdą kolejną falą coraz bardziej oddalał się od statku i zaczął tonąć. Marynarze z pokładu Belgiki patrzyli, jak jego żółty kaptur na zawsze znika pod wodą.

W laboratorium, pośród brzęku probówek i kolb, które zapobiegawczo pozamykał w szafkach, Racovitza leżał na podłodze i usiłował zapanować nad chorobą morską. Naraz ktoś stanął w drzwiach. Naukowiec odwrócił głowę i zobaczył bladego i roztrzęsionego Arctowskiego.

- Wiencke nie żyje!

- Jak to, nie żyje? - zapytał Racovitza, zrywając się na równe nogi.

- Fala zmyła go z pokładu i utonął!

Racovitza pospiesznie udał się do mesy oficerskiej, gdzie zastał Lecointe'a. Zaprowadzono go tam wstrząśniętego i zmęczonego nieudaną próbą ratowania jednego z podwładnych. Był półnagi, trząsał się z zimna i płakał.

- Raco, nie podołałem, wysunął mi się z rąk - zaszlochał.

Kapitana trzeba było uspokoić i ubrać - „jakby był dzieckiem” - zapisał później Racovitza.

Na zewnątrz, na pokładzie, nie było czasu na rozpacz i żalobę. Morze szalało, więc de Gerlache przejął kontrolę nad statkiem. Musiał uciec sztormowi. Przed dziobem, po lewej stronie, dostrzegł zarys jakiegoś lądu. Posiłkując się niekompletnymi mapami, które były jego jedynym drogowskazem w tych okolicach - jedną otrzymał od brytyjskiej admiralicji, a druga została narysowana przez niemieckiego wielorybnika Eduarda Dallmanna - de Gerlache zidentyfikował to

miejsce jako Low Island, najbardziej wysuniętą na południe wyspę Szetlandów Południowych. Skręcił w jej stronę, szukając osłony przed szalejącym sztormem. Pchana wiatrem Belgica zwinnie lawirowała między górami lodowymi, aż dotarła do zatoki, gdzie rzuciła kotwicę.

W końcu na statku nastąpiła chwila spokoju.

Tamtej nocy na pokładzie unosiła się dusząca atmosfera żałoby. W kajutach oficerskich i w kubryku rozpamiętywano ostatnie chwile Wienckiego. Większość z członków załogi nigdy wcześniej nie była świadkiem czyjejś przedwczesnej śmierci. Lecz nawet ci, dla których widok zwłok nie był niczym nowym – jak doktor Cook – nie byli przygotowani na nieludzko wykrzywioną i zdeformowaną twarz tonącego w ostatnich chwilach jego życia.

Racovitza nie widział samego wypadku, a mimo to dręczyły go smutek i żal. Nie mogąc usnąć, udał się do laboratorium, usiadł w fotelu i zaczął snuć rozważania na temat nagłego, tragicznego zdarzenia.

„Przygoda jeszcze nie rozpoczęła się na dobre, a my już zostawiamy za sobą ciało towarzysza. Kto będzie następny? Kogo spośród naszej osiemnastki, która pozostała, by zmierzyć się z nieznanym, czeka taki sam los? ...natura zabierze to, co do niej należy”. Tamtej nocy nie był jedyną osobą, którą dręczyły podobne pytania.

De Gerlache wiedział, że Antarktyda nie jest najbezpieczniejszym miejscem na Ziemi i że to kontynent, do którego należy podchodzić z ogromnym szacunkiem i ostrożnością. Stracił jednak jednego ze swoich ludzi, świetnego marynarza, jeszcze zanim mroźny ląd w ogóle znalazł się w zasięgu wzroku. Dręczyło go pytanie, czy dobrze zrobił, nie wydając polecenia, by spuścić szalupę. Zastanawiał się, co powie rodzicom Wienckiego, którzy bez wątpienia będą go obwiniali o śmierć syna. Gdyby nie ekspedycja, chłopak dalej by żył.

Cook wciąż czuł ciężar ciała towarzysza na drugim końcu logu. Wiencke miotał się jeszcze w wodzie, kiedy lekarz dopadł liny. Lecz gdy Cook dociągnął go w pobliże statku, młody marynarz już się nie ruszał

i nie reagował na krzyki. Czy był w stanie prędzej doholować go do Belgiki? Czy to cokolwiek by zmieniło?

Amundsenowi nie dawała spokoju myśl, że to on wydał Wienckemu polecenie odetkania odpływu. Tamtej nocy idealizował postać swego towarzysza z pokładu, kiedy pisał o nim w pamiętniku: „Nigdy go nie zapomnimy. Niestety, pośród wszystkich zalet, miał jedną przywarę: był gotów wychylić się za burtę bez należytego zabezpieczenia, niezależnie od warunków... ileż razy zwracałem mu uwagę!”.

Pierwszy oficer nie potrafił zliczyć, ile razy beształ młodego marynarza i nakazywał mu się zabezpieczać. Czy posłuchałby, gdyby powtórzył mu raz jeszcze, że ma przewiązać się liną w pasie?

Najbardziej poruszony śmiercią chłopaka był człowiek, który najwięcej zrobił, by go uratować. Lecointe zaryzykował życie i wskoczył do wzburzonego, lodowatego morza. Trzymał go nawet w ramionach. Lecz niezależnie od tego, ile heroizmu było w jego czynach, ostatecznie okazało się, że to nie wystarczyło. Kapitan nie przestawał żałować, że zabrakło mu sił. „Cały czas go widzę” - zapisał w dzienniku. - „Jego wytrzeszczone, martwe oczy, jak na zawsze znikają pod wodą”.

## Rozdział 7

### **NIEZBADANE ZIEMIE**

DWUDZIESTEGO TRZECIEGO STYCZNIA O PIĄTEJ PO POŁUDNIU z przeredzającej się na horyzoncie mgły wynurzył się czarny punkt. Tak wyglądało pierwsze spotkanie załogi z Antarktydą. Po kilku godzinach mgła całkowicie ustąpiła, a z pokładu Belgiki można było dojrzeć górzysty krajobraz. Statek wpłynął do Zatoki Hughesa na północno-zachodnim wybrzeżu Ziemi Grahama, jak wówczas nazywany był ten najdalej wysunięty skrawek Półwyspu Antarktycznego. Członkowie załogi czuli się, jakby żywcem zostali przeniesieni do świata mitów. Tam, gdzie kończyła się woda, zaczynał się śnieg, jakby ocean sięgał połowy Himalajów.

Dla de Gerlache'a był to wyjątkowy moment, ukoronowanie jego dotychczasowego życia. Spoglądał na spełnienie marzeń, które latami w sobie pielęgnował. Zorganizował wyprawę, zebrał na nią fundusze, zniósł ataki belgijskiej prasy i innych niedowiarków, cierpiał po poniżającym opóźnieniu, zażegnał rodzący się na pokładzie bunt, o włos uniknął roztrzaskania statku na podwodnych skałach i dopiero co stracił jednego ze swoich podkomendnych. Lecz teraz w końcu ziściły się jego marzenia z dzieciństwa. A jedyną osobą na pokładzie, która mogła zrozumieć podniosłość chwili i dzielić z nim poruszenie, był doktor Cook, sam od lat walczący o taką podróż. Mimo przeciwności żaden z nich nigdy nie porzucił wiary, że dotrą tu pewnego dnia. Sława i chwała jeszcze nie stały się ich udziałem, lecz w końcu mieli je w zasięgu ręki.

Lawirując ostrożnie między górami lodowymi, z opuszczoną do połowy masztu norweską flagą, by uczcić pamięć Wienckiego, Belgica minęła sporą liczbę niewielkich wysepek, których próżno by szukać na

istniejącej mapie. Odgłos pracującego silnika parowego rozchodził się nad gładką taflą wody. O wpół do dziesiątej wieczorem, w słabnących promieniach letniego słońca oficerowie wybrali jedną z wysp, by po raz pierwszy zejść na ląd: nie wyróżniający się niczym, nieoznaczony na mapie kawał bazaltu o średnicy około trzystu pięćdziesięciu metrów, oczyszczony przez wiatr ze śniegu, za to z brzegiem, do którego dało się przybić. Pierwszy wkład wyprawy w rozwój kartografii de Gerlache nazwał na cześć swego ojca Wyspą Auguste'a.

De Gerlache, Cook, Arctowski, Racovitza i Danco zapakowali się do jednej z łodzi i powiosłowali w stronę brzegu. Ich przybycie oprotestował kakofoniczny chór rzadko spotykanych ptaków: wydrzyków, petreli i pingwinów. „Wszystko dookoła jawiło się jakby przeniesione z innego świata” – pisał później Cook. – „Sceneria, życie, chmury, powietrze, woda – wszystko spowite było welonem tajemnicy”. Mężczyźni ponad godzinę eksplorowali wyspę. Arctowski odłupywał kawałki skały, Racovitza zbierał próbki porostów, mchów i wodorostów, a Danco próbował złapać pingwina. W tym czasie zaczęło zmierzchać i nadszedł przypływ. Cook i de Gerlache wrócili do łodzi, by nie odpłynęła od brzegu, i spoczęli na drewnianych ławkach, podczas gdy pozostali pracowali na lądzie. „Kołysząc się na falach, próbowaliśmy obserwować ich przez lunety” – wspominał Cook. – „Szybko jednak mrok ukrył ich przed naszymi oczyma. Mogliśmy ustalić miejsce pracy Arctowskiego, podążając za głuchym odgłosem jego młotka, a Racovitzy, słuchając chóru pingwinów, które głośno obwieszczały jego każdy krok”. Na pokład Belgiki wrócili krótko po północy, przy czym Danco w towarzystwie dwóch skrzeczących pingwinów, które niósł przyciśnięte do boków.

Następnego dnia, dwudziestego czwartego stycznia, zaraz po lądowaniu na kolejnej z nieoznaczonych na mapie wysp Belgica ruszyła wzdłuż wybrzeża zatoki w poszukiwaniu przejścia na wschód, które przecinałoby Ziemię Grahama i łączyło się z Morzem Weddella. Nie natrafiono wówczas na takie połączenie, jednak obniżenie w łańcuchu górskim na horyzoncie sugerowało istnienie długiego kanału

prowadzącego na południowy zachód. Obie mapy Zatoki Hughesa, którymi dysponował komendant, opisywały tamte okolice jako stały ląd, przy czym z poziomu bocianiego gniazda widać było ciągnącą się jak okiem sięgnąć cieśninę. Zatem mapy ewidentnie się myliły. Belgica nie spędziła tu jeszcze pełnej doby, a de Gerlache stanął przed szansą na spełnienie marzenia każdego podróżnika: dokonania wielkiego odkrycia.

Przez trzy dni bronił się przed pokusą wpłynięcia w zauważony kanał, by dać czas naukowcom na zbadanie Zatoki Hughesa, a kapitanowi Lecointe'owi na prace kartograficzne. Dwudziestego piątego stycznia kapitan mógł skorzystać z rzadkiej tam bezchmurnej pogody i oznaczyć za pomocą brązowego sekstansu wysokość słońca nad horyzontem, co pozwoliło mu ustalić dokładną szerokość geograficzną, na jakiej się znaleźli. Był przekonany, że to mgła spowijająca bezustannie antarktyczne wybrzeże stanowiła wytłumaczenie dla ogromnej niedokładności i niekompletności nielicznych map tych okolic, które powstały: przez większość czasu wyczynem było dostrzeżenie linii brzegowej, nie wspominając o gwiazdach czy słońcu.

Dwudziestego szóstego stycznia Amundsen dołączył do zespołu schodzącego na ląd, na Wyspę Dwóch Torosów (Two Hummock Island), jedną z zaledwie dwóch wysp możliwych do zidentyfikowania na istniejących mapach, by wypróbować tam narty. Pomykał z rozkoszą przez lodowiec pokrywający większą część lądu. Mijał skonsternowane pingwiny, przekonany, że oto wyruszył na pierwszą w dziejach przejażdżkę narciarską po antarktycznej *terra firma*. Drobnym to podbój, jeśli w ogóle można było użyć tego słowa, ale dla niego stał się formą inicjacji w obszarze odkryć w tej części świata, pierwszym - *pierwszym* - punktem na długiej - taką żywił nadzieję - liście polarnych osiągnięć i rekordów, które uda mu się uzyskać.

Mglistego popołudnia dwudziestego siódmego stycznia de Gerlache w końcu skierował statek w stronę wejścia do kanału prowadzącego na południowy zachód, który przyzywał go bezustannie przez kilka

ostatnich dni. By podkreślić wejście Belgiki na dziewicze wody, na główny maszt kazał wciągnąć belgijską flagę, pomny, że tylko on, załoga i dzika przyroda będą świadkami tego wydarzenia – najbliższa jednostka musiała znajdować się setki mil morskich na północ.

Tak im się przynajmniej wydawało, bo kiedy posuwali się w stronę wejścia do kanału, obserwując po obu stronach Belgiki grzbiety humbaków wynurzających się spod powierzchni, marynarze dostrzegli na wodzie podłużny, prosty obiekt. Szybko okazało się, że to maszt z wciąż przymocowanymi rejami, jeszcze o naturalnej barwie drewna, niewybielony przez sól: pozostałości jednostki, która całkiem niedawno poszła na dno, sądząc po stanie jej resztek. Czy katastrofa wydarzyła się gdzieś w pobliżu? Czy może fragmenty omasztowania prądy morskie przyniosły skądś, z bardzo daleka? Niektórzy na pokładzie odczytali to jako zły omen. „Czy taki los czeka Belgicę i zniknie ona za zawsze” – rozmyślał Lecointe – „nie pozostawiając żadnego śladu, prócz może fragmentu masztu?”.

Złowróźbny znak szybko poszedł w zapomnienie, kiedy Belgica pośród baśniowych refleksów wpłynęła w niezbadaną cieśninę. Słońce skryło się za górami na zachodzie, lecz co jakiś czas wyglądało między ich szczytami i oświetlało pojedyncze chmury nad głowami marynarzy, tkając złote runo rozpostarte nad pogrążającą się w mroku doliną, a jego refleksy tańczyły po czarnogranatowej powierzchni wody. Góry lodowe pojawiały się niczym zjawy, jak zapamiętał je Lecointe.

Członkowie załogi byli pierwszymi ludźmi, którym dane było podziwiać tę podniosłą scenerię. Pchani mocą silnika parowego, przesuwali się między wyrastającymi wprost z wody masywami górskimi, wznoszącymi się na ponad półtora tysiąca metrów. W tamtej chwili stali się jedynymi mieszkańcami lodowatego Edenu, nadając imiona mijanym wyspom, wybrzeżom, przylądkom i nieznanym dotychczas gatunkom, które napotykali na swej drodze, a każdy pokonany metr poszerzał wiedzę ludzi o świecie.

Lato antarktyczne to precudny czas, w którym temperatury bardzo rzadko spadają znacząco poniżej zera stopni Celsjusza (lecz nie rosną

też wysoko ponad!), a noc nigdy nie staje się mroczna. Jej miejsce zastępuje delikatne lśnienie pokrywające powierzchnię morza refleksami, zmieniając ją w mieniącą się feerią barw masę perłową. „Zmrok i wschód słońca spajają się w jedno” – opisywał ten fenomen de Gerlache, choć bardzo szybko mrok miał zacząć odsuwać je od siebie i z każdym obrotem planety pozostawać nieco dłużej.

Próbki zebrane przez Arctowskiego, geologa, który młotkiem odłupywał je od skał, pozwoliły ustalić ich pochodzenie jako wulkaniczne: w znacznej części był to granit i bazalt. Wszystkie zbocza, z wyjątkiem tych pionowych, pokrywała biel. Krajobraz wykuty w ogniu i ukształtowany przez lód. Lodowce nie tyle wędrowały dolinami niczym rzeki, jak w górskich okolicach, w regionach o mniej ekstremalnych temperaturach, a raczej pokrywały każdy fragment powierzchni, z której nie zsuwał się śnieg. A ten padał bez wyjątku codziennie, choć nie długo i raczej były to drobne płatki. Jednak gromadząc się tak przez tysiące lat i nie topniejąc latem, zbijał się w warstwę lodu grubości kilkuset metrów, a potem powoli, lecz nieustępliwie zsuwał się w stronę morza, gdzie pękał, tworząc góry lodowe – odłamywały się one pod własnym ciężarem albo podmyte przez przepływającą pod lodowcem wodę<sup>17</sup>.

Podróżując przez lodowe kaniony, Cook nie mógł wyjść z podziwu dla surowości krajobrazu, daleko pełniejszego dramatyzmu niż widoki, które oglądał w Arktyce. Jako fotograf wyprawy, ilekroć mijali jakiś cud natury, natychmiast rozstawiał statyw na pokładzie i kierował obiektyw w jego stronę. „Gdy posuwaliśmy się szybko cieśniną, gdzie co kawałek rozpościerała się nieprawdopodobna panorama nowego świata” – pisał w dzienniku – „naszej podróży towarzyszył szcęk migawki, rozlegający się równie często i regularnie jak stukot telegrafu giełdowego”. Zdjęcia Cooka, najpewniej pierwsze w historii, które przedstawiały Antarktydę, świetnie oddają charakter krajobrazów, które nawet dla bezpośredniego obserwatora jawią się przede wszystkim jako połączenie bieli i czerni.



Pośród obiektów, które Cook najczęściej uwieczniał na fotografiach, pojawiały się góry lodowe w nieskończonej liczbie kształtów i rodzajów. Wszystkie powstawały w ten sam sposób, poprzez oberwanie się fragmentu lodowca, który z hukiem wpadał do wody – był to głośny i gwałtowny proces nazwany „cieleniem się”, jakby rzeczywiście rodziły się młode. Od tej chwili każda z gór rozpoczynała indywidualną podróż, w czasie której morze nadawało jej określoną formę. Morze, czasem nieco chłodniejsze, a czasem nieco cieplejsze niż słodkowodny lód, wygładzało krawędzie, pogłębiało wklęsłości i podkreślało znaki szczególne. Z biegiem tygodni i miesięcy mogło oderwać spore fragmenty, przesuwając środek ciężkości góry, przez co potężna lodowa masa obracała się, by na nowo złapać równowagę. Wtedy morze zabierało się za formowanie miejsc, które wcześniej znajdowały się powyżej linii wody. Pęcherze powietrza wznoszące się ku powierzchni zostawiały podłużne rynienki wzdłuż boków, jak rzeźbienia greckich kolumn. Kiedy góra obracała się w wodzie, uwięzione w niej powietrze znów wędrowało ku powierzchni, rzeźbiąc lód w innym kierunku i tworząc skomplikowane wzory.

Im dłużej góra lodowa przebywała w morzu, tym bardziej nabierała charakteru. Duże góry – niektóre wznosiły się niemal siedemdziesiąt metrów nad poziom oceanu, inne mogły mieć po kilka kilometrów długości – coraz bardziej przypominały arkadowe obiekty, z morzem drążącym głębokie groty czy nawet tunele na przestrzał, czy też kolumnady. Mniejsze nabierały wyglądu baśniowych stworzeń. Mijając je, mężczyźni na pokładzie zmieniali się w dzieci wypatrujące znajomych kształtów w chmurach. „Słyszałem, jak Arctowski porównał jedną do egipskiego Sfinksa” – zapisał Cook. – „Na co zaprotestował Racovitza, upierając się przy podobieństwie do białego niedźwiedzia. Ktoś z załogi krzychał, że góra zaczyna się ruszać. I nagle obraz ożył, a marynarze nie chcieli uwierzyć, że to nie jest rzeczony niedźwiedź”.

W bezwietrzne dni, kiedy nie stanowiły dla statku zagrożenia, góry lodowe stawały się obiektem ogromnej fascynacji, lecz ich piękno co najmniej dorównywało niebezpieczeństwu, jakim były. Jako że ich dolna

część sięgała głęboko pod powierzchnię, działały na nie inne prądy, przez co mogły płynąć w kierunku przeciwnym niż wszystko, co unosiło się na morzu, w tym wręcz pod wiatr. Nie sposób było przewidzieć kierunku, w którym będą się poruszały<sup>18</sup>. To, co przy pięknej pogodzie wyglądało jak park pełen wspaniałych dzieł sztuki, w czasie sztormu czy mgły zmieniało się w śmiertelną pułapkę.

Czarno-białe, wyraziste fotografie Cooka świetnie nadawały się do dokumentowania mocnych kontrastów na zboczach pokrytych śniegiem gór, nie odzwierciedlały zaś tak dobrze subtelniejszych szczegółów, takich jak odcienie kolorów widziane tylko z bliska: żółte, czerwone czy pomarańczowe porosty pokrywające fragmenty skał albo soczysty akwamaryn zanurzonych części gór lodowych. Nie oddawały również czarownego spektrum błękitów, którymi mienił się lód i którymi emanowały lodowe grotty. Im starszy był lód, tym bardziej zagęszczały go stulecia ogromnego nacisku i tym intensywniejsza była jego niebieska barwa, aż w końcu, w najgłębszych częściach lodowca, stawał się przezroczysty, co szczególnie było widać w głęboko wydrążonych grotach, których wejścia kusily marynarzy do odwiedzin.

Cook nie przepuszczał żadnej okazji, by zejść na ląd. Najzwinniejszy z członków wyprawy balansował na dziobie łodzi wiosłowej i pierwszy zeskakiwał na śliskie skały z cumą w ręku. Taszczył nieporęczny aparat fotograficzny z ciężkim statywem, rozstawiał go na niebezpiecznych półkach skalnych i robił szerokie ujęcia Belgiki pokonującej kolejne fragmenty kanału. Jego fotografie wywołują wrażenie spokoju i ciszy, co stoi w sprzeczności z opisami dźwięków, które Cook notował, będąc na pokładzie: „budzące jednocześnie zachwyt, grozę i niespokojne zainteresowanie odgłosy, stanowiące mieszaninę krzyków kormoranów, przenikliwych wrzasków mew, ochrypłych nawoływań pingwinów: *grry-haa*, *grry-haa*, nagłych i nieoczekiwanych wydechów wielorybów, plusku fok i pingwinów oraz kakofonii przywoływań wydawanych przez pisklęta i młode zwierzęta przesiadujące na skałach przed nami”. Co jakiś czas nad powierzchnią wody przetaczał się grzmot cielącego się

lodowca, który odbijał się potem echem od wyrastających na brzegach gór; wspaniały zew naturalnej potęgi natury.

Racovitza, jako pierwszy zoolog, który postawił stopę na antarktycznym lądzie, regularnie narażał życie w imię nauki. Pierwszego lutego, po południu, znalazł się na lądzie znanym później jako Wyspa Cuverville'a. Tam, stojąc u stóp niemal pionowej ściany skalnej, dostrzegł przez lunetę wysoko nad sobą kilka źdźbeł trawy. Poczuł się, jakby pośrodku pustyni trafił na samotną palmę: od kiedy pozostawili za sobą Amerykę Południową, jedynymi przedstawicielami flory były wodorosty, mchy i porosty. Racovitza był zdeterminowany, by zdobyć próbkę rośliny, nie bacząc na niebezpieczeństwo, jakie niosła ze sobą wymagająca wspinaczka dla kogoś tak niedoświadczonego w sportach górskich. Bez namysłu odłożył strzelbę i torbę i rozpoczął mozolne wejście. Czepiał się palcami najmniejszych nierówności w skale, wbijał ostrze czekana w szczeliny i podciągał się, wisząc tylko na jego stylisku. Wędrówka była wyczerpująca, ale adrenalina nie pozwalała mu się cofnąć. W końcu, niedaleko celu i przerażająco wysoko nad kamienistą plażą – zaatakowały go dwa wydrzyki – duże, brązowe ptaki, wyglądające jak mewy. Poderwały się z jakiejś półki i zaczęły dziobać go i bić skrzydłami. Wyraźnie broniły dwójki piskląt, a Racovitza dopiero teraz zauważył, że ich małe, łysawe łebki wychylają się z gniazda nieopodal. To był moment budzący największą grozę – jeden niewłaściwy ruch oznaczał śmiertelny upadek. Lewą dłonią uczepiony skały, naukowiec bronił się przed ptakami, wymachując czekanem. Na tyle skutecznie, że wreszcie udało mu się zebrać próbkę trawy i ruszyć w dół.

Jego łup bez wątpienia wart był ryzyka – zdobył próbkę rośliny naczyniowej ze stanowiska najdalej dotychczas wysuniętego na południe, rzadkiego i wyjątkowo odpornego gatunku śmiałka antarktycznego (*Deschampsia antarctica*), zdolnego do przetrwania na nieurodzajnej glebie przy ekstremalnie niskich temperaturach i mocnych wiatrach. Antarktyda okazała się bezlitosnym

i nieprzyjaznym miejscem, lecz w żadnym razie nie jałowym. Życie i tutaj przetrwało.

Badając próbki pod mikroskopem, Racovitza stwierdził różnorodność występujących tam mikroorganizmów, w tym obecność pękatych, ośmionogich niesporczaków, które doskonale radziły sobie w miejscach o najbardziej niesprzyjających warunkach na Ziemi (a nawet, co ludzie odkryli dużo później, również w kosmosie). Zbierał roztocza z pokrytych porostami odłamków skalnych, a także zaobserwował największe wyłącznie lądowe zwierzę występujące na Antarktydzie: czarną, kilkumilimetrową nielotną muchówkę, której, by uhonorować wyprawę, nadał nazwę *Belgica antarctica*. Jedyne owad zamieszkujący ten kontynent nawet dwa lata spędza w stadium larwalnym, a w stanie dorosłym ledwie kilka dni wiosną i latem, w czasie których przedstawiciele tego gatunku kopulują i składają jaja. Ewolucyjna utrata skrzydeł świadczy o brutalności wiatrów regularnie smagających mroźną Antarktydę.

Zgodnie z obserwacjami naukowca każde zwierzę w tym ekosystemie zależało bezpośrednio lub pośrednio od morza. Ptaki żywiły się głównie kryłem i skorupiakami. Niektóre gatunki, jak wydrzyki, zjadały również jaja i młode pingwinów. Inne, jak petrel antarktyczny, były nienasyconymi padlinożercami, objadającymi się truchłem do tego stopnia, że nie były w stanie wzbić się w powietrze na widok Racovitzy, który zbliżał się, by zbadać zauważone ścierwo. Jednak, jak zoolog szybko się przekonał, petrele wykształciły specyficzny mechanizm obronny: „Strzykają w stronę intruza zawartością przewodu pokarmowego, a mogę zapewnić, że osoba pokryta gęstą mieszaniną mniej lub bardziej rozłożonego pożywienia nie ma powodów do dumy ani zadowolenia” – zanotował. – „Odór jest trwały, przenikliwy i odrażający... tak strasznie, że trudno nie zrobić tego samego, czego przed chwilą dokonał petrel”.

Członkowie wyprawy mogli zakładać, że na tych szerokościach geograficznych przyjdzie im oddychać krystalicznie czystym powietrzem, jednak wbrew ich oczekiwaniom wiatr często niósł ze sobą

wonie dalekie od przyjemnych, poczynając od gryzącego odoru kolonii fok, typowego dla tych przedstawicieli gromady ssaków, a kończąc na smrodzie zgnilizny towarzyszącym wydechom wielorybów. Racovitza dostąpił rzadkiego przywileju podziwiania tego ostatniego zupełnie z bliska. Chciał bowiem za wszelką cenę wykonać fotografię humbaka w chwili, gdy ten wynurzał się i wydychał zawartość płuc. Kiedy więc zauważył charakterystyczny kształt walenia zmierzającego pod wodą wzdłuż burty statku, rzucił się z aparatem na mostek, gotów we właściwym momencie wykonać zdjęcie. Idealnie przewidział ruchy zwierzęcia: grzbiet potężnego ssaka pojawił się bezpośrednio pod nim, a z otworu nosowego wydobył się wydech. Racovitza został od stóp do głów spryskany mieszaniną gazów i cuchnących skroplin, przesiąkniętych wonią rozkładu niezliczonych zwierząt morskich, które straciły życie po odcedzeniu na fiszbinach<sup>19</sup>. „Nozdrza miałem przepełnione odorem tak duszącym, że, ze wstydem przyznaję, zapomniałem nacisnąć migawkę” – opisał później to spotkanie.

Najczęściej czuć było w powietrzu smród kolonii pingwinów, które wydawały woń cuchnącą jak zgniłe owoce morza. Wielkie skupiska tych zwierząt dosłownie tonęły w guanie, które barwiło śnieg na krwistoczerwony kolor, a poza głośnym jazgotem ich obecność już z wielu setek metrów zdradzał właśnie duszący odór. Spośród wielu gatunków zwierząt, które odkrywcy spotkali na swej drodze, żadne nie wzbudzały takiego zainteresowania i rozbawienia jak pingwiny. Po pierwsze wynikało to z komicznego kaczego chodu, który przypominał sposób, w jaki ludzie poruszali się na ruchomych obrazach – wynalazku zaprezentowanym w Brukseli ledwie dwa lata wcześniej przez słynnych braci Lumière – a ponadto było to konsekwencją skomplikowanych relacji stadnych, jakie przedstawiciele tego gatunku tworzyli między sobą. Pingwiny od tysiącleci mieszkały w całkowitej izolacji, nie miały więc okazji wykształcić w sobie naturalnego strachu przed ludźmi, co pozwoliło Racovitzy obserwować ich rytuały z bliska. Barwny i żywy styl prowadzonych dzienników oraz poczucie humoru młodego rumuńskiego zoologa sprawiły, że opisy pingwina białobrewego

i pingwina maskowego - dwóch gatunków pingwinów dominujących w okolicach cieśniny - pełne są obrazowych, antropomorficznych porównań. „Pingwina maskowego” - pisał Racovitza - „można rozpoznać po cienkiej, czarnej linii, która przebiega w górę, wzdłuż jego policzków, zakręcona jak wąs muszkietera. To nadaje mu zadziornego wyglądu, korespondującego z jego charakterem”. Pingwiny maskowe z ochotą rzucały się do walki o każdy fragment terenu. W czasie tych pojedynków „z daleka wyglądały jak dwóch rybaków podważających świeżość towaru konkurenta”. Większą wolą współpracy - i barwami - wyróżniały się pingwiny białobrewy. Naukowiec opisywał je jako „nieco większe niż pingwiny maskowe i zdecydowanie elegantsze dzięki szkarłatnym dziobom i stopom oraz czarnym głowom „ukoronowanym białym diademem”.

Choć w rzeczywistości oba gatunki porównywalne były zarówno wielkością, jak i rytuałami godowymi, pingwiny maskowe i białobrewy różniły się innymi cechami na tyle, że Racovitza porównał ich społeczności do dwóch wielkich nurtów politycznych, które ścierały się ze sobą w całym zachodnim świecie (i były tematem ekscytujących dyskusji toczących się wśród załogi Belgiki): pingwiny maskowe, jak pisał: „to urodzeni indywidualiści, bezustannie... toczący boje o własność prywatną”, zaś „w przeciwieństwie do nich przyzwoite i szczerze pingwiny białobrewy to bystrzy komuniści, nieposiadający niczego, czego musieliby bronić przed swymi towarzyszami, dzielący z nimi ziemię i upraszczający obowiązek zajmowania się młodymi poprzez tworzenie publicznych żłobków”. Załodze tak bardzo przypadły do serca pingwiny białobrewy, że jej członkowie zabrali na pokład trzy ptaki tego gatunku jako zwierzęta domowe. Dwa z nich niemal natychmiast zdechły, za to trzeci szybko poczuł się jak w domu i radośnie paradował po statku. Marynarze lubili go coraz bardziej. Rozpieszczali go i nazywali Bébé.

Obowiązki Racovitzy wykraczały poza prowadzenie prostych obserwacji. Jego zadaniem było zebranie kilku próbek każdego napotkanego gatunku, zarówno fauny, jak i flory, by dostarczyć je

później do Belgii, gdzie miały stać się częścią kolekcji brukselskiego muzeum historii naturalnej. Wymagało to od niego uśmiercania zwierząt z odrażającą wręcz regularnością – nieuniknionego krwawego bezczeszczenia bieli lodowego rajy w imię nauki. Na mewy i pingwiny z łatwością wystarczał śrut, celnie zastosowana pałka albo szybkie skręcenie karku. Za to większe zwierzęta – w szczególności amfitryty lamparcie i foki Weddella, obrośnięte grubą warstwą tłuszczu – wymagały zastosowania cięższej amunicji. Mimo że naukowiec dokonywał tych egzekucji z laboratoryjną precyzją, ich ponure pozostałości długo nie pozwalały mu znaleźć uspokojenia. Trafił pewnego dnia na samicę amfitryty leżącą na boku, po czym zaraportował w dzienniku: „strzeliłem jej w głowę tuż za uchem pociskiem grzybującym, który wyszedł nad okiem. Zwierzę momentalnie straciło życie, jednak grube na palec strumienie krwi przez pięć minut tryskały z ran po postrzale. Jej ilość była iście zatrważająca”.

Po dokonaniu kilku pomiarów *in situ* ciepłego jeszcze truchła, wraz z asystentem – zazwyczaj pomagał mu w pracy Johan Koren – zaciągali zwierzę na pokład, gdzie przygotowywali je do konserwacji. W przypadku kręgowców procedura polegała na usunięciu mięsa i organów wewnętrznych oraz oczyszczeniu tkanek z kości, które po oznaczeniu trafiały do ładowni. Jeśli w trakcie prac znajdowali płód, wycinali go z macicy i umieszczali w słoju z etanolem. Wysuszone skóry zabezpieczano przed szkodnikami arsenikiem, by po powrocie do Europy można było je poddać obróbce taksydermicznej. Przedstawiciele mniejszych gatunków, w tym larwy czy mikroorganizmy, trzymano w specjalnych szklanych pojemnikach. Przez trzy tygodnie Racovitzy udało się zgromadzić kolekcję ponad czterystu gatunków roślin, zwierząt, grzybów, organizmów prokariotycznych (alg) i jednokomórkowych glonów (okrzemek), z czego sto dziesięć nie było wcześniej znanych nauce. Jego laboratorium przekształciło się w niewielkie muzeum, a największym żalem młodego Rumuna napełniał fakt, że nie był w stanie złapać wieloryba.

Praca Emile'a Danco przynosiła mniej spektakularne efekty. Jego zadaniem było prowadzenie obserwacji geofizycznych regionu, co wymagało bardzo dokładnego ustalania lokalnych wahań w natężeniu pola magnetycznego i grawitacyjnego Ziemi. Wśród praktycznych zastosowań takich danych było ułatwienie pracy marynarzom<sup>20</sup>. Informacje te były bardzo cenne również z czysto naukowej perspektywy, bo pozwalały lepiej zrozumieć magnetyzm Ziemi. Niestety, Danco nie był naukowcem. De Gerlache zatrudnił go nie z powodu kwalifikacji, a raczej dzięki więziom przyjaźni, lojalności i by mieć na pokładzie kogoś, komu mógł zaufać – a może i ze współczucia. Mimo to z trudem udało mu się znaleźć dla niego zajęcie. Danco był oficerem artylerii, a więc specjalności o ograniczonym zastosowaniu w podboju Antarktydy. Z początku komendant uczynił go odpowiedzialnym za obserwacje i pomiary meteorologiczne, jednak po ukończeniu kursów w różnych instytucjach Danco uznał, że to zbyt skomplikowana dziedzina i poprosił o przydzielenie innych obowiązków. Wtedy de Gerlache zaproponował geofizykę – pomiary natężenia pola grawitacyjnego oraz magnetycznego Ziemi, a Danco przyjął ofertę. I choć przez kilka miesięcy przygotowywał się do tego zadania pod okiem najlepszych specjalistów z całej Europy, problemem okazał się brak technicznych inklinacji oficera: nauczył się wprawdzie obsługiwać takie urządzenia jak magnetometr Neumayera, nie posiadał jednak dość wyobraźni, by zrozumieć zjawiska, które nimi badał – a w każdym razie nie pojmował ich na tyle, by zorientować się, jakiej wiedzy mu brakuje, na przykład świadomości o zewnętrznych czynnikach wpływających na pomiary. Na dodatek nie radził sobie ze skomplikowanymi wyliczeniami, koniecznymi do prowadzenia badań. Danco nie potrafił również zapamiętać prostych, a przy tym podstawowych szczegółów niezbędnych dla prawidłowego działania drogiego sprzętu, jaki został oddany pod jego opiekę, nie wspominając o dochowywaniu standardów prowadzenia pomiarów. Z tego względu lwią część jego pracy okazała się zupełnie nieprzydatna.



Za to kapitan Lecointe okazał się bardzo sumiennym naukowcem o wszystkich tych cechach, których Danco brakowało. Jego podstawowym zadaniem było umiejscawianie Belgiki w czasie i przestrzeni. Praca ta wymagała od kapitana doskonałej znajomości trygonometrii i astronomii - Lecointe okazał się wyjątkowo biegły w obu tych dziedzinach. Dwudziestośmiolatek odziedziczył miłość i szacunek do matematyki po rodzicach, którzy byli nauczycielami, a co więcej, rok wcześniej opublikował bardzo cenioną i wysoce zaawansowaną książkę na temat astronawigacji.

Ilekroć chmury rozstępowały się na tyle, by Lecointe mógł przez sekstans zobaczyć Księżyc, Słońce lub inne gwiazdy, natychmiast odczytywał ich wysokość nad horyzontem, a na tej podstawie wyliczał - posiłkując się atlasami nieba - szerokość geograficzną statku. Dzięki chronometrowi morskemu ustawionemu na czas uniwersalny (*Greenwich Mean Time*), był wówczas w stanie wyznaczyć również długość geograficzną. Dopiero wtedy, w oparciu o te współrzędne, kapitan mógł zacząć mapować mijaną linię brzegową.

Okazało się jednak, że warunki napotkane na Antarktydzie jakby sprzysięły się przeciwko wysiłkom nawigacyjnym i kartograficznym. Z racji bezustannego zachmurzenia w czasie podróży przez kanał tylko pięciokrotnie udało się kapitanowi określić umiejscowienie statku. Współrzędne te okazały się później wyjątkowo precyzyjne - wskazywały bowiem położenie jednostki z dokładnością niemal co do minuty. By wypełnić resztę mapy, Lecointe był zmuszony uciekać się do innych metod. Jedną z nich, zwaną nawigacją zliczeniową, polegała na szacunkowym ustaleniu współrzędnych jednostki i jej namiaru w oparciu o dane, wśród których można znaleźć odczyty kompasu, zmiany pola magnetycznego Ziemi oraz średnią prędkość od ostatniej obserwowanej pozycji. Metoda ta wykazywała się stosunkowo dużą przydatnością na otwartych wodach, jednak tutaj brakowało jej precyzji pozwalającej na sporządzanie na jej podstawie wiarygodnych map. Jako odkrywcy tych ziem członkowie wyprawy czuli się zobowiązani do podjęcia próby zastosowania znacznie bardziej ekscytującej metody.

Lecointe zaproponował alternatywną technikę, która niosła ze sobą znacznie większe ryzyko i wymagała więcej czasu, jednak spodziewał się po niej daleko lepszych efektów. By można ją było zastosować, kilku członków wyprawy miało się wspiąć na najwyższy punkt w okolicy, z którego roztaczałby się widok na panoramę kanału i licznych wysp na nim. Stamtąd pomiary przeprowadzone teodolitem pozwoliłyby wyznaczyć kąt depresji linii prostych, prowadzących do wybranych punktów poniżej. Pod warunkiem, że udałoby się dokładnie zmierzyć wysokość punktu obserwacyjnego nad poziomem morza, linie połączone ze wskazanymi punktami stałyby się przeciwprostokątnymi trójkątów, a długość ich boków dałoby się łatwo wyliczyć, stosując reguły trygonometrii płaskiej - tym samym można by ustalić odległość do punktów będących przedmiotem zainteresowania. Zdecydowano, że aby zrealizować pomysł kapitana, de Gerlache poprowadzi niewielki zespół, w skład którego mieli wejść Cook, Amundsen, Danco i Arctowski, i wespnie się z nim na szczyt obiecująco rozległą panoramę kanału. Przed rozpoczęciem wyprawy Lecointe miał nauczyć ich posługiwania się teodolitem.

Burzliwego popołudnia trzydziestego stycznia wyznaczeni podróżnicy wsiedli do szalupy i dopłynęli do jednej z dwóch dużych wysp po zachodniej stronie kanału. Ten mierzący ponad 1750 km<sup>2</sup> ląd dziś znany jest jako Wyspa Brabancji (*Brabant Island*). Lecointe w towarzystwie dwóch marynarzy, Tollefsena i Knudsen, pomogli wsiąść śmiałkom na brzeg u stóp stromej, śliskiej skały, przy której siedział zaintrygowany kormoran. Wysokie fale kołysały łodzią i utrudniały zadanie. Podróżnicy, wyposażeni w dwie pary sań załadowanych pożywieniem i ekwipunkiem polowym, musieli wciągnąć je po śniegu, którego grubość miejscami przekraczała metr, po zboczu o nachyleniu 40 stopni. Przezornie zabrali ze sobą prowiant na piętnaście dni obozowania, mimo że planowali spędzić ich tam ledwie osiem. Połączeni z saniami linami, którymi opletli się w pasie, walczyli o każdy krok w nierównym zmaganiu z grawitacją. „Pierwsza wyprawa saniami po Antarktydzie” - powtarzał w myślach Amundsen, wspinając

się po lodowcu, uzupełniając w ten sposób swoją listę polarnych zdobyczy i podbojów.

Niemal cztery godziny zajęło im dotarcie do nieco bardziej płaskiego terenu na wysokości ponad trzystu metrów nad poziomem morza. Zziębnięci, w obłoku pary unoszącej się z ich spoconych ciał, zatrzymali się, by napawać oczy cudownym widokiem, zanim wszystko zasłonił padający śnieg. Potem pożegnali się z Lecointe'em, Tollefsenem i Knudsenem, którzy z szaleńczym śmiechem drogę na dół pokonali, staczając się w śniegu. Przez następne dni pod nieobecność de Gerlache'a Lecointe miał przejąć dowodzenie na statku, kontynuować eksplorację kanału i robić mapę jego wybrzeży.

Burza śnieżna, na którą zbierało się od samego rana, mocno przybrała na sile. Mroźne powiewy wiatru z różnych kierunków zmiatały śnieg ze szczytów powyżej, co uniemożliwiało dalszą wędrówkę. De Gerlache zdecydował o rozbiciu obozu, w którym mieli spędzić noc (*Pierwsza noc spędzona na antarktycznym lądzie* – powtarzał w myślach Amundsen). Zmagając się z siekącym wiatrem, odkrywcy wyrównali i ubili fragment terenu, na którym zamierzali zbudować schronienie: duży namiot z olejowanego płótna, w kształcie domu, z czterema ścianami i dwuspadowym dachem. Było to skomplikowane i wyczerpujące zadanie, utrudniane dodatkowo przez szalejące żywioły. „Wicher zerwał się z łoża lodowca nad nami, tak potężny, że z trudem utrzymywaliśmy się na nogach” – pisał później Cook. – „Dwóch mężczyzn trzeba było, by utrzymać namiot, i napiętych mięśni wszystkich pozostałych, by owoców naszych wysiłków nie dać wiatrowi porwać i cisnąć za krawędź urwiska, ledwie kilka metrów od nas”.

Zespół zwinął obóz następnego dnia o dziewiątej rano i wyruszył w stronę szczytu wypatrzonego jeszcze z pokładu Belgiki. Wspinając się w gęstej mgłę, która nastąpiła po burzy, odkrywcy po jakimś czasie stanęli na krawędzi potężnej szczeliny, rozciągającej się, jak okiem sięgnąć, w obie strony. Nijak nie dało się jej przekroczyć, co uniemożliwiało dalsze podejście na szczyt. Dzień został uznany za

stracony, a wspinaczka miała okazać się daleko trudniejsza, niż zakładano. Członkowie wyprawy szybko się przekonali, że góry Antarktydy są równie niebezpieczne, jak jej wody.

Następnego ranka członkowie zespołu postanowili znaleźć alternatywną drogę na szczyt. De Gerlache i Danco, którzy jeszcze w Norwegii nauczyli się poruszać na nartach, zdecydowali się w ten sposób ruszyć dalej, by uniknąć zapadania się w śniegu. Dwójka przyjaciół z uwiązanymi do pasa saniami ruszyła przez biały płaskowyż. Poruszali się z trudem, Danco po prawej, komendant po lewej stronie, kątem oka obserwując się nawzajem, by koordynować kierunek marszu. Drewniane narty szurały w świeżym śniegu z usypiającą monotonnością. Nagle Danco zniknął. Wpadł do ukrytej pod białym puchem szczeliny. Komendant odruchowo rzucił się w jego stronę i wyciągnął ramiona, dzięki czemu w ostatniej chwili pochwycił przyjaciela i uratował go przed upadkiem. Przez chwilę czuł, jak waga Danco ściąga go coraz bliżej krawędzi. „Wpadłbym za nim zapewne w bezdenną otchłań szczeliny, gdyby nie długie, drewniane narty, które miał na nogach, a które zaparły się o lodowe ściany” – zapisał de Gerlache. Po tym jak de Gerlache wydobył przyjaciela na powierzchnię, obaj zrozumieli, że znaleźli się w śmiertelnej pułapce. Zbocze, które z dołu wydawało się białe i idealnie gładkie, w rzeczywistości poprzecinane było niezliczoną liczbą szczelin, z których część mogła sięgać kilkuset metrów głębokości. I choć tylko po wspięciu się na znacznie większą wysokość byłoby w stanie dokonać koniecznych pomiarów okolicy, de Gerlache musiał uznać, że nie ma możliwości kontynuować podejścia. Sfrustrowani ruszyli swoimi śladami z powrotem.

Na kilka najbliższych dni Danco i de Gerlache rozstawili teodolit na niezbyt wysokim cyplu, na stromym zboczu, z którego wiatr zwiął śnieg, około trzystu trzydziestu metrów nad poziomem morza. Pierwszego dnia otaczały ich chmury, skutecznie ograniczające możliwość obserwacji kanału. Chwile, gdy się rozstępowały, były zbyt rzadkie i zbyt krótkie, by prawidłowo przeprowadzić pomiary. Drugiego

dnia unosząca się mgła odsłoniła w całej okazałości cieśninę, wzdłuż której wyrastały wysokie góry. W obie strony, gdzie tylko spojrzeć, nic nie zasłaniało widoku, woda była spokojna jak staw w bezwietrzną pogodę, a góry lodowe wyglądały z tej odległości jak niebieskawe okruszki. Panorama „wręcz piękniejsza” – pisał Cook – „niż wszystko, co dane nam było oglądać od wkroczenia w ten nowy, biały świat”. Okazało się jednak, że nieliczne pomiary dokonane przez komendanta i Danco nie przydadzą się na zbyt wiele – punkt, do którego udało im się dotrzeć, znajdował się zbyt nisko, by odróżnić, co w oddali jest wyspą, a co lądem stałym.

Cook i Amundsen nie poddali się tak szybko jak de Gerlache. Wspięli się już wystarczająco wysoko, a nie mieli pewności, czy i kiedy będzie im dane zdobyć jakiś antarktyczny szczyt. Dlatego czwartego lutego zdecydowali o podjęciu kolejnej próby zdobycia wierzchołka, który dotychczas bronił się przed nimi – nie po to, by zrealizować cele naukowe czy kartograficzne (nawet nie marnowali sił na dźwiganie teodolitu), lecz by zaspokoić wewnętrzne pragnienie; niektórzy bowiem muszą po prostu wejść najwyżej, jak się da.

Niemal dwadzieścia metrów nad sobą, na tle południowego nieba Amundsen widział wyraźnie sylwetkę Cooka, który płynnymi, zdecydowanymi ruchami wbijał czekan w pokrytą zamrożonym śniegiem ścianę. Wczepiony w niemal pionowe zbocze podróżnik musiał odwrócić głowę, by osłonić oczy przed sypiącymi się kawałkami lodu. Niechcący spojrzął na to, o czym usilnie starał się nie myśleć od chwili, gdy rozpoczęli wspinaczkę: na prowadzącą zakosami ścieżkę ze stopni, które lekarz wyrąbał dla nich w zboczu. Pięćdziesiąt metrów dzieliło ich od miejsca, skąd ruszyli, a tuż obok niego ziała szczelina lodowa głęboka na kolejnych kilkadziesiąt metrów albo i więcej – turkusowy blask w jej górnej części szybko ustępował miejsca mrokowi otchłani poniżej. Dna nie było widać. Amundsen chwycił mocniej linę, która łączyła go z Cookiem, a którą sam też obwiązał się w pasie, i zacisnął na niej dłonie. Starał się uspokoić oddech, skupiając na monotonych

uderzeniach czekana. Długie blond wąsy miał pełne odłamków lodu. Mimo ujemnej temperatury i wyjącego wiatru, który chciał oderwać go od ściany, ani przez chwilę nie czuł zimna. Wręcz przeciwnie – przez kilka warstw wełnianej odzieży było mu nieprzyjemnie gorąco i z zazdrością spoglądał na lekką kurtkę i spodnie z foczej skóry, które miał na sobie lekarz.

Już w czasie podróży przez ocean Amundsen zauważył i docenił polarne doświadczenie Cooka, a potem wykorzystywał każdą nadarzącą się okazję, by się od niego uczyć. Podziwiał spokój i metodyczność, z jaką lekarz wspinał się po lodowej ścianie – umiejętność, którą zdobył – podobnie jak ubrania z foczych skór – na Grenlandii. Miał bardzo precyzyjne i pewne ruchy, jakby przeprowadzał operację. Najpierw wbijał ostrze czekana prostopadle do ściany, a kiedy zagłębiało się w zmarzniętym śniegu, poszerzał otwór, poruszając ręką, by nie pozwolić utknąć metalowemu zakończeniu. Potem wyrąbywał podparcie dość szerokie, by zmieściło norweskie rakiety śnieżne, które obaj przytroczyli do butów. Te nieporęczne dziwadła, przypominające wyglądem drewniane rakiety do tenisa, ułatwiały poruszanie się w płaskim, pokrytym śniegiem terenie, rozkładając ciężar ciała na znacznie większy obszar, zapobiegały więc zapadaniu się w miękkim puchu – we wspinaczce jednak głównie przeszkadzały. Wystawały z wyrąbanych w lodzie stopni, a dolna strona z gładkiego drewna nie zapewniała jakiegokolwiek przyczepności.

Lina również nie gwarantowała nikomu bezpieczeństwa. Amundsen ważył znacznie więcej od Cooka. Gdyby się ześlizgnął albo gdyby śnieg osunął się spod jego stóp, pociągnąłby za sobą partnera. Gdyby natomiast Cook nie trafił nogą w stopień i spadł, gwałtowne szarpnięcie liny, na której by zawisł poniżej Amundsena, niemal z całą pewnością oderwałoby potężnego Norwega od zbocza i razem runęliby w lodową przepaść.

Niebezpieczeństwo czaiło się też nad ich głowami pod postacią wiszących mas lodu, wystających niczym spienione pióropusze fal poza krawędź klifu, które w każdej chwili groziły runięciem na odważnych

wspinaczy. Dotarli na Antarktydę ledwie tydzień wcześniej, ale już wielokrotnie mieli okazję oglądać na własne oczy, jak szybko zachodzą tu zmiany w otoczeniu, jak błyskawiczna jest erozja zamrożonych mas i że lód żyje tu własnym życiem, szczególnie w najcieplejszym okresie lata.

Cook oparł się na stopniu, który właśnie wyrąbał w lodowej ścianie. Kilkanaście metrów niżej Amundsen zrobił to samo.

W końcu pokonali krawędź klifu i znaleźli się na rozległym płaskowyzu. Kiedy nieco odetchnęli, przyjrzeni się łańcuchowi górskiemu, który wyglądał jak sterczące spod śniegu, szerniałe kręgosłupy jakichś prehistorycznych bestii. *Największa wysokość osiągnięta przez człowieka na Antarktydzie* – zapamiętał Amundsen. Z miejsca, w którym się znaleźli, Cook dostrzegł coś, co wyglądało na most spinający oba brzegi szczeliny, która ciągnęła się poniżej jak pysk rozdzielony do karmienia. Lecz jedyna droga, którą można było się do niego dostać, prowadziła w dół tego samego klifu, który przed chwilą pokonali. Nie było więc rady: Cook ruszył przodem, co oznaczało, że nie było nikogo nad Amundsenem, by asekurować go liną. Z drugiej strony czekały na niego świeżo wyrąbane w lodzie i sprawdzone pod obciążeniem stopnie, które bardzo ułatwiały zejście.

Nieco później okrężną drogą dotarli do przejścia, które wypatrzył Cook, by przekonać się, cóż to za niesamowite dzieło naturalnej inżynierii – most w całości ze śniegu, rozpięty nad bezdenną przepaścią, jakby wzniesiony niewidzialnymi rękoma.

Śnieżne mosty to kolejny z licznych fenomenów antarktycznej przyrody. Ich architektem jest wiatr, który gromadzi śnieg na samym brzegu szczeliny. Potem, centymetr po centymetrze, wypiętrza go i warstwa po warstwie wysuwa za krawędź, tworząc najpierw gzyms, później półkę, by wreszcie – w tych rzadkich przypadkach, gdy nie załamywała się pod swoim ciężarem – osiągnąć przeciwległą krawędź. Wyglądały zaiste wspaniale, lecz były też niesamowicie groźne. Nie

dało się bowiem stwierdzić, jakie są wytrzymałe. Niektóre były delikatne i zdradzieckie jak maskowania dołów kopanych przez pradawnych myśliwych, którzy jamy w ziemi przykrywali patykami i listowiem, by zapadły się pod ciężarem łośia czy tygrysa. Mosty śnieżne były odpowiedzialne za niezliczoną liczbę wypadków śmiertelnych wśród arktycznych odkrywców.

Cook polecił Amundsenowi wykuć w ubitym śniegu i lodzie oparcie dla stóp i siedzisko, by mógł się zaprzeć i utrzymać jego ciężar, gdyby most – który składał się przecież jedynie ze śniegu – załamał się pod nim. Wstępnie wytrzymałość mógł zbadać nogą, lecz by sprawdzić, czy wytrzyma jego wędrowkę na drugą stronę, musiał zaryzykować. Położył się płasko na cienkiej warstwie lodu, by rozłożyć nacisk na jak największą powierzchnię, czyniąc z siebie ludzką raketę śnieżną. Potem, czując uspokajający ucisk liny, którą był obwiązany w pasie, przeczołgał się na drugą stronę.

Następnie przyszła kolej na Amundsena. Pierwszy oficer ważył dobrych dwadzieścia kilogramów więcej od lekarza. Cookowi się udało, ale czy jego wędrowka nie nadwyrężyła wytrzymałości mostu? Lina łącząca obu mężczyzn leżała płasko na śniegu; Amundsen spadłby spory kawałek w razie zarwania przeprawy, zanim by się napięła i go zatrzymała.

Próba zbyt szybkiego przekroczenia mostu oznaczałaby nacisk na zbyt mały obszar albo ześlizgnięcie się na bok i upadek. Jednocześnie każda sekunda spędzona nad szczeliną oznaczała dłuższe obciążenie śnieżnej przeprawy. Na szczęście most wytrzymał.

W końcu obaj podróżnicy przekroczyli szczelinę, która od kilku dni uniemożliwiała im dalszą drogę. Wspinaczka na najbliższy szczyt okazała się dziecinną igraszką w porównaniu z tym, przez co właśnie przeszli. Nie było im jednak dane nacieszyć się widokiem nietkniętego ludzką stopą krajobrazu, bowiem niemal natychmiast wszystko spowiła gęsta mgła. Noc miała nadejść dopiero za kilka godzin, a o tej porze roku i tak szybko nastałby kolejny dzień, lecz szczelny welon rozciągnięty w powietrzu uniemożliwił im zdobycie kolejnego,



wyższego szczytu. Na chwilę przed tym, jak widoczność spadła do kilku metrów, może dwóch, Cook wyznaczył i naszkicował drogę z powrotem na statek, która z góry wydawała się prosta i łatwa. W rzeczywistości okazała się znacznie niebezpieczniejsza niż ta, którą dopiero co pokonali.

Amundsen wszedł w wypełniony mgłą kanion między skalnymi ścianami, a śnieg tłumiał odgłos jego kroków. Mężczyzna nie odrywał wzroku od liny, która wskazywała mu kierunek i dawała poczucie, że nie jest sam, mimo że nie mógł dostrzec ani usłyszeć idącego przodem lekarza.

Nagle, jakby sama z siebie, lina pociągnęła pierwszego oficera naprzód, który prawie stracił równowagę i zatrzymał się dopiero po kilku krokach, wiedziony instynktem, że należy z całej siły ciągnąć w przeciwną stronę. Parę metrów dalej śnieg zarwał się pod doktorem Cookiem. Zapierając się nogami w śniegu, Amundsen kawałek po kawałku przyciągał do siebie linę, i robiąc użytek z potężnej muskulatury, ratował lekarza i siebie przed upadkiem w kolejną z licznych szczelin.

Cook wisiał nad przepaścią. W końcu z pomocą pierwszego oficera udało mu się wydostać na płaski teren i zdyszany zaczął otrzepywać bujną brodę ze śniegu. Po raz drugi w karierze odkrywcy udało mu się oszukać śmierć.

Mężczyźni zapewne skwitowali przygodę nerwowym śmiechem, po czym ruszyli w dalszą drogę, lecz już nie tak pewni siebie. Rozglądali się teraz przy każdym kroku, szukając kryjących się dookoła niebezpieczeństw. Nie mieli już złudzeń, że biały kobierzec śniegu widziany z góry skrywał skomplikowany system szczelin, podobnych do tej, jaka trzy dni temu omal nie pochłonęła Danco. Każdy krok postawiony na tej wyspie oznaczał ryzyko utraty życia.

Poruszali się bardzo ostrożnie, ale wiedzieli, dokąd zmierzają. Kilka minut później śnieg zarwał się pod Amundsenem. Mężczyzna doznał nieprzyjemnego uczucia swobodnego upadku, któremu towarzyszył gwałtowny wyrzut adrenaliny. Lina napięła się. Spojrzał poniżej,

w ciemność, która pochłaniała każdy promień światła dostający się przez otwór w śniegu. Jego życie spoczywało w rękach doktora Cooka.

Lekarz zaczął ciągnąć. W końcu Amundsen wydostał się na powierzchnię. Do obozu powrócili dopiero po ośmiu godzinach nieobecności.

Chyba żadne inne zdarzenie w czasie wyprawy nie ukazuje tak dobrze, jak działały umysły Cooka i Amundsena, jak właśnie ich reakcja na to, co przeżyli, wracając ze wspinaczki. Dwukrotnie o włos uniknęli śmierci, i to w dodatku na wyprawie, której jedynym celem był dreszczyk ekscytacji. Lecz zamiast pokory w obliczu wielorakich prób pozbawienia ich życia przez śnieg i lód, doświadczenie to wypełniło ich energią. Dodatkowo pogłębiła się fascynacja Amundsena Cookiem. „Z nieodpartym zainteresowaniem obserwowałem metodyczną i spokojną pracę tego człowieka” - zapisał tej nocy w dzienniku. - „Mam nadzieję, że przyjdzie nam odbyć jeszcze niejedną taką wyprawę!”.

Dwójka podróżników dołączyła do Danco, de Gerlache'a i Arctowskiego, którzy czekali w obozie. Noc była naprawdę paskudna. Wiatr i deszcz siekły bezlitośnie i szarpały dużymi, płaskimi ścianami namiotu. Impregnowany olejem jedwab zaczął się rozciągać, a potem pękać. Próby ratowania go szpilkami powodowały tylko powstawanie nowych rozdarć i już po niedługim czasie namiot nie oferował podróżnikom żadnej osłony. By ratować jego resztki, śmiałkowie w pośpiechu złożyli z najmniej uszkodzonych fragmentów znacznie mniejsze schronienie, a następnie ze śniegu usypali z trzech stron wały, mające osłaniać ich przed wiatrem, po czym ścisnęli się w środku. Wilgoć - sprawiająca kłopoty jeszcze w pełnowymiarowym namiocie - stała się nie do wytrzymania. Para z oddechów pięciu dorosłych mężczyzn skraplała się od wewnątrz na ściankach, kapła im na głowy i moczyła śpiwory. Przez podarty materiał wpadał do środka deszcz. Topił się wał śniegu dookoła i śnieg pod nimi, tak że zapadli się w lodowatą pluchę. Zanim nastał ranek, deszcz całkowicie rozpuścił

mający ich chronić wał, a wicher z jeszcze większym impetem atakował ich schronienie.

Tamtej nocy żaden z nich nie spał dobrze. By zabić jakoś czas, Cook i Amundsen, wciąż podekscytowani wypadem i rodzącą się przyjaźnią, rozprawiali o sposobach, jak poprawić wygodę i przydatność polarnego ekwipunku. Szczególną uwagę poświęcili projektowi namiotu, który miał oferować znacznie lepszą wentylację i stawiać mniejszy opór wiatrowi. Połączyła ich wspólna sprawa: obaj dzielili ambicję, by po powrocie z wyprawy stanąć na czele własnych zespołów, więc każdy moment traktowali jako niezbędne przygotowanie do realizacji tego marzenia.

Przez noc obozowisko zmieniło się w jedną wielką kałużę. Burza przycichła na chwilę, a podróżnicy, ku wielkiej uldze, dostrzegli w oddali czekającą na nich Belgicę. Wspięli się na niewielką skałę nieopodal, by umieścić na niej belgijską flagę, która była sygnałem, że są gotowi, by wrócić na pokład.

O piątej po południu Lecointe zatrzymał statek niedaleko wybrzeża Wyspy Brabancji. Wiosłując z powrotem, podróżnicy w myślach podsumowywali ostatnie dni. Dla de Gerlache'a misja okazała się porażką – pomiary teodolitem nie dały satysfakcjonujących rezultatów i nie pomogły w udoskonaleniu mapy wybrzeża kanału. Za to Amundsen aż trząśł się z ekscytacji. Miał głowę pełną pomysłów i wniosków, jakie podsuwały mu doświadczenia wyprawy, od wyczerpującej wspinaczki z doktorem Cookiem do bezsennej nocy spędzonej w porozrywanym namiocie. Ledwie znalazł się na pokładzie, popędził do kabiny, by spisać swoje przemyślenia. Naszkicował koncept wynalazku Cooka – lekarzowi nigdy nie kończyły się nowatorskie pomysły – stożkowy namiot, którego kształt pozwalałby rozproszyć uderzenia wiatru. Narysował też śpiwór, który Amerykanin zaprojektował dla siebie, z kapturem, który można było zaciągnąć wokół twarzy, by chronić resztę ciała przed zimnem i, co najważniejsze, wilgocią. Pośród wszystkich lekcji, których się nauczył, zanotował również tę: „Ubieraj się lekko, jedynie w wełnę. Zawsze najłżejsze jej odmiany. Miej

koniecznie przy sobie duże i małe wodoszczelne puzderko na zapałki. Gogle śnieżne to konieczność”.

Amundsen nie krył się z fascynacją praktycznym zmysłem Cooka i szacunkiem dla jego polarnego doświadczenia, a czas spędzony u jego boku traktował jako coś w rodzaju antarktycznego terminowania. Cook, zachwycony napotkaniem kogoś tak otwartego na jego pomysły, nie pozostawał obojętny na admirację ze strony młodego Norwega. Więż zrodzona w dniu wspinaczki po klifie miała trwać jeszcze przez wiele lat po tym, jak zdjęli z siebie linę, którą byli przepasani.

## Rozdział 8

### **NA POŁUDNIE!**

- ARCTOWSKI, POSPIESZ SIĘ!

Rankiem dziesiątego lutego polski geolog rzucił się biegiem przez morenę, by zebrać próbki skał i już po kilku krokach zniknął pochłonięty przez gęstą mgłę. De Gerlache, czekający na niego przy łodzi na kamienistej plaży, zawołał za nim, że mają tylko dziesięć minut, zanim będą musieli wrócić na pokład Belgiki.

Zniecierpliwienie w głosie komendanta nie odnosiło się wyłącznie do Arctowskiego i jego skał. De Gerlache'a zaczynało bowiem martwić, jak wiele czasu wyprawa spędza w kanale, ledwie u koniuszka Ziemi Grahama. Zgodnie z pierwotnym planem, uzgodnionym z Królewskim Belgijskim Towarzystwem Geograficznym, statek powinien być setki mil bliżej Ziemi Wiktorii, miejsca, gdzie spodziewano się ustalić położenie magnetycznego bieguna południowego - po przeciwnej stronie Antarktydy. Biegun magnetyczny! Dobrze sobie - Belgica wciąż pozostawała daleko na północ od koła podbiegunowego, wyznaczonego przez równoleżnik o szerokości geograficznej zbliżonej do 66°30'S.

A czas uciekał. Od chwili pierwszego zejścia na ląd, dwa tygodnie wcześniej, noce z praktycznie nieistniejących wydłużyły się na tyle, że przez kilka godzin panowała ciemność. Już całkiem niedługo bezlitosne zimno miało przetoczyć się nad powierzchnią wody i zmienić ją w całkowicie nieżeglowne, bezkresne pole kry morskiej, wstrzymującej jakikolwiek ruch i więżącej nieszczęsne jednostki w swoim uścisku. Gdyby Belgica nie zdołała przedtem przekroczyć koła podbiegunowego - co, notabene, nie byłoby nawet pionierskim osiągnięciem, bo tego dokonał przeszło sto lat wcześniej kapitan James Cook - de Gerlache mógłby spodziewać się po powrocie bezlitosnego ataku belgijskiej

prasy. Strach przed zaprzepaszczaniem szans na chwałę powrócił ze zdwojoną siłą i każdego dnia popychał go do pokonywania coraz większych odległości. Mimo to potrafił zrozumieć, że uniemożliwienie realizacji naukowych celów wyprawy ściągnęłoby na niego równie gwałtowną krytykę. Kiedy więc Arctowski dostrzegł „piramidalne w kształcie wypiętrzenie skały o czerwonej barwie, tak bardzo innej od otoczenia”, i błagał, by wolno mu było ją zbadać, de Gerlache uległ, jak wiele razy wcześniej – jednak uparł się, by osobiście odwiedzić geologa na brzeg, bo w ten sposób mógł dopilnować punktualnego powrotu.

Dobicie do brzegu w miejscu znanym dziś pod nazwą Paradise Harbour było osiemnastym zejściem na ląd od dotarcia do Antarktydy. Rankiem dwunastego lutego ekspedycja minęła punkt noszący dziś nazwę Przylądka Renarda – wysoką skałę z ciemnego granitu, wystrzeliwującą prosto z morza i tak stromą, że na jej ścianach nie osadzał się śnieg. Skała, przypominająca Lecointe’owi „strzelistą iglicę katedry”, wznosiła się u południowego końca kanału. Lecointe, Racovitza, Arctowski, Danco i Cook podpłynęli łodzią wiosłową do miejsca, w którym wynurzała się z wody. Było to ich dwudzieste zejście na ląd od osiągnięcia Antarktydy, co oznaczało, że schodzili na ląd więcej razy niż wszystkie wcześniejsze wyprawy razem wzięte.

Belgica opłynęła przylądek i dość szybko znalazła się u wrót znacznie węższego, krętego kanionu, ograniczonego skalnymi ścianami, przy których statek wyglądał jak dziecinna zabawka, a ich cień sprawiał, że na pokładzie zrobiło się ciemno. Zdeterminowany, by za wszelką cenę płynąć dalej, de Gerlache zdecydował się kontynuować podróż, nie bacząc na słabą widoczność, zapadający zmrok i trudną do określenia głębokość kanału. Komendant miał tyle samo woli i zapału do stawiania czoła niebezpieczeństwom czyhającym na wodzie, ile miał wcześniej do unikania konfrontacji z bliską buntowniczą załogą. To, co w przypadku szczęśliwego zakończenia łatwo było okrzyknąć odwagą – jak choćby przejście pełną parą najeżonej górami lodowymi Cieśniny Bransfielda – w razie niepowodzenia z taką samą oczywistością nazwać by trzeba brawurą i lekkomyślnością. I w takich właśnie kategoriach

można było postrzegać jego decyzję o skierowaniu Belgiki na ustlane płyciznami wody kanału Beagle przy zapadającym zmroku.

Statek powoli wpływał w otoczony skałami kanion. Zapadła noc, a Belgicę pochłonał mrok. Posuwali się pośród niewyraźnych cieni i przemykali tuż nad skałami skrytymi pod powierzchnią. Przez brak dziennego światła załoga nie była w stanie dostrzec, gdzie kończyło się morze, a zaczynał brzeg. Kontynuowanie podróży przez nieznaną wodę w takich warunkach było czystym szaleństwem, lecz równie nierozważnym krokiem byłoby zatrzymanie się tam na noc. Kiedy dopłynęli do wyjścia z kanału, otaczała ich już nieprzenikniona ciemność. A jednak sądząc po zupełnie innym kołysaniu pokładu i szumie fal rozbijających się o wyrastające spod wody skały, marynarze potrafili stwierdzić, że znaleźli się na otwartych wodach oceanu.

Słodko-gorzki był to moment, oznaczający bezpieczny koniec przeprawy przez niebezpieczny kanion, ale i koniec pełnego odkryć etapu podróży przez niezbadany dotychczas świat<sup>21</sup>. Załoga rzuciła na noc kotwicę, a kiedy wzeszło słońce i przepędziło mgłę, ich oczom ukazała się zupełnie nowa sceneria, ciągnąca się aż po horyzont. Pośród morza krządków lodu i kry posuwały się setki gór lodowych. „Wszystko to razem – góry lodowe, lód morski i statek – unosiło się i opadało w rytm potężnych pływów południowego Pacyfiku” – zapisał Cook.

De Gerlache rozpaczliwie pragnął przeć dalej na południe, gdzie mapy znów pełne były białych plam. Jednak bezkresne, niemożliwe do pokonania pole lodu uniemożliwiało choćby zbliżenie się do brzegu. Belgica ruszyła wzdłuż poszarpanej krawędzi, szukając jakiegoś kanału, lecz lód bronił swego terytorium i odpychał statek coraz dalej i dalej od stałego lądu.

Sprzyjające wiatry popychały Belgicę na południowy zachód. Wytrzymały kadłub dzielnie rozpychał dryfujący lód, zostawiając za rufą czarny ślad otwartej wody. Teraz, kiedy naukowcy nie prosili o przystanki i możliwość zejścia na ląd, de Gerlache miał w końcu wolną rękę, dzięki czemu wyprawa szybko posuwała się dalej.

Wieczorem trzynastego lutego wachtę trzymał Amundsen. Statek znalazł się niespodziewanie między rafami, skałami i pokrytymi lodem wysepkami, a na dodatek pojawiła się mgła. Ocean zaczął się burzyć, wiał szkwał, a wodą dookoła poruszały potężne prądy i wiry. Fale rozbijały się o wystające nad powierzchnię skały, wyrzucając w powietrze kawałki morskiego lodu. Mewy i pingwiny spoglądały z półek skalnych dookoła jak widownia w Koloseum. Belgica znalazła się w pułapce. Mimo wysokiej rangi pierwszego oficera Amundsen wciąż nie posiadał rozległego marynarskiego doświadczenia; gdyby miał czas do namysłu, prawdopodobnie wpadłby na pomysł, jak uratować statek, jednak szalejące żywioły nie dały mu tego luksusu. Gdzie Amundsen nie spojrział, morze jeżyło się śmiertelnie groźnymi skałami, a woda była zbyt głęboka, by przy tak potężnym wietrze rzucić kotwicę i liczyć na to, że Belgica pozostanie w miejscu.

De Gerlache z charakterystycznym opanowaniem i pewnością siebie przejął dowodzenie. By znaleźć drogę wyjścia z matni, wspiął się zwinnie na szczyt głównego masztu, który kołysał się dziko w rytm fal jak batuta dyrygenta w czasie koncertu.

- Sterburta! - krzyknął ostrzegawczo. Sternik jak szalony zakreślił kołem, by ominąć długą, płaską skałę ledwie wynurzającą się z wody. Manewr ocalił Belgicę, lecz ustawił ją na kursie wprost na inną niewielką wysepkę, oddzieloną od rafy przesmykiem niewiele szerszym od długości statku.

- Prosto naprzód! - krzyknął de Gerlache z wysokości bocianiego gniazda. Amundsen założył, że komendant zamierza prześliznąć się między wyspą a rafą, drogą tak wąską, że niedawno pokonany kanion w porównaniu z nią wydawał się potężną rzeką. Pierwszy oficer polecił sternikowi przytulić statek do niewielkiej wyspy, tak mocno, jak tylko się da, gdyż jej stromo opadające skalne ściany pozwalały mieć nadzieję, że woda będzie tam głębsza niż przy płaskiej rafie. Jednak pewności nijak mieć nie mógł. By uniknąć porwania przez prądy czy zepchnięcia z kursu uderzeniem wysokiej fali, co skończyłoby się roztrzaskaniem o skały, de Gerlache polecił mechanikowi zwiększyć



moc silnika. „Inżynier” – jak wspominał to później Cook – „zmusił silnik do wysiłku, jakiego nikt wcześniej od niego nie oczekiwał”.

Belgica przesmyknęła się tylko sześć metrów od brzegu. Głębokości ledwie wystarczyło, by nie zahaczyć o dno: mimo zapadającej nocy, kiedy Amundsen wychylił się nad relingiem, wyraźnie widział ostre jak kły skały jeżące się pod wodą. Czuł na sobie słone krople z fal uderzających o burty z hukiem podobnym salwie artyleryjskiej. Był przekonany, że po wielu cudownych ocaleniach tym razem nadszedł kres dobrej passy.

Pod sam koniec wąskiego przesmyku natrafili na dwie niemal siedemdziesięciometrowe góry lodowe, które utknęły na podwodnych skałach, każda z jednej strony. Ułożyły się przy tym w coś na kształt „łuku tryumfalnego w tym przerażającym miejscu”, zanotował później pierwszy oficer.

Belgica gnała wprost na potężne góry lodowe, a Amundsenowi nie pozostawało nic innego, jak zaufać przełożonemu – i sile wyższej. „Starłem się zająć myśli zupełnie innym tematem, dzięki czemu zachowałem chłód i opanowanie” – pisał potem w dzienniku. – „Choć w głębi duszy modliłem się do Ciebie, Boże. Przejmij ster i poprowadź nas zgodnie z Twoją wolą”. Potężny Norweg z osłupieniem i niedowierzaniem patrzył, jak Belgica bez najdrobniejszego uszczerbku pokonuje wąski przesmyk, a później bramę z gór lodowych.

Belgica trzymała kurs na południowy zachód, w stronę Morza Bellingshausena. Od opuszczenia kanału ani jedna noc nie była bezchmurna, więc Lecointe nie mógł precyzyjnie wyznaczyć położenia statku. Bazując jednak na nawigacji zliczeniowej, uważał, że piętnastego lutego wieczorem Belgica minie południowe koło podbiegunowe<sup>22</sup>. Z tej okazji wciągnięto na maszt belgijską flagę. Dopiero przekroczenie tej granicy przyniosło de Gerlache’owi ulgę, bo choć nie oznaczało to jeszcze chwały odkrywcy, ratowało przynajmniej przed upokorzeniem po powrocie do domu.

Jednocześnie im dalej posuwali się na południe, tym bardziej rosło niebezpieczeństwo, że do domu w ogóle nie wrócą. Gęstnienie konsystencji lodowego paku objawiało się między innymi dźwiękami rezonującymi wewnątrz kadłuba, gdy przedzierali się przez marznące morze. Głuche uderzenia rozpychanej kry ustąpiły miejsca przewlekłemu hałasowi zderzeń z krążkami lodowymi, a później nieprzyjemnemu trzaskowi kolizji z lodowym gruzem. Dźwięki zamarzającego dookoła Belgiki morza niepokoiły członków wyprawy, a wśród naukowców tym bardziej wzbudzały poważne obawy. Z każdym dniem rosło bowiem prawdopodobieństwo uwięzienia przez lód.

Żaden człowiek w historii nie spędził zimy na południe od Szetlandów Południowych, nie wspominając nawet o terenach za kołem podbiegunowym – niebezpieczeństw z tym związanych nie trzeba było nikomu tłumaczyć. De Gerlache świadom był losu, jaki może stać się udziałem ekspedycji uwięzionej w lodach Antarktyki. Wystarczająco naczytał się opowieści polarnych odkrywców, by wiedzieć, że znacznie łatwiej wpłynąć w pak lodowy, niż się z niego uwolnić. Taki los właśnie spotkał wyprawę Franklina z 1840 roku: kiedy Terror i Erebus uległy w końcu naciskowi paku na wodach kanadyjskiej Arktyki, wszyscy uczestnicy zmarli z wychłodzenia, głodu i chorób.

De Gerlache wiedział, że lód może unicestwić statek w taki sam sposób, w jaki boa dusiciel pozbawia swoje ofiary życia – najpierw gruchocze kości, a potem połyka w całości. Był już nastolatkiem zafascynowanym podbojem Arktyki, kiedy w 1882 roku gazety na całym świecie drukowały sensacyjne historie o innym amerykańskim okręcie, który nie wrócił z wyprawy polarnej. USS Jeannette, jednostka dowodzona przez kapitana marynarki George'a W. De Longa, który, żywiąc błędne przekonanie, że musi istnieć kanał stosunkowo cieplejszych wód prowadzący na szczyt naszej planety, w 1879 roku wyruszył z misją dotarcia do bieguna północnego przez Cieśninę Beringa. Jeannette utknęła w lodzie kilkaset mil morskich na północ od Syberii. Okręt przez dwa lata dryfował po Oceanie Arktycznym, zanim lód wypuścił go ze swych szponów. Los nie miał dla podróżników

litości: chwila wytchnienia nie była wybawieniem, lecz pułapką, bo dzięki wolnej przestrzeni pak lodowy mógł nabrać impetu i kolejnego dnia przypuścił atak. Lód natarł na Jeannette ze wszystkich kierunków i wybił dziury w jej kadłubie poniżej linii wody. De Long z załogą ewakuowali się z pokładu i z przerażeniem przyglądali się agonii dotychczasowego domu, który zapadał się powoli w coraz mocniej zawężającej się szczelinie w paku. Pękał takielunek, wiotczały liny, a poziome reje zapierały się o lód, wyginały i pękały, ciągnięte w dół przez tonącą jednostkę. Kiedy ocean zacisnął szczęki, na białej powierzchni nie pozostało zbyt wiele śladów świadczących o wcześniejszej obecności w tym miejscu Jeannette – ledwie trochę kawałków drewna i trochę farby z kadłuba. Mniej niż jedna trzecia rozbitków uszła z życiem, a i to tylko dzięki syberyjskim myśliwym, którzy trafili na półżywych śmiałków, nakarmili ich, ogrzali i zaprowadzili w bezpieczne miejsce.

De Gerlache pilnował się, by zapamiętane opowieści nie odebrały mu odwagi do podróży dalej na południe. Jakkolwiek by patrzeć, zagrożenie lodem i zimnem było tym, co czyniło bieguny tak pożądaną nagrodą.

Dryfujący lód morski wokół Belgiki był labiryntem, w którym układ korytarzy zmieniał się z godziny na godzinę, w zależności od kierunku wiatru, prądów morskich i temperatury. By znaleźć w nim drogę, de Gerlache regularnie wspinał się do bocianiego gniazda i przyglądał się powierzchni morza przed dziobem, w poszukiwaniu otwartych przesmyków i przejść, które pojawiały się niczym czarne żyły przecinające morze bieli. Mimo że wybrzeże Ziemi Grahama było poza zasięgiem wzroku, komendant cały czas obserwował mocny odbłask lodu na południowo-wschodnim niebie – mleczną poświatę nad horyzontem, gdzie odległe skupisko zwartego lodu odbija się w chmurach. Dla podróżnika z polarnym doświadczeniem, podobnie jak dla astronoma, niebo mogło być źródłem wielu informacji, lecz każdy z nich czerpał z niego zupełnie inną wiedzę. Choć tak naprawdę najwięcej informacji niosło wtedy, kiedy było zachmurzone. Stawało się

wtedy ekranem, na którym odbijał się obraz morza – jakby lustrzanym obrazem mapy. Nie tylko odbicie lodu (*iceblink*), ale także ciemne smugi widoczne u podstawy chmur, zwane wodnym niebem (*water sky*), ułatwiały nawigację polarną statków, w tym przypadku wskazując na występowanie otwartej wody.

Lecz niebo w Antarktyce potrafiło być bardzo zdradliwe. We wpisie w dzienniku pod datą dwudziestego pierwszego lutego de Gerlache donosił o zadziwiającym zjawisku, które tego ranka pojawiło się na horyzoncie. Na granicy paku lodowego na południu dostrzegł coś, co wyglądało zupełnie jak „nabrzeżne miasto”, włącznie z latarnią morską. Szybko sobie uświadomił, że widok ten był jedynie rodzajem mirażu, a latarnia morska „smukłym, podobnym iglicy lodowym tworem”, dzięki refrakcji promieni świetlnych wyższym niż w rzeczywistości, którego zakończenie mieniło się we wschodzącym słońcu. Zjawisko to, znane pod nazwą fatamorgana, powstawało w wyniku nakładania się warstwy powietrza o wyższej temperaturze nad warstwą jednakowo chłodnego powietrza. Przechodzące przez nie światło ulegało załamaniu, zniekształcając obraz odległych obiektów. Góry lodowe mogły wyglądać jak łańcuchy górskie o nieprawdopodobnie stromych szczytach, czasem wydawało się, że wręcz unoszą się nad horyzontem, a kiedy indziej widać je było jakby wiszące szczytami w dół, jak wodospad z nieba w jednym z opowiadań Edgara Allana Poe'go, tyle że w zamarznętej postaci. Podobne miraży sprawiały, że lodowy pak wydawał się dziwnym, niegościnnym i niebezpiecznym miejscem ulegającym ciągłym przekształceniom, jakby rządziły nim jakieś tajemne, magiczne moce.

Na otwartym oceanie lód wyglądał i zachowywał się zupełnie inaczej niż w kanale, który Belgica pokonała wcześniej. Podróżnicy wciąż mijali góry lodowe, lecz powierzchnię wody w całości pokrywał lód morski. Oba jego rodzaje łączył fakt, że były zamarznętą wodą, jednak poza tym różniły się w zasadzie wszystkim innym. Góry lodowe rodziły się na lądzie; lód morski powstawał z morskiej, słonej wody. Lód ze słodkiej wody jest twardy i kruchy; lód morski stosunkowo elastyczny. Góry

lodowe mogą osiągać monstrualne rozmiary i wznosić się wysoko nad powierzchnię oceanu (przy czym lwią ich część pozostaje dalej zanurzona); lód morski układa się z zasady płasko. Góry lodowe skrzę się jasnymi błękitami, odzwierciedlającymi gęstość lodu; tymczasem większość morskiego lodu, jaki ukazywał się oczom marynarzy, miał żółtawą barwę, szczególnie ten blisko linii wody. Naukowcy z pokładu Belgiki wysuwali różnorakie hipotezy tłumaczące ten fenomen, aż w końcu Racovitza, badając pobraną próbkę, ustalił, że za kolor lodu odpowiada fitoplankton, czyli mikroorganizmy zdolne do prowadzenia fotosyntezy, które kwitły w wodzie w środku lata, barwiły wodę na zielonożółty kolor i osadzały się na spodniej stronie morskiego lodu. Zmieniła się również obserwowana fauna. Pingwiny białobrewa i maskowe trzymały się bliżej wybrzeży Ziemi Grahama, a ich miejsce w pobliżu trasy żeglugi Belgiki zajęły dwa inne gatunki tych ptaków: pingwiny białookie, drobniejsze, o białych oczach, i znacznie większe, sięgające stu dwudziestu centymetrów, dumne pingwiny cesarskie.

Oficerowie i marynarze zaczęli się zastanawiać, dokąd właściwie zmierza de Gerlache. Płynęli po niezbadanych wodach. Rzadkie okazje, kiedy Lecointe mógł dostrzec gwiazdy i wyznaczyć pozycję statku, były witane z prawdziwą radością. Okolica wyglądała zwodniczo obco, nie przypominała oceanu, a nie była lądem, a możliwość zapisania współrzędnych na mapie, mimo że na pustym jej fragmencie, przez chwilę pozwalała poczuć się nieco pewniej. „W rzeczywistości jednak jesteśmy beznadziejnie odizolowani od wszystkiego, zupełnie jakbyśmy znaleźli się na powierzchni Marsa” - notował Cook. - „I wciąż posuwamy się coraz głębiej i głębiej w białą, antarktyczną ciszę”.

Dziennik prowadzony przez de Gerlache'a jest w tamtym czasie zapisem stopniowego, lecz nieubłaganego spowolnienia, aż do uwięzienia. Pod datą dwudziestego lutego zanotował: „statek utknął między kilkoma ogromnymi lodowymi »naleśnikami«, które uniemożliwiają jakikolwiek ruch”. Lód pochwycił Belgicę i przez ponad godzinę trzymał w uścisku, zanim pozwolił jej odpłynąć.

W takich sytuacjach niektórzy członkowie załogi zbierali się na odwagę i schodzili na lód, lecz szybko się przekonywali, że nie można było ufać jego wytrzymałości. „Krażki lodowe są ciasno zbite” – pisał Cook – „lecz w niektórych miejscach przestrzenie wypełnia tylko nagromadzony śnieg i rozkruszony lód, a to dla podróżnika duże niebezpieczeństwo”. Miejsca takie sprawiają wrażenie zwartego lodu i mogą nawet wytrzymać kilka próbnych tupnięć, lecz załamują się pod ciężarem dorosłego mężczyzny. Wpadnięcie do wody o temperaturze minus jednego stopnia Celsjusza to prosta droga do śmierci. Naturalnym odruchem ludzkiego ciała na szok związany z zimnem jest próba nabrania powietrza; jeśli głowa znajduje się już pod powierzchnią morza, odruch ten prowadzi do wypełnienia płuc wodą. Jeśli ktoś przetrwa moment zanurzenia, całkiem możliwe, że otwór, przez który wpadł, odpłynie z lodem zbyt szybko, by tonący był w stanie go dogonić. Człowiek uwięziony wtedy pod wodą drapie rozpaczliwie od spodu w lód i bezradnie wpatruje się w słabe światło przenikające przez pak, aż w końcu ogarnia go ciemność.

Dwudziestego trzeciego lutego de Gerlache towarzyszył Cookowi w czasie krótkiej przechadzki po z pozoru zwartym lodowym paku, której celem było wykonanie fotografii fauny i formacji lodowych. Dla komendanta było to szczególnie ryzykowne przedsięwzięcie, gdyż nigdy nie nauczył się pływać. Z początku posuwali się bardzo ostrożnie, sprawdzając każdą podejrzaną plamę śniegu, lecz im dłużej byli w drodze, tym większej nabierali pewności. W końcu niemalże zapomnieli, że nie są na lądzie – aż do chwili, kiedy komendant stąpnął na przykrytą śniegiem lepę i momentalnie wpadł do lodowatego oceanu. Z naturalną zwinnością i refleksem Cook pochwycił go za kołnierz futra, zanim zniknęłoby pod powierzchnią, po czym błyskawicznie wyciągnął go z wody. „Rozerwałem mu kołnierz i naderwałem guziki, lecz zyskałem satysfakcję ocalenia go przed pełną kąpielą w temperaturze sześciu stopni poniżej zera” – zapisał później Cook<sup>23</sup>.

By uniknąć uwięzienia w tak zdradzieckim otoczeniu, de Gerlache starał się utrzymać statek na granicy rozszerzającego się z każdym dniem pola lodowego paku, sprawdzając ostrożnie drogi, które się przed nimi otwierały. Cook, który początkowo uznał Belgicę za jednostkę niezdarną, pokraczną wręcz przy eleganckich jachtach i oceanicznych liniowcach w porcie w Rio, teraz nie mógł nachwalić się jej przebojowości. W końcu napotkała warunki, dla jakich została zbudowana. Kiedy lód zamykał się wokół niej, walczyła o uwolnienie, znacząc wodę za rufą drzazgami i płatkami zdrapanej farby. „Narzekła, jęczała, sapała, trzeszczała i drżała” – pisał Cook. – „Ale nie zatrzymywała się, przełamując ogromne krążki lodowe grube na półtora metra i rozpychając na boki kry o średnicy niemal siedemdziesięciu metrów. Pokonuje pokryte lodem morze, jakby oswajała żywe stworzenie”.

De Gerlache kusił los, utrzymując kierunek w obliczu nadchodzącej zimy. Im dni stawały się krótsze i mroźniejsze, tym rzadziej znajdował drogi prowadzące przez pak. Nie dawała mu spokoju obawa, że mógłby się pospieszyć i choćby o jeden dzień za wcześnie opuścić Antarktykę. Mimo przewagi napędu parowego Belgica wciąż nie pobiła osiągnięcia wyprawy Jamesa Cooka, który ponad sto lat wcześniej, bo w 1774 roku, osiągnął rekordowe wówczas  $71^{\circ}10'$  szerokości geograficznej południowej, nie wspominając nawet o aktualnym rekordzie:  $78^{\circ}09'30''S$ , ustanowionym w 1842 roku przez Jamesa Clarka Rossa. Oba te rekordy zostały zdobyte po przeciwnej stronie planety. De Gerlache dotarł dalej na południe na Morzu Bellingshausena niż którykolwiek z odkrywców czy wielorybników wcześniej. Niewielkie to było jednak pocieszenie w obliczu braku glorii zdobywcy rekordowej szerokości geograficznej.

Komendant wpatrywał się w horyzont. Niebo wodne na południowym wschodzie sugerowało istnienie ogromnej połaci otwartych wód gdzieś w tamtym kierunku, kusząc de Gerlache'a i dając nadzieję, że jeszcze ma szansę, by tam dopłynąć.

Z każdym mijającym dniem Belgica coraz częściej wpadała w szpony lodu i za każdym razem coraz więcej czasu mijało, zanim zdołała się uwolnić, co budziło niepokój członków wyprawy. W nocy dwudziestego trzeciego lutego de Gerlache przepytął oficerów, jak zapatrują się na ewentualność zimowania pośród antarktycznych lodów. Zgodnie ze słowami Cooka: „wszyscy byli przeciwko temu pomysłowi”. Lekarz nie sądził, by utknięcie w paku mogło dobrze się skończyć. Dawno temu snuł plany, by poprowadzić zimową ekspedycję na Antarktydę, lecz przecież na sam kontynent, a nie aby uwięzić statek na bezkresnym polu lodowym podczas bezradnego dryfowania po morzu. Naciskał na de Gerlache’a, by zarzucił myślenie o takim rozwiązaniu. Przy czym Cook był jedyną osobą na pokładzie, która przetrwała zimę w arktycznych warunkach – w czasie wyprawy Peary’ego na Grenlandię – i miała jakiegokolwiek przygotowanie, by to powtórzyć.

Przerażeni zaproponowaną ewentualnością naukowcy zdecydowanie zaprotestowali. Żaden z nich nie pisał się na udział w wyprawie, której elementem było zimowanie pośród lodów Antarktyki. Zastaniali się przy tym obawami o bezpieczeństwo efektów swojej pracy: gdyby Belgica została zmiądzona, tłumaczyli, zbiory Arctowskiego i miniaturowe muzeum Racovitzy spoczęłyby na dnie morza. Tak naprawdę jednak bali się głównie o swoje życie. Coraz bardziej gniewała ich lekkomyślna i niebezpieczna pogoń de Gerlache’a za sławą.

„Naukowcy, niestety, są ciężko przerażeni” – zapisał tego wieczoru Amundsen. Pierwszy oficer znalazł się w nielicznym gronie popierających de Gerlache’a w jego determinacji, by dalej zmierzać na południe, najdalej, jak się da, zanim padnie komenda do odwrotu; uważał, że tym, którzy z tchórzostwa oponują – głównie Arctowskiemu i Racovitzy – należy się pogarda. Tym bardziej, że to oni przecież powinni wyczekiwać odkryć nowych lądów. „Nie chcą już płynąć dalej w lodowe pola. To po co tu w ogóle się fatygowaliśmy? Czyż nie po to, by odkrywać nowe tereny? To się przecież nie uda, jeśli będziemy trzymać się krawędzi lodu i czekać!”.



Tak długo, jak lodowy pak pozostawał zwarty, rozmyślenia de Gerlache'a na temat zimowania w nim pozostawały hipotetycznymi rozważaniami. Jednak rankiem dwudziestego ósmego lutego potężny sztorm rozbił go, porozdzielał i otworzył jego krawędź. Krążki lodowe rozsunęły się, zapraszając Belgicę w otwarte szczeliny i dając de Gerlache'owi szansę, by ruszyć dalej, w głąb antarktycznego morza.

Komendant musiał podjąć decyzję: statek zbliżał się do siedemdziesiątego równoleżnika, a świeżo otwarte kanały dawały mu możliwość płynięcia dalej na południe i być może ustanowienia nowego rekordu. Lecz zapuszczanie się tak głęboko w lodowy pak o tej porze roku oznaczało niemal pewne uwięzienie, i to nie na parę dni, a parę miesięcy, jeśli nie lat. Kiedy Belgica przemykała wzdłuż nacierających na siebie kier, a mocne powiewy wiatru szarpały takielunkiem, de Gerlache rozważał możliwości.

Historie statków Terror, Erebus i Jeannette dawały mu do myślenia, kiedy zastanawiał się nad penetrowaniem lodowego paku. Nie zapominał, że utrata jednostki na tych wodach nie dawała zbyt wielkich szans na przeżycie. W przeciwieństwie do Arktyki tutaj nie można było liczyć na ratunek ze strony przepływających statków; nawet gdyby znane było położenie Belgiki – a przecież nie było – najbliższa jednostka znajdowała się zapewne setki mil od nich. Nie mógł również zakładać, że ktokolwiek z załogi przeżyłby podróż w niewielkich, odkrytych łodziach ratunkowych przez Cieśninę Drake'a. A że de Gerlache planował zimowanie na Ziemi Wiktorii jedynie czterech członków wyprawy, ekspedycja dysponowała zaledwie czterema zestawami ubrań zaprojektowanych w taki sposób, by dawały ochronę przed ekstremalnymi temperaturami. Gdyby jego ludzie musieli przeciągać łodzie przez lodowy pak bez odpowiedniego zabezpieczenia, wielu z nich straciłoby życie.

A jednak bezpieczeństwo załogi nie było w tamtym momencie jego największą troską. Komendant nie delectował się cierpieniem dla samego cierpienia, jak Amundsen, ale też nie miał okazji, by doświadczyć jego duszącego i oczyszczającego uścisku. Rozumiał

jednak, dzięki niezliczonym lekturom i głębokiej miłości do polarnych opowieści, że chwała wymaga poświęceń i ryzyka, a ryzyko i cierpienie były ze sobą nierozzerwalnie związane. Co więcej, poza ponurymi historiami statków utraconych w lodzie pamiętał też o opowieściach ze szczęśliwym zakończeniem, w których kapitanowie kładli na szalę życie swoich ludzi i wygrywali. Piątego stycznia 1841 roku, kilka lat przed tym, jak Franklin wyruszył Erebosem i Terrorem w ostatnią wyprawę i przypieczętował swój los w kanadyjskiej Arktyce, James Clark Ross wpłynął nimi w lodowy pak na podobnej szerokości geograficznej, tylko po przeciwnej stronie Antarktydy. Przez cztery dni żeglugi jednostki pokonały 134 mile pokrytego lodem morza, by wypłynąć po drugiej stronie na otwarte wody, odkrywając w ten sposób Ziemię Wiktorii. Co świat pomyślałby o de Gerlache'u, gdyby płynąc statkiem z napędem parowym, bał się ryzyka, przed którym niemal sześć dekad wcześniej nie cofnął się Ross, dysponując jedynie żaglami?

Belgica, smagana wiatrem, uderzana przez fale i popychana przez kry, oczekiwała na rozkaz komendanta. Przybierający na sile sztorm strzępił krawędź lodowego paku, przez co pozostawanie w bezruchu stawało się coraz bardziej niebezpieczne. De Gerlache miał do wyboru szukanie schronienia przed falami głębiej pośród lodu lub ucieczkę przed szybko poruszającymi się górami i krążkami lodowymi na otwartym oceanie. Nie mógł dłużej zwlekać z decyzją - w mniej niebezpiecznych warunkach stracił już przecież jednego człowieka.

Jednak prócz racjonalnych argumentów przemawiających zarówno za pozostaniem pośród lodów Antarktyki, jak i za opuszczeniem jej czym prędzej, umysł de Gerlache'a dręczyła nerwowa obawa przed utratą szans na okrycie się chwałą. Niekończące się opóźnienia i tak zmusiły go do drastycznej modyfikacji planów, co już samo w sobie było dla niego wyjątkowo zawstydzające. Gdyby miał realizować wszystkie założenia, wyprawa musiałaby potrwać trzy lata, a nie dwa, jak pierwotnie planował, a jej przedłużenie stało się de facto konieczne przez opóźnienia już w Ameryce Południowej. Wyrzucenie części marynarzy i dezercja innych; niezaspokojona ciekawość naukowców

naciskających na dłuższy pobyt na Ziemi Ognistej; uniknięcie o włos utraty statku w kanale Beagle; nieplanowany postój przy Wyspie Stanów, by napełnić zbiorniki ze słodką wodą, co wiązało się z nadłożeniem drogi - wszystkie te okoliczności uniemożliwiły Belgice dotarcie do Ziemi Wiktorii, zanim lód zablokował możliwość żeglugi. Przedłużenie wyprawy o rok oznaczałoby zupełnie nowe problemy. Budżet zamknięty kwotą trzystu tysięcy franków miał z trudem wystarczyć na dwa lata podróży. Prawdę mówiąc, w kasie wyprawy pozostało jedynie szesnaście tysięcy franków, a biorąc pod uwagę, jak wiele czasu zajęło de Gerlache'owi zgromadzenie funduszy, głupotą byłoby wierzyć w zebranie pieniędzy na dodatkowy czas podróży przez kilka miesięcy postoju. Skoro nie poradził sobie z osiągnięciem jednego z głównych celów, miałby ogromne trudności, by przekonać sponsorów wyprawy czy belgijski rząd do wysupłania dodatkowych środków. A próba dokonania tego na odległość, podczas pobytu w Ameryce Południowej, oznaczałaby niemal pewne niepowodzenie. Biorąc pod uwagę przeciwności, z którymi spotykał się w trakcie kompletowania załogi, prób utrzymania morale i zapewnienia dyscypliny na pokładzie, de Gerlache musiał zakładać, że wieść o przedłużeniu ekspedycji skłoniłaby część marynarzy do ucieczki z Belgiki przy pierwszej nadarzającej się okazji, by nie czekać beczynnym, aż minie zima i znów wyruszą w drogę.

Komendant widział, jak sypią się jego marzenia. Bez pieniędzy - i bez załogi, z którą mógłby kontynuować misję - de Gerlache musiałby ogłosić koniec ekspedycji, co z kolei oznaczałoby narodową kompromitację, osobisty blamaż i rodzinną hańbę. Świat naukowy mógłby nawet wyrażać zachwyty ich odkryciami w kanale przy Półwyspie Antarktycznym, jednak skały, mchy, porosty i nielotna muchówka nie zaspokoilyby głodu belgijskiej publiki, łaknącej narodowej glorii i chwały zdobywców. Jeśli de Gerlache bał się czegokolwiek bardziej niż antarktycznego paku lodowego, to była to właśnie belgijska prasa. Jej reakcja na powrót Belgiki do Ameryki Południowej byłaby bez wątpienia brutalna i zapewne mogłaby wpłynąć

na decyzje nielicznych sponsorów skłonnych dalej finansować ekspedycję.

Mimo niebezpieczeństw – lub raczej właśnie dzięki nim – uwięzienie w lodzie rozwiązałoby wszystkie problemy. Zimowanie w paku lodowym nie wymagałoby dodatkowego finansowania, de Gerlache nie straciłby żadnego z marynarzy – a przynajmniej nie z powodu dezercji – za to historia wyprawy nabrałaby dramatyzmu i grozy. Skoro nie miało być im dane być pierwszymi, którzy dotarli do magnetycznego bieguna południowego (a tego roku nie było na to najmniejszych szans), mogliby przynajmniej ustanowić inny rekord, stając się pierwszymi ludźmi, którzy spędzili zimę za południowym kołem podbiegunowym. Wiążące się z tym niebezpieczeństwo nie odstraszało, a wręcz zachęcało do podjęcia wyzwania: im pełniejsza dramatyzmu historia, tym więcej osób będzie chciało ją przeczytać i tym wyższą stawkę gotowi byliby zapłacić wydawcy za prawa do wyłączności.

Jeśli argumenty te zaważyły w wewnętrznych bojach, de Gerlache nie wykazałby się większym cynizmem niż inni odkrywcy. Przyjęte było bowiem, że po powrocie to dowódcy wypraw publikowali swoje dzienniki. W ten sposób zarabiali dużą część pieniędzy na spłatę pożyczek i finansowanie kolejnych eskapad – przy braku łatwo dostępnych zasobów naturalnych opowieści były głównym towarem przywożonym z miejsc pełnych jałowej bieli. A do najpoczytniejszych wcale nie należały te, w których wszystko dobrze się kończyło<sup>24</sup>. De Gerlache wiedział, że utknięcie w lodowym paku ściągnęłoby ogromne cierpienie na wszystkich na pokładzie, jednak zdawał też sobie sprawę, że cierpienie to byłoby zaliczką na poczet przyszłych zysków – finansowych i wszystkich innych.

Wzburzone morze unosiło kry, ciskało nimi o siebie i uderzało w burty Belgiki. Śnieg wystrzeliwał w powietrze na wysokość masztów. Próbując utrzymać pozycję, statek ustawił się dziobem do mocnego, północno-wschodniego wiatru, a załoga czekała w gotowości na decyzję de Gerlache'a.

Komendant opuścił kajutę, przeszedł przez pokład, dostosowując kroki do kołysania fal. Wspiął się na mostek, gdzie zastał Lecointe'a. Stał obok kapitana, by sternik nie mógł podsłuchać rozmowy, i przedstawił swoje plany. Lodowaty wiatr zagłuszał dźwięk ich słów. Lecz kiedy komendant skończył mówić, kapitan się uśmiechał. Mężczyźni energicznie uścisnęli sobie dłonie gestem wyrażającym zrozumienie i zapewnienie, że obaj biorą na siebie odpowiedzialność za podjętą decyzję.

Lecointe odwrócił się do sternika i wykrzyknął komendę.

- Na południe!

Przy wiatrach osiagających sześćdziesiąt mil morskich na godzinę, dmących w żagle Belgiki, statek ruszył w stronę krawędzi lodowego paku i popędził rzekami i jeziorami otwartej wody. Fontanny mokrego śniegu siekły załogę po twarzach. Widoczność była słaba, a statek poruszał się tak szybko, że konieczne manewry często wykonywano w ostatniej chwili, by uniknąć zderzenia z górami lodowymi czy krawędzią lodu po przeciwnej stronie. Zdarzało się również, że niezbędne było taranowanie skupisk lodu: kiedy jego nagromadzenie blokowało drogę do dalszych połączeń i kanałów otwartej wody, de Gerlache rozkazywał mechanikowi zwiększyć moc silnika i kierował statek wprost na przeszkodę. Belgica płynęła tej nocy na południe, przy akompaniamencie coraz częstszych i głośniejszych zderzeń z lodem.

„Wpłynęliśmy do zupełnie innego świata” - pisał de Gerlache. - „Jak bohaterów skandynawskich sag, okrutni bogowie poddawali nas nieludzkim próbom”.

Jedynie on i Lecointe wiedzieli, że to droga bez powrotu. Pozostali żyli w przeświadczeniu, że wpłynęli w pak lodowy, szukając schronienia przed sztormem. Wystarczyło kilka mil morskich lodu, by wzburzone fale straciły impet. Tymczasem przez dwadzieścia cztery godziny od przekroczenia granicy paku Belgica pokonała dystans ponad osiemdziesięciu mil i dotarła do szerokości geograficznej 71°31'S,

uzyskując nowy rekord dla tych okolic i poprawiając o ponad dwadzieścia mil morskich poprzedni: 71°10'S, osiągnięty przez kapitana Cooka<sup>25</sup>. Nikt nie zakładał, że de Gerlache podjął decyzję, by za wszelką cenę przeć na południe, nawet gdyby miało to oznaczać skazanie wyprawy na uwięzienie w lodzie.

Burza ustała rankiem pierwszego marca, a czyste niebo ukazało białą panoramę dookoła statku. Belgica z trudem posuwała się naprzód. Kanały w lodzie, które pozwoliły dotrzeć tak głęboko w pak, zamknęły się za rufą statku. Niewielkie przerwy otwierane mocniejszym wieczornym wiatrem, nie dawały szans na dalszą podróż. Drugiego marca Belgica z wysiłkiem pokonała kilka mil morskich, a potem nastąpiła parę mroźnych dni, których spokój sprawił, że między krami lodu powstał lód o barwie ochry – bogaty w kwitnący fitoplankton – który przykrył otwartą wodę.

Nie widząc szans na dalszą podróż na południe, de Gerlache bez przekonania podjął starania powrotu – lecz było już za późno. Pak lodowy się zamknął. Komendant wiedział, że nic już nie zdziała. Gdyby rzeczywiście miał jakieś wątpliwości co do decyzji o zimowaniu, ostatnią szansą na odwrót był moment, gdy ucichła burza i rozstąpiły się chmury, bo wtedy lód nie był jeszcze zespolony. Teraz próby zawrócenia służyć miały jedynie przekonaniu załogi, że robił, co w jego mocy, by uniknąć lodowej pułapki.

W dzienniku komendanta pod datą piątego marca pojawił się wieczorem poetycko zwięzły wpis: „Postawione wszystkie żagle. Statek ani drgnie”. Belgica utknęła. Tym razem na dobre.

# CZEŚĆ II



*Ale jeszcześmy nie rozwiązali zagadki czarodziejstwa białości; jeszcześmy się nie dowiedzieli, czemu pociąga ona duszę z taką siłą - a co dziwniejsze i bardziej niezwykle - dlaczego, jak widzieliśmy, jest ona najbardziej znaczącym symbolem rzeczy ducha, zaiste samą szatą bóstwa chrześcijan, a jednocześnie może być najpotężniejszym czynnikiem we wszystkim, co najbardziej ród ludzki przeraża.*

*Czy jest tak dlatego, że przez swą nieskończoność ukazuje ona zarys bezdennej pustki i ogromu wszechświata i w ten sposób zadaje nam cios w plecy myślą o unicestwieniu, kiedy spoglądamy na białe głębiny Mlecznej Drogi? Czy dlatego, że białość w samej swej istocie jest nie tyle barwą, co widowym brakiem barwy, a jednocześnie konkretem wszelkich barw - czy to z tej przyczyny w rozległym krajobrazie śniegów tkwi tak milcząca, a pełna znaczenia pustka - bezbarwny, wielokolorowy ateizm, przed którym się wzdragamy?*

HERMAN MELVILLE, MOBY DICK, CZYLI BIAŁY WIELORYB



## Rozdział 9

### W OKOWACH LODU

SZÓSTEGO MARCA PO POŁUDNIU SŁOŃCE PRZEGONIŁO CHMURY i odsłoniło niebo, a oczom członków wyprawy ukazał się bezmiar białej Sahary, pośrodku której tkwiła uwięziona Belgica, i tylko tu i ówdzie widać było niewielkie, odosobnione plamy niezamarzniętej wody. De Gerlache opisał w dzienniku pak jako „bezkresne pole lodu, przez które nie przedarłby się siłą najpotężniejszy nawet statek”. Niesiony wiatrem śnieg łagodził wszystkie wypukłości i zaokrąglął kształty, oblepiał krawędzie wypiętrzonego lodu, ukrywał linie przełomów tafli i układał się w zasy, które przypominały pustynne formacje. Wiatr rysował na powierzchni śniegu wzory fal, podobnie jak w innych miejscach na Ziemi rysował takie ślady w piasku. Góry lodowe, rozrzucone po lodowym paku, unieruchomione równie skutecznie jak Belgica, przypominały odległe skały i płaskowyże. Racovitza nazwał ten krajobraz „parodią *terra firma*” – kpinią ze stałego lądu, gdyż ulegające bezustannym przekształceniom otoczenie stworzone było przecież wyłącznie z wody.

Nie dało się określić rozmiarów lodowej pustyni ani jak daleko sięga za horyzont. By tego dokonać, podróżnicy musieliby porzucić statek i ruszyć w drogę piechotą, godząc się na ryzyko, że nigdy już nie trafią z powrotem na Belgicę. Nieznana była również odległość do najbliższego lądu. Tydzień wcześniej Lecoq szacował, że wybrzeże Ziemi Grahama znajduje się około czterystu mil morskich na wschód. Od tamtego czasu statek przesunął się o ponad sto mil na południe. Mapa tego regionu Antarktyki pozostawała niezapisana – nikomu nie udało się dotychczas ustalić, czy gdzieś dalej na południe znajduje się jakikolwiek ląd.

Po obiedzie niemal wszyscy zeszli na lód – niektórzy z nartami, inni na piechotę – by zbadać najbliższe otoczenie. Kiedy się oddalili od statku, do ich uszu nie docierało już trzeszczenie drewna, odgłosy pracy parowego kotła czy bezustannej krzątaniny marynarzy w zamkniętej przestrzeni, głuche uderzenia kry o kadłub, wycie wiatru czy chlupot fal. Poza trzeszczeniem śniegu pod ich stopami słyszeli jedynie lód. „Wydawał piski przypominające ludzkie zawodzenie” – pisał Lecointe. – „Tak właśnie brzmi formujący się młody lód; pierwsze słowa wypowiedane przez dziecko”.

Widząc statek uwięziony pośród zwartego lodowego paku – czy to już pierwszego dnia, czy powoli, przez kilka kolejnych – członkowie wyprawy zaczęli rozumieć, że to nie był wypadek. De Gerlache nie skorzystał z licznych okazji, by uniknąć pochwycenia przez lód, zawrócić i ruszyć na północ. Do ludzi docierało, że za ich plecami została podjęta decyzja dotycząca zmiany planów wyprawy na takie, o których nie było wcześniej mowy i które przepełniały ich trwogą.

Cook był zaniepokojony zarówno jako lekarz wyprawy, jak i jedyny jej uczestnik, który doświadczył ciągnącej się miesiącami polarnej nocy. Długo przekonywał de Gerlache’a, by nie ryzykował zimowania pośród lodów. Zwłaszcza że nieszczęsna zima w Arktyce, którą Cook spędził w trakcie wyprawy z Pearym, a w czasie której bliski był śmierci, musiała mu się wydawać czymś całkiem przyjemnym w porównaniu z tym, z czym on i jego towarzysze mieli się mierzyć teraz. Podczas podróży z Pearym załoga miała przynajmniej możliwość wzniesienia wygodnej chatki na stałym lądzie, gdzie nie trzeba było drzeć przy każdym kroku o to, by nie wpaść przez pękający lód do wody, a kra nie groziła zgnieceniem ich jedyne go schronienia. O tak, perspektywa zimowania na pokładzie Belgiki była znacznie groźniejsza.

Jeśli nastawienie Cooka wobec decyzji de Gerlache’a można określić jako krytyczne, naukowcy dużo dosadniej wyrażali swoje niezadowolenie i oskarżali komendanta o zdradę. Wzburzony Arctowski wypomniął mu, że przed opuszczeniem Europy złożył jednoznaczłą obietnicę, że nie zamierza próbować zimowania pośród lodów, i jako

dowódca zapewnił, że nawet nie miałby prawa podejmować tak brzemienną w skutki decyzję w imieniu wszystkich na pokładzie.

Przeważająca część uczestników wyprawy podzielała zastrzeżenia naukowca. „Większość z nas uznała, że należy wyrazić niezadowolenie wobec kierownictwa, a odpowiedzialność za wpłynięcie w pole lodowe spadała, naszym zdaniem, na barki komendanta, który pod koniec letniego sezonu podjął taką decyzję” – pisał Cook. Śmiałkowicie mimo to wciąż żywili słabą nadzieję, że przed nastaniem zimy pojawi się jeszcze szansa na odwrót. De Gerlache i Lecointe robili, co mogli, by podtrzymać w nich tę wiarę. Wyczuwali prawdopodobnie, że muszą przekonać wszystkich o braku premedytacji w swoich działaniach, by stonować coraz większe wzburzenie wśród załogi.

Po kilku dniach od uwięzienia Belgiki w paku de Gerlache zgromadził oficerów i załogę, by podzielić się z nimi dobrymi wiadomościami: według pomiarów astronawigacyjnych Lecointe'a statek znajdował się na współrzędnej 71°19' szerokości geograficznej południowej, po tym, jak jeszcze poprzedniego dnia było to 71°18'S. Wynikało to z tego, że pak lodowy dryfuje na północ. Przy odrobinie szczęścia prądy wypchną Belgicę w pobliże krawędzi lodowego pola, by w końcu ją uwolnić. Zgromadzeni odetchnęli z ulgą – istniała więc jeszcze niska szansa, by uniknąć najgorszego.

Niedługo po spotkaniu de Gerlache i Lecointe wzięli Amundsena na bok i poinformowali pierwszego oficera, że przekazane załodze koordynaty nie miały nic wspólnego z rzeczywistością. „Zostały wymyślone na poczekaniu” – pisał później Amundsen – „żeby podtrzymać morale”. Zgodnie z rzeczywistymi odczytami pomiarów statek znalazł się na współrzędnej 71°26' szerokości geograficznej południowej, co oznaczało, że Belgica dryfowała na południowy zachód, pokonując około trzech mil morskich dziennie. Amundsen zachował sekret dla siebie, lecz w dzienniku skomentował ten brak uczciwości. „Na tę chwilę jedynie komendant, kapitan i ja mamy tego świadomość. De Gerlache nie chce, by inni również o tym wiedzieli, bo wzmogłoby to jedynie i tak duży już strach przed zimowaniem pośród lodu”.

Podtrzymując ogień w palenisku kotła i udając, że statek dryfuje na północ, de Gerlache mógł zapewniać wszystkich o swej gotowości do odwrotu, gdyby tylko otworzyła się droga na północ. Lecz nawet to było tylko fortelem, bowiem jeśli de Gerlache i Lecointe utrzymywali silnik pod parą, to jedynie z nadzieją na ruszenie w przeciwnym kierunku: przez kilka dni na chmurach nad południowym horyzontem utrzymywało się ciemne niebo wodne, świadczące o dużych połaciach niezamarzniętej wody gdzieś w tamtym kierunku. Zdeterminowany do kontynuowania za wszelką cenę podróży na południe, de Gerlache zastanawiał się, jak, do spółki z Lecointe'em, mogliby ukryć prawdziwy kurs Belgiki przed coraz głośniejszymi krytykami zimowania w paku lodowym. Pół żartem, pół serio kapitan zaproponował taką manipulację kompasem, by „sternik myślał, że płynie na północ, podczas gdy w rzeczywistości zmierzałby na południe”.

Koniec końców, rozczarowanie spotkało obie strony. Ósmego marca wodne niebo zniknęło znad horyzontu, a lód zaczął na siebie napierać. Zjawisku temu towarzyszyły dźwięczne odgłosy pękania, rezonujące w coraz grubszej warstwie paku. Nie było mowy o dalszej podróży, ani na południe, ani na północ.

Musiał minąć tydzień, by ludzie oswoili się z trudną sytuacją. Przez ten czas pak lodowy na przemian tężał i rozsuwał się delikatnie, jak serce żywego organizmu, lecz ani razu nie rozstąpił się na tyle, by umożliwić odwrót. De Gerlache przetrzymał paniczne wzburzenie towarzyszy, którzy nabrali przekonania, że w rzeczywistości ani przez chwilę nie planował zawrócenia na północ i że celowo skierował Belgicę w środek tego lodowego więzienia.

Lecointe zażarcie bronił siebie i komendanta przed takimi zarzutami. „Przecież to oczywiste, że szczerze próbowaliśmy wrócić na północ, choć równie oczywiste jest i to, że niepowodzenie tych starań nie napełniało nas smutkiem”.

Lecz nawet jemu i de Gerlache'owi trudno było całkowicie zlekceważyć zły omen, który nierozzerwalnie połączył się z uwięzieniem Belgiki w lodach: pierwszego dnia przymusowego postoju złapany

miesiąc wcześniej i ubóstwiany przez wszystkich pingwin białobrewy Bébé nagle przestał jeść. Mimo czulej opieki i wysiłków marynarzy zwierzę padło kolejnej nocy „wstrząsane okropnymi konwulsjami”.

Nawał pracy nie pozwalał załodze i naukowcom nurzać się we frustracji i złości. Przy dramatycznie szybko skracających się dniach w marcu i kwietniu wszyscy zajęli się przygotowywaniem Belgiki do zimowania w antarktycznych warunkach. Żagle zostały zdjęte, zwinięte i zniesione do ładowni; śruba napędowa wyciągnięta z wody w celu ochrony jej przed naciskiem lodu, a niepodtrzymywany ogień w kotle zgasł. Wśród najpilniejszych zadań znalazła się budowa wałów śnieżnych dookoła jednostki, by w jakimś stopniu ochronić ją przed zimnem. Osłona ta, sięgająca aż do nadburcia, pozwalała utrzymać w pomieszczeniach przyjemne 10 stopni Celsjusza, i to mimo szybko spadającego słupka rtęci na zewnątrz. W połowie marca termometry na dworze pokazywały pięć stopni poniżej zera. Na linach i rejach osadzał się lód, upodabniając je do potężnej pajęczyny.

Zgodnie z wyliczeniami Lecointe'a na tej szerokości geograficznej słońce na dobre zniknąć za horyzontem miało najpóźniej w połowie maja, a noc polarna potrwać niemal trzy miesiące. Nikt nie miał wątpliwości, że temperatury mocno spadną, jednak jak mocno, było niewiadomą, gdyż nigdy wcześniej człowiek nie przebywał zimą tak daleko na południu. Członkom wyprawy nie pozostało nic innego, jak przygotować się na najgorsze.

Rankiem szesnastego marca de Gerlache, Lecointe i Jules Melaerts, trzeci oficer, zeszli do ładowni, by zreorganizować zapasy i przewożone wyposażenie. Zanurzyli się w całkowitą ciemność, niosąc świece umocowane na niewielkich deseczkach. W migotliwym blasku palących się knotów dostrzegli cienie czmychających szczurów i usłyszeli ich piski. Dwupoziomowa ładownia ulokowana w śródkręciu zastawiona była po sufit skrzyniami zawierającymi tysiące konserw spożywczych, dziesiątkami butelek wina, najróżniejszymi skomplikowanymi urządzeniami służącymi badaniom naukowym, zbiornikami z benzyną,

kilkunastoma beczkami alkoholu do konserwowania próbek, materiałami budowlanymi i innymi ładunkami.

Liczne sztormy i wypadki w czasie podróży sprawiły, że ładunek statku przerzucany był z boku na bok, więc uporządkowanie ładowni zajęło im dobrych kilka dni. Maszynownia znajdowała się między główną ładownią a mniejszym magazynem na rufie. De Gerlache, Melaerts, Lecointe i część marynarzy pracowali pod pokładem, przyświecając sobie nieosłoniętymi świecami, co było wyjątkowo niebezpieczną praktyką - igrali z losem, który tylko czekał, by zamienić pomieszczenie w wielki pokaz fajerwerków. I to nie tylko z powodu przewożonych pięciuset kilogramów kostek tonitu, które de Gerlache kazał zapakować jako polisę ubezpieczeniową na wypadek uwięzienia w lodzie, a które zdążyły wysypać się ze skrzyń, lecz też przez wzgląd na amunicję i ładunki prochowe do działek harpunnicznych, z których część się rozdarła, pokrywając podłogę dywanem czarnego prochu. Najmniejsza iskra mogła wywołać zapłon i pozbawić podróżników schronienia, dlatego, by zapewnić sobie dostęp do wody, obok statku wycięto w lodzie otwór, który codziennie był udrażniany.

Unieruchomiona w lodzie i odarta z żagli Belgica zmieniła się z gotowego do działania statku w dom dla osiemnastu mężczyzn. „Nie jesteśmy już marynarzami” - zapisał de Gerlache - „a niewielką kolonią karną, w której skazańcy odbywają wyrok”. Pomieszczenie dla załogi stało się znacznie wygodniejsze niż w chwili, gdy Belgica wypływała z portu w Antwerpii, mniej ludzi tłoczyło się na kojach ustawionych wzdłuż ścian zwężającego się ku dziobowi forkasztelu. Znajdujący się pod pokładem dziobowym kubryk oświetlony był jedynie przez forluk, prostokątny otwór w suficie, z którego słup światła padał wprost na ustawiony poniżej stół. Atmosferę regularnie ożywiali Johansen świetną grą na akordeonie i Van Mirlo słabą grą na kornecie. Dalej w kierunku rufy, wciąż pod pokładem, przy prawej burcie znajdowała się kuchnia, a przy lewej schowek. Poza tym zorganizowano łaźnię, w której marynarze mieli obowiązek myć się raz w tygodniu.

Na pokładzie śródkręcia znajdowały się przylegające do siebie laboratoria Racovitzy i Arctowskiego, odpowiednio po prawej i lewej stronie statku - każde zastawione masą delikatnych szklanych pojemniczków i instrumentów i każde z kwadratowym dużym oknem, dzięki któremu w ciasnych wnętrzach nie brakowało dziennego światła. Z początkiem marca załoga wzniosła zadaszenie nad pokładem między laboratoriami a pomieszczeniami dla oficerów na rufie statku, wykorzystując do tego drewno i papę asfaltową, a więc materiały zabrane z myślą o budowie schronienia dla czwórki śmiałków, którzy mieli zimować na Ziemi Wiktorii. Stukot młotków rozchodził się echem nad lodowym pakiem. Wiata służyła za warsztat, w którym marynarze zorganizowali kuźnię oraz ustawili przegrody z haczykami i półkami, gdzie później suszyli mokre ubrania i wyposażenie. Znalazło się tam również miejsce na piec z kotłem zbudowanym z części zapasowych do silnika parowego, w którym topiono śnieg na wodę do picia. By oszczędzać węgiel - bo ogień musiał palić się nieprzerwanie - Cook z drugim mechanikiem, Maxem Van Rysselberghe'em, opracował system współpalania brykietu z foczym tłuszczem. Statek przeszedł gryzącym zapachem tej mieszanki, lecz ludzie szybko się do niego przyzwyczaili.

Z pokładu dwoje drzwi wiodło do kwater oficerskich. Za prawymi skrywała się kabina de Gerlache'a, największa i najlepiej wyposażona na całym statku, z dywanem na podłodze, książkami ułożonymi w stosy w narożniku, sporym biurkiem pod prostokątnym oknem oraz zasłoną oddzielającą część roboczą od łóżka, przez co wyglądała trochę jak apartament.

Przez drzwi po stronie lewej burty wchodziło się na korytarz prowadzący do mesy na samym końcu statku. Po drodze mijało się wejścia do dwóch kabin. Jedną zajmowali Amudsen i trzeci oficer Jules Melaertes, którzy szybko zmęczeni się swoim towarzystwem (fakt uczynienia Norwega pierwszym oficerem, a więc ustawienie go w hierarchii wyżej od Belga, z całą pewnością nie ułatwiało harmonijnej koegzystencji). Sąsiednia kabina należała do Lecointe'a. Pokój kapitana

tak bardzo przepełniony był przyrządami naukowymi, mapami, materiałami źródłowymi i zwiniętymi mapami morskimi, że nie zostało w nim miejsca na meble. Kiedy Lecointe potrzebował biurka, kładł na łóżku gruby karton, a zamiast na krzesło, siadywał na huśtawce, która niczym trapez zwieszała się z sufitu jego kabiny.

Najprzestronniejszym pomieszczeniem na pokładzie Belgiki była mesa oficerska na końcu korytarza. Oficerowie i naukowcy spędzali tam większość wolnego czasu. Siadywali wówczas przy dużym, prostokątnym stole pośrodku i śmiali się, żartowali, czytali, rozmawiali albo słuchali *coelophone'u* - rodzaju mechanicznych organów, instrumentu zwanego przez załogę katarynką - a każdy z nich miał swoje ulubione melodie. Ściany zdobiły koloryzowane fotografie przedstawiające panoramy belgijskich miast oraz Nansena, jak na pokładzie Fram wpływa w 1896 roku do Kristianii. Szafki wzdłuż lewej burty skrywały unikalną zastawę przygotowaną specjalnie na tę wyprawę, a w jej skład wchodziły również obrusy i serwetki ozdobione czerwoną kotwicą i wstążką z napisem „Belgica” (oficerowie i naukowcy umówili się, że cała zastawa trafi jako prezent do tego spośród nich, który pierwszy się ożeni). Pod tylną ścianą stała długa ława, obok niej wieszak na broń, a poniżej znajdował się regał ze skromną biblioteką ekspedycji. Wśród książek można było znaleźć relacje z wypraw polarnych, dzienniki naukowe, popularne magazyny i powieści, a wychowany jako metodysta Cook szybko zauważył, że „był tam jeden tylko egzemplarz Biblii (trzymany pod przykryciem) i ani jednego modlitewnika”. Brak religijnych tekstów był celowym zabiegiem. „Belgowie to rzymscy katolicy. Pozostali to protestanci” - pisał dalej Cook. - „Mimo to nie tli się konflikt na tle religijnym. De Gerlache zrobił wszystko, co mógł, by zapewnić religijną harmonię, co jednak sprawiło, że załoga jako całość nie była zbyt religijna”.

W ścianie mesy po stronie prawej burty znajdowały się drzwi prowadzące do kabiny naukowców. Pomieszczenie to było długie i wąskie, z dwoma podwójnymi łóżkami piętrowymi wciśniętymi wzdłuż burty. Cook i Arctowski, obaj mniej niż przeciętnego wzrostu, zajęli



krótsze z łóżek, za to Danco i Racovitza musieli przedłużyć swoje o dziesięć centymetrów, by się w nich mieścić. Czwórka mężczyzn zmieniała się w kontorsjonistów, by zgodnie dzielić bardzo ograniczoną przestrzeń: nie dało się na przykład przodem precyzyjnie przycisnąć między łózkami a ścianą, a łóżka były zbyt niskie, żeby usiąść na nich prosto bez uderzania się w głowę. (By zmniejszyć częstość takich nieprzyjemnych spotkań z deskami górnej pryczy, Cook sukcesywnie ograniczał ilość swoich rzeczy. Najpierw pozbył się kołdry, potem poduszki, a na końcu materaca, bo, jak stwierdził, najwygodniej było mu spać w śpiworze z reniferowej skóry bezpośrednio na deskach). Kabina wyposażona była w dwie rozpaczliwie małe umywalki i dzban świeżej wody, z którego mężczyźni popijali przez rurki laboratoryjne. Za oświetlenie odpowiadały dwa niewielkie bulaje, z których tylko jeden się otwierał, a sufit był czarny od sadzy, okopcony przez palone tam świece. Brak wentylacji potęgował zębaty smród, który z każdym dniem stawał się gorszy. Do jego powstania w pełni przyczynili się Danco, nałogowy palacz fajki, i Cook ze swoją niechęcią do kąpieli i prania.

Gruba ściana oddzielała kajutę naukowców od prywatnej łazienki de Gerlache'a, a między nią a pokojem komendanta zbudowano w pełni wyposażoną ciemnię fotograficzną, w której Cook spędzał sporą część wolnego czasu, wywołując zdjęcia.

Pozostałą część poświęcał na obserwację zachowań towarzyszy - z ciekawością antropologa, przynajmniej z początku, a nie lekarza. Praca wśród Inuitów, a całkiem niedawno wśród mieszkańców Ziemi Ognistej, wzbudziła w nim ogromną ciekawość innych ludzi. Teraz jedynym plemieniem, jakie mógł obserwować, było jego własne. Wydawał się szczególnie zainteresowany sposobem, w jaki inni reagowali - psychicznie i fizycznie - na całkowitą izolację i ekstremalne warunki, poddani działaniu mrozu, stresu i strachu. „Myśli o utracie jednostki, głodzie i ostatecznie śmierci z wychłodzenia nie opuszczały nas ani na chwilę” - pisał w dzienniku. Jego szczere zainteresowanie

samopoczuciem innych, zarówno oficerów, jak i pozostałych członków załogi, zaskarbiło Cookowi powszechną sympatię.

Bezpośrednie otoczenie uwięzionego statku szybko upodobniło się do niewielkiej wioski. Cook, Amundsen i Lecointe zbudowali dwie chatki przykryte dachami z blachy falistej, z których łatwiej było prowadzić obserwacje astronomiczne i badania meteorologiczne. Danco i jego asystent, Gustave Dufour, wzniesli kolejną, która miała służyć prowadzeniu pomiarów pola magnetycznego – daleko od statku, by metal na pokładzie nie wpływał na odczyty instrumentów naukowych i nie zakłamywał wyników.

Początkowo niewielka kolonia tętniła życiem. Ludzie kręcili się tam i z powrotem, bo każdy szukał spokoju i ukojenia w rutynie i ciężkiej pracy. Naukowcy kursowali między statkiem a swoimi obserwatoriami. Od rana do wieczora marynarze wycinali bloki lodu, które topiono, by otrzymać wodę pitną. Z czasem trzeba było zapuszczać się po nie coraz dalej i dalej, bo w pobliżu Belgiki próżno było szukać śniegu nie splamionego sadzą z węgla, zwierzęcą padliną czy innymi zanieczyszczeniami produkowanymi przez załogę.

Naukowcy prowadzili codzienne obserwacje, wykorzystując możliwie najpełniej sytuację, w jakiej się znaleźli. Z trzech długich sosnowych żerdzi zbudowali z pomocą marynarzy trójnóg, ustawili go bezpośrednio nad otworem w lodzie i umocowali na nim krążek linowy. Dzięki temu mogli opuszczać do wody sondę albo żyłkę do łowienia ryb. Racovitza zdobył spod lodu bardzo bogatą kolekcję przedstawicieli różnych kategorii systematycznych organizmów, w tym plankton, okrzemki, kryl i kilkanaście przerażająco wyglądających ryb głębinowych, z których część nie była wcześniej znana nauce, a później została nazwana na cześć członków wyprawy: *Racovitzia glacialis*, *Gerlachea australis* i *Nematonurus lecointei*. Po każdym udanym połowie naukowiec przez kilka dni zajęty był opisywaniem i konserwowaniem zdobyczy.

Racovitza do spółki z Amundsenem eksperymentowali z różnymi rozwiązaniami ułatwiającymi połów ryb głębinowych. Szczególnie dla

Norwega czas spędzony pośród lodów był okresem wyczekiwanej i bardzo intensywnej nauki. Zaciągnął się na Belgię nie tylko po to, by zobaczyć Antarktydę, ale również w tym celu, by doświadczyć wszystkiego, z czym wiązały się wyprawy polarne. Jeśli miał w przyszłości zrealizować marzenie o poprowadzeniu własnej ekspedycji, musiał posiadać praktyczną wiedzę z zakresu zoologii, meteorologii, oceanografii, magnetyzmu ziemskiego i astronomii – lub przynajmniej nauczyć się, jak wykonywać pomiary i gromadzić dane. Szkołać się u boku naukowców z pokładu Belgiki, kierował się raczej ambicją niż ciekawością. Uwieczony pośród szkolnych ław w Kristianii nie wyróżniał się jako dobry uczeń, lecz tutaj, na uniwersytecie lodowego paku, był wybitnym studentem.

Arctowski regularnie sondował głębokość morza i szybko udało mu się ustalić, że statek dryfuje nad krawędzią szelfu kontynentalnego, co pozwoliło mu wysnuć wniosek, słuszny zresztą, że Antarktyda to jeden kontynent. Z początku był zdecydowanym przeciwnikiem zimowania, lecz z czasem uświadomił sobie, że to jedyna w swoim rodzaju okazja przeprowadzenia obserwacji i badań lodowego paku oraz długiej, antarktycznej nocy, a dotychczas oba zagadnienia owiane były taką samą tajemnicą, jaką stanowił sam kształt ostatniego niezbadanego kontynentu.

Wraz z polskim asystentem Dobrowolskim (który mieszkał z załogą w kubryku) prowadził codzinne pomiary meteorologiczne i bardzo dokładnie monitorował temperaturę oceanu, powietrza, ciśnienia atmosferycznego, opadów śniegu i kierunku wiatru. Dobrowolski większość czasu spędzał z zadartą głową, studiując formacje chmur.

Każdej nocy on i Arctowski pełni nadziei czekali na rozstąpienie się chmur, by móc zaobserwować *aurora australis*, czyli zorzę polarną na południowej półkuli Ziemi. Zorza polarna pojawiająca się na północnej półkuli – *aurora borealis* – była stosunkowo dobrze udokumentowana i opisana zarówno przez eksploratorów Arktyki, jak i mieszkańców terenów na dalekiej północy. Jej południowa odpowiedniczka rzadko była oglądana z miejsc tak daleko wysuniętych na południe. Wciąż

jednak brakowało zrozumienia natury bliźniaczych zjawisk. Pod koniec dziewiętnastego wieku w kręgach naukowych dominowała hipoteza, jakoby emitujące światło warstwy, przesuwane się po polarnym niebie, były w swojej naturze zbliżone do wyładowań atmosferycznych – a zatem wywoływało je gromadzenie się ładunków elektrycznych w atmosferze.

Na początku miesiąca kilka razy pojawiły się na niebie niewyraźne i mało intensywne błyski, lecz zorza polarna w całej swej okazałości i pięknie objawiła się podróżnikom w bezwietrzną i bezchmurną noc czternastego marca, tydzień po uwięzieniu Belgiki. Podróżnicy przez długie godziny obserwowali w zachwycie ten niezemski spektakl. Podziwiali falujące i zwijające się wstęgi coraz intensywniejszego światła. Arctowski i Dobrowolski wcześniej jedynie czytali o tym fenomenie, teraz, widząc go na własne oczy, z notatnikami w dłoniach analizowali każdy jego aspekt.

Szukając samotności i upatrując w niej szansę, by sprawdzić swą odporność na zimno, Cook postanowił oglądać aurorę z odległości około pięćdziesięciu metrów od pokładu, bezpośrednio z powierzchni lodu. Mimo czterech stopni Celsjusza poniżej zera uznał, że dystans ten umożliwi mu „lepiej nacieszyć oczy nową atrakcją”. Około północy zszedł ze statku i brnąc przez śnieg, znalazł odpowiednie miejsce. Zdjął ubranie, wsunął się szybko do reniferowego śpiwora, założył kaptur i zacisnął go szczelnie wokół twarzy. Umościł się wygodnie w miękkim śniegu nawianej zasy, znieruchomiał, leżąc na plecach, i skupił wzrok na niebie. „Z początku szczękały mi zęby i drżał każdy mięsień” – pisał później o tym doświadczeniu. – „Lecz po kilku minutach nieprzyjemne wrażenie minęło i pojawiło się uczucie towarzyszące wyjściu z zimnej kąpieli”.

Cook zorzę polarną opisał jako „drżącą koronkę, udrapowaną jak lambrekin rozwieszony na południowym niebie. Niektóre fale były raz ciemne, raz zapalały się jasno, jakby strumienie elektrycznych iskier podpalały pofałdowany materiał. Wydawało się, że zasłona porusza się pod wpływem tych fal światła, jakby wiatr wygładzał stare fałdy,

a tworzył nowe, przy czym wszystko to sprawiało, że każda nowa scena pełna była rzadko spotykanego piękna”.

Co ciekawe, korzystając w poetyckim opisie z porównania do wiatru i fal światła, Cook znalazł się bliżej właściwego wyjaśnienia natury zjawiska niż wszyscy współcześni mu naukowcy razem wzięci. Zorza polarna jest bowiem w rzeczywistości wywoływana wiatrem słonecznym, a więc strumieniem naładowanych cząsteczek wyrzucanych przez Słońce. Ta wędrująca z ogromną prędkością plazma, w której strumieniu szczególnie intensywna koncentracja naładowanych cząsteczek występuje zwłaszcza w okresach wysokiej aktywności słonecznej, zostaje uwięziona przez ziemską magnetosferę, gdzie porusza się wzdłuż linii pola magnetycznego w kierunku biegunów. Kiedy cząsteczki te zderzają się z atomami tlenu i azotu w górnych warstwach ziemskiej atmosfery, wzbudzają je, czego skutkiem jest emisja promieniowania w postaci świecenia zorzowego, co my postrzegamy jako wstęgi czerwonego, zielonego, fioletowego albo białego światła.

Leżąc zagrzebany częściowo w śniegu i przyglądając się tańcowi światła na niebie, Cook stracił poczucie czasu. Wspominał momenty, kiedy wcześniej był świadkiem takich czarodziejskich spektakli – w 1891 roku, jako członek wyprawy Peary’ego na Grenlandię Północną. Wówczas, w nocy rozświetlonej wspaniałym pokazem zjawiska aurora borealis, Cook spacerował kamienistym wybrzeżem w towarzystwie członka starszyny Inuitów, Sipsu. Zapytał go wtedy, czym są, jego zdaniem, te światła na niebie.

„Te ciemne światła” – zaczął Sipsu, odpowiadając na pytanie Cooka o zorzę polarną – „to światła Eskimosów znaczące drogę zmarłych, którzy odeszli z ziemi. Może starają się nam coś przekazać. A ty, co o tym myślisz?”.

Siedem lat później, po przeciwnej stronie planety, Cook rzeczywiście mógł myśleć o bliskich, których pożegnał. Czy światła na niebie znaczyły drogę jego zmarłej żony i dziecka? A może Wienckiego?

Około drugiej nad ranem kapitan Lecointe stał na pokładzie i przez teleskop przyglądał się niebu. Nie obserwował jednak zorzy polarnej, która zaczynała już słabnąć, lecz szukał Jowisza. W najbliższych trzydziestu minutach spodziewał się zobaczyć zaćmienie Io, pierwszego z księżyców tej planety. Od kiedy Galileusz odkrył je na początku siedemnastego wieku i wyznaczył ich orbity, cztery księżyce Jowisza, znane dziś jako galileuszowe, służyły jako rodzaj astronomicznego zegara. Czasy ich zaćmień zostały tak dokładnie wyliczone, że nawigatorzy mogli regulować wedle nich okrętowe chronometry, by na ich podstawie wyznaczać później długość geograficzną (takie okresowe korekty były bardzo ważne: niedokładność rzędu kilku ledwie sekund przy obserwacji astronomicznej przekładała się na błąd wielu mil przy wyznaczaniu pozycji geograficznej). Ustawienie teleskopu na tak drobny obiekt było w zasadzie niewykonalne na pokładzie kołysanej falami jednostki, lecz uwięziona w lodzie Belgica była nieruchoma jak stały ląd. Lecointe przez okular obserwował małą, jasną kropeczkę zbliżającą się do masywnego, marmurkowego Jowisza. Ledwie punkcik zniknął za planetą, Lecointe przez otwarte okno dał sygnał Dobrowolskiemu, który czekał przy chronometrze wewnątrz statku.

Lecointe z zimna tracił czucie w dłoniach i nogach. Odsunął twarz od okularu teleskopu i żeby się rozgrzać, zaczął spacerować po pokładzie. Obserwując pak lodowy przez obłok pary z własnego oddechu, zauważył ciemny, obły kształt zwijający się w śniegu, niecałe pięćdziesiąt metrów od burty Belgiki. Jakaś ciekawska foka, pomyślał. A że Lecointe miał w sobie instynkt łowcy, szybkim krokiem ruszył do mesy, by po chwili wrócić ze strzelbą. Załadował nabój i uniósł ją do ramienia.

Cook nie mógł usnąć. Przewrócił się na bok, tak że lodowaty wiatr wiał mu prosto w twarz. Jego broda szybko pokryła się szronem, a oddech osadzał się na twarzy i śpiworze i błyskawicznie zmieniał w lód, spajając jego głowę z kapturem. Powstała bryła była tak twarda, że każdy ruch sprawiał mu ból; kiedy próbował obrócić się i osłonić przed

wiatrem, miał wrażenie, że ktoś wyrywa mu włosy. Na względny komfort mógł liczyć jedynie w bezruchu, leżąc na plecach, mimo że dopuszczał w ten sposób, by lodowy hełm twarzną wokół jego głowy. Wpatrując się w gwiazdozbiór Krzyża Południa bezpośrednio nad sobą, zatracił się w nocnym niebie. Nie widział niczego dookoła – również tego, że kapitan śledzi go wzrokiem, unosząc gotową do strzału strzelbę.

Zanim Lecointe pociągnął za spust, postanowił jeszcze raz szybko sprawdzić zaćmienie. Nie wydawało się, by foka gdziekolwiek się spieszyła, a księżyc lada chwila miał pojawić się w stożku cienia Jowisza. Odstawił broń i spojrzął przez okular teleskopu – akurat na czas, by zobaczyć, jak satelita znika. Kapitan natychmiast polecił Dobrowolskiemu ustawić chronometr. W wyniku przeprowadzenia tej operacji ogarnęło go takie szczęście, że jego instynkt łowcy „stał się równie łagodny, co przed chwilą był podminowany”. Rozładował strzelbę i polecił jednemu z marynarzy odnieść ją na wieszak. „W ciszy obserwowałem kończący się spektakl na niebie, co czas pewien rzucając badawcze spojrzenie w stronę foki, wciąż nieruchomej na lodowym paku”.

Kilka godzin później Cooka obudziło stadko ciekawskich pingwinów, drepcząc wokół jego głowy i dziobiąc śpiwór. Kiedy się otrząsnął, zwierzęta rozpierzchły się w popłochu. Lekarz wydostał się z futrzanego kokonu za cenę kilku wyrwanych kępek włosów, ubrał się i wrócił na statek. Dopiero wtedy Lecointe uświadomił sobie, jak niewiele brakowało, by zamordował lekarza wyprawy, a Cook dowiedział się, że o włos uniknął postrzelenia dla futra i łoju.

Ilekcroć otwierała się jakaś szczelina w lodzie, oficerowie i załoga ruszali polować na pingwiny i foki. Powalenie foki było brutalnym zadaniem, wymagającym zazwyczaj przynajmniej kilku strzałów. Jednak

to zabijanie pingwinów okazało się wyjątkowo trudne, i nie tylko przez ich niepokojące podobieństwo do ludzi. „Pewnego dnia zdarzyło się tak, że czworo z nas osaczało jednego z nich [pingwina], który odznaczał się odwagą graniczącą z heroizmem” – pisał Lecoite. – „Polowanie trwało ponad godzinę, lecz zanim to biedne stworzenie wyzionęło ducha, przetrwało trzy postrzały ze strzelby, nie wspominając o niezliczonych uderzeniach pałką. Byliśmy po tej walce wyczerpani”. Van Mirlo opracował później nieco mniej męczący sposób: zauważył bowiem, że stojąc na dziobie Belgiki i dmąc w kornet, stawał się antarktycznym odpowiednikiem Szczurołapa z Hameln z baśni Grimmów. Znacznie większy zachwyt jego wątpliwym kunsztem muzycznym niż załoga przejawiała pingwiny białookie, które słysząc dźwięki jego instrumentu, ruszały kołyszącym się krokiem w stronę statku, gdzie wpadały w zasadzkę. „Wygląda na to, że pingwiny to bardzo muzykalne stworzenia” – zapisał Amundsen w dzienniku.

Biorąc pod uwagę, że żaden z członków wyprawy nie kwapił się do spożywania pingwiniego czy foczego mięsa, z początku polowania służyły głównie utrzymaniu kondycji. I choć pomagały zachować tężyznę i aktywność fizyczną na zdrowym poziomie, kampania zabijania kładła się brzemieniem na duszach marynarzy. Wstrząśnięci brutalnością tego zajęcia, uwięzieni w antarktycznych lodach śmiałkowicie powtarzali sobie, że nie robią tego tylko dla rozrywki: każde udane polowanie dostarczało Racovitzę świeżego materiału do badań.

„Trzeba było widzieć Racovitzę, jak po całych dniach polowań stoi w fartuchu zawiązanym na szyi, z wielkim nożem w dłoni, i przeprowadza sekcje parujących jeszcze i ciepłych trucheł, by zbadać zawartość ich żołądków, wnętrzności, a nawet resztki ich pożywienia!” – pisał Lecoite. – „A jakąż radość wywoływało u niego znalezienie płodu! Za każdym razem wydobywał go z ogromną pieczołowitością i niczym skarb konserwował w alkoholu”.

Zwierzęta były skórowane i obierane z tłuszczu, wnętrzności wyrzucane dla mew, które w nich ucztowały, a mięso wykrawane i chowane w śnieżnym wale, jako prowiant na awaryjne sytuacje. Przy



temperaturach oscylujących wokół piętnastu stopni Celsjusza poniżej zera, przez całą antarktyczną jesień, pak służył podróżnikom za lodownię.

Pod koniec marca wiatr praktycznie nie ustawał. „Jesteśmy nieopisanie zmęczeni tymi niekończącymi się w zasadzie burzami” – notował Cook. Lecointe wspominał, że pod koniec miesiąca przez kilka dni „śnieg padał bez przerwy. Z nieba sypał się drobny pył, który, porywany podmuchami wiatru, wciskał się w każdą szczelinę i każdą przerwę; pod ubrania, do obserwatoriów, przez najmniejszą dziurkę nawet, a do kabin przez szpary pod drzwiami i przy oknach”.

Świeże opady tak bardzo podwyższyły wały śnieżne zbudowane przez załogę dla osłony wnętrza statku, że kiedy chmury w końcu się rozsunęły, pak w niczym nie przypominał tego, jakim go zapamiętali. „Topografia okolicy zmieniła się drastycznie pod wpływem gnanego wichrem śniegu” – opisywał Cook swoje wrażenia. – „Dookoła statku wyrosły potężne zasy, które utrudniają schodzenie z pokładu na lód. Dawniejsze torosy zmieniły się w niewielkie, łagodne pagórki, wąskie szczeliny zasklepił świeży lód pod nawianym śniegiem, wiecznie żywe pole kry niedaleko stąd zespoliło się i zmieniło w jedną, z pozoru homogeniczną masę. Wszystko dookoła jest nieruchome, spokojne i skryte pod cichą bielą śmierci”.

Na pokładzie panował coraz mniejszy ruch, gdyż wszyscy mieli dość pracy na zewnątrz. De Gerlache zaczął martwić się o pozbawioną zajęć załogę, obawiając się, że wśród znudzonych mężczyzn znów zaczną się niesnaski i animozje. Cooka w tym czasie zaczął niepokoić szkodliwy wpływ beczynności na fizyczne i psychiczne zdrowie członków wyprawy. Regularnie organizował narciarskie wycieczki po lodowym paku, zazwyczaj do najbliższej góry lodowej i z powrotem. Któregoś razu jednak de Gerlache wprowadził dla wszystkich nowe zasady: zabronił bowiem wyprawiania się na więcej niż kilka kilometrów od Belgiki, uzasadniając swoją decyzję w ten sposób, że jeśli ktoś oddali się tak, że straci z oczu maszty statku, może zgubić drogę i już jej nie

odnaleźć. Przy bezustannie przesuwającym się paku lodowym szczeliny pojawiały się zupełnie bez ostrzeżenia, a kra, na której znajdowałiby się podróżnicy, mogła ruszyć w stronę większego pola otwartej wody, czyniąc z nich rozbitków. Nie można też było kierować się charakterystyczną topografią terenu: wypiętrzenia mijane w jedną stronę, w drodze powrotnej mogły wyglądać zupełnie inaczej, przysypane śniegiem, ukryte we mgle czy zmienione przez ciągły napór lodu. To ograniczenie terenu, po którym mogli poruszać się marynarze i oficerowie, pogłębiło tylko poczucie monotonii i uwięzienia, i tak dotkliwe, kiedy dzień w dzień uczestnicy wyprawy musieli przy tym samym stole oglądać te same twarze, wysłuchiwać tych samych melodii na katarynie, rozmawiać na te same tematy i spoglądać na ten sam lodowy pak.

Naukowców przed popadnięciem w apatię ratowała stymulująca intelektualnie praca, lecz zimno coraz bardziej utrudniało im realizację założonych zajęć. Wielogodzinne siedzenie bez ruchu w słabo chronionych przed mrozem obserwatoriach zaczynało odciskać piętno na zdrowiu Lecointe'a i Danco, którzy coraz częściej doznawali odmrożeń czy doświadczali innych spowodowanych zimnem wypadków. Danco, jak opisywał później Cook, wrócił pewnego dnia na pokład „z odmrożoną stopą i fragmentem skóry wyrwanym częściowo z powieki, do której przymarzł metalowy okular jakiegoś instrumentu badawczego”. Lecointe, po tym, jak w podobny sposób stracił część rzęs, zaczął zakrywać metalowe części sekstansu kawałkiem flaneli.

Zimno utrudniało pracę naukowców na różne sposoby, każdego dnia coraz bardziej ograniczając ich świat badawczy. Zdarzało się na przykład, że zamarzała wanna rtęciowa w sztucznym horyzoncie używanym przez Lecointe'a - urządzeniu, dzięki któremu pomiary sekstansem były możliwe nawet przy niewidocznym horyzoncie prawdziwym - co oznaczało, że temperatura musiała spadać poniżej -37 stopni Celsjusza. Instrumenty z ruchomymi częściami, takie jak wspomniany wcześniej sekstans czy teleskop, zacinały się, kiedy gęstniał i twardniał smar, który pozwalał na ich płynne działanie; lampy

naftowe gasły przy najłżejszym powiewie wiatru, a lampki oliwne w ogóle nie chciały się palić, przez co w ciemności obserwatoriów nie dało się odczytywać wskazań działających jeszcze instrumentów pomiarowych. Nawiewany śnieg wciskał się w każdą szczelinę, unieruchamiając co delikatniejsze urządzenia, takie na przykład jak higrometr włosowy (którego działanie opierało się na wykorzystaniu zjawiska zmiany długości ludzkiego włosa - czasem końskiego - w zależności od ilości pochłoniętej wody, a który służył do mierzenia wilgotności powietrza). Chronometry okrętowe, na wskazaniach których opierał się Lecoite przy astronawigacji, były zbyt delikatne, by transportować je z pokładu do obserwatorium na lodzie, a już na pewno nie wytrzymałyby panującego w nim mrozu. By uporać się z tym problemem, Cook, Amundsen i norwescy marynarze: Tollefsen i Johansen, linią telegraficzną połączyli chatkę z kabiną kapitana na Belgice. Kiedy Lecoite prowadził obserwacje, Dobrowolski dyżurował przy chronometrze i przekazywał jego wskazania. System ten, podłączony do niewielkiej baterii, okazał się zadziwiająco niezawodny, a co więcej, ustanowił również pewien rekord: był w tamtych czasach najdalej wysuniętym na południe kanałem elektrycznej komunikacji.

Jednak najpoważniejszy skutek rosnącego zimna wiązał się z niechęcią załogi do opuszczania statku. Niezależnie od tego, jak tęgo trzymał wewnątrz mróz, pod wieloma względami był on nawet lepszy od łagodniejszych temperatur. Najbardziej optymalne warunki występowały przy -15 stopniach Celsjusza, w takiej sytuacji w powietrzu nie było bowiem w ogóle wilgoci. Ledwie jednak słupek rtęci zaczynał się podnosić, wilgoć przenikała każde włókno ubrania i okryć na kojach, wywołując paradoksalny efekt odczuwania znacznie większego zimna. „Próbowaliśmy w każdy możliwy sposób... eliminować wilgoć” - notował Cook - „lecz z bardzo mizernym skutkiem”. Wystarczyło wsunąć rękę pod koję, a można było odłamywać wiszące z desek sople. „Po podniesieniu materaca naszym oczom ukazywał się lód pokrywający każdy gwóźdź” - pisał Cook.

Niewygody te wywoływały coraz większe niezadowolenie i przyczyniały się do rosnącej liczby skarg. Marynarze narzekali na chłód, wiatr i ogłupiającą monotonię. W trakcie pogrążającej się w mroku jesieni członkowie załogi zaczęli wymigiwać się od wykonywania obowiązków. Niektórzy celowo zasypiali, inni wprost odmawiali stawiania się na służbę, sprzeciwiając się bożonarodzeniowej zapowiedzi komendanta de Gerlache'a: *Nie macie prawa być zmęczonymi! Tylko choroba to zmieni - jeśli będziecie chorzy, pozwolimy wam odpocząć.* Jego ludzie znaleźli się w stanie gdzieś pomiędzy chorobą a zmęczeniem.

De Gerlache z rosnącą nerwowością obserwował kolejne wystąpienia przeciwko dyscyplinie. Tym razem nie mógł odprawić nieposłusznych marynarzy czy przekupić ich, by sami odeszli. Czuł też, że niewiele może zrobić, by odpowiednio zareagować na ich skargi. Dlatego, podobnie jak wcześniej, kiedy odpowiedzialność za dyscyplinę na pokładzie zrzucił na barki Lecointe'a i Amundsena, tak teraz rozwiązanie problemu rosnącego marazmu pozostawił Cookowi.

Wybór okazał się nader rozsądny. Cook potrafił czytać w ludziach z równie naturalną lekkością i pewnością, z jaką komendant odczytywał prądy morskie i wiatry. Kiedy słuchał zwierzeń, jego przenikliwe szaroniebieskie oczy emanowały empatią. W przeciwieństwie do pozostałych oficerów i naukowców, którzy na mieszkańców kubryku patrzyli z góry, Cook żywił dla załogi głęboki szacunek - odczuwał wręcz duchowe pokrewieństwo z nimi, mające swoje źródło w amerykańskim egalitaryzmie i własnej, wyboistej młodości. „Skłonni jesteśmy wierzyć, że objętość mózgu i jego aktywność u wykształconych i kulturalnych osób przekracza znacząco te same wartości u prostych robotników” - pisał. - „Moje obserwacje, poczynione na pokładzie Belgiki, dowodzą jednak, że tkwimy w błędzie... w mózgu prostego robotnika, który wycina bryły lodu czy układa cegły, pojawia się w ciągu dnia przynajmniej tyle samo indywidualnych myśli, co w głowie naukowca, jeśli nawet nie więcej”.

Takim podejściem Cook zaskarbił sobie uwielbienie i szacunek wszystkich na pokładzie, obdarzając ich w efekcie czymś na kształt miłości opiekuna. Lekarz był zdeterminowany, by uchronić towarzyszy przed popadnięciem w depresję, dlatego postanowił zadbać o ich samopoczucie i pobudzić intelektualnie. Pod koniec marca Cook przeprowadził długi wywiad z każdym członkiem wyprawy, by ustalić wszystkie przyczyny rosnącego niezadowolenia. Krążąc po statku, każdemu marynarzowi i każdemu z oficerów zadawał serię pytań: „czego z domu najbardziej ci tutaj brakuje?”; „o kim lub o czym marzysz najczęściej?” i tym podobne, a wszystkie odpowiedzi starannie notował w brulionie.

Zainteresowanie lekarza zaskarbiło mu jeszcze większą wdzięczność marynarzy, a troska, z jaką odnosił się do ich kłopotów, dawała im poczucie ulgi. Na podstawie uzyskanych odpowiedzi lekarz wskazał dwa główne obszary, w których rodziły się problemy. Jednym był brak damskiego towarzystwa. Z wyczuwalnych emocji, łatwych do odczytania w formułowanym raporcie, można wywnioskować, że Cook nie był w tej kwestii bezdusznym obserwatorem: „Dręczy nas głód listów od matek, sióstr i sióstr innych mężczyzn” – pisał. – „Czegóż byśmy nie oddali za jedno spojrzenie na piękną kobietę!”. Seksualna frustracja doskwierała wszystkim na pokładzie. Członkowie załogi, którzy z oficerami nie rozmawialiby zapewne równie otwarcie, Cookowi odpowiadali z pełną szczerością. „Dwóch czy trzech spośród nich, w samotnych, ciemnych zakamarkach, zalewając się łzami, wyznawało rozbrajająco, że kilka chwil spędzonych z wybrankami serca byłoby spełnieniem ich marzeń”.

Drugim powodem niezadowolenia wśród załogi, wymagającym przy tym znacznie szybszej reakcji, było konserwowe jedzenie, stanowiące niemal wyłącznie dietę członków wyprawy. Biorąc pod uwagę standardy jakościowe pożywienia w puszkach pod koniec dziewiętnastego wieku, prowiantowi na Belgice nie można było niczego zarzucić. Jednak po wielu miesiącach spożywania go, dla większości podniebień nijakość i brak smaku jedzenia w puszkach stały się wręcz

obraźliwe: miękkie, bezbarwne bryły pojawiające się co wieczór na talerzach marynarzy w najmniejszym stopniu nie przypominały dań, których obietnicę można było wyczytać na etykietach. Szczególną odrazę wywoływały u większości *kjøttboller*, gąbczaste klopsy, zakupione przez de Gerlache'a w Norwegii, kiedy Belgica stała w dokach w Sandefjord, a które stanowiły znaczną część zapasów wyprawy.

Marynarze „pragną konkretnej strawy dla żołądków” - ustalił Cook. - „Świeżego jedzenia, steków, warzyw i owoców - te najczęściej wymieniają pośród życzeń”. Nawet de Gerlache, który przecież osobiście organizował każdy rodzaj konserw dostępnych w ładowni, starając się zapewnić jak największą różnorodność smaków, musiał przyznać, że „różnice między nimi w znacznej mierze zaczynają się i kończą na etykietach”. Członkowie wyprawy winę za nieapetyczne menu przypisywali jednak nie tylko decyzjom de Gerlache'a, ale i zdolnościom jego ciężko pracującego adiutanta, Louisa Michotte'a, który, po wyrzuceniu na ląd w Ameryce Południowej kilku kucharzy z rzędu, ryzykownym awansem trafił do kambuza (przez krótki czas rolę kucharza pełnił również Van Mirlo).

Mimo wpisania w podaniu o przyjęcie do załogi umiejętności gotowania - razem ze wznoszeniem płotów i snajperstwem - ten były legionista zupełnie sobie z tym nie radził. „Niemal każde danie przygotowywał na jeden z dwóch znanych sobie sposobów” - skarżył się Lecointe. - „Z małą ilością wody lub dużą, w zależności od pożądanej konsystencji”. Co gorsze, de Gerlache wspominał w dzienniku o jego „ambicji”. Michotte ze szczególną dumą serwował swoje „wypieki” - niejadalne bryły praśnego ciasta, na które opróżniał słoik konfitur - i pełen zachwytu przyglądał się, jak jego towarzysze walczą, by je przeżuć. „Jego zupy okrywa aura tajemnicy” - pisał Cook. - „A podawane przez niego *zabalsamowane zwłoki zwierząt* stały się obiektem potępienia bez wyjątku wszystkich na pokładzie”. W daremnych próbach tworzenia nowych dań Michotte mieszał ze sobą różne puszki w nijaki gulasz, w którym suma składników

w zadziwiający sposób miała jeszcze mniej smaku niż każdy z nich pojedynczo. De Gerlache, który miał za sobą służbę w kuchni na początku kariery, z pobłażliwością traktował młodego kucharza. „Biedny Michotte!” – pisał. – „Był tak pełen zapachu, że przymykaliśmy oczy na jego brak kulinarnego talentu”.

Choć członkowie załogi z czarnym humorem komentowali zawartość swoich talerzy, ogólne obrzydzenie okrętowym menu dość szybko przekształciło się w poważny kryzys. Uwięzieni pośrodku lodowego paku nie mieli zbyt wielu rzeczy, których mogliby wyczekiwać – a posiłki ze wszech miar powinny przecież do nich należeć. Niestety, na Belgice jedzenie budziło grozę. Spożywanie dań przypominających wikt dla skazańców regularnie uzmysławiało wszystkim, że tkwią w lodowym więzieniu, a co najgorsze, miało niszczący wpływ na ich morale.

Łaknąc czegoś świeżego, czegoś, co można by gryźć, przeżuwać i co dawałoby poczucie sytości, część z członków wyprawy postanowiła spróbować pingwiniego mięsa, które dotychczas gromadzili jedynie na wszelki wypadek. Wytopili ze śnieżnej przyzmy pingwinie steki, wycięte wcześniej przez Racovitzę, i oddali je w ręce Michotte’a. Nie byli pierwszymi ludźmi spożywającymi takie mięso, a opinie odkrywców, którzy przed nimi raczyli się stekami z pingwina, były zdecydowanie podzielone. W połowie szesnastego wieku, po przybyciu do Ziemi Ognistej, sir Francis Drake i jego ludzie zajadali się mięsem pingwina magellańskiego, które zaliczyli do „bardzo pożywnych i sycących wiktuałów”. Sir James Clark Ross skosztował mięsa pingwina cesarskiego w 1841 roku, w czasie wyprawy do Ziemi Wiktorii. „Mięso bardzo ciemne”, donosił później, „o mocnym, posmaku nieświeżej ryby”. Nie zdecydowano się dodać tej pozycji do menu załogi.

W niedoświadczonych rękach Michotte’a mięso stawało się jeszcze gorsze. Smakowało równocześnie rybą i drobiem, okraszonymi ostrą wonią dziczyzny. „Jeśli można wyobrazić sobie połączenie sztuki wołowiny, aromatycznego dorsza i duszonej dzikiej kaczki, a potem doprawić to sosem z posoki i tranu”, pisał obrazowo Cook, „to będzie to

najpełniejsza ilustracja”. W rzeczywistości, dla pełnego zrozumienia, jak mogło wyglądać danie z pingwina, trzeba wziąć również pod uwagę nieznośny smród guana, który ciągnął się za tymi ptakami. Większość członków wyprawy poprzysięgła sobie, że ich pierwsze danie z pingwiniego mięsa będzie jednocześnie ostatnim. De Gerlache, zgodnie z relacją Cooka, czuł się oburzony, że jego ludzie w ogóle rozważali jedzenie tak odrzucającego i ohydneho mięsa zamiast starannie wybranych przez niego konserw i kategorycznie odmówił choćby skosztowania świeżo przyrządzonego dania. Danco, jak przystało na wiernego przyjaciela komendanta, zapowiedział, że woli umrzeć, niż tknąć taki posiłek.

Chyba tylko jedna osoba nie cierpiała, lecz wręcz świetnie się bawiła. Dla Roalda Amundsena ograniczenia w trybie życia narzuconym przez otaczający ich pak lodowy nie były źródłem udręki, lecz euforii. „Jedzenie wspaniałe w każdym możliwym wymiarze” – notował w dzienniku. Jako Norweg doskonale znał smak puszek z *kjøttboller* i ze smakiem je pochłaniał – mimo że w żartach przekonywał swoich towarzyszy, jakoby danie przygotowywane było ze zmielonych w całości kotów, włącznie z futrami, kośćmi i zębami. Zasmakowała mu nawet jeszcze ostrzej piętnowana wariacja tej potrawy, mianowicie *fiskeboller*, pulpety rybne, podawane z reguły w piątek, lecz spożywane w zasadzie tylko w ramach przegranego zakładu. Pingwinie mięso Amundsen określił „najsmakowszym stekiem, jaki można sobie wyobrazić”. Zgodnie z jego przepisem, wykrojone fragmenty należało przed podaniem jedynie obsmażyć na patelni, na oleomargarynie. Szczerze rozkoszował się ich smakiem, a jeszcze bardziej chyba mieszaniną przerażenia i mdłości na twarzach towarzyszy, kiedy obserwowali, jak z rozkoszą przeżuwa i połyka kolejne kęsy. Od czasu dorostania, gdy czcią i uwielbieniem obdarzył skazanego na zgubę podróżnika Johna Franklina, Amundsen cierpienie traktował jak spełnienie. Posuwał się w tym tak dalece, że cierpienie przestawało być cierpieniem, a stawało



się nagrodą. Z tej perspektywy niesmaczne jedzenie było ledwie błahostką.

Brak kobiet również nie wywoływał w nim poczucia żalu. Nie wydaje się, by przed zmustrowaniem na pokład Belgiki prowadził bujne życie uczuciowe<sup>26</sup>. Podboje seksualne miały dla niego mniejsze znaczenie niż podboje geograficzne. Nie uważał, by sens miały jakiekolwiek zajęcia, które nie przyczyniałyby się do realizacji jego polarnych ambicji. A każda minuta spędzona wśród antarktycznego lodu temu właśnie służyła.

„Moim największym marzeniem jest wczesną wiosną ruszyć z dwuosobowym kajakiem i saniami na południe”, pisał na początku kwietnia (w żadnym miejscu nie wspomniał, kim miałyby być druga osoba w łodzi, lecz sądząc po doświadczeniach na klifach wyspy Brabancja, można zakładać, że jego pierwszym wyborem byłby Cook, gdyby nie oznaczało to pozostawienia towarzyszy bez wsparcia lekarza). Jego plan - a raczej mrzonka - zakładał sześciotygodniową podróż po lodzie na południe, z saniami załadowanymi prowiantem, który przeładowywałby do kajaka, ilekroć drogę zagradzałyby mu otwarta woda. Dopiero po tym czasie ruszyłby z powrotem na Belgię. I jakby podkreślając zuchwalstwo planowanego przedsięwzięcia, dodawał na koniec: „przy takiej podróży trzeba liczyć się z tym, że prawdopodobnie nie odnalazłbym drogi z powrotem na statek”. Wzmianka ta tylko dodała mu animuszu. I jeszcze w tym samym wpisie w dzienniku Amundsen, jakby ganiąc sam siebie, zmodyfikował swoje plany.

„Cóż, w takim wypadku szlibyśmy na południowy zachód, tak długo, jak pogoda by pozwalała. A wraz z nadejściem zimy założylibyśmy obóz na szczycie odpowiedniej góry lodowej... wtedy moglibyśmy zacząć gromadzić prowiant na zimę: pingwiny i foki. Wiosną ruszylibyśmy dalej na południowy zachód, aż trafilibyśmy na ląd. Gdyby miała to być południowa część Ziemi Wiktorii, ruszylibyśmy na północ, kajakiem, a z wysuniętych na północ wysepek próbowalibyśmy dostać się do Australii. Zajęłoby to nam z pewnością lat parę, jednak nie mam

wątpliwości, że jest to możliwe”. Podróż z Ziemi Wiktorii do Australii byłaby pewnym samobójstwem, a zimowanie na szczycie lodowej góry, delikatnie mówiąc, nie byłoby dobrym pomysłem. Jednak tamtego wieczoru, notując zapamiętałe przy świetle świeczki, Amundsen bardziej niż kiedykolwiek skupiony był na budowaniu swojej legendy. Kiedy kilka tygodni później na fragmencie otwartej wody nieopodal niespodziewanie przewróciła się na bok góra lodowa i spowodowała przerażający huk, Amundsen zapisał: „Nie pozwolę, by to wydarzenie wpłynęło na mój plan spędzenia zimy na górze lodowej”.

Amundsen poczuł się jeszcze szczęśliwszy, kiedy jego współlokator, burkliwy trzeci oficer Jules Melaerts, zwrócił się z prośbą o przeniesienie do forpiku, by mógł zamieszkać wśród marynarzy. „Nie układało się między nami, więc nie będę udawać nawet, że się martwię” – zanotował Norweg. Decyzja Melaertsza nie tylko sprawiła, że pierwszy oficer miał kabinę na wyłączność, ale też znacząco poprawiła nastroje w mesie. „Nie miał dobrych stosunków z żadnym z nas” – pisał Norweg. – „Teraz zostało nas siedmiu. Ale wśród znajomych nie znalazłbym sześciorga równie radosnych i przyjaznych osób, jak moi obecni towarzysze. Dobrze mi tutaj”. Pisząc te słowa, Amundsen zdał sobie z czegoś sprawę: jeśli cierpienie było równoznaczne ze spełnieniem, przyjemność była formą samozadowolenia. Dodał więc: „Niemał zbyt dobrze”.

Amundsen z całą pewnością rozumiał, że dobre samopoczucie czyni go wyjątkiem na pokładzie Belgiki. A przecież nawet on nie miał pojęcia, co przyniosą najbliższe tygodnie. Tylko dwóch rzeczy można było być pewnym: jeszcze większego mrozu i ciemności.

## Rozdział 10

### **OSTATNI ZACHÓD SŁOŃCA**

DNI MIJAŁY, A WIDOK Z OKOPCONEGO SADZĄ BULAJA w kajucie Cooka praktycznie się nie zmieniał. Te same odległe góry lodowe trwały nieporuszone w tej samej odległości od statku, równie znajome jak dzwonnica kościoła sąsiedniego miasteczka. A jednak ich niezmiennosc była tylko ułudą. Cały pak bowiem przemieszczał się dość żwawo, chaotycznymi ruchami pokonując kilka mil morskich na dobę. Belgica nie płynęła, a jednak dalej przemierzała ocean kursem, na który nie miała najmniejszego wpływu. „Brakowało punktu odniesienia, który pozwoliliby określić kierunek dryfu, a myśmy nie widzieli ruchu wody, gdyż aż po horyzont ciągnęły się lodowe pola upstrzone górami lodowymi, które przemieszczały się razem z nami, z tą samą prędkością” – zapisał Cook. Lekarz zaczął się poważnie obawiać, że głowy jego towarzyszy wpadną w ten sam niezauważalny dryf, który poniesie ich w stronę strachu i szaleństwa.

Pak nie tylko się poruszał, ale ustawicznym zmianom ulegały również jego kształt i spójność. Wyglądem mógł przypominać biały ląd, lecz zachowywał się jak woda – tyle że znacznie wolniej. Siły, które na niego oddziaływały, delikatnie zniekształcając jego topografię, to te same wektory, które ożywiały ocean: wiatry i prądy. I nierzadko działały wbrew sobie. Kiedy nacierały z dwóch kierunków, smagały i łamały lód z siłą i okrucieństwem średniowiecznego narzędzia tortur. Prądy morskie znacznie mocniej oddziaływały na głęboko zanurzone góry lodowe niż na stosunkowo gładką powierzchnię lodowego paku i potrafiły pchać te olbrzymy, orząc nimi białą pustkę.

Lód morski, z reguły gruby na kilkadziesiąt centymetrów, do dwóch, czasem trzech metrów, znacznie łatwiej poddawał się działaniu wiatru,

który był odpowiedzialny za niemal każdy aspekt otoczenia Belgiki. „Pierwsze pytanie, jakie każdego ranka cisnęło się nam na usta” – pisał Cook – „brzmiało: jak dzisiaj wieje?”. Nawet lekka bryza mogła ożywić lodowy pak i wprawić go w ruch. Burza potrafiła go przełamać i pokruszyć, rysując pajęczynę wąskich, zdradzieckich kanałów, a między nimi kilka niewielkich pól otwartej wody, lecz nigdy nie dość przestronnych, by otworzyć Belgice drogę ucieczki. Niespodziewana cisza przynosiła ulgę i odprężenie, a stare spękania na powrót się otwierały. Odwrotnością tej sytuacji był niesłabnący wiatr z dowolnego kierunku, utrzymujący się przez dłuższy czas; sprężał on pak lodowy i wpychał kry na siebie z taką siłą, że wzdłuż pęknięć wyrastały barykady pokruszonych tafli. Napór wzdłuż uskoków rósł z taką mocą i taką gwałtownością, że pak zdawał się żyć własnym życiem, a dźwięki tarcia krier o siebie – od głębokich, mrocznych i tajemniczych, do wysokich, panicznych pisków – tylko potęgowały to wrażenie. Wypiętrzona wiatrem lodowa grań mogła w ciągu kilku godzin osiągnąć wysokość drugiego piętra; potężne lodowe ściany stworzone z niczego, jedynie siłą poruszającego się powietrza. Każde skrzypnięcie drewnianego poszycia kadłuba wywoływało wśród załogi drżenie i stanowiło przypomnienie, że są zdani na łaskę i niełaskę wiatru.

Wyjące antarktyczne wichry nieprzerwanie groziły zniszczeniem jedyne go schronienia członków wyprawy i strzaskania lodowej skorupy, po której stąpali. „To polarne podbrzusze naszej planety zdecydowanie nie nadaje się dla człowieka” – pisał Cook. – „Mam bowiem nieodparte wrażenie, że to ta część jest celem kopniaków rozeźlonych duchów, kiedy Ziemia mija je, krążąc w kosmosie”. Niesłabnący wiatr nękał podróżników i złowieszczo przypominał, co może ich czekać. Nie mając naturalnych przeszkód, często wiał nad lodową pustynią z taką siłą, że obsada Belgiki całymi dniami nie mogła opuszczać statku.

Poza wichrem i prądami morskimi jeszcze jedna siła natury mogła drastycznie zmieniać kształt lodu dookoła, a przynajmniej sposób, w jaki podróżnicy go widzieli: światło. Pogodne dni zdarzały się nader rzadko, lecz kiedy słońce wychodziło zza chmur, biała materia paku

ekspłodowała feerią barw. Te krótkie chwile spokoju owocowały kwiecistymi opisami.

„Biała równina skrzy się w promieniach słońca refleksami tysięcy brylantów” – notował de Gerlache. – „Góry lodowe i spiętrzenia puszą się srebrzystymi grzbietami, za którymi skrywa się niezbyt głęboki cień błękitu tak czystego, jakby zabrano go prosto z nieba. Kanały w lodzie wiją się wstęgami w kolorze lapis lazuli, a przezroczyste krawędzie brzegów mieniają się akwamarynem. Kiedy niepostrzeżenie dzień chyli się ku wieczorowi, zmieniają się też cienie za każdą górą lodową, przybierając barwę delikatnie różową lub fiołkową, jakby przelatująca wróżka rozwieszała za nimi welony ze zwiewnej gazy. Powoli cały horyzont tonie, z początku w różowym, a potem żółtopomarańczowym świetle, a kiedy słońce ostatecznie znika, zostawia po sobie delikatną poświatę, wtapiającą się w ciemny granat nieba usłanego niezliczonymi gwiazdami”.

Pak stał się dla światła placem zabaw. Promienie słońca odbijały się od jego powierzchni pod bardzo małym kątem, zmieniały kierunek, poddawały działaniu atmosfery i rozszczepiały w mroźnym powietrzu. Pojawiały się miraże, białe tęcze, parhelion czy halo przyksiężycowe. Światło tak często robiło takie i podobne sztuczki, że członkowie wyprawy szybko nauczyli się, by nie ufać własnym oczom. W bezwietrzne dni opadające powoli kryształki lodu stają się pryzmatami i załamują światło, przez co można odnieść wrażenie, że na niebie nie świeci jedno, a wiele słońc. Najbardziej spektakularna spośród takich iluzji nosi nazwę parhelion, czyli słońce poboczne, a jej efektem są cztery dodatkowe słońca pojawiające się w równych odstępach na halo dookoła właściwego słońca. Przy idealnych warunkach dwa prostopadłe bloki światła łączące te iluzoryczne okręgi przecinają się pośrodku, tworząc gigantyczny świetlisty krzyż. Widok ten przepełniał natchnionym zachwytem nawet tak mocno stąpających po ziemi i pełnych wiary w naukę ludzi jak Lecointe. „Mam poczucie, że to coś nie z tego świata” – opisywał kapitan swoje wrażenia. – „Taka

forma dewocji pozwala poczuć Boga – nie jakiegoś konkretnego, ale jakąś nieograniczoną, nadludzką moc”.

Antarktyczne światło zwodziło wzrok w sposób znacznie mniej czarowny, kiedy słońce znikało za nieboskłonem. Przy chmurnej albo mglistej pogodzie, a zatem przez większość czasu, lodowy pak zmieniał się w monochromatyczne pustkowie. Szarość nieba zlewała się z szarością lodu, przez co znikała linia horyzontu. W miarę blaknięcia światła dnia coraz trudniej było oceniać odległości. Bez cieni podkreślających kontury „niemal wszystkie przeszkody ginęły lub zmieniały swe kształty” – pisał Cook. – „Potężne wypiętrzenia, liczące trzy do sześciu metrów wysokości, kryły się przed naszymi oczyma do chwili, gdy stawaliśmy tuż przy nich. Niewielkie wzniesienia, czasem o ostrych kątach, budziły wrażenie wielkich gór lodowych widzianych z bardzo daleka. Spacerowym tempem zbliżaliśmy się do nich na nartach, aż nagle uświadamialiśmy sobie, że pokonaliśmy tę wielką, zdawałoby się, przeszkodę, która w rzeczywistości miała ledwie kilkanaście do kilkadziesiąt centymetrów”.

Zwodnicze czy wierne, światło ustalało kształty świata uwięzionych mężczyzn, przy czym z każdym dniem po trochu go ubywało. Wydłużaniu się nocy i spadkowi temperatur, co zwiastowało nadejście zimowej ciemności, towarzyszyło znikanie elementów i zjawisk, które nadawały trochę kolorytu życiu na Belgice i w jej okolicach. Pęknięcia i niewielkie plamy otwartej wody pokrywał lód, a pak zmieniał się w bezkształtną białą masę. Coraz rzadziej słyhać było okazjonalne wydechy wielorybów, skończyły się wizyty pingwinów, a lód stawał się zbyt gruby dla fok, które wcześniej robiły w nim otwory, by złapać oddech lub obserwować przez nie ryby w czasie polowań. Życie zdawało się w ślad za światłem opuszczać tę nieprzyjazną krainę.

De Gerlache żywo interesował się niebezpieczeństwami, jakie niosła z sobą zakradająca się w życie załogi monotonia, i piętnem, jakie odciskała na ich duszach i umysłach, w miarę jak dni i noce zlewały się w jedno, pozbawiając wszystkich poczucia czasu. Starając się

przeciwdziałać jej skutkom, ustalił kalendarz specjalnych wydarzeń, by marynarze i oficerowie mieli czego wyglądać. Każda możliwa okazja: urodziny, rocznice, święta państwowe poszczególnych krajów, z których rekrutowali się członkowie wyprawy, była świetną przesłanką do świętowania i wszystkie celebrowano z rozmachem, na jaki pozwalały zapasy jedzenia. „Senny to tydzień” – notował Cook – „gdy nie uda się nam wydzielić choćby jednego dnia na wyjątkowe karmienie podlane szampanem”. (Pośród wielu wad życia w paku lodowym trzeba było szukać nielicznych jego zalet, a z pewnością należał do nich zawsze doskonale schłodzony szampan). Członkowie wyprawy z utęsknieniem wypatrywali takich okazji – jeśli nie ze względu na przekombinowane uczyty przygotowywane przez Michotte’a, to przynajmniej z racji radośnie spędzanego czasu i zabawy.

Kolejną z przełamujących monotonię okazji, na którą wszyscy czekali, była prezentacja rysunków satyrycznych, które każdego dnia tworzył Racovitza. Rumuński naukowiec, prócz oczywistego zamiłowania do odtwarzania szczegółów anatomii flory i fauny, przejawiał również talent jako zjadliwy karykaturzysta, łącząc go ze wschodnioeuropejskim uwielbieniem dla absurdu i rysem skatologicznym. Choć sprośne i infantylne, rysunki Racovitzy przedstawiają autentyczne spojrzenie na życie na pokładzie Belgiki i stanowią kronikę frustracji jej załogi i jej specyficznych żartów.

Całościowe spojrzenie na dzieło Racovitzy pokazuje, że stworzył coś na kształt prześmiewczej serii, cykliczną *opera buffa* na lodzie. Jego ulubionym bohaterem był geolog wyprawy i meteorolog, Henryk Arctowski. Racovitza stworzył *alter ego* swojego kolegi, bufońskiego maga o imieniu Artocho, z długą brodą i wydatnym zadkiem, któremu poświęcał osobne rysunki (przykładowa twórczość: tyłek Artocho służy jako barometr, wypełniając się powietrzem w czasie wiatru, ociekając wodą w czasie deszczu, kurcząc się przy suchej pogodzie i szamocząc się dziko w czasie burzy). Dwudziestosześcioletni Arctowski był chyba najbardziej pozbawionym dystansu do siebie podróżnikiem, co czyniło go wyjątkowo wdzięcznym obiektem żartów Racovitzy<sup>27</sup>. Na jednym

z obrazków przedstawił on Artocho w samotności podziwiającego zorzę polarną, na której pojawiają się literki M-E-R-D-E (gówna), a na innym, jak peroruje przed stadkiem obojętnych pingwinów, z których jeden obryzguje go kupą.

Poza Artocho i dziwnymi dowcipami na temat *kjøttboller* stałym tematem prac Racovitzy była frustracja seksualna. Na rysunku zatytułowanym *Rozkosze Mechelen* sportretował Danco, jak leży w rynsztoku, gdzieś w swoim rodzinnym mieście, i zagląda pod spódnicę oddającej mocz kobiecie. Racovitza stworzył nawet makietę pierwszej strony nieistniejącej gazety opisującej życie na pokładzie Belgiki, periodyk ten zatytułował: „Południe bez kobiet”.

Co ciekawe, nie kto inny jak Cook miał największe problemy z przyzwyczajeniem się do sprośności i dwuznacznych dowcipów. Pozostali mogli spodziewać się po nim – jedynym jankesie na pokładzie – skłonności do wulgarności, lecz kiedy Lecointe zobaczył, jak lekarz oblewa się rumieńcem wstydu, kapitan uznał go „najbardziej cnotliwym Amerykaninem, jakiego Nowy Świat dał reszcie Ziemi”. Mimo dzieciństwa bez grosza przy duszy, Cook już dawno przyjął dystyngowane maniery lepszych kręgów towarzyskich, których częścią miał zamiar się stać. I, w przeciwieństwie do Belgów, nigdy nie pił bez umiaru, a zawsze zachowywał trzeźwość umysłu.

Cooka szczególnie mocno peszyły skłonność oficerów do paskudnych, nieobyczajnych żartów i radość, z jaką wymieniali się nimi, przy czym miały one swoje źródło w mieszance trzech języków obowiązujących na pokładzie – i właśnie temu można było, przynajmniej częściowo, przypisać efekt, jaki wywoływały u doktora, bo po prostu ich nie rozumiał. „Z takimi manierami lepiej nie pokazywać się w Nowym Jorku” – fukał Cook. Lecz tam, na zagubionym, zdawałoby się, statku, tysiące mil od wytwornego towarzystwa, i jego zaczęło opuszczać wyrefinowanie i polor. Lekarz rozumiał, że taki rodzaj humoru, szorstki i nieokrzesany, był również nieocenionym remedium na przygnębienie. „Cook coraz rzadziej czuje się urażony” – zauważył Lecointe. Miał nawet „śmiać się z niektórych naszych żartów, sam



bywał zabawny, a w końcu w pełnej rozciągłości brał udział w naszych wygłupach”. Niewiele czasu minęło, a lekarz prześcigał się z pozostałymi w swawolnych dowcipach, z brawurą pokonując barierę językową.

Mimo to, i mimo własnego zdrowego libido, Cook odwoził od prowadzenia przy wspólnym stole niekończących się dysput na temat seksu, przekonując, że to niezdrowe dla mężczyzn, by skupiać się na czymś, czego mieć nie mogli. Zdeterminowany, by „ukrócić ciągle rozmowy o dziewczynach”, ostrzegł oficerów i naukowców, że polarna noc może mieć na nich taki sam wpływ „jak kastracja na młodego wołu” – pozostawić ich niepłodnymi impotentami. A potem, widząc ich zatrwożenie, wyjaśnił, że im prędzej porzucą wszelkie myśli o kobietach, tym większą szansę mają na zachowanie zdrowia. „Amundsen i ja dawaliśmy sobie radę z tym mroźnym okresem deprywacji seksualnej” – dodał w dzienniku. Pierwszy oficer, któremu idealnie odpowiadał mnisi celibat polarnego odkrywcy, w pełni temu przyklasnął.

Jeśli zamysłem lekarza było skłonienie pozostałych do znalezienia innego tematu, jego plan zupełnie się nie powiódł. Siódmego kwietnia, przeglądając gazety i czasopisma, jeden z członków załogi dokopał się do kilkunastu wydań ilustrowanego magazynu, podarowanego przez jednego z antwerpskich mecenasów. W środku znajdowały się plakaty przedstawiające piękne paryżanki, aktorki i tancerki kabaretowe. Odkrycie to skutkowało organizacją konkursu piękności – *in absentia*. „Wybrano niemal pięćset ilustracji” – pisał Cook. – „Prezentowały one wszystkie pozy i stopnie odziania – lub nieodziania właśnie, a także szczegóły anatomiczne kobiet okrzykniętych pięknosciami”. Ustalono najróżniejsze kategorie, od prostych i niewinnych, jak: „nienaganny charakter”, „uosobienie wdzięku”, „kształtne dłonie (smukłe palce)”, do nieco bardziej podszytych erotyzmem: „usta (łuk amora)”, „gibka talia”, „*les jambes*” (nogi). Przez kolejne trzy dni oficerowie i naukowcy toczyli zażarte dyskusje dotyczące głosowania (załoga nie została zaproszona do udziału). Na prowadzącego został wybrany Arctowski,

którego obdarzono prześmiewczym tytułem „Artocho Pierwszy, Król Lodu”.

Zwycięzcznie ogłoszono po sownice „podlanym” obiedzie, dziesiątego kwietnia. Pierwsze miejsce *ex aequo* zajęły tancerka i muza Cléo de Mérode (unieśmiertelniona przez Toulouse-Lautreca i wielu innych artystów), oraz Clara Ward, dziedziczka fortuny pochodząca z Detroit, która wyszła za mąż za belgijskiego księcia, by porzucić go później i związać się z biednym jak mysz kościelna skrzyptkiem z Węgier. Werdykt wywołał bardzo burzliwą dyskusję. Próbując znaleźć wyjście z impasu, Lecointe, orędownik wyboru Ward, zwrócił się o pomoc do lekarza. „Cook jest całkowicie rozbity” – zapisał później w dzienniku. „Nie rozumie ani słowa z tego, co do niego mówimy; to jego wielka zaleta, bo czyni go to całkowicie odpornym na próby przekupstwa! Co więcej, nie oszczędza płuc ni gardła, krzyczy i krzyczy najgłośniej jak może, »[numer] 209, Clara, pierwsze miejsce!«”. Fani Clary Ward zawyli tryumfalnie, a poplecznicy panny de Mérode zawtórowali im z wściekłością. Wczuwając się w rolę rozjemcy, de Gerlache otworzył szampana, a całe rozochoczone towarzystwo zakrzyknęło już zgodnie: „za zdrowie pięknych pań!”.

Lecointe chwiejnym krokiem zbliżył się do mechanicznych organów, ułożył w prowadnicach zwój z belgijskim hymnem i uruchomił instrument. Mesę wypełniły dziwne, nieznajome dźwięki i dopiero wtedy do kapitana dotarło, że przez nadmiar alkoholu założył taśmę odwrotnie! Pomieszczenie wybuchło niepohamowanym śmiechem, który wraz z dźwiękami odgrywanej od końca *Brabansony* popłynął nad pogrążonym w mroku bezludnym lodowym pakiem. Idealne podsumowanie szczęśliwych chwil świętowania i zabawy na końcu świata.

Był to jeden z ostatnich radosnych wieczorów.

Dni stawały się krótsze, jak w zimowej Belgii, z tą różnicą, że proces ten nie zatrzymywał się, bowiem szerokość geograficzna bezlitośnie

odbierała co dobę do dwudziestu pięciu minut dziennego światła. Dwa tygodnie później noc trwała ponad trzy godziny dłużej. De Gerlache obawiał się, że gdy zapadnie nieprzerwana ciemność, załame się dyscyplina na pokładzie. Dlatego coraz bardziej ogołoczone ze słońca dni wypełniał egzekwowany z żelazną konsekwencją plan zajęć, zaś czasu poszczególnych czynności nie wyznaczało światło, a zegar. Prace rozpoczynały się o ósmej rano i trwały do piątej po południu, z przerwami na obiad i ćwiczenia. Kolację podawano o wpół do szóstej, a resztę wieczoru przeznaczano na wypoczynek i relaks przy słabym świetle lamp naftowych. Marynarze grali wtedy w karty, naprawiali ubrania albo czytali. Kiedy na niebie pojawiał się jasny księżyc, pogoda zachęcała śmiazków do przechadzek po lodowym paku.

W niedziele i święta członkowie załogi dostawali w przydziale szklanekę grogu oraz sto pięćdziesiąt mililitrów wina *bordeaux* na osobę, a jeśli de Gerlache był zadowolony z porządku na pokładzie, mogli również liczyć na poranną szklanekę porto. Pomny wydarzeń z Punta Arenas, de Gerlache zakazał picia alkoholu bez okazji, by uniknąć podobnej próby pijackiego buntu. Oficerowie mogli jednak liczyć na specjalne traktowanie.

Być może czerpiąc inspirację z rozlewającego się po Europie przełomu wieków ruchu socjalistycznego, de Gerlache zarządził ośmiogodzinny dzień pracy. Jednak na Belgice to nie przepracowanie było największym problemem - a wręcz przeciwnie. Z jednostką uwięzioną pośród lodu, główną troską komendanta było zapewnienie marynarzom odpowiedniej ilości zajęć, by wypełnić im dzień. Podstawowym obowiązkiem było dla wszystkich czuwanie, aby w porę doczekać chwili, aż lód uwolni kadłub. Poza okazjonalną pomocą naukowcom, przypisane marynarzom zadania polegały, między innymi, na wycinaniu bloków zmarzniętego śniegu, który, po stopieniu, stanowił źródło słodkiej wody, oraz utrzymywanie czystości. Polowania były jedynymi formami spędzania czasu, które wiązały się z jakimikolwiek emocjami - nawet jeśli pojawiały się wątpliwości moralne. Wraz

z wydłużającą się nocą i ta aktywność praktycznie ustała z racji coraz rzadszego pojawiania się w okolicy zwierząt.

Mimo wysiłków komendanta pod koniec kwietnia na statku szerzyła się apatia – królując głównie w kubryku. Kilku, a czasem i kilkunastu członków załogi nie wykonywało swoich codziennych obowiązków, a cotygodniową kąpiel brało dopiero na wyraźny i kategoryczny rozkaz przełożonego. Niektórzy odmawiali schodzenia z pokładu, mimo nalegań Cooka, by przynajmniej raz dziennie wykonywali ćwiczenia fizyczne. W powietrzu dało się wyczuć nastrój buntu. Jeśli można porównywać te dwie sytuacje, tym razem nastroje wśród marynarzy były jeszcze gorsze niż w Punta Arenas, gdzie dezertery mogli przynajmniej schronić się w portowych lupanarach, barach czy szukać szczęścia wśród poszukiwaczy złota.

Codziennie racje konserwowanej brei podsycaly ogień niezadowolenia. Załoga i oficerowie jednym głosem winę za szerzącą się na pokładzie frustrację przypisywali podłemu wiktowi, by zaraz potem wskazać, że za jego jakość odpowiadają Michotte i de Gerlache. „Menu nie oszczędzono przekleństw, a o zapasach na wyprawę nikt nie mówi inaczej jak z głębokim sarkazmem” – pisał Cook. – „Każdy mający jakikolwiek wpływ na wybór czy przygotowanie posiłków, obecnie czy w przeszłości, musi mierzyć się z krytyką. W jakiejś części jest to uzasadnione, jednak w znacznej mierze bierze się z rozpaczliwego braku kontaktu z wygodą, do której byliśmy przyzwyczajeni”. W zgłaszanych skargach z każdym dniem mniej było dowcipu i rozbawienia, a więcej powagi i dobitności. I jakby nie dość, że posiłki były prawie niejadalne, racje były zbyt skromne, by zaspokoić głód marynarzy. Cook opisał to rosnące niezadowolenie jako „powstanie kulinarne”.

Utyskiwania tak bardzo przybrały na sile, że drugiego maja po obiedzie Lecointe poprosił de Gerlache’a na stronę i poinformował go o zastrzeżeniach załogi, dodając przy tym, że jego zdaniem marynarze mają podstawy do niezadowolenia. Nierozsądnie by było, powiedział, pozostawić ten bunt bez reakcji. Dotychczas powstrzymywał się od

podważania czy choćby krytykowania decyzji przełożonego i z pewnością nigdy nie zrobiłby tego przy podwładnych. Lecz możliwe, że zmuszony do spożywania tej samej, pozbawionej smaku mazi, w dodatku w niedostatecznej ilości, znalazł w sobie dość odwagi, by zmierzyć się z tym tematem. Kapitan zażądał od komendanta odpowiedzi, czy w ładowni znajdowało się dość zapasów na zimę.

- Oczywiście, że mamy dość zapasów - zapewnił go de Gerlache z pełnym spokojem. - Jednak muszę brać pod uwagę, co powie o nas prasa, kiedy będzie o nas pisać? Czy nie oskarżą nas aby o wykorzystywanie sytuacji, by najadać się przesadnie?

Lecointe nie dowierzał własnym uszom. Już po raz kolejny komendanta bardziej zajmowała troska o własną reputację po powrocie do domu niż dobro i zdrowie jego ludzi! Taka postawa musiała mieć swoje źródło w dręczącej go obsesji: de Gerlache potrafił skupić się jedynie na przeświadczeniu, że dziennikarze oskarżą go o aprowizację Belgiki w zbyt wykwintne i dobre jedzenie, sugerując, że za publiczny grosz niepatriotycznie się obżerał wraz ze swymi ludźmi. Zupełnie jakby stracił zdolność do spojrzenia na tę sytuację ze zdrowej perspektywy i nie dostrzegał faktu, że nie jest w Belgii, tylko dziesięć tysięcy mil dalej, i uwięziony pośrodku lodowego pola walczy o przeżycie.

Lecointe, który był podobnie porywczy jak de Gerlache flegmatyczny, podniesionym głosem oznajmił, że nie dba o zdanie prasy, a „już najmniej lokalnej, antarktycznej”, i dość jednoznacznie zażądał, by komendant zapewnił wszystkim członkom wyprawy wystarczające racje, „nie oglądając się na możliwe połajanki z innych stref klimatycznych”.

De Gerlache posłuchał rady kapitana i zwiększyłienne racje żywieniowe. Co więcej, opracował nawet całomiesięczne rotacyjne menu - rozpisane w formie tabeli - co pozwalało uniknąć zbyt częstego serwowania tego samego dania. Lecz choć członkowie wyprawy mieli w końcu wystarczająco pożywienia, wciąż nie czuli się zadowoleni. „Mamy dość wszystkiego” - pisał Cook. - „Brzydzimy się każdym

rodzajem jedzenia, które jest zamknięte w puszkach”. Żadna liczba kombinacji i sposobów przyrządzania potraw nie były w stanie zniwelować nieznośnej miękkości konserw. Dania składające się na tygodniowe menu, w tym na przykład wołowe ozory, *blanquette de veau*, *pâté* z dziczyzny czy zajęczy gulasz, nie różniły się od siebie ani fakturą, ani smakiem, a marynowane śledzie były równie mdłe. Wszystkie warzywa miały tę samą, zielonoszarą barwę i nie wymagały gryzienia.

„Ludzkie żołądki domagają się potraw zawierających naturalne włókna pokarmowe, które mają jakąkolwiek twardość i fakturę” – zapisywał Cook swoje obserwacje. Lekarz był przekonany, że po kilku miesiącach takiego żywienia ich organizmy przestały przyswajać składniki odżywcze z konserw. „W tym stanie, w jakim jesteśmy, każdy z nas wgrzyłby się z radosną ulgą nawet w potrawę zawierającą piasek czy drobne kamyki. Od jak dawna nie używaliśmy tu zębów!”.

Przyglądając się ludziom na pokładzie, Cook z zainteresowanego antropologa zmienił się w zaniepokojonego lekarza. Na początku maja powszechna dyspepsja skłoniła go do rozpoczęcia codziennych badań lekarskich, zarówno w forpiku, jak i w oficerskiej mesie. W trakcie tej procedury ważył swoich towarzyszy, mierzył im temperaturę, sprawdzał tętno oraz oglądał jamę ustną i oczy. Po kilku miesiącach zamknięcia i braku aktywności fizycznej puls badanych stał się nierówny i przyspieszony. Członkowie wyprawy stanęli „u progu długiej nocy z objawami lekkiego niedożywienia” – notował Cook. – „Taki stan rzeczy przypisać można niezmiennemu obrzydzeniu wywoływanemu przez to [jedzenie w konserwach], co mamy”. Jednak poza „nielicznymi przypadkami reumatyzmu, neuralgii i niegroźnych urazów, nie pojawiają się poważne problemy”.

Przez większość czasu Cook prawie nie otwierał szafki, w której trzymał medykamenty. „Gdybyś był moim klientem w Nowym Jorku i za wszystko musiał płacić, z pewnością zapisałbym ci jakiś środek” – wyjaśnił jednemu z towarzyszy. – „Ale tutaj nie warto: wyzdrowiejesz równie szybko i bez tego!”.

Z początku objawy niepokoju miały charakter mniej fizyczny, a bardziej psychologiczny. Pozbawieni perspektywy szybkiego ratunku uczestnicy wyprawy zaczęli przejawiać huśtawkę nastrojów, których spektrum rozciągało się od nudy aż po nerwicę, prezentując iście morderczą mieszankę. Seria niepokojących zdarzeń mających miejsce jesienią odarła mężczyzn ze złudzeń i przypomniała o kruchości ich losu. Przykładem takich przypadków było zajęcie się ogniem drewnianego przepierzenia za piecem w jednej z kabin. Wszyscy rozpięchli się po pokładzie, panicznie szukając niezamarzniętej wody i działającej pompy. Dopiero Amundsen spokojnie odsunął piec od drewnianej ścianki, by następnie ugasić ogień świeżym śniegiem.

Natomiast w maju, kiedy Belgica, dryfując z pakiem, osiągnęła współrzędną 71°35' szerokości geograficznej południowej, uporczywy północny wiatr, który ją tam zapędził, przyniósł z sobą kilka dni ciepła. Lód, który dotychczas wydawał się nie do ruszenia, niespodziewanie zaczął pękać. Pod nogami członków wyprawy pojawiały się wypełnione wodą szczeliny, z których jedna dotarła do dziobu statku. Pęknięcia takie były bardzo niebezpieczne nawet wówczas, gdy mężczyźni mogli je dostrzec, lecz kiedy zaczął padać śnieg i przykrył je białym dywanem, teren wokół Belgiki stał się śmiertelną pułapką, podobną do tej, jaką pokonali Amundsen z Cookiem na wyspie Brabancja. „W czasie takiej zawieruchy nierozsądnie jest zapuszczać się gdziekolwiek poza pokład” – notował Cook. – „Niejeden z nas skąpał się już w lodowatej wodzie, bo mokry śnieg nie wytrzymał naszego ciężaru. Nietrudno o śmiertelny wypadek”.

Lód mógł zabijać, nie tylko otwierając się, lecz również zamykając powstałe wcześniej szczeliny. Stawał się wtedy czatującym drapieżnikiem, który z otwartą paszczą całymi tygodniami wabi ofiary, by niespodziewanie zacisnąć na nich szczęki. Trzynastego maja noc była spokojna, jednak pełniący wachtę marynarz zauważył coś bardzo niepokojącego: niewielkie obserwatorium astronomiczne Lecointe'a zaczęło znikać w otwartej niespodziewanie szczelinie i coraz szybciej przechylało się w stronę wody. Mężczyzna zaczął przyzywać

pozostałych, a kiedy ci wybiegli na pokład, z niedowierzaniem zobaczyli, jak szczelina na ich oczach zaczęła się zamykać, lodowymi szczękami miażdżąc niewielką chatkę. Po chwili zapadł się jej dach, a z desek na ścianach posypały się drzazgi. Całe obserwatorium, wraz z cennymi instrumentami wewnątrz, w ciągu kilkunastu sekund miało na zawsze zniknąć w głębinach.

Lecointe, Amundsen i Cook nie tracili czasu. Zeskoczyli z pokładu Belgiki i rzucili się biegiem w stronę walącej się szopki. Część podłogi znalazła się już w wodzie, razem z kilkoma przyrządami kapitana. Trójka mężczyzn otoczyła liną drewniane ściany i wyęzając wszystkie siły, zaczęli ciągnąć, próbując przesunąć obserwatorium w bezpieczne miejsce. Nie byli jednak w stanie pokonać uścisku lodu i ciężaru chatki, która ich samych ścigała w kierunku szczeliny. Na szczęście szybko nadbiegła pomoc. Wspólny wysiłek pozwolił „w ostatniej chwili” pokonać zapędy lodowego paku.

Mężczyźni ocalili w ten sposób część cennych przyrządów Lecointe'a i dość materiałów budowlanych, by odbudować chatkę. Tym razem wzniesli ją jednak bliżej Belgiki, gdzie lód nie popękał i miał kilka metrów grubości. Wydarzenie to uświadomiło marynarzom, oficerom i naukowcom, że podobny los może czekać również ich. Bo przecież dokładnie w ten sposób skończyła choćby Jeannette, a oprócz niej wiele innych, uwięzionych w lodach statków.

Całymi tygodniami przybór ciemności mierzony był czasem, który pozwalał na czytanie bez zapalonych świec. Na kilka dni przed ostatnim pojawieniem się słońca, było to około godziny. „Południe dziś nie jest nic jaśniejsze niż zmierzch przed miesiącem” – notował Cook.

Zgodnie z wyliczeniami Lecointe'a słońce miało na dobre zniknąć za horyzontem szesnastego maja, by znów zza niego wyjrzeć dopiero po siedemdziesięciu dniach – oczywiście pod warunkiem, że prądy morskie nie zniosą statku na południe lub północ. Kapitan przewidział również, że refrakcja, czyli załamanie promieni słońca w atmosferze, pozwoli im



jeszcze jeden raz - następnego dnia - dostrzec iluzoryczny już błysk naszej gwiazdy.

Wszyscy na pokładzie Belgiki z przerażeniem wyczekiwali siedemnastego maja. Dla pełnego patriotycznych uczuć Amundsena i pozostałych Norwegów drobnym pocieszeniem był fakt, że tego dnia wypadało narodowe święto ku czci podpisania norweskiej konstytucji w 1814 roku (która obowiązywała mimo popadnięcia kraju w zależność od Szwecji, po wojnie w tym samym roku). Na lodowej pustyni, w najodleglejszej chyba części świata, zmiana w pojawianiu się słońca ważniejsza była od minionych dramatów w historii ludzkości, polityki czy wojen. I niezależnie od tego, jak wiele wypito szampana, którym dla uczczenia tej doniosłej rocznicy obficie raczono się w czasie obiadu w mesie i forpiku, dzień ten przede wszystkim był dniem żałoby.

Na maszcie załopotana norweska flaga, a ciężkie, nisko wiszące chmury wywoływały wrażenie, że słońce samo nie ma ochoty pojawić się na własnym pogrzebie.

Tuż przed śniadaniem do mesy wpadł Lecointe i oznajmił, że w oddali dostrzegł dziwne, niepokojące światło. Zamiast niepozornego wschodu słońca na północnym horyzoncie, którego spodziewał się dopiero za kilka godzin, kapitan zauważył błękitne lśnienie, które gasło i zapalało się ponownie, jakby chciało im coś przekazać. Z początku niczego nie było widać, a kapitan zaczął się tłumaczyć pogarszającym się wzrokiem i nadmierną wyobraźnią. „Zarzuciliśmy mu, że zbyt wcześnie sięgnął po butelkę z polepszaczem wzroku” - pisał Cook. Przez chwilę wszyscy stali na pokładzie i tupali w miejscu, by pobudzić krążenie w nogach i się rozgrzać. I kiedy już zamierzali wrócić do mesy, w końcu też to dostrzegli: światło migoczące jak pochodnia. Serca mężczyzn zabiły szybciej: czyżby miało się okazać, że jednak nie byli tu sami?!

„Po chwili wszyscy członkowie wyprawy wylegli na pokład i zapanowało powszechne przekonanie, że światło przesuwa się w naszą stronę” - notował później Cook. - „Czyżby to byli ludzie? Może członkowie jakiejś nieznannej, południowopolarnej rasy?”. Czyżby miało

się okazać, że miał rację, kiedy kilka lat wcześniej, w czasie jednego z odczytów na Brooklynie, przekonywał o możliwości odkrycia „nowego, odizolowanego dotychczas plemienia”? Może światło było sygnałem od twórców tajemniczych kamiennych kul, które kapitan Larsen odkrył pięć lat wcześniej na Wyspie Seymoura, a które, o czym był przekonany, musiały zostać wykonane ludzką ręką? Trzeba było znaleźć teraz kogoś, kto zejdzie na lód i ruszy to sprawdzić.

Wiele o stosunkach na Belgice mówi to, że w chwili możliwego szczytu dyplomatycznego - lub niebezpiecznej konfrontacji - członkowie wyprawy zwrócili się nie do komendanta czy kapitana, lecz do człowieka, który w naturalny sposób stał się ich przywódcą. „Amundsen, najpotężniejszy, najsilniejszy i najodważniejszy spośród nas, a przy okazji posiadający najstosowniejszy strój na taką okazję, włożył szybko anorak, przypiął narty i błyskawicznie ruszył przez półmrok paku w stronę migotliwego światła” - opisał tę scenę Cook w swoim dzienniku.

Niewiele później mężczyźni na pokładzie dostrzegli Amundsena z pochodnią w dłoni, jak wraca na statek. Wdrapawszy się na Belgicę, oznajmił, że światło pochodziło z łachy śniegu na kołyszącej się w wodzie bryle lodu, a emitowały je glony. Odkrycie to spotkało się z początku z rozbawieniem i ulgą, której miejsce jednak szybko zajęło rozczarowanie. Zupełnie jakby wszyscy liczyli na jakieś nadnaturalne zjawisko, które mogłoby ich uratować i oszczędzić przed kosmologiczną nieuchronnością wielomiesięcznej ciemności. Jako że nic takiego się nie stało, wydarzenie to tylko pogłębiło dręczące poczucie osamotnienia.

Około dziesiątej rano chmury rozstąpiły się niespodziewanie, pozwalając załodze spojrzeć na ostatni wschód słońca. W miarę zbliżania się południa Cook, Amundsen i de Gerlache ruszyli na nartach przez pak, który po kilku dniach mrozów zamknął się ponownie, gdyż chcieli w spokoju obejrzeć coś, co Amerykanin określił jako „ostatki kończącego się dnia”.

Skierowali wzrok na północ, gdzie słońce w barwie śmietany dzielnie walczyło z nocą, zostawiając za sobą pomarańczowy ślad.

„Dokładnie w południe pół okręgu słońca wychyło ponad horyzont” – pisał później Cook. – „Zniekształcone, blade pozostałości złotego kręgu, niedające żadnego ciepła czy promieni, i bardzo smutne. Kilka chwil później zniknęło ponownie, nie pozostawiając po sobie kolorów i żadnych radosnych wspomnień na... długie dni ciemności, które właśnie nadeszły. Wróciliśmy na pokład, by spędzić popołudnie na przygotowywaniu planów zimowych zajęć”.

Antarktyczna noc nie była jednolicie mroczna. Każdy obrót Ziemi objawiał się słabą poświatą trwającą przez kilka godzin, aż do południa. Ranek zaczynał się obietnicą wschodu, który nigdy nie nadchodził, przyrzeczeniem, które nie miało się spełnić. „Czuliśmy, że ten słabowity świt nie miał w sobie dość życia, by zrodzić dzień” – pisał de Gerlache. – „Szybko porzucaliśmy jakiegokolwiek nadzieje na zwycięstwo nad ciemnością; niezauważalnie przechodząc w zmrok”.

Zniknięcie słońca oznaczało zniknięcie życia z lodowego paku. Wszystkie oparte na węglu formy flory i fauny potrzebują do przetrwania słonecznego światła. Człowiek zjada krowę, krowa zjada trawę, a trawa wykorzystuje energię ze słońca, by móc czerpać składniki odżywcze z ziemi i rosnąć. Mewy żerują na truchle lamparta morskiego, który żywił się pingwinami, które zjadały kryl, który żywił się fitoplanktonem. Fitoplankton, jak trawa, przeprowadza proces fotosyntezy: dzięki chlorofilowi przekształca światło słońca w energię. Stanowi też podstawę antarktycznego łańcucha pokarmowego, będąc – jak określił to Racovitza – „bezbrzeżną morską prerią”. Lecz kiedy światło nie może osiągnąć tych organizmów, bo lód morski staje się zbyt gruby albo słońce przestaje wstawać, fitoplankton zaczyna głodować, umiera i zaściela morskie dno. Zooplankton, który się nim odżywia, ginie z głodu. Racovitza zaobserwował przez mikroskop kanibalistyczne zachowania, gdy zooplankton zaczynał żerować na swoim gatunku. Bez pożywienia, w nagle zubożałych morskich wodach pod lodowym pakiem, kryl czym prędzej przemieszczał się w kierunku bardziej przyjaznych akwenów, a za nim udawała się reszta łańcucha

pokarmowego. Nad i pod lodowym pakiem rozciągał się, zgodnie ze słowami de Gerlache'a, „martwy świat”.

## Rozdział 11

### **POGRZEB NAJDALEJ NA POŁUDNIU**

NIEDŁUGO PRZED ROZPOCZĘCIEM DŁUGIEJ NOCY COOK zauważył coraz bardziej niepokojące zmiany w zachowaniu załogi. „Nietrudno wyczytać z twarzy moich towarzyszy ich myśli i coraz głębszą zgryzotę” – notował swoje obserwacje. – „Przy stołach, w laboratorium i w kwaterach załogi wszyscy siedzą smutni, zrezygnowani i apatyczni, zatopieni w melancholijnych rozważaniach, z których, co pewien czas, wyrywa się któryś, popychany impulsem pustego entuzjazmu”. Powtarzane „pewnie pięćdziesiąty raz” opowieści i dowcipy, które kilka tygodni wcześniej wywoływały wybuchy śmiechu, okazują się puste, nijakie i równie niestrawne jak serwowane jedzenie. „Każda próba zaszczepienia światła nadziei spełza na niczym”.

Cook spodziewał się pogorszenia nastrojów, lecz zaskoczyła go intensywność i rozmiary zmiany, która zaszła w jego towarzyszach przez kilka dni po ostatnim zachodzie słońca. Marynarze przechadzali się po pokładzie zdjęci rozpaczą, a i to pod warunkiem, że zebrali dość sił, by w ogóle zmusić się do spaceru. Atawistyczny strach i beznadzieja, które każdy człowiek odczuwa w ciemnościach – coś, co Wiktor Hugo opisał jako „głęboką, mroczną udrękę, którą można nazwać nerwową tęsknotą za nieobecnym słońcem” – tutaj mieszały się z kompletną izolacją, samotnością, bezustanną obawą, że lód w każdej chwili może zmiażdżyć Belgicę albo otworzyć się komuś pod nogami. „Zasłona mroku, za którą skrył się świat zewnętrzny, świat lodowatej samotności, rozpostarła się również w wewnętrznym świecie naszych dusz” – pisał Cook. – „Fizycznie, umysłowo i być może również moralnie odczuwamy to przygnębienie”.

Mężczyźni uskarżali się na zawroty i bóle głowy. Byli coraz bardziej rozdrażnieni i szukali samotności, co utrudniała bardzo ograniczona przestrzeń, jaką Belgica oferowała załodze. „Gdybyśmy tylko mogli znaleźć trochę wolności od siebie nawzajem, na kilka godzin zaledwie” – pisał Cook – „być może nauczylibyśmy się spoglądać na to wszystko z innego punktu widzenia, zainteresowalibyśmy się swoim towarzystwem; lecz, niestety, to niemożliwe! Prawda jest taka, że wszyscy jesteśmy sobą zmęczeni, na równi ze zmęczeniem monotonią czarnej nocy”.

Cierpiała nawet kotka Nansen. Czy przechadzając się po pokładzie, czy kiedy z mruzeniem ocierała się o nogi marynarzy, albo w nocy, zwinięta na piersi któregoś z nich, Nansen była dla wszystkich źródłem ukojenia i radości. Ludzie z każdym dniem mieli coraz bardziej dość siebie nawzajem, lecz biało-czarna kotka wciąż pozostawała obiektem ciepłych uczuć. Jednak i ona okazała się podatna na przygnębienie. „Niespodziewanie Nansen zaczął okazywać niezadowolenie warunkami i naszym towarzystwem, a od niedawna poszukuje samotności, kryjąc się w mało uczęszczanych częściach statku i przesiadując w kątach” – pisał Cook. Lekarz, podobnie jak marynarze, błędnie uważał, że mają na pokładzie kocura, nie kotkę. – „Jego temperament uległ gwałtownej zmianie. Z przyjaznego, pełnego życia stworzenia stał się ucieleśnieniem fukającego niezadowolenia”. Dla Cooka wrogość Nansen była zwiastunem podobnych zmian w zachowaniu członków wyprawy. Wyraźne pogorszenie jej samopoczucia było dla niego jednoznacznym dowodem, że za dolegliwości ludzi nie mogły odpowiadać jedynie nuda i bezczynność. Wszystko wskazywało na to, że w grze były bardziej złowieszcze moce – zarówno w wymiarze fizycznym, jak i psychologicznym. Cook był zdeterminowany, by to ustalić.

Mimo że mentalne i fizyczne trudy antarktycznej nocy nie oszczędziły żadnego z podróżników, część radziła sobie z tym brzemieniem gorzej od pozostałych. Cook i Amundsen, którzy spodziewali się obciążenia psychicznego i traktowali je zresztą jako

jeden z kluczowych aspektów przygotowań do prowadzenia własnych wypraw polarnych, jak na razie najlepiej sobie radzili w tych trudnych okolicznościach. Szczególnym zmartwieniem dla lekarza był człowiek najciężej dotknięty tajemniczą niemocą: de Gerlache. Przestronna kajuta komendanta pozwalała mu zakosztować samotności nieosiągalnej dla pozostałych, a on korzystał z tego przywileju bardzo chętnie, spędzając większość czasu w odosobnieniu, a swój pokój opuszczał jedynie na posiłki. „Po kolacji zostawialiśmy przez kilka minut na mostku, po czym [komendant] zostawiał nas samych, a pojawiał się dopiero następnego ranka” – notował Lecointe. – „Jego stan zdrowia niepokoi; odczuwa bezustanny nacisk w skroniach”.

Cook nie potrafił wyjaśnić przyczyn złego samopoczucia de Gerlache'a. Lecointe uważał natomiast, że częściowo winą obarczyć trzeba wyczerpanie. Cokolwiek wpływało na jego zdrowie, komendant spędzał mnóstwo czasu w samotności, za swoim biurkiem. Niekończąca się ciemność na zewnątrz i migotliwy blask świecy w pomieszczeniu zmieniały szybę w kwadratowym oknie w lustro, a de Gerlache wpatrywał się w swoje wymizerowane odbicie nałożone na czerń antarktycznej nocy. Przez całe lata marzył o odbyciu podróży najdalej, jak się da na południe, i o chwale odkrywcy, po którą chciał sięgnąć – dla siebie i dla Belgii. Lecz kiedy w końcu osiągnął swój cel, nie czuł tryumfu, jakiego się spodziewał. Zamiast tego, dręczyła go bolesna troska. Stracił już jednego z ludzi, a życie pozostałych wisiało na włosku.

De Gerlache miał depresyjną naturę, która w chwilach bezczynności z podwójną siłą dochodziła do głosu. Jego stan na pokładzie Belgiki przywodził na myśl problemy ze zdrowiem i napady melancholii, z jakimi borykał się jako nastolatek, ilekroć wracał z jakiegoś rejsu – z tym wyjątkiem, że teraz były znacznie mocniejsze. Coś pochłaniało go od środka. Dla człowieka równie jak on zakochanego w wolności otwartego oceanu tkwienie bezczynnie za sterem unieruchomionego statku było torturą i odzierało z perspektyw. Pak lodowy odebrał mu kontrolę nad Belgicą. Zamarznięty ster ani drgnął, nie dało się zakręcić

kołem na mostku, a żagle stały się bezużyteczne. De Gerlache miał poczucie, że on również. Coraz rzadziej pokazywał się na pokładzie. Członkowie wyprawy zakładali, że pracuje nad dziennikiem i godzinami uzupełnia brakujące wpisy. Tymczasem jego dziennik z tego czasu strona po stronie pozostawał pusty, jak lodowa pustynia za oknem.

Najlepiej trzymali się ci, którzy nie marnowali czasu i nie przestawali się czymś zajmować, a wśród nich nie było nikogo, kto w aktywności prześcigałby Cooka. Rozdzielając bez reszty czas między fotografowanie, pisanie, prace nad sprzętem polarnym i przestrzegany z najwyższą surowością plan ćwiczeń fizycznych, lekarz nie pozwalał sobie na popadanie w nudę. Między wieloma świetnymi pomysłami, w trakcie antarktycznej nocy zaprojektował sanie napędzane wiatrem, a na potrzeby prototypu przygotował do testowania cały szereg różnych żagli uszytych z prześcieradeł. W czasie pierwszych prób pojazd bezustannie się przewracał, lecz to dawało Cookowi siłę i zapał do dalszych eksperymentów.

Nadnaturalna zdolność Amerykanina do optymizmu pozwoliła mu uodpornić się na powszechnie panującą rezygnację, a świetna forma fizyczna pomagała utrzymać ciało w doskonałym zdrowiu. Biorąc pod uwagę coraz gorszy stan towarzyszy, Cook nagle stał się najbardziej zajęta osobą na pokładzie.

Z czasem otępiający wpływ zimy zaczął odciskać namacalne piętno na ciałach podróżników, a pierwszą oznaką tego była wyraźna atrofia mięśni, wywołana brakiem ćwiczeń fizycznych. (Poza bezchmurnymi nocami, kiedy ciemności rozpraszała księżycowa poświata, i delikatnymi przejaśnieniami w okolicach południa nikt nie wychodził na zewnątrz, w mrok, ze strachu przed wpadnięciem w jakąś nieznaną wcześniej szczelinę). „Wszyscy mieli gąbczaste poduszki wokół oczu i mocno opuchnięte kostki, a mięśnie, wcześniej twarde i silne, stały się miękkie i wiotkie” – notował Cook. – „Oleista cera, przyspieszony wzrost włosów, a skóra na palcach ma tendencje do wylewania się na płytkę paznokcia, jakby chciała chronić je przed chłodem”. Z biegiem



czasu, pisał dalej, „nasza skóra blednie, jednakże nabiera przy tym zielonkawego poblasku. Coraz mniej wydalamy. Żołądek i organy wewnętrzne przelewają się bezwładnie i nie chcą dobrze pracować”.

Wszystkie te symptomy sugerowały powolny, ogólny rozstrój organizmu. „Mniej więcej połowa z nas narzeka na bezsenność i bóle głowy” - pisał dalej Cook. - „Wielu ma zawroty głowy i inne nieprzyjemne odczucia. Część uskarża się na senność, niezależnie od pory, choć śpią po dziewięć godzin. Nie produkujemy dość śliny, co utrudnia trawienie. Częstym problemem jest nadkwaśność i bezustanne problemy gastryczne. Pojawiają się bóle reumatyczne i neurologiczne, drżenie mięśni i cały szereg pomniejszych dolegliwości”.

Najbardziej niepokojące - i równocześnie zaskakujące dla Cooka - były „objawy kardiologiczne”. Tętno podróżników przy najmniejszym wysiłku wystrzeliwało w górę. „Wystarczy przejść spieszenie przez pokład, by puls sięgnął 110 uderzeń [na minutę]” - notował Cook. Półgodzinny spacer po lodzie powodował podniesienie tętna do poziomu stu czterdziestu uderzeń na minutę i gorączkowe sapanie. Równie często zdarzało się, że czyjś puls spadał gwałtownie do równie niepokojących czterdziestu czy pięćdziesięciu uderzeń na minutę. Zmiany te odzwierciedlały dość dobrze równie dziką huśtawkę nastrojów wśród podróżników. „Kontroli brakowało niemal we wszystkich aspektach funkcjonowania ludzkiego ciała” - pisał Cook. - „Ludzie tkwili przez dłuższy czas w otępieniu, by nagle dać się ponieść niemal histerycznej ekscytacji”.

Nic, czego Cook nauczył się w szkole medycznej, nie wyjaśniało zjawiska w równym stopniu dotyczącego wszystkich na pokładzie. A ponieważ pierwsze objawy pojawiły się po zejściu słońca, lekarz uznał, że musi istnieć związek między stanem jego towarzyszy a panującą ciemnością. „Słońce musi dostarczać naszym organizmom czegoś, co w nieopisany jeszcze sposób kontroluje i wyrównuje pracę serca” - rozważał. - „Gdy tego zabraknie, serce zaczyna pracować jak silnik bez regulatora obrotów”.

Objawy kardiologiczne wywoływały poważny dyskomfort u wszystkich dotkniętych tym problemem, jednak szczególnie alarmujący był stan Emile'a Danco, najbardziej zaufanego człowieka de Gerlache'a. Co gorsza, jego sytuacja była coraz groźniejsza. „Cierpi na dawno zdiagnozowaną chorobę serca” – zapisywał Cook swoje przemyślenia. – „Niedomykanie się jednej z zastawek, co już wcześniej doprowadziło do przerostu mięśnia sercowego i nadmiernego zgrubienia jego ścian”. W normalnych warunkach Danco nie odczuwał skutków dolegliwości. Jednak antarktyczna noc miała negatywny wpływ na jego serce, bo doprowadziła do jego przeciążenia. Na początku maja Danco zaczął uskarżać się na skrócenie oddechu nawet po krótkim spacerze. Najmniejszy wysiłek sprawiał, że „Danco przystawał i z trudem łapał powietrze”. Po kilku tygodniach Cook zaczął obawiać się o jego życie. „Przerośnięta tkanka mięśniowa zaczyna słabnąć” – notował lekarz. – „Skutkuje to atrofią mięśnia sercowego, powolną i stopniową, która, jeśli utrzyma swoje aktualne tempo, w ciągu miesiąca doprowadzi do śmierci”.

Kiedy przekazał swoje ustalenia komendantowi, ten był zdruzgotany. Czuł się osobiście odpowiedzialny za los przyjaciela, bowiem od początku wiedział o jego problemie z sercem. Tężyzna fizyczna Danco skrywała jego wątłą kondycję, więc de Gerlache uważał, że zamustrowanie go na dwuletnią podróż w jedno z najbardziej nieprzyjaznych miejsc na Ziemi stanowić będzie niepotrzebne ryzyko. I początkowo odmówił przyjacielowi miejsca na Belgice, na co ten zagroził mu, że i tak wyruszy na spotkanie przygody, a jeśli nie będzie mu wolno obrać kursu na Antarktydę, wybierze Kongo. Komendant w końcu skapitulował, przekonany, że sterylny polarny klimat będzie zdrowszy i mniej niebezpieczny niż wilgotna, malaryczna dżungla Afryki Środkowej. Dziś na powrót poczuł brzemień odpowiedzialności za tamtą decyzję.

W przeciwieństwie do de Gerlache'a sam Danco przyjął wieści na temat swojego zdrowia z daleko większym spokojem. Przez ostatnich sześć miesięcy przeżył więcej i doświadczył silniejszych emocji niż

przez wcześniejszych dwadzieścia osiem lat życia razem wziętych, spędzonych pod czujnym okiem despotycznego ojca. Co więcej, sprawiał wrażenie, jakby nie spodziewał się najgorszego scenariusza – i rzeczywiście oczekiwał powrotu do zdrowia. Cook miał go cały czas na oku i zalecił odpoczynek. Danco spał na kanapie w mesie, najwygodniejszym meblu na całym pokładzie, i został tam już do końca swoich dni. Lekarz zabronił mu w stanie takiego osłabienia opuszczać statek, ostrzegając go przed zapaleniem płuc. Obowiązkowy jak zawsze, Danco wyraził żal, że musi porzucić swoje zadania związane z pomiarami pola magnetycznego. Lecointe w tajemnicy dopisał jego obowiązki do listy swoich zajęć, by w przyszłości, kiedy Danco poczuje się lepiej, móc zaskoczyć go nieprzerwanymi rejestrami pomiarów.

Regularny, głęboki sen mógł łagodzić skutki marazmu i beznadziei szerzących się pod pokładem. Mógłby, gdyby nie to, że niekończąca się noc drastycznie zaburzała zegary biologiczne członków wyprawy. Narzucony przez de Gerlache'a reżim, określany przez niektórych jako socjalistyczny, polegał na przeznaczeniu ośmiu godzin z pełnej doby na sen, ośmiu na pracę i tyłuż samo na rozrywkę, jednak niewielu mężczyzn na Belgice było w stanie go przestrzegać. Bez regulującego czas działania słońca, niektórzy sypiali po dziewięć godzin albo nawet dłużej, a potem zmęczenie i apatia i tak nie pozwalały im wstać. Innych z kolei dręczyła okrutna bezsenność.

Nie było również mowy o nocnej ciszy. Ci, którzy nie mogli zasnąć i leżeli na kojach, torturowani byli piskami dobiegającymi spod pokładu. Jedyne stworzeniami, które zdawały się nie odczuwać brzemienia izolacji, były szczury. „Zupełnie jakby brak niedyskretnych promieni słońca wzmagał w tych stworzeniach ich miłosne popędy” – pisał Racovitza. – „Bezustannie słyhać było natarczywe, przejmujące piski Panny Szczurzyicy krytej przez jurnego szczurzego gentlemana”. Z przepojonych poczuciem humoru zapisków rumuńskiego naukowca przebijała jednak poważna troska wywołana plagą szczurów. Gryzonie te prowadzą nocny tryb życia, więc ciemność jest ich żywiołem. Od kiedy dostały się na pokład Belgiki w Punta Arenas, na świat przyszło

ich już kilka pokoleń. A że Nansen straciła zainteresowanie polowaniami, nic nie hamowało rozrostu populacji tych szkodników. Szczurze piski rozlegały się na całym okręcie i w umysłach utrudzonych marynarzy uwięzionych w półprzytomnym letargu między jawą a snem. Załoganci czuli się, jakby te szkodniki przegryzały się wtedy przez ich mózgi.

Do grupy cierpiącej na bezsenność należał również Arctowski. „Często... leżąc już na koi, przysuwam ucho do ściany i słucham, co się dzieje w oddali” – zapisał naukowiec. Gdyby spojrzeć na pak jak na żywy organizm, Belgica byłaby jego centralnym systemem nerwowym, do którego docierały informacje o bólu odczuwanym w promieniu wielu mil. Lód przejawiał wielką aktywność szczególnie w ostatnich dniach maja. Mimo że temperatura na zewnątrz spadła do dwucyfrowych wartości poniżej zera, woda poniżej paku nigdy nie była zimniejsza niż -2,2 stopnia Celsjusza; duża różnica temperatur wywoływała ogromne naprężenia w grubej na pół metra warstwie lodu, doprowadzając do jego pęknięcia. Dźwięki docierające do uszu Arctowskiego przez drewnianą burtę statku mogły wywoływać ciarki na plecach: czasem był to metaliczny brzdęk, jakby pękała zbyt mocno napięta sprężyna, a czasem bardziej ożywione odgłosy, przypominające bulgot w żołądku wygłodniałej bestii.

Jeszcze większą grozę budziło w tamtym czasie głębokie dudnienie powodowane przez niewyobrażalne siły oddziałujące na pak. „Słyszymy je z daleka, jakby galopadę wrogiej jazdy atakującej nasze pozycje” – pisał Lecointe. Nacisk, znacznie silniejszy i brutalniejszy niż cokolwiek, czego podróżnicy dotychczas doświadczyli, trzymał Belgicę jak w imadle.

Gdyby dwudziestego ósmego maja de Gerlache wyglądał we właściwej chwili przez wychodzące na prawą burtę okno swojej kajuty, być może mógłby dostrzec, jak lód nagle pęka i rozstępuje się, otwierając kanał biegnący wzdłuż statku. Następnego dnia, dwudziestego dziewiątego maja, pęknięcie zatrzasnęło się z olbrzymią siłą. Jednak pak na tym nie poprzestał: krawędzie nie zatrzymały się po

zetsknięciu, lecz z niepowstrzymaną brutalnością dalej na siebie napierały, tworząc masywne wypiętrzenie - w taki sam sposób, jak nacierające na siebie płyty tektoniczne formują wysokie łańcuchy górskie. Wystarczyło ledwie kilka minut, a lodowa grań niemal sięgnęła wysokości pokładu Belgiki. De Gerlache obserwował ten proces na własne oczy. Ponieważ nacisk od prawej strony burty był większy niż od drugiej, nieruchomej części tafli, lodowa grań nieubłaganie zaczęła się przesuwać w stronę statku.

Komendant siedział w swojej kajucie i pogrążony w bezradności słuchał agonii swojej jednostki. Statek wydawał przeciągłe, żalosne jęki, w miarę jak ugiwała się jego drewniana konstrukcja, a potem drżał gwałtownie, kiedy lód brutalnie wymierzał jej ciosy, z których każdy mógł przebić poszycie. Dotychczas pak był stosunkowo niegroźny. De Gerlache z każdym dniem nosił w sobie coraz większe przekonanie, że ryzykowna decyzja opłaci się, bo skoro lód nie miał nigdzie w pobliżu lądu, który mógłby go zatrzymać, nie będzie miał dość sił, by zmiażdżyć Belgicę w sposób, w jaki zniszczył Terror, Erebusa czy Jeannette po drugiej stronie globu. Teraz jednak, słuchając dobiegających z zewnątrz odgłosów, czuł rosnącą obawę, że lód z Morza Bellingshausena może być równie niszczycielski.

Komendant obserwował, jak wypiętrzona potężnym naciskiem lodowa grań zbliża się do burty statku niczym powolna fala przyływu. Odrywały się od niej lodowe głązy o wadze kilku ton i jak drobne kamyki toczyły w dół zbocza. Nawet jeśli wcześniej Belgica zaskakiwała de Gerlache'a swoją wytrzymałością, teraz sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. To nie była walka ze sztormem. Tutaj nie dało się zmienić kursu. Lód mógł zrobić z nią, co chciał. Nie dbał o to, czy cokolwiek stoi mu na drodze.

Niespodziewanie, dokładnie o wpół do jedenastej rano trzydziestego maja, nagle ucichło trzeszczenie drewna i ryk nacierającego lodu. Nieoczekiwany spokój pozwolił podróżnikom usłyszeć coś, czego żadną miarą nie mogli przewidzieć: spokojny plusk wody. Wyglądając przez relingi, zobaczyli widok, który wzbudził w nich chwilową nadzieję:

kilkucentymetrową czarną wstęgę między burtą a lodem. Kiedy obeszli cały statek, uświadomili sobie, że po raz pierwszy od miesiący Belgica swobodnie unosiła się na wodzie.

Lecz żadną miarą nie było to oznaką ratunku - a wręcz przeciwnie. Chwilowy spokój okazał się preludium do ostatecznego natarcia. Pak lodowy zbierał siły i cofał się, by nabrać rozpędu i z impetem zaatakować ponownie. „Dopiero teraz przekonamy się, jak wytrzymała jest konstrukcja naszego statku” - pisał Amundsen w dzienniku. O jedenastej lodowa grań dotarła do prawej burty, zadając jej morderczy sierpowy. „Nagle poczuliśmy, jak Belgica drży, przesuwa się i wydaje dziwne, syczące odgłosy”.

Kiedy grań nacierała na burtę, od strony rufy stworzyła wał i niczym załamująca się fala przesypała się lodowymi odłamkami nad relingami na pokład. W tym samym czasie ogromna tafla lodu dostała się pod dziób i uniosła ważącą dwieście czterdzieści cztery tony Belgicę o ponad metr w górę, jakby jednostka przygotowywała się do pokonania nadchodzącej fali.

Lód nacierał przez większą część nocy. Wszyscy na pokładzie czekali w napięciu i bezradności, nie mogąc w żaden sposób pomóc Belgice w starciu z lodowym pakiem. Ku ich zaskoczeniu kolejny dzień statek przywitał w dobrej kondycji, a lód, jakby w uznaniu dla jej odwagi, zaprzestał dalszych ataków. Pak, jak wcześniej, wziął ją w nienatarczywy uścisk. Jednak od tego czasu jednostka pozostała już w delikatnym przechyle, tak że maszty z horyzontem nie tworzyły kąta prostego, a z rufy na dziób droga prowadziła pod górę.

De Gerlache, i tak już nękany depresją i migrenami, od tego dnia żył w ustawicznym strachu, że lada chwila lód znów zacznie nacierać. Zniszczenie mogło przyjść w najbardziej nieoczekiwanym momencie, równie gwałtowne jak zmiany pogody. Komendant przygotował na taką ewentualność plan ratunkowy: kiedy nie będzie już dla statku ratunku, należało przetransportować jak największą ilość zapasów do szalup, przeciągnąć je, być może przez setki mil, do krawędzi lodowego paku,

a potem ruszyć przez morze w kierunku Szetlandów Południowych. Szanse na pokonanie Cieśniny Drake'a oszacował na jeden do stu.

Trzeciego lipca po południu panował mróz, jednak niebo było bezchmurne, nie wiało, a księżyc zalewał okolicę swoim blaskiem. Cook wziął aparat fotograficzny na trójnogu i niosąc go opartego na ramieniu, oddalił się około stu metrów od statku. Dzięki księżycowej poświacie nawet najodleglejsze góry lodowe wyraźnie odcinały się na tle horyzontu. Lekarz przedarł się przez labirynt torosów i grani wyniesionych zeszlotygodniowym natarciem lodu. Rozstawił trójnog, skierował obiektyw na Belgicę i otworzył migawkę. Przez soczewki wyprodukowane w zakładach Zeissa wpadał zapierający dech w piersiach obraz i odciskał się na szklanej płytce aparatu pokrytej światłoczułą emulsją soli srebra.

Żeby się rozgrzać, Cook energicznym krokiem chodził tam i z powrotem. Nie mógł wrócić na pokład, bo wchodząc w kadr zepsułby robione właśnie zdjęcie. Będąc fotografem samoukiem, nie miał pewności, jak długo powinien czekać z zamknięciem migawki. Miał jedynie pewność, że statek nigdy wcześniej nie wyglądał równie pięknie, i nie spodziewał się, by kiedykolwiek jeszcze pojawiła się szansa uwiecznienia Belgiki o takiej porze. Strach i nerwowość trzymały w szachu wszystkich uczestników wyprawy, lecz nie były w stanie powstrzymać lekarza i stłumić jego pasji i fascynacji polarnym życiem. Zupełnie jakby potrafił unosić się ponad przyziemnymi zmartwieniami, podobnie jak postać na jednym z rysunków Racovitzy, który sportretował Cooka jako anioła lecącego na skrzydłach nad lodowym pakiem.

Po półtorej godzinie czekania Cook ostrożnie zamknął migawkę, spiesznie wrócił na pokład statku i energicznie strzepnął śnieg z butów. Z niecierpliwością wyczekiwał chwili, gdy zobaczy fotografię; nie tracąc czasu, przemaszerował przez kabinę komendanta do ciemni, gdzie w słabej, czerwonej poświacie zanurzył szklaną płytkę w wywoływaczu. W miarę jak w chemicznej kąpieli naświetlona emulsja soli srebra

zaczęła miejscami ciemnieć, na płytce pojawiały się kontury Belgiki. Zadowolony z osiągniętego efektu, lekarz przeniósł płytkę do pojemnika z kwasem octowym, by zatrzymać proces wywoływania. Następnie należało utrwalić obraz, usunąć resztki światłoczułej emulsji i zabezpieczyć negatyw przed działaniem światła. Krok ten wymagał od Cooka ogromnej ostrożności. Amerykanin starał się nie oddychać, świadom tego, że każdy błąd mógł okazać się zabójczy: ponieważ już wcześniej, na początku podróży, kiedy dopiero poznawał swój sprzęt fotograficzny i wypracowywał metody robienia polarnych zdjęć, wykorzystał cały zapas tiosiarczanu sodu – związku tradycyjnie stosowanego jako utwalacz znany wówczas pod nazwą Hypo – musiał opracować jakieś rozwiązanie, by zastąpić brakujący odczynnik. W jednym ze starszych wydań brytyjskiego magazynu znalezionej na pokładzie przeczytał, że dawniej do wywoływania dagerotypów wykorzystywano cyjanowodór, będący przy okazji skrajnie niebezpieczną trucizną. Okazało się, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności Racovitza zabrał ze sobą niemal dziewięćdziesiąt litrów tej substancji, z zamysłem wykorzystywania jej do pozbawiania życia złapanych zwierząt, by je później zakonserwować. („Jedna kropla na język” – opisywał jego działanie Cook – „i stworzenie padało martwe”). Metodą prób i błędów z różnymi stężeniami cyjanowodoru lekarz ustalił, które z nich najlepiej nadaje się do jego celów. Cook zanurzył płytkę w pojemniku z substancją, która rozpaczała delikatną woń gorzkich migdałów. „Oczywistym jest, że w trakcie procesu utwalania nikt nie może przebywać w ciemni” – pisał Cook. A jednak trujące opary wydostawały się przez szpary w drzwiach do kabiny de Gerlache’a.

Kiedy kąpiel w cyjanowodorze dobiegła końca, Cook wreszcie mógł spojrzeć i ocenić swoje dzieło przy normalnym świetle. Lekarz był bardzo utalentowanym fotografem. Jego naturalne i szczerze ujęcia towarzyszy wyprawy miały w sobie coś artystycznego, jakby były obrazami. Antropomorficzne portrety zwierząt świadczą o wielkiej wyobraźni Amerykanina. Jednak to zdjęcie Belgiki wykonane



w bezchmurną noc, rozświetloną jedynie księżycowym blaskiem, okazało się ukoronowaniem jego twórczości. Wypiętrzenia i zasy na pierwszym planie sprawiają wrażenie zamarzniętych w bezruchu fal. W tle widać słabą poświatę przesączającą się przez ciemny horyzont. Omasztowanie przypomina szkielet, a śnieg i lód na linach sprawiają, że tworzą one białe osie odcinające się wyraźnie na tle czarnego nieba upstrzonego gwiazdami, jakby były podświetlone mocnym rozbłyskiem. (Przez białe morze i czarne niebo fotografia wydaje się negatywem, a negatyw, który Cook podziwiał, sprawiał wrażenie właściwej fotografii, jakby przedstawiała statek za dnia). Ostrość szczegółów dowodzi, jaka spokojna i bezwietrzna pogoda panowała tamtego wieczoru. Mimo długiego czasu ekspozycji na zdjęciu nie widać żadnych śladów ludzkiej aktywności, przez co Belgica sprawia wrażenie opuszczonego statku widma.

Trzeba Cookowi oddać, że ujął na zdjęciu nie tylko obraz statku, ale i grobowy nastrój panujący pod pokładem. Całkiem możliwe, że tamtej nocy zszedł na lód, by zająć się czymś innym i odwrócić uwagę od konkretnego problemu: stan najciężej chorego z jego pacjentów drastycznie się pogorszył.

Po kolacji oficerowie i naukowcy grali przy stole w wista, a Danco leżał na sofie. Niegdyś solidnej postury mężczyzna był wyczerpany chorobą i przeraźliwie wychudzony. Zbyt wyczerpany, by przyłączyć się do rozgrywki, zaproponował pomoc graczom i zmuszał się do śmiechu, kiedy pozostali przerzucali się ripostami. Podróżnicy dbali o radosny nastrój, by ukryć własny strach i podtrzymać na duchu gasnącego towarzysza. Mimo to pośród ogólnej radości słychać było świszczący, umęczony oddech Danco. Kilka dni wcześniej stracił apetyt i nikt nie miał już złudzeń, a jego stan pogarszał się z godziny na godzinę.

Złudzeń nie miał nikt poza nim samym. Przyglądając się z kanapy grze w karty, dwudziestoosmioletni Danco zapewnił kolegów, że czuje się lepiej, niemal jak dawniej. Jego nastrój mógł wzbudzić w niektórych nadzieję, lecz Cook doskonale wiedział, co się dzieje: nieoczekiwana poprawa była jedynie „ciszą przed burzą”. Nie tylko serce młodego

mężczyzny odmawiało posłuszeństwa, ale i nerki przestawały właściwie funkcjonować, o czym świadczyło białko w jego moczu.

Kiedy lekarz powiadomił o tym komendanta, ten poczuł ogromny ból w piersi. „Żaden z moich towarzyszy nie był mi bliższy niż on” – zapisał tego dnia w dzienniku. – „I żaden nie był mi bardziej oddany, jak sądzę”. De Gerlache wiedział, jak bardzo pozostali polubili Danco. To, z jaką werwą marynarz realizował swoje obowiązki, jak odmawiał specjalnego traktowania, a do przyjaciela z czasów młodości zwracał się z szacunkiem *per mon commandant* – scementowało załogę i pomogło wytworzyć coś na kształt ducha wspólnoty, *esprit de corps*. I choć efekty jego pracy naukowej są dość wątpliwe, zaskarbił sobie ogromną sympatię pozostałych, a w wielu wymiarach stał się uosobieniem najwyższych standardów.

Czwartego czerwca Danco był zbyt chory, by przełknąć cokolwiek poza kilkoma kroplami soku z cytryny. W mniemaniu Cooka światło dawało życie, a ciemność je odbierała, dlatego nastawał, by w mesie bezustannie płonęły dwie świece, które, niezamierzenie oczywiście, przedwcześnie przywodziły pogrzebowe skojarzenia. „Mieliśmy smutne wrażenie, że już teraz uczestniczymy w czuwaniu przy ciele zmarłego” – zapisał Lecointe.

Danco wyraził wdzięczność za to, co zrobili dla niego załoganci i jakby nie zauważając ich zatroskanych twarzy i pełnych łez oczu, radośnie rozprawiał o drodze powrotnej. Opowiadał, że wespnie się do bocianiego gniazda, by pierwszy dostrzec ląd. „Czy w tych pięknych wizjach jest szczerą wiara?” – zastanawiał się Lecointe. – „Czy może w taktownym do granic namyśle, wiedziony pięknym charakterem, mówi o tym, by nie wpędzać nas głębiej w smutek i troskę?”.

Agonia Danco rozpoczęła się piątego czerwca i była tak gwałtowna, że Cook musiał podać mu morfinę. Kiedy chory zasnął, lekarz udał się do kabiny de Gerlache’a i drżącym głosem przekazał wiadomość.

- Komendancie, to stanie się dzisiaj.

Wieści błyskawicznie rozeszły się po całym pokładzie. Marynarze rozmawiali ściszymi głosami i starali się chodzić na palcach. Na statku zapadła niemal kościelna cisza.

Danco przebudził się koło południa. Miał płytki, przyspieszony oddech. Nie był w stanie mówić, ale uśmiechał się delikatnie, kiedy ktoś zbliżał się do wezglowia jego kanapy, jakby pocieszał tych, którzy przyszli z pocieszeniem. O piątej Cook podał mu kolejny zastrzyk morfiny. Żeby nie przeszkadzać, oficerowie i naukowcy kolację zjedli w kabinie komendanta, a u boku chorego został jedynie Cook. O siódmej wieczorem lekarz przestąpił próg kabiny de Gerlache'a, by poinformować jego i pozostałych – Lecointe'a, Amundsena, Racovitzę i Arctowskiego – że zbliża się koniec.

Mężczyźni powoli podnieśli się z miejsc i przeszli do mesy, gdzie w milczeniu zebrali się wokół kanapy. Cook poprosił Lecointe'a, który razem z Danco uczył się w akademii wojskowej, by zechciał powiedzieć coś umierającemu przyjacielowi. Zrozpaczony kapitan nie potrafił wydusić słowa. Starając się zapanować nad emocjami, ujął dłoń Danco i milczał. „Co pewien czas otwierał szeroko oczy, a potem powoli je zamykał” – pisał później Lecointe o stanie chorego. – „Z jego piersi dobywał się długi, agonalny świst”.

W końcu Lecointe zaczął mówić. Spokojnym, cichym głosem przywoływał radosne chwile ze wspólnej służby w pułku, darzonym przez umierającego wielkim sentymentem, gdyż po śmierci rodziców traktował go jak swoją rodzinę. „Czułem, dzięki najdelikatniejszym uciśnięciom jego palców, że te wspomnienia wzruszają jego serce” – wspominał później kapitan.

Otoczony przyjaciółmi, Danco z wysiłkiem wypowiedział ostatnie słowa:

- Czuję się lepiej, dziękuję.

A potem, niemal natychmiast, jego twarz zamarła w przerażającym bezruchu, rysy stężały, po raz ostatni opadły powieki.

Nikt nie odrywał od niego oczu, jakby oficerowie i naukowcy bali się, że śmierć nadejdzie, kiedy tylko odwrócą wzrok.

Ledwie de Gerlache odzyskał panowanie nad emocjami, poprosił, by ciało przyjaciela owinąć w belgijską flagę, a następnie poinformować załogę, że mogą przyjść pożegnać zmarłego. Tamtej nocy on, Lecointe i Amundsen na zmianę czuwali w mesie. De Gerlache na swojej warcie nie mógł oderwać wzroku od zarośniętej twarzy przyjaciela, ożywionej migotaniem płomienia pojedynczej świecy.

Czuł w tamtej chwili coś gorszego od wyrzutów sumienia: głęboką, bolesną samotność. Z natury bardzo zamknięty, przez całe życie otworzył się tylko przed kilkoma osobami, spośród których żadnej nie znał równie długo jak Danco. Na pokładzie Belgiki mógł liczyć na lojalność Lecointe'a i serdeczność Cooka i Amundsena, lecz Danco pozostawał przy tym jego najlepszym przyjacielem, kimś, komu mógł zaufać niezależnie od hierarchii. Jego strata sprawiła, że de Gerlache czuł się jeszcze bardziej opuszczony i przybity. Komendant po raz kolejny zaczął dręczyć swoje sumienie. „Czy zrobiłem dość, by zniechęcić go do podróży?” – pytał siebie bezustannie. Cook twierdził, że gdyby Danco pozostał w Belgii, miałby przed sobą rok życia, może trochę więcej, lecz tutaj przynajmniej spełnił swe marzenie o przygodzie. De Gerlache zastanawiał się, czy to prawda.

W mesie oficerskiej panował potworny chłód. By zachować higienę, otwarto światlik w suficie, więc lodowate antarktyczne powietrze błyskawicznie wypełniło pomieszczenie zimnem. De Gerlache obserwował, jak wydech zmienia się w obłok pary. Myślał o pozostałych podkomendnych, którym również nie wiodło się najlepiej. Nie byli chorzy jak Danco, lecz z dnia na dzień czuli się coraz gorzej. Wszystkim im groziło niebezpieczeństwo. Jeśli coś się stanie, kto dostarczy owoce ich poświęcenia do Belgii? Drżał, lecz nie z zimna, a z powodu niepokoju, że mogliby wszyscy zginąć tu marnie. Kierując statek między kry, miał nadzieję, że znalazł rozwiązanie swoich problemów – lecz nie w ten sposób.

Następnego dnia komendant zarządził wolne dla całej załogi z wyjątkiem Knudsen, który miał uszyć worek z płótna żaglowego, by umieścić w nim ciało zmarłego. Zanim marynarz skończył pracę, zwłoki zaczęły się rozkładać. Cook, Amundsen i Lecointe podnieśli Danco z kanapy, by owinąć jego ciało. Van Rysselberghe, dziewiętnastoletni drugi mechanik, nieśmiało wszedł do mesy oficerskiej, niosąc w dłoni bukiet zasuszonych kwiatów. Powiedział, że chwilę przed odbiciem od nabrzeża dostał wiązanekę od matki, która poprosiła, by zachował ją do ich kolejnego spotkania. Młody mężczyzna uznał jednak, że chciałby ofiarować je Danco. Poruszeni jego gestem, oficerowie pozwolili położyć bukiet na piersi zmarłego, zanim zaszyto płócienny worek.

Następnie ciało umieszczono na saniach czekających na lodzie. „Zalił się wprawdzie jeden, co go na pak wynosił, że zbyt cuchnął” – zapisał Dobrowolski. Naukowiec prowadził w tym czasie obserwacje meteorologiczne z pokładu rufowego. Choć była to jedna z najzimniejszych dotychczas nocy, nie czuł chłodu. Cenne polarne wyposażenie należące do Danco zostało tego dnia rozdane załodze, a jemu akurat przypadł anorak. „Zakrywa mi głowę, pierś, brzuch i plecy” – pisał. – „Zrobiony jest z doskonałego gatunku sukna, bardzo grubego i bardzo lekkiego, takiego samego, jakiego używał Nansen”. Na dworze panowała bardzo niska temperatura, więc Dobrowolski nie zwlekał z założeniem ubrania martwego towarzysza.

Zadaniem Dobrowolskiego była obserwacja chmur, lecz tamtej nocy niewiele ich przesuwano się po niebie. Dlatego skupiał się głównie na saniach z ciałem Danco. „Sierp księżyca oświetlał pak lodowy śmiertelną bielą” – pisał w pamiętniku. – „Firmament iskrzył się od gwiazd. Oczy moje przykute były do sanek odbijających ciemno od śniegu. Chciałem coś zobaczyć poprzez ciemny, bezkształtny całun. Co, nie wiem, ale wzroku przez długi czas oderwać nie mogłem. Wreszcie zmęczone spojrzenie samo odpadło od sanek i mimowolnie zwróciło się ku gwiazdom. Uparte sanki przeniosły się jednak razem z nim, białe, jakby oczyszczone z brudów ziemskich, duchowe. Bujały, fruwały między gwiazdami. Wreszcie rozplynęły się w ciemnym firmamencie...

Zwyczajny powidok, rozumie się. Wiedziałem o tym bardzo dobrze, a jednak zjawisko to dziwne na mnie zrobiło wrażenie: nie wiem dlaczego, ale chciało mi się zapomnieć w tej chwili o istnieniu złudzeń optycznych”.

Ciało zmarłego pozostało na zewnątrz do końca nocy. Rankiem było zamarznęte na kość. Tego dnia miał odbyć się pogrzeb. Nigdy wcześniej uroczystość tego typu nie miała miejsca tak daleko na południe. Na wietrze łopotała belgijska flaga przepasana żałobnym kirem. Temperatura spadła do -31 stopni Celsjusza i fały całkowicie zamarły, flagę przytwierdzono więc w połowie wysokości masztu. Marynarze przez kilka godzin walczyli z lodem około stu metrów od statku, usiłując wyciąć otwór, przez który zamierzano oddać ciało zmarłego morzu. Łupali, wiercili i uderzali, lecz praca nie postępowała. Aż nagle, jakby pak kierował się jakąś wewnętrzną inteligencją, niemal pod ich nogami rozsunał się i pojawiła się szczelina. Brama do głębin otworzyła się sama z siebie tam, gdzie była potrzebna.

Około jedenastej rano, przy delikatnie rozświetlonym horyzoncie, co o tej porze roku uchodziło za dzień, czwórka mężczyzn schwyciła liny sań i pociągnęła je w stronę krawędzi lodu, nogami do przodu. Mimo mrozu ubrani w najlepsze rzeczy oficerowie szli szeregiem za saniami, a za nimi kroczyli naukowcy i wreszcie załoga. Wszyscy zdjęli czapki, kiedy na czoło wystąpił de Gerlache, by wygłosić mowę pogrzebową. Komendant miał ściśnięte gardło i nie mógł wykrztusić słowa. Mężczyźni czekali w milczeniu, bez skargi znosząc lodowaty wiatr dmący w ich odkryte uszy. „Dopiero po jakimś czasie” – wspominał Lecointe – „był w stanie ubrać w słowa swój żal, ból i ostatnie pożegnanie”.

Do stóp martwego podróżnika przymocowano obciążniki. Kilku mężczyzn złapało za sanie i zaczęli przechylać je w stronę wody. Niespodziewanie fragment krawędzi ukruszył się pod stopami Julesa Melaerts. Zanim trzeci oficer zdążył zareagować, wpadł do wody. Pozostali natychmiast rzucili mu się na pomoc. Melaerts sapał w szoku i rozpaczliwie machając ramionami, zbliżył się z powrotem do

krawędzi, lewą ręką złapał się sań, prawą wyciągniętego ramienia Dobrowolskiego i wydostał się na brzeg. Woda była tak zimna, jak może być zimna, zanim zamarznie, a jednak miała wyższą temperaturę niż wiatr, który smagał mokrego marynarza. Bez natychmiastowej ewakuacji na pokład Melaerts czekała rychła śmierć. Lecz pogrzeb wciąż trwał.

Mężczyźni ponownie schwycili sanie i przechylili je, a inni zepchnęli do wody obciążniki. Kiedy balast znalazł się pod powierzchnią, pociągnął za sobą ciało Danco. Ledwie zwłoki wpadły do wody, wyprostowały się gwałtownie i przez chwilę unosiły całkowicie pionowo, zwrócone stopami do dołu, jakby opętane przez złego ducha. Towarzysze zmarłego cofnęli się zdjęci strachem na widok ciała zmarłego, które stało na baczność, sztywne stężeniem pośmiertnym i niską temperaturą. Przyglądali się, jak bardzo powoli znika w czarnej otchłani.

- *Nom de Dieu!* - zawołał jeden z belgijskich marynarzy.

Danco zniknął. Lód się zamknął.

## Rozdział 12

### **PARADA OBLĄKAŃCÓW**

ŚMIERĆ DANCO POCIĄGNĘŁA DUSZE PODRÓŻNIKÓW w otchłań rozpaczliwej beznadziei, jakby i one obciążone zostały balastem. Po wieczornej wizycie w forkasztelu Cook przekazał de Gerlache'owi, że morale marynarzy drastycznie się obniżyło i zalecił komendantowi użyczenie im katarynki z kilkoma wałkami hymnów religijnych, by w muzyce i śpiewie mogli szukać pocieszenia. Woląc odwrócić ich uwagę od smutków, niż pomóc im je przeżywać, de Gerlache kazał podać im dodatkową kolejkę grogu.

Noc w noc marynarzy nawiedzały koszmary, w których Danco unosił się nad dnem oceanu; otaczała go kompletna ciemność, a chłód wody przerażająco dokładnie zakonserwował jego zwłoki. „Bezustannie wyobrażamy sobie, w jakim stanie jest nasz zmarły towarzysz” – pisał Cook. – „Widzimy go wyprostowanego, jakby stał, z balastem u stóp, pod zamarznąłą taflą, a być może i bezpośrednio pod statkiem”.

Żałoba mężczyzn potęgowana była strachem, o którego przyczynach nikt głośno nie chciał mówić. „Który będzie następny po Danco?” – zapisał Arctowski w pamiętniku. – „Nie sądzę, bym był jedynym, który zadawał sobie to pytanie, kiedy czuwaliśmy w milczeniu i słuchaliśmy jego gasnącego oddechu”.

Dobrowolski pisał w dzienniku o podobnych obawach: „Do widzenia, do widzenia, poruczniku Danco! Nie tyś pierwszy i nie tyś pewnie ostatni. Może się »spotkamy«! Może nawet jeszcze tej zimy!”<sup>28</sup>.

Ledwie trzy tygodnie zaczekała Antarktyka, by upomnieć się o kolejne życie. Kotka Nansen przez ostatni miesiąc niedomagała. Jej choroba zdawała się odbiciem choroby, która toczyła Danco. Lecz w przeciwieństwie do porucznika, który do ostatniego tchu zachował



godność, wewnętrzny spokój i opanowanie, u Nansen pojawiały się coraz silniejsze objawy problemów psychicznych. Niegdyś słodka i przyjazna, szybko stała się agresywna, posępna i niechętna jakimkolwiek kontaktom z podróżnikami. „Jego umysł przestał działać jak wcześniej, a ze zmiany nastawienia możemy wywieść, że jego dusza też nie jest już taka sama” – zapisał Cook pod datą dwudziestego szóstego czerwca. „Dzień czy dwa temu życie z niego uszło, miejmy nadzieję, że w jakieś przyjaźniejsze rejony. Cieszymy się, że nie cierpi dłużej, ale bardzo tęsknimy za naszym Nansenem”. Śmierć pupilki bardzo mocno dotknęła załogę i to nie tylko dlatego, że, według słów Cooka, Nansen była „jedynym okruszkiem życia pełnego uczuć w naszym zasięgu”.

Pogarszający się stan psychiczny kotki był preludium do prawdziwej fali zaburzeń funkcji poznawczych, które dotykały członków wyprawy i pogłębiały się wraz z trwaniem zimy, a przez Cooka określone były jako „objawy mózgowie”. On sam i jego współtowarzysze uskarżali się na apatię, brak motywacji oraz niemożność skupienia się na wykonywanej czynności przez dłużej niż kilka sekund. Niektórzy przejawiali agresję, choć, w przeciwieństwie do Nansen, w większości przypadków udawało im się zachować cywilizowane standardy. Problemy te dotykały wszystkich bez wyjątku, choć z różnym natężeniem. Arctowski w swoim pamiętniku opisuje dręczący go wewnętrzny niepokój: „Tak, zachowuję opanowanie, lecz tylko na zewnątrz, bowiem w mojej głowie szaleje niepewność i stres. Obawiam się przyszłości”.

Połączenie strachu i wyczerpania, dezorientacji, ciemności, samotności i izolacji, obawy, że statek w każdej chwili może paść ofiarą nacierającego lodu, a zdający się wypaczać rzeczywistość, przechylony po majowym ataku pokład już się nie wyprostuje, a do tego plaga szczurów oraz szerzące się pod pokładem choroby – wszystko to razem wywoływało w uczestnikach wyprawy wrażenie, że osuwają się w odmęty szaleństwa.

Każdy robił, co tylko mógł, by ukryć przed innymi wewnętrzne cierpienia, by z jednej strony nie narazić się na ostracyzm, a z drugiej nie wywoływać paniki. Mimo to niektórzy nie radzili sobie z napięciem. Pewnego wieczoru na początku lipca Amundsen przebywał w swojej kabinie i oddawał się lekturze, kiedy „nagle usłyszał trzy albo cztery przeciągłe, paniczne wrzaski”. Otworzył drzwi na korytarz i niemal wpadł na Cooka. Lekarz i marynarz Johan Koren również usłyszeli wołanie. We trójkę ruszyli na pokład rufowy, szukając źródła niepokojących dźwięków. Nikogo tam jednak nie zastali. „Nie mieliśmy czego tam szukać” – pisał dalej Amundsen. – „Następnie udaliśmy się do maszynowni, lecz ona również była pusta. Wszyscy przebywali w swoich kabinach. Komendant, który akurat przechadzał się po głównym pokładzie, niczego nie słyszał. Lecointe i Racovitza wcześniej zeszli na lód i również ich uwagi nie zwróciły żadne niepokojące dźwięki. Arctowski spał. Jedynymi, którzyśmy słyszeli to przeraźliwe wołanie, byli Cook, Koren i ja. Nie wiem, skąd ten dźwięk pochodził, jednak z wielu powodów uważam za słuszne szczegółowo opisać tamto zdarzenie”.

Nigdy nie udało się ustalić źródła przeraźliwych krzyków. Możliwe, że były one wyrazem stresu dzielonego przez wszystkich na pokładzie. W czasie długiej polarnej nocy nie dało się uciec przed ponurymi, pesymistycznymi myślami. „Morderstwo, samobójstwo, śmierć głodowa, obłąd, śmierć z wychłodzenia i inne podszepty złego regularnie nawiedzały nasze głowy” – zauważył Cook.

Arctowski użył znacznie krótszego porównania: „Jesteśmy w domu wariatów”.

De Gerlache'owi nie dawała spokoju myśl, że cierpienie wszystkich dookoła i trapiące jego samego męki są pokłosiem jego własnej decyzji, by tuż przed końcem lata wpłynąć Belgicą głęboko w pak lodowy. Była to chwila zwątpienia we własne siły i zasadność podjętych kroków, do czego, w normalnych warunkach, przyznałby się jedynie najwierniejszemu przyjacielowi. Jednak od śmierci Danco de Gerlache

nie miał nikogo, komu mógłby się zwierzyć. Prawdopodobnie z tego powodu, pewnego lipcowego wieczoru, w czasie rozmowy z Amundsenem w mesie, nie mogąc już dłużej tłamsić tego w sobie, zdecydował się na znaczącą uwagę.

„Jako Belg, musiałem dotrzeć dalej na południe parowcem, jakim jest Belgica, niż [kapitan James] Cook jedynie o żaglach” – oznajmił de Gerlache sam z siebie. – „Jest mi niewymownie przykro, że w rezultacie utknęliśmy tutaj, że Danco nie żyje i że wszystkich toczy choroba, ale nie miałem wyboru. Owszem, faktem jest, że moi oficerowie, panowie Lecointe i Danco, argumentowali, że lato ma się już ku końcowi, ale, jak już wspominałem, nie miałem wyboru”.

Amundsena zaskoczyła niespodziewana szczerłość komendanta. „Nie potrafię zrozumieć, dlaczego wyznał mi to wszystko, tym bardziej że nie zadawałem pytań, na które mógłby w ten sposób odpowiedzieć” – zapisał Amundsen tego wieczoru w dzienniku. – „Pozwolę sobie pominąć milczeniem, jakie mam na ten temat zdanie”.

Aż do wspomnianej rozmowy pierwszy oficer bardzo szanował komendanta, zarówno w kontekście jego marynarskiej wiedzy, jak i zdolności przywódczych. Najbardziej zaskoczyło go jednak to, że de Gerlache przyznał się bardzo wyraźnie do wprowadzenia statku między kry umyślnie, kierując się jasnym celem pobicia rekordu. Amundsen już wcześniej to podejrzewał, lecz przecucie to sprawiało, że z jeszcze większym szacunkiem spoglądał na odwagę komendanta. Teraz jednak, gdy de Gerlache wyraźnie szukał usprawiedliwienia dla swojej decyzji i sprawiał wrażenie, że bardzo jej żałuje, Amundsen poczuł zawód. Jeśli de Gerlache nie był gotów dźwigać na swoich barkach brzemienia dramatycznych konsekwencji, to po co w ogóle wpływał w lody Antarktyki? Młody Norweg nosił w sobie przekonanie, że zadaniem komendanta jest podtrzymywanie ducha i determinacji w podwładnych. Przeprowadzona rozmowa okazała się później punktem zwrotnym w nastawieniu pierwszego oficera względem komendanta. Od tego czasu, kiedy pisał o de Gerlache’u, robił to głównie krytycznie.

Pamiętnik Amundsena z tamtego okresu to trzeźwy i świadomy opis szaleństwa, które toczyło wszystkich dookoła - zupełnie jakby Norweg znalazł się w oku cyklonu i relacjonował z jego wnętrza. Mimo że czuł się równie chory i fizycznie osłabiony jak pozostali, a jego puls wykazywał równie niepokojące skoki, nie tracił przez to zdolności do rzeczowego i logicznego myślenia. Można uznać, że czuł się tam doskonale.

„Będę, oczywiście, bardzo szczęśliwy, kiedy [słońce] powróci, lecz gwoli uczciwości muszę przyznać, że przez cały czas czułem się dobrze i nie brakowało mi niczego, wręcz przeciwnie!” - pisał w dzienniku. - „Tak wygląda życie, o którym zawsze marzyłem. Nie przez dziecięcy kaprys go zapragnąłem, o nie. To była świadoma decyzja. Nie żałuję tego i żywię nadzieję na zachowanie sił i zdrowia, by ukończyć pracę, którą rozpocząłem”.

Amundsen marzył o światowej sławie polarnego odkrywcy kroczącego ścieżką Nansena, więc wyprawę Belgiki traktował jako przygotowanie i trening. Im bardziej wymagające warunki, tym większe miał poczucie, że się rozwija. Doświadczane problemy podróży polarnej dawały mu poczucie sensu, mimo że te same warunki wpędzały naukowców i marynarzy w obłąd swoją monotonią i beczynnością. Celem było przetrwanie. Czuł, że mógłby to być jego sposób na życie.

Bardzo podobny mechanizm sprawiał, że obowiązki lekarza wyprawy ułatwiały Cookowi zachowanie zdrowego rozsądku i opanowania, choć z każdym dniem rosła jego troska o stan psychiczny towarzyszy i coraz bardziej dręczyła niepewność, jak im pomóc. Wcielając się w medycznego detektywa, poświęcał cały wolny czas na ustalanie przyczyn ogólnego marazmu i problemów dotyczących niemal wszystkich na pokładzie w czasie trwania polarnej nocy. Zaobserwowany zespół objawów nazwał z początku „polarną anemią”. Podobnej, acz daleko łagodniejszej formy tej choroby doświadczył w trakcie zimowego pobytu na Grenlandii, kiedy on i pozostali członkowie wyprawy Peary’ego stali się markotni i apatyczni. Jednak nie doświadczali wówczas tak drastycznych zmian pulsu, nie byli tak

bladzi i tak osłabieni. Na dodatek nie pamiętał, by ktokolwiek uskarżał się na zaburzenia dotyczące załogę Belgiki, tak chorobliwe rozkojarzenie, zagubienie, dezorientację, tendencję do wpatrywania się gdzieś w dal bez reagowania na jakiegokolwiek bodźce.

Cook podejrzewał, że jedną z przyczyn tego stanu był stres wywołany osamotnieniem, uwięzieniem, nudą i strachem, jednak, jego zdaniem, co innego w największym stopniu przyczyniało się do pojawienia się tych dolegliwości, a mianowicie brak słońca. „Och, ta niebiańska kula ognia!” – pisał Cook. – „I nie chodzi jedynie o ciepło – ludzki organizm radzi sobie z temperaturą – lecz o światło właśnie, o nadzieję na życie!”. Przy jego braku, jak wynikało z prowadzonych przez niego obserwacji, ludzie bledli, a nienaturalnie posiwiałe włosy rosły znacznie szybciej niż normalnie, zupełnie „jak rośliny w szklarni”. Cook był przekonany, że ludzie są nie mniej zależni od słońca niż organizmy prowadzące fotosyntezę. Wiara ta brała się z obserwacji, które poczynił w trakcie pobytu na Grenlandii, gdzie spędził zimę na przełomie 1891 i 1892 roku. „W toku długiej arktycznej nocy ludzie usychają, tracą chęć do działania i w efekcie dochodzi do znaczącej atrofii mięśni” – pisał wcześniej w nowojorskim przeglądzie ginekologicznym „The New York Journal of Gynaecology and Obstetrics” w 1894 roku. „Wnioski nasuwają się same: dostęp do światła słonecznego jest koniecznością zarówno w przypadku istot żyjących, jak i roślin”.

Wiara Cooka w życiodajne właściwości słonecznego światła mogła wynikać również z jego zrozumienia – lub też błędnej interpretacji – inuickich wierzeń. W czasie jednej z przechadzek z Sipsu w 1892 roku, kiedy noc rozświetlały tańczące zorze polarne, członek inuickiej starszyny powiedział mu: „Każde życie ma w sobie światło – ciało i duch. Widzisz je? Czujesz życie, ale czy potrafisz dostrzec światło zgromadzone w twoim ciele?”. Zakładając, że znajomość języka była u Cooka wystarczająca, by pojąć tak subtelną myśl (mało prawdopodobne), i że pamięć nie zawiodła go, gdy przywoływał to wspomnienie, wiemy, że Sipsu nie tłumaczył mu żadnego

rozpowszechnionego dogmatu inuickiej duchowości. Ale być może starał się ubrać któryś z animistycznych konceptów w słowa zrozumiałe dla przybysza, tłumacząc go jako „światło”. Niewykluczone również, że pozwolił sobie na luźne filozofowanie w czasie spaceru z nowym przyjacielem. Cook wyniósł z tej rozmowy przekonanie – niezależnie od tego, czy dobrze zrozumiał słowa i myśl Sipsu, czy nie – że światło jest równie nieodzowne dla życia jak krew. Stan podróżników na pokładzie Belgiki zdawał się potwierdzać to stanowisko. Ich osłabienie, problemy mentalne i ogólną apatię w połączeniu z nieregularną pracą serca w odbiorze lekarza porównać było można do stanu rośliny pozbawionej dostępu do słonecznego światła.

Cook zdawał sobie sprawę, że jeśli nie podejmie żadnych kroków, ludzie zaczną umierać. A ponieważ nie mógł przemieścić Belgiki do światła, postanowił sprowadzić światło na Belgicę. Najciężej dotkniętym marynarzom zalecił ustawienie się nago przed rozpalonym piecem na drewno lub węgiel, co wydawało mu się „najlepszym dostępnym substytutem słońca”. To „wyprażanie” – jak sam nazwał swoją terapię, zdawało się przynosić dobre efekty w kwestii poprawy nastroju, a nawet zniwelowania niektórych fizycznych symptomów choroby. „Kazałem się rozbierać i wystawiać na działanie ciepła mężczyznom, u których puls był prawie niewyczuwalny, a już po niecałej godzinie ich serca pracowały niemalże normalnie” – notował Cook. Największą zaletą tej terapii, w ocenie lekarza, nie było działanie ciepła, a światła właśnie. „Lampa naftowa nie pozwoli osiągnąć takiego efektu”.

Działanie Cooka jest pierwszym znanym zastosowaniem terapii światłem, praktykowanej na co dzień w leczeniu sezonowych zaburzeń afektywnych i innych chorób. Intuicja go nie myliła, przynajmniej nie w kwestii wpływu światła na zdrowie psychiczne ludzi, nawet jeśli płomień palącego się drewna czy węgla – a były to jedyne paliwa dostępne na Belgice, nawet nie zbliżały się jasnością do źródeł światła o pełnym spektrum, jakie wykorzystuje się we współczesnej terapii. Istnieje małe prawdopodobieństwo, by można było działaniu samego

światła przypisać wszystkie pozytywne skutki „wyprażania”. Równie ważne były zapewne pozostałe czynniki, w tym ulga, jaką odczuwali marynarze w pobliżu ciepła i suchości otwartego ognia. Być może najważniejszym był fakt, że ktoś się nimi zajmował. Cook cieszył się dobroczynnym wpływem na niemal każdego, z kim miał do czynienia.

Niezależnie jednak od tego, jak dobre wyniki, nawet jeśli chwilowe, przynosiło wyprażanie załogi, zabieg ordynowany przez Cooka nie był wystarczająco skuteczny, by odwrócić szkody wyrządzone podróżnikom przez antarktyczną noc. Nie pomógł też rozwiązać zagadki, co im właściwie dolega. W połowie lipca blisko połowa załogantów nie podnosiła się już z łóżek, przejawiając bardzo zaawansowane objawy degeneracji fizycznej i umysłowej. Lekarz za wszelką ceną próbował zachęcić ich do aktywności. W tym celu zaordynował wszystkim, którzy byli w stanie utrzymać się na nogach, codzienne godzinne spacerunki wokół statku - zabieg ochrzczony szybko „paradą obłąkańców”. W czasie tych ciągnących się bez końca kółek „ludzie, nawet o tym nie wiedząc, odmrażali sobie różne części twarzy, dłonie i palce u stóp” - zapisywał Cook swoje obserwacje. Początkowo przypisywał podatność na takie uszkodzenia ciała „osłabionemu krążeniu”, lecz w jego głowie powoli rodziło się podejrzenie znacznie poważniejszej przyczyny.

Jeszcze raz przeanalizował rosnącą wciąż listę objawów, na które uskarżali się wszyscy podróżnicy, takich jak senność, apatia, osłabienie, anemia, nienaturalnie blada i woskowata skóra oraz „wysięki podskórne” - skutkujące opuchlizną gromadzeniem się płynu w okolicach oczu, kostek u nóg i w innych częściach ciała.

Cook w końcu rozpoznał w nich jednoznaczne symptomy choroby, której nazwa budziła strach w sercu każdego marynarza: lekarz przeżył szok, bo zorientował się, że Belgica znalazła się w szponach skorbutu.

Pod sam koniec dziewiętnastego wieku panowało powszechne przekonanie, jakoby skorbut w zdecydowanej mierze należał już do przeszłości. Szacuje się dzisiaj, że choroba ta odpowiada za śmierć ponad dwóch milionów marynarzy w czasie między wyprawą Kolumba a dziewiętnastym wiekiem, co w erze żaglowców czyni z niej

najpowszechniejszą przyczynę śmierci na morzu. Szkorbut stał się tolerowanym kosztem transoceanicznej wymiany handlowej, zmuszając marynarki wojenne i floty handlowe różnych państw do zatrudniania na długie trasy i wyprawy – często przemocą – większej liczby marynarzy, niż było to konieczne. Zakładano mianowicie, że znaczna część obsady statków i tak umrze na szkorbut.

Pierwsze symptomy choroby pojawiały się zazwyczaj kilka miesięcy po opuszczeniu portu. Należały do nich ospałość, obrzęki (które Cook określił „wysiękami podskórnymi”), brzydki zapach z ust oraz pergaminowa skóra, która z czasem pokrywała się pęknięciami i otarciami. Przez kolejnych kilka tygodni choroba stawała się coraz bardziej bolesna, prowadząc do gnicia dziąseł, wypadania zębów, pojawiania się gangren i martwicy tkanek kończyn, dawno zagojone rany otwierały się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a na koniec przychodziła śmierć, zazwyczaj litościwa, bo najczęściej w wyniku ataku serca lub wylewu krwi do mózgu, kiedy naczynia krwionośne po prostu się rozpuszczały. Szkorbut był okrutną i nieubłaganą chorobą, która bez leczenia zawsze kończyła się zgonem.

„Są tysiące leków na szkorbut” – pisał Cook – „co samo w sobie unaocznia, jak bardzo niezrozumiana jest to choroba”. Początkowe badania nad szkorbutem zaowocowały większą liczbą najbardziej wymyślnych teorii na temat jej przyczyn, a zaproponowane leczenie często przynosiło więcej szkód niż pożytku. Wynikało to z faktu, że ówczesna medycyna była hybrydą nowoczesnego empiryzmu i dawnego znachorstwa. Wielu medyków, mylnie biorąc początkowe symptomy szkorbutu – senność i apatię – za przyczynę choroby, wywiodło z tego wnioski, że dotyczy ona leni i nierobów. By z nią walczyć, zwiększali obciążenie dotkniętych nią marynarzy, jeszcze mocniej ich osłabiając i przyspieszając postępy choroby. Inni głosili pogląd, jakoby szkorbut był chorobą zepsucia i zgnilizny, które panowały w wilgotnych, dusznych, obskurnych i nękanym plagami gryzoni kwaterach pod pokładem. (Warunki takie stanowiły świetne środowisko do rozwoju wielu dolegliwości, takich między innymi jak żółta febra czy malaria,



jednak skorbut do nich nie należał. Nie wybierał: dotykał wszystkich, bez względu na to, czy byli to oficerowie w czystych i przestronnych kabinach, czy majtkowie śpiący pokotem na podłodze ładowni – pod warunkiem, że wszyscy jedli to samo, co w ówczesnej rzeczywistości nieczęsto miało miejsce). Obowiązująca teoria medyczna czerpała z tradycji antyku i głosiła, jakoby skorbut, jak i wszystkie choroby, miał swoje źródło w zachwianiu równowagi między czterema płynami ciała (humorami) – krwią, żółcią, flegmą i czarną żółcią, a co za tym idzie, przywrócenie właściwego balansu mogło je wyleczyć. Stąd lekarze regularnie przepisywali chorym marynarzom upuszczanie krwi, które w najlepszym wypadku w niczym nie pomagało.

Z czasem pojawili się dociekliwi lekarze, którzy zwrócili uwagę na fakt, że skorbut pojawia się dopiero po wyczerpaniu zapasów świeżych owoców, warzyw, mięsa i kiszonej kapusty. Zaczęli więc podejrzewać, że jedną z przyczyn jego występowania może być niewłaściwe odżywianie. Ustalenie tego, co może być najskuteczniejszym panaceum, okazało się bardzo trudne – aż do 1747 roku, kiedy to James Lind, młody chirurg służący w brytyjskiej marynarce, przeprowadził jedno z pierwszych w historii kontrolowanych badań klinicznych, w wyniku którego ustalił, że skorbutowi w bardzo dużym stopniu zapobiegają pomarańcze i cytryny.

Potrzeba było jeszcze niemal pół wieku, by konserwatywna brytyjska admiralicja zaakceptowała wyniki badań Lindy i zaczęła stosować je w praktyce. W roku 1795, rok po śmierci odkrywcy, rozpoczęło się codzienne fasowanie porcji soku z cytryn dla wszystkich marynarzy. Zachorowalność na skorbut drastycznie spadła. Jednak kilka dekad później tamtejsza marynarka wojenna, szukając oszczędności, zmieniła sok z śródziemnomorskich cytryn na znacznie tańszy sok z limonek pochodzących z brytyjskich Indii Zachodnich. Limonkom daleko było do skuteczności cytryn w walce ze skorbutem, a na dodatek sposoby przedłużenia czasu, w jakim sok z tych owoców nadawał się do spożycia – głównie przez redukcję do koncentratu – skutkowały dalszym dramatycznym obniżeniem jego skuteczności leczniczej.

W drugiej połowie dziewiętnastego wieku zachorowalność na szkorbut ponownie zaczęła rosnać. Wszystko zmieniło upowszechnienie się silnika parowego do napędzania statków, przez co bardzo skrócił się czas podróży i znacznie mniej marynarzy pozostawało na morzu dość długo, by szkorbut zdążył się rozwinąć. Uspokojona tym brytyjska Royal Navy – i wszystkie inne marynarki czerpiące z jej doświadczeń – miały się wiarą w dużą skuteczność soku z limonek. Okupionemu ogromnymi kosztami odkryciu znów groziło popadnięcie w zapomnienie.

Zapasy soku z limonek na pokładzie Belgiki ewidentnie nie spełniały pokładanych w nich oczekiwań. Cook znalazł się w równie trudnym położeniu, co pierwsi lekarze podejmujący nierówną walkę ze szkorbutem. Jego jedyną przewagą była zdobyta dzięki Lindowi wiedza, że występowanie tej choroby ściśle wiąże się z odżywianiem. Bez dostępu do sprawdzonych panaceów, jak świeże owoce cytrusowe czy kiszona kapusta, a także bez kontaktu z autochtonami, którzy mogliby wskazać mu rośliny o działaniu przeciwszkorbutowym (jak Irokezi doradzili Jacques'owi Cartierowi w szesnastym wieku w Ameryce Północnej), czy wreszcie bez możliwości znalezienia jakichkolwiek lokalnie występujących roślin, Cook musiał improwizować.

Mimo że Antarktyda nie była zamieszkana, rozumował Cook, warunki na niej nie mogły różnić się diametralnie od tych panujących w Arktyce. Spędzając zimę przełomu lat 1891-1892 wśród Inuitów na Grenlandii Północnej, lekarz nie zauważył, by miejscowi przejawiali jakiegokolwiek symptomy szkorbutu. I jeśli Arktyka była w stanie podtrzymać ludzkie życie mimo braku roślinności, na Antarktyce musiało być podobnie. Cook przeczuwał, że inuicka dieta, składająca się niemal w całości ze świeżego (lub wcześniej zamrożonego i rozmrożonego) mięsa i tłuszczu, często spożywanych na surowo, wystarczyła do zapobieżenia szkorbutowi, nawet jeśli prowadziła do występowania innych problemów zdrowotnych.

Nie wspominając nawet jednym słowem, jaką chorobę zamierza leczyć, lekarz nakazał wszystkim codziennie spożywanie porcji świeżego

mięsa, głównie z pingwina, a czasem też z fok. Naśladując inuicką tradycję kulinarną, Cook zalecił, by steki z pingwina były surowe na tyle, na ile pozwolą na to żołądki. Swoją porcję spożywał ledwie przysmażoną. Amundsen, który z początkiem lipca zaczął podupadać na zdrowiu, tak bardzo cenił zdanie lekarza, że zrezygnował z jakiegokolwiek obróbki termicznej posiłków i zjadał mięso zupełnie surowe, często nie czekając na czas posiłku. Co znaczące, wystarczyło kilka dni diety składającej się z surowych steków o konsystencji tłustego, świeżego mięsa z kurczaka, by Norweg niemal całkowicie powrócił do zdrowia.

Cook nie potrafił wyjaśnić skuteczności działania surowego mięsa w diecie marynarzy, lecz Bogiem a prawdą, na wyjaśnienie tego mechanizmu trzeba było czekać jeszcze cztery dekady. Witamina C, znana również jako kwas askorbinowy, jest niezbędna dla budowy kolagenu, białka będącego kluczowym składnikiem tkanki łącznej, spajającej w zasadzie całe ciało. Kolagen znajduje się wszędzie, począwszy od kości, przez ścięgna, aż do skóry. Bez niego ciało by się rozpadło – i to właśnie zaczynało się dzieć z ciałami podróżników na pokładzie Belgiki. Od stycznia, kiedy opuścili Ziemię Ognistą, nie przyjmowali w zasadzie w ogóle witaminy C. Świeże owoce, jakie mogli zakupić w Ameryce Południowej, przed zimą albo by się skończyły, albo zepsuły, a kwas askorbinowy w soku z limonek, który de Gerlache nabył w Europie, utlenił się w całości w procesie butelkowania. Nie trzeba nawet wspominać, że będące podstawą diety podróżników konserwy nie zawierały ani odrobiny witaminy C.

Dopiero lata później nauka potrafiła wyjaśnić, jaki mechanizm sprawiał, że Inuici nie chorowali na szkorbut, mimo niemal całkowitego braku warzyw i owoców w diecie. Okazuje się, że różnorodność pożywienia nie jest tak ważna, jak różnorodność zawartych w jedzeniu substancji odżywczych, a tłuszcz z karibu, mięso z ryb, morsów, pingwinów i innych zwierząt spożywanych przez te ludy zawierało dawkę witaminy C w całości pokrywającą zapotrzebowanie organizmu. To samo dotyczy pingwiniego mięsa po drugiej stronie kuli ziemskiej.

Dzieje się tak, gdyż większość zwierząt – z wyjątkiem kawii domowych, ludzi i kilku gatunków przedstawicieli wyższych naczelnych – jest zdolna do syntetyzowania własnej witaminy C. W ten sposób niemal każde mięso miałyby działanie przeciwskorbutowe, pod warunkiem, że byłoby ono spożywane w wystarczającej ilości i bez znaczącej obróbki termicznej, gdyż wysoka temperatura uszkadza kwas askorbinowy. Spostrzeżenia Cooka w pewien sposób wspomógł fakt, że mrożone pingwinie i focze mięso, gromadzone przez członków wyprawy jesienią, było jedynym niewykorzystanym źródłem świeżej żywności, do którego mieli dostęp na lodowym paku – poza szczurzym mięsem (które, jak dziś już wiemy, okazałoby się równie skuteczne w walce ze skorbutem) oraz ludzkim (które byłoby zupełnie nieskuteczne)<sup>29</sup>.

Ratowanie i leczenie ludzi na Belgice miało się okazać zadaniem trudniejszym, niż Cook przypuszczał. Mimo błyskawicznej poprawy stanu Amundsena większość członków załogi i oficerów nie była skora, by stosować zalecenia lekarza, tłumacząc swój opór obrzydzeniem smakiem, zapachem i konsystencją pingwiniego mięsa. Ich niechęć dodatkowo podsycał de Gerlache, który zdecydowanie odmówił stosowania nowej diety. I nawet kiedy Cook przedstawił komendantowi swoje argumenty i podkreślił znaczenie nowych wskazań żywieniowych, de Gerlache pozostał nieugięty.

- Brytyjska marynarka wojenna od przeszło pięćdziesięciu lat korzysta z soku z limonki przeciwko skorbutowi – wysapał Belg. – Jeśli u nich się sprawdza, u nas też musi.

Cook odparł z reflekssem, że „butelkowany sok limonkowy, podobnie jak konserwowe jedzenie, tracą swoje walory odżywcze w trakcie procesu konserwacji”. De Gerlache’a i to nie przekonało.

Komendant swój upór w tej kwestii argumentował wstrętem do pingwiniego mięsa, lecz wiele wskazuje na to, że nie był przekonany co do słuszności zaleceń Cooka. Gdyby mocno wierzył, że od podporządkowania się im zależy nie tylko jego życie, ale i powodzenie całej wyprawy, z pewnością potrafiłby powstrzymać odruch wymiotny. Trwał jednak niewzruszenie w abstynencji od antarktycznego

pożywienia, jakby kierowała nim potrzeba trzymania się z pozoru bardziej cywilizowanego menu pochodzącego z ładowni Belgiki. Być może czuł, że mecenasom wyprawy winien jest spożywanie zapasów zakupionych z ich środków. Od kiedy oficerowie i załoga zaczęli uskarżać się na jakość posiłków, de Gerlache uznał, że musi bronić pokładowego menu. Zalecenie Cooka, nakazujące wszystkim spożywanie pogardzanego dotychczas foczego i pingwiniego mięsa, de Gerlache potraktował jako obrazę. „Dla niego był to policzek, gdyż doszukiwał się w tym potępienia dla decyzji, którymi kierował się przy wyborze prowiantu” – zanotował Cook.

„Argument o szkodliwości zamkniętych w puszkach posiłków tak bardzo działał komendantowi na nerwy, że ilekroć ktoś go podnosił, de Gerlache złościł się przez kilka kolejnych dni, więc na jakiś czas zaprzestaliśmy starań, by go przekonać do swoich racji” – ciągnął Cook. Mimo to, wraz z Amundsenem zatroszczyli się, by „pod ręką mieć spory zapas foczych połówkowiczek i filetów z pingwinich piersi, gdyby objawiła się gwałtowna potrzeba. A ta nadeszła prędko”.

Jedzenie samo stało się dowodem swojej skuteczności. Ci, którzy posłuchali Cooka i codziennie spożywali mięso z pingwina, szybko zauważyli poprawę stanu zdrowia. Ci zaś, którzy poszli za przykładem komendanta, cierpieli doświadczani coraz dramatyczniejszymi objawami szkorbutu, który, nieleczone, nieuchronnie prowadził do śmierci. Jedyną zagadką było pytanie, kogo zabierze pierwszego.

Nastawienie Cooka do badań naukowych stało w jaskrawej sprzeczności z podejściem uczestniczących w wyprawie naukowców. Arctowski, Racovitza, Dobrowolski i Lecointe byli empirykami i wyciągali wnioski z metodycznych obserwacji, lekarz przedkładał intuicję nad weryfikowalne dane, przy czym wyjątkowo pociągała go mądrość „prymitywnych” ludów. Wierzył bowiem, że zawiera ona prawdy niedostępne dla zachodniej nauki. W przekonaniu tym ugruntowała go dodatkowo skuteczność diety przeciwskorbutowej zainspirowanej doświadczeniami zebranymi wśród Inuitów. „Eskimosi

podważyli całe moje wyobrażenie o cudowności cywilizacyjnych odkryć” - pisał. - „Musiałem oduczyć się niezachwianej wiary i zaufania do tego, co w naszych szkołach przedstawiane jest jako niepodważalna wiedza”.

Niezależnie od tego, jak bardzo cenił burzliwe dyskusje w miesie z innymi naukowcami - prowadzone w nieunormowanej niczym mieszaniu języków i będące źródłem regularnej rozrywki dla ich świadków - to w Amundsenie Cook znalazł odbiorcę znacznie wdzięczniejszego i bardziej skorego do słuchania jego niekonwencjonalnych pomysłów. „Bezwarunkowo mu wierzę, jest bowiem bardzo doświadczonym odkrywcą polarnym” - zapisał pierwszy oficer w pamiętniku. - „Dzięki kontaktom z Eskimosami z Grenlandii Północnej oraz starannemu badaniu wszystkiego, co wiąże się z polarnym życiem, ma znacznie głębszą wiedzę na te tematy niż inni. W połączeniu z faktem, że jest bardzo kompetentnym lekarzem, specjalizującym się we wszystkich dolegliwościach występujących w warunkach polarnych po obu stronach globu, jestem przekonany, że takiego człowieka nie da się po prostu przecenić”. Amundsen bez sprzeciwu poddawał się zabiegowi wyprażania i bez szemrania pałaszował pingwinie mięso, przypisując obu zaleceniom swój szybki powrót do zdrowia. W jego odczuciu doktor Cook nie mógł się mylić.

Cook natomiast widział w Amundsenie kogoś, kto granice swoich możliwości postrzegał równie szeroko jak on swoje. Obaj pielęgnowali w sobie ambicję sięgnięcia po polarną chwałę wykraczającą daleko poza splendor uczestnictwa w wyprawie Belgiki. (Cook skupiał się głównie na biegunie południowym; Amundsen za to marzył o palmie pierwszeństwa w pokonaniu Przejścia Północno-Zachodniego, co nie udało się nawet jego idolowi z czasów młodości, Johnowi Franklinowi). W najmroczniejszych dniach wyprawy obaj stali się nierozłączni, nawiązując coś, co Cook określił jako „współpracę... spółkę mającą na celu stworzenie doskonalszego wyposażenia dla podróżników”, w tym anoraków, butów z pingwinich skór, sań oraz namiotu, którego rozstawienie zajmowałoby najwyżej kilka minut i to nawet przy

największych wichurach. Testowali i udoskonalali projekty innych polarników, takie jak kurtki z wilczego futra uszyte zgodnie z wytycznymi Nansena. I rzeczywiście, tak przygotowane okrycie było cieplejsze niż cokolwiek, co Cook miał wcześniej okazję nosić, lecz kiedy wracali razem z niedługiej wycieczki na nartach, cali ociekali potem. Lekarz uznał, że największą wadą tego projektu jest brak wentylacji - potencjalnie śmiertelny błąd, biorąc pod uwagę polarny klimat, gdzie pot błyskawicznie zamarza. Zasugerował więc poprawki zgodne z inuickim sposobem szycia okryć. „Uznawszy projekt Nansena za niewłaściwy” - zapisał w dzienniku - „dokonaliśmy ulepszeń, skracając kurtki i upodabniając je tak bardzo, jak się tylko dało, do odzienia autochtonicznej ludności Arktyki”.

Cook i Amundsen większość wolnego czasu spędzali zatopieni w rozmowach i dywagacjach, czy to pracując ramię w ramię nad nowymi projektami, czy też jeżdżąc na nartach po lodowym paku. Amundsen zasypywał Cooka pytaniami i chłonał każde jego słowo, jakby było święte. Cook natomiast uważał Norwega za „najbardziej interesującego i najbardziej zainteresowanego” z ludzi, jakich dane było mu poznać. „Z natury nie był wylewny, lecz dociekliwy i przyjazny we wszystkim, co robił. Jego otwartość mogłaby dać się poskromić przez naszą izolację... ale nie, snuliśmy plany, jak urządzić świat na nowo - dla dobra przyszłych pokoleń. Żaden pomysł nie był zbyt szalony i żadne pragnienie zbyt małe, by nie poświęcić mu uwagi”.

Natura pragmatycznego biznesmena u Cooka - dzięki której jako dwudziestolatek opanował większość rynku mleczarskiego na Brooklynie - pozwalała mu dostrzegać możliwości na pustkowiach odległego kontynentu. Obmyślał biznesplany, które zaskarbiłyby mu dumę Andrew Carnegiego, mecenasa, u którego szukał wsparcia: budowę przystani wielorybniczych, portów rybackich i fabryk konserw na Szetlandach Południowych czy powrót do boomu futrzarskiego w regionie<sup>30</sup>. Jego marzycielska strona snuła znacznie mniej praktyczne plany, takie jak pozyskanie pingwiniego guana z całego

kontynentu, by wykorzystać je do nawożenia upraw na świecie i zlikwidować w ten sposób głód.

Wspólnie ukute plany miały jeszcze większy rozmach niż te wymyślane przez samego lekarza. Mając w pamięci owce wypasane na niegdyś zupełnie dzikich równinach Patagonii – nie wspominając nawet o fortunach gromadzonych przez ranczerów – zastanawiali się we dwóch, jakie jeszcze niedostatecznie wykorzystane regiony świata dałoby się z porównywalnym sukcesem przekształcić. „Uznaliśmy, że to, co dla jednego pokolenia jest pustynią, dla kolejnego może być spichrzem. Dlaczego więc nie obsadzić Sahary? Dlaczego nie uczynić afrykańskich piasków nowym imperium dobrobytu?”.

Kolejnym z ich szalonych pomysłów była pełna reorganizacja życia na Ziemi. Cook nazwał tę ideę „nową arką”. Projekt miał polegać na redystrybucji fauny na planecie w bardziej racjonalny sposób, niż zrobiła to natura, by skorzystać na tym zarówno ludzie, jak i zwierzęta, których terytoria zostały częściowo zniszczone ludzką działalnością. „W tym marzeniu o nowej arce Noego” – pisał Cook – „planowaliśmy przemieścić pingwiny, foki, gwanaka andyjskie i lamy na północ, skąd wzięlibyśmy niedźwiedzie, woły pizmowe, renifery, edredony zwyczajne, pstrągi, tamtejsze foki i morsy, by zdomowić je na południowej półkuli. Przetransportowalibyśmy również duże i użyteczne zwierzęta z Afryki do Ameryki Południowej. Potężne oceany, kontynenty, umiarkowane i gorące strefy klimatyczne nie powinny stanowić przeszkody dla przyszłego lepszego dostępu do pożywienia dla ludzi i zwierząt”.

Pomysły Cooka i Amundsena miały większy rozmach i były bardziej szalone, gdyż rodziły się w głowach więźniów. Mieniły się kolorami równie jaskrawymi, jak monotonnie biały był lód dookoła statku. Lecointe i Arctowski z lekceważeniem określili ich plany jako „bezsensowne”, lecz przecież żaden z podróżników ani przez chwilę nie zamierzał ich realizować. Służyły bowiem utrzymaniu ich umysłów w formie i działaniu i pozwalały skupić się na czymś innym niż beznadzieja ich położenia. W „mrocznym, lodowym więzieniu



kryształowego piekła” – notował Cook – „uciekamy w ekstrema sennych marzeń”. I kiedy tak wielu ich towarzyszy zmagало się z chorobami i osłabieniem, Cook i Amundsen liczyli na wydostanie się „z duszących szponów Antarktyki z magazynkami wyobraźni załadowanymi do pełna nabojami na grubego zwierza”.

Dziesiątego lipca, tuż przed północą, Lecointe wyszedł spod przykrycia i zsunął się z koi, gotów do rozpoczęcia czterogodzinnej wachty. Miał jednak wrażenie, że coś dziwnego dzieje się z podłogą pod jego stopami; dopiero po chwili zorientował się, że problemem były raczej jego nogi, które były strasznie opuchnięte. Co więcej, z lewą ręką też nie działo się lepiej. Ponieważ Cookowi udało się przemilczeć nazwę choroby, która dotykała prawie wszystkich na pokładzie, Lecointe’owi nie przyszło do głowy, że jego problemy są objawem szkorbutu. Zlekceważył początkowe zaniepokojenie i skończył się ubierać. Służba to służba. Niezależnie od tego, jak bardzo doskwierała mu choroba, przez ostatnie tygodnie ani razu nie opuścił swojej wachty. Kulejąc, wydostał się na zewnątrz, gdzie miał przeprowadzić, między innymi, obserwacje meteorologiczne i astronomiczne. Noc była spokojna i bezchmurna, a gwiazdy jasne i wyraźne. Lecointe zazwyczaj cieszył się z tych chwil spokojnej samotności, kiedy w ciszy spoglądał w niebo. Jednak tym razem czuł takie zmęczenie i wyczerpanie, ba, taki ból, że z trudem wytrzymał do końca swojej wachty. Z wysiłkiem wrócił na koję i stwierdził, że opuchlizna przybrała monstrualne rozmiary. Mimo wyczerpania kapitan nie mógł zasnąć. Leżał w delirycznym otępieniu, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w zwinięte mapy, które niegdyś przymocował pod sufitem, by oszczędzić miejsca w kabinie.

Po godzinie, lub nieco później, już w półśnie, próbował zmienić pozycję. Ku jego przerażeniu ani nogi, ani lewe ramię nie reagowały na polecenia z mózgu: był sparaliżowany! Chciał wzywać pomocy, lecz bał się, że może wywołać tym wybuch paniki. Około szóstej rano udało mu się zwlec z łóżka i przeczołgać przez ciemną mesę oficerską do kabiny Cooka, ciągnąc za sobą bezużyteczne nogi.

Cook otworzył oczy i zobaczył postać jak z horrorów, groteskowo napęczniałą i wstrząsaną zwierzęcym strachem.

- Doktorze, ja... ja skończę jak Danco - wycharczał Lecointe z trudem, uczepiony krawędzi koi lekarza. - Śmierć trzyma mnie już za nogi i jest coraz bliżej. Moje kostki... to koniec... Cook spojrział na nogi kapitana i poczuł zimny dreszcz. Żeby zyskać na czasie i otrzeźwić wciąż zaspaną głowę, odruchowo przystąpił do badania. Lekarz bał się nie tylko o kapitana, ale o całą wyprawę. De Gerlache, w krytycznym już stanie, prawie nie opuszczał kabiny, więc Lecointe był dla Cooka „najbardziej decyzyjną ze wszystkich osób na pokładzie”. Gdyby coś mu się stało, reszta marynarzy, i tak balansujących na krawędzi obłędu, bez wątplenia przestałaby walczyć z rozpaczą.

Cook zbadał parametry życiowe Lecointe'a. Mężczyzna miał wysokie tętno, słabo wyczuwalny puls, opuchniętą twarz, zimną i woskową skórę, a przede wszystkim był „przeraźliwie blady”. Czy Danco kiedykolwiek wyglądał równie niedobrze? Utrata władzy w nogach mogła być oznaką terminalnego stadium szkorbutu, ale też historyczną reakcją na strach. I żadna z tych możliwości nie wróżyła niczego dobrego.

„Człowiek żyje, póki lekarz nie opuści mu powiek” - oznajmił Cook zdecydowanie, by ukryć swoje obawy. - „Jeśli mam cię ratować, będziesz robił dokładnie to, co ci każę?”.

„Tak” - odparł Lecointe. - „Zdaję się na twoją łaskę i niełaskę”.

Cook podał kapitanowi tabletkę - najprawdopodobniej strychninę - i pomógł mu wrócić do łóżka. Na początek zalecił mu odpoczynek - z gorącymi cegłami przy stopach, by poprawić ich ukrwienie. Dzięki obecności lekarza Lecointe wyraźnie się uspokoił, jednak zaczął mówić „nieracjonalne rzeczy”. Do tego stopnia, że Cook niewiele był w stanie zrozumieć. Z pojedynczych słów, które do niego docierały, domyślił się, że Lecointe mierzył się z obawą, że nie przeżyje kolejnego dnia.

Niedługo później w mesie oficerskiej obok kabiny kapitana podawano śniadanie. Lecointe zebrał z trudem resztki sił i przywołał

pierwszego oficera. Kiedy Amundsen stanął przy jego łóżku, kapitan poinstruował go, gdzie trzyma wszystkie dokumenty oraz kuferek z listami do najbliższych, a także przekazał swoje ostatnie zalecenia dotyczące dalszego trwania wyprawy. Amundsen wysłuchał go w milczeniu, starając się - bezskutecznie - ukrywać emocje.

Biorąc pod uwagę stan złożonego szkorbutem de Gerlache'a i to, że jego szanse na ujście z życiem z lodowego więzienia prezentowały się wcale nie lepiej od szans Lecointe'a, wydawało się całkiem prawdopodobne, że kierownictwo nad Belgijską Ekspedycją Antarktyczną przejmie Amundsen, stosunkowo mało doświadczony dwudziestosześcioletek z Norwegii, który nigdy jeszcze samodzielnie nie dowodził statkiem. Komendant bał się takiej sytuacji i za wszelką cenę chciał jej uniknąć - uważał, że jego sponsorzy wespół z belgijską prasą szybciej wybaczą mu śmierć niż narodową hańbę.

Lecointe ani przez chwilę nie zaprzętał sobie głowy takimi dylematami. Z zadziwiającym spokojem spoglądał przeznaczaniu w oczy. Wyglądał przez bulaj na tonący w ciemności pak lodowy, który zlewał się z nocnym niebem. Zgodnie z jego szacunkami słońce miało pokazać się nad horyzontem nie wcześniej niż za dwa tygodnie. Kapitan uświadomił sobie, że może go już nie zobaczyć. Zapadł w płytki sen, coraz bardziej przekonany, że śmierć jednak nie jest tak straszna.

Ku swemu zaskoczeniu następnego dnia otworzył oczy. Posłuszny zaleceniom Cooka, zmusił się do spożycia niewielkiego fileta z pingwina, po czym znów zapadł w kilkugodzinny sen. Kiedy przebudził się po raz kolejny, czuł się odrobinę lepiej. Lekarz sprawdził mu puls i z zadowoleniem stwierdził, że tętno się uspokoiło, mimo że dziewięćdziesiąt osiem uderzeń na minutę wciąż dawało powody do obaw, by nie wystąpiła trachykardia.

„Wydaje się, że jego stan jest rzeczywiście beznadziejny” - zapisał Cook w dzienniku pod datą czternastego lipca. Jego obawy wywołały kolejną falę zaniepokojenia wśród podróżników.

I choć lekarz nie dawał mu większych szans na wyzdrowienie, bardzo starannie przygotował listę zaleceń, których Lecointe miał

przestrzegać. „W przyszłości zarzucić należy dotychczasowe zwyczaje, jeśli chodzi o jedzenie i picie” – tłumaczył. – „Od teraz będziesz spożywać surowe mięso, pić ciepłą wodę i trzy razy dziennie wyprażać się przed otwartym ogniem”.

„Przez miesiąc nie ruszę się od rozgrzanego pieca i do końca mojego polarnego życia nie wezmę do ust nic poza pingwinim mięsem, jeśli to ma pomóc mi wrócić do zdrowia” – zapewnił go Lecointe.

Cook uśmiechnął się i odpowiedział, że jeśli rzeczywiście będzie trzymał się sumiennie jego zaleceń, stanie na nogach jeszcze przed powrotem słońca na niebo. Choć sam w to nie wierzył. Lecointe również, jednak z pieczołowitością trzymał się wskazań lekarza. Żywił się prawie samym mięsem z pingwina, pił jedynie ciepłą wodę i każdego dnia spędzał kilka godzin przed ogniem.

Z każdym kolejnym rankiem obrzęk nóg i twarzy ustępował. Po troszeczkę poprawiał się stan zdrowia kapitana. Wbrew obawom Cooka – lecz zgodnie z optymistyczną wersją, jaką ten przedstawił choremu – Lecointe już osiemnastego lipca był w stanie powrócić do wykonywania swoich obserwacji.

Wieść o cudownym uzdrowieniu z prędkością błyskawicy rozeszła się po Belgice, a przed drzwiami Cooka ustawiała się kolejka marynarzy szukających u niego pomocy w „prawdziwych i zmyślonych problemach”.

W wielu przypadkach, jak odkrył Cook, problemy były aż nazbyt rzeczywiste. Przygotował dla kapitana raport, by donieść mu o najpoważniejszych sprawach. „Życie de Gerlache’a jest w poważnym niebezpieczeństwie; Knudsen walczy z dużym obrzękiem nóg, w szczególności wokół kostek; Melaerts ma tętno na poziomie stu pięćdziesięciu uderzeń na minutę”. Racovitza, Arctowski i Dobrowolski byli w „złym stanie”, a on sam martwił się swoim tętnem.

Lekarz wszystkim chorym przedstawił te same zalecenia: „Zabraniam spożywania jakiegokolwiek pożywienia poza mlekiem, sosem żurawinowym i świeżym mięsem, pingwinim lub foczym,

przysmażanym na oleomargarynie” - zapisał później. Cook zachęcał również do korzystania z sesji wyprężania, a tym, którzy czuli się dość dobrze, by wstać z łóżka, codzienną gimnastykę, jednakże nie forsowną, by oszczędzać serce. Łóżka pacjentów „należy wietrzyć codziennie, by były suche, a ubrania dobierać starannie do wykonywanego zajęcia. Powszechnie potrzebne są środki przeczyszczające, a nalewki warzywne z kwasami mineralnymi z pewnością są także pomocne”. W jednym z punktów zalecał również całkowitą abstynencję od alkoholu. „Przyzwyczailiśmy się spożywane posiłki popijać lekkim winem, jednak wino źle działa na serce i nerki, do tego stopnia, że w ogóle z niego zrezygnowaliśmy” - zapisał w dzienniku, choć w rzeczywistości kalendarz był wystarczająco wypełniony specjalnymi okazjami, by zapewnić dostateczną liczbę wyjątków od tej zasady.

Leczenie zaordynowane przez Cooka nie wyeliminowało wszystkich przypadłości nękających podróżników, lecz ci, którzy ściśle przestrzegali zaleceń, szybko zauważali wyraźną poprawę. Większość zrezygnowała z jedzenia wszystkiego poza pingwinim i foczym mięsem, które szybko zaczęło im smakować. Akceptując powagę swojego stanu, nawet de Gerlache opuszczał co pewien czas swoją kabinę i spożywał filet z pingwina, jednak gotów był przełknąć jedynie posiłek spieczony na chrupko, co praktycznie eliminowało efekt przeciwszkorbutowy. Przez większość czasu komendant trzymał się za to rygorystycznie przygotowanego przez siebie planu żywieniowego, złożonego z zakupionych za niemałą kwotę konserw.

Kluczowym elementem opracowanego przez Cooka planu leczenia był optymizm i pozytywne nastawienie. „Ciężko dotknięci chorobą” - pisał - „byli przekonani, że nie ma dla nich ratunku. Moim najtrudniejszym zadaniem były zmagania z brakiem chęci do walki i beznadzieją”. Lekarz starał się oderwać wzrok towarzyszy od mrocznej otchłani cierpienia, na krawędzi której stanęli wraz z początkiem antarktycznej nocy, by skupić ich uwagę na świetle za

horyzontem, które z dnia na dzień mieniło się kilka minut dłużej, obwieszczając nieuchronny powrót słońca.

## Rozdział 13

### ZAKON PINGWINA

NA DŁUGO PRZED POWROTEM SŁOŃCA KAŻDY Z PODRÓŻNIKÓW miał wybrane miejsce, z którego chciał je powitać. Niektórzy planowali wspiąć się do bocianiego gniazda, inni na maszty, a jeszcze inni chcieli rozejść się po lodowym paku. Rankiem dwudziestego drugiego lipca Cook, Amundsen, Lecointe i de Gerlache ruszyli, by zdobyć szczyt najbliższej góry lodowej<sup>31</sup>. Wspinaczka, w normalnych warunkach nieszczerólnie trudna i męcząca, wyczerpanym i schorowanym śmiałkom zajęła ponad godzinę. Co sto kroków musieli przystawać, by złapać oddech, a wtedy ciszę paku rozpraszało jedynie umęczone dyszenie. Wysiłek okazał się szczególnie morderczy dla de Gerlache'a, który był w najgorszym stanie z całej grupy – a jednak nastawał, by uczestniczyć w powitaniu słońca – a w zasadzie tylko małej jego części – którego żaden z nich nie widział od przeszło siedemdziesięciu dni. Zgodnie z wyliczeniami Lecointe'a słońce nie miało pojawiać się nad horyzontem jeszcze przynajmniej przez dobę, lecz czwórka śmiałków miała nadzieję, że z wyniesionej nad pak lodowy góry będą mogli spojrzeć dalej poza horyzont i dostrzec odrobinę więcej światła, nawet jeśli tylko dzięki refrakcji.

Czwórka mężczyzn stanęła na szczycie góry lodowej i skierowała wzrok na północ, na miejsce nad horyzontem, które wydawało się najjaśniejsze. W miarę jak zbliżało się południe, upstrzone pierzastymi chmurami niebo przybrało różową barwę, po czym wybuchło pożogą płynnie zmieniających się barw. „Pojawiały się pola złote, pomarańczowe i niebieskie, zlewając się ze sobą w setkach odcieni każdego z tych kolorów” – pisał Cook – „a gdzieniegdzie mienił się pas, jak srebrna wstążka, podkreślając feerię barw nieba”.

Tuż przed dwunastą, jakby na komendę uniosła się mgła, która przykrywała horyzont. W zmęczonych oczach mężczyzn pojawiło się odbicie wąskiego paska ognia. „Nie mogliśmy... nie mogliśmy znaleźć słów, by wyrazić lekkość i ulgę” – pisał później Cook. – „Tchnienie nowego życia, które wypełniło nasze żyły, pchane mocarnymi uderzeniami naszych serc”. Przytłaczająca męczarnia polarnej nocy była tak nieznośna, że mimo świadomości, że przecież w końcu, po jakimś czasie, słońce będzie musiało powrócić, jego pojawienie się pojmowali w kategoriach cudu. Jeszcze nie wysunęło się nad horyzont na tyle, by jego promienie padły na lodowy pak, lecz musnęły krawędzie najwyższych gór i przez kilka chwil rozświetlały belgijską flagę zawieszoną na grotmaszcie Belgiki. W oczach komendanta, w ten oto sposób i tak podniosła chwila zyskała dodatkową symbolikę, zwiastującą powodzenie.

„Nasze oczy poraziła ta barwna wizja” – notował później de Gerlache. – „Tylko ten, komu odebrano słońce, będzie w stanie pojąć, jak wiele dobrego czyni ono dla ciała i duszy. Dopiero wtedy można zrozumieć cześć, jaką pierwotne ludy oddają słońcu i od niepamiętnych czasów umieszczają w panteonie swych bóstw”.

A potem, równie gwałtownie jak odrobina słońca się pojawiła, tak samo szybko zniknęła. Jednak na długo pozostawiła poblask na niebie.

Każdego kolejnego dnia słońce utrzymywało się na niebie o około dwadzieścia minut dłużej. Dopiero w jego ostrym, bezpośrednim świetle widać było zniszczenia, jakie poczyniła polarna noc. Zima odebrała podróżnikom coś, czego nigdy już nie mieli odzyskać, nigdy też nie mieli wyleczyć się z tej straty; przeniknęła ich mózgi i zdeformowała ich ciała, kumulując w jednej porze roku cierpienie, jakiego normalnie doświadcza się przez całe życie. „Jesteśmy opuchnięci i pożółkli” – pisał de Gerlache. – „Spoglądając po sobie, zgodnie stwierdzamy, jak bardzo się postarzeliliśmy. Mamy wymęczone i obwisłe twarze, na których zastygł wyraz cierpienia i trosk, jakich doświadczyliśmy przez zimę”. Niektórzy w trakcie trzymiesięcznej



polarnej nocy całkowicie osiwieli, jakby zima mogła rozciągnąć czas, podobnie jak przerażający wir w noweli Poe'go *W bezdni Maelströmu*. „W trzydzieści zaledwie dni przybyło nam po dziesięć lat” – zanotował Cook.

Fotografie wykonane w tamtym okresie potwierdzają obserwacje Cooka i de Gerlache'a, szczególnie gdy zestawić je z radosnymi, pełnymi życia portretami wykonanymi przed wyruszeniem Belgiki. W Antwerpii Leconte ubrany w odświętny mundur uśmiechał się z wigorem; po pięciu miesiącach w okowach lodu wydaje się wyczerpany, lepki, obrzmiały i dobrych dziesięć lat starszy niż w rzeczywistości. Na jednym ze zdjęć reklamujących wyprawę de Gerlache przybrał pełną godności i wzniosłości pozę, z głową skierowaną lekko w górę, jakby spoglądał na szczyt, który zamierza zdobyć; jego kozia bródka była wówczas gęsta i starannie przycięta, podobnie jak elegancko podwinięte wąsy. Na ramiona nonszalancko zarzucił grube, zimowe futro z kapturem. Tamto wyobrażenie na temat życia polarnego odkrywcy kontrastuje mocno z fotografią komendanta wykonaną po pięciomiesięcznej zimie: de Gerlache, w prostym, zgrzebnym swetrze, spogląda ponuro przed siebie, ale nie skupia wzroku na niczym konkretnym. Ma spuchniętą, wymizerowaną twarz, a nieściana broda pokrywa mu policzki spod samych oczu aż do połowy szyi. Jego towarzysze niedoli nie prezentowali się wcale lepiej. Światło dnia zastało kilkunastu mężczyzn o wyglądzie członków dzikich plemion. Cotygodniowa (jeśli w ogóle!) kąpiel nie wystarczyła, by zmyć focze sadło i pył węglowy z ich splątanych czupryn.

Wraz z nadejściem słonecznego światła pojawiło się pragnienie odnowy. Mężczyźni chcieli ściąć brody i przystrzyc włosy. Cook, jako chirurg wyprawy, posiadał zapewne wystarczające umiejętności w posługiwaniu się nożyczkami, przez co został wskazany jako fryzjer dla oficerów. Z jakiegoś powodu jego sumienność nie spełniła oczekiwań większości podróżników. Niezadowoleni narzekali, że „czasem... jak sprzedawca, który nie ma konkurencji i nie musi się obawiać utraty klientów, [Cook] ścinał włosy po jednej stronie

i odmawiał dokończenia fryzury po drugiej... a potem śmiał się z nas do rozpuku". Nie można jednak nazwać tych dowcipów wyłącznie wygłupami, gdyż stanowiły one jeden z elementów strategii, mającej na celu podniesienie morale i skupienie uwagi podróżników na czymś innym niż mroźne pustkowie dookoła.

Tylko dwóm osobom udało się uniknąć nożyczek Cooka: Racovitzy, który wolał sam przycinać swoją nieposłuszną strzechę, oraz... samemu Cookowi. Lekarz zapuścił swoje cienkie, proste włosy do samych ramion, a żeby nie wpadały mu do oczu, obwiązywał głowę wstążką. W połączeniu z bujną brodą nadawało mu to mesjańskiego wyglądu. Jego błyszczące, pełne życia, szarosrebrne oczy gorzały jak u szaleńca. I trochę tak było, bowiem długa polarna noc prawie zmieniła go w fanatyka - wyznawcę słońca. Wyobrażał je sobie tak, jak niektórzy przedstawiają boga. Słońce miało być źródłem całego życia, a jego brak potępieniem. Wraz z powrotem słońca każdy rodził się na nowo.

„Jakże wspaniale ta kula nieparzącego ognia wzmacnia w nas ducha radości i wdzięczności!” - pisał Cook. - „Słońce jest matką wszystkiego, co ziemskie. Niespodziewanie w powietrzu odkryliśmy pokrzepienie, w cudowności zamrożonego morza inspirację, a w towarzystwie innych pocieszenie i radość, dzięki czemu śmiertelny smutek długiej nocy należy już do przeszłości”.

Wiara w moc słońca pchała Cooka do przypisywania mu właściwości sprzecznych z nauką. Nie dość, że podążając za sugestią wodza Sipsu, doszedł do przekonania, jakoby wszystko, co ożywione, magazynowało światło, ale uznał na dodatek, że lód również wykazuje taką właściwość. „Po bardzo słonecznym dniu lód nocą emanuje wyraźną jasność” - zapisał kilka tygodni później, gdy noce stawały się coraz krótsze. - „Właściwość [tę] przypisuję ukrytej zdolności lodu do zatrzymywania światła. Fenomen bardzo mnie zainteresował, więc przeprowadziłem kilka testów, które z sukcesem potwierdziły moją teorię”.

By zademonstrować swoją hipotezę, rozłożył fragment czarnej tkaniny na śniegu, osłaniając go przed promieniami słońca, by nocą

usunąć materiał. „Bez najmniejszych wątpliwości miejsce to było ciemniejsze” – donosił później. – „To, zgodnie z moimi szacunkami, dowodzi zdolności śniegu do gromadzenia i zatrzymywania na określony czas pewnej ilości światła”.

Mylił się oczywiście, i to bardzo. Gdyby łaskawszym okiem spojrzeć na eksperyment Cooka, można by uznać, że ciemny materiał nagrzał się od słońca i spowodował topnienie wierzchniej warstwy śniegu, który, przez zmienioną strukturę, w inny sposób odbijał księżycową poświatę. Równie prawdopodobnym wyjaśnieniem efektów eksperymentu Cooka jest jego romantyczna natura, która zdominowała naukowe podejście i sprawiła, że zobaczył rzeczy, które nie istniały.

W oczekiwaniu na nadejście polarnego dnia Belgica powoli budziła się do życia. Ludzie coraz odważniej i chętniej opuszczali schronienie tuneli i ścieżek wydeptanych w lodowo-śnieżnym wale dookoła statku. Znów można było usłyszeć dźwięczne uderzenia młota o kowadło w kuźni wzniesionej na śródkręciu, gdyż Somers powrócił do wytwarzania części do sondy głębokościowej i innych urządzeń. Naukowcy zajęli się badaniami – sondowaniem głębokości, pobieraniem próbek, połowami, wykonywaniem pomiarów i obserwacji. Lipiec okazał się najzimniejszym z miesięcy, od kiedy dotarli do Arktyki, a że wyprawa nie miała ze sobą dość ubrań dostosowanych do tak ekstremalnych temperatur, załoga kilka dni spędziła na szyciu anoraków z wełnianych koców podszytych wilczymi futrami. (Cook przed wyruszeniem na wyprawę zaopatrzył się u inuickich handlarzy w większą ich liczbę). Amundsen uważał, że kontrast między jaskrawą czerwienią wierzchnich nakryć marynarzy a oślepiająco białym śniegiem „z całą pewnością ma w sobie coś teatralnego”.

Od czasu wprowadzenia w życie zaleceń doktora Cooka stan zdrowia większości marynarzy wyraźnie się poprawił, choć kilku z nich dalej walczyło z osłabieniem – w szczególności Norweg o twarzy dziecka, Engelbret Knudsen, i komendant de Gerlache. Lekarz prawidłowo przewidział zbawienny wpływ diety składającej się

z pingwiniego i foczego mięsa, dzięki czemu udało się zwalczyć szkorbut, jednak długa zimowa noc polarna doprowadziła do znacznego uszczuplenia zapasów świeżego pożywienia. Zwierzęta nie kwapiły się z powrotem, podobnie jak wcześniej nie spieszyły się z wyruszeniem na północ. Jak okiem sięgnąć nie widać było ani jednego pingwina, co oznaczało groźbę zużycia całego zasobu jedyne lekarstwa, jakie ratowało ich przed szkorbutem.

Dzień w dzień Cook wyglądał nad relingami i wytężał wzrok w poszukiwaniu znajomych czarnych kształtów odcinających się od bieli lodu. Od czasu do czasu pojawiały się niewielkie gejzery wody wytryskującej przez świeżo wyżłobione otwory do oddychania ponad lodem, co oznaczało stopniowy powrót fok. Niedługo później w oddali rozległy się wreszcie znajome pokrzykiwania pingwinów: *kaa... kaa...*, lecz wciąż pozostawały one poza zasięgiem wzroku. Wyprawa łowiecka i wyjście im naprzeciw oznaczałaby takie oddalenie się od statku, że śmiałkowie straciliby Belgicę z oczu.

Pod koniec lipca Cook, Lecointe i Amundsen uzyskali pozwolenie komendanta na daleką wyprawę, której priorytetem było polowanie na pingwiny. Trójka podróżników za jej cel wybrała masywną górę lodową o kształcie walca, oddaloną o około dwadzieścia siedem kilometrów w kierunku północno-wschodnim. Mimo drogi na wprost zadanie nie było łatwe. Należało przez cały czas uważać na punkty orientacyjne, by nie zagubić się w gąszczu wiecznie zmieniającego się paku lodowego. Fakt, że góra lodowa wyrastała nieco bardziej na północ, stanowił dodatkową zaletę – ponieważ pingwiny na zimę powędrowały za światłem na skraj lodu, ich powrotu można się było spodziewać również z tego kierunku.

Według szacunków dotarcie do celu i powrót miały zająć podróżnikom przynajmniej dwa dni. Dla Cooka i Amundsena eskapada stanowiła szansę na przetestowanie zaprojektowanego i wykonanego przez nich sprzętu biwakowego, w tym sań z żaglem i namiotu o kształcie stożka – była również świetnym ćwiczeniem ewakuacji ze statku, gdyby zaszła taka konieczność, nie tylko w czasie obecnej

wyprawy, ale i przyszłych, które sami zamierzali poprowadzić. Polowanie miało również stanowić bardzo przyjemną – i pożądaną – zmianę scenerii po miesiącach uwięzienia. „Czuliśmy znużenie »paradami obłąkańców« wokół statku. Stosy pustych puszek, popiołu i innych śmieci, które zdobiły najbliższe otoczenie, zaczęły nas męczyć” – pisał Cook. – „Żywiliśmy przekonanie, że gdybyśmy mogli na dni kilka chociaż rozbić obóz bezpośrednio na tafli, niedaleko jakiejś góry lodowej, pozwoliłoby to poczynić całkiem wartościowe obserwacje, a już na pewno powrócilibyśmy stęsknieni za Belgicą i naszymi towarzyszami”.

Amundsen miał nadzieję na coś więcej: zaliczenie kolejnego rekordu, mianowicie pierwszej wyprawy z saniami przez pak antarktyczny.

Początek tej antarktycznej podróży w ramach większej antarktycznej ekspedycji przypadł na zimny, ale pogodny poranek trzydziestego pierwszego lipca, a śmiałkom towarzyszyły oklaski i wiwaty będące karykaturalnym odbiciem pożegnania Belgiki, która niemal rok wcześniej odbijała od nabrzeża w Antwerpii. Lecointe, Cook i Amundsen nie posiadali się z ekscytacji. Niczym uczniowie z podstawówki powołali do życia stowarzyszenie antarktyczne, Zakon Pingwina, którego głową został Amundsen, a pozostała dwójka kawalerami. Max Van Rysselberghe, drugi mechanik, z denek pustych puszek wykonał dla nich medale, na których umieścił wizerunek pingwina krótkoczubego i trzy słowa: „Prędkość! Nie hamuj!”. Lecointe z pełną powagą zawiesił medale na czerwonej wstążce na szyjach towarzyszy, a później na swojej<sup>32</sup>.

Trójka podróżników zapakowała sanie sprzętem do obozowania, strzelbami i prowiantem na dziesięć dni, mimo planów, by za dwa dni wracać. Amundsen i Lecointe przywiązali się do sań, by je ciągnąć, poruszając się na nartach, a Cook, w raketach śnieżnych, miał iść z tyłu i je stabilizować. Od razu rozwinęli żagiel uszyty przez lekarza z prześcieradeł. Delikatna południowa bryza wypełniła materiał z siłą dodatkowej pary rąk. Mimo marnej kondycji de Gerlache towarzyszył

przez jakiś czas trójce śmiałków, po czym pożegnał ich uściskiem dłoni i zawrócił na pokład.

Wracający dopiero do formy po chorobie i zimowej atrofii mięśni Amundsen i Lecointe musieli regularnie zatrzymywać się na odpoczynek. Pocili się obficie mimo trzydziestu stopni Celsjusza poniżej zera i świetnie wentylowanych okryć wierzchnich zaprojektowanych przez Cooka. Poruszali się z ułamkiem prędkości, jakie lekarz osiągał psimi zaprzęgami na Grenlandii, co szybko pokazało, jak mało wydajną siłą pociągową był człowiek, gdy chodziło o transport przez śnieg i lód. Lecz choć postęp okupiony był ogromnym wysiłkiem, z początku nie mieli opóźnień. Sanie sunęły płynnie po stosunkowo gładkiej powierzchni twardego lodu, a ich ciężki ładunek sprawiał, że wiatr nie mógł wywrócić całości, popychając żagiel.

Przyglądając się z pokładu statku drodze do góry lodowej, podróżnicy mieli wrażenie, że czeka ich przeprawa przez w większości płaską, spójną tafłę, poznaczoną ledwie kilkoma pęknięciami, w których widać było wodę, jednak łatwymi do obejścia. Im jednak dalej odchodzili od Belgiki, tym bardziej skomplikowana okazywała się topografia terenu, miejscami przypominającego wręcz labirynt. Coś, co z dala wyglądało jak niewielkie wzgórza, w rzeczywistości okazywało się niemożliwymi do pokonania graniami, a wypełnione wodą pęknięcia – szerokimi jeziorami. Ekspedycja zatrzymywała się co kawałek, by sprawdzić wskazania kompasu, kurs na malejący za ich plecami statek, wypiętrzona dookoła i potężną górę lodową przed nimi. Pamiętali przy tym, że pak cały czas pozostawał w ruchu i że ich mapa szybko może stracić aktualność. Niezależnie od tego, jak daleko się posuwali, góra wydawała się znajdować „w zasięgu strzału” – co oczywiście było iluzją, jako że jej podstawa wciąż skrywała się poniżej horyzontu. Światło antarktyczne powróciło z tą samą magią co wcześniej. Na niebie jednocześnie królowały zachodzące słońce i księżyc, jak dwa medaliony, jeden złoty, a drugi srebrny. „Sceneria godna bogów” – zapisał Cook.

Pod wieczór trójka mężczyzn zatrzymała się na brzegu wielkiego jeziora skutego świeżym lodem, grubości ledwo siedem i pół

centymetra, które zagradzało im dalszą drogę. Tafla była tak cienka, że przezierała przez nią czerń oceanu. Kawałek dalej Cook zauważył żółtawe przebarwienie, co mogło świadczyć o powrocie mikroorganizmów zdolnych do fotosyntezy, a co za tym idzie, również innych, większych form życia. Lecointe, Amundsen i Cook uznali, że warto to sprawdzić. Bardzo ostrożnie weszli na śliską powierzchnię, po której poruszanie się na nartach czy w rakietach śnieżnych było bardzo trudne, nie wspominając o ciągnięciu po niej przeładowanych sań. Skumulowana masa podróżników i ich ekwipunku sięgała pięciuset kilogramów. Cienka tafla zdawała się drżeć przy każdym kroku. Czuli się, jakby szli po wodzie. Każde skrzypnięcie i każdy trzask lodu sprawiał, że po ich spoconych plecach przebiegały zimne dreszcze. Nie mogli przestać myśleć, co by było, gdyby tafla pękła pod ich ciężarem. Po kilku sekundach woda przesiąkłaby grube futra i wywołała szok termiczny. Obciążeni ubraniami i butami nie mogliby utrzymać się na powierzchni, a sanie pociągnęłyby dwójkę w zaprzęgu na dno, nie dając im szans na wyplątanie się z lin.

W miarę jak zbliżali się do środka jeziora, lód zaczął się zmieniać w gęsto zbitą krę. Bardzo szybko dostrzegli liczne stada wielorybów i fok, a także nieco pingwinów szalejących w pasku ciemnej wody przed nimi. Lód był jednak zbyt cienki i kruchy, by odważyli się iść dalej. Żeby dotrzeć do zwierząt, potrzebowaliby łodzi. Lecz nawet gdyby nią dysponowali, pingwiny i foki były zbyt zwinne i szybkie, by mieli szanse je złapać. Trójka mężczyzn z saniami wycofała się więc ostrożnie na nie tak świeży, grubszy lód i podjęła próbę okrążenia jeziora.

Posuwając się wzdłuż krawędzi, dotarli do miejsca, gdzie jezioro zwężało się, przechodząc w półtorakilometrowy kanał. Kiedy zdecydowali się rozbić w tym miejscu obóz i postawić namiot – a było to około trzeciej po południu, czuli się, jakby urządzali kemping na brzegu rzeki. Daleko po drugiej stronie wyrastała wielka góra lodowa. „Najwyraźniej po całym dniu marszu i pokonaniu prawie jedenastu kilometrów nie znaleźliśmy się bliżej celu niż na samym początku drogi” – zapisał Cook w dzienniku.

„Namiot, nad którego konstrukcją ciężko z Cookiem pracowaliśmy, rozstawa się szybko i łatwo” – cieszył się Amundsen w pełnym dumy wpisie w dzienniku, który uzupełniał, leżąc w śpiworze z futra renifera. „Jest stabilny, wytrzymuje nawet mocne podmuchy wiatru, ale oferuje przy tym zbyt mało miejsca dla trzech osób. Musimy spać w nim na zmianę”. Sześć godzin zajęło im rozmrożenie kolacji na kuchence na etanol wciśniętej między trzy śpiwory.

Zaprojektowany według pomysłu Cooka stożkowaty namiot przeciwstawił się tamtej nocy najsilniejszym podmuchom wiatru. Szuranie śniegu o materiał szybko uspiło rycerzy Zakonu Pingwina. Białe płatki padały również w środku: para wodna z oddechów podróżników zamarzała na ściankach i spadała na zmęczonych mężczyzn pod postacią śniegu.

Następnego ranka członkowie ekspedycji łowieckiej obudzili się, strzepnęli szron ze śpiworów i bród, po czym zjedli śniadanie, na które złożyło się ciepłe kakao i sucharki. Około jedenastej rano (godzinę wyznaczali na podstawie położenia słońca, gdyż mróz unieruchomił zegarki) wyjrżeli na zewnątrz. Wydawało się, że namiot stał w zupełnie innym otoczeniu niż to, w którym go rozbili. Nad lodowym pakiem unosiła się mgła, a na spodniej stronie chmur wyraźnie odbijały się ciemniejsze pola, świadczące o otwartej wodzie poniżej. Wszystko wskazywało na to, że wiatr przez noc przetasował cały pak lodowy. Gdyby lód dalej miał pękać, trójce śmiazków groziło uwięzienie z namiotem na krze dryfującej po ogromnej połaci otwartej wody pośrodku lodowej antarktycznej pustyni.

Po śniadaniu Cook, Amundsen i Lecointe wyruszyli na krótki zwiad. Szli bez sań, na lekko, by sprawdzić przebieg kanału o szerokości półtora kilometra, który wciąż blokował im dalszą drogę. Nie udało im się znaleźć przeprawy. „Kanał przed nami... ciągnął się daleko jak okiem sięgnąć na wschód i na zachód, niczym wielka polarna rzeka pośrodku polarnego morza lodu” – pisał Cook. – „Pływały w niej setki wielorybów, płetwali i butlonosów, i nieprzeliczona liczba fok: weddelek arktycznych, amfitryt lamparcich i krabojadów, lecz, o dziwo, ani jeden



pingwin”. Trzech podróżników kusiła wizja upolowania foki zamiast pingwina, jednak, w zależności od gatunku, foka z Antarktyki mogła bez problemu przekroczyć pół tony wagi. I nawet gdyby w jakiś sposób udało im się upolować to świetnie pływające zwierzę – a bez harpuna było to niemożliwe – zdobycz byłaby stanowczo zbyt ciężka, by zaciągnąć ją z powrotem na Belgicę, pokonując całe kilometry lodu o niepewnej grubości.

Przy temperaturach sięgających trzydziestu jeden stopni Celsjusza poniżej zera woda w kanale szybko zamarzała. Wydawało się, że znalezienie przejścia jest już tylko kwestią czasu. Lecz świeży lód, który ledwie był w stanie utrzymać ciężar człowieka, nie wytrzymałby nacisku sań. Krótko przed zachodem słońca podróżnicy wrócili do namiotu i zdecydowali o spędzeniu kolejnej nocy – lub dwóch – w tym samym miejscu, mając nadzieję, że przemeblowanie lodowego paku może doprowadzić do powstania przejścia na drugą stronę kanału.

Kiedy Lecointe przygotowywał kolację, Cook i Amundsen wzniesli igloo, zgodnie z nauką, którą lekarz otrzymał od swoich inuickich gospodarzy w czasie podróży po Grenlandii – „w przypadku dłuższego postoju, igloo zawsze jest lepsze od namiotu”. Cook pokazał swemu uczniowi, jak wycinać nachylone i zwężające się bloki lodu i układać je w okręgi o zmniejszającej się średnicy, by w końcu zamknąć je w formie kopuły, a szczeliny między nimi wypełnić śniegiem. Trzy godziny później domek był gotowy. W porównaniu z namiotem – nie wspominając nawet o wilgotnym i opanowanym przez szczury statku – igloo oferowało podróżnikom niesamowity komfort. Wewnątrz było ciepło, a dzięki wymianie powietrza, przepływającego między nisko położonym wejściem i małymi wywietrznikami w kopule, na ścianach nie zbierała się para wodna z oddechów. Światło pojedynczej świecy odbijało się od białego śniegu, dzięki czemu w schronieniu było jasno jak w dzień.

Tej nocy podróżnikom było dość ciepło, by Amundsen był w stanie uzupełniać swój dziennik bez rękawiczek na dłoniach. Rzeczowy zazwyczaj Norweg pozwolił sobie na bardzo liryczny wpis. „Nigdy

w życiu nie było mi dane oglądać widoków tak pięknych jak tego wieczoru. Księżyc na północnej stronie nieba otaczały ogromne jasne kręgi, a jego poświata zalewała pak poniżej. Na południowym zachodzie widać było czerwony ślad słońca i czarne, szybko przemieszczające się chmury. Na lodzie, między torosami, stał oświetlony namiot, a niewiele dalej mieniący się światłem pałac eskimoski”. Jak zawsze skory do zaznaczania polarnych rekordów, nie powstrzymał się, by nie zapisać w dzienniku: „Chyba nigdy wcześniej antarktycznego paku nie nawiedziło tyle wspaniałych i niecodziennych rzeczy naraz”.

Podróżnicy spędzili dwa spokojne i błogie dni w igloo, czytając, grając w karty i rozmawiając na różne tematy w oczekiwaniu na zmianę ułożenia lodu. Mimo że dotychczasowy przebieg wyprawy przynosił porażkę – koniec końców, nie upolowali dotychczas ani jednego pingwina – trójka mężczyzn zacieśniła więzy przyjaźni. Dobrze się rozumieli. Amundsen i Cook z radością dopuścili Lecointe’a do swego polarnego przymierza, które do tego momentu cementowała raczej wizja przyszłych wypraw, o których mogli rozprawiać, niż wspólne mierzenie się z losami Belgiki. Teraz, z Lecointe’em na pokładzie, zaczęli myśleć o przyszłych planach po powrocie z Antarktydy – pod warunkiem że Belgica kiedykolwiek wyzwoli się z lodów. Ich rozważania doprowadziły do buntowniczych wniosków: ponieważ de Gerlache nie wydawał się pozostawać w odpowiedniej kondycji psychicznej i fizycznej, by w 1899 roku poprowadzić zaplanowaną ekspedycję do południowego bieguna magnetycznego, być może, zastanawiali się, misja ta powinna zostać powierzona Zakonowi Pingwina?

Sama sugestia, że mogliby zagarnąć dla siebie najbardziej prestiżowy ze wszystkich celów wyprawy, oznaczała naruszenie równowagi władzy na pokładzie. Zważanie na obecność bardzo lojalnego Lecointe’a, zmuszało pozostałą dwójkę do wielkiej ostrożności. Bogiem a prawdą, od tygodni bili się z takimi myślami – Amundsen wątpił w zdolności i możliwości przywódcze de

Gerlache'a od chwili, kiedy komendant wyraził niepewność co do słuszności decyzji o wpłynięciu w pak lodowy. Cooka natomiast irytował opór de Gerlache'a, który bronił się rękoma i nogami przed jedzeniem pingwiniego mięsa, co w oczach lekarza było najzwyczajniej w świecie irracjonalną i nieodpowiedzialną decyzją.

Lecointe nie tolerował żadnego narzekania na komendanta. Jeśli nosił w sobie jakiegokolwiek wątpliwości co do słuszności jego decyzji – a wiemy, że zdarzało mu się je kwestionować – wyjaśniał to sobie z de Gerlache'em w cztery oczy. Od zawsze był stronnikiem Belga. Tym razem nie mógł jednak udawać, że nie widzi stanu, w jakim znalazł się organizator wyprawy. Być może, gdzieś głęboko w sercu, też nie aprobował jego decyzji albo wręcz kwestionował zdolność komendanta do poprowadzenia misji na południowy biegun magnetyczny. Niezależnie od tego, jak wyglądała prawda, obiecał Cookowi i Amundsenowi poparcie dla idei wysłania ich trójki psimi zaprzęgami na biegun w kolejnym roku. Miał przedłożyć taką propozycję komendantowi zaraz po powrocie na pokład.

Rankiem trzeciego sierpnia okazało się, że szeroka na ponad kilometr plama otwartej wody – rzeka, nad którą rozbili obóz – zawężyła się i stała jedynie szczeliną, bo taką siłę miały wiejące w nocy wiatry i sprzyjające im prądy morskie. Uznali więc, że w końcu otwiera się przed nimi możliwość kontynuowania podróży w stronę góry lodowej. Nie byli jednak w pełni przekonani, bowiem mgła z każdą chwilą stawała się coraz gęstsza, całkowicie zakrywając cel. Kiedy się odwrócili, pojawił się znacznie poważniejszy problem – Belgica również znalazła się poza zasięgiem wzroku. Jeszcze bardziej niepokoiło ich niebo wodne, widoczne we wszystkich kierunkach, czyli ciemne refleksy na chmurach świadczące o tym, że pak lodowy poprzecinany był znaczną liczbą pól otwartej wody. Mimo że rezygnowali z prawdopodobnie największej szansy na kontynuowanie wyprawy łowieckiej, w czasie której mogliby trafić na stado pingwinów, trójka mężczyzn postanowiła zarzucić dalszą drogę i ruszyć z powrotem, zanim pak lodowy znów zmieni układ i całkowicie odetnie im możliwość

dostania się na statek, czyniąc ich rozbitkami na archipelagu dryfującej kry. A wiele wskazywało na to, że to już się stało.

Około południa zwinęli obozowisko, pożegnali się z „ukochanym igloo” i ruszyli przez pozbawiającą orientacji w terenie mgłę i padający śnieg. Cook i Amundsen jechali na nartach i ciągnęli sanie, a Lecointe, w raketach śnieżnych, szedł z tyłu i z pomocą kompasu próbował nawigować. Kapitan trzymał się kursu, który wcześniej wyznaczył na podstawie lokalizacji statku, góry lodowej i kilku charakterystycznych wypiętrzeń lodowych – teraz jednak, w gęstej mgle, nie mógł dostrzec punktów orientacyjnych. Lecz nawet gdyby były widoczne, istniało duże prawdopodobieństwo, że wiatr i prądy morskie przesunęły ich położenie względem siebie, zmieniając rozmieszczenie całego paku.

Pochód musiał przystawać co dwadzieścia metrów i czekać, aż uspokoi się igła kompasu, która tańczyła szaleńczo przy każdym ruchu sań. Każdy z takich przystanków stanowił niebezpieczeństwo powstania błędu: najmniejsza zmiana ustawień sań mogła po kilku czy kilkunastu kilometrach oznaczać całkowicie inny kurs. Przy czym Lecointe obawiał się, że różnica kilkuset metrów groziła minięciem Belgiki bez zauważenia jej. Świeży śnieg ułatwiał podróż, lecz utrudniał widoczność, i to na tyle, że Amundsen nie zwracał uwagi na przeszkody – torosy, wypiętrzenia, granie i pęknięcia – aż do momentu, gdy na nie wpadał. Sanie regularnie się przewracały.

Po kilku kilometrach drogi powrotnej podróżnicy trafili na świeżo powstałe jezioro, po którym niczym lilie wodne pływały krążki kry. Zaskoczeni przyglądali się pięknemu widokowi, zanim dotarło do nich, że w ten sposób zrealizowały się ich najgorsze obawy: pak rozstał się, a potężne pęknięcie odcięło im drogę z powrotem.

Pak, po którym wędrowali, popękał i zmienił się w labirynt kry. Z początku próbowali poruszać się dalej, przeskakując z kry na krę, w nadziei, że uda im się znaleźć drogę na drugą stronę. Jednak dali radę pokonać tylko fragment otwartej wody, kiedy zapadł wieczór i wiatr zmienił kierunek, rozpraszając zbite dotychczas kry. Cook, Amundsen i Lecointe zaczęli dryfować. Wraz z nadejściem nocy lód

przybrał znacznie ciemniejszą barwę i nie dało się go odróżnić od wody. Dookoła słychać było trące o siebie i zderzające się kry, które z każdą kolizją traciły kawałek po kawałku i stawały się coraz mniejsze. Śmiałkom udało się znaleźć większy, kwadratowy fragment lodu o szerokości około dwudziestu metrów, na którym w miarę bezpiecznie dało się rozstawić namiot. Nie mieli wyboru – musieli spędzić noc na tej lodowej wyspie. „Nie potrafię wyobrazić sobie bardziej beznadziejnej sytuacji na lodowym paku” – zanotował Cook tamtego wieczoru.

Kierowani obawą, że kra mogłaby pęknąć pod ich obozem, a ich samych przebudziłaby dopiero zimna woda, ustalili warty i spali na zmianę. Choć trudno powiedzieć, by którykolwiek z nich wypoczął. Nie mogli zmrużyć oka przez wyjący wiatr, hałas trącego o siebie lodu i pęknięcia kry oraz towarzyszącą im symfonię zwierzęcych pomruków, wydechów i poszczekiwań. „Nasza kra kawałek po kawałku traciła lód i zmniejszała powierzchnię, aż w końcu słyszeliśmy, jakby foki pływały bezpośrednio pod namiotem” – pisał Cook.

„Migotanie pojedynczej świeczki dodawało atmosferze coś z pogrzebu” – notował Lecoq. – „Tuż obok nas wynurzały się z głębin wieloryby, a foki znalazły schronienie na krawędziach naszej kry, dookoła namiotu”.

Wartę trzymał akurat Amundsen, kiedy około piątej nad ranem kra gwałtownie zadrżała. Spojrzał w stronę, skąd dochodził dźwięk, i zobaczył pęknięcie biegnące kilka metrów od namiotu. Norweg przez chwilę rozważał obudzenie towarzyszy, którym w końcu udało się zasnąć, lecz uznał, że przeniesienie obozu na inną część lodowej wyspy nie zapewniłoby im większego bezpieczeństwa.

Światło poranka ujawniło powagę i jednocześnie beznadziejność sytuacji, w jakiej znaleźli się członkowie ekspedycji łowieckiej. Kra zmniejszyła się do rozmiarów uniemożliwiających spędzenie na niej kolejnej nocy. Jediną alternatywą pozostała ucieczka na sąsiedni płat lodu. „Nasze opcje ograniczyły się do podróży z jednej kry na drugą, obok” – zapisał Amundsen tego samego dnia, kiedy udało się przenieść cały sprzęt i rozbić namiot na sąsiadującej krze. Woda „otaczała nas ze

wszystkich stron” – pisał dalej. Trójka mężczyzn została „uwięziona jak ptaki w klatce”. Mgła spowiła wszystko z wyjątkiem wąskiego paska wody dookoła. „Stały ląd” paku zniknął im z oczu.

Rozbitkowie starali się wykorzystać dzień najlepiej, jak potrafili. Lecointe zajął się rozmrażaniem śniadania, a Cook, jak zwykle, szukał problemu do rozwiązania lub tego, co mógłby ulepszyć. Amundsen, zazwyczaj ucieleśnienie *sangfroid*, czyli zimnej krwi, maszerował nerwowo tam i z powrotem po krze. Wyprawa trwała już dwa razy dłużej, niż zakładali, więc coraz bardziej kurczyły się zapasy – prowiantu pozostało tylko na kilka dni. Lód nigdzie się nie spieszył, więc podróżnicy zaczęli rozważać, jak zapewnić sobie jedzenie i picie, jeśli taka sytuacja miałaby potrwać dłużej. Ale na takie pytania nie było dobrych odpowiedzi.

Amundsen całymi godzinami wpatrywał się w ścianę mgły, jakby siłą woli mógł ją rozpędzić. Dostrzegał nawet najdelikatniejsze przekształcenia w jej strukturze i gęstości, a także każdą zmianę odcienia. Kiedy pod wieczór zauważył, że się przerzedza, niedługo potem serce zabiło mu z radości na widok znajomego obrazu. Słyszając jego radosne okrzyki, Cook i Lecointe wypadli z namiotu i mrużąc oczy, wbili wzrok w niewyraźny kształt w oddali.

– Góra lodowa! – oznajmił Lecointe. Jej kształt był mu równie znajomy, co rysy twarzy starego przyjaciela. To była ta sama góra lodowa, do której niezliczoną ilość razy zmierzali na nartach w ramach ćwiczeń fizycznych, oddalona nie więcej niż o pół godziny drogi od Belgiki. Mgła dalej się podnosiła, aż w końcu mężczyźni z ulgą zauważyli niewyraźne z początku kontury statku. „Uznaliśmy, że z tej okazji przygotujemy uroczysty posiłek” – zapisał Amundsen.

Widok statku przepełnił podróżników radością, lecz w żaden sposób nie przybliżył ich do brzegu po drugiej stronie. Cała trójka wróciła więc do namiotu, w nadziei na zmianę kierunku wiatru.

Nieco później Cook wyglądał akurat przez otwór wentylacyjny w ścianie namiotu i dostrzegł dwie postaci zbliżające się do krawędzi paku po drugiej, dalszej stronie. Podekscytowany natychmiast

powiadomił swoich towarzyszy. Rozbitkowie szybko rozpoznali w przybyszach marynarzy, Van Mirlo i Tollefsena. Kiedy znaleźli się w zasięgu głosu, załoganci z Belgiki wyjaśnili, że reszta wyprawy zaczęła się martwić o losy trójki myśliwych. Obawiała się, że zgubili oni drogę na dobre, i wszyscy poczuli wielką ulgę, kiedy ktoś wypatrzył z bocianiego gniazda ich namiot, maleńki, ciemny trójkąt na morzu bieli. Marynarze ruszyli w ich stronę, przeskakując z kry na krę i lawirując ostrożnie na tafli cienkiego, przejrzystego lodu. Niezależnie jednak od tego, jaką wybierali drogę, każda zawsze kończyła się przeszkodą nie do przebycia: krawędzią, za którą zaczynała się otwarta woda. Przepływającą krę otaczał rozmoknięty śnieg, po którym nie dało się iść. W desperackiej próbie dotarcia do towarzyszy Van Mirlo wziął rozbieg i skoczył, jednak stracił oparcie i wpadł do mroźnej wody. Cook, Amundsen i Lecointe z przerażeniem przyglądali się, jak spanikowany Belg macha ramionami, by wrócić na swoją stronę kanału, gdzie na szczęście czekał Tollefsen i pomógł mu się wydostać na lód. Van Mirlo był przemarznięty i musiał natychmiast wracać na statek, lecz jeszcze zanim obaj odeszli, Tollefsen obiecał, że następnego dnia wróca.

Rozdarci między nadzieją i rozpaczą, rozbitkowie wrócili do namiotu i przygotowali sycący posiłek ze swoich coraz mniejszych zapasów. Wiedzieli, że muszą przetrwać jeszcze przynajmniej jedną noc na lodowej wyspie. Niewielkim pocieszeniem był spadek temperatury, który oznaczał, że kra nie będzie tak łatwo pękała, a zamarzający śnieg dookoła będzie łagodził zderzenia z innymi krami. Mimo to cała trójka spała z nożami w zasięgu ręki, na wypadek gdyby ich wyspa pękła, a oni wpadli do wody, gdzie wstrzymując oddech i w całkowitych ciemnościach, musieliby uwolnić się ze śpiworów.

Piąty sierpnia powitał ich wspaniałym porankiem, ale przerażającym widokiem - brzegi rozlewiska jeszcze bardziej oddaliły się od siebie, a ich kra dryfowała przez kanał szerokości Skaldy. Ledwie byli w stanie dostrzec w oddali Belgicę.

Około południa zobaczyli trójkę mężczyzn zbliżających się do krawędzi paku, lecz z tej odległości nie potrafili rozróżnić, kto ruszył im na ratunek. Lecointe, Amundsen i Cook przyglądali się, jak wzdłuż wody posuwają się na wschód, aż do miejsca, gdzie lód wydawał się grubszy. Z zachwytem śledzili wzrokiem szczególnie lidera zespołu, który ze sportową gracją przeskakiwał między krami. Kto to może być? – zastanawiali się między sobą. Kiedy trójka znalazła się dość blisko, by się przywitać, „szybko rozpoznaliśmy go po lakonicznym pozdrowieniu”, zapisał później Amundsen. „To był Tollefsen”. Amundsen z dumą spoglądał na swojego rodaka, który wykazał się taką inicjatywą. On i pozostała dwójka – Van Mirlo i Johansen, maszerowali dzielnie wzdłuż kanału, licząc na znalezienie przejścia, jednak przerwa między nimi a obozowiskiem pozostawała zbyt duża. Zapasów na krze nie zostało zbyt wiele i trójce rozbitków szybko mógł zająrzeć w oczy głód. Istniało ryzyko, że zmarliby na oczach swoich towarzyszy.

Niespodziewanie na wodzie pojawiły się zmarszczki biegnące w przeciwną stronę, jakby ławica ryb zmieniała kierunek, uciekając przed drapieżnikiem. Rozbitkowie poczuli silny wiatr wiejący im w plecy. Z początku niezauważalnie – Lecointe dostrzegął w tym fakcie łut szczęścia, Amundsen boską interwencję, a Cook moc sprawczą optymizmu – kanał zaczął się zamykać. To była ich szansa. Kiedy ich wyspa zbliżyła się do spiętrzonej kry wypchniętej częściowo na stary lód, mężczyźni spakowali zapasy, których mogło wystarczyć na jeden tylko dzień, a całą resztę wyposażenia zostawili w namiocie. Nie mogli poruszać się obciążeni, by nie ryzykować załamania się świeżego lodu pod przeładowanymi saniami. Wykorzystując je jako kładkę, udało im się pokonać labirynt kry i szczelin, by w końcu dotrzeć do towarzyszy. Ledwie znaleźli się na grubym paku lodowym, zaczęli przemieszczać się znacznie szybciej, aż około drugiej po południu wrócili na Belgicę. Nie przywieźli ze sobą nawet jednego upolowanego pingwina, ba, ledwie wrócili żywi. Pak lodowy potrzebował jeszcze dwóch tygodni, zanim nabrał odpowiedniej wytrzymałości i spójności, by Cook mógł odzyskać swój namiot.



Bliskość katastrofy, o którą otarli się właściwie o włos, i niesamowite szczęście, dzięki któremu wrócili bezpiecznie na pokład, sprawiły, że dalsze eskapady po zdradzieckim paku poza zasięg wzroku z Belgiki zostały zakazane. Mimo radości, z jaką powitano zakończenie długiej nocy, i nadziei, że nadchodzące lato roztopi lód i uwolni statek, członkowie wyprawy czuli się jeszcze bardziej uwięzieni i samotni niż wcześniej. Powrót dnia pogrążył ich w jeszcze gorszej beznadziei. Wszyscy wierzyli, że słońce naprawi zło wyrządzone przez ciemność i mróz, lecz cierpienie nie chciało przeminąć. Powrót dnia okazał się pustą obietnicą.

## Rozdział 14

### OBŁĘD

SIÓDMEGO SIERPANIA, GDY WRAZ Z NASTANIEM PORANKA pomieszczenie załogi budziło się do życia, Van Mirlo spojrzał z przerażeniem na Maxa Van Rysselberghe'a i podał mu kartkę zapisaną kilkoma słowami.

*Nic nie słyszę, nie mogę mówić!*

Van Rysselberghe osłupiał. Z początku podejrzewał dowcip - Van Mirlo znany był z teatralnej przesadności - dlatego zarzucił kolegę serią pytań. Flamandzki towarzysz nie odpowiedział na żadne z nich, więc Van Rysselberghe zaprowadził go prosto do kabiny Cooka.

Lekarz zbadał nowego pacjenta i doszedł do wniosku, że problem nie dotyczy ani jego uszu, ani strun głosowych, lecz głowy. Marynarz doświadczył ataku hysterii na granicy załamania psychicznego, a Cook obawiał się, że w najbliższych dniach jego stan może się jeszcze pogorszyć. Dlatego zalecił towarzyszom chorego, by dyskretnie go obserwowali i ani na chwilę nie spuszczaali z oczu - zalecił dwugodzinne dyżury, by nawet nocą Van Mirlo nie był sam.

Marynarz w ciągu tygodnia odzyskał słuch i mowę, jednak jego stan psychiczny nic się nie poprawił. Jedną z pierwszych rzeczy, które powiedział, gdy odzyskał głos, była zapowiedź, że przy pierwszej sposobności zamorduje swojego przełożonego, głównego mechanika Henriego Somersa. Wykonane w tamtym czasie przez Cooka fotografie przedstawiają dwudziestojednoletniego, jasnowłosego Van Mirlo, którego wyraz twarzy i spojrzenie sugerują obłąd. Na jednym z portretów oczy młodego marynarza są niemal całkowicie białe, źrenice skierowane w bok, jakby patrzył na coś poza kadrem, co

wypełnia go przerażeniem, a dolna warga wykrzywia się w dziwnym uśmiechu.

Szaleństwo Van Mirlo bardzo głęboko poruszyło jego towarzyszy. Jedną rzeczą są wywołane ekstremalnym odosobnieniem smutek, depresja i cierpienie czy wyczerpanie spowodowane ciężką chorobą, jak u Danco, a czymś zupełnie innym obłąd. Szaleństwo Van Mirlo spotęgowało trwogę, którą przez ostatnie miesiące czuć było na pokładzie. Było ono jednocześnie przepowiednią najgorszego, które dopiero miało nadejść, i załóżkiem zupełnie nowego strachu – bo skoro Van Mirlo zapowiedział, że zabije Somersa, co powstrzymałoby go przed zmianą zdania i wyborem zupełnie innej ofiary? Od teraz załoganci musieli bać się nie tylko „żywiółów, które przysięgły się przeciwko nam” – pisał Lecointe, ale również „człowieka, który nie odpowiadał za swoje czyny”. Stan marynarza był ekstremalnym skutkiem ogólnej paniki, nad którą większości udawało się w jakimś stopniu panować.

Wbrew powszechnemu przekonaniu, że wraz z końcem zimy wszyscy chorzy powrócą do zdrowia, wydawało się, że stan członków ekspedycji bezustannie się pogarsza. Ogromne zaniepokojenie Cooka wywołało odkrycie nawrotu występowania dolegliwości fizycznych i psychicznych, które nękały podróżników w czasie długiej zimowej nocy – wcześniej zespół tych przypadłości opisał jako „polarną anemię”. De Gerlache’a dręczyły osłabiające bóle głowy, wywoływane, według lekarza, przez „problemy nerwowe”. Marynarze Johansen i Knudsen leżeli przykuci do łóżek przez zatrwającą opuchliznę nóg i tętno spoczynkowe sięgające stu pięćdziesięciu uderzeń na minutę. W tym samym czasie Arctowski, który jak zawsze musiał iść pod prąd, skarżył się na tętno na bardzo niepokojącym poziomie czterdziestu sześciu uderzeń na minutę. Wszystkich spośród najsłabszych, wliczając w to Melaertsa, Van Rysselberghe’a i Dobrowolskiego, którzy wkrótce potem tak podupadli na zdrowiu, że nie wstawali z łóżek, łączyła jedna wspólna cecha – odmawiali oni spożywania pingwiniego i foczego mięsa. To jednak nie było uniwersalne wyjaśnienie problemów

zdrowotnych, gdyż nawet zapaleni zjadacze świeżego mięsa, a do nich bez wątpienia zaliczyć było można Amundsena i Cooka, również nie czuli się dobrze. W tym samym czasie Tollefsen zaczął przejawiać dziwne i paranoiczne zachowania; unikał towarzystwa i podskakiwał ze strachu na każde, najlżejsze nawet skrzypnięcie drewnianej konstrukcji Belgiki.

Po dość krótkotrwałym sierpniowym wzroście temperatur na początku września wróciły mrozy i z furią rozpoczęły zemstę. Ósmego dnia tego miesiąca, o czwartej nad ranem, termometr zarejestrował 45,6 stopnia Celsjusza poniżej zera. Była to najniższa z temperatur, jakiej śmiałkowie doświadczyli w czasie tej wyprawy. Zamarzały przy niej rzęsy i zęby, kurczyły się gałki oczne, a nawet zwykłe oddychanie sprawiało ból i wywoływało napady kaszlu. Mróz uwięził członków wyprawy na pokładzie, a samą Belgicę jeszcze mocniej ścisnął w lodowym chwycie. Wystarczyła jedna noc, by słona morska woda pokryła się taflą lodu grubości dziesięciu centymetrów. Z bocianiego gniazda jak okiem sięgnąć nie było już widać nawet fragmentu niezamarzniętej wody.

Cook spojrział na bezkresną lodową pustynię i zobaczył świat spowity nieprzeniknionym białym całunem. Brak jakiegokolwiek ruchu przejmował grozą i ostrzegał o śmiertelnym niebezpieczeństwie. Lekarz uświadomił sobie wówczas, że warunkiem przetrwania wszystkich na pokładzie było uwolnienie statku, gdy tylko nastanie lato. Nie miał wątpliwości, że nawet jeśli Fridtjof Nansen i jego zaprawiona i twarda norweska załoga z Fram przetrwali trzy zimy pośród lodów, członkowie tej wyprawy nie mieli na to szans. Według jego oceny większość osób z Belgiki nie przeżyłaby nawet następnej zimy pośród lodowego paku. Ich stan zdrowia nie pozwalał również myśleć o kilkusetkilometrowym marszu w stronę lądu i to nawet przy założeniu, że oficerowie wiedzieliby, gdzie go szukać (a nie wiedzieli). Grubość lodu wokół statku sięgała miejscami kilku, a nawet kilkunastu metrów, tak że wielu wątpiło, by mógł on stopnieć sam z siebie - nie na tej szerokości geograficznej, gdzie z rzadka jedynie pojawiały się temperatury

powyżej zera stopni Celsjusza, a jeśli już, to nie na długo. Cooka najbardziej jednak uderzało zubożenie, jakie zdawało się ogarniać de Gerlache'a i Lecointe'a, jakby pogodzili się już z tym, że lód albo wypuści Belgicę ze swoich szponów, albo nie, a oni nie mają na to żadnego wpływu.

By uświadomić im powagę sytuacji, Cook oświadczył oficerom, że jeśli Belgica przed końcem lata nie umknie z lodowego paku, wielu na pokładzie czeka niechybna śmierć. Nie mogli czekać, by się przekonać, czy natura spojrzy na nich łaskawym okiem, czy nie. Nie był to również czas na rozważania, czy wyprawa zrealizuje zakładane cele i czy zostanie zapamiętana jako tryumf czy porażka. W tej chwili jedynym celem była walka o przetrwanie. Belgica znalazła się na prostej drodze, by stać się synonimem największej katastrofy w historii wypraw geograficznych i by jej nazwa wymieniana była w jednym szeregu z Jeannette, Terrorem i Erebussem. Od punktu, od którego nie będzie już mowy o odwróceniu, tłumaczył Cook, dzieliło ich jedynie kilka miesięcy.

Aż do tej chwili ani de Gerlache, ani Lecointe nie martwili się szczególnie wizją ewentualnej konieczności spędzenia jeszcze jednej zimy w lodowym paku. Od samego początku ich wiara w możliwość uwolnienia statku opierała się na pięciuset kilogramach tonitu, który znalazł się w ładowni Belgiki w dniu jej wypłynięcia z Belgii. Zakładali, że jeśli nie uda się opuścić paku w taki sposób, w jaki się tu dostali, ładunki wybuchowe miały pomóc wybić w lodzie drogę ku wolności. Tymczasem Cook swoją przemową zasiał w ich głowach ziarno zwątpienia i skłonił do przetestowania planu awaryjnego, co miało miejsce na samym początku mroźnego września.

Lecointe, z wykształcenia oficer artylerii, zgłosił się na ochotnika do przeprowadzenia eksperymentu. Zszedł do ładowni po odpowiednią ilość tonitu. Otworzył jedną ze skrzynek z materiałem wybuchowym i wyjął pojedynczą kostkę w kształcie długiej, wąskiej cegielki. Kiedy ścisnął ją nieco mocniej, zawartość przesyłała mu się między palcami. Wodoodporne opakowanie z parafiny całkowicie się rozpuściło

i przestało chronić białawy proszek, składający się niemal w równych częściach z bawełny strzelniczej i azotanu baru. Lecointe sięgnął po kolejną kostkę, lecz i ta okazała się niezdatna do użycia. Serce zamarło mu w piersi. Nerwowymi ruchami sprawdzał jedną po drugiej, by się ostatecznie przekonać, że bardzo wiele z nich zostało uszkodzonych. Stopiona parafina świadczyła dobitnie, że do zniszczenia tonitu doszło dużo wcześniej, w ekstremalnych temperaturach tropików. Rekordowe antarktyczne mrozy również nie pozostały bez wpływu na niebezpieczny ładunek – znaczna część lontów stała się tak sztywna, że pękała w palcach jak zapałki.

Lecointe przeglądał skrzynkę po skrzynce, aż udało mu się zgromadzić 160 relatywnie nieuszkodzonych kostek tonitu. Wyszedł z ładowni, zszedł na lód i ostrożnie umieścił ładunki wybuchowe na saniach, na których przetransportował je daleko od statku. Po połączeniu ich i umieszczeniu w śniegu, kapitan uzbroił bombę trzema zapalnikami z piorunianem rtęci i rozwinął długi lont. Asystującym mu oficerom – Amundsenowi, Cookowi i Arctowskiemu – polecił schować się za masywne wypiętrzenie lodu kilkaset metrów dalej. Eksplozja, ostrzegł, wstrząśnie całym pakiem i wyrzuci w powietrze potężne kawały rozerwanej tafli. Dopiero kiedy towarzysze byli bezpieczni, Lecointe zapalił lont i rzucił się biegiem w stronę ich schronienia.

Minęło pięć minut. Dziesięć. Przez pełne dwadzieścia minut do ukrytych śmiałków nie dotarł odgłos detonacji. Wyjrżeli nerwowo zza lodowego zwałowiska akurat na czas, by zobaczyć niewielki ogień, przypominający zapłon pudełka zapałek. Zaraz potem w niebo uniósł się słup czarnego, gęstego dymu, lecz nie towarzyszyła mu eksplozja. Mimo obaw, że w każdej chwili może nastąpić wybuch, który rozbije lodowy pak na kawałki, uniemożliwiając powrót na pokład Belgiki, czwórka odkrywców podjechała ostrożnie na nartach w poblizkie miejsca, gdzie ułożono tonit. To, co zobaczyli, wprowadziło ich w osłupienie – okazało się, że materiał wybuchowy jednak eksplodował! Powstały w wyniku detonacji krater był przygnębiająco niewielki, bowiem w paku powstała okopcona niecka o średnicy niecałych

czterech metrów i głębokości jednego. Tonic udało się jedynie stopić wierzchnią warstwę twardego morskiego lodu.

Następnego dnia Lecointe podjął kolejną próbę, tym razem łącząc pięćset kostek tonitu – ilość wystarczającą, by – w normalnych warunkach – obrócić Belgicę w stos drzazg. Zapalnik zasyczał, inicjując zapłon. Jednak zamiast eksplodować, materiał wybuchowy znów spłonął pod warstwą śniegu. „Widzieliśmy cudownie białe światło, które z czasem zmieniło barwę najpierw na żółtą, a potem zieloną i na tym koniec – nie doszło do żadnej eksplozji!” – zapisał Lecointe. „Wyjątkowo upokarzające doświadczenie”. (Przypominając, że tonic miał być „potężniejszym materiałem wybuchowym niż dynamit, a przy tym bezpieczniejszym”, Cook pozwolił sobie zażartować, że okazał się „znacznie bezpieczniejszy”).

Lecointe nie złożył jeszcze broni. Po zastanowieniu uznał, że to zimno musiało zmienić właściwości tonitu<sup>33</sup>. Żeby przetestować go we właściwy sposób, należało, zdaniem kapitana, najpierw go odtajać. Kilka dni po pierwszych próbach, w czasie których Lecointe ze strachu przed przypadkową eksplozją obchodził się z tonitem jak z jajkiem, kapitan upchnął sto sześćdziesiąt kostek materiału wybuchowego w swoim łóżku, by przez noc ogrzać je swoim ciałem. Mimo to kolejny test następnego dnia nie wypadł lepiej niż wszystkie poprzednie.

„Niniejszym straciłem wiarę w skuteczność tonitu” – zanotował Lecointe.

Porażka z materiałami wybuchowymi była nie tylko upokarzająca, ale też odbierała nadzieję na ratunek dla statku. Tonic w ładowni Belgiki dawał wszystkim poczucie, że mają szansę na walkę o swój los, gdyby lodowy pak z własnej woli nie wypuścił Belgiki z uścisku. Teraz jednak okazało się, że są bezwolnymi pionkami, które nie mają nic do powiedzenia. Zabezpieczenie zawiodło. A nie było planu awaryjnego.

Świadomość, że ich życie całkowicie zależy od humorzastego antarktycznego paku lodowego, podkopała i tak osłabione morale śmiałków z Belgiki, a to momentalnie znalazło odzwierciedlenie w ich zdrowiu psychicznym i fizycznym. Poza świeżym mięsem, światłem

dziennym i ćwiczeniami fizycznymi nadzieja była czwartym nieodzownym składnikiem w stworzonym przez Cooka schemacie leczenia. Właśnie się okazało, że jej zapas drastycznie się skurczył.

W jednym ważnym aspekcie natura okazała śmiałkom łaskę: w pobliżu statku znów zaczęły pojawiać się zwierzęta. Obowiązkowa dieta bazująca na zapobiegającym skorbutowi świeżym mięsie wymagała regularnego zabijania fok i pingwinów. Członkowie załogi czuli wobec tych zwierząt głęboką wdzięczność, graniczącą niemal z uwielbieniem. Przetrawanie łączyło się z demoralizującym, budzącym mdłości zajęciem. Zwierzęta zabijano każdego dnia, znacząc szkarłatnymi śladami biel lodowego paku. W większości relacji autorzy pomijali brutalność tego procederu, jednak w zapiskach Amundsena można znaleźć bardzo szczegółowe i beznamiętne opisy przemocy. Dla Norwega zabijanie zwierząt było po prostu kolejną z umiejętności, które należało opanować.

Pod koniec września Amundsen i Cook w czasie przejażdżki na nartach zauważyli fokę i ruszyli za nią w pogoń. „To było bardzo inteligentne zwierzę” – zapisał Amundsen. – „Zaatakowaliśmy z dwóch kierunków, doktor nartą, a ja czekaniem. Po moim pierwszym uderzeniu foka zaczęła bardzo się bać tego narzędzia. Zupełnie natomiast nie przejmowała się nartą, którą wywijał Cook. Polowanie stało się bardzo skomplikowane... interesujące, jak szybko takie zwierzę jest w stanie odróżnić niebezpieczny czekan od nieszkodliwej narty”. Zmagania takie mogły trwać nawet kilka godzin, zanim foka wydawała ostatni oddech.

Preferowaną metodą egzekucji była broń palna, lecz choć sam proces trwał krócej, w niczym nie zmniejszało to jego makabryczności. „Pierwsza kula wbiła się głęboko w prawe płuco” – notował Amundsen, opisując polowanie na fokę krabojada. – „Rana ta zdawała się nie przeszkadzać zwierzęciu, gdyż po krótkiej przerwie spowodowanej postrzałem ruszyło w dalszą drogę. Foka poddała się dopiero po kolejnych piętnastu minutach, kiedy następna kula przebiła jej krtań i aortę. Lecz nawet mimo śmiertelnych ran zwierzę walczyło jeszcze przez pięć minut. Niektóre z nich padają dopiero po szóstym postrzale



w głowę”. Po jakimś czasie wspólnie z Cookiem opracowali bardziej humanitarną technikę. „Strzelamy im w kark, w taki sposób, by pocisk przebił krtań i uszkodził mózg. Działanie jest wtedy niemal natychmiastowe”.

Nie każdy z marynarzy miał w sobie wytrzymałość i chłód Amundsena. Pewnego popołudnia pod koniec sierpnia Van Mirlo, który dopiero co znów zaczął mówić, lecz wciąż był niebezpiecznie niestabilny psychicznie, został poproszony o pomoc w przeniesieniu ciał pięciu fok, upolowanych i oprawionych na lodzie rankiem tego samego dnia. Mężczyzna prznosił akurat dziesięciokilogramowy kawałek mięsa, kiedy zaczął panicznie krzyczeć.

- Kapitanie! Ona żyje! Ona ożyła! - wyjąkał.

Van Mirlo podbiegł do Lecointe'a, który stał w pobliżu, i podsunął mu pod nos wycięty kawał mięsa z grzbietu foki, który dalej drżał. Kapitan, obeznany z nauką, rozumiał ponure zjawisko występujące w następstwie brutalnej śmierci, gdy ofiara kończyła życie, odczuwając bardzo silne emocje. Niestabilnego psychicznie Van Mirlo nie dało się przekonać, że zwierzę już nie cierpi.

Dwudziestego września de Gerlache położył się spać o szóstej wieczorem, jeszcze przed kolacją. Napadowe bóle migrenowe powróciły ze zdwojoną mocą, jakby zgrywając się z naporem lodu na burty statku. Przez następne tygodnie obezwładniony cierpieniem z rzadka tylko opuszczał swoją kabinę. „Jest smutny, milczący i łaknie samotności” - zapisał Lecointe.

De Gerlache zmagał się ze skutkami wszystkiego, co poszło nie tak: śmierci, cierpienia i braku nadziei po zakończonych niepowodzeniem próbach użycia tonitu. Jego depresję potęgowało na dodatek wzbierające poczucie winy. W połowie października Cook poinformował komendanta i kapitana, że u dwóch marynarzy, Melaerts'a i Michotte'ego, szkorbut osiągnął bardzo zaawansowane stadium - lekarz w końcu zdecydował się nazwać wprost przyczynę problemów, z którymi zmagali

się od miesięcy. Przekonywał przy tym de Gerlache'a i Lecointe'a, by zachowali tę wiadomość dla siebie i nie przekazywali jej załodze. „Komendant jest nad wyraz rozbity” – wspominał później Lecointe. – „Tak bardzo, że zadrecza się, samooskarżając o bycie przyczyną tych chorób!”.

Kilka dni później Cook przebadał de Gerlache'a i doszedł do wniosku, że i komendant jest mocno dotknięty szkorbutem. Belg przyjął tę wiadomość z pełnym rezygnacji spokojem – niedobra prognoza, którą właśnie usłyszał, martwiła go mniej niż złe rokowania jego ludzi. Stopniowo zaczynał się godzić ze świadomością, że może zakończyć życie na lodowym paku. Tego wieczoru spacerował pod ramię z Lecointe'em, który robił, co w jego mocy, by kierować rozmowę na przyjemne i lekkie tematy, głównie związane z życiem w Belgii, tak jak zabawiał konwersacją Danco w czasie ostatnich godzin jego życia. „Przywoływane i odświeżane wspomnienia zdawały się mieć dobry wpływ” – zapisał w dzienniku. „Podjęliśmy postanowienie, by każdego dnia dwie godziny spędzać razem”.

Oslabienie komendanta sprawiło, że znacznie więcej obowiązków spadło na barki Lecointe'a, Cooka i Amundsena, choć de Gerlache nie oddał dowodzenia wyprawą i nikt nigdy nie kwestionował jego pozycji na samym szczycie pokładowej hierarchii. Mimo to pojawiły się napięcia między nim a samozwańczymi rycerzami Zakonu Pingwina dotyczące dalszych planów ekspedycji.

Mimo wsparcia duchowego i pomocy, które Lecointe oferował swemu schorowanemu przełożonemu, pocieszając go i zabawiając w czasie codziennych przechadzek, dwójkę tę łączyła coraz bardziej zacięta korespondencja krążąca między kabinami, w ramach której wymieniali się uwagami głównie dotyczącymi trzeciego roku trwania ekspedycji Belgiki. W uporządkowanej głowie Lecointe'a jako wojskowego nie pojawiała się sprzeczność między tymi dwoma impulsami – czułe wsparcie i surowy krytycyzm postrzegał raczej jako swój obowiązek. Wyczuwał, że obie postawy są równie potrzebne, by pomóc de Gerlache'owi powrócić do zdrowia i dokończyć to, co zaczął.

Korespondencja między nimi rozpoczęła się kilka miesięcy wcześniej, bo już dwudziestego drugiego lipca, a więc w dniu powrotu słońca, kiedy komendant, szukając rady kapitana, skonsultował z nim swój poprawiony plan. Jak większość oficerów de Gerlache miał nadzieję, że pak popęka i rozstąpi się jeszcze przed nadejściem lata, może nawet już w połowie listopada. (Było to jeszcze przed nieudanym eksperymentem z tonitem, który zmniejszył prawdopodobieństwo uwolnienia się z lodów). Zgodnie z założeniami przedstawionymi przez komendanta Belgica ruszyłaby dalej na południe, by można było ustalić, czy znajduje się tam jakiś stały ląd, i przy okazji, jeśli to będzie możliwe, osiągnąć rekordową szerokość geograficzną, co wcześniej jej się nie udało, a przed ponownym spadkiem temperatur - zawrócić na północ, okrążyć Półwysep Antarktyczny i ruszyć w stronę Ziemi Ognistej, gdzie powinna dotrzeć przed połową marca. De Gerlache przedstawił szaleńczy harmonogram podróży wzdłuż zachodniego wybrzeża Chile i przez Pacyfik do Polinezji Francuskiej, by pod koniec listopada 1899 roku dotrzeć do Melbourne, gdzie zgodnie z początkowymi założeniami wyprawa miała spędzić zimę 1898 roku i gdzie czekać na nich miała poczta i pozostałe fundusze. Następnie Belgica wróciłaby na skraj antarktycznego paku i ruszyła wzdłuż niego na zachód, aż do Morza Weddella, by w ten sposób okrążyć cały kontynent. W połowie lutego 1900 roku statek znów pojawiłby się w kanale, wzdłuż którego wyrastały wysokie szczyty, a który wyprawa odkryła w pierwszych tygodniach 1898 roku (zwany przez odkrywców Cieśniną Belgiki), by umożliwić naukowcom dokończenie badań tego regionu. Dopiero wówczas rozpocząłby się powrót do Belgii.

Podejrzany był za to brak w nowym planie komendanta jakiegokolwiek wzmianki dotyczącej zdobycia południowego bieguna magnetycznego, który powinien znajdować się w pobliżu Ziemi Wiktorii, po drugiej stronie kontynentu, na południe od Australii. Osiągnięcie tego punktu znajdowało się na liście najważniejszych celów wyprawy, przedstawionej Belgijskiemu Królewskiemu Towarzystwu Geograficznemu, zatem w dokumencie, który zjednoczył opinię

publiczną i prasę i który przez astronoma Charles'a Lagrange'a został określony mianem *raison d'être* ekspedycji. Zdobycie południowego bieguna magnetycznego stanowiłoby wieczną spuściznę de Gerlache'a i zagwarantowałyby sukces wyprawy. Komendant wcześniej marzył o tym skrycie i wyobrażał sobie ze szczegółami, że on i Danco znaleźliby się w składzie czteroosobowej grupy ruszającej na jego poszukiwania.

To jednak miało miejsce, zanim lód uwięził Belgicę na Morzu Bellingshausena, zanim de Gerlache zaczął chorować i zanim Danco zmarł. Przed drugą połową lata taka eskapada w ogóle nie wchodziła w rachubę. Nawet przy założeniu, że dałoby się rozciągnąć niemal wyczerpany już budżet ekspedycji, komendant miał wątpliwości, czy dożyje końca 1898 roku, więc tym bardziej nie mógł myśleć o wyczerpującym marszu przez skutny lodem ląd w roku kolejnym. Koniec końców, nikogo o tym nie informując, ominął ten punkt przy aktualizacji planu wyprawy.

Trzy tygodnie później, piętnastego sierpnia, Lecointe przesłał mu w odpowiedzi swoją kontrpropozycję, którą sformułował, bazując na rozmowach z Cookiem i Amundsenem, zaraz po ich powrocie z wyprawy obozowej po lodowym paku. Z brutalną otwartością i szczerością, które de Gerlache tak bardzo w nim cenił, kapitan w metodyczny sposób wyłuszczył argumenty przeciwko harmonogramowi przedstawionemu przez komendanta. „Plan, by płynąć dalej na południe, nie znajduje uzasadnienia” – napisał. Wyjaśniał, że próba osiągnięcia jeszcze wyższej szerokości geograficznej na Morzu Bellingshausena oznaczała ryzyko kolejnego zimowania w lodowym paku i kolejnych ofiar. Kapitan przypomniał o fatalnej kondycji psychicznej i fizycznej załogi. „Swoją ocenę opieram na informacjach, które codziennie otrzymuję od lekarza ekspedycji [Cooka]. Nie dość, że żaden z marynarzy nie jest w stanie zmusić się do jakiegokolwiek dodatkowego wysiłku, to jeszcze nie mogą wykonywać przewidzianych dla nich codziennych zadań. Sytuacja bez wątpienia ulegnie poprawie, jednak, jeśli dobrze zrozumiałem słowa lekarza,

trudności za sprawą pojedynczego zdarzenia mogą powrócić, a nawet się spotęgować”.

„Dobrovolski [sic], Johansen i Knudsen są poważnie dotknięci chorobą. Nie możemy już polegać na Van Mierlo [sic], gdyż jego stan psychiczny na to nie pozwala; co się stanie, jeśli choć jeden z pozostałych nie wytrzyma brzemienia obowiązków, zbyt wielkiego dla ich osłabionych sił?”.

Lecointe zaproponował następnie, by zamiast podążać na południe, ekspedycja zawróciła na północ, kiedy tylko lód wypuści ją ze swego uścisku. Belgica wróciłaby wtedy do Cieśniny Belgiki i bezzwłocznie ruszyła dalej, do Punta Arenas, gdzie załoga otrzymałaby, zgodnie z silną sugestią Cooka, przynajmniej miesiąc odpoczynku, by pozwolić jej nacieszyć się „całkowitą wolnością”, i to niezależnie od niebezpieczeństwa ponownego złamania dyscypliny. Następnie ekspedycja skierowałaby się do Melbourne. Lecointe sugerował ominięcie planowanych postojów w Valparaíso i przy wyspach archipelagu Polinezji Francuskiej, gdyż uważał, że ich statek nie jest na to odpowiednio przygotowany.

Najbardziej drastyczne różnice między propozycją Lecointe’a i planem de Gerlache’a dotyczyły działalności wyprawy w trzecim roku jej trwania. Przeczuwając, że komendant nie czuł się na siłach, by poprowadzić pieszy marsz w stronę południowego bieguna magnetycznego, Lecointe zgłosił się do tego zadania na ochotnika, na towarzyszy wskazując Cooka i Amundsena, współczłonków Zakonu Pingwina. Zaproponowany przez niego harmonogram bazował na przedstawionej przez lekarza wizji, która z kolei była bardzo podobna do planów ekspedycji wymyślonej przez Cooka wcześniej, w czasach gdy wsparcia dla swoich przedsięwzięć szukał w towarzystwach naukowych w Ameryce i wśród osób pokroju Andrew Carnegiego.

Zgodnie z przedstawioną propozycją de Gerlache miał pod koniec wiosny 1899 roku wpłynąć Belgicą na Morze Rossa i wysadzić Cooka, Amundsena i Lecointe’a najbliżej, jak uda się dopłynąć do Przylądka Gaussa, na wybrzeżu Ziemi Wiktorii, zaopatrzonych w prowiant

pozwalający przetrwać sto dni. Stamtąd grupa śmiałków ruszyłaby na nartach i z psim zaprzęgiem za wskazaniem magnetometru, by ustalić lokalizację bieguna magnetycznego. Cook przekonał pozostałych, że psie zaprzęgi, jakie podpatrzył u Inuitów na Grenlandii, to najwydajniejszy środek transportu po lodzie. Psy są lekkie i przygotowane przez naturę do znoszenia niskich temperatur. Ich wykorzystanie pozwoliłoby dodatkowo zmniejszyć koszty całego przedsięwzięcia oraz masę transportowanego prowiantu i tym samym oszczędzić ludziom energię – a były to kluczowe kwestie w misji, gdzie liczył się każdy centymetr, każdy gram, każda sekunda, każda kaloria i każdy przebyty kilometr. Tym bardziej że każdy pies mógłby zostać potraktowany jako poruszające się o własnych siłach źródło pożywienia. W liście do de Gerlache'a Lecoite pisał z tyleż okrutną, co prostolinijną logiką: „Gdy skończy się pożywienie dla psów, zwierzęta zostaną zjedzone, a ciągnięcie sani spadnie znów na ludzi”.

Była to radykalna propozycja. Wielu polarników, w tym sam Nansen, rozumiało zalety psich zaprzęgów. Jednak nigdy wcześniej nie próbowano korzystać z nich na Antarktydzie i żaden z podróżników nie zakładał spożycia tych zwierząt jako części swojej strategii.

W czasie gdy grupa trzech śmiałków próbowałaby zlokalizować biegun magnetyczny, Belgica miała odpłynąć na lato do Melbourne, by z początkiem zimy wrócić w okolice Przylądka Gaussa i podjąć z lodu Lecoite'a, Cooka i Amundsena.

W podsumowaniu kapitan napisał: „Byłoby dobrze, gdybyśmy mogli liczyć na niezwłoczną odpowiedź, gdyż podjęcie koniecznych przygotowań oraz różnorodnych testów, jak i przeprowadzenie niezbędnych wyliczeń zajmie ogromnie dużo czasu; tak wiele, że trzeba zabrać się do pracy najszybciej, jak to możliwe”.

Tej samej nocy, oczekując odpowiedzi komendanta, Lecoite zastanawiał się, czy nie przekroczył powierzonych mu kompetencji, otwarcie odrzucając plan dowódcy i wyciągając rękę po najcenniejszy klejnot wśród celów Belgijskiej Ekspedycji Antarktycznej – wyznaczenie bieguna magnetycznego – i chcąc go dla siebie i dwóch obcokrajowców.

Biorąc pod uwagę labilny stan de Gerlache'a, trudno było przewidzieć reperkusje takiego tupetu.

Następnego popołudnia Lecointe, Amundsen i Cook spotkali się z de Gerlache'em, by osobiście omówić propozycję. Komendant podziękował oficerom za przedstawione pomysły, jednak nie zadeklarował, czy zgadza się z planem dotyczącym południowego bieguna magnetycznego. Przez kolejnych pięć tygodni trzymał ich w napięciu i niepewności, by w końcu dwudziestego drugiego września zwołać zebranie i ustalić kierunek działań na okoliczność uwolnienia Belgiki z lodowego paku. Wszyscy wyrazili zgodę na podróż do Ameryki Południowej zgodnie z sugestiami przedstawionymi przez Lecointe'a we wcześniejszym liście.

Na koniec Cook wyrzucił z siebie pytanie, które nie dawało spokoju jemu, Amundsenowi i Lecointe'owi: czy de Gerlache zaakceptuje proponowaną przez nich podróż na południowy biegun magnetyczny, czy nie? Komendant, rozdarty między poczuciem obowiązku przywiezienia z wyprawy obiecane trofeum, i uznaniem swojej słabości fizycznej, która nie pozwalała mu ruszyć po nie osobiście, wciąż jeszcze nie podjął decyzji. Uznał jednak, że należy tę sprawę przegłosować. Na początek zapytał zebranych, czy uzasadnione byłoby poświęcenie trzeciego roku ekspedycji na zlokalizowanie bieguna magnetycznego oraz czy każdy z nich byłby gotów zobowiązać się do pozostania na pokładzie Belgiki podczas 1900 roku. Racovitza i Arctowski czuli, że nie mieli dość czasu na przeprowadzenie dogłębnych badań Cieśniny Belgiki, jednak żaden z nich nie palił się do przedłużenia pobytu w Antarktyce, a więc obaj wstrzymali się od głosu. De Gerlache nie miał już w sobie pewności, czy podoła przez kolejny rok dowodzić statkiem, i to nawet gdyby przy Przylądku Gaussa pozostał na pokładzie, zostawiając biegun magnetyczny trójce pozostałych. Mimo to czuł, że jeśli chce zachować czyste sumienie, nie może sprzeciwiać się próbie realizacji celu, który przecież sam wyznaczył. Dlatego też, podejmując wyzwanie rzucone przez Lecointe'a, Cooka i Amundsena, zagłosował za realizacją ich planu,

scedowawszy na Zakon Pingwina potencjalną chwałę, która ze wszechmiar należała się jemu. Sześciu mężczyzn uczestniczących w spotkaniu podpisało się pod spisanyymi oficjalnymi wnioskami.

De Gerlache długo zastanawiał się nad przebiegiem zebrania i doszedł do wniosku, że powinien być wykazać się większą determinacją w kwestii realizacji celu, który roztoczył przed swoimi darczyńcami i sponsorami przed wypłynięciem z Belgii. Dlatego też następnego dnia zwrócił się do Lecointe'a z prośbą o zmianę treści protokołu z przebiegu spotkania. Nie chciał, by przyszłe pokolenia wiedziały o jego niepewności. I tak w miejsce otwarcia dyskusji pytaniem swoich oficerów, co oni myślą w kwestii planów – obawiał się bowiem, że może to zostać wzięte za bojaźń – de Gerlache pragnął umieścić bardziej zdecydowane i stanowcze oświadczenie, licujące z rolą przywódcy: „Jestem formalnie zobowiązany do poprowadzenia wyprawy przez kolejny, trzeci rok i ruszenia w stronę Morza Rossa i bieguna magnetycznego. Kto spośród was czuje się w tej chwili na siłach, by towarzyszyć mi w dalszej podróży?”.

Przed rozpoczęciem ekspedycji Lecointe poprzysiągł de Gerlache'owi szacunek „na zawsze i w każdej sytuacji” i zapewnił o niezachwianym oddaniu, powtarzając: „znajdzie pan we mnie swoje »drugie ja«”. Od tamtego czasu jednak relacja między nimi się zmieniła. W przekonaniu kapitana prośba de Gerlache'a była przesadą. Lecointe, wierny najsamprzód zasadom, odpowiedział komendantowi, że nikt nie ma prawa, by zmienić pisemny protokół zebrania. Kapitan był gorliwie lojalny, lecz nawet jego lojalność miała swoje granice. De Gerlache doznał tego dnia do jednej z nich.

We wrześniu nadeszły nagłe roztopy i spowodowały odrywanie się od masztów i takielunku brył lodu, które rozbijały się z hukiem na drewnianym pokładzie. Nie minęło wiele czasu, a wyższe temperatury doprowadziły do dezintegracji lodowego paku, i to znacznie wcześniej, niż przewidywano. Dookoła statku zaczęły pojawiać się pęknięcia, na wodzie unosiła się kora, a niecałe sześćset metrów od Belgiki otworzyła



się potężna połąć niezamarzniętej wody. Wolność była bliżej niż kiedykolwiek od czasu wpadnięcia w lodowe okowy. Ku powszechnemu zaskoczeniu i radości wydawało się, że lodowa skorupa rozpadnie się na pojedyncze kry i to być może nawet jeszcze przed końcem roku.

By przekonać się, czy możliwe jest przyspieszenie tego procesu, podróżnicy przeprowadzili dwa kolejne eksperymenty z tonitem. I choć ładunki wybuchowe nie spowodowały większych zniszczeń, tym razem przynajmniej eksplodowały. Wilgotność i wyższa temperatura najwyraźniej zwiększały moc tonitu, ale też i jego czułość: ze względów bezpieczeństwa załoga przeniosła niemal pół tony niebezpiecznego ładunku na pole spiętrzonych bloków lodu kilkaset metrów od statku. „Nie czuliśmy się już zbyt komfortowo, trzymając to pod pokładem” – zapisał Amundsen. Mając świadomość mnogości problemów, z jakimi zmagala się załoga, nikt nie uważał, by rozsądnie było obarczać marynarzy nieustającą obawą, że w każdej chwili statek może wylecieć w powietrze.

Przygotowując się do wykorzystania pierwszej sposobności, by ruszyć w dalszą drogę, najsprawniejsi członkowie załogi zajęli się rozbiórką zadaszona wzniesionego na śródkręciu. Mimo to Belgice daleko było do gotowości: część wyposażenia znajdowała się na lodzie dookoła kadłuba, żagle czekały złożone pod pokładem, kocioł był wygaszony, w rurach silnika parowego zagnieździły się szczury, w ładowni panował nieporządek, a znaczna część podróżników była obłożnie chora.

Problemy nastęrczało również ponowne zamieszanie dotyczące kwestii kursu, jaki Belgica miałaby obrać po uwolnieniu się z lodu. Dwudziestego czwartego i dwudziestego szóstego października, mniej więcej w czasie, gdy de Gerlache dowiedział się o tym, jak poważnie dotknął go skorbut, napisał do Lecointe'a dwa listy, których treść wprawiła kapitana w osłupienie, jako że wywracała porządek dotychczasowych ustaleń. De Gerlache, choć nie napisał tego wprost, bardzo jednoznacznie zasugerował, że czuje się zbyt chory, by rozważyć uczestnictwo w trzecim roku wyprawy Belgiki. Wyraził pragnienie

zejścia z pokładu natychmiast po dotarciu do Ameryki Południowej, zezłomowania statku i powrotu do Europy. Za niepotrzebny zbytek uważał transportowanie Lecointe'a, Cooka i Amundsena do Przylądka Gaussa i czekanie, by sięgnęli po należną mu chwałę. Jeśli trójka oficerów dalej miała w planach poszukiwanie bieguna magnetycznego, de Gerlache proponował, by sami zorganizowali kolejną wyprawę i w styczniu 1900 roku wyruszyli z Europy do Ziemi Wiktorii, by założyć tam obóz, w którym spędzą zimę. Wysunął zaskakującą sugestię, by w drodze na Antarktydę udali się do Nowego Jorku i zakupili tam niewielki szkuner. Mogliby, pisał dalej, nająć w Ameryce załogę i udać się z nią do Melbourne, a następnie w stronę Przylądka Gaussa. Komendant zaoferował wręcz pomoc w zdobyciu pieniędzy na zakup nowego statku, poprzez skontaktowanie Lecointe'a z australijską gazetą, z którą pozostawał w kontakcie – być może nawet z tą, której pierwotnie sam planował sprzedać historię ekspedycji na biegun, w czasie gdy jeszcze zamierzał ją poprowadzić.

Tym razem Lecointe nie krył w swojej odpowiedzi irytacji graniczącej z nieuprzejmością. Zmiana nastawienia de Gerlache'a – w pewnym zakresie uzasadniona, biorąc pod uwagę powagę jego stanu – jawiła się kapitanowi jako porzucenie obowiązków. „Jeśli o mnie chodzi, nie mogę przystać na zaproponowany plan” – pisał Lecointe w długim liście datowanym na dwudziestego szóstego października, raczej pozbawionym pełnych szacunku form i zwrotów, które cechowały ich wcześniejszą korespondencję. Lecointe przypuszczał, że skorbut, depresja i zmęczenie osłabiły wolę de Gerlache'a i odebrały mu zdolność jasnego myślenia, toteż napisany przez niego list był próbą wstrząśnięcia komendantem, by go otrzeźwić. Kapitan odnosił się po kolei do każdego z przedstawionych pomysłów, wytykając ich absurdalność, a całość podsumował bardzo jednoznacznie: „Nie mogę zaakceptować przedstawionych sugestii... gdyż w kontrakcie podpisanym przez każdego z oficerów znalazła się Wasza dobrowolna deklaracja chęci i gotowości do wyruszenia na Morze Rossa i dowodzenia jednostką, która zabierze nas do Przylądka Gaussa”.

Odmówiwszy już wcześniej wprowadzenia poprawek do podjętych w grupie ustaleń, o które prosił go de Gerlache, Lecointe miał w ręku argument, którego nie zawahał się użyć w sporze z przełożonym.

Mimo że przez kilka nadspodziewanie ciepłych dni na początku października wszędzie dookoła lód pękał, szeroka na ponad trzy kilometry kra, pośrodku której tkwiła Belgica, uparcie trwała niepodzielona. Szansa na uwolnienie się zniknęła w drugiej połowie miesiąca, gdyż znów spadły temperatury, świeżo otwarte kanały pokryła warstwa lodu, a z nieba sypnął śnieg. Padało przez tydzień, potem drugi i trzeci.

Ostatecznie przestało sypać po dwudziestu pięciu dniach nieprzerwanej śnieżycy. Z bocianiego gniazda we wszystkich kierunkach widać było nieskażoną niczym biel, ciągnącą się od horyzontu do podstawy głównego masztu. Niesiony wiatrem biały puch zasypał pokład ponad metrową warstwą i stworzył zasy sięgające od paku do samych relingów, ukrywając sięgający rufy grzbiet lodowy. „Widać już tylko maszty” – zapisał Cook.

Belgica miała być gotowa, by w połowie listopada uwolnić się i ruszyć w dalszą drogę, lecz kiedy nadeszła połowa miesiąca, statek przykrył śnieg, spod którego niczym trzy cementarne krzyże wystawały samotne drzewce masztów. „Jeśli nic się nie zmieni” – notował Arctowski w pamiętniku – „śnieg pochłonie całą Belgicę bez wyjątku”.

## Rozdział 15

### **CIEMNOŚĆ PRZY SŁOŃCU**

PÓŻNYM WIECZOREM SZESNASTEGO LISTOPADA zachodzące słońce musnęło jedynie horyzont i zaczęło wspinać się po nieboskłonie, gdzie miało pozostać przez najbliższe dwa miesiące: po niekończącej się nocy dla Belgiki zaczynał się niekończący się dzień. Chwila ta byłaby zapewne bardzo ciekawa i warta poświęcenia czasu, gdyby nie gęste i ciężkie chmury, które całkowicie zasłoniły niebo, uniemożliwiając podróżnikom obserwację horyzontu i słońca. I tak, zamiast niezapomnianego spektaklu czekał ich jedynie widok ponurego, szarawego światła, podkreślającego ogłupiającą monotonię lodowego paku.

„Czy może istnieć gdziekolwiek miejsce bardziej melancholijne, bardziej wpędzające w szaleństwo i odbierające wszelką nadzieję?” – pisał Cook. – „Burze, nawałnice i ustawiczne wycie wiatru zacinającego śniegiem to nasi nieodłączni towarzysze... Wiecznie szare i zachmurzone niebo; powietrze pełne wilgoci, zimne i w nerwowym ruchu; w takich warunkach umysł ludzki szybko zaczyna przyjmować podobne postawy”.

Posępna pogoda, klaustrofobiczne pomieszczenia, szalejąca choroba, nieprzebrane masy szczurów i oddalająca się wizja ratunku tworzyły razem idealne warunki, by wspólna niedola przerodziła się we wrogość. Mniej więcej w tym właśnie czasie Somers napisał do de Gerlache'a list, w którym uskarżał się na znęcanie się ze strony młodszego marynarza, a co gorsza jego asystenta, Maxa Van Rysselberghe'a. „Dotychczas zawsze powstrzymywałem się przed użyciem przemocy” – pisał Somers. – „Lecz obawiam się, że pewnego

dnia moja cierpliwość się wyczerpie i w szale złości mogę nie być w stanie dalej się kontrolować”.

Otwarty opór wobec decyzji komendanta rozlał się poza członków samozwańczego Zakonu Pingwina, kiedy Arctowski, uparty meteorolog, zarzucił de Gerlache'owi, że podkopyje jego pozycję. W następstwie ogólnego zebrania z trzynastego listopada, dotyczącego dysponowania próbkami pobranymi w trakcie ekspedycji oraz wynikami prowadzonych obserwacji, Arctowski wyraził zdecydowany sprzeciw wobec rozkazu, zgodnie z którym wszystkie dane meteorologiczne miały zostać przekazane komendantowi, by umożliwić mu włączenie ich do dziennika pokładowego i tym samym dostarczenie tych informacji, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami z Belgijskim Królewskim Towarzystwem Geograficznym, rodzimej służbie meteorologicznej. Dając do zrozumienia, że nie ufa składanym w dobrej wierze zapewnieniom de Gerlache'a, jakoby rząd belgijski miał umożliwić mu dostęp do zgromadzonych przez siebie danych, Arctowski odmówił przekazania komendantowi jednego z notatników. Ponieważ nie posiadał formalnego wykształcenia uniwersyteckiego, obserwacje dokonane w trakcie ekspedycji oraz ich analiza miały być konkretnymi osiągnięciami, którymi mógłby wzmocnić swoją pozycję.

Przez kilka kolejnych tygodni między laboratorium Arctowskiego i kabiną de Gerlache'a trwała bardzo ożywiona wymiana coraz bardziej wrogiej korespondencji. (Warto zwrócić uwagę na fakt, że mieszkający tak blisko siebie podróżnicy uciekali się do pisemnej komunikacji z komendantem. Robili tak, by z jednej strony mieć możliwość do prześledzenia zapis pogłębiających się nieporozumień, a z drugiej strony również ze względu na zachowanie de Gerlache'a, który wraz z postępowaniem choroby stawał się coraz bardziej wycofany). Z każdą przesyłaną odpowiedzią naukowiec coraz bardziej tracił panowanie nad sobą i pozwalał sobie na impertynencje. Wyprawa od samego początku była źle zaplanowana i przygotowana, zarzucał komendantowi, i - podobnie jak jej dowódca - nastawiona była bardziej na przygodę niż na rzetelne badania naukowe. „Cele, które nam przyświecają, [są]

niestety zbyt różne” – pisał; dodał, że abstrahując od tego, de Gerlache i tak nie byłby w stanie zrozumieć zebranych przez niego danych. W odpowiedzi na – w jego odczuciu – dyktatorskie żądania de Gerlache’a napisał: „Dołożę wszelkich starań, by przy pierwszej sposobności ku temu, uwolnić się spod [pańskiego] zwierzchnictwa”.

W kolejnej, ostatecznej odpowiedzi de Gerlache, broniąc się przed zarzutami, przypomniał Arctowskiemu, że choć jest „[de Gerlache] prostym marynarzem bez naukowego przygotowania”, od samego początku naciskał przecież, by wyprawa miała charakter głównie naukowy. A jednak niezachwiane dotychczas opanowanie de Gerlache’a w końcu zaczęło się kruszyć. Brudnopis tego listu skreślony został niepewną dłonią. Celne słowa, które dotychczas tak naturalnie przelewał na papier, tym razem nie chciały się pojawić. Co rusz poprawiał sam siebie, robił błędy, umieszczał liczne poprawki, by nerwowymi liniami wykreślać całe akapity.

Na tym samym spotkaniu, trzynastego listopada, de Gerlache zyskał znacznie niebezpieczniejszego wroga niż Arctowski i to jego obawiał się daleko bardziej. W trakcie narady Amundsen odkrył mianowicie dowód na coś, co uznał za akt niewybaczalnej zdrady. Omawiając dalsze obowiązki ekspedycji, w celu konsultacji oficerowie sięgnęli do kontraktu podpisanego przez de Gerlache’a i Lecointe’a z Belgijskim Królewskim Towarzystwem Geograficznym. Amundsen wcześniej nie miał możliwości wglądu w ten dokument, a kiedy przeczytał poniższy paragraf, zrozumiał, dlaczego tak się stało.

*W razie gdybym w czasie trwania ekspedycji miał przestać być komendantem statku i gdyby pan Lecointe nie mógł przejąć dowództwa, w mojej gestii będzie leżała decyzja, kto mnie zastąpi. Mój następca zostanie wskazany spośród belgijskich oficerów lub członków załogi, lub naukowców, a odstąpienie od tej zasady będzie możliwe tylko w przypadku, gdyby absolutnie nie dało się jej spełnić. W takiej sytuacji dowództwo może zostać przekazane osobie obcej narodowości.*

*Bruksela, dziewiętnasty marca 1897 roku<sup>34</sup>*

[podpisano] *Adrien de Gerlache*

Amundsen był zbyt osłupiały, by cokolwiek z siebie wykrztusić. Czuł wzbierający gniew. Zgodnie z odwieczną morską tradycją oraz formalną hierarchią na pokładzie Belgiki, on, jako pierwszy oficer, miał wszelkie prawo do przejęcia dowództwa na statku w przypadku śmierci komendanta. Biorąc pod uwagę wysokie prawdopodobieństwo takiego rozwoju sytuacji – obaj, de Gerlache i Lecointe, mieli niedługo spisać swoją ostatnią wolę – kwestia przejęcia dowodzenia Belgicą nie była czysto teoretycznym zagadnieniem. Tymczasem zapis stanowiący, że ster ma przypaść w udziale Belgowi, „a odstąpienie od tej zasady będzie możliwe tylko w przypadku, gdyby absolutnie nie dało się jej spełnić”, wskazywał, że Amundsen zostanie pominięty w tym procesie. Ponieważ Danco zmarł, stanowisko kapitana objąłby trzeci oficer, Jules Melaerts, antypatyczny współlokator Amundsena, który z własnej woli wybrał przeniesienie do zatłoczonego forpiku. Dla Norwega było to upokorzenie najgorsze z możliwych. Dokument nosił podpisy wszystkich oficerów i naukowców na pokładzie (z wyjątkiem Cooka, który dołączył do wyprawy w ostatniej chwili). Amundsen był przekonany, że kontrakt celowo został przed nim zatajony.

Po spotkaniu porozmawiał z Lecointe'em na osobności i poprosił przyjaciela, aby wyjaśnił mu, skąd wzięły się takie ustalenia. Ponieważ odpowiedź kapitana nie usatysfakcjonowała Amundsena, zdecydował się on skonfrontować z powziętą przez siebie wiedzą de Gerlache'a. Na zakończenie poinformował komendanta, że „nigdy nie dołączyłby do tej ekspedycji, gdyby w Belgii miał wgląd w ten dokument”.

Amundsen przez cały dzień kipiał z wściekłości. Kiedy wśród oficerów rozeszła się wiadomość o jego niezadowoleniu, ci pospieszyli ze wsparciem. Cook uznał, że „towarzystwo geograficzne nakreśliło wyraźne rozgraniczenie między uczciwymi Belgami i nieuczciwymi

obcokrajowcami". Racovitza przytaknął takiemu postawieniu sprawy, i nawet Lecointe wyraził zrozumienie dla ich punktu widzenia.

Następnego ranka Amundsen zażądał spotkania z komendantem. Zdeprimowany zapalczywą wściekłością pierwszego oficera, de Gerlache poprosił go, by przez najbliższe dwa dni starannie przemyślał, co ma do powiedzenia. Kiedy minął ten czas, Norweg wmaszerował do kabiny komendanta i nie owijał w bawełnę: w przeciwieństwie do Arctowskiego nie zamierzał czekać na zejście z pokładu, by zrezygnować z uczestnictwa w ekspedycji.

„Pozwolę sobie w kilku słowach przedstawić moje stanowisko, komendancie” – oznajmił de Gerlache’owi. – „Od chwili powzięcia wiedzy o umowie między panem a towarzystwem geograficznym moje stanowisko na statku uważam za nieistniejące. W moim odczuciu to nie jest już Belgijska Ekspedycja Antarktyczna, a Belgica to zwykły statek, który utknął uwięziony przez lód. Moim czysto ludzkim obowiązkiem jest pomóc wszystkim na pokładzie. Z tego i tylko z tego powodu będę dalej wykonywał swoją dotychczasową pracę, jakby nic się nie wydarzyło; spełnię swój ludzki obowiązek”.

De Gerlache był zaskoczony. Nie potrafił zrozumieć, co Amundsen miał na myśli w kwestii poleceń i rozkazów: czy będzie je wykonywał, czy nie. Jedyne, co nie budziło jego wątpliwości, to fakt, że od tej chwili pierwszy oficer stanowił realne i poważne zagrożenie dla jego władzy. Ponownie nie mogąc znaleźć właściwych słów, oznajmił Amundsenowi, że póki tkwią w uścisku lodu, nie widzi możliwości wyjaśnienia tej kwestii.

Amundsen zgodził się w tym względzie z komendantem. Tragiczna sytuacja Belgiki zmusiła go do zakończenia dyskusji inaczej, niż miałyby ochotę. Nie mógł pozwolić sobie na trzaśnięcie drzwiami i zejście z pokładu, by ostatecznie odejść. Czy mu się to podobało, czy nie, byli na siebie skazani. Wiedział, że następnego ranka zasiądzie z de Gerlache’em przy jednym stole i razem spożyją śniadanie, i to mimo że złożywszy rezygnację z pełnionej funkcji, nie miał żadnego interesu, by dalej przebywać w kabinach dla oficerów.



Cook doradził mu, by swój żal zawarł w formie pisemnej. Pierwszy oficer posłuchał przyjaciela i napisał długi list – po norwesku – który dostarczył do kabiny de Gerlache’a dziewiętnastego listopada. – „Panie Komendancie, jeśli posiadał Pan wiedzę, że kontrakt został wysłany... do wszystkich z wyjątkiem mojej osoby” – pisał Amundsen – „tym bardziej potwierdza Pan jego treść. A tym samym, że moja funkcja nie ma dla Pana znaczenia. Z własnej woli i dla ogólnego dobra zgłosiłem się do udziału w tym przedsięwzięciu. Nie jest więc to kwestia pieniędzy, a sprawa honoru. Pan jednak zdecydował się podeptać ten honor, odmawiając należnych mi praw”.

Zaraz po zapoznaniu się z treścią listu Amundsena de Gerlache położył na biurku kartkę z oficjalnej papeterii wyprawy, zanurzył stalówkę w kałamarzu i zamarł z dłonią uniesioną nad pustym papierem, deliberując nad odpowiedzią. Wcześniej uwikłał się już w wymianę gorzkich wiadomości z kapitanem ekspedycji i jednym z naukowców. Teraz utracił zaufanie pierwszego oficera. Z jednej strony, gdyby zdecydował się podtrzymać ważność zapisów kontraktu, podsyciłby jedynie gniew młodego i imponującego fizyczną siłą oficera, który w lekarzu wyprawy znalazł bliskiego i wiernego stronnika, który nawiązał bliskie przyjacielskie relacje z kapitanem i który stał się nieformalnym przywódcą norweskiej części załogi. Choć de Gerlache nie wierzył, by charakter pozwolił Amundsenowi wywołać bunt na pokładzie, nie mógł takiej ewentualności wykluczyć. Z drugiej jednak strony, gdyby podważył zapis umowy i pozwolił obcokrajowcowi przejąć dowodzenie ekspedycją, bo z tym wiązały się żądania Amundsena, de Gerlache zdradziłby swoich darczyńców i mecenasów w ojczyźnie, wobec których był dotąd bezsprzecznie lojalny.

De Gerlache trwał w bezustannym strachu przed ocenami swoich mecenasów i belgijskiej prasy, jednak tragiczna sytuacja Belgiki pomogła mu zrewidować dotychczasowe priorytety. Lód kosztował go na razie jego statek i jego zdrowie. Bez wsparcia załogi nic mu nie pozostało. W jego głowie nie mogło być cienia wątpliwości co do faktu, że to Amundsen winien dźwżyć stery ekspedycji. Nikt na pokładzie nie

miał najmniejszych wątpliwości, że potężny Norweg ma zadatki na wybitnego polarnego odkrywcę, zdolniejszego i bardziej nieprzeciętnego niż Ross, Nansen czy nawet fikcyjny kapitan Nemo – bohater, jakim sam młody de Gerlache chciał zostać, gdy dorośnie. Przerażeniem napawała sama myśl, że zamiast Amundsena to Melaerts mógłby kiedykolwiek przejąć dowodzenie statkiem, bo w takim przypadku najprawdopodobniej już nikt nigdy nie zobaczyłby Belgiki ani żadnego z podróżników na jej pokładzie. Koniec końców de Gerlache uznał, że niezależnie od tego, jakie zobowiązania podjął w stosunku do Belgijskiego Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w imię narodowej dumy, mają one drugorzędne znaczenie, kiedy chodzi o powodzenie wyprawy. Teraz jego ojczyzną była Belgica. Namaści Amundsena. A z pełnym dezaprobaty pochrząkiwaniem belgijskich podróżników gawędziarzy zmierzy się po powrocie. Choć Bogiem a prawdą, nigdy by przecież do tego nie doszło: o jego samowolnej modyfikacji paragrafu piątego dowiedzieliby się tylko w przypadku jego śmierci.

Odpowiedź rozpoczął od zrzucenia winy na Belgijskie Królewskie Towarzystwo Geograficzne. „Nie ja formułowałem wzór kwestionowanego przez Pana kontraktu” – napisał i podkreślił pierwsze zdanie. Zarzekał się następnie, że nie miał wiedzy o niedostarczeniu Amundsenowi kopii podpisanego dokumentu. W kolejnym akapicie zapewnił pierwszego oficera (którego tytułował drugim oficerem), że Melaerts nigdy nie przeskoczy go w pokładowej hierarchii: „Nigdy nie powstała w mojej głowie myśl, by trzeci oficer – nawet jeśli jest Belgiem – mógł przejąć dowodzenie wyprawą, ubiegając drugiego oficera, i poza jakąkolwiek wątpliwością taka okoliczność została przez autorów kontraktu uznana za sytuację »absolutnej konieczności«”.

De Gerlache zakończył projekt listu następującymi słowami: „Jedyną satysfakcją, jaką mogę Panu zaoferować, Panie Amundsen, jest...” – przerwał i zaczął się zastanawiać, co dalej. Po jakimś czasie skreślił całe zdanie. Uświadomił sobie bowiem, że nie miał niczego, co mógłby mu zaoferować. Mleko już się rozlało.

Dwudziestego listopada, a więc w dniu, w którym Amundsen wysłał list z rezygnacją, w kadłubie Belgiki pojawiła się nieszczęselność. Wcześniej tego miesiąca lód nagle naparł na statek, unosząc dziób nad lód, a rufę wcisnął głębiej w wodę. Różnica wysokości między końcami kadłuba jeszcze bardziej wzrosła, a dodatkowo pojawił się przechył na prawą burtę. Padający śnieg osadzał się na pokładzie w takich ilościach, że jego masa naciskała z ogromną siłą, tak że Belgica zanurzała się coraz głębiej, aż tylko nadburcie wystawało nad powierzchnię. Woda przedostawała się do wnętrza przez zmęczone pogodą deski, ściekała po wewnętrznych ścianach ładowni i gromadziła się w tyle kadłuba, a jej poziom rósł z alarmującą prędkością. Zanim nastał kolejny dzień, wypełniła całą zęzę i sięgnęła maszynowni. Belgica powoli tonęła.

Amundsen miał zamiar dotrzymać obietnicy danej de Gerlache'owi, że swoje obowiązki będzie wypełniał równie rzetelnie jak dotychczas. Szybko musiał udowodnić, że nie rzucał słów na wiatr. Przyłączył się do pozostałych, którzy robili, co mogli, by wypompować wodę z zęzy. Zajęło im to sześć godzin, a przez kilka następných dni wszyscy pracowali niezmiernie przy usuwaniu nieprzebranych ilości śniegu obciążającego pokład.

Dla Amundsena eksploracja terenów polarných nie była pracą, lecz niemal szlachetnym powołaniem. Zgłosił się do uczestnictwa w wyprawie, nie oczekując w zamian żadnego wynagrodzenia, gdyż w jego rozumieniu pieniądze były mniej warte od chwały. Amundsen był uosobieniem współczesnego wikinga, i jako taki kierował się kodeksem honorowym, który często kolidował z kompromisami wymuszonymi przez życie na niższych szerokościach geograficznych. Tak jak nie wyobrażał sobie nielojalności w stosunku do najbliższych przyjaciół – niewielkiej grupy bliskich mu osób, do której zaliczał też Cooka – tak rzadko zapominał urazy. De Gerlache nigdy nie mógł już liczyć na wybaczenie. Konfrontacja z komendantem, którego niegdyś tak hołubił, miała w sobie coś edypowego. Była kamieniem milowym oznaczającym

koniec polarnego terminu i osiągnięcie dojrzałości świadomego swoich praw przywódcy.

Dopiero dwudziestego siódmego listopada chmury się rozeszły i podróżnikom dane było po raz pierwszy zobaczyć słońce o północy. Członkowie załogi zebrali się na pokładzie, by powitać wspaniały widok zorganizowaną na szybko zabawą. Somers, główny mechanik, zaintonował tubalnie skoczną wersję *Brabansony*. Jego nemezis z forpiku, Van Rysselberghe, dołączył swoim melodyjnym głosem. Cierpiący od dłuższego czasu Knudsen również, a Johansen pobiegł po akordeon i zaczął akompaniować. Nie minęło wiele czasu, a na pokładzie zebrali się wszyscy uczestnicy wyprawy – z wyjątkiem de Gerlache’a. Komendant był zbyt chory, by opuścić kabinę, lecz nie przeszkodziło mu to wyfasować odpowiedniej liczby butelek dla załogi. Śpiewający jednym głosem wrogowie, Norwegowie i Belgowie kołyszący się ramie w ramie, marynarze i oficerowie przepijali kolejne toasty – tak jednoczącą moc miało słońce. Muzyka rozbrzmiewała przez resztę nocy, której nie dało się odróżnić od dnia. We wczesnych godzinach porannych Cook i Amundsen udali się na rekreacyjną przejażdżkę na nartach, w czasie której wykonali kilka zdjęć statku. W tym samym czasie reszta podróżników dalej raczyła się winem, a euforyczna atmosfera ustąpiła miejsca wymianie cikliwych marzeń. Niektórzy wspominali swoje domy rodzinne, a Somers – jedyny mąż i zarazem ojciec na pokładzie Belgiki, a przy tym urodzony gawędziarz – opowiadał historyjki o swojej córce. Miał oczy pełne łez, kiedy o niej myślał i snuł rozważania, czy będzie mu dane zobaczyć ją jeszcze, czy go rozpozna i czy wyobraża sobie teraz, że jej ociec zginął na morzu.

Nieważne, jak bardzo wszyscy zimą łaknęli słonecznego światła, bezustanny dzień okazał się równie męczącym doświadczeniem, jak bezustanny mrok. Kiedy słońce stało w zenicie, na lodowej tafli próżno było szukać jakiegokolwiek cienia. Blask atakował obserwatorów ze wszystkich stron, z góry, z dołu i z boków, odbijając się od nieskazitelnej bieli paku. Nawet przy zachmurzeniu ci, którzy nie nosili

gogli, narzekali na śnieżną ślepotę. Bezlitosna jasność przenikała przez ciemny materiał zasłaniający bulaje w oficerskich kwaterach i nie dawała zasnąć marynarzom, którzy przewracali się w kojach z boku na bok, zmuszając ich, by w świetle dnia mierzyli się ze swoimi najgłębszymi lękami. „Jest zbyt dużo światła, co powoduje bezsenne noce” – pisał Arctowski w swoim pamiętniku.

Jednak nie tylko słońce nie pozwalało podróżnikom zasnąć. Dla Arctowskiego równie irytujący i niepokojący był „fakt rozpoczęcia dyskusji na temat ewentualności spędzenia tu kolejnej zimy, gdyż lód nie chce się rozstąpić”. Z każdym dniem, w którym pak zachowywał integralność – i to mimo sprzyjających wiatrów i bezustannego działania promieni słonecznych – wizja wolności stawała się coraz bardziej ulotna. Marynarze w końcu dotarli do punktu, przed którym Cook od miesiący ostrzegał komendanta: lód nie puszczał, a perspektywa kolejnej zimy równała się dla wielu wyrokowi śmierci. Świadomość sytuacji – w połączeniu z dręczącą ich chorobą i przybierającym na sile kryzysem przywództwa – miała potencjał zachwiania psychiką mniej stabilnych osób.

Cook początkowo głęboko wierzył w uzdrawiającą moc słońca, które miało zakończyć „problemy mentalne” dręczące zimą ludzi na pokładzie Belgiki. Mylił się. W licznych przypadkach problemy te tylko się pogłębiły. „Niemalże wszyscy cierpią, w większym lub mniejszym stopniu, na bezsenność” – pisał. – „Stan pacjentów już wcześniej wykazujących brak równowagi psychicznej jeszcze się pogorszył”.

I choć Cook nie wymienił nikogo z nazwiska, pisząc to, miał na myśli konkretnego człowieka, mianowicie Tollefsena. Bosman zaliczał się do najbardziej doświadczonych i godnych zaufania marynarzy na pokładzie Belgiki. Nie pierwszy raz przebywał w otoczeniu chłodu i ciemności, gdyż już wcześniej pracował w Arktyce, a swoje obowiązki wykonywał z wprawą, pewnością, rozsądkiem i zapałem. Amundsen nie mógł się go nachwalić, jednak w swym dzienniku, pod datą dwudziestego ósmego listopada, pierwszy oficer zapisał, że jego rodak „przejawiał dzisiaj dziwne i niepokojące zachowania, które

charakterystyczne są dla obłądu”. Tej nocy Tollefsen zapytał go, czy rzeczywiście przebywa na Belgice, a kiedy Amundsen odpowiedział twierdząco, bosman spojrzał na niego przerażonym wzrokiem i powiedział, że nie pamięta, by wchodził na jej pokład.

Już wcześniej jego paranoiczne zachowania budziły w pozostałych marynarzach zakłopotanie i zaniepokojenie. Wytrzeszczonymi oczyma rozglądał się nerwowo na wszystkie strony, ilekroć usłyszał najdrobniejsze skrzypnięcie desek kadłuba i każdy głuchy trzask pękającego lodu. Nękały go mordercze bóle głowy i bezustannie zaciskał zarośnięte szczęki, jakby w każdej chwili spodziewał się nieuniknionej katastrofy. Tollefsen zrobił się tak podejrzliwy wobec swoich towarzyszy, że wyniósł się z forpiku i trzymał się najciemniejszych zakątków statku, podobnie jak kotka Nansen tuż przed śmiercią. Unikał dawnej kwatery załogi i noce spędzał w lodowatej ładowni, pośród szczurów, bez przykrycia czy właściwego, zimowego odzienia. „Jego duszę gnębią omamy przerażających strachów” – zapisał Lecointe. – „Dziwne i zagadkowe: słowo *chose* (»rzecz« po francusku) wywołuje w nim napady szału. Ponieważ nie włada tym językiem, ubzdurał sobie, że *chose* oznacza »zabić«, i że jego towarzysze wydają sobie polecenie, by go zamordować”.

Przerażony człowiek to niebezpieczny człowiek. Tollefsena trzeba było obserwować dwadzieścia cztery godziny na dobę, na wypadek gdyby usiłował uprzedzić wyimaginowany zamach na siebie. Na ochotnika zgłosił się jego przyjaciel, Van Mirlo, sam wciąż jeszcze dobrzejący po atakach hysterii. Marynarz zauważył, że dziwne zachowania Tollefsena miały swój początek w czerwcu, tuż po śmierci Danco. „Stał się wówczas nieśmiały”, przypominał sobie belgijski marynarz, i dodawał, że „bezustannie pisał listy do swojej ukochanej »Agnes«, w których opisywał swoją niedolę pośród lodów oraz szykany ze strony towarzyszy”. Zgodnie ze słowami Van Mirlo Tollefsen umieszczał listy w niewielkim spiętrzeniu brył lodu, które przypominało mu skrzynkę pocztową. „Żeby się lepiej poczuł, wykradaliśmy je potem i mówiliśmy, że wędrują już do Agnes”<sup>35</sup>.

W listopadzie doszło do drastycznego pogorszenia się stanu psychicznego Tollefsena. „Przestał mówić, ma puste spojrzenie, a jedynym zadaniem, jakie możemy mu powierzyć, jest oczyszczanie foczych skór” – pisał Lecointe. – „Lecz nawet tej pracy nie wykonuje właściwie: po dziesięciu minutach stuka nożem w skórę i spogląda zagubiony przed siebie, w stronę wypiętrzenia lodowej tafli wzdłuż odległego pęknięcia”. Ilekroć ktoś się do niego zbliżał, Tollefsen drżał i nachylał odruchowo głowę, „jakby oczekiwał coup de grâce”.

Wieczór dwunastego grudnia był tak piękny, że Cook i Amundsen wybrali się na długą wycieczkę na nartach. Ich celem była ta sama potężna góra lodowa, ku której kierowali się na początku sierpnia, podróżując razem z Lecointe’em (poprzez bezustanne przekształcenia paku lodowego góra znajdowała się obecnie bliżej statku). Nie ujechali zbyt daleko, kiedy trafili na Tollefsena przemierzającego lód niczym „zabłąkana dusza”. Cook i Amundsen doszli do wniosku, że aktywność fizyczna może poprawić stan bosmana, więc zaprosili go, by im towarzyszył.

Kiedy ruszali o szesnastej, niebo było czyste i jak okiem sięgnąć nie widać było najmniejszej chmurki. Ponieważ góra lodowa wydawała się znajdować najwyżej trzy godziny drogi po gładkim paku, podróżnicy nie zawracali sobie głowy przygotowaniem prowiantu. Początkowo ich narty rzeczywiście sunęły lekko po zmiękczonej słońcem puchu, a towarzyszący im Tollefsen bez trudu za nimi nadążał i po raz pierwszy od tygodni sprawiał wrażenie zadowolonego.

Zmierzając w stronę góry lodowej, natknęli się na dużą fokę Weddella. Nie namyślając się długo, Cook wyjął rewolwer i z bliskiej odległości strzelił jej w głowę. Lekarz uznał bowiem, że rozsądnie byłoby zabić zwierzę i zostawić je jako awaryjny zapas pożywienia, gdyby z jakiegoś powodu wycieczka okazała się dłuższa. Dla Tollefsena przerażający był widok broni i łatwość, z jaką Cook uśmiercił fokę. Scena, której był świadkiem, pogłębiła w nim przeczucie, że towarzysze prowadzą go z dala od statku, by pozbawić go życia. To, co zaczęło się

jako przyjemna wycieczka, nagle zmieniło się w pełne napięcia zmagania.

Po dotarciu do podstawy góry lodowej Cook, Amundsen i Tollefsen odpięli narty, zarzucili je sobie na ramiona i bez trudności wspięli się na szczyt. Dzięki niezachmurzonemu niebu promienie słońca dawały im poczucie – jak opisał to później Amundsen – „cudownego ciepła”. Rozglądając się po paku poniżej, dostrzegli w oddali czarny punkcik: Belgicę. Lekarz rozłożył aparat i zaczął robić zdjęcia, kiedy zerwał się zimny wiatr. Amundsen spojrział na słońce, które przesunęło się na północ. O tej porze roku zataczało ono jedynie niewielkie okręgi, jakby podążało za wskazówką wędrującą po tarczy dwudziestoczworogodzinnego zegarka. Oceniając pozycję słońca, Norweg uznał, że jest już dziesiąta wieczorem. Naraz wszyscy poczuli się głodni i spragnieni, wcześniej bowiem zupełnie stracili rachubę czasu. Ze szczytu mogli obserwować, jak wiatr zmienia układ lodowych tafli. Ślady nart ginęły pod przesuwanymi się krami, a w miejscach, gdzie te się rozsuwały, pojawiały się obłoczki parującej morskiej wody. Nadszedł najwyższy czas, by ruszyć w drogę powrotną, póki były szanse, że ją znajdą. Pospiesznie zeszli z góry i przypięli narty.

Po około dziesięciu minutach wjechali w gęstą mgłę. Belgica zniknęła im z oczu. Żeby trafić z powrotem na statek, musieli podążać po swoich śladach, lecz szybko się okazało, że te urywają się na brzegu otwartej wody. Przez kilka godzin topografia tej części lodowego paku zmieniła się nie do poznania, a tworzące ją kry podzieliły się i poprzesuwały. Pierwszy oficer wyjął z kieszeni kompas i poprowadził towarzyszy w kierunku, który wydawał mu się mniej więcej właściwy, gdyż pamiętał, jak kapryśne były wskazania igły magnetycznej na tych szerokościach geograficznych.

Cook i Amundsen zachowali spokój; już wcześniej – w czasie pierwszej wyprawy Zakonu Pingwina w kierunku góry lodowej – musieli dawać sobie radę w takich warunkach. Tollefsen nie potrafił zapanować nad paniką. Posuwając się przez śnieg i lód, lekarz i pierwszy oficer odwracali się co jakiś czas, by sprawdzić, jak radzi sobie bosman.



Mężczyzna był wyraźnie przerażony i chyba nigdy jeszcze nie zaciskał szczęki z taką siłą.

Marsz na nartach trwał tak długo, że rozpoczął się kolejny dzień, a oni, zdawało się, nie dotarli jeszcze w pobliże statku. Co gorsza, z każdą chwilą tracili siły, osłabieni przez głód i pragnienie. Niespodziewanie pierwszy oficer dostrzegł dwa równoległe ślady na śniegu.

- Jechaliśmy tędy! - wykrzyknął z ulgą.

- A tam leży foka! - dodał Cook, wskazując na ciało zwierzęcia, które zabił na samym początku wycieczki.

Bez chwili wahania Amundsen padł na kolana, przeciął skórę foki Weddella, położył się wzdłuż niej, przywarł ustami do nacięcia i zaczął wysysać z niego krew. Mimo że foka została zastrzelona kilka godzin wcześniej i pozostawiona na lodzie, chroniące ją futro i gruba warstwa tłuszczu zapobiegły wyziębieniu truchła. Kiedy potężny Norweg zaspokoił pierwsze pragnienie, ustąpił miejsca lekarzowi, który bez oporów rozkoszował się słodkavo-metalicznym smakiem świeżej krwi spływającej przez jego wyschnięte gardło. Cook, z ociekającą posoką brodą, odwrócił się w stronę Tollefsena. Przerażony i osłupiały bosman przesuwiał nerwowo wzrokiem między zakrwawionymi towarzyszami i nożem, który jeden z nich dzierżył, by w końcu z odrazą wykrzyknąć, że woli zginąć z głodu, niż wziąć udział w tak obrzydliwej uczcie.

Cook i Amundsen wciąż jeszcze nie zaspokoili głodu, więc z upolowanej foki wycięli płaty mięsa i spożywali je na surowo, przy czym pierwszy oficer nie przestawał zachwalać ich „pyszności”. Tollefsen z niedowierzaniem przyglądał się, jak jego towarzysze odcinają zwierzęciu głowę, deklarując, że zachowają ją jako trofeum. Bez wątpienia był przekonany, że to oni są obłąkani.

Dopiero około czwartej nad ranem kry przesunęły się w taki sposób, że strudzeni wędrowcy mogli ruszyć w stronę statku. Upatrując w tym swą szansę, Tollefsen rzucił się nerwowo przodem z taką prędkością, że Cook i Amundsen z trudem za nim nadążali. Kiedy dotarli do Belgiki,

bosman był na krawędzi utraty przytomności. By go ocucić, dwójka towarzyszy podała mu szklaneczkę wiśniówki, którą Tollefsen opróżnił jednym haustem. Amundsen poradził mu, by położył się odpocząć, i obiecał, że przyniesie kubek gorącego kakao. Kiedy wraz z Cookiem czekali, aż zagotuje się woda, do kuchni wpadł Tollefsen z twarzą wykrzywioną przerażeniem.

- Coście mi podali? - krzyczał. - Okropnie źle się czuję! Umieram!

Zanim zdążyli mu odpowiedzieć, bosman wybiegł z kuchni i przez zaśnieżony pokład popędził w stronę kwater oficerskich, a potem pustym korytarzem do kabiny Lecointe'a. Tollefsen pchnął drzwi i rzucił się do łóżka śpiącego kapitana. Lecointe w jednej chwili otrząsnął się ze snu, widząc w półmroku kabiny obłąkaną twarz marynarza. Bosman trząsał się cały: „Cook i Amundsen próbowali mnie otruć!” - wołał. Lecointe potrzebował kilku minut, by uspokoić bijące dziko serce. Poprosił wówczas Tollefsena, by na niego poczekał, sam zaś udał się do kuchni i zapytał lekarza i pierwszego oficera, co się właściwie wydarzyło. Kiedy wrócił do kabiny, podał bosmanowi kawałek chleba z masłem, a ten zgodził się go zjeść. Kapitan zapewnił, że nie ma się czego obawiać, na co Norweg ruszył z powrotem do swojej koi.

Kiedy Cook i Amundsen opuszczali kuchnię, zauważyli Tollefsena, który stał za nimi nieruchomo, w samej bieliźnie, i nieobecny wzrokiem wpatrywał się w dal. „Wyglądał na bardzo zagubionego” - zapisał pierwszy oficer.

Stan bosmana pogarszał się z każdym dniem i coraz bardziej niepokoił jego towarzyszy. „To silny mężczyzna, który wiele lat spędził na morzu i zapewne nigdy by nie uwierzył, że nie wytrzyma uwięzienia pośród lodów” - pisał później Arctowski w swoim dzienniku. - „Jestem zdania, że w trakcie wypraw polarnych występowało wiele przypadków obłądzenia, lecz z wielką starannością je ukrywano”.

Cook uważał, że przyczyną polarnego obłądzenia była mieszanina strachu, niepewności, monotonii, zamknięcia i ekstremalnej izolacji. Oddziaływanie tych czynników spotęgowało jeszcze nadejście przesilenia zimowego, dwudziestego pierwszego grudnia. Nawet

świecące z najwyższego punktu na niebie słońce było zbyt słabe, by rozluźnić pak. Teraz, ostrzegał Cook, zacznie się „droga z górki ku zimie”. Podróżnicy z Belgiki, uwięzieni na unieruchomionym statku i zdani na łaskę nacisku lodowych tafli, pośrodku niemal monolitycznej potężnej kry, jednej z milionów dookoła, które razem tworzyły bezkresną białą pustynię otaczającą bezludny kontynent na samym spodzie globu, z każdym dniem tracili resztki nadziei.

## Rozdział 16

### **CZŁOWIEK PRZECIWKO LODOWI**

DRUGIE BOŻE NARODZENIE NA BELGICE było ponurym świętem. Na pokładzie szalały choroby, panował strach i wzajemna wrogość. W każdej próbie poprawienia nastroju czuć było przymus i desperackie usiłowania wskrzeszenia minionych radośniejszych chwil. Od dawna nikt nie grywał w wista, nikt nie wygłupiał się, organizując udawane konkursy piękności, i nikt nie czuł ekscytacji odkrywaniem czegoś nowego. W czasie wigilijnej wieczerzy podróżnicy siedzieli w milczeniu wokół stołu w mesie oficerskiej, spożywali zrazy cieleące i sączyli brandy. „Dawno już utraciliśmy wszelki towarzyski entuzjazm” – zapisał Cook. – „Żaden z nas nie jest w stanie wykrzesać z siebie niczego świeżego, by przebudzić do życia wytęsknioną radosną otuchę świątecznej wieczerzy... niepewność przyszłości malowała się na każdej twarzy”.

Z tej ponurej perspektywy wyraźne ruchy lodu w minionym tygodniu, zmieniające układ paku, wydawały się okrutnym żartem losu. Z bocianiego gniazda widać było liczne nowe kanały przecinające białą pustynię, a kilkaset metrów od statku pojawiła się ciemna połać niezamarzniętej wody. W tym samym czasie tafla o średnicy sięgającej ponad trzy kilometry, pośrodku której uwięziona była Belgica, pozostawała nienaruszona, jakby nic nie mogło jej zniszczyć. W Wigilię Bożego Narodzenia Arctowski wywiercił otwór w wale lodowym wzdłuż linii pęknięcia, gdzie dwie napierające na siebie płyty doprowadziły do jego wypiętrzenia, i odkrył, że grubość lodu sięga w tym miejscu ośmiu metrów. Warstwa lodu wokół Belgiki nie była wcale cieńsza; nikt nie miał wątpliwości, że nie pęknie sama z siebie. Naukowiec nie znalazł miejsca, gdzie tafla byłaby cieńsza niż metr. Perspektywa kolejnej zimy

spędzonej na tym pustkowiu z każdym dniem stawała się coraz bardziej realna.

Nastrojów nie poprawiał szalencie czający się pośród załogi. „Stan psychiczny Tollefsena bezustannie się pogarsza” – notował de Gerlache w dzienniku. – „Dręczą go omamy i przekonanie, że grozi mu śmierć. Niemal nie sypia, dookoła widzi samych wrogów i unika towarzystwa pozostałych marynarzy”. Pewnego dnia, po nerwowych, całodniowych poszukiwaniach bosmana poza statkiem, marynarze odnaleźli go schowanego za torosem. Mimo ogólnego współczucia, stan Tollefsena wzbudzał nieustannie strach i poczucie zagrożenia – marynarze obawiali się, gdzie może się ukrywać, co zrobić i kto następny podąży tą samą ścieżką obłędu.

Niewielu świętowało nadejście Nowego Roku. Niedługo przed północą, trzydziestego pierwszego grudnia, Belgicę spowijała cisza. De Gerlache, wciąż cierpiący, wypił wieczorne kakao i wczesnie udał się na spoczynek. Część załogi leżała już w kojach, inni, ponurzy i zrezygnowani, siedzieli beczynnie w różnych miejscach forpiku. Racovitza i Lecointe położyli się spać około dwudziestej trzeciej. Cook siedział w kajucie, a Arctowski pracował w pełnym słońca laboratorium i przeglądał przy biurku jakieś notatki.

Niespodziewanie otworzyły się drzwi i w progu stanął Amundsen, unosząc butelkę koniaku, który trzymał schowany na specjalną okazję. Ponieważ to mogła być ostatnia specjalna okazja na Belgicę, mężczyźni odkorkowali butelkę i wypili trochę dla podniesienia morale. Kilka minut później w laboratorium pojawił się Lecointe, by poskarżyć się, że nie może zasnąć, a widząc, co się dzieje, postanowił zostać. Nie minęło dużo czasu, a do oficerów i naukowca dołączył Cook. Okazało się, że niewiele było trzeba, by pełna smutku noc zmieniła się w radosne świętowanie. Amundsen poprosił załogę o pomoc w dokończeniu trunku. Kiedy butelka była pusta, wesoła gromada przeniosła się do forpiku. Lecointe udał się do ładowni i przyniósł szynkę, ser, suchary i kilka butelek wina. Johanson sięgnął po akordeon. Jeszcze zanim nastąpiła północ, podróżników ogarnęła szczerza radość, taka, jaka od

dawna nie gościła na pokładzie Belgiki. „Marynarze ugościli nas muzyką i śpiewem, i opowieściami, których nie znaleźliśmy, choć w forpiku raczono się nimi setki razy” – pisał później Cook. – „My, w rewanżu, wygłosiliśmy słów kilka, a i parę opowieści się znalazło”. Tej nocy Belgicę wypełniło tyle ciepła, że podróżnicy niemal zapomnieli, że są więźniami lodów.

Oficerowie opuścili pomieszczenia załogi około wpół do pierwszej i niepewnym krokiem udali się do swoich kwater. Temperatura wynosiła -8 stopni Celsjusza i wiał przenikliwy, zimny wiatr, lecz rozgrzani alkoholem śmiałkowie nie czuli chłodu. Wypite trunki miały też wpływ na postrzeganie otoczenia statku, gdyż nagle zaczęli w nim odnajdować piękno. „Lód zmienił się w masę skrzącego się błękitu” – wspominał Cook. Na północnym niebie widać było blady księżyc. Na południu słońce opuściło się niżej niż poprzedniego dnia, ale wciąż wyżej, niż miało znaleźć się dnia następnego. Podróżnicy wiedzieli, że pod koniec miesiąca zacznie znikać za horyzontem i pojawi się noc, która szybko zyska przewagę nad dniem.

Jedynym i wspólnym życzeniem wszystkich na pokładzie Belgiki było rozpadnięcie się kry, w której tkwił statek. Ciepło antarktycznego lata okazało się niewystarczające: cokolwiek uległo roztopieniu w południe, przed rankiem z powrotem zamarzało. Podróżnicy uważali, że skoro potężny sztorm pozwolił Belgice spenetrować lodowe pola na taką głębokość, tylko równie silna burza morska mogłaby ją uwolnić. Stąd zdecydowana większość załogi upatrywała zmiany w potędze antarktycznych wiatrów.

Z każdym dniem stawało się jednak jasne, że nawet one mogły nie wystarczyć. Od wpłynięcia między kry w lutym minionego roku, Belgica, dryfując, pokonała ponad tysiąc trzysta mil morskich. Pak lodowy, pchany zmiennymi wiatrami i prądami morskimi, zatoczył w tym czasie coś na kształt pętli<sup>36</sup>. W sylwestra Lecointe wyznaczył pozycję statku na 70°03' szerokości geograficznej południowej i 85°10' długości geograficznej zachodniej – co oznaczało, że znaleźli się niemal

dokładnie w tym samym miejscu, w którym w lutym de Gerlache podjął decyzję o wpłynięciu w pak lodowy. Niemalże rok później przy tych samych współrzędnych lód rozciągał się aż po horyzont. Jego krawędź mogła znajdować się tuż poza zasięgiem wzroku lub setki mil dalej na północ. Kra, w której utkwiała Belgica, wydawała się znacznie grubsza i wytrzymalsza niż te, przez które przedzierali się poprzedniego marca.

„Mam w sobie coraz mniej przekonania, że uda nam się opuścić to miejsce w ten sam sposób, w jaki się tu dostaliśmy” – zapisał Amundsen. Lecointe i de Gerlache doszli do podobnych wniosków. Pozbawieni pewności, jaką dawał im tonit, musieli zacząć myśleć o rozpoczęciu przygotowań do kolejnej zimy.

Dla Cooka złożenie broni nie wchodziło w rachubę. Nigdy wcześniej nie miał w sobie takiego przekonania, że kolejna antarktyczna noc przyniesie tragiczne konsekwencje. Przez kilka dni analizował w głowie wszystko, co się wydarzyło, i na tej podstawie wytypował przynajmniej cztery osoby, które umrą pierwsze, i to w dodatku niemal natychmiast, i kilka następnych, które znajdą się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Spora część z tych, którzy mieli szansę przetrwać, popadłaby w obłęd. Nawet jeśli jego towarzysze z korpusu oficerskiego nie pojmowali zagrożenia i gwałtownej konieczności uwolnienia się z lodowego paku przed końcem lata – albo przynajmniej nie sądzili, by było to możliwe – on czuł się zobowiązany przysięgą Hipokratesa, by ich przekonać.

Czwartego stycznia w czasie narady w mesie oficerskiej Cook stracił cierpliwość, co zaskoczyło pozostałych. Wobec licznych przejawów gwałtownego temperamentu, które przetaczały się przez statek, lekarz dotychczas świetnie nad sobą panował. Cook tłumaczył absolutną konieczność opuszczenia lodowego paku. Zażądał, by wszyscy naukowcy zarzucili swoje dotychczasowe zajęcia i nie wracali do nich, dopóki nie będą w stanie przedstawić jakiejś strategii. Zaskoczenie złością Cooka po krótkim czasie ustąpiło miejsca niedowierzaniu. „Wyśmiewali mój pomysł” – zanotował później Cook. Równie dobrze mógł zaproponować, żeby każdy rozłożył ramiona i tak długo nimi machał, aż uniesie się w powietrze i pofrunie do domu. Myśl, że mają

realną możliwość samodzielnego uwolnienia się z lodu, wydawała się groteskowa nawet Amundsenowi, jego najwierniejszemu uczniowi. Ekspedycja, zapewniali koledzy lekarza, nie ma żadnego wpływu na swój los.

Jednak Cook nie dał się zdeprimować i już kilka dni później zaprezentował de Gerlache'owi swój spektakularny plan. Wierny czci, jaką otaczał słońce, lekarz wpadł na pomysł, jak zaprząć jego moc do topienia lodu. Jego koncept zasadał się na wykopaniu dwóch długich, szerokich na metr rowów w układzie przypominającym literę V, łączących się dokładnie w punkcie dziobu Belgiki, a sięgających niezamarzniętej wody przeszło czterysta metrów dalej. Praca miała polegać na usunięciu wierzchnich warstw śniegu i sryżu, by promienie słoneczne mogły dotrzeć do trzydziestocentymetrowej warstwy słodkiej wody przykrywającej twarde morski lód. Cook uważał, że woda pochłania ciepło lepiej niż śnieg i dzięki temu wydajniej transferowałyby je do znajdującego się poniżej lodu. Liczył również na efekt albedo, polegający na tym, że ciemne powierzchnie w większym stopniu niż jasne absorbują światło – a tym samym i ciepło. Lód morski na dnie rowów oraz ubite warstwy sryżu i śniegu na jego brzegach stworzyłyby niebieskawą rynnę, która odbijałaby mniej promieni słonecznych niż czysty, biały śnieg albo firn. Wysypując rowy sadzą, udałoby się pewnie osiągnąć jeszcze lepszy efekt. Po jakimś czasie topnienie osłabiłoby krę wzdłuż rowów i stworzyło dwie linie podatne na pęknięcia. Pojawiłaby się szansa, że w razie sztormu kra rozłame się wzdłuż wyznaczonych linii, a nie dowolnie, z dala od statku, gdzie nie przyniosłoby to żadnej korzyści. Następnie Belgica mogłaby skorzystać z tak powstałego kanału i wpłynąć na niewielki skrawek niezamarzniętej wody.

De Gerlache i Lecointe od samego początku mieli świadomość słabych punktów tego planu. Po pierwsze, choć słońce jeszcze nie zachodziło, nie podnosiło się też znacząco nad horyzont; przez większość dnia jego promienie muskały ledwie pak, a kąt ich padania byłby niewystarczający, by dotarły do dna wykopanych rowów. Po



drugie, nie uważali, by sadza mogła pochłaniać znaczne ilości ciepła, gdyż światło słoneczne, aby do niej dotrzeć, najpierw musiałyby pokonać lodowatą wodę z roztopionego śniegu, a woda przecież znacznie gorzej przewodzi ciepło niż powietrze. Po trzecie w końcu, lekarz nie wziął pod uwagę faktu, że ściany lodowej rynny nie będą szczelne. Warstwa śryżu na dnie kanału nie mogłaby zapobiec rozlewaniu się wody po krze, a pochłonięte ciepło szybko się rozproszy.

Cook nie mógł znieść nieustającego fatalizmu towarzyszy. Może i jego plan miał pewne niedoskonałości, ale innym pomysłem nie dysponowali. Co mieli zrobić? Pogodzić się z prawdopodobieństwem własnej śmierci? Wykonywanie nawet z pozoru bezsensownych czynności, upierał się Cook, przynosiło mniejszą szkodę niż siedzenie z założonymi rękoma. W końcu udało mu się przekonać pozostałych. „Bezczynność stała się zagrożeniem” – zgodził się de Gerlache. – „Bardzo szybko doprowadziłaby do defetyzmu, co z kolei miałyby fatalne skutki dla zdrowia na pokładzie Belgiki”. W ten sposób zapadła decyzja o próbie wykopania sobie drogi do wolności.

Praca przy kopaniu rowów rozpoczęła się siódmego stycznia, jednak niemal natychmiast musiała zostać wstrzymana z powodu powszechnego zatrucia, wywołanego spożyciem skażonej foczej wątroby. Lecointe postanowił wykorzystać czas rekonwalescencji załogi i dać jeszcze jedną szansę tonitowi. Kapitan był jedynym z członków załogi, który wciąż wierzył, że ładunki wybuchowe mogą pomóc skruszyć lód, ale też jako jedyny posiadał przeszkolenie z ich stosowania. Lecointe ogrzał delikatnie wybrane kostki i bardzo ostrożnie usunął z nich uszkodzone fragmenty. Ku jego ogromnej radości przygotowany ładunek eksplodował. Zachwycony polecił Amundsenowi, Melaertsowi i Johansenowi, aby pomogli mu stworzyć „maszynę zniszczenia”, bombę składającą się z pięciuset trzydziestu pięciu kostek tonitu umieszczonych w pustej beczce po oleju, która po uszczelnieniu została umieszczona pod lodem. Lecointe miał nadzieję, że siła wybuchu oczyści przestrzeń bezpośrednio nad ładunkiem, ale też wywoła potężną falę, która spowoduje spękanie całej kry.

Kiedy beczka została umieszczona w docelowym miejscu, około dwustu metrów od Belgiki, Lecointe podpalił pięć lontów połączonych z dwudziestoma pięcioma zapalnikami z piorunianem rtęci. Pomodlił się szybko do świętej Barbary, patronki artylerzystów, i ruszył biegiem w stronę statku. Lonty były tak zimne, że wszystkie zgasły. Kapitan musiał wracać pięć albo sześć razy, by odpalać je coraz bliżej zapalników.

Eksplozja była potężna. Bryły lodu, wyrzucone na ogromną wysokość, spadały niczym apokaliptyczny grad. Fala wywołana wybuchem była odczuwalna nawet na Belgice, więc Lecointe uznał, że cała kra zostanie pokryta siecią pęknięć. Jakież było jego rozczarowanie, kiedy dotarł do miejsca, w którym umieścił beczkę: otwór o średnicy nie większej niż dziesięć metrów wypełniał lodowy gruz, który szybko zaczął zamarzać. Kapitan nie znalazł dookoła najdrobniejszego nawet pęknięcia. Prawdopodobnie gdyby ładunek przygotowany przez Lecointe'a został zdetonowany pod lodem na zbiorniku słodkowodnym, doprowadziłby do spekania całej kry, jednak lód morski jest znacznie mniej kruchy. Kapitan był zmuszony uznać, że jeśli tonit w ogóle odegra jakąś rolę w uwolnieniu statku, to jego znaczenie będzie marginalne.

W tym samym czasie załoga zaatakowała lód za pomocą kilofów i łopat. „Przez trzy dni pracowaliśmy nie jak ludzie, ale jak psy ścigające zwierzynę na polowaniu” – zapisał Cook pod datą dwunastego stycznia. Mimo to jego plan zdawał się nie spełniać pokładanych w nim oczekiwań. Widok wałów odgarniętego śniegu dawał załodze złudną nadzieję zbliżającego się wybawienia, lecz w końcu sam Cook musiał przyznać, że to syzyfowa praca. „Słońce o północy jest zbyt słabe, by zapobiec powstawaniu w rynnach lodu o takiej grubości, że następnego dnia ledwie wystarcza ciepła do jego stopienia” – pisał Cook. – „Gdybyśmy zaczęli w grudniu, moglibyśmy liczyć na sukces. Dziś jest już za późno”. Wszyscy szybko zrozumieli, że ten plan nie przyniesie im wolności. Co gorsza, dotarło do nich również, że na próbę jego realizacji zmarnowali już tydzień bezcennych letnich temperatur.

Z każdym dniem miało robić się coraz zimniej i ciemniej i z każdym dniem malały szanse na uwolnienie statku.

Plan Cooka nie przyniósł oczekiwanych rezultatów, jednak w bardzo ważnym zakresie osiągnął zaskakujący sukces: jego realizacja pozwoliła wyrwać załogę z marazmu, który wcześniej nie dopuszczał, by w ich głowach zrodziła się myśl o samodzielnym uwolnieniu się. Teraz zainspirowało to załogę do rozważenia innych sposobów. Wyrwanie się z lodów nie wydawało się już irracjonalną mrzonką.

Co ciekawe, doświadczenie z realizacji planu lekarza nikogo nie zmieniło w takim stopniu jak samego komendanta, który z zapalem neofity zaczął wierzyć w realność pomysłu uwolnienia się z paku. Jedenastego stycznia wieczorem de Gerlache zwołał naradę z oficerami i przedstawił im nowy plan, który rozmachem przyćmiewał pomysł Cooka. Zakładał on bowiem, że zamiast modlić się o sztorm, który rozpołowiłby krę, załoga sama stałaby się żywiołem.

Na pokładzie znajdowały się cztery stare piły do lodu – pozostałości z czasów, gdy Belgica była statkiem wielorybniczym. Komendant zaproponował, by wykorzystać je do wycięcia kanału, w pełnym tego słowa znaczeniu, prowadzącego od statku do najbliższej połaci otwartej wody.

Od czasu, gdy de Gerlache podjął się zorganizowania ekspedycji, nie odważył się na równie zuchwały pomysł. Siłowe wyrwanie się z lodowej pułapki nie miałyby precedensu w historii żeglugi w obszarach polarnych. Wymagałoby jednak przepiłowania setek metrów przynajmniej metrowej grubości lodu, by wyznaczyć kanał prowadzący poza krę, a potem opróżnienia go z lodu i oczyszczenia drogi dla Belgiki. Mogli to zrobić jedynie za pomocą pił lodowych, przeznaczonych do znacznie drobniejszych prac, polegających zazwyczaj na wycinaniu bloków lodu do chłodzenia połowu, czy, w najgorszym razie, stworzenia niewielkiej zatoczki dla statku wielorybniczego. Wymagałoby to również niewyobrażalnego nakładu pracy ze strony każdej osoby na pokładzie, wliczając w to chorych. I co

najważniejsze, plan komendanta musiałby zostać zrealizowany w ciągu zaledwie kilku tygodni, zanim nastanie zima.

Czy de Gerlache stracił rozum? Podwładni mieli wszelkie powody, by to podejrzewać. Przecież to jego decyzją statek znalazł się w lodowym więzieniu. De Gerlache uważał jednak, że właśnie z tego powodu jego plan musi zadziałać. Liczył się z tym, że kolejnej zimy już nie przeżyje; Cook dość jednoznacznie mu to uświadomił. Co ważniejsze, czuł odpowiedzialność za sytuację statku i za życie wszystkich członków załogi. Mimo choroby gotów był uczynić wszystko, co w jego mocy, by odkupić winy – nawet gdyby miało go to kosztować życie.

Kiedy wyłuszczał podwładnym swój plan, mówił z pewnością i zaangażowaniem, których nie czuł od miesięcy. Wypełniająca go energia zadziałała spajająco na oficerów, którzy prawie jednogłośnie zgodzili się, że warto podjąć ryzyko budowy kanału. (Prawie jednogłośnie, gdyż sprzeciw wyraził Cook, z początku nie mogąc zdzierżyć realizacji planu, którego nie był autorem. Szybko jednak zapomniał o urażonej dumie, przypisując sobie zasługę zainspirowania komendanta).

Najbliższa krawędź kry, w której tkwił statek, a do której Cook planował wykopać rowy, znajdowała się około czterystu metrów od dziobu. Jednak tafla lodowa w tym miejscu miała grubość uniemożliwiającą jej przepięłowanie. De Gerlache zasugerował więc, by ruszyć z pracami w przeciwnym kierunku – od rufy, wzdłuż linii pęknięcia, gdzie zimą na krótko pojawił się kanał z otwartą wodą. Pęknięcie to dawno już zamarzło, lecz komendant, kierując się logiką, wskazał, że lód będzie tam cieńszy niż gromadzący się, wielowarstwowy pak dookoła.

Następnego dnia Arctowski przystąpił do wiercenia otworów, które potwierdziły intuicję de Gerlache'a – twardy, morski lód najcieńszy był właśnie wzdłuż zamarzniętego kanału, gdzie osiągał od jednego do dwóch metrów grubości. Naukowiec wyznaczył przebieg przyszłego kanału, od rufy statku do wcześniejszego pęknięcia, by podążyć za nim na prawo i zakończyć przy krawędzi, za którą znajdował się spory

fragment otwartej wody. Wypilowany kanał miał mieć łącznie trzy razy większą powierzchnię niż kanał planowany przez Cooka. Osiągnąłby długość siedmiuset metrów, sto metrów szerokości przy ujściu i tylko dziesięć w pobliżu Belgiki. Wycięcie dwóch brzegów oznaczało przepiłowanie się przez ponad półtora kilometra grubej lodowej tafli, przy czym prace mogły rozpocząć się dopiero po oczyszczeniu wierzchniej warstwy kry ze śniegu i sryżu na dokładnie tym samym dystansie. Pocięcie przestrzeni między liniami brzegowymi na fragmenty możliwe do usunięcia dawało łącznie ponad dwa i pół kilometra piłowania, nie licząc tych elementów, które zdążą zamarznąć i będzie trzeba je odcinać na nowo.

Konieczny do wykonania takiego zadania wysiłek przy tak niewielkiej liczbie osób i na dodatek w tak krótkim czasie mógł się równać z największymi projektami inżynierskimi w historii ludzkości; wizja jeszcze bardziej onieśmielająca, jeśli wziąć pod uwagę osłabiony stan załogi. Jednak porwani energią komendanta marynarze z desperacją rzucili się do realizacji jego pomysłu.

Piły po raz pierwszy poszły w ruch czternastego stycznia. By zapobiec ponownemu przymarzaniu odciętych fragmentów nocą, podróżnicy musieli pracować przez całą dobę na okrągło, korzystając z niezachodzącego jeszcze słońca. Podzielili się oni na dwa zespoły, by nie dopuścić do zatrzymania pił. De Gerlache przewodził dziennej zmianie, w której pracowali Melaerts, Racovitza, Van Mirlo, Johansen, Koren, Van Rysselberghe i obłąkany Tollefsen. Do piłowania przystępowali o ósmej rano, a kończyli o szóstej wieczorem, przerywając pracę jedynie na kawę i posiłki, które spożywali na paku. Zespół Lecointe'a, którego zmiana wypadła między siódmą wieczorem a czwartą rano, składał się z Cooka, Amundsena, Arctowskiego, Somersa i Dufoura<sup>37</sup>. Jediną osobą wyłączoną z piłowania lodu był Michotte, który dzień i noc pracował w kuchni i przygotowywał posiłki, na które przywoływał towarzyszy dźwiękiem kornetu.

Szkic dwóch planów ratunku Belgiki, pokazujący drogi przez lodową taflę, która uwięziła statek. Za: Au pays des manchots (1904)

Georges'a Lecoqte'a. Przerywana linia rozgałęziająca się od dziobu statku - zdefiniowana przez punkty: a, b, c i d - odzwierciedla przebieg rowów zaproponowanych przez Cooka. Linie ciągłe prowadzące od rufy do otwartej wody u góry rysunku oznaczają brzegi kanału zaproponowanego przez de Gerlache'a. Przerywana linia między punktami e i f to przebieg szczeliny, która otworzyła się trzydziestego stycznia 1898 roku.

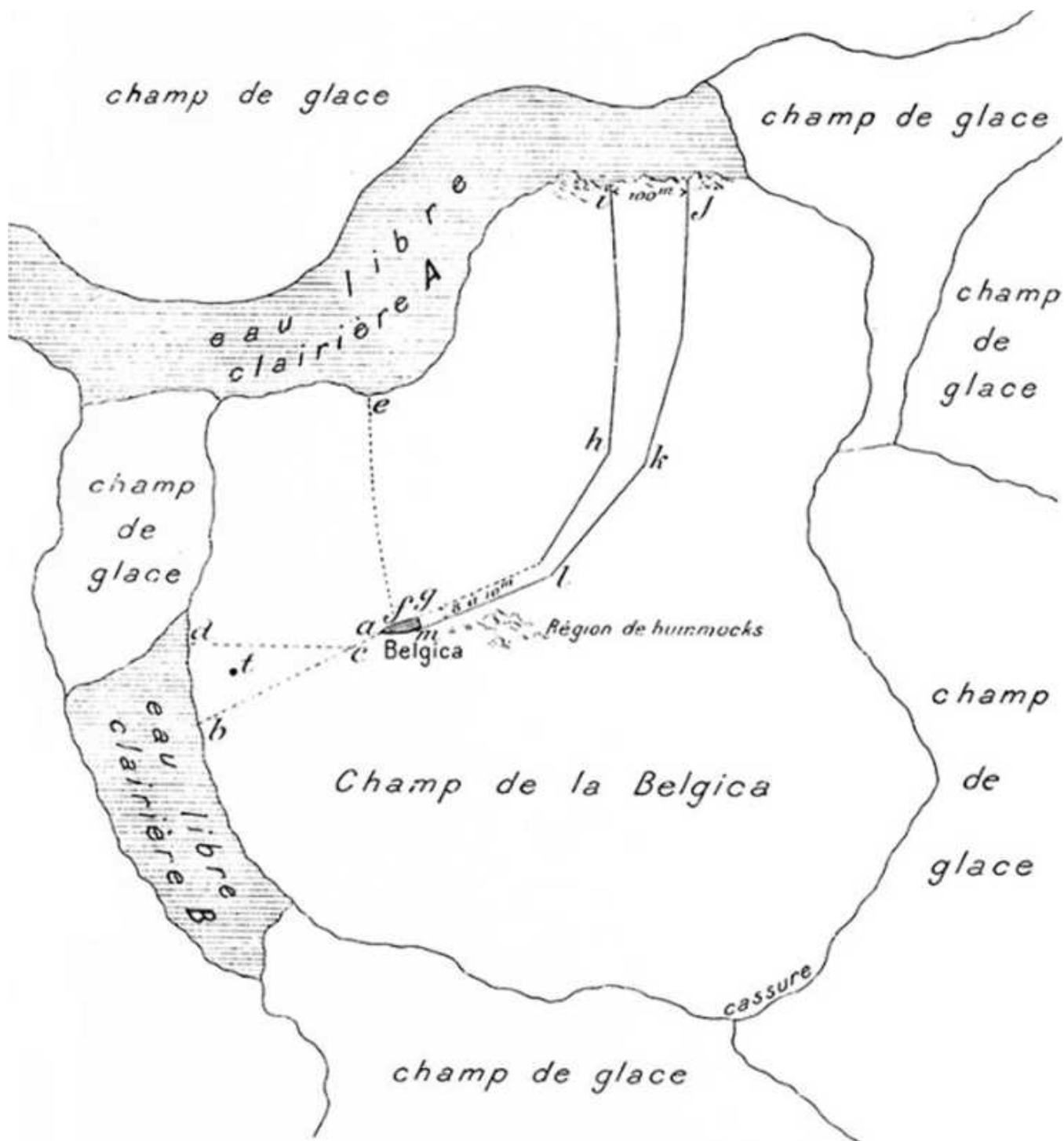


FIG. 79.

Za pomocą kawałków blachy Somers połączył dwie z czterech pił, tworząc z nich jedną, o ponaddwumetrowym ostrzu. Mężczyźni pracowali trójkami. Ci, którzy używali dwóch krótszych narzędzi, zmieniali się przy nich co pięć minut. (Cook i Amundsen byli w jednej trójce z Arctowskim i z przyjemnością wsłuchiwali się w gawędy naukowca, który, rozkojarzony, piłował przez dziesięć czy piętnaście

minut bez przerwy, bo nikt nie przypominał mu o zmianie). Używając podwójnej piły, jeden z marynarzy trzymał poprzeczny trzonek przechodzący przez uchwyt, a pozostała dwójka, ciągnąc za linę, unosiła ostrze, po czym pozwałała mu opaść pod własnym ciężarem. Pod koniec dnia pracy podróżnicy z trudem podnosili trzęsące się ramiona.

Pierwszego dnia podróżnicy przepiłowali czterdzieści metrów lodu wzdłuż przyszlých brzegów kanału, zaczynając od krawędzi kry. Następnego dnia podzielili lód między dwoma brzegami na potężne, zazębające się trójkąty. U ujścia przyszlęgo kanału, gdzie miał on mieć największą szerokość, każdy z odciętych fragmentów kry miał wielkość połowy boiska do piłki nożnej. Marynarze przytwierdzili do nich liny i powlekli na zewnątrz, w stronę otwartej wody, jak ciągnący barkę burłacy, co podkreślał Dobrowolski, śpiewając *Pieśń burłaków wołzańskich*. By wyciągnąć bryłę, ważącą wielokrotnie więcej niż cała Belgica, i odepchnąć od krawędzi, a potem wrócić, zanim sama zacznie płynąć, wszyscy zaangażowani w tę pracę musieli dokonać nieprawdopodobnego wysiłku.

Morderczy wysiłek wpłynął bardzo pozytywnie i jednocząco na podzieloną wcześniej grupę. W trakcie pracy zanikały różnice wynikające z rangi, pozycji i narodowości, bo wszyscy dążyli do jednego wspólnego celu. De Gerlache, wciąż bardzo chory, harował równie ciężko jak każdy inny członek załogi. Co jednak najważniejsze, wspólna praca w końcu dała podróżnikom świadomość, że mogą mieć swój udział w ocaleniu. Nastroje i morale były na najwyższym od wielu miesięcy poziomie.

Jedynym, acz znaczącym, wyjątkiem był Amundsen, który zachował najbardziej pesymistyczną – choć może raczej realistyczną – postawę z całej grupy. „Nie sądzę, byśmy byli w stanie uwolnić w ten sposób nasz statek” – pisał w dzienniku. – „Ostatecznie decydującą rolę w historii tej ekspedycji odegrają najpewniej szalupy” – dodał pierwszy oficer, mając na myśli łodzie wielorybnicze z pokładu Belgiki.



Nawet ci, którzy z całego serca wierzyli w plan de Gerlache'a, szybko musieli uznać, że statku nie da się uwolnić samym piłowaniem lodu. W dwóch miejscach wzdłuż wyznaczonego kanału tafla lodowa miała grubość kilkakrotnie przekraczającą możliwości nawet podwójnej piły. Jedno z nich znajdowało się w pobliżu krawędzi kry, gdzie nagromadzenie torosów blokowało przyszłe ujście kanału. Drugie z takich miejsc to bezpośrednie otoczenie statku, gdzie gromadzące się przez rok zasy śnieżne zagęszczały się pod swoim ciężarem i stwardniały, tworząc zbocze sięgające w niektórych miejscach od kilku do nadburcia. Lecointe, jak zawsze chętny do skorzystania z mocy tonitu, upierał się, że tę przeszkodę usunąć można jedynie za pomocą materiału wybuchowego. Wiązałoby się to oczywiście z ryzykiem zniszczenia całego statku, jednak podróżnicy i tak mieliby szczęście, gdyby musieli podjąć taką decyzję, bo zapadłaby ona dopiero wtedy, kiedy kanał będzie gotowy.

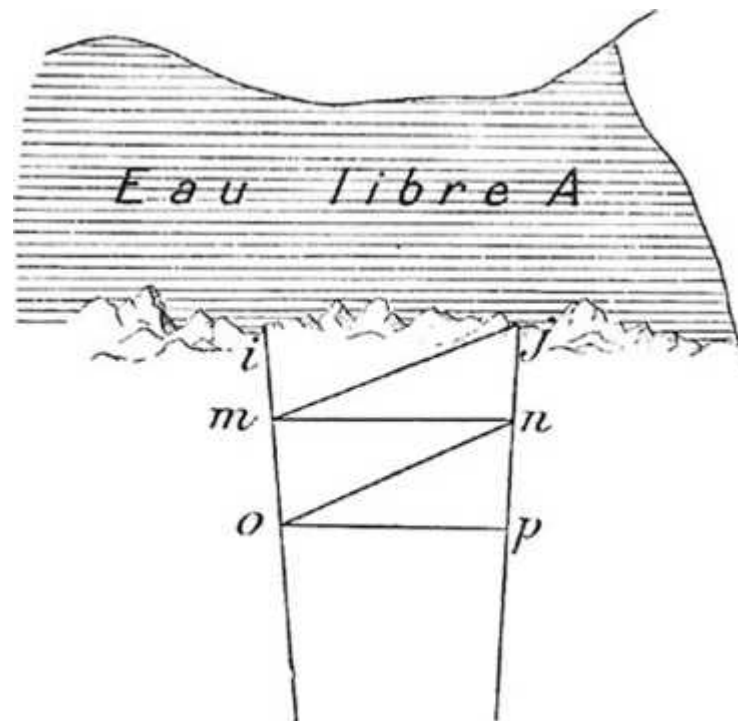
Rankiem piętnastego stycznia użycie materiałów wybuchowych przyniosło w końcu efekt, na jaki kapitan czekał już od dłuższego czasu. Lecointe wybrał kilkanaście kostek tonitu, oczyścił je starannie i umieścił przy torosach blokujących przyszłe ujście z kanału. Wszystkie ładunki eksplodowały. Wcześniejsze eksperymenty z tonitem zawodziły częściowo dlatego, że bomby ze wszystkich stron otaczał lód. Teraz jednak, jako że torosy znajdowały się przy samej krawędzi kry, nic po tej stronie nie mogło pochłonąć siły uderzeniowej i lodowe góry zostały zmienione w śryż.

Lecointe, uskrzydłony sukcesem, poświęcił swój odpoczynek, by z pomocnikami przygotowywać kolejne ładunki. „To zadanie realizujemy z brawurową lekkomyślnością” – pisał kapitan. – „Kostki tonitu leżą naprawdę blisko ognia, by odtajały. Potem kuchennymi nożami zeskrobujemy uszkodzone części... resztki materiału wybuchowego znajdujemy potem nawet na talerzach!”. Mesa oficerska została przekształcona w „fabrykę bomb”, jak wyraził się Arctowski. Kiedy kostki tonitu odtajały, były następnie oczyszczane i z detonatorami i lontami umieszczane w puszkach, które

zabezpieczano woskiem, by ochronić je przed wilgocią. „Jeszcze nigdy i nigdzie nie działał tajny gang anarchistów czy nihilistów równie gorąco wierzących w swą pracę jak Lecointe, Amundsen, Cook i ja” – pisał Arctowski.

Niezależnie jednak od tego, jak bardzo przydatny okazał się tonit, nie mógł on zastąpić mozolnego piłowania lodu; ładunki wybuchowe doskonale radziły sobie z kruszeniem torosów, wiatr wypychał powstałą mieszanę kawałków lodu i lodowego pyłu do oczyszczonego kanału, gdzie całość szybko przymarzała do krawędzi kry i tężała, ponownie zamykając dopiero co oczyszczone fragmenty. Tonit nigdy nie miał szans, by sprostać oczekiwaniom Lecointe’a, który widział w nim cudowne rozwiązanie wszystkich problemów. Trzeba było stosować go z rozmysłem, w niewielkich ilościach, głównie do usuwania zakleszczonych, wielkich, wyciętych fragmentów lodu. Szansa na ocalenie zależała od dwóch czynników: szczęścia i osłabionych mięśni wymizerowanych podróżników.

Pierwsze potężne fragmenty lodu zostały usunięte z kanału i wypchnięte poza krę, jednak dość szybko jeden z kolejnych trójkątów zablokował się między brzegami i ani drgnął. By go skruszyć, konieczna okazała się detonacja kilku partii ładunków wybuchowych, lecz to doprowadziło dodatkowo do zapchania kanału lodowym gruzem, którego usuwanie kosztowało kolejny dzień pracy. Podróżnicy szybko się zorientowali, że projekt cięcia lodu między brzegami kanału jest okropną pomyłką, bo wielkie trójkąty zawsze miały tendencje do klinowania się. Należało więc zmienić sposób podziału tafli do usunięcia, bo przy obecnej metodzie nie było szans na ukończenie prac w terminie. Rozwiązania tego problemu nie można było pozostawić przypadkowi ani obciążyć ludzi dodatkową pracą, lecz należało się oprzeć na logice.



Początkowo lód między brzegami kanału dzielony był na ogromne trójkąty przeznaczone do wypchnięcia poza krę.

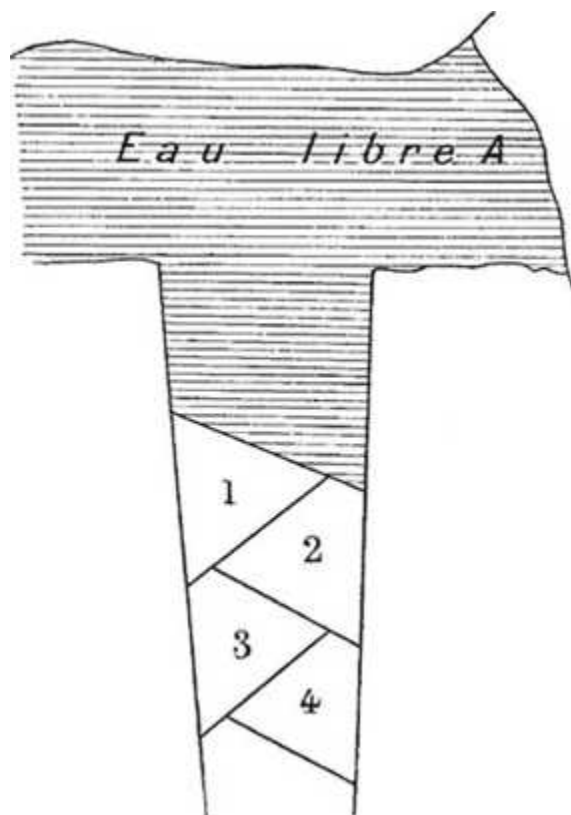
Pomysły padały i z forpiku, i z kwater oficerskich. Niektórzy sugerowali cięcie lodu w przypadkowy wzór. Zaletą takiego podejścia byłoby stworzenie fragmentów o nieregularnym kształcie, nieklinujących się i łatwych do usunięcia z kanału, lecz wymagałoby ono znacznie większego wysiłku i większej grupy ludzi, a wyprawa nie dysponowała takimi zasobami.

Kolejna z propozycji zakładała cięcie lodu na niemal kwadratowe pola, nacinane prostopadle do brzegów kanału, na których umieszczano by centralnie ładunki wybuchowe, by każdy z fragmentów rozkruszyć. Pozwoliłoby to zminimalizować ilość pracy przy cięciu, lecz, jak ktoś zwrócił uwagę, tarcie wzdłuż trzech z czterech krawędzi utrudniałoby ich usuwanie w przypadku nieskuteczności tonitu.

Każda z propozycji natrafiała na jedną lub obie z tych przeszkód: zbyt duże tarcie i zbyt wiele pracy i czasu.

Jak się okazało, problem został rozwiązany dzięki pomysłowi jednego z najbardziej twórczych i kreatywnych ludzi na pokładzie.

Kiedy wyczerpały się propozycje od załogi i oficerów, Cook zaprezentował towarzyszom własny, genialny w swej prostocie projekt.



Poprawiony przez Cooka wzór cięcia lodu.

Zaprezentowany przez Cooka wzór asymetrycznych czworoboków momentalnie wydał się reszcie podróżników tak prosty i praktyczny, że od samego początku powinien być oczywistym podejściem. Wycinane fragmenty były zbyt małe, by miały szansę utknąć w kanale, a kąty krawędzi pozwalały bez problemu odsunąć każdy od pozostałych za pomocą niewielkiego ładunku tonitu.

Plan lekarza pozwolił przyspieszyć prace, dzięki czemu osiągnięto nieprawdopodobne tempo budowy kanału na poziomie sześćdziesięciu metrów na dobę. W miarę postępu robót wycinane fragmenty lodu miały coraz mniejszą powierzchnię, a ich usunięcie poza krę wymagało udziału mniejszej liczby osób. W trakcie tego procesu któryś z podróżników musiał wskoczyć na wycięty fragment i za pomocą długiej tyczki, niczym gondolier, odepchnąć ją od brzegu i skierować w stronę ujścia kanału. Najtrudniejszym momentem był wybór ostatniej

możliwej chwili powrotu na krę, by nie ryzykować dryfowania gdzieś w nieznane. Wychowany nad wodami rzeki Delaware Cook „osiągnął mistrzostwo w tym sporcie” – donosił Lecoite. Lekarz przeskakiwał z jednej strony kanału na drugą i przedrzeźniając innych oficerów, zabawiał załogę. „Często... bliski był skąpania się w lodowatej wodzie morskiej” – notował później Lecoite. – „A jednak, z małpią zwinnością, zawsze zdążył się w ostatniej chwili uchronić przed upadkiem”.

Nadludzki wysiłek podróżników nie tylko nie odebrał im energii, lecz przyniósł wręcz odwrotny skutek, pomnażając ją. W trakcie pracy zauważalnie poprawił się ich stan zdrowia, głównie dzięki zwiększonemu zapotrzebowaniu na kalorie, co wiązało się ze spożywaniem ogromnych ilości foczego i pingwiniego mięsa, które miało działanie przeciwschorbutowe. Można przyjąć, że członkowie wyprawy zjadali średnio po siedem posiłków dziennie. (Zwierzęta wróciły na pak lodowy, więc ci, którzy akurat nie pracowali ani nie odpoczywali, ruszali na polowanie).

Przez większą część roku podróżnicy pogrążeni byli w pełnym apatii stuporze, spragnieni światła, świeżego jedzenia i nadziei. Zapisane przez Cooka terapia ogniem i spożywanie pingwiniego mięsa miały zastąpić im dwa z trzech wymienionych braków. Teraz, dając im odwagę do próby ucieczki, lekarz obudził w nich nadzieję. „Dużo jem, przynajmniej dwa razy więcej niż wcześniej” – pisał Dobrowolski, który jeszcze nie tak dawno leżał przykuty chorobą do łóżka. – „Apetyt niesłychany... już znużenia nie czuję. Śpię doskonale i dużo. Sram regularnie”<sup>38</sup>.

Dwa tygodnie fizycznej pracy w pełnym słońcu, najpierw przy kopaniu rynsztoków Cooka, a potem przy wycinania kanału de Gerlache’a, zaczęły zmieniać ciała podróżników. „Každy zhardział od pracy i wyrabia sobie silne mięśnie” – pisał Cook. – „Przez słońce nasza skóra brązowieje, aż wyglądem przypomina raczej skórę wnętrza buta. Nasze ręce... wygodniej jest ich nie myć, a szczególnie unikać mydła, przez które skóra na nich pęka i piecze. Skutek jest taki, że wszyscy mamy wygląd dziksz niż większość Indian. Nie pociąga to za sobą

jednakże konsekwencji, gdyż nie ma w pobliżu dam, by przebudzić uśpioną próżność, którą każdy z nas w sobie nosił”. Podróżnicy tworzyli dziwaczną, niedopasowaną zbieraninę: w cywilizowanym świecie zawsze elegancko ubrany Arctowski tutaj miał na sobie znoszony płaszcz i postrzępiony kapelusz i prezentował się jak antarktyczny włóczęga; pozostali nosili gogle śnieżne i smarowali twarze wazeliną, by ratować spaloną słońcem skórę. W oczach Dobrowolskiego „wyglądali jak nurkowie”.

Do dwudziestego stycznia kanał był w połowie gotowy. Tego dnia, o piątej po południu, podróżnicy byli świadkami zdarzenia, które tchnęło w ich serca jeszcze więcej nadziei: ciekawski wał butelkonosy południowy zapuścił się w oczyszczony częściowo kanał. Jego wizyta była niczym błogosławieństwo od Antarktyki. Jedną rzeczą było patrzeć na ciemne wody nowo powstającej drogi, która w miarę usuwania lodu stawała się coraz dłuższa, lecz czymś zupełnie innym oglądanie zwierzęcia, które poruszało się nią jak każdym innym kanałem między krami. Dopiero to zdarzenie uświadomiło im, jak wiele pracy wykonali. Niespodziewanie zrozumieli, że to się dzieje naprawdę i że rzeczywiście mają szansę na uwolnienie się.

W nocy prace zostały jednak nagle wstrzymane. Około dziewiątej wieczorem Tollefsen wstał z łóżka i wyszedł, nie informując nikogo, dokąd się udaje. (Dużo wcześniej przestał komunikować się z kimkolwiek, a z czasem jego paranoja się pogłębiała). Trzy godziny później dalej nie natrafiono na żaden ślad bosmana. Jego przedłużająca się nieobecność martwiła pozostałych, więc wszyscy rzucili to, czym się zajmowali, i ruszyli na poszukiwania. Nie znaleźli go w żadnym z miejsc, w których zwykle przebywał. Sprawdzili ładownię, maszynownię, patrzyli w siatkach pod bukszprytem, w skrzyniach, a nawet w dziurze latryny. „Strach, niepewność, poruszenie wśród załogi... wszystko wskazuje na to, że miał tendencje samobójcze” – pisał Dobrowolski. Być może jego towarzysze się mylili, sądząc, że to oni są celem jego zapędów.

Tej nocy Tellefsen odebrał życie, lecz nie człowiekowi. Obłąkaniec powrócił około drugiej nad ranem, ciągnąc za sobą trzy upolowane pingwiny.

Dwudziestego pierwszego stycznia kresu dobiegł trwający dziewięć tygodni dzień. „Dziś słońce nas opuszcza” – pisał Amundsen w dzienniku, siedząc przy słabnącym świetle wpadającym przez bulaj. Im bliżej bieguna, tym szybciej noc pożerała dzień, w porównaniu do innych szerokości geograficznych. Mniej niż tydzień później światła miało być tak mało, że wieczorna lektura bez świec nie będzie już możliwa, a w połowie marca mrok znów zyska przewagę. Równie szybko spadały temperatury. I choć praca postępowała dość prędko, pierwszy oficer był przekonany, że zbyt późno ją rozpoczęto, by zdążyć na czas.

Amundsen pesymistycznie oceniał plan budowy kanału i nic nie było w stanie zmienić jego podejścia. Od chwili wpłynięcia między kry on najczęściej ze wszystkich wspinał się do bocianiego gniazda, by obserwować pak. „Z wyjątkiem sierpnia, września i października nie było szans, by gdziekolwiek się stąd ruszyć” – pisał pierwszy oficer. – „Bardzo długie kanały, całkowicie pozbawione kry, sryżu i kawałków lodu pojawiały się jedynie w sierpniu, wrześniu i październiku, jednak – niestety – byliśmy w tym czasie zbyt słabi, by zabrać się za pracę, którą wykonujemy dzisiaj”.

Amundsen, najpotężniejszy ze wszystkich podróżników, piłował pewnie silniej i szybciej niż ktokolwiek inny, a jednak nigdy nie wierzył w powodzenie tych działań – nawet gdyby udało się kanał skończyć na czas i Belgica wydostałaby się przez niego na otwartą wodę. „Choćbyśmy robili wszystko, co w naszej mocy, nie sądzę, by poświęcony na to czas miał istotny wpływ na nasze uwolnienie”. Wiedział, że przebicie się wzdłuż starego kanału, gdzie lód był stosunkowo cienki, to najprostsza część zadania.

Zgodnie z jego przewidywaniami wydajność spadła, by w końcu zamrzeć, kiedy obie grupy dotarły w pobliże Belgiki. Piłom tępiły się ostrza, kiedy niedaleko statku trafiały na starszy, grubszy lód i inne przedmioty, zgrzytając przy tym niemiłosiernie i uwalniając budzące odruch wymiotny zapachy. Składowiska puszek z całego roku wyłamywały narzędziom zęby, podobnie jak inne odpady, które przez ostatnie miesiące trafiały za burtę, by stać się częścią paku. Ta zamarznięta i cuchnąca fosa wokół Belgiki, składająca się również ze szczątków upolowanych zwierząt i ludzkich odchodów, pochłaniała światło słońca i topiła górną warstwę śniegu, tworząc obrzydliwą breję pokrywającą twarde, morski lód. „Cóż to za widok! Przywykliśmy do niego, lecz dalej jest paskudny. Statek otaczają zwały śmieci i gówien, które topią się pod wpływem słońca” – pisał Dobrowolski. – „Belgica tkwi w cuchnącej gnojówce pokrywającej twarde lód paku”<sup>39</sup>. Podróżnicy nie przestawali piłować, brodząc po kolana w obrzydliwym ścieku, posuwając się mniej niż dwa metry w osiem godzin.

Do pokonania zostało ledwie kilka metrów. Strudzeni śmiałkowie spoglądali na to, czego już dokonali. Ogromne ilości lodu zostały usunięte, a przed nimi rozpościerał się długi kanał otwartej wody, który cieszył ich ogromnie. Oto urzeczywistnili szaloną wizję komendanta de Gerlache’a.

Zostały im trzy dni do zakończenia pracy, kiedy lód rozpoczął kontrofensywę. Pierwsze niepokojące oznaki pojawiły się trzydziestego stycznia, kiedy lód dookoła statku napierał z taką siłą, że uwięził ostrze podwójnej piły i nie dało się jej wyjąć.

A potem było jeszcze gorzej.

O dziewiątej rano, kiedy do ukończenia kanału pozostało tylko kilka metrów lodu, kra zadrżała i rozległ się przerażający grzmot, który brzmiał jak seria eksplozji. Pracujący mężczyźni z niedowierzaniem patrzyli, jak na ich oczach przy dziobie Belgiki pojawia się pęknięcie i niemal w jednej chwili osiąga krawędź lodu, biegnąc mniej więcej prostopadle do stworzonego kanału. Przez niemal rok podróżnicy



marzyli, by lód w końcu się rozstał. A teraz ich marzenia się ziściły – lecz w najgorszym możliwym czasie i w najgorszy możliwy sposób.

Gdyby szczelina była szersza, oznaczałaby wolność. W takiej formie groziła statkowi zagładę.

Pęknięcie stworzyło gigantyczną, zbliżoną do trójkąta połąć lodu, której druga krawędź graniczyła z otwartą wodą, a trzecia była jednocześnie brzegiem wyciętego kanału. Z krą łączyła się tuż przy statku. Pod wpływem wiatru szczelina zaczęła się rozszerzać i tym samym powoli zamykać światło kanału. Kołysanie nowo powstałej kry wywierało gigantyczny nacisk na kadłub, który co rusz wydawał agonialne jęki. Przerażeni podróżnicy obserwowali, jak stworzona przez nich droga wodna powoli zamyka się, niczym gigantyczne szczęki, których żuchwę stanowiła Belgica. W ciągu kilku chwil na ich oczach zniknęły tygodnie ciężkiej pracy. Kanałem nie przecisnęłaby się już nawet szalupa. Co gorsza, nowo powstałe pęknięcie wcale nie było szersze.

Zniweczenie miesiąca nadludzkiej harówki miało fatalny wpływ na morale załogi. Podróżnicy znaleźli się w gorszej sytuacji, niż gdyby przez cały czas siedzieli z założonymi rękoma. Nie tylko zniknęła ich droga ucieczki, ale i pojawiło się śmiertelne zagrożenie dla Belgiki, która mogła zostać zmiądzona – znacznie większe niż kiedykolwiek od chwili wpłynięcia w pak. Póki statek tkwił w krze, stanowiła ona ochronny bufor obejmujący ją dookoła. Teraz znalazła się między dwoma napierającymi na siebie płytami lodu, niczym migdał w dziadku do orzechów.

„Lód jest bliżej niż kiedykolwiek i czasem czujemy, jak statek drży w rytm jego ruchów” – pisał Amundsen pod datą pierwszego lutego. – „Robi się coraz ciemniej. Jest dziesiąta wieczorem i ledwie starczy światła, bym widział, co piszę”.

Defetyzm pierwszego oficera miał wreszcie podstawy. Kanał został skazany na zagładę i, całkiem prawdopodobnie, Belgicę czekał ten sam los.

## Rozdział 17

### **OSTATNI WYSIŁEK**

ROALD AMUNDSEN W PEWNYM MOMENCIE UŚWIADOMIŁ SOBIE, że dowództwo wyprawy nie przygotowało planu ratunkowego na wypadek, gdyby Belgica została zmiądzona przez lód. Odłożył ołówek i ruszył na poszukiwania Lecointe'a, by wytknąć mu, „jakim wielkim i niewybaczalnym błędem jest brak przygotowanych do drogi, w pełni wyposażonych i załadowanych szalup oraz sań”. Szczęśliwym trafem na spotkanie z kapitanem przybył, dysponując własnym planem, który mógł natychmiast przedstawić.

Dla Amundsena sprawa wydawała się nader prosta. Zalecił, by marynarze zawczasu przenieśli najpotrzebniejsze zapasy i sprzęt do dwóch niewielkich łodzi wielorybniczych, zaprzęgli się do nich jak psy do sań i ruszyli na północny wschód. Planował w ten sposób pokonać ponad osiemset mil morskich lodowej pustyni, by dotrzeć do Cieśniny Belgiki, gdzie ekspedycja rozbiłaby obóz na stałym lądzie. Stamtąd część ludzi mogłaby ruszyć dalej, w obu łodziach wielorybniczych pokonać Cieśninę Drake'a i w okolicach przylądka Horn szukać ratunku.

Dla Amundsena działanie takie było całkowicie oczywiste, nie tylko przez brak połączenia kanału z otwartym oceanem, ale również dlatego, że w jego głowie tak właśnie wyglądał polarny heroizm. Przez całe życie przygotowywał się na coś równie morderczego, jak czekający ich marsz połączony z walką z szalejącymi żywiołami; po to całą zimę sypiał przy otwartym oknie i po to razem z bratem Leonem ruszył w podróż przez Hardangervidda, gdzie cudem tylko uniknął śmierci. Do takiej próby sposobił się, terminując u Cooka, i temu służyć miały ich wspólne wędrówki po lodowym paku. Niemal można było odnieść

wrażenie, że Amundsen czeka tylko, aż lód zniszczy Belgicę, bo to umożliwi mu realizację jego planu ratowania ekspedycji i udowodni w końcu de Gerlache'owi, że jak nikt inny zasłużył na dowodzenie Belgicą.

Po trwającej pewien czas wymianie zdań Lecointe i inni oficerowie w końcu przystali na realizację pomysłu Amundsena, nie bacząc na to, jak bardzo nierealistycznie brzmiał. Jego błędy i niedociągnięcia było widać na pierwszy rzut oka. Przede wszystkim już pierwsze testy polegające na zaprzężeniu części załogi do łodzi i przeciągnięciu jej po lodzie na stosunkowo krótkim odcinku ujawniły, że szalupy są ciężkie i bardzo niestabilne. Trudno było wyobrazić sobie, by podołali temu nawet zdrowi i dobrze odżywieni mężczyźni, którzy mieliby przeciągnąć w pełni załadowane łodzie przez setki mil lodowego paku do Cieśniny Belgiki. Po drugie, podróż przez lód skuwający morze nie przebiegałaby w linii prostej i wymagałaby nadkładania drogi, by okrążyć przeszkody w postaci lodowych zwałów czy grani zbyt stromych, by pokonać je górą. Po trzecie, od początku stycznia część paku, w której tkwiła uwięziona Belgica, dryfowała na zachód (średnie tempo naturalnego zachodniego dryfu przyspieszyło niedawno do około dziesięciu mil morskich dziennie). Gdyby taka sytuacja miała się utrzymać, dryf paku w kierunku zachodnim pochłonięłyby większość, jeśli nie cały wysiłek włożony w transport łodzi na wschód. Nawet w sprzyjających okolicznościach wielu z podróżników nie miałyby szans na przeżycie trasy do cieśniny, nie wspominając nawet o kolejnym odcinku, czyli sześciuset pięćdziesięciu milach morskich żeglugi do przylądka Horn przez jedne z najniebezpieczniejszych wód na świecie.

Lecz nawet jeśli plan Amundsena miał bardzo niewiele plusów, jeszcze mniej zalet miała perspektywa pozostania na krze i bezradnego czekania na śmierć, gdyby Belgica została zniszczona przez lód. Cook, de Gerlache i Amundsen wzięli na siebie nadzór nad przygotowaniem sprzętu na podróż: namiotów, śpiworów, nakryć z foczych skór, narzędzi i rakiet śnieżnych zrobionych z połamanych nart. Załoga

przeorganizowała zapasy w ładowni, by ułatwić dostęp do najważniejszych i najbardziej potrzebnych towarów i sprzętu.

W trakcie pracy dokonali mrozącego krew w żyłach odkrycia: szczury całkowicie zniszczyły większość zapasowych zimowych ubrań. Nawet dysponując doskonałym ekwipunkiem, wielomiesięczny marsz przez lodowy pak w środku antarktycznej zimy najsłabszych z załogi kosztowałby życie. Szczury przeżęły resztki nadziei podróżników na opuszczenie Antarktydy żywcem, poza pokładem Belgiki. Teraz ich przetrwanie w pełni zależało od jej przetrwania.

Świadomość tego pojawiła się dwa dni później, wraz z pewnym równie mrozącym krew w żyłach odkryciem. Kanał – a raczej wąski przesmyk, który na początku był kanałem – całkowicie zniknął. Jego powierzchnię przysypał śnieg, a nocą trzeciego lutego skuł lód.

Komendant nie miał innego wyjścia i musiał uznać porażkę. „Wydaje się, że nie możemy dłużej odsuwać od siebie wizji kolejnej zimy tutaj” – zapisał w dzienniku.

De Gerlache stanął przed wyborem jednego z dwóch równie niebezpiecznych scenariuszy: marszu przez lodowe pola Antarktyki, bez schronienia, bez właściwego zimowego odzienia i bez realnych szans na dotarcie do stałego lądu, lub próby spędzenia kolejnej zimy na pokładzie statku, co zgodnie z ostrzeżeniem Cooka musiałyby się skończyć śmiercią części załogi, a być może i całej, gdyby kra zmiażdżyła kadłub. Komendant wybrał pozostanie na Belgice, na której przynajmniej znajdowały się zapasy. Mieli dość jedzenia na trzy miesiące. Żeby to wystarczyło, de Gerlache zmniejszył racje. Każdemu z podróżników przypadało dziennie sto pięćdziesiąt gramów masła, sto pięćdziesiąt gramów cukru, niewielki kawałek chleba i ciastko. Drastyczne decyzje komendanta miały w zamyśle zapewnić załodze przetrwanie zimy, gdyby i statek miał ją przetrwać, i pod warunkiem, że wciąż mieliby dostęp do świeżego mięsa, co wcale nie było

przesądzone. Doświadczenie poprzedniego roku nauczyło ich, że wraz z nadejściem długiej nocy z paku znikają zwierzęta.

Mimo przekonania o braku szans na uwolnienie się z pułapki de Gerlache nie zamierzał ogłaszać zakończenia prac przy budowie kanału, które już teraz przyniosły poprawę zdrowia jego ludzi i uchroniły ich przed rozpaczą i rezygnacją.

W drugim tygodniu lutego ekspedycja zdawała się trwać w niemożliwym do wygrania starciu z naturą. Mężczyźni cięli formujący się co noc lód i próbowali poszerzać zamykający się coraz bardziej kanał, odłupując kawały kry z jego brzegów. Przez kilka wcześniejszych dni wiatr pchał z powrotem w kierunku kanału fragmenty wyciętego lodu, które zakleszczyły się w samym jego ujściu i zamarły, tworząc zwartą barykadę. Mimo że wycinane fragmenty były znacznie mniejsze niż wcześniej, podróżnicy nie mogli wypchnąć ich na zewnątrz. Musieli uciec się do innego sposobu, który polegał na dzieleniu ich na jeszcze mniejsze kawałki – lecz wciąż kilkusetkilogramowe – i wyciąganiu ich na krę za pomocą specjalnej rampy.

Praca, która z początku wypełniała członków załogi energią, zaczęła ich wyczerpywać. Musieli harować jeszcze ciężiej przy zmniejszonych racjach żywnościowych, które nie pokrywały ich zapotrzebowania na kalorie, co sprawiało, że wysiłek pożerał ich ciała.

Wraz z bezustannym naciskiem lodu na kadłub Belgiki i reorganizacją zapasów w ładowni, gryzonie zamieszkujące trzewia statku zrobiły się równie głodne i nerwowe jak ludzie. „Póki nie oszczędziliśmy im niczego, dawały nam spokój” – zapisał Arctowski. – „Teraz jednak, po zabraniu każdej pozostałej skrzyni z jedzeniem i opróżnieniu ładowni, szczury zaczęły nocne rajdy na nasze koje”. Belgica była więc atakowana od zewnątrz i od środka.

Początkowo wydawało się to iluzją, kolejną antarktyczną fatamorganą: spoglądając z bocianiego gniazda, można było odnieść wrażenie, że cały pak unosi się delikatnie i opada, jakby oddychał. Ale po chwili

zakołysał się pokład. Po raz pierwszy od niemal roku marynarze poczuli pod nogami ruch oceanu. Odkrycie to było źródłem zarówno nadziei, jak i strachu – strachu, bowiem każdy ruch oceanu zwiększał nacisk lodu na kadłub statku, i nadziei, bo fale te oznaczały, że musieli znajdować się stosunkowo blisko północnej krawędzi paku. Przy odrobinie szczęścia przetaczające się pod lodem fale zdestabilizują go i ponownie otworzą kanał.

W trakcie piłowania członkowie załogi słyszeli trzask pojawiających się pęknięć, dochodzący od rufy Belgiki. Pak rozpadał się i reorganizował w sposób całkowicie chaotyczny. W napięciu wypatrywali jakichkolwiek oznak tego, że kra atakuje statek lub, na co mieli nadzieję, pojawia się szansa na ratunek. Nie musieli długo czekać.

O trzeciej nad ranem, dwunastego lutego, pod wpływem ruchu wody i wiatru brzegi kanału niespodziewanie zaczęły się od siebie oddalać. W dość krótkim czasie wyłoniona droga wodna stała się dość szeroka, by Belgica przecisnęła się nią. Podróżników ogarnęła ekscytacja. Nie mogli się doczekać, by skorzystać z okazji. De Gerlache polecił rozpaść palenisko kotła i uruchomić silnik.

A potem – nagle – równie niespodziewanie, jak kanał się otworzył, tak teraz zaczął się zamykać. To była ich jedyna okazja. Kanał był niemal czysty, lecz ucieczkę uniemożliwiała im wciąż ta sama, największa przeszkoda: potężny kawał lodu trzymał w uścisku rufę statku i nie zamierzał jej puszczać.

Ratunkiem mógł być tonit, jednak zastosowanie go w tak niewielkiej odległości od statku groziło doprowadzeniem do perforacji kadłuba, zalania pokładu i posłania jednostki na dno, niemal półtora kilometra pod ich stopami. Lecointe, jako przeszkolony artylerzysta, miał niewiele czasu, by precyzyjnie wyliczyć ilość potrzebnego tonitu oraz odległość, w jakiej materiał powinien zostać zdetonowany, by nie uszkodzić Belgiki. Ilekroć Lecointe testował działanie tonitu, wykorzystywał różnej wielkości ładunki, jednak nigdy nie detonował ich tak blisko

statku. Tym razem nie było czasu na próby. Od prawidłowości jego wyliczeń zależało życie towarzyszy.

Lecointe umieścił ładunki wybuchowe w nagromadzonym lodzie i najpewniej pomodlił się szeptem do świętej Barbary, po czym odpalił je, jeden po drugim. Razem z pomocnikami rzucili się do ucieczki i schowali w bezpiecznej odległości.

Wybuch wstrząsnął całym statkiem, wywołując przy tym dźwięk, jakiego żaden z mężczyzn dotychczas nie słyszał. Zadzwończyły szyby i wyposażenie laboratoriów. Pokładowy barometr zarejestrował gwałtowny wzrost ciśnienia i zaraz potem równie gwałtowny jego spadek, kiedy próżnia po eksplozji wessała powietrze. Pomost statku zasypały wyrzucone w powietrze bryły lodu wielkości cementowych bloków oraz szczątki zamrożonych zwierząt, śmieci i odchody. Każda kolejna eksplozja uwalniała falę zniszczenia, która niebezpiecznym gradem zasypywała jednostkę. Każdy wybuch groził uszkodzeniem steru, rozerwaniem kadłuba czy detonacją pozostałej części tonitu.

Kiedy ucichł grzmot ostatniej eksplozji, powietrze mieniło się drobinkami startego lodu, które tańczyły na wietrze. Pak spowiła cisza, przerywana jedynie delikatnym pluskiem wody w kanale. Podróżnicy zbliżyli się do statku, niepewni tego, co zobaczą. Odrzucili na boki rozsypane kawały lodu, by skontrolować drewniane obicie kadłuba i sprawdzić, czy spełnią się ich najgorsze obawy – czy znajdą duże otwory w burtach, wyrwane eksplozją, przez które woda zalewałaby już ładownię.

Kilka chwil później przekonali się, że ładunki zostały przez Lecointe'a idealnie skalibrowane. Lód zmienił się w pył, a jednak burty pozostały nietknięte. Po raz pierwszy od marca 1898 roku Belgica mogła postawić żagle.

Przed nastaniem kolejnego dnia kanał został oczyszczony z lodu – na tyle, na ile się dało. I tylko jego ujście wciąż zamykała barykada z zamrożonych bloków. De Gerlache zdawał sobie sprawę, że jedynym rozwiązaniem było staranowanie przeszkody, mimo ryzyka uszkodzenia statku. Pozostał jeszcze jeden poważny problem: ponieważ kanał

zaczynał się przy rufie Belgiki, statek był ustawiony w złym kierunku. A wycięte przejście nie oferowało wystarczającej swobody, by zawrócić.

Przez kolejne dwadzieścia cztery godziny mężczyźni podwoili wysiłki. Tnąc i detonując ładunki, przygotowali niewielką zatoczkę na zakręcie kanału, by pozwolić Belgice zmienić kierunek. Kiedy tylko zatoka w lodzie była gotowa, Belgica cofnęła się i wpłynęła w nią tyłem, by skierować dziób na przeszkodę u ujścia kanału.

Lecz w chwili, gdy była w połowie tego manewru – ciasnego zwrotu na trzy razy, przy którym wspomagała się cumami i kotwicami – nagła zmiana kierunku wiatru sprawiła, że krawędzie lodu zaczęły się do siebie zbliżać i uwięziły jednostkę dokładnie w poprzek kanału. Kra nie się nie poddawała. Tak oto krótko po uwolnieniu się z lodu Belgica ponownie wpadła w jego szpony, lecz tym razem w znacznie groźniejszej pozycji. Jej życiodajne organy – śruba napędowa i płetwa sterowa, bez których stawała się równie niesterowna jak kawałek dryfującego drewna – przyjmowały na siebie nacisk paku. Wystarczyło, by jego napór wzrósł jeszcze trochę, a uległyby uszkodzeniu. Tym razem nic już nie mogli zdziałać i pozostało zdać się jedynie na łaskawość siły wyższej. Z początku tylko niektórzy prosili Boga o pomoc, lecz kiedy dźwięki naprężonego drewna i zgrzyt stali stały się głośniejsze, wszyscy zaczęli wznosić modły.

„Przyglądaliśmy się w napięciu” – pisał kapitan Lecointe. – „Wszystkie nasze myśli i nasze dusze błagały o uwolnienie”.

Nagle, jakby kra zmęczyła się bitwą, nacisk lodu zelżał delikatnie – ledwie wystarczająco, by Belgica dokończyła nawrót. De Gerlache nie marnował czasu: skierował dziób w stronę ujścia z kanału i, widząc otwartą wodę za spiętrzonym lodem, przygotował statek do najważniejszej szarży. Somers zwiększył ciśnienie do maksymalnych wartości, jak najlepiej wykorzystując bardzo uszczuplone zapasy węgla. Belgica sapała niczym wściekły byk. Na rozkaz de Gerlache’a tłoki silnika parowego osiągnęły maksimum swoich możliwości, a statek ruszył naprzód, wprost na lodową barykadę czterysta metrów dalej.



Załoga wstrzymała oddech, gdy Belgica z pełną prędkością gnała na zamarznąłą przeszkodę. Nie było już odwrotu: ktoś musiał zwyciężyć, statek lub lód. Dziób wyrzwał w lodowy zator i zmiażdżył go swoim naporem. „Bez dalszych przeszkód wypłynęła [Belgica] na pole otwartej wody” – notował Lecointe.

„Nikt nigdy nie radował się tak, jak oficerowie i załoga Belgiki” – pisał Cook – „gdy statek minął krawędź kry, która przez niemal rok była dla niego więzieniem”.

Po zużyciu większości zapasów węgla i żywności Belgica unosiła się wysoko na wodzie, kołysała i podskakiwała jak dzikie zwierzę wypuszczone z klatki. Wciąż jednak pozostawała w granicach lodowego paku. Z bocianiego gniazda widać było wyraźnie, że pole otwartej wody, na którym się znalazła, jest ze wszystkich stron zamknięte. Podobnie rzecz się miała z widocznymi kanałami i jeziorami poza nim. Ciemna plama cienia na chmurach na horyzoncie – odległy ślad wodnego nieba – zdawała się obiecywać otwarty ocean kilkadziesiąt mil na północ, lecz nie istniała żadna oczywista droga, by się tam dostać. Wszystkie kanały i pęknięcia na paku układały się ze wschodu na zachód, prostopadłe do kierunku, w którym mieli zmierzać. Nie było wyjścia – musieli płynąć na zachód i korzystać z każdej okazji, przeciskać się, taranować i lawirować, by dotrzeć w końcu do północnego krańcu paku.

Kiedy wypełniono wodą zbiorniki balastowe, Belgica ruszyła wzdłuż przesmyków i szczelin. Wślizgiwała się na lód, który pękał pod jej ciężarem, bo do takiej właśnie pracy została stworzona; walczyła bez strachu i z zapalem atakowała przeciwnika, który tak długo trzymał ją w niewoli. Kiedy trafiła na świeży lód, wystarczyło jedno dobrze wymierzone natarcie, by całą połąć przecięło nowe pęknięcie. Zanim nastał pierwszy marzec, Belgica znalazła się niecałe pięć mil morskich od otwartego oceanu. Załoga uwijała się dniem i nocą, by uniknąć ponownego uwięzienia, a jednak nie udało się uciec przed zagrożeniem.

Z bocianiego gniazda widać już było cieniutką czarną kreskę na horyzoncie. Przez lunetę de Gerlache dostrzegał rozbryzgi wody z fal rozbijających się o krawędź paku.

„Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło” – zapisał komendant. – „Zmieniło się jedynie”. Belgice nie groziło utknięcie w pojedynczym polu lodowym, a w gęstej mozaice kry, która bezustannie się poruszała. Znalezli się tak blisko krańca paku, że fale z oceanu unosiły bryły lodu, cofały je i ciskały nimi o burty statku. Wydawało się, że pak, nie mogąc zmiążyć Belgiki, postanowił ją podziurawić i zatopić.

„Statek znosi dzielnie jedno uderzenie za drugim” – notował Amundsen w dzienniku. – „Na szczęście na powierzchni wody unosi się sporo śryżu i drobniejszych kawałków lodu, by w jakimś stopniu absorbować siłę uderzeń, choć duże bloki są coraz bliżej i bliżej”.

Piątego marca, gdy ocean się uspokoił, Amundsen i Cook zeszli na lód. Krążki lodowe i kry były tak ściśnięte, że można było między nimi przeskakiwać. Oficer i lekarz pokonali ponad trzy kilometry po delikatnie falującym paku, by dotrzeć do góry lodowej, z której szczytu zamierzali przyjrzeć się okolicy i być może znaleźć drogę na otwarte wody oceanu. Cook niósł aparat, by uwiecznić lodową scenerię.

Kiedy szli, usłyszeli odległy grzmot docierający z północy, jakby dźwięk wodospadu. Niespodziewanie zobaczyli siedmiometrową falę, która pędziła w ich stronę jak nacierająca kawaleria. Z potężną siłą uderzała w lodowe krążki paku, rozrywała je i wyrzucała w górę, aż ginęły gdzieś za nią. Sekundy dzieliły ich od spotkania.

Bez namysłu zawrócili i rzucili się w przeciwnym kierunku. W miarę jak żywił ich doganiał, spomiędzy kawałków lodu wystrzeliwały coraz wyższe fontanny wody. Za ich plecami ryk oceanu przybierał na sile, a oni rozpaczliwie salwowali się ucieczką, przeskakując z kry na krę. Fala była tuż za nimi; nie mieli najmniejszych szans, by powrócić na statek. Zatrzymali się, kiedy dotarli na krę ze starego lodu i rozpaczliwie do niej przywarli, gdy fala przetoczyła się pod nimi. Cook ani na chwilę nie puścił aparatu.

Lodowe pięści ważące po kilka ton dzień i noc niestrudzenie waliły w kadłub Belgiki. „Statek przyjmuje potężne ciosy” – pisał Amundsen. – „Drży przy każdym jak liść”. Każde uderzenie znaczyło krawędzie kry płatkami farby i drzazgami. Dalsze wystawienie na działanie lodu groziło rozerwaniem poszycia. Cook, jak zwykle z głową pełną błyskotliwych pomysłów, zaproponował skuteczną – acz mocno ponurą – metodę łagodzenia uderzeń. Do nadburci przywiązano liny, na których zawisły pingwinie truchła, dokładnie w miejscach, gdzie burty najbardziej narażone były na zderzenia z lodem. Mięśne odboje przyjmowały na siebie agresję lodowego paku, aż do chwili, gdy zmielone nadawały się tylko do wymiany. Wiele miesięcy po tym, jak lekarz odkrył antyszkorbutowe właściwości pingwiniego mięsa, zabawne ptaki ponownie ratowały im życie.

Niewiele jednak mogły pomóc przy ochronie steru przed powtarzającymi się natarciami lodowej kry na rufę statku. Bez płetwy sterowej Belgica stałaby się niesterowalna, co równałoby się wyrokowi śmierci dla wszystkich na jej pokładzie. Kilku członków załogi zeszło więc na pak i wycięło kawał lodu, by nie napierał na ster. Pracowali z rozpaczliwą furją, walcząc przeciwko kolejnej zimie w Antarktyce. Ścierali się z lodem jak średniowieczni rycerze broniący murów twierdzy: atakowali go siekierami, by zaokrąglić ostre krawędzie, a najgroźniejsze bryły wysadzali tonitem. Ładunki wybuchowe zmieniały lód w gęstą zupę, która stanowiła naturalny bufor, chroniący statek przed większymi kawałkami kry.

Powolutku Belgica zbliżała się do krawędzi paku, korzystając ze sprzyjającego południowego wiatru. Wieczorem trzynastego marca powiewy przybrały na sile i przepchnęły cały pak na północ, a wraz z nim statek. Uwięziona przez szybko poruszające się kry, Belgica pędziła bezradnie wprost na grupę potężnych gór lodowych, które broniły dostępu do otwartego oceanu. Mniej podatne na działanie wiatru, lodowe olbrzymy pozostawały nieruchome, jak wyszczerzone białe kły.

Około poranka Belgica zmierzała wprost na gargantuicznych rozmiarów spłaszczony lodowy ząb, wielokrotnie większy od niej samej. Statek był uwięziony pośród równie szybko poruszającej się kry, a z tyłu popychał go silny wiatr. Przed nimi znajdował się stosunkowo wolny od lodu pas wody, jednak kończył się ścianą góry. Jakby tego nie wystarczyło, przestrzeń między nią a sąsiednią górą lodową zatarasował zwał kry zakleszczonych w tej pułapce w drodze do oceanu.

De Gerlache przejął ster. Można było odnieść wrażenie, że ekscytacja powrotem do manewrowania na granicy ryzyka przywróciła go do życia. Cała załoga pokładała w nim nadzieję, wierząc, że podoła temu, w czym jest najlepszy. By zyskać pęd wystarczający do pokonania przesmyku między górami lodowymi, nie zahaczając o żadną z nich i nie poddając się bocznym falom, które mogłyby zepchnąć statek na groźną lodową masę, de Gerlache potrzebował dłuższego odcinka. Nakazał przestawić silnik na całą wstecz. Manewr taki mógł zniszczyć napęd i komendant zdawał sobie z tego sprawę, jednak gdyby zadziałał, statek zyskałby dokładnie tyle przestrzeni, ile potrzebował.

Kiedy śruba obracała się w drugą stronę, Belgica każdym koniem mechanicznym walczyła z napierającymi od rufy falami. Na polecenie de Gerlache'a Somers, główny mechanik, przełączył silnik na całą naprzód. Statek ruszył pełną prędkością przed siebie.

Somers skierował całą sprężoną parę do dwóch cylindrów. Tłoki skakały jak szalone i dziko szarpały wałem śruby. Strzałki wskaźników sygnalizowały maksymalne wartości. Śruby luzowały się i rozszczelniały połączenia. Główny mechanik wyrzwał na pokład, by przekazać de Gerlache'owi, że silnik tego nie wytrzyma, lecz widząc, jak blisko są gór lodowych, czym prędzej zbiegł do maszynowni i jeszcze zwiększył moc napędu. Zmusił „kocioł do produkcji takiej ilości pary, jakiej ten jeszcze nigdy nie produkował” – zapisał Amundsen. – „I pewnie nigdy już nie będzie musiał”.

Poza Somersem wszyscy podróżnicy zgromadzili się na pokładzie, obserwując zbliżające się góry i lodowy zator. Czas zwolnił. Sześć

metrów do zderzenia. Pięć. Cztery – silnik sapał z wysiłku. A kiedy nie pojawił się żaden wstrząs, marynarze zrozumieli, że w końcu są wolni.

Czternastego marca o drugiej po południu minęli północną granicę lodowego paku. Niedługo potem o jego istnieniu przypominała im jedynie jaśniejsza plama na chmurach na horyzoncie za statkiem.

## Rozdział 18

### **OBCA TWARZ W LUSTRZE**

„CÓŻ ZA RÓŻNORODNOŚĆ UCZUĆ NAMI TARGAŁA w pierwszych chwilach wolności!” – pisał Lecointe. – „Nieskończona szczęśliwość poprzepłatana smutkiem i żalem gdzieś na dnie serca: żegnaj lodowy paku z całym cierpieniem, jakiego nam przysporzyłeś i całą żalobą, lecz też z gorzką radością poczynionych odkryć i dumą, jakiej już nigdy nie doświadczymy! Żegnajcie, biedni przyjaciele, Danco i Wiencke, którzyście nasze uwolnienie opłacili życiem! Witaj, bezkresny oceanie! Zabierz nas daleko stąd, do ojczyzny i do tych, których kochamy! Czy dane nam będzie się z nimi spotkać?”.

Bardzo późne uwolnienie z lodowego paku w połączeniu z nie najlepszym stanem zdrowia załogi wykluczało przedłużenie ekspedycji o kolejny rok. Południowy biegun magnetyczny musiał pozostać nieodkrytą jeszcze nagrodą dla przyszłych śmiazków, i w znacznym stopniu zapomniano o napięciu między de Gerlache'em i członkami Zakonu Pingwina związanym z dotarciem do Ziemi Wiktorii. Belgica na dobre opuszczała Antarktykę, więc de Gerlache, jako dowódca wyprawy, zasiadł do nadawania nazw odkrytym miejscom, przy czym wszystkie z nich znajdowały się w Cieśninie Belgiki. Jego pierwszą myślą było uhonorowanie dwóch członków wyprawy, którzy w jej trakcie stracili życie. Pierwsza ofiara ekspedycji została upamiętniona dwudziestotrzykilometrową Wyspą Wienckiego. Swemu przyjacielowi z dzieciństwa komendant ofiarował spory kawałek wybrzeża Antarktydy, znany dziś jako Wybrzeże Danco.

De Gerlache posługiwał się w pracy listą osób i miejsc ważnych dla niego i dla całej ekspedycji, przez co mapa kanału może przypominać trochę mapę belgijskiej prowincji (gdybyż tylko belgijska topografia

odznaczała się większym dramatyзмом!); wyspy: Antwerpia, Brabancja, Zatoka Flandrii, Góry Solvaya (nazwane tak na pamiątkę pierwszego i jednocześnie najhojniejszego sponsora wyprawy, Ernesta Solvaya), pasmo Osterrieth (nazwane na pamiątkę sponsorki i powierniczki Léonie Osterrieth, zwanej również Matką Antarktyką). Jedną ze wspaniałych zatok nazwał na cześć królowej Holandii Wilhelminy, by uczcić jej szczodry gest, jakim było wysłanie holenderskiego statku, by towarzyszył Belgice w podróży przez holenderskie wody w pierwszym dniu, kiedy wyprawa opuszczała Antwerpię. Jediną nagrodą, jaką de Gerlache mógł się odwdziżyć za wsparcie sponsorom, była nieśmiertelność w postaci nazwy odległego kawałka lądu, którego prawdopodobnie i tak nigdy nie zobaczą.

Kiedy dotarł do końca listy, pozwolił swoim oficerom nadać nazwy mniej znaczącym geograficznym odkryciom, by w ten sposób oni również mogli pozostawić tam ślad po sobie. Amundsen chciał upamiętnić zmarłego norweskiego odkrywcę Eivinda Astrupa. Cook dwie niewielkie wyspy nazwał na cześć pierwszego burmistrza Nowego Jorku Roberta Van Wycka i swojej dzielnicy Brooklynu.

W eskorcie albatrosów i petreli przekraczali z powrotem Cieśninę Drake'a. De Gerlache zamierzał wrócić do Ziemi Ognistej od południa, przez rozkołysany sztormami i najeżony podwodnymi skałami Kanał Cockburna. Droga ta była znacznie niebezpieczniejsza niż wpłynięcie od strony Atlantyku czy Pacyfiku i w zasadzie każda mapa ostrzegała, by nie zapuszczać się na te wody. Lecz taki właśnie zamysł zrodził się w głowie de Gerlache'a: niebezpieczeństwo oznaczało, że Belgica nie napotka innych statków, które mogłyby ją rozpoznać i przedwcześnie zapowiedzieć jej powrót. Komendant kierował się głównie troską o Wienckiego - gotów był zaryzykować kolejne zagrożenia, by w odpowiednio godny sposób powiadomić rodzinę młodego marynarza o jego tragicznej śmierci. (Danco nie miał żadnych krewnych). Bezustannie zachmurzone niebo uniemożliwiało Lecointe'owi ustalenie pozycji Belgiki, a nawigacja zliczeniowa dawała marynarzom jedynie przybliżone wyobrażenie o miejscu, w którym się znajdują. De Gerlache

w ostatniej chwili zdecydował się na bezpieczniejszą drogę prowadzącą dookoła przylądka Horn i powrót przez spokojniejsze wody po argentyńskiej stronie Cieśniny Magellana.

Po południu dwudziestego szóstego marca za sterem stał Ludvig Johansen, kiedy nad statkiem przeleciał kormoran, kierując się na północ. Marynarz odprowadzał go wzrokiem, a wtedy daleko za prawą burtą mgła się przerzedziła i pojawiły się niewyraźne kontury jakiejś wyspy.

- Łąd! - obwieścił Johansen. Przywołana jego krzykiem załoga stawiała się na pokładzie, by napawać oczy widokiem skrawka stałego lądu - pierwszego, który zobaczyli od przeszło roku.

Kilka minut później statek minął ostre skały wylaniające się ze wzburzonej topieli. Gdziekolwiek spojrzeć, siedziały kormorany. De Gerlache i Lecointe sięgnęli po mapę brytyjskiej admiralicji, by w okolicach przylądka Horn odnaleźć podobny kawałek lądu - ale go nie znaleźli. Zdezorientowani studiowali ją uważnie kawałek po kawałku, przesuwając palcami wzdłuż poszarpanego wybrzeża Ziemi Ognistej, by odkryć w końcu, że czarna strzelista skała musi być jednym z elementów formacji Tower Rocks przy południowym krańcu wyspy Noir - ponad trzysta mil morskich na zachód od miejsca, do którego chcieli dopłynąć. Okazało się, że taką siłę miały prądy morskie na styku Pacyfiku i Atlantyku. W ten sposób i tak znaleźli się na owianych złą sławą zdradzieckich wodach Kanału Cockburna.

Wieczór miał wkrótce zatopić w ciemnościach usłane rafami wejście do kanału, więc komendant rozkazał stanąć na kotwicy w miejscu osłoniętym przez wyspę Noir. Kilku marynarzy błagało wręcz o pozwolenie zejścia na ląd, lecz de Gerlache, obawiając się wzbierającego wiatru i nieznajomości terenu, wołał poczekać na dzień, by rozważyć lądowanie. Przez całą noc coraz mocniejsze podmuchy zachodniego wiatru przedostawały się za wyspę i uderzały w Belgicę od boku, zwiększając jej przechył i przybliżając maszty do powierzchni wody. Przed nastaniem dnia wiatr zmienił kierunek na południowo-zachodni i uderzył od dziobu.



Wtedy zaczął się sztorm potężniejszy i bardziej przerażający niż jakikolwiek wcześniej. Zgodnie ze wspomnieniami Dobrowolskiego, burza ta godna była się znaleźć wśród najdzikszych szaleństw żywiołu sportretowanych przez J.M.W. Turnera:

Pod czarnym niebem tak niskim, że fale, zdało się, mogły je opluć pianą – rozproszony hufiec potężnych piramid płynnych barwy żelaza ze ściekającymi strumieniami piany. Wierzchołki ich, ścięte przez wicher, dymią się bryzgiem i pyłem. Między nimi w obszernych dolinach raptowne staccata wiatru ciskały w górę gęsty kurz, chwytany w tej chwili przez zwoje krążących tłumnie wirów powietrza. Ten korowód mglistych wirów, ten taniec zwierających się ze sobą, to znów odskakujących od siebie upiorów pomiędzy dymiącymi wulkanami fal – było to naprawdę coś z baśni!<sup>40</sup>

Huraganowy wiatr uderzał w przechylony statek wysokimi falami, spychając go w stronę spienionej linii zdradzającej wysokie skały kryjące się tuż pod powierzchnią, ledwie czterysta metrów od burty. Kotwica nie mogła się mierzyć z siłą szalejącego żywiołu i przesuwiała się po piaszczystym dnie, w miarę jak Belgica zmierzała w stronę raf. Mimo całej naprzód, napędowi brakowało siły, by ruszyć jednostkę pod wiatr, zluzować łańcuch i pozwolić załodze wciągnąć kotwicę na pokład. W ten sposób, uniemożliwiając ucieczkę, miał ratować statek przed wpłynięciem na przeszkody, manewr ten groził przyczynieniem się do unicestwienia Belgiki.

I kiedy wydawało się, że wiatr nie może osiągnąć większej siły, od lewej burty zaatakował Belgicę szkwał o biblijnej mocy, jeszcze bardziej zbliżając ją do rafy. Komendant miał ledwie kilka sekund, by zapobiec katastrofie. De Gerlache podjął decyzję o porzuceniu kotwicy, a załoga błyskawicznie wykonała polecenie. Statek, już niczym nie hamowany, jeszcze szybciej ruszył w stronę rafy. Trzymając się nadburcia, kompletnie przemoczony komendant przekrzykiwał wicher, rozkazując

załodze postawić foksztaksel i dać całą naprzód, a następnie zakręcił kołem w lewo.

Tak ustawiony statek wykorzystał to, czym natura jeszcze chwilę wcześniej chciała go zniszczyć. Wiatr momentalnie wypełnił żagiel i pchnął Belgicę z dala od raf, gnając ją na północny wschód, w stronę wejścia do Kanału Cockburna. Zgodnie z mapami, którymi dysponowali, jedyną dostępną dla nich drogą był wąski przesmyk między skałami o nazwach West Furies i East Furies. Im jednak statek był bliżej, tym oczywistsza stawała się groźna niedokładność map. Komendant widział wysepki, których próżno szukać w miejscach, które kartografowie oznaczyli jako otwarte wody, a w miejscach, które miały być lądem, napotykali wodę. Skazany był więc na podróż w nieznanie pośród szalejącego żywiołu, między spowitymi mgłą skałami i prowadzony jedynie przez opatrność i instynkt doświadczonego nawigatora.

Jeszcze tego samego wieczoru marynarz w bocianim gnieździe zauważył na horyzoncie kształty odpowiadające opisowi skał West Furies, o które, zgodnie z dziennikiem komendanta, „fale rozbijały się ze wściekłą furią” (podkreślenie de Gerlache’a). Belgica cudem przemknęła się przez tę bramę do Kanału Cockburna. Posuwając się wśród gęstej mgły w stronę wód osłoniętych przed szalejącym wiatrem, załoga czuła pod nogami coraz słabsze kołysanie. Po niedługim czasie dostrzegli również pierwszy skrawek lądu pokryty naturalną zielenią. To wystarczyło, by niektórzy zalali się łzami.

Belgica wpłynęła do portu w Punta Arenas o wschodzie słońca, dwudziestego ósmego marca 1899 roku. Na kotwicy stało tam znacznie więcej i znacznie wspanialszych jednostek, niż podróżnicy zapamiętali z ostatniej wizyty. Przybycie mocno zmęczonego życiem statku wielorybniczego początkowo nie wywołało większego zainteresowania. Oficerowie i część załogi wsiedli do szalupy i powiosłowali do brzegu. Jeden po drugim wysiadali i po raz pierwszy od zeszłego lutego czuli pod stopami stały ląd.

Niektórzy z emocji dostali zawrotów głowy. „Część marynarzy, którzy popłynęli na ląd, nie chciała ruszyć się z plaży. Kopali piasek i rzucali kamieniami” – pisał Cook. – „Tak bardzo zależało im na powitaniu ze stałym lądem, że godzinami bawili się w piasku z nieskrępowaną radością dzieci nad morzem”.

Kiedy załoga przygotowywała statek do dłuższego postoju w porcie, część oficerów i naukowcy postanowili odwiedzić cywilizację. „Nasz sposób chodzenia, kiedy przemierzaliśmy ulice, przypominał krok zaawansowanych alkoholików” – wspominał Cook. – „Przez ponad rok poruszaliśmy się jedynie na nartach i w rakietach śnieżnych, a potem walczyliśmy z szalejącym morzem, przez co niemalże zapomnieliśmy, jak się normalnie chodzi. Rozstawialiśmy szeroko nogi, szuraliśmy stopami, kołysaliśmy się cali, przy każdym kroku szukając równowagi. Koniec końców, musieliśmy wyglądać naprawdę zabawnie”. Zmierzając w stronę hotelu, podziwiali, jak wielkiej przemianie uległo całe Punta Arenas od ich ostatniej wizyty. Mieli wrażenie, że przenieśli się w czasie. Gruntowe drogi zostały wybrukowane, tętniły życiem przemierzających je tłumów i wyrastających wzdłuż nich sklepów. Nad głowami pieszych rozciągnięto przewody, zamontowano elektryczne oświetlenie, a przez otwarte okna i drzwi słychać było dzwoniące telefony. Nie tylko miasto urosło – wydawało się, że świat zmałał.

Między hodowcami owiec, pionierami i poszukiwaczami złota przechadzali się świetnie odziani mężczyźni i eleganckie kobiety w sukniach prosto z Paryża. Dla zarośniętych i „spragnionych uczuć” odkrywców z pokładu Belgiki szelest jedwabnych halek był niczym „muzyka i poezja”. Widok dwóch pięknych kobiet zadziałał na mężczyzn elektryzująco i przebudził w nich uspioną próżność. „Wszyscy odruchowo i niemal w tym samym momencie odgarnęliśmy nieobcinane od ponad roku włosy, by sięgnąć do kołnierzyków i poprawić marynarki. I wtedy uświadomiliśmy sobie dobitnie, jak odrażający widok musieliśmy przedstawiać. Dziewczęta zachichotały gwałtownie i schowały się w budynku”.

Dopiero kiedy mężczyźni znaleźli się w swoich pokojach w hotelu, dotarło do nich, dlaczego kobiety unikały kontaktu wzrokowego i wręcz przed nimi czmychnęły. Twarze spoglądające na nich z luster dobitnie świadczyły o przebytych trudach. Były „zapadnięte i tylko o ton jaśniejsze niż przypalone miedziane garnki”. Cook wspominał: „nasza skóra stała się szorstka jak tarka do gałki muszkatołowej. Mieliśmy długie włosy pełne kołtunów i siwizny, mimo że najstarszy z nas nie miał jeszcze trzydziestu pięciu lat”<sup>41</sup>. Ich ubrania, łatanie kawałkami skóry i płótna żaglowego, dostosowane do warunków panujących w Antarktyce, niespodziewanie stały się powodem do wstydu.

Wizyta u krawca i golibrody z pewnością poprawiłaby ich aparycję, jednak mężczyźni mieli swoje priorytety, a najważniejszym pośród nich było napełnienie żołądków. Po miesiącach spożywania odrażających i pozbawionych smaku konserw oraz tłustego, cierpkiego mięsa antarktycznych zwierząt marzyli o świeżych warzywach i stekach z karmionych trawą ssaków. „Powinniśmy się chyba wstydzić na myśl o liczbie steków, które wtedy pochłonęliśmy” – zanotował Cook.

Kiedy rozeszła się wieść o powrocie Belgiki, z oficerami i naukowcami spotkała się grupa miejscowych dygnitarzy i zasypała ich pytaniami. Czy dotarli do bieguna południowego? Czy napotkali mieszkańców Antarktydy? Następnie goście powiadomili podróżników o wszystkim, co wydarzyło się na świecie przez ostatnich kilkanaście miesięcy, włącznie ze sprawą Dreyfusa we Francji i wojną amerykańsko-hiszpańską, którą przez czas ich nieobecności zdążono wypowiedzieć, stoczyć i zakończyć. Podróżnicy dowiedzieli się również o zaginięciu nad Arktyką szwedzkiego pilota balonu i odkrywcy polarnego S.A. Andrégo oraz o wynalezieniu przez Guglielma Marconiego bezprzewodowego telegrafu. „Wynalazek Marconiego jest dla nas szczególnie interesujący” – pisał de Gerlache. – „Pewnego dnia stanie się on nieocenionym narzędziem dla odkrywców polarnych, którym umożliwi łączność ze statkami ratunkowymi patrolującymi po otwartym morzu”.

Korespondencja ekspedycji została przesłana wcześniej do Melbourne w Australii, więc w Punta Arenas czekało na nich ledwie kilka listów sprzed ponad roku. Musiało więc minąć jeszcze trochę czasu, zanim Henri Somers, jedyny ojciec wśród uczestników wyprawy, dowiedział się, że jego córeczka nie żyje.

Przy pierwszej nadarzającej się okazji Tollefsen czmychnął w dzikie ostępy otaczające Punta Arenas. Jego towarzysze żywili nadzieję, że czas i odległość uleczą obłęd zrodzony na lodowym paku Antarktyki, dokładnie tak, jak w przypadku Van Mirlo. Jednak norweski marynarz z dnia na dzień robił się coraz mniej przewidywalny, by w końcu zniknąć na całe dni. Wracał, kiedy kończyło mu się jedzenie, i czaił się w pobliżu hotelu, w którym przebywał de Gerlache. Żebrał u komendanta o kilka drobnych monet, by zakupić żywność, po czym wracał z zapasami do swojej kryjówki.

Tollefsen odmówił powrotu na Belgicę. Nie chciał nawet zgłosić się po swoje rzeczy. Wydawało się, że żywił przekonanie, jakoby statek był przeklęty. Na pokładzie porzucił swój obszerny, szczegółowy dziennik, jednak nigdy się nie dowiemy, o czym w nim pisał: jego towarzysze postanowili go spalić, by potomności nie nawiedzały strachy i omamy, o których pisał.

„Dokumenty te stanowiłyby z pewnością interesujący materiał” – pisał Lecointe. – „Ze swojej strony zapewniam, że nie miałem żadnego udziału w tym, co uczyniono z dziennikiem, a winą za jego spalenie obarczam wszystkich, którzy bezpośrednio i pośrednio się do tego przyczynili”.

Przy braku determinacji i środków na powrót do Antarktyki, de Gerlache na początku kwietnia oficjalnie ogłosił zakończenie ekspedycji. Poprosił Amundsena o odwiezienie Tollefsena do domu na pokładzie kolejnego parowca, który miał ruszyć do Europy. Mimo rezerwy, z jaką Amundsen odnosił się do komendanta – nigdy bowiem oficjalnie nie wycofał swojej rezygnacji – przystał na jego prośbę, czując się zobligowany odpowiedzialnością wobec załogi. W czasie pożegnania on i Cook obiecali pisać do siebie i dołożyć starań, by

kiedys znów się spotkać – jeśli nie w Norwegii czy Nowym Jorku, to może w jakimś innym lodowatym zakątku Ziemi.

Lecointe, Racovitza, Arctowski i Dobrowolski pozostali w Ameryce Południowej, gdzie spędzili kilka miesięcy, realizując osobne projekty naukowe, po czym każdy z nich wrócił w końcu do Europy. W tym czasie de Gerlache popłynął Belgicą do Montevideo i dalej, do Belgii, wioząc na pokładzie mocno okrojona załogę, w skład której ponownie wszedł Warzée. Marynarz od grudnia 1897 roku przebywał w Punta Arenas i kiedy nadarzyła się ku temu okazja, błagał dawnego dowódcę, by przyjął go z powrotem. Ponieważ Belgica zużyła cały węgiel, a ekspedycja nie dysponowała środkami pozwalającymi na zakup tego paliwa, de Gerlache musiał polegać jedynie na sile wiatru. Pokonanie Atlantyku na samych żaglach zajęło mu dwa i pół miesiąca i pozbawiło resztek energii, jaka się jeszcze w nim tliła.

Cook opuścił Punta Arenas zaraz po nich i udał się do posiadłości Bridgesów w Harberton, by dokończyć swoje badania antropologiczne nad mieszkańcami Ziemi Ognistej. Nic nie ciągnęło go z powrotem do Brooklynu; kilka dni po wpłynięciu Belgiki do Punta Arenas do lekarza dotarła wiadomość, że jego narzeczona Anna Forbes zmarła w poprzednią Wielkanoc.

## **PO BELGICE**

WCZESNYM RANKIEM, W NIEDZIELĘ piątego listopada 1899 roku de Gerlache płynął Belgią rzeką Skaldą w stronę Antwerpii. Kiedy statek zbliżył się do miasteczka Doel na niderlandzko-belgijskiej granicy, komendant dostrzegł wyłaniający się zza zakrętu rzeki konwój jachtów i żaglowców; płynęły mu na spotkanie. Po wodzie niosło się odległe echo wystrzałów na wiwat i tony *Brabansony*, hymnu jego ojczyzny. Te same tryumfalne dźwięki towarzyszyły ekspedycji, kiedy wyruszała w drogę ponad dwa lata wcześniej. Dziękując za życzenia pomyślności tamtego letniego dnia 1897 roku, de Gerlache z akrobatyczną zręcznością wspiął się na maszt i z bocianiego gniazda żegnał wszystkich machaniem czapki. Dziś powitalną flotyllę pozdrawiał zupełnie inny człowiek. Belgica odarła go z młodości. I gdy ona sama wyglądała pięknie w świeżej powłoce białej, błyszczącej farby, de Gerlache stał sztywny, zmęczony, z zapadniętą twarzą i przerzedzonymi włosami, choć miał dopiero trzydzieści trzy lata.

Prowadzący konwój powitalny jacht królewski *Princesse Clémentine* spuścił na wodę łódź wiosłową, która miała zabrać na pokład komendanta, Lecointe'a oraz część członków załogi, którzy specjalnie na tę okazję wrócili na Belgię. Na jachcie czekali na nich ministrowie, senatorowie, posłowie, przedstawiciele Belgijskiego Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, główni sponsorzy, rodziny części podróżników i rozmaici oficjele. Pośród radosnych wiwatów i głośnych okrzyków de Gerlache zmusił się do uśmiechu. Zapomniał o tym, jaki jest zmęczony, i o przeszywającym bólu głowy. Tak długo marzył o powrocie w blasku chwały – niemal równie długo, jak o samej wyprawie. Emocje odebrały mu mowę. Widział przed sobą twarze, które tak często sobie przypominał, kiedy tkwił uwięziony w lodowym paku. Czekał na niego ojciec, którego portret powiesił nad łóżkiem. Matka, która nie mogła powstrzymać łez. Jego druga matka,

promieniejąca dumą Léonie Osterrieth. Lecointe obejmował już swoją narzeczoną, Charlotte, której oświadczył się w przeddzień wypłynięcia na wyprawę.

Ostry wiatr zmusił wszystkich, by ze świętowaniem przenieść się do pełnych przepychu wewnątrz żaglowca, gdzie raz za razem wznoszono toasty ku chwale odkrywców i ich ojczyzny. Brak osiągnięcia rekordowej szerokości geograficznej czy wyznaczenia magnetycznego bieguna południowego uznano za bez znaczenia. Wyprawa wypełniła mapy nowymi lądami i zgromadziła dane z ponad roku obserwacji i badań naukowych na południe od koła podbiegunowego, a na dodatek przetrwała antarktyczną zimę - wszystkiego tego dokonała po raz pierwszy w historii i ku chwale Belgii. Belgijskie Królewskie Towarzystwo Geograficzne udekorowało de Gerlache'a i Lecointe'a złotymi medalami. Towarzyszące uroczystości przemowy nagradzane były rzęsy brawami i wiwatami, które stały się wręcz ogłuszające, gdy Jules de Trooz, minister spraw wewnętrznych Belgii, ogłosił, że król mianował oficerów i naukowców wyprawy kawalerami Orderu Leopolda, najwyższego belgijskiego odznaczenia. Lecointe uśmiechał się pewnie dyskretnie na myśl o tym, że już wcześniej został członkiem innego, bardzo elitarnego grona, mianowicie Zakonu Pingwina. Żałował, że nie towarzyszy mu dwójka pozostałych rycerzy, Cook i Amundsen, z którymi mógłby dzielić te chwile. (Oni swoje ordery mieli otrzymać pocztą). De Trooz poprosił matkę de Gerlache'a o wzięcie na siebie zaszczytnego zadania przypięcia krzyża do piersi komendanta; kobieta padła synowi w ramiona i zalała się łzami.

„Nazwisko de Gerlache nie po raz pierwszy pojawia się w historii naszego narodu” - mówił de Trooz, zwracając się do dowódcy wyprawy. - „Wielkość nadał mu jeden z twórców naszej niepodległości. To wspaniałe nazwisko - i wiążąca się z nim reputacja - musiały z początku ciążyć brzemieniem, a jednak, panie komendancie, podolałeś odpowiedzialności i udowodniłeś, żeś godny je nosić!”.



Uczestnicy przyjęcia rzucili się w stronę komendanta i załogi i otoczyli ich, jak wcześniej lód. Dziennikarz obserwujący fetę napisał później, że podróżnicy wyglądali na trochę „zdezorientowanych” i „zaniepokojonych” powszechną uwagą. Po uroczystościach goście i podróżnicy rozeszli się po luksusowych pomieszczeniach królewskiego żaglowca, pograżyli w rozmowach i zajęli spożywaniem posiłku tak wykwintnego, że dzięki niemu niemal zapomnieli, jak smakuje na w pół surowe pingwinie mięso. Atmosfera nie mogła być bardziej różna od tej, która panowała w Antarktyce, a podróżnicy w końcu poczuli, że mogą zapomnieć o grozie uwięzienia w lodowym paku.

Jednak po około godzinie na królewskim jachcie zrobiło się nerwowo. Max Van Rysselberghe, drugi mechanik wyprawy, niespodziewanie stracił przytomność. Leżał na deskach pokładu, a serce waliło mu szaleńczo, jak w najmroczniejszych chwilach antarktycznej zimy. Obecni na żaglowcu lekarze przepchnęli się przez tłum i odsunęli stłoczonych gości. Potem złapali Van Rysselberghe'a pod ramiona i przenieśli na szezlong, gdzie po chwili odzyskał przytomność.

Antarktyka nie przestała nękać swoich niedoszłych ofiar. Jeden z dziennikarzy napisał, że każdy członek wyprawy przypominał mu „kapitana Hatterasa, wypisz wymaluj”. I choć autor tego tekstu chciał oddać im hołd jako odkrywcom, przyrównując ich do bohatera Juliusza Verne'a, który w opublikowanej w 1866 roku powieści *Przygody kapitana Hatterasa* powraca z bieguna północnego obłąkany, by resztę życia spędzić w domu wariatów, to okazuje się, że nie mógł lepiej trafić. Nieco później, tego samego miesiąca, belgijski dyplomata, który pośredniczył w zakupie Belgiki, napisał list do de Gerlache'a. Pismo dotyczyło biednego Tollefsena, któremu komendant pocztą przesłał medal nadany przez króla Leopolda. „Tollefsen całkowicie postradał zmysły” – pisał Bryde. – „Rozważane jest zamknięcie go w odosobnieniu”.

Tollefsenowi i jego wybrance, Alette, z którą się ożenił, urodził się syn. Po powrocie do Norwegii marynarz napisał do de Gerlache'a list,

w którym informował komendanta o zamiarach stworzenia belgijsko-norweskiej osady górniczej w odległych rejonach arktycznej wyspy Spitsbergen. Koniec końców żadne z jego marzeń dotyczących owocnego życia nie zostało zrealizowane, bo trafił – nie z własnej woli – do innego rodzaju osady. Chodziło o system gospodarstw na obrzeżach Krystianii, gdzie zatrudniano i nadzorowano osoby chore umysłowo. Okolice miasteczka Lier miały stać się znane ze szpitala stosującego w leczeniu przede wszystkim lobotomię i elektrowstrząsy oraz inne, niestety równie kontrowersyjne terapie. Razem z wieloma pacjentami farm pod Lier Tollefsen spędził tam resztę życia<sup>42</sup>.

Oficjalny raport z ekspedycji, opublikowany w 1904 roku w Brukseli, załamane stanu zdrowia Tollefsena przedstawiał w sposób godny Poego: „Jeden z marynarzy [Van Mirlo] cierpiał na ataki hysterii, które dręczyły go bez wyraźnego powodu. Inny, będąc świadkiem ciśnienia lodu, poddał się grozie i postradał zmysły, popadając w podniosło obłąkańcze nastroje, jednocześnie obawiając się, że ktoś czyha na jego życie”.

Trzy miesiące po przekazaniu de Gerlache’owi wieści o pogorszającym się stanie Tollefsena Bryde musiał dostarczyć komendantowi kolejną złą wiadomość: zmarł Engelbret Knudsen, dwudziestoczteroletni majtek o urodzie cherubinka, który zimą na Belgice znalazł się wśród najciężej dotkniętych chorobą marynarzy. Jego śmierć była szokiem dla de Gerlache’a, który wyjątkowo go cenił. Z pewnością czuł też wyrzuty sumienia, bowiem obwinił się zarówno za stan Tollefsena, jak i śmierć Danco i Wienckiego.

De Gerlache robił, co w jego mocy, by po powrocie Belgiki do Antwerpii ukrywać męki, jakie trapiły jego samego. Wyleczył się ze skorbutu, lecz mimo to z jego zdrowiem było nadzwyczaj krucho. Doskwierało mu chroniczne zmęczenie, nieustające, mordercze bóle głowy i coś, co Cook określił jako „problemy nerwowe”. W rytm bijących dzwonów z wieży katedry Najświętszej Marii Panny, którymi uczczono powrót bohaterów, komendant przeciskał się przez morze wiwatujących ludzi, zgromadzonych między nabrzeżem a ratuszem,

gdzie miała się odbyć część formalna uroczystości. Droga, która w normalnych warunkach zajęłaby nie więcej niż dwie minuty, tym razem ciągnęła się w nieskończoność w obliczu tłoczących się antwerpijczyków, oddających honory nowym bohaterom narodowym.

W ratuszu – i później w Brukseli – wręczono kolejne medale i ordery. Po wszystkich tych uroczystościach i dekoracjach de Gerlache, za namową lekarza, uciekł z matką na Riwierę Francuską, gdzie zamierzał odpocząć. Zamieszkał w Nicei w Grand Hôtel des Empereurs. Powrót do jakiej takiej formy zajął mu rok.

Do dziś tajemnicą pozostaje przyczyna jego cierpienia. Szkorbut, który wyniszczył jego organizm w Antarktyce, pozostał odległym wspomnieniem. Jak wszyscy na pokładzie w czasie antarktycznej nocy doświadczał bezsenności i problemów kardiologicznych. Lecz podczas gdy większość marynarzy wróciła do zdrowia, zanim jeszcze dotarli do Ameryki Południowej, jego problemy ciągnęły się do połowy 1900 roku. Jednym z możliwych wyjaśnień tego fenomenu są opary unoszące się z kąpieli cyjanowodorowych, z których Cook korzystał przy wywoływaniu zdjęć w ciemni na Belgice – przy czym pomieszczenie to łączyło się z kabiną komendanta. Cyjanowodór trafił na pokład z zupełnie innym przeznaczeniem, bo jako środek do zabijania okazów zwierząt do zakonserwowania, a zastosowanie go w procesie wywoływania fotografii było jednym z przejawów genialnej błyskotliwości Cooka. Kwas cyjanowodorowy, znany również pod nazwą kwasu pruskiego, zabija poprzez pozbawienie komórek dostępu do tlenu. (Później cyjanowodór stał się głównym składnikiem cyklonu B, gazu wykorzystywanego przez nazistów w obozach koncentracyjnych w czasie drugiej wojny światowej). Pierwsze objawy ekspozycji na małe ilości cyjanowodoru bardzo przypominają problemy nękające załogę Belgiki: bóle głowy, zmęczenie, przyspieszone tętno, krótki oddech, dezorientacja i zaburzenia równowagi. Osoby wyleczone z takiego zatrucia często jeszcze przez długi czas borykają się z problemami neurologicznymi.

W pierwszych tygodniach rekonwalescencji w Nicei komendant otrzymał list, który bardzo poprawił jego nastrój. Autorem pisma był Lecointe, który wziął na siebie prowadzenie Komisji Belgiki, organizacji mającej za zadanie nadzór nad analizą i publikacją ustaleń wyprawy. (Prace te zajęły łącznie czterdzieści lat, tak obszerne były wyniki obserwacji naukowych oraz przywiezione zbiory próbek). Kapitan informował swego przełożonego o powziętym zamiarze rekomendowania komisji zmiany nazwy największego odkrycia wyprawy - Cieśniny Belgiki - i przemianowania jej ku czci komendanta.

„Jak zapewne Pan wie, jestem uważany za zrzedę, więc nikt nie uzna mojej propozycji za akt czystej kurtuazji” - pisał Lecointe. - „Jestem przekonany, że jest to akt sprawiedliwości”. Dzięki temu liczący sobie sto trzydzieści mil przecudnej urody kanał znany jest dzisiaj jako Cieśnina Gerlache’a.

De Gerlache nie tylko sprostał oczekiwaniom związanym z nazwiskiem, ba, stał się najznamienitszym de Gerlache’em w historii. Sięgnął po chwałę, której tak długo łaknął, i to nie tylko mimo nagromadzenia przeciwności i trudności, z którymi zmagał się ramie w ramie z załogą, a wręcz dzięki nim. Jego lekkomyślnie ryzykowna decyzja o wpłynięciu w pak lodowy pod koniec lata na południowej półkuli opłacała się w ostatecznym rozrachunku, lecz nigdy nie zapomniał, że trzech ludzi zapłaciło za nią życiem, a on poświęcił dla niej zdrowie.

Komendant nigdy więcej nie zobaczył Antarktyki. Niedługo po powrocie Belgica trafiła do Ostendy, gdzie ją odnowiono i w końcu uwolniono od szczurów. W 1905 roku została zakupiona przez księcia Filipa I Orleańskiego, playboya, poszukiwacza przygód i pretendenta do tronu Francji, gdyby miała zostać przywrócona monarchia. Księżę Filip zatrudnił de Gerlache’a, by mu towarzyszył w roli kapitana w czasie kilku wypraw do Arktyki. Lata później de Gerlache nadzorował budowę wspaniałej barkentyny o nazwie Mercator, która miała służyć jako jednostka ćwiczebna dla nowych pokoleń belgijskich marynarzy - realizował w ten sposób swoją życiową misję podnoszenia morskiej

pozycji ojczyzny. Do samego końca de Gerlache pozostawał *éminence grise* - szarą eminencją - podróży polarnych, z ukontentowaniem udzielając rad odkrywcom w najbardziej heroicznym czasach wypraw antarktycznych - erze, którą sam zapoczątkował, dowodząc Belgicą.

Jego nazwisko jeszcze raz pojawia się w bardzo ważnym kontekście w historii odkryć polarnych. Niedługo po wybuchu pierwszej wojny światowej nawiązał współpracę z Larsem Christensenem, szkutnikiem z Sandefjord, który przebudował wcześniej Patrię na Belgicę. Razem mieli stworzyć nowy statek, Polaris, którym de Gerlache zamierzał wozić bogatych turystów na polowania na niedźwiedzie polarne. Trzymasztowy żaglowiec obity drewnem *greenheart* zadziwiająco przypominał Belgicę, przy czym miał być jednym z najwytrzymalszych drewnianych statków, jakie kiedykolwiek zbudowano. Zanim jednak ukończono to przedsięwzięcie, de Gerlache musiał się wycofać z powodów finansowych. Christensen, tracąc na tym, sprzedał statek niezwykle popularnemu anglo-irlandzkiemu odkrywcy Ernestowi Shackletonowi, który przechrcił ją na Endurance. W listopadzie 1915 roku jednostka została zmiotana przez antarktyczny pak lodowy i spoczęła na dnie Morza Weddella<sup>43</sup>.

Od powrotu do ojczystej Norwegii Roald Amundsen pracował nad organizacją własnej wyprawy. Belgica stała się jego uniwersytetem dla odkrywcom i nie mógł się doczekać, aż będzie mógł wykorzystać zdobytą wiedzę. „W czasie tej wyprawy mój plan się wykrystalizował” - pisał później. - „Zaproponowałem połączenie mojego dziecięcego marzenia, czyli zdobycia Przejścia Północno-Zachodniego, z celem daleko bardziej ważkim naukowo, czyli ustaleniem położenia magnetycznego bieguna północnego [podkreślenie Roalda Amundsena]”. Podczas gdy drugi z celów wyprawy mógł przysporzyć mu szacunku wąskiego grona naukowców, przetarcie szlaku z Atlantyku na Pacyfik przez zdradzieckie wody kanadyjskiej Arktyki - łup, który wymykał się odkrywcom od chwili odkrycia Nowego Świata - zwróciłoby uwagę wszystkich i zapewniło Amundsenowi glorię

bohatera godnego stanąć w jednym szeregu z Nansenem czy wręcz z Cartierem albo Kolumbem.

Inwestując odziedziczone środki i całe finansowanie, jakie dał radę zgromadzić – włącznie ze wsparciem od anioła stróża Belgiki, Léonie Osterrieth, zakupił niemłody już, bo dwudziestodziewięcioletni, siedemdziesięciostopowy żaglowiec o nazwie Gjøa, jeden z najbardziej niepozornych statków operujących w złotej erze odkryć polarnych. Wczesnym rankiem, szesnastego czerwca 1903 roku, opuścił Kristianię z załogą składającą się z ledwie sześciu ludzi. Na początku sierpnia jednostka dotarła do słabo opisanych północnych rubieży Kanady, gdzie wody pełne były lodu i maleńkich wysepek. Amundsen wybrał nieco inną trasę niż ta, na którą ponad sześćdziesiąt lat wcześniej zdecydował się jego bohater z czasów dziecięcych John Franklin, dowodząc Erebusem i Terrorom. Mimo to lekki i zwinny statek wielorybiczny utknął w lodzie przy Wyspie Króla Williama i tkwił tam przez dwie zimy, niedaleko miejsca, gdzie zatonięły dwa brytyjskie statki. Lecz w przeciwieństwie do Franklina, który trzymał się sztywno protokołu Królewskiej Marynarki Wojennej, Amundsen był zdeterminowany, by żywić się upolowaną zwierzyną i przyjąć inuicki sposób ubierania się i podróżowania. Postępowanie Cooka w czasie ekspedycji na pokładzie Belgiki ukazało mu zalety życia w zgodzie z naturą, w stylu lokalnych mieszkańców. W praktyce było to znacznie łatwiejsze do zrobienia dla siedmiu mężczyzn (oraz zmiennej liczby psów rasy husky) niż dla siedemnastu na Belgice, nie wspominając nawet o ponad stu trzydziestu uczestnikach wyprawy Franklina.

Amundsen ze swoimi ludźmi zbudowali chatki na brzegu Wyspy Króla Williama. Przez dwa lata pobytu tam podtrzymywali bardzo owocne relacje z członkami lokalnego plemienia Netsilik, którzy w zamian za dobra z zachodniego świata zabierali Skandynawów na wyprawy łowieckie, dzielili się wyrobami rzemieślniczymi, upolowanym pożywieniem, psami pociągowymi oraz, co podróżnicy traktowali jako najmniej wartościowe, prawem do sypania z ich żonami. (Amundsen

utrzymywał później, że przekonywał swoich ludzi, z których część zostawiła w domu rodziny, do powstrzymywania się od takich wymian).

W pierwszym roku pobytu na wyspie członkowie wyprawy podjęli przynajmniej kilka prób zlokalizowania magnetycznego bieguna północnego, błędząc po lodowej tafli za wahnięciami wskazówek delikatnych instrumentów. Pokonało ich jednak brutalne zimno i brak doświadczenia w powożeniu psimi zaprzęgami. W czasie wypraw po antarktycznym paku kilka lat wcześniej Cook przekonywał Amundsena o wyższości psich sani jako środka transportu po lodzie. Lecz dopiero członkowie plemienia Netsilik nauczyli Skandynawów, jak nimi kierować. Kiedy opanowali tę sztukę, Amundsen z jednym kompanem, Pederem Ristvedtem, wiosną 1904 roku dotarli do miejsca, którego współrzędne w 1831 roku zapisał James Clark Ross jako magnetyczny biegun północny. Mimo to wskazówki instrumentów, którymi się posługiwali, wskazywały dalej na północ. W ten sposób ponad wszelką wątpliwość udowodnili coś, czego od dłuższego czasu się spodziewano – magnetyczny biegun to ruchomy cel. Kilka tygodni później udało im się dotrzeć w pobliże samego bieguna.

Mimo że śmiałkowie narzekali na nudę i gorączkę kabinową, doskwierające w czasie długiej arktycznej nocy, jednak żaden z nich nie cierpiał jak załoga Belgiki. Bliskość osady Netsilik – a w szczególności ich kobiet – na pewno pozwalała im się czymś zająć. Amundsen dał się poznać jako apodyktyczny dowódca, tyran niemalże, na dodatek czasem dość kapryśny, co mocno kontrastowało z pobłażliwością i spokojem de Gerlache'a. (Towarzysze nadali Norwegowi trochę pejoratywne przezwisko Gubernator). Jednak zapewne najjaskrawszą różnicę można było dostrzec, porównując naiwnego i pełnego dobrych zamiarów, lecz bardzo nieporadnego kucharza Louisa Michotte'a oraz niestroniącego od butelki, korpulentnego kucharza z Gjøa – Adolfa Lindstrøma, którego wyrafinowane focze gulasze były tak bardzo smakowite, jak bardzo odrażające były potrawy Michotte'a.

Skromne rozmiary Gjøa działały na korzyść jednostki, pozwalając jej przemykać się nad podwodnymi rafami i mieliznami, które

zatrzymałyby każdy większy statek. Siedemnastego sierpnia 1905 roku Gjøa dotarła dalej na wschód, niż jakakolwiek jednostka przed nią, zmierzająca na wschód od Cieśniny Beringa. Czas roztopów okazał się zbyt krótki i już po kilku tygodniach ekspedycja ponownie utknęła w lodowym paku, gdzie musiała spędzić niemal rok, podczas którego jeden z członków załogi zachorował i zmarł. Dopiero trzydziestego pierwszego sierpnia 1906 roku Gjøa wpłynęła do Nome na Alasce, z norweską flagą dumnie powiewającą na maszcie.

Kiedy w kwietniu 1899 roku Cook pojawił się w Harberton, by dokończyć swoje badania ludu Ona i Jagan, Lucas Bridges nie krył zaskoczenia na wieść, że Belgica przetrwała zimę w Antarktyce. Hodowca owiec poinformował lekarza o śmierci ojca. Lucas zdecydował się uhonorować jego obietnicę przekazania Cookowi manuskryptu słownika jagańsko-angielskiego, by ten mógł go opublikować. Był to akt ogromnego zaufania, gdyż rękopis zawierał ponad trzydzieści tysięcy słów i stanowił bezcenną kronikę ginącej cywilizacji. Thomas Bridges nie dysponował jego kopią.

Cook pozostał w Argentynie do końca 1899 roku. Po powrocie do Nowego Jorku miał dostarczyć Komisji Belgiki trzy szczegółowe monografie. Pierwsza miała zawierać analizę jego obserwacji medycznych poczynionych w czasie zimowania w Antarktyce. Druga miała być raportem antropologicznym traktującym o ludzie Ona. Trzecia nosiła tytuł *Gramatyka i słownik jagańsko-angielski*. W oficjalnej liście oczekiwanych raportów - wydrukowanej na końcu każdego z kolejnych tomów - Cook podawał się za autora słownika. Próżno szukać tam jakiegokolwiek wzmianki o Thomasie Bridgesie. Nawet gdyby ten brak potraktować jako przeoczenie, wiele lat później będzie on wskazywany jako pierwszy zwiastun fałszerstw i oszustw, których lekarz miał się dopuścić. Lucas Bridges uważał, że Cook ukradł dzieło życia jego ojca i próbował przedstawić je jako swoje.

Trudno dziś jednoznacznie stwierdzić, czy rzeczywiście miał taki zamiar, a to z tego prostego powodu, że Cook nigdy nie ukończył



żadnego z trzech raportów. Po powrocie do Brooklynu miał inne rzeczy na głowie. Śmierć Anny Forbes pogrążyła go w rozpacz i samotności, podobnie jak o dziesięć lat wcześniejsza śmierć jej siostry, a jego pierwszej żony, Libby. I choć ponownie otworzył swój gabinet i wrócił do przyjmowania pacjentów, większość z jego wcześniejszych klientów przez prawie dwa lata jego nieobecności zdążyła znaleźć sobie innych lekarzy. Ponownie szukał ucieczki w przygodę.

Podobnie jak Amundsen, od lat pragnął poprowadzić własną wielką ekspedycję. By zrealizować takie marzenie, potrzebował pieniędzy i sławy, lecz żadnej z tych rzeczy nie mogły mu zapewnić trzy bardzo pracochłonne i czasochłonne raporty, o które dopominała się Komisja Belgiki. Co więcej, trafiłyby one jedynie do wąskiego grona naukowców. Dlatego Cook skupił się na pracy nad znacznie lżejszą formą opowieści o Belgijskiej Ekspedycji Antarktycznej i już po kilku miesiącach mógł pochwalić się gotowym manuskrypcem. Opublikowana w 1900 roku, będąca zapisem podróży na Antarktydę książka *Through the First Antarctic Night* [Przez pierwszą antarktyczną noc] pokazała kolejny z talentów Cooka, który okazał się świetnym pisarzem. *Through the First Antarctic Night* było pierwszym wydaniem drukiem dziennikiem z wyprawy, co samo w sobie stanowiło poważne naruszenie polarnego kodeksu honorowego: jak Cook doskonale wiedział, po zatargu na tym samym tle i zerwaniu współpracy z Robertem Pearym, przywilej pierwszej publikacji należał zawsze do dowódcy wyprawy. De Gerlache potrzebował dwóch lat, by ukończyć swoją relację z Antarktydy, którą wydał opatrzoną tytułem *Piętnaście miesięcy na Oceanie Antarktycznym*. W powszechnym odbiorze pozycja ta była wspaniałym dziełem literackim. W 1904 roku w jego ślady poszedł Lecoq, publikując własne wspomnienia, zatytułowane *Au pays des manchots* [W krainie pingwinów]. Książka Cooka sprzedawała się nadzwyczaj dobrze, czyniąc z autora kogoś w rodzaju celebryty.

Około rok po publikacji wspomnień Cook spotkał Marie Hunt, mającą dwudziestoczworoletnią wdowę, i zapalał do niej uczuciem.

(Ponoć w czasie, gdy skrzyżowały się ich spojrzenia, w tle słychać było *Träumerei* Schumanna). W kwietniu 1902 roku Cook napisał do Amundsena list, w którym poinformował przyjaciela o zaręczynach i niemal przeproszającym tonem zapowiedział zakończenie kariery odkrywcy: „Na początku czerwca planuję ślub, co stanowić będzie koniec moich polarnych eksploracji. Przyszła pani Cook zaprasza serdecznie do odwiedzin... przyjeżdżaj, oprowadzimy cię po NY”.

Cook adoptował córkę swojej żony, Ruth, a niedługo potem na świat przyszło ich wspólne dziecko, córeczka Helen. Życie rodzinne nie na długo powstrzymało zew przygody, który nie dawał Cookowi spokoju. Co więcej, Hunt nie tylko zachęcała męża do realizacji jego ambicji, ale i szczerze wspierała go w tym finansowo. Tym sposobem latem 1903 roku Cook ponownie wyruszył w drogę i poprowadził wyprawę, której celem było zdobycie szczytu Denali na Alasce (wówczas nieoficjalnie nazywanego Mount McKinley), będącego jednocześnie najwyższą niezdobytą górą Ameryki Północnej. Lekarz z towarzyszami spędzili trzy wyniszczające miesiące w siodłach, przedzierając się przez niezbadane dotychczas, gęsto zarośnięte tereny i bagna u podnóża góry, gdzie stukot kopyt zgrywał się z odgłosem klaśnięć dłoni o karki, gdy mężczyźni zabijali niedające im spokoju komary. Ekspedycja nie znalazła dogodnej drogi na szczyt Denali, jednak pierwsi dokonali pełnego okrążenia góry.

Trzy lata później Cook wrócił pod szczyt, który nie dawał mu spokoju, lecz tym razem w towarzystwie bardziej doświadczonych alpinistów. I mógł odtrąbić sukces. Zwycięstwo nad górą zapewniło Cookowi rozpoznawalność, której łaknął od lat. Po powrocie do Nowego Jorku został wybrany prezesem stworzonego właśnie Klubu Odkrywców. W swojej drugiej książce – *To the Top of the Continent* [Na szczyt kontynentu], opublikowanej w 1908 roku, zamieszczono fotografię przedstawiającą lekarza z amerykańską flagą w miejscu, które wydaje się szczytem góry.

Życie odkrywcy to historia niezaspokojonego pragnienia. Bo choć indywidualne cele można zrealizować, to ten nadrzędny – miejsce nie

w odległym zakątku planety, a w sercu konkretnego człowieka – jest niemożliwy do osiągnięcia. W 1907 roku Cook wiedział już, czego zamierza spróbować. Nie robiąc wokół kolejnej wyprawy zbyt wiele szumu, udał się dyskretnie na Grenlandię, ponoć na polowanie, jako przewodnik przyjaciela. Kiedy tam dotarł, skierował wzrok na północ...

To była jedna z najobszerniejszych tego typu publikacji w historii, opatrzona równie unikalnie długim nagłówkiem: „BIEGUN PÓŁNOCNY ZDOBYTY PRZEZ DR. FREDERICKA A. COOKA, KTÓRY TELEGRAFEM PRZESYŁA HERALDOWI JEDYNĄ RELACJĘ Z TEGO, JAK ZATKNAŁ AMERYKAŃSKĄ FLAGĘ NA SZCZYCIE ŚWIATA”. Rankiem, drugiego września 1909 roku, gazeciarze błyskawicznie wyprzedali cały nakład gazety „New York Herald”. Większość miejsca poświęcono zapierającej dech w piersi relacji z najnowszego dokonania Cooka: historii tego, jak z dwójką inuickich myśliwych i przy pomocy psich zaprzęgów dwudziestego pierwszego kwietnia 1908 roku dotarł na biegun północny; jak przetrwali okrutną arktyczną zimę w prowizorycznym obozowisku na wyspie Devon i jak udało im się uratować przed atakiem niedźwiedzia polarnego. Cook otrzymał osobiste gratulacje od prezydenta Tafta i Buffalo Billa. Dzieci pisały do niego listy z pytaniem, czy spotkał Świętego Mikołaja.

Osiągnięcie Cooka szybko stało się światową sensacją, jednak to Amerykanie mieli szczególne powody do świętowania. W niecałą dobę od ogłoszenia zdobycia bieguna kilkanaście barów na Manhattanie zaczęło serwować „Cook cocktail”, w składzie którego znalazł się gin, sok z cytryny, białko jajka, likier maraschino i dużo lodu. Kapelusznik z Chicago wprowadził na rynek damski kapelusz o nazwie „Dr. Cook hat”, w kształcie futrzanej sfery o średnicy przekraczającej pół metra, która miała przywołać na myśl ziemski glob. Magazyny i gazety zasypywały Cooka telegramami i oferowały bająnskie sumy za prawa do publikacji wspomnień. „Hampton’s Magazine” zaproponował lekarzowi 100 000 dolarów<sup>44</sup>. Stawka szybko wzrosła do 200 000 dolarów, a następnego dnia na stole znalazło się ćwierć miliona

dolarów. Żeby nie stracić okazji na przelicytowanie konkurencji, William Randolph Hearst zapowiedział podwojenie każdej oferty, jaką Cook dostanie. Tymczasem Cook miał opory przed publikacją wspomnień w brukowej prasie Haersta, by nie „spłycić” doniosłości swojego sukcesu. Na wszelki wypadek uznał, że jeszcze nie czas na podejmowanie zobowiązań.

W Nowym Jorku podróżnik miał pojawić się najwcześniej za kilka tygodni. Wracając z duńskiego terytorium Grenlandii, zatrzymał się w Kopenhadze, gdzie zewsząd spływały na niego splendory. Miesiące niedożywienia i ciężkich warunków wyostrzyły rysy jego twarzy, miał ukruszone niektóre zęby, lecz na nabrzeżu czekał na niego wiwatujący tłum oficjeli i elegantów w melonikach. W czasie krótkiego pobytu Cook zdążył odebrać doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Kopenhaskiego. Król Danii Fryderyk VIII wyprawił ku jego czci pełen przepychu bal, stając się jednocześnie drugą koronowaną głową – po królu Belgii Leopoldzie II – która składała Cookowi hołd.

Niemalże równocześnie z ogłoszeniem sukcesu Cooka pojawiły się sceptyczne głosy, postulujące weryfikację odkrycia. Należało się z tym oczywiście liczyć, w jakimś wymiarze przynajmniej, gdyż, jak się okazało, osiągnięcie nowojorskiego lekarza było w zasadzie niemożliwe do udowodnienia. Jedynymi świadkami była dwójka młodych inuickich myśliwych, którzy nie mieli odpowiedniej wiedzy na temat obserwacji astronomicznych, a co za tym idzie, nie mogli poświadczyć, że rzeczywiście dotarli do miejsca, w którym zbiegały się wszystkie południki globu. Podejrzenia podsycił dodatkowo sam Cook, twierdząc, że gromadził wyniki obserwacji i pomiarów, które mogłyby potwierdzić jego zdobycz, jednak obawiając się śmierci w czasie lądowej podróży przez Grenlandię z powrotem do cywilizacji, powierzył je przyjacielowi na północy wyspy, a ten został okolicznościami zmuszony, by je porzucić. (Nigdy ich nie odnaleziono). Kilku ekspertów znających się na specyfice wypraw polarnych wyraziło zaskoczenie i wątpliwość nadludzkim tempem, z jakim Cook przemieszczał się w Arktyce, o czym donosił później „Herald”.

Opinia publiczna była jednak przekonana, że ma przed sobą bohatera i entuzjastycznie świętowała zdobycie najbardziej pożądanego geograficznego trofeum na Ziemi. Fridtjof Nansen zapewnił o swej wierze w osiągnięcie Cooka, podobnie jak dawni towarzysze lekarza z czasów Belgiki. „Moje głębokie oburzenie wywołuje sama myśl, że niektórzy mogą kwestionować oświadczenie doktora Cooka” – zadeklarował Lecoq, wówczas już szef Belgijskiego Królewskiego Obserwatorium, w stanowisku przesłanym do gazety „Herald”. „Doktora Cooka miałem okazję poznać osobiście i ręczę za jego uczciwość. Jest wcieleniem prawdomówności”. Amundsen okrzyknął wyprawę swego mentora mianem „najbardziej błyskotliwej przejażdżki saniami w historii polarnych wypraw”.

Okres niepodważalnego tryumfu i chwały Cooka jako zdobywcy bieguna północnego trwał dokładnie cztery dni. Szóstego września uczestniczył on w Kopenhadze w obiedzie ku jego czci. W przerwie między owacjami podano mu karteczkę, na której ktoś skreślił kilka słów. „Peary przekazuje: flaga Stanów Zjednoczonych zatknięta na biegunie!”.

Jeśli Cookowi przeszkadzało, że Robert Peary, dowódca w czasie dawniejszej, wspólnej wyprawy, a później największy konkurent, zgłasza pretensje do jego osiągnięcia, doskonale to ukrył. „Jeśli Peary twierdzi, że dotarł na biegun” – oznajmił Cook reporterowi – „to ja mu wierzę!”. W późniejszej wypowiedzi przesłanej telegramem do redakcji „Heralda” napisał: „Dwa rekordy są lepsze niż jeden”. Cook nie miał nic przeciwko dzieleniu się laurami zdobywcy bieguna, tym bardziej że, jak sam twierdził, dotarł tam rok przed konkurentem.

Trzy dni później Cook przyjął dwójkę bardzo znaczących gości w swoim pokoju w hotelu Phoenix w Kopenhadze. Pierwszym był Otto Sverdrup, przyboczny Nansena, który na pokładzie Fram poprowadził własną ekspedycję arktyczną, a drugim Amundsen. Dawny przyjaciel zatrzymał się w tym samym hotelu. Mężczyźni padli sobie w ramiona. Wychudzony długą podróżą lekarz niemal zniknął w uścisku potężnego

Norwega. Przez dziesięć lat, które minęły od ostatniego spotkania, obaj zyskali sławę, o której fantazjowali na pokładzie Belgiki.

Sverdrup i Amundsen przybyli pogratulować Cookowi podboju bieguna północnego. Dla Amerykanina, który zaczynał przeczuwać, jak wieść o dokonaniu Peary'ego będzie kształtowała przekaz medialny, te odwiedziny były gestem wsparcia. Za oknem pokoju wiwatowały tłumy, a podczas tego niemal przypadkowego spotkania trzech legendarni odkrywcy rozprawiali o wyprawach - tych już odbytych i tych, które się jeszcze nie zaczęły.

Pokonanie Przejścia Północno-Zachodniego uczyniło Amundsena spadkobiercą spuścizny Fridtjofa Nansena. Po powrocie z wyprawy Norweg ogłosił zamiar zorganizowania kolejnej i zaczął gromadzić na nią fundusze. Zgodnie z przedstawionymi planami chciał on zdobyć biegun północny przez Cieśninę Beringa, powtarzając słynny dryf Nansena na uwięzionym w lodzie statku Fram na początku lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Nansen postanowił przekazać mu pałeczkę i wyszedł z propozycją użyczenia swojego wytrzymałego statku. Przy odrobinie szczęścia wirujące prądy zmarzniętego Oceanu Arktycznego zaniósłoby Amundsena dość daleko na północ, by resztę drogi dało się pokonać saniami ciągnionymi przez psy, które zamierzał zdobyć na Alasce. Nie miał teraz innego wyjścia, jak uznać, że ogłoszone krótko po sobie sukcesy Cooka i Peary'ego odebrałyby zdobyciu przez niego bieguna północnego cały prestiż. Gdyby się tam wybrał, zbierałby jedynie ochłapy ich chwały.

W pokoju hotelowym w Kopenhadze Amundsen wypytywał dawnego nauczyciela o najdalej wysunięte na północ obszary Ziemi, o prądy morskie, o pogodę i o szanse na powodzenie kolejnej misji. Cook wyraził swoją pewność co do osiągnięcia zakładanego przez przyjaciela celu, lecz być może wyczuwając zniechęcenie w słowach Amundsena, doradził mu zarzucenie realizacji tego planu. W najlepszym razie Amundsen mógłby liczyć na tytuł trzeciego człowieka na biegunie. Lekarz z charakterystycznym tupetem zaproponował mu zmianę kierunku.

- Biegun północny nie jest wart starań - wypalił bez ogródek. - Dlaczego nie zmierzysz się z biegunem południowym?

Amundsen zaniemówił. Owszem, myśl o drugiej półkuli pojawiła się w jego głowie, ale zachował ją tylko dla siebie. Co nie znaczy, że inni nie mówili o niej głośno. Wcześniej tego roku Ernest Shackleton ustanowił rekord zdobycia punktu wysuniętego najdalej na południe, zbliżając się na sto sześćdziesiąt kilometrów do bieguna, gdzie musiał zawrócić z powodu kończących się zapasów. Ten stosunkowo krótki pozostały odcinek, którego nikt wcześniej nie pokonał, kusił Amundsena ogromnie. Powszechnie wiadano jednak, że rywal Shackletona, Robert Falcon Scott, przygotowywał wielką wyprawę, by dokończyć to, czemu jego rodak nie podołał.

Amundsen obawiał się, że przewaga czasowa i większe fundusze, jakimi dysponował Scott, uczyniłyby ich współzawodnictwo bardzo niesprawiedliwym. Cook był jednak zdania, że Norweg posiada jedną decydującą przewagę nad Brytyjczykiem. „Scott nie ma pojęcia, jak podróżować psim zaprzęgiem” - powiedział. - „Nadmiar bagażu będzie go spowalniał. Wiesz przecież doskonale, że bieguna południowego nie da się zdobyć inaczej jak psim zaprzęgiem albo na skrzydłach”.

Pozostawała jeszcze kwestia etykiety. Amundsen trzymał się kodeksu honorowego - w relacjach ze swymi sponsorami, opinią publiczną i Nansenem - a ten, jego zdaniem, zobowiązywał go do realizacji misji, którą już ogłosił. Co więcej, zgodnie z niepisanym zwyczajem polarnych eksploracji, Scott mógł oczekiwać pozostawienia mu pierwszeństwa w próbie zdobycia bieguna, skoro już na początku roku ogłosił takie plany. Tym razem głos zabrał Sverdrup i oznajmił, że kontrowersje między Cookiem i Pearym dotyczące zdobycia bieguna północnego unieważniły te niepisane reguły. A rywalizacja między nim a Scottem zelektryzowałaby opinię publiczną, otaczając jeszcze większą chwałą zwycięzcę.

- Dlaczego więc nie zrobić wyścigu? - zakończył Sverdrup.

Amundsen wziął sobie do serca słowa przyjaciół. Wysunął jeszcze tylko jedną wątpliwość, jakby zmagając się już sam z sobą. „Fram nie jest

odpowiednią jednostką na wzburzone wody na południu” – powiedział.  
- „Ale to rozsądna propozycja. Pozwólcie, że ją przemyślę”.

Zanim wyszedł, sięgnął po kartkę z osobistej papeterii Cooka, na której, jeszcze w obecności przyjaciela, napisał do najwyższego duńskiego urzędnika administrującego Grenlandią Północną. Jego list zawierał prośbę oddania do dyspozycji pięćdziesięciu psów pociągowych. Najwyraźniej już wtedy podjął decyzję: nie zamierzał udawać się na Alaskę.

Cookowi, mimo jego wielkodusznej oferty podzielenia się sławą zdobywcy bieguna, nie udało się zakończyć konfliktu z Pearym. Dla Peary’ego, który uczynił ze zdobycia bieguna północnego życiowy cel, chwała była bowiem grą o sumie stałej. Mógł zwyciężyć tylko wtedy, jeśli Cook poniósłby klęskę. Już samo to, że jego dawny podwładny odważył się wyciągnąć rękę po coś, co należało się tylko jemu, było dla niego niewybaczalną zdradą. Dlatego zaczął konsekwentnie podważać prawo Cooka do tytułu zdobywcy bieguna, upierając się, że Amerykanin skłamał. Cook, jak obwieścił prasie, „sprzedał wam wszystkim tombak”.

Jako że żaden z podróżników nie mógł przedstawić niepodważalnego dowodu dotarcia na biegun, wykluczona była rzeczowa i profesjonalna analiza danych geograficznych. Dlatego z braku obiektywnych argumentów spór przyjął formę zapalczywej dyskusji prowadzonej na łamach prasy, głównie „Heralda” (który stanął po stronie Cooka) oraz „The New York Times” (który wspierał w tym starciu Peary’ego). Przepychanka stała się wojną na wyniszczenie, z której żaden z podróżników nie miał szans wyjść bez szwanku. Ostatecznie to obóz Peary’ego – bogatszy, lepiej wykształcony i mający lepsze powiązania społeczne niż obóz Cooka – zyskał przewagę. Próbując przedstawić lekarza jako notorycznego kłamcę, poplecznicy Peary’ego dotarli do Eda Barrilla, przewodnika górskiego, który towarzyszył Cookowi w wyprawie na szczyt Denali. W zamian za znaczną sumę Barrill zgodził się wyznać, jakoby nie wspięli się wówczas na szczyt, a fotografia, która zdobiła wspomnienia z wyprawy, zatytułowane *To*



*the Top of the Continent*, to w rzeczywistości odpowiednio wykadrowane zdjęcie z zupełnie innego szczytu, niemalże tysiąc metrów niższego niż Denali.

W grudniu 1909 roku Henryk Arctowski, geolog, meteorolog i oceanograf wyprawy Belgiki – i bardzo częsty obiekt żartów – włączył się w ten spór serią artykułów w belgijskim „La Métropole”, które dla Cooka okazały się katastrofalne w wydźwięku. Chwaląc genialną pomysłowość Cooka, Arctowski podał w wątpliwość jego oddanie dokładności. „Abstrahując od faktu, że to odkrywca o naprawdę wyjątkowych i pożądanych umiejętnościach... można uznać, że Cook dysponuje zdecydowanie bujną wyobraźnią” – pisał polski naukowiec, wychwalając medyczny kunszt lekarza i jego błyskotliwe podejście do walki ze szkorbutem oraz depresją w czasie wyprawy Belgiki, jak również odnosząc się do jego szaleńczego pomysłu uwolnienia się z lodów Antarktyki. Jednocześnie Arctowski wątpił, by „Cook posiadał wiedzę z dziedziny matematyki i astronomii, konieczną do poprawnego wyznaczenia szerokości i długości geograficznych w dowolnym miejscu na Ziemi”.

Ostateczny, niszczący cios został wymierzony w tym samym miesiącu, a nadszedł ze strony Uniwersytetu Kopenhaskiego, który badał szczerkowe dane astronomiczne dostarczone przez Cooka w celu udowodnienia jego obecności na biegunie. W przypadku Peary’ego nie przeprowadzono podobnego przesłuchania, lecz to było bez znaczenia: Cook został napiętnowany jako ktoś niegodny zaufania. Padło pod jego adresem wiele różnych epitetów, w tym na przykład „potwór plagiatów” czy „piramidalny kłamca”. Wydawcy wycofali oferty. Nowojorski Klub Odkrywców, którego był prezesem, odebrał mu członkostwo.

Fram, z Amundsenem za sterem, opuścił Norwegię dziewiątego sierpnia 1910 roku i skierował się ku Maderze. Nie zwróciło to niczyjej uwagi, gdyż Roald Amundsen, obwieszczając swoje plany, zapowiedział, że zamierza okrążyć przylądek Horn i stamtąd ruszyć na północ, by przez Cieśninę Beringa dostać się do Arktyki. Lecz w Funchal,

w miejscu, gdzie był bezpiecznie poza zasięgiem sponsorów i pożyczkodawców, zaskoczył swoich ludzi krótkim obwieszczeniem. Ich celem wciąż pozostaje biegun północny, jednak dostaną się tam nieco okrężną drogą, przez biegun południowy. Rzucą wyzwanie Scottowi w wyścigu o to trofeum.

Nagła zmiana kursu kompletnie zaskoczyła Brytyjczyka. Szokiem była również dla Nansena, który mimo czterdziestu ośmiu lat na karku, wciąż marzył o osiągnięciu niezdobytego dotychczas bieguna. Amundsen, by sięgnąć po coś, co uważał za swoje przeznaczenie, musiał zdradzić swego idola, tak samo jak dwanaście lat wcześniej przeciwstawił się podziwianemu de Gerlache'owi.

Po przekroczeniu Oceanu Południowego, w styczniu 1911 roku, Fram wpłynął do Zatoki Wielorybiej na Morzu Rossa. Minęło kilkanaście lat, od kiedy Amundsen po raz ostatni widział antarktyczny lód morski. Wraz ze swoimi ludźmi wzniesli schronienie w pobliżu krawędzi Lodowca Szelfowego Rossa, w którym spędzili kilka miesięcy, przygotowując się do ataku na biegun, a przed pojawieniem się skorbutu chroniły ich wyborne gulasze z foczego mięsa przyrządzone przez Lindstrøma. Dziewiętnastego października Amundsen z czwórką towarzyszy i pięćdziesięcioma dwoma psami, saniami i na nartach wyruszyli w stronę bieguna. By dotrzeć do celu, musieli pokonać ponad tysiąc czterysta kilometrów, wspiąć się na trzy tysiące metrów i poradzić sobie z górami o jeszcze większej wysokości, które zagrażały im drogę. Norweg z początku ustalił spokojne tempo ponad dwudziestu do ponad trzydziestu kilometrów dziennie, co przekładało się na pięć do sześciu godzin marszu, by ludzie i psy mieli dość czasu na nocny odpoczynek. Strategia poruszania się psim zaprzęgiem była zaskakująco podobna do tej, którą Cook wyłuszczył na pokładzie Belgiki, gdy z Zakonem Pingwina planował wyznaczenie magnetycznego bieguna południowego.

Mimo głębokiej miłości, jaką polarnicy darzyli towarzyszące im psy, Amundsen i jego ludzie w regularnych odstępach czasu odstrzelili najwolniejsze i wykorzystywali je jako karmę dla pozostałych, sami

również nie stroniąc od ich spożywania. Pełna wyrachowania i okrutnie skuteczna metoda - którą po raz pierwszy rozważał w rozmowach z Cookiem i Lecointe'em w czasie wyprawy Belgiki - pozwalała odciążyć sanie z nadmiaru zapasów. Dzięki temu Amundsen ze swoimi ludźmi już czternastego grudnia stanęli na biegunie południowym - wypoczęci, dobrze odżywieni i bez najmniejszych objawów szkorbutu<sup>45</sup>. Wykonując tego dnia całą serię pomiarów sekstansem, Norweg potwierdził, że dotarli do punktu o współrzędnej 90° szerokości geograficznej południowej.

„Ciekawie jest obserwować wędrówkę Słońca po nieboskłonie na tej samej, można rzec, wysokości, niezależnie od tego, czy to dzień, czy noc” - zapisał w dzienniku. - „Chyba jesteśmy pierwszymi ludźmi na świecie, którym dane jest podziwiać ten widok”. Wpis ten sugeruje, że Amundsen wątpił w zapewnienia Cooka i Peary'ego, którzy chwalili się zdobyciem bieguna północnego, gdyż wówczas również musieliby być świadkami tego samego zjawiska. Gdyby miał rację, drugi biegun wciąż był bezpiecznym trofeum. Lista rekordów polarnych, którą cały czas miał w głowie, rozszerzyła się znacząco od czasów wyprawy na pokładzie Belgiki. Aktualne osiągnięcie miało mu zapewnić stałe miejsce w panteonie największych wśród odkrywców, a jednak wciąż uważał, że lista nie jest zamknięta i znajdzie się miejsce na kolejne podboje.

Tego dnia Robert Falcon Scott znajdował się około sześciuset czterdziestu kilometrów od bieguna, zmierzając do niego inną drogą. Uparty kapitan w ostatnim etapie podróży nie zdecydował się korzystać z psów pociągowych - i regularnie ich zabijać - gdyż uważał takie postępowanie za okrutne i niehonorowe. Jego wybór padł na kuce syberyjskie, znane również jako konie jakuckie, na których zamierzał oprzeć transport zapasów i sprzętu przez Góry Transantarktyczne. W przeciwieństwie do psów, które wilgoć uwalniają, dysząc, konie przy wysiłku bardzo mocno się pocą. W temperaturach spadających mocno poniżej zera stopni Celsjusza i przy porywistych wiatrach ich pot błyskawicznie zamarzał. Kiedy nie mogły iść dalej, Scott musiał podjąć

decyzję o odstrzeleniu pozostałych przy życiu zwierząt. Od tej chwili ciągnięcie sań przez setki kilometrów lodowego pustkowia spadło na barki piątki podróżników, którzy znaleźli się na skraju śmierci z wyczerpania, głodu, odmrożeń i szkorbutu. Scott ze swymi towarzyszami dotarli na biegun siedemnastego stycznia 1912 roku. Miejsce to – teoretyczny punkt pośród bezkresnego i pozbawionego jakiegokolwiek życia morza bieli – skażone było widokiem wywołującym bolesny skurcz w żołądku. Stał w nim bowiem stożkowy płócienny namiot, nad którym powiewała czerwono-biało-niebieska flaga Norwegii.

„Potwierdziły się najgorsze obawy” – zapisał Scott w dzienniku. „Mój Boże! Co za okropne miejsce!”.

W namiocie czekała na niego wiadomość od Amundsena.

*Szanowny Kapitanie Scott,*

*jako że będzie Pan najpewniej pierwszym człowiekiem po nas w tym odludnym miejscu, zwracam się z uprzejmą prośbą o przekazanie niniejszego listu królowi Haakonowi VII. Korzystajcie, proszę, z pozostawionych zapasów, jeśli mogą się Wam przydać.*

*Z serdecznymi pozdrowieniami i życzeniami  
bezpiecznego powrotu, Roald Amundsen*

Choć niechętnie, Scott potrafił docenić odporną na napór wiatru konstrukcję namiotu, który postrzegał jako symbol swojej porażki. Jego obecność na biegunie, podobnie jak czekający w środku list, były dla niego okrutnym gestem łaski ze strony rywala. Nie mógł wiedzieć, że ze strony Amundsena był to ukłon w kierunku przyjaciela i dawnego mentora: namiot został zbudowany według projektu Cooka i był identyczny jak ten, który razem szyli na potrzeby wycieczki Zakonu Pingwina zimą 1898 roku. W ten sposób Amundsen symbolicznie zaprosił Cooka na biegun południowy.

Brytyjczycy spędzili na biegunie kilka dni, po czym rozpoczęli odwrót. Posuwali się bardzo powoli, nękani burzami śnieżnymi, odmrożeniami i pechem. Scott i wszyscy jego towarzysze zginęli z zimna i głodu pod koniec marca 1912 roku, niecałe osiemnaście kilometrów od magazynu z zapasami.

Po tym, jak prasa i świat naukowy obróciły się przeciwko Cookowi, lekarz uznał, że osobiście zwróci się do amerykańskiej opinii publicznej. Regularnie brał udział w rozmaitych występach i wodewilach, z którymi przemierzał kraj, opowiadając swoją wersję podboju bieguna północnego. W kolejnych miastach dzielił scenę z prestidigitatorami, tancerkami egzotycznymi, poskramiaczami dzikich zwierząt i muzykami, dając porywające show będące pastiszem wykładu naukowego, w czasie którego publiczność musiała syczeć i buczeć na każde wspomnienie szwindli Peary'ego i agresji prasy. I choć pławił się w oklaskach, musiał przecież wiedzieć, że wielokrotnie aplauz ten ociekał wręcz ironią. Stał się pośmiewiskiem dla całego kraju.

Czas jego podbojów i eksploracji dobiegł końca. Niewielu sponsorów odważyłoby się zaryzykować pieniądze na wsparcie kogoś oskarżonego o poważne oszustwa, a wcześniejsze wyprawy pochłonęły większość majątku jego żony. Skuszony boomem naftowym w drugim dziesięcioleciu dwudziestego wieku postanowił zacząć od nowa, próbując szczęścia w tym biznesie, najpierw w Wyoming, a później w Teksasie. Bazował przy tym na bardzo wątpliwym założeniu, jakoby doświadczenie z wypraw czyniło go ekspertem w geologii. W Fort Worth trafił do świata naciągaczy, mataczy, szalbierzy i manipulatorów, gdzie dziwnym trafem poczuł się jak wśród swoich. Cook przekuł swe przywary w zalety. Przy ogromnym poziomie niepewności i spekulacji w biznesie naftowym firmy swój prestiż i zaufanie opierały na szanowanych - lub przynajmniej podobnych do szanowanych - reprezentantach. (Na przykład ulotka jednej z teksańskich firm naftowych przedstawiała na pierwszej stronie nobliwie wyglądającego

osobnika, mianującego się generałem Robertem A. Lee - dozorcę sądowego, który swej szansy do sławy i bogactwa upatrywał w dość dyskusyjnym podobieństwie do generała Roberta E. Lee).

W 1919 roku Cook założył firmę Texas Eagle Oil Company i został jej głównym udziałowcem, reinwestując w nią wszystkie przychody. Mimo to nie udało mu się trafić na ropę w rejonie, w którym, walcząc z dziką konkurencją, jej poszukiwał. Jak wiele razy wcześniej, kiedy trafiał na z pozoru niemożliwe do pokonania przeszkody, Cook uciekł się do swej nieszablonowej błyskotliwości i wpadł na genialny - choć wątpliwie uczciwy - sposób na to, jak pokonać problem. Powołał mianowicie do życia stowarzyszenie producentów paliw - Petroleum Producers' Association (PPA), które za grosze kupiło ponad trzysta bankrutujących firm paliwowych, mając nadzieję, że któraś z nich w końcu trafi na pole naftowe i sfinansuje całe przedsięwzięcie. Żeby mieć fundusze na dalsze poszukiwania, potrzebował udziałowców.

Cook ze swoim zespołem przygotowali porywające materiały marketingowe, obiecując zyski godne Rockefellera wszystkim gotowym zainwestować w ich przedsięwzięcie. Do udziałowców zbankrutowanych lub upadających firm tworzących PPA trafiały listy wysyłane w imieniu Cooka, w których oferowano przekształcenie należących do nich udziałów w udziały firmy Cooka za jedyne dwadzieścia pięć centów od każdego dolara, co jeden z późniejszych krytyków lekarza opisze jako „gigantyczny spisek wyłudzenia akcji”.

W celu zaskarżenia zaufania adresatów masowo rozsyłanych listów Cook pisał o swoich doświadczeniach zebranych na obu krańcach globu.

*Moje życie nigdy nie było usłane różami; walczyłem z niedogodnościami i pokonywałem wszelkie problemy w czasie podboju bieguna północnego i uwięzienia w lodzie na południowej półkuli; wszystkie te trudne do zniesienia ciosy przyjmowałem, nie oczekując nic w zamian, a jedynie mając na względzie rozwój cywilizacji i niesienie dobra ludzkości. Tak*

*samo dzisiaj zwracam się do Was, oferując dane statystyczne, moje słowo honoru i moją reputację jako gwarancję pragnienia udzielenia pomocy, bo wierzę głęboko, że sukces finansowy każdego człowieka na ziemi uzależniony jest od tego, jak inwestuje.*

Początkowo tak obmyślona taktyka działała wyśmienicie, zapewniając PPA ogromny dopływ gotówki. Do grudnia 1922 roku firmy należące do stowarzyszenia osiągnęły kapitalizację na poziomie 380 861 000 dolarów. Cook wydawał jednak pieniądze szybciej, niż je zdobywał, między innymi na sfinansowanie eleganckiej siedziby firmy w Fort Worth w Teksasie. Bez dochodów ze sprzedaży ropy miesięczne dywidendy należne udziałowcom Cook finansował, sprzedając kolejne udziały. Wierzył przy tym, że szyby naftowe spłacą w końcu dług. Nie zmienia to faktu, że przyjęta forma działania nie różniła się szczególnie od jednego z największych oszustw w historii Ameryki, nazwanego później schematem Ponziego, by upamiętnić jego organizatora, Charlesa Ponziego, który dwa lata wcześniej został za nie skazany.

W kwietniu 1923 roku Cook został oskarżony pod kilkoma zarzutami oszustwa i wprowadzania w błąd. Prokurator federalny przekonywał sąd, jakoby cała działalność PPA była obliczona na zdobycie listy udziałowców zbankrutowanych i bankrutujących firm naftowych, by, odpowiednio nimi manipulując, wciągnąć ich kapitał w kolejne przedsięwzięcie. (Była to dość popularna technika w czasach braku regulacji i dzikiego inwestowania. Niemal równie cenne jak czarne złoto były listy „naiwniaków”, do których naganiacze naftowi rozsyłali później jawnie nieuczciwe materiały marketingowe).

Proces przez siedem miesięcy przyciągał uwagę całego kraju. Cook postanowił oprzeć swoją obronę na twierdzeniu, że jeśli jest czemuś winien, to tylko nadmiernemu optymizmowi. Cecha będąca jego największą zaletą w czasach uwięzienia w antarktycznym paku stała się jego brzemieniem. Głęboko wierzył, że jego firma w końcu trafi na złoża ropy naftowej – o czym świadczy przecież to, że sam

zainwestował w nią wszystkie oszczędności. Jednak to nie starczyło, by przekonać sędziego federalnego Johna M. Killitsa, niezwykle poważnego i bezkompromisowego Amerykanina ze Środkowego Zachodu Stanów Zjednoczonych. Opisując Cooka jako dwudziestowiecznego Machiavellego, ukarał go grzywną w wysokości 12 000 dolarów (Cook zarzekał się, że nie dysponuje takimi środkami) i skazał na czternaście lat i dziewięć miesięcy więzienia – najsurowszy dotychczas wyrok w takich sprawach. Sława, którą Cook wciąż się cieszył, pozwoliła sędziemu uczynić z wydanego orzeczenia przykład dla wszystkich. Mimo to można było odnieść wrażenie, że werdykt dotyczy nie samego oszustwa, a zawodu moralnego. Więzienie, tłumaczył Killits, ma być odpłatą za tak długie bezkarne okłamywanie Amerykanów. Chodziło bardziej o Denali i biegun północny niż o ropę.

Szóstego kwietnia 1925 roku Cook został przeniesiony z aresztu w Fort Worth do więzienia w Leavenworth. Pod każdym względem uchodził za więźnia idealnego, może jedynie poza uciążliwym dla innych zwyczajem kąpania się najwyżej raz w tygodniu, opartym na niepotwierdzonej medycznie teorii, jakoby częste mycie otwierało pory skóry, przez które mogły dostawać się różne choroby. Nauczył się haftować i uczynił z tego swoje hobby. Jak ze wszystkim, na czym mu zależało, tak i w tej dziedzinie stał się mistrzem. „Wyniki mojej pracy igłą szanuję dzisiaj na równi z moimi dokonaniem literackimi” – pisał. (Jeden ze strażników wysłał kiedyś anonimowo wybraną z prac roślinnych Cooka na konkurs stanowy i zdobył pierwsze miejsce, pokonując całe zastępy kobiet z Kansas). Później objął nadzór nad więzienną gazetą „Leavenworth New Era”, stając się jej redaktorem naczelnym i głównym autorem. Pod jego zarządem tygodnik zmienił nazwę na „The New Era” i zyskał popularność w całych Stanach Zjednoczonych. (Wśród abonentów czasopisma znaleźć było można między innymi bardzo wpływowego redaktora i krytyka literackiego z Baltimore H.L. Menckena). W artykułach Cook poruszał całe spektrum tematów odzwierciedlających jego niezaspokojoną ciekawość świata, poczynając od kwestii lingwistycznych, a kończąc na łysieniu



androgenowym. Magazyn „The New Era” stał się dla niego platformą szerzenia niekonwencjonalnych teorii, które rozwijał przez całe życie. W jednym z artykułów odkurzył na przykład pomysł „nowej arki”, który stworzyli z Amundsenem na pokładzie Belgiki, a który zasadał się na założeniu, że w Antarktyce mieszka dość pingwinów, by rozwiązać problem głodu na świecie, ich guano nadaje się na nawóz w rolnictwie, a ich hodowla mogłaby stworzyć wiele nowych miejsc pracy<sup>46</sup>. W innym lekarz sugerował, że ludziom w cywilizowanych częściach świata ubrania przeszkadzają we wchłanianiu odżywczych promieni słońca. Moda nastolatek, lansująca głębsze dekolty, miała być ruchem we właściwym kierunku. Najmędrsi w tym temacie byli, jego zdaniem, nadzy przedstawiciele ludów rdzennie zamieszkujących Ziemię Ognistą, których Cook badał przed laty. Już na początku odsiadania wyroku Cook został wyznaczony do nocnych dyżurów w więziennym lazarecie. Razem z nim wyroki odsiadywało wielu innych lekarzy, z których znaczna część była młodsza i dysponowała znacznie aktualniejszą wiedzą medyczną, jednak jednocześnie większość z nich miała odebrane prawo do wykonywania zawodu. Obostrzenie to obowiązywało nawet w więzieniu i zazwyczaj było sankcją za pogwałcenie ustawy antynarkotykowej Harrisona z 1914 roku, która regulowała dystrybucję leków opioidowych i kokainy, narażając na odpowiedzialność karną lekarzy, którzy dalej przepisywali je w nieodpowiedzialny sposób. Jako że przestępstwa Cooka nie były związane z jego praktyką lekarską, został wybrany jako dyżurny medyk na nocnej zmianie; czuł, że to zajęcie poniżej jego kwalifikacji, jednak dzięki niemu odzyskał trochę godności i szacunku.

Cook był stworzony do pracy, którą miał wykonywać. Nawet w czasach szalejącej prohibicji w Leavenworth więcej było uzależnionych od opium i heroiny niż alkoholików. Nocą więzienne mury rozbrzmiewały agonialnym zawrotem narkomanów na detoksie. Jeden po drugim błagali Cooka o ratunek albo przynajmniej coś na znieczulenie. Zgodnie z zasadami zakładu penitencjarnego ich prośby w znacznej mierze były ignorowane. Część z pacjentów cierpiała

na pewien rodzaj anemii, który Cook zwykł nazywać „więzienną bladością”. Warunki w Leavenworth pod rządami dyrektora Wardena Williama Biddle’a były nie do pozazdroszczenia. Osadzeni uskarżali się na przepełnienie, przemoc fizyczną, fatalne jedzenie i to do tego w niewystarczających ilościach. Wielu miało odbarwione dziąsła, łamliwe paznokcie i ruszające się zęby – objawy, które doktor Cook znał aż nazbyt dobrze i z miejsca rozpoznał w nich wczesne symptomy szkorbutu. Za każdym razem przepisywał wtedy terapię zadziwiająco podobną do tej, którą stosował na pokładzie Belgiki: regularne ćwiczenia fizyczne, dieta bogata w witaminy, na którą składały się surowe warzywa i mięso, również surowe, oraz więcej czasu na słońcu. Towarzyszący mu w Antarktyce oficerowie i marynarze przekonali się szybko, że doktor Cook miał uspokajający, wręcz hipnotyczny wpływ na innych, co mogło tłumaczyć, dlaczego i teraz pacjenci dobrze reagowali na jego zalecenia, niezależnie od tego, jak nieszablonowe mogły się wydawać.

Od czasu podróży na pokładzie Belgiki Cook niemal nabożną czcią otaczał słońce. Wierzył, że niewiele jest schorzeń, których jego promienie nie mogłyby uleczyć. Światło było przecież panaceum na szkody wyrządzone przez mrok i chłód. A w obecnym stanie ducha był przekonany, że Leavenworth to najzimniejsze miejsce na Ziemi.

Dziewiętnastego stycznia 1926 roku Cook został poinformowany o wizycie. Dotychczas odmawiał spotkań z rodziną i przyjaciółmi, lecz tym razem w zakładzie miał pojawić się ktoś zupełnie wyjątkowy. Gdyby przyjąć, że wieloletnie zamknięcie stanowiło w postrzeganiu Cooka długą, polarną noc, Roald Amundsen z pewnością reprezentowałby słońce. Norweski odkrywca podróżował akurat po Stanach Zjednoczonych z wykładami i przygotowywał się do kolejnej eskapady, tym razem statkiem powietrznym nad biegun północny, a przejeżdżając akurat przez Kansas, zatrzymał się, by podtrzymać na duchu starego towarzysza z czasów Belgiki.

Mężczyźni siedzieli obok siebie na ławce. Amundsen ujął dłoń Cooka i mocno ją ścisnął. „Musisz wiedzieć” – powiedział na samym początku – „że nawet jeśli cały świat stanie przeciwko tobie, ja zawsze będę w ciebie wierzył”. Cook przez całą rozmowę nie cofnął dłoni. Wspominali czasy Belgiki i przypominali sobie wszystkich towarzyszy, by ustalić, którzy z nich jeszcze żyją, a którzy już odeszli. Rozprawiali o związku między ich wspólną przygodą w Antarktyce a późniejszym podbojem bieguna południowego przez Amundsena.

W końcu konwersacja zeszła na kobiety.

„Jesteś zatwardziałym kawalerem” – zakpił Cook. – „Może znajdziesz sobie wybrankę?”.

Cook miał nadzieję wywołać psotny uśmiech na twarzy przyjaciela. Zamiast tego Amundsen zrobił ponurą minę. „Pewnie powinienem się już ożenić. Po tej wyprawie... znajdę sobie żonę i znów ruszę w trasę”.

Lekarz nie miał wątpliwości, że czas źle wpłynął na Amundsena. Oburzenie brytyjskiej prasy, która zarzucała mu oszustwo i nieuczciwość we współzawodnictwie ze Scottem, było plamą na jego honorze. Hjalmar Johansen, któremu Amundsen zarzucił niesubordynację i za karę odmówił mu udziału w zespole atakującym biegun, w 1913 roku popełnił samobójstwo; śmierć towarzysza również odbierała mu radość z dokonania rekordowego odkrycia. Próba dryfu w arktycznym lodzie w kierunku bieguna północnego na pokładzie specjalnie w tym celu zbudowanej jednostki Maud okazała się poniżającą porażką, ba, wręcz farsą i pastiszem jego wcześniejszej ekspedycji na biegun południowy.

W życiu osobistym nie wiodło mu się wcale lepiej. Bezustanne problemy finansowe doprowadziły do zerwania więzów z najbliższymi przyjaciółmi oraz bratem i menedżerem w jednej osobie, Leonem. Amundsen z nieudanej wyprawy na pokładzie Maud powrócił w towarzystwie dwóch inuickich dziewczynek, czteroletniej Kakonity, którą przysposobił, i starszej Camilli. Pokochał je obie i pragnął zapewnić im lepsze życie w Norwegii, jednak bankructwo zmusiło go

do odesłania obu do rodziny Camilli w Rosji. Ostatnie dziesięć lat pełne było smutków i rozpacz.

Jednak w 1925 roku los znów się do niego uśmiechnął, a fortuna zaczęła sprzyjać. Wiosną, w towarzystwie amerykańskiego odkrywcy i finansisty Lincolna Ellswortha, wyruszył zdobyć biegun północny na pokładzie dwóch hydroplanów Dornier-Wal. Kiedy kontakt z ekspedycją się urwał i przez kilka tygodni nie udało się go ponownie nawiązać, świat uznał, że samoloty się rozbiły, a wraz z nimi utracono szóstkę podróżujących nimi śmiałków. W rzeczywistości ekspedycji udało się wylądować około dwustu sześćdziesięciu kilometrów od bieguna, na lodowym paku (najdalej położony punkt na północ osiągnięty samolotem, zanotował w myślach Amundsen na końcu - zdawałoby się niekończącej się - listy historycznych osiągnięć). Wysiłek włożony w próby ponownego uruchomienia jednej z maszyn to opowieść o jednym z najbardziej heroicznych - acz niedocenionych - zrywów w karierze Amundsena. Zanim można było podjąć próbę poderwania samolotu w powietrze, podróżnicy oczyścili pas startowy z sześciuset ton śniegu i to przy bardzo ograniczonych racjach żywieniowych. Pod względem ilości pracy, przy małej szansie na powodzenie, próba ta ustępowała jedynie nieprawdopodobnej historii uwolnienia Belgiki z paku lodowego w 1899 roku.

Amundsen przypomniał Cookowi tamtą przygodę, a lekarz choć przez chwilę nie przebywał wówczas w chłodnym Leavenworth, lecz na pokładzie statku, obok przyjaciela.

- Bardzo żałuję, że nie możesz nam towarzyszyć w najbliższej lotniczej wyprawie. Tym razem osiągniemy biegun - wyznał Amundsen.

Choć sławny Norweg miał już znacznie większe doświadczenie i dysponował znacznie aktualniejszą wiedzą na temat eksploracji polarnych, bardzo schlebił przyjacielowi, prosząc go o opinię dotyczącą naukowej wartości przelotu samolotem nad biegunem. Lekarz, który od ponad dekady nie zbliżył się nawet do koła podbiegunowego, był w tym względzie tradycjonalistą.

- Kiedy człowiek wzbija się na skrzydłach, traci perspektywę właściwą dla organizmów dwunożnych - wyjaśnił. - Tylko z tego punktu widzenia możliwe jest właściwe poznanie.

Amundsen uznał, że wręcz przeciwnie, wysokość pozwala zyskać przydatny, ogólniejszy ogląd, taki, który w końcu pozwoliłby może udowodnić roszczenia Cooka do zdobycia bieguna.

- Zanim ostatnim razem wylądowaliśmy - ciągnął - widok rozciągał się tak daleko, że mogłem ocenić panujące tam warunki. Wszystko, co dostrzegłem, potwierdza twój opis tego miejsca. Brak stałego lądu, wyjątkowa barwa nieba i lodu, brak gór lodowych, charakter paku i kierunek jego dryfu.

Cook uśmiechnął się z żalem. Poparcie Amundsena znaczyło dla niego więcej, niż przyjaciel mógł przypuszczać, tym bardziej że nigdy nie przestał utrzymywać, że biegun rzeczywiście zdobył.

Dyskusja toczyła się dalej i zeszła w końcu na to, ile cierpienia przysporzyła im kapryśna zmienność opinii publicznej oraz pozbawiona skrupułów prasa. Prawdopodobnie po to, by uniknąć podsłuchania przez czuwających strażników, Amundsen przeszedł na francuski.

„Ciężki los dzielimy” - powiedział. - „Wyrwaliśmy się z padołu ubóstwa, by osiągnąć szczyty chwały. Doświadczyliśmy ulotnych chwil ciężko wywalzonego sukcesu i długich chwil potępienia. Przez całe lata dręczyło mnie pytanie, jak dałeś radę to wytrzymać. Ja przeszedłem przez to samo, może nie drastycznie, lecz znosząc tyle samo bólu i zawiści”.

Amundsen mówił dalej, posługując się językiem, który Cook nazwał narzeczem Belgiki: mieszaniną flamandzkiego, niemieckiego i norweskiego.

„Istnieje podobieństwo między działaniem języka i harpuna. Oboma można zadać straszne rany. Lecz gdy cięcie grotu się zrasta, rana zadana językiem ropyje”.

Cook był poruszony bólem w jego słowach. Widząc, jak w oczach przyjaciela zbierają się łzy, też zaczął płakać.

„Podstępnie zadano ci ciosy pod osłoną ciemności” – ciągnął Amundsen. – „Mnie dźgano w świetle dnia”.

Na chwilę zapadła cisza. Norweg ścisnął dłoń przyjaciela i wyjrzał przez okno.

„Współczuję ci pobytu tutaj” – dodał. – „Dbaj o zdrowie. Spisz wszystkie wspomnienia i myśli. Wspólnie wiele razy przeszliśmy przez piekło. Piekło to zimne miejsce, lecz pamiętaj, że słońce wyda ci się jeszcze piękniejsze dzięki ciemności, której doświadczyłeś”.

„Nie wiesz nawet, jak mnie raduje, że takich słów użyłeś” – zapewnił go Cook. – „Lecz pamiętaj, że oskarża się mnie o nazbyt wybujałą wyobraźnię”.

„Nie zrażaj się tym. Tylko głupcy mogą tak mówić”.

Po około godzinie Amundsen wstał, po raz ostatni uścisnął Cooka i pożegnał się z nim po norwesku.

Ciepła tej wizyty wystarczyło lekarzowi do końca jego pobytu w Leavenworth. Słowa Amundsena wypełniły go nadzieją i energią w taki sam sposób, w jaki zadziałały na niego pierwsze promienie słońca powracającego na niebo po długiej antarktycznej nocy. Cook zaczął spisywać swoje wspomnienia, w których długi rozdział poświęcił swoim towarzyszom z Belgiki. Manuskrypt, opatrzony tytułem *Piekło to zimne miejsce*, zadedykował Amundsenowi.

Zacytowany powyżej dialog pochodzi z nieopublikowanego nigdy rękopisu. Jego lektura budzi jednak ostrożność. Długie, pełne metafor solilokwium Amundsena (w manuskrypcie Cooka ciągnie się przez kilka stron) w znacznie większym stopniu przypomina poetycki, przeładowany ozdobnikami język lekarza niż oschłe, rzeczowe wypowiedzi Norwega. Inne kwestie również nie przyczyniają się do podniesienia wiarygodności tego źródła. Bo jak niby Amundsen miałby wypowiadać tak zawile frazy jak aforyzm porównujący użycie języka i harpuna, i to korzystając z trzech języków, z których Cook rozumiał tylko jeden? Dlaczego miałby przejść na francuski, skoro wiedział, że

po dwudziestu miesiącach ekspedycji Cook nie był w stanie wypowiedzieć słowa w tym języku? Co więcej, zdanie: „Piekło to zimne miejsce”, przypisywane tutaj Amundsenowi, pojawia się w kilku innych sytuacjach we wspomnieniach Cooka i za każdym razem pada z ust innej osoby. (W tym, na przykład, wymawia je Lecointe na Belgice).

Czytelnik zastanawia się, na ile prawdziwe są wspomnienia Cooka z tej wizyty. Część z pewnością odpowiada rzeczywistości; głębokie uczucie, jakim darzył Amundsen, z wzajemnością zresztą – to nie podlega dyskusji. Lecz, podobnie jak w kwestiach dotyczących życia lekarza, nie da się w zasadzie odróżnić prawdy od fikcji, szczególnie jeśli chodzi o jego późniejsze, niezweryfikowane osiągnięcia.

Dowody dość wyraźnie sugerują, że Cook nie dotarł do bieguna północnego, a do pokonania zostało mu w najlepszym wypadku kilkaset kilometrów<sup>47</sup>. Lecz pewności nigdy mieć nie będziemy – bo udowodnienie tego jest niewykonalne. Podobnie jak nie da się orzec ponad wszelką wątpliwość, w jakim stopniu swobodne podejście Cooka do prawdy jest wynikiem działania z premedytacją. Być może rzeczywiście wierzył, że dotarł na biegun. Może wierzył, że zdobycie bieguna było należnym mu przywilejem wynikającym z morderczej i niewątpliwie heroicznej podróży?

Cook jest przykładem esencji amerykańskiego ducha, który balansuje między optymizmem i urojeniem, między tupetem a oszustwem, wyobraźnią a humbugiem. To duch, który pozwolił mu wyrwać się ze skrajnego ubóstwa młodości i przepełnił go ciekawością i pomysłowością. To duch, który zainspirował go do tworzenia nieszablonowych terapii i przepisywania ich towarzyszom z Belgiki bez dowodów, że zadziałają, i który pozwolił mu wpaść na szalony pomysł ucieczki z lodowego paku. To również ten sam duch, który przekonał go, że może sięgnąć po biegun północny i szczyt Denali i zdobyć bogactwo w Teksasie, i, być może, pchnął go też do tego, by nieco nagiąć prawdę, gdy nie udało mu się osiągnąć żadnego z tych celów.

Jeśli nie możemy w pełni ufać relacji Cooka ze spotkania z Amundsenem, skoro wydaje się zrekonstruowana w taki sposób, by

poprzeć roszczenia lekarza do zdobycia bieguna, możemy na szczęście sięgnąć do zapisu samego Norwega. Kilka dni po odwiedzinach w więzieniu trasa wygłaszanych odczytów zaprowadziła Amundsena do Fort Worth, gdzie udzielił wywiadu korespondentowi „The New York Times”.

Wizyta Amundsena w zakładzie penitencjarnym Leavenworth odbiła się w Stanach Zjednoczonych szerokim echem. To, że odkrywca jego formatu zgodził się być kojarzonym ze skazanym oszustem pokroju Fredericka Cooka, na nowo rozpałiło spór dotyczący bieguna północnego.

Dziennikarz zapytał Amundsena o samopoczucie Cooka i tematy, które poruszali w rozmowie.

„Biedaczysko – postarzał się i zmarniał” – odparł Amundsen. – „Nie mówił nic o swoim wyroku. Rozmawialiśmy jedynie o dawnych czasach i mojej ostatniej podróży samolotem do Arktyki. Pochwalił się, że haft to jego nowe hobby. Cóż za żal! Cóż za żal!”.

Amundsen zaznaczył, że nie przesądza, czy Cook zasłużył na więzienie, bo nie śledził jego sprawy. Jednak nie hamował się, kiedy wychwalał zalety Cooka jako podróżnika.

„Dla mnie zawsze był geniuszem. Kiedy w młodości razem uczestniczyliśmy w antarktycznej ekspedycji Belgiki, powiedziałem, że jeśli ktokolwiek miałby dotrzeć na biegun północny, to na pewno byłby to doktor Cook... Cook był najwytrawniejszym podróżnikiem, jakiego spotkałem”.

Co takiego sugerował? Że Cook jednak zdobył biegun?

„Jestem zdania, że jego wersja zdobycia bieguna jest równie wiarygodna jak Peary’ego... Istnieje możliwość, że w rzeczywistości żaden z nich tam nie dotarł, lecz, niezależnie od tego, roszczenia doktora Cooka wydają mi się równie uzasadnione jak Peary’ego”.

Amundsen niemal natychmiast pożałował swojej szczerości. W odpowiedzi na jego stwierdzenie, jakoby Cook i Peary mogli



wysuwać równie uzasadnione roszczenia w kwestii zdobycia bieguna północnego, Krajowe Towarzystwo Geograficzne (National Geographic Society), które w sporze z doktorem Cookiem stanęło po stronie Peary'ego i wspierało go nawet po jego śmierci w 1920 roku – wycofało zaproszenie dla Amundsena, który przed kolejną wyprawą lotniczą miał do jego członków wygłosić przemówienie.

Norweski odkrywca zarzekał się, że w jego cytaty wkradł się błąd. Towarzystwo geograficzne poczuło się urażone sugestią, że Cook i Peary mogli obaj stanąć na biegunie, bo to oznaczałoby, że lekarz z Brooklynu stanął tam pierwszy. Jednak znacznie bardziej antagonizującą wypowiedzią, której Amundsen nigdy nie zdementował, była sugestia, że żaden z nich nie dotarł tam, gdzie deklarował. Zapewne nie wypowiedział tych słów ot tak sobie, bo budząc wątpliwości w odniesieniu i do Peary'ego, i Cooka, Amundsen w bardzo sprytny sposób podnosił stawkę swojej najbliższej wyprawy.

Wiosną 1926 roku w powietrze wzbił się sterowiec Norge, na pokładzie którego znajdował się Amundsen oraz szesnastoosobowa załoga. W skład ekspedycji wchodził Lincoln Ellsworth oraz włoski konstruktor i pilot Umberto Nobile, który uparł się, by wziąć ze sobą jazgotliwego pieska Titinę. Norge dotarł nad biegun dwunastego maja 1926 roku i wisiał nad nim nieruchomo dość długo, by Amundsen, Ellsworth i Nobile zrzucili w takiej właśnie kolejności flagi Norwegii, Stanów Zjednoczonych i Włoch.

Ledwie trzy dni wcześniej z podróży nad Arktyką wrócił trzysilnikowym samolotem amerykański pilot Richard Byrd, który zarzekał się, że w czasie przelotu zatoczył koło nad biegunem północnym. Kontrowersje i wątpliwości pojawiły się niemal natychmiast. Niedawna analiza jego dziennika pokładowego przyznaje rację sceptykom, bo wskazuje, że Byrd usiłował wymazać dane z sekstansu, które stały w sprzeczności z jego późniejszym raportem i świadczyły o tym, jak daleko miał jeszcze do bieguna. Podobna sytuacja miała miejsce w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku, kiedy National Geographic Society ponownie przeanalizowało dostępne

dokumenty dotyczące wyprawy Peary'ego z 1909 roku. Badacze doszli do wniosku, że i on najpewniej sfałszował swój dziennik. Jeśli więc ani Cook, ani Peary, ani nawet Byrd nie dotarli do bieguna - a tak się obecnie powszechnie uważa - palma pierwszeństwa przypada zatem Amundsenowi.

To on zatknął norweską flagę na obu biegunach i przetań szlak Przejściem Północno-Zachodnim. Prawdziwe osiągnięcia wyprzedziły jego najodważniejsze dziecięce marzenia i postawiły daleko przed bohaterami, których hołubił: Nansenem, Franklinem i własnym ojcem. Uświadomił sobie jednak, że nawet to nie zaspokoilo jego pragnienia. Nie rozpaczał, kiedy nie było już czego podbijać. Nie, on miotał się z wściekłości! Odwrócił się plecami do horyzontu i spojrział na długi rząd wrogów, których wyprzedził.

Jesienią 1927 roku Amundsen opublikował książkę *Moje życie polarnika* - gorzką, pełną żalu i nierówną literacko pozycję, która w mniejszym stopniu była autobiografią, a w większym rozliczeniem. Opisał w niej swoją pogardę dla Nobilego, nazwał go napuszonym, bezmyślnym gogusiem, który śmiał wysuwać żądania równego udziału w sukcesie Norge. Ostro skrytykował decyzję National Geographic Society dotyczącą ukarania go za lojalność wobec Cooka. Wyładował się wreszcie na Brytyjczykach, którzy jego zdaniem byli „nacją, która nie umie przegrywać”, a wszystko to za oskarżenie go o nieuczciwe zabiegi, gdy pokonał Scotta w wyścigu na biegun południowy.

Resentyment Norwega sięgał daleko w przeszłość, aż do czasów Belgiki. Zaadresował bardzo ostre słowa do de Gerlache'a, któremu nigdy nie wybaczył podpisania i zatajenia kontraktu z Belgijskim Królewskim Towarzystwem Geograficznym, wykluczającym go z przejęcia sterów ekspedycji w przypadku śmierci komendanta i kapitana. Napisał, że de Gerlache i Lecoq „nie mogli podjąć gorszej decyzji” niż wpłynięcie w głąb lodowego paku na samym początku zimy. Amundsen obstawał, że od początku sprzeciwiał się pomysłowi zimowania w paku (choć jego przepojone entuzjazmem wpisy w dzienniku z tego dokładnie czasu świadczą o czymś wręcz

przeciwnym) oraz że musiał przejąć dowodzenie ekspedycją, kiedy de Gerlache i Lecointe zapadli na szkorbut (również dalekie od prawdy twierdzenie).

Wsparcie dla Cooka i wydana niedługo później książka *Moje życie polarnika* podkopały reputację wielkiego Norwega i przy okazji bardzo zaszkodziły samej Norwegii. Furia, z jaką Mussolini zareagował na obraźliwe epitety pod adresem Nobilego i Włochów, w ostateczności była do zniesienia. Znacznie bardziej problematyczna okazała się za to reakcja Wielkiej Brytanii, należącej wówczas do najbliższych sprzymierzeńców Norwegii. O załagodzenie sytuacji poproszono dawniejszego idola Amundsena, Fridtjofa Nansena – w tamtym czasie już bardzo uznanego naukowca, męża stanu i laureata Nagrody Nobla<sup>48</sup>.

„Nie potrafię wytłumaczyć niedawnego postępowania Amundsena. Wydarzyło się wiele niezrozumiałych rzeczy i jedyne, co przychodzi mi do głowy, to to, że stało się z nim coś złego” – napisał Nansen w liście do wiceprzewodniczącego Królewskiego Towarzystwa Geograficznego Wielkiej Brytanii Hugh Roberta Milla. – „Mogę jedynie przypuszczać, że całkowicie stracił dystans i że nie jest w tej chwili odpowiedzialny za swe czyny... Wydaje mi się, że pojawiło się kilka niepodważalnych symptomów jakiegoś obłędu”.

Opinia ta nie była profesjonalną diagnozą (choć Nansen obronił doktorat z neurologii), a raczej próbą ograniczenia strat. Wskazuje jednak niezbiecie, że Amundsen z 1927 roku to zupełnie inna osoba, znacznie bardziej pogrążona w paranoi i poczuciu osaczenia niż młody odkrywca, którego Nansen spotkał trzydzieści lat wcześniej na pokładzie Belgiki.

Jeśli Amundsen zapadł na polarny obłęd, to na zupełnie inny jego rodzaj niż Tollefsen, Van Mirlo i wielu, wielu innych polarników i pracowników stacji badawczych. Jego szaleństwa nie wywołały siły zewnętrzne, mające swe źródło w ekstremalnych warunkach, lecz zaciekleść pochodząca z jego wnętrza – ambicji, współzawodnictwa, konsekwencji i niemal masochistycznej pogoni za trudnościami – z tego

wszystkiego, co pchało go w miejsca, gdzie musiał być przygotowany na skrajne okoliczności. Spalająca go pasja nie przygasła tylko dlatego, że osiągnął wszystkie wymarzone cele.

Zachowanie, opisane przez Nansena jako obłąd, dla Amundsena było po prostu obroną honoru. Jego chłodny i mrukliwy sposób bycia skrywał poetycką wrażliwość. Wyobrażał sobie, że postępuje w zgodzie z kodeksem rycerskim, nawet jeśli nie przystawał on do współczesnych reguł. Niedługo po publikacji *Mojego życia polarnika* nadarzyła się okazja, by pokazać, jak bardzo wierny jest tym zasadom. Dwudziestego piątego maja 1928 roku dotarła do niego wiadomość, że sterowiec *Italia*, którym Nobile udał się nad biegun północny, zniknął niespodziewanie w drodze powrotnej. Bez chwili zastanowienia Amundsen zgłosił się na ochotnika, by ruszyć na pomoc swemu znieawidzonemu rywalowi. Mussolini dał mu wyraźnie do zrozumienia, że obejdą się bez jego pomocy. Tymczasem gest norweskiego odkrywcy był obliczony w równym stopniu na ratowanie swojej legendy, jak życia Nobilego. Fakt, że Włoch był jego wrogiem, podkreśliłby jedynie wielkoduszność i bezinteresowność tego zrywu.

Dwa tygodnie później rozbitkowie z Italii zdołali przywrócić łączność radiową z *Città di Milano*, okrętem wspomagającym, krążącym w okolicach zatoczki *Kongsfjorden*. Nobile z ośmioma członkami załogi, z których większość była ranna, utknęli na lodowym paku na północ od archipelagu *Svalbard*. Siedmiu innych zginęło lub zaginęło. (*Titina* wyszła z wypadku bez szwanku). Na ratunek ruszyło kilka zespołów – drogą powietrzną i po lodzie. Mimo to Amundsen wciąż widział w tym swoją szansę, by, mając pięćdziesiąt pięć lat, przypieczętować swoją karierę – i, być może, po raz ostatni zobaczyć pak. Jednemu z włoskich dziennikarzy wyznał przed wyruszeniem w drogę: „Ach! Gdybyście tylko mogli wiedzieć, jak tam jest cudownie! Tam właśnie pragnąłbym umrzeć i pragnąłbym również, by odejść z honorem, gdy będę dokonywał czegoś dobrego, szybko i bezboleśnie”.

Osiemnastego czerwca Amundsen i złożona z pięciu osób załoga wsiadła do cumującego w *Tromsø* w norweskiej Arktyce hydroplanu

Latham 47, francuskiej produkcji. Silnik z bulgotem przebudził się do życia, śmigło zaczęło się obracać i samolot ruszył przed siebie. Kiedy wzbił się w powietrze, skręcił na północ, w stronę Morza Barentsa. Wtedy świat po raz ostatni widział Roalda Amundsena.

Do dzisiaj nie udało się odnaleźć ani wraku samolotu, ani szczątków żadnego z członków załogi. (Nobile w końcu został uratowany).

Cook został ułaskawiony w 1930 roku, po odbyciu połowy wyroku. Wychodząc z więzienia, miał sześćdziesiąt cztery lata, prawie nie widział na jedno oko i nie myślał już o przygodach. Niedługo po uwolnieniu zgodził się udzielić wywiadu dziennikarskiemu wolnemu strzelcowi Williamowi McGarry'emu. W pewnej chwili McGarry zapytał go o los Amundsena.

„Istnieje duże prawdopodobieństwo” – zaczął Cook – „że Roald Amundsen wciąż żyje. Mógł dotrzeć do północnych wybrzeży Grenlandii albo do Ziemi Franciszka Józefa. Gdyby tak się stało, mogłby tam bez przeszkód zamieszkać. Roald był największym z polarnych odkrywców i nawet na piechotę bez wysiłku zatroszczyłby się o siebie odpowiednio, pod warunkiem że trafiłby w rejony obfite w zwierzynę”.

Myśl o wspólnych wyprawach z przyjacielem pozwoliła staremu człowiekowi odpłynąć na krze wspomnień, hen w stronę lodowego paku na Morzu Bellingshausena.

## OD AUTORA

PIERWSZY RAZ O WYPRAWIE BELGIKI USŁYSZAŁEM W 2015 ROKU, kiedy siedziałem przy swoim biurku w redakcji magazynu „Departures” i niczym specjalnym się nie zajmowałem. Przeglądałem akurat najnowsze wydanie „The New Yorkera” i trafiłem na nagłówek, który przyciągnął moją uwagę: *Przeprowadzka na Marsa*. Artykuł mówił o eksperymencie prowadzonym wówczas w masywie Mauna Loa na wyspie Hawaiki – w miejscu, w którym warunki są najbliższe marsjańskim – gdzie sześcioro ochotników zamknęło się w kopule geodezyjnej, by NASA mogła badać dynamikę relacji wewnątrz grupy w ramach przygotowań do przyszłej wyprawy na Czerwoną Planetę. Tom Kizzia, autor tekstu, w klasycznym stylu „The New Yorkera” odwołał się do historii. Kilka pierwszych akapitów poświęcił wyprawie, która odbyła się prawie sto dwadzieścia lat wcześniej, a biorący w niej udział śmiałkowie pierwsi przetrwali antarktyczną zimę. Kizzia wspomniał o „paradzie obłąkańców” dookoła statku. Wyrażenie to momentalnie wzbudziło moje zainteresowanie. Koniecznie chciałem się dowiedzieć, co może łączyć Belgię i przyszły podbój kosmosu. Jednak najbardziej zafascynowała mnie postać lekarza wyprawy, Fredericka Alberta Cooka, okrzykniętego później najbardziej bezwstydnym naciągaczem Ameryki, którego niesamowita pomysłowość zdołała uchronić całą wyprawę przed katastrofą. Zawsze ciągnęło mnie do heroicznych antybohaterów: Sherlocka Holmesa, Butcha Cassidy’ego czy Hana Solo. Zagłębiając się w historię Cooka, dowiedziałem się, że dożył swoich dni w Larchmont, w stanie Nowy Jork, w domu, który mijam codziennie, wyprowadzając psa. Uznałem, że to znak: muszę napisać tę książkę!

W ten sposób rozpoczęła się moja pięcioletnia obsesja, która zaprowadziła mnie w najróżniejsze miejsca i sprawiła, że podążając śladami Belgiki i jej załogi, odwiedziłem między innymi Oslo, Antwerpię

i Antarktydę. Historia, która dzięki dziennikom i innym bezpośrednim źródłom wylaniała się przed moimi oczami, okazała się znacznie pełniejsza i bogatsza, niż wyobrażałem sobie na początku. Wyprawa niejako stworzyła dwóch przyszłych wybitnych odkrywców: pierwszym był słusznie szanowany i podziwiany Roald Amundsen, a drugim niesłusznie potępiany, wspomniany już doktor Cook. Kulminacją ich wyprawy była nieprawdopodobna ucieczka z nieprzychylnego lodowego paku, która skalą i rozmachem mogła stanąć w szranki z największymi pojedynkami w historii i literaturze, jakie człowiek stoczył z naturą. A jej wynik miał znacznie bardziej dalekosiężne konsekwencje niż tylko przetrwanie (większości) załogi.

Jednym z wyzwań, z jakimi musiałem się zmierzyć, odtwarzając historię wyprawy sprzed ponad stu lat, było znalezienie sposobu na to, jak zrozumieć towarzyszące członkom załogi emocje i uczucia. Chodziło nie tylko o to, aby ustalić wydarzenia dzień po dniu czy współrzędne statku, kiedy dryfował z lodowym pakiem, ale też zrekonstruować, jak wyglądało codzienne życie podróżników, by zrozumieć ich wielkość i pojąć, w jaki sposób udało im się pokonać wszystkie trudności. Ku mojemu szczęściu szybko się okazało, że wyprawa Belgiki należy do najlepiej udokumentowanych przedsięwzięć ery bohaterskich odkrywców polarnych, gdyż przynajmniej dziesięciu uczestników prowadziło szczegółowe dzienniki lub pamiętniki (choć jeden ze zbiorów zapisków został później spalony).

Pierwszy duży przełom w moich badaniach wydarzył się jesienią 2018 roku, kiedy Henri de Gerlache, prawnuk komendanta Belgiki, filmowiec i podróżnik, zaprosił mnie do pięknej posiadłości rodzinnej na wsi, niedaleko Gandawy<sup>49</sup>. Na miejscu wyjął cztery oprawione w skórę bruliony – dziennik ekspedycji Adriena de Gerlache’a. Kiedy zaczęliśmy ostrożnie przewracać mocno wytarte strony, zapisana na nich treść pochłoneła nas tak, jakbyśmy czytali powieść przygodową. Obok miejsca, gdzie siedzieliśmy, po prawej stronie, obok klatki schodowej, stały oryginalne sanie z Belgiki. Przesuwając palcami po poszczerbionym drewnie, powtarzałem sobie w myślach, że to mogą

być dokładnie te same sanie, które Cook z Amundsenem zabierali na śmiertelnie niebezpieczne wyprawy po lodowym paku. Dla mnie tamtego dnia historia przebudziła się do życia.

Następnego ranka udałem się do Królewskiego Instytutu Nauk Przyrodniczych Belgii w Brukseli. Instytut mieści się w raczej przytulnym budynku z połowy dwudziestego wieku, a pod jego pieczęcią znajduje się większość archiwum Belgiki. Byłem tam umówiony z Olivierem Pauwelsem, kuratorem działu kręgowców współczesnych. Naukowiec, ubrany w niebieski, opinający się na wydatnym brzuchu pulower, emanował urzędniczym znużeniem, które i tak nie było w stanie zgasić w nim widocznej miłości do świata zwierząt. Zarzucił na ramiona niedopasowany biały fartuch i poprowadził mnie zastawionymi i zatęchłymi korytarzami do samego serca ogromnej kolekcji instytutu.

Ekspozycje zebrane w czasie stu siedemdziesięciu pięciu lat działania placówki gromadzi się w pozornie niekończącym się labiryncie wyłożonych białymi płytkami przejść i pomieszczeń, zastawionych drewnianymi regałami i szafkami, z których każda zawiera wiele egzemplarzy poszczególnych gatunków, czy to wypchanych, zamkniętych w słoju czy w końcu w postaci opisanych starannie torebek z kośćmi. Przejścia blokują wypchane ekspozycje zbyt duże, by zmieściły się w szafkach, tworząc pełną magicznego realizmu menażerię, zebraną bez zrozumiałego ładu i składu – zupełnie jakby zwierzęta mogły przechadzać się tam bez żadnego nadzoru. Przeciskając się obok naturalnych rozmiarów jaka i stada flamingów, Pauwels w końcu doprowadził mnie do miejsca oznaczonego numerem zapisanym w dokumentach. Wciągnął niebieskie rękawiczki jednorazowe.

- W czasach, kiedy preparowano te okazy, stosowało się arszenik, żeby zabezpieczyć je przed roztocami i insektami – wyjaśnił. Mimo upływu ponad stu lat, trucizna wciąż była groźna dla ludzi.

Pauwels wysunął dużą szufladę i wyjął z niej pingwina cesarskiego schwytanego i uśmierconego w czasie wyprawy Belgiki; jednego z wielu, jakie podróżnicy przywieźli do Belgii. Brakowało mu oczu



i pióra straciły blask, a jednak ten ponad metrowy ptak stojący w naturalnej pozycji wzbudził we mnie zachwyt: nie mogłem znaleźć się bliżej uczestników tamtej wyprawy. Przez chwilę zastanawiałem się, który z nich uśmiercił to zwierzę, i próbowałem wyobrazić sobie, co wtedy czuł. Tłumaczyłem sobie, że zdobyte tak mięso uratowało im życie.

Przez następnych kilka godzin Pauwels pokazał mi sporą część materiałów zgromadzonych w czasie wyprawy. Widziałem jeszcze wiele wypchanych pingwinów – cesarskich, białobrewych i białookich – oraz kości fok czy ryby głębinowe, zakonserwowane w słojach z alkoholem.

Potem Pauwels zabrał mnie na poziom, gdzie znajdowały się zbiory bezkręgowców, i pokazał mi fiolkę zawierającą pojedynczą, ledwie widoczną larwę *Belgica antarctica*, jedyne naturalnie występujące lądowe zwierzę na Antarktydzie, a odkryte przez zoologa wyprawy Emile'a Racovitzę. Momentalnie przeniosłem się myślami na kamieniste wybrzeże Cieśniny Gerlache'a, do stycznia 1898 roku. Obok zobaczyłem Racovitzę, jak nachyla się nad plamą porostów i marszczy brwi, po czym unosi szkło powiększające i pobiera próbki.

W przemówieniu wygłoszonym 18 listopada 1899 roku przed członkami Królewskiego Belgijskiego Towarzystwa Geograficznego Georges Lecoq celowo podkreślał, że ekspedycja przyniosła znacznie więcej niż „jedno zimowanie i dwie ofiary śmiertelne”. Jej wkład w rozwój badań i wiedzę o Antarktyce jest trudny do przecenienia. Racovitz skatalogował tysiące próbek setek gatunków reprezentujących różne królestwa – mchów, porostów, ryb, ptaków, ssaków, owadów i organizmów pelagicznych, z których wiele było wcześniej nieznanych. Szczegółowo udokumentował zachowania fok i pingwinów. Drugi z naukowców, polski geolog Henryk Arctowski, odkrył głębię oddzielającą Ziemię Ognistą i Ziemię Grahama, a razem ze swoim rodakiem Antonim Dobrowolskim zebrali dane z całego roku obserwacji meteorologicznych i oceanograficznych na południe od koła podbiegunowego. Uporządkowanie i analiza badań poczynionych

w czasie ekspedycji zajęła Komisji Belgiki niemal czterdzieści lat. Odkrycia naukowców stworzyły podstawę do zrozumienia tego pokrytego lodem kontynentu, a cała trójka zrobiła później wybitne kariery.

Spuścizna Belgiki wykracza daleko poza czysto naukowe dane. Ekspedycję tę można uznać za jedną z pierwszych w pełni międzynarodowych wypraw współczesności, a z całą pewnością pierwszą w polarne regiony. Osiągnięcie to należy przypisać de Gerlache'owi, który pomimo swego patriotyzmu i wojskowego wykształcenia w głębi serca był pacyfistą. Sprzeciwił się oczekiwaniom rodaków, którzy na pokładzie Belgiki chcieli widzieć jedynie Belgów, i zatrudnił najlepszych ludzi, jakich mógł znaleźć, niezależnie od ich narodowości. W czasie kiedy zachodnie mocarstwa chciały dzielić świat - w szowinistycznym pędzie, który dwie dekady później doprowadził do wybuchu wojny - de Gerlache ustanowił standardy globalnej współpracy, obowiązujące w Antarktyce do dzisiaj, w przeciwieństwie do bogatej w ropę i będącej sceną coraz gwałtowniejszych zmaganiań Arktyki.

Symboliczne jest choćby to, że de Gerlache zrezygnował z prób ustanawiania belgijskiej zwierzchności nad cieśniną, która dziś upamiętnia jego nazwisko (w przeciwieństwie do, na przykład, Jamesa Clarka Rossa, który w 1841 roku formalnie ogłosił zajęcie Ziemi Wiktorii przez Wielką Brytanię). W jego przekonaniu nauka wznosi się ponad politykę i granice państw, czym dał podwaliny pod ponadstuletni okres pokoju w Antarktyce. Dzięki Adrienowi de Gerlache'owi i jego synowi, który w latach 1957-1958 poprowadził własną wyprawę antarktyczną, Belgia została państwem sygnatariuszem Układu Antarktycznego z 1959 roku, który zabrania jakiegokolwiek aktywności wojskowej na tym kontynencie. Późniejsze porozumienie, protokół madrycki z 1991 roku, objął ochroną wszystkie zwierzęta i zasoby naturalne Antarktyki, w celu obrony ich przed wszelkimi formami eksploatacji. Przykład Antarktydy z kolei pozwolił na wypracowanie formuły współpracy naukowej w kosmosie w ramach Międzynarodowej

Stacji Kosmicznej, gdzie przedstawiciele rywalizujących ze sobą w wielu dziedzinach narodów współpracują pokojowo, niezależnie od ziemskich nieporozumień.

Kwestią, w której wyprawa Belgiki okazała się mieć największy wpływ na późniejsze badania, było podkreślenie niszczycielskiego, fizjologicznie i psychologicznie, wpływu ekstremalnych wypraw na jej uczestników – co zostało bardzo szczegółowo opisane przez Fredericka Cooka. Przeczucia i obserwacje lekarza ekspedycji stały się fundamentem dla późniejszych stu dwudziestu lat badań nad tym fenomenem.

Badania kliniczne, którym poddawany był personel naukowy i techniczny całorocznych baz w Antarktyce, regularnie donosiły o problemach fizjologicznych i psychologicznych podobnych w swojej naturze, a czasem i natężeniu, do tych, których doświadczali podróżnicy na pokładzie Belgiki: nieregularne bicie serca, zmęczenie, wrogość, depresja, utrata pamięci, dezorientacja i zaburzenia zdolności poznawczych. Często są przypadki występowania fugi dysocjacyjnej, przez co pacjenci stają się nieresponsywni i wpatrują się z otępieniem przed siebie. Stan ten określany jest czasem jako *Antarctic stare* (antarktyczne spojrzenie), co jeden z lekarzy zdefiniował jako „sposrzenie na coś trzy metry dalej, gdy pokój kończy się ścianą oddaloną o dwa metry”. To idealny opis stanu Adama Tollefsena na samym początku jego obłądu.

Cook zespół wszystkich symptomów określał zbiorczym pojęciem „polarnej anemii”. Dzisiaj naukowcy używają terminu „syndrom zimownika”, lecz to w gruncie rzeczy dokładnie to samo. Najpowszechniej przyjęta teoria tłumaczy to schorzenie jako formę niedoczynności tarczycy, której często towarzyszy występowanie depresji i migotanie przedsionków, przez co może być ona odpowiedzialna za „objawy mózgowie” oraz „objawy kardiologiczne”, które najbardziej martwiły Cooka, zanim pojawił się szkorbut<sup>50</sup>. Hormony tarczycy pomagają między innymi regulować temperaturę

ciała i rytm dobowy organizmu. Nietrudno się przekonać, jak ekstremalnie niskie temperatury i długi brak światła słonecznego mogą cały ten system pozbawić równowagi.

To tylko jedna z hipotez. Przyczyny syndromu pozostają zagadką mimo upływu stu lat po tym, jak Cook jako pierwszy opisał jego objawy. Naukowcy są zdania, że czynniki fizjologiczne to tylko część złożonego systemu przyczyn. Stres wywołany uwięzieniem, nuda, izolacja, mało zróżnicowane pożywienie oraz presja psychospołeczna, nieuchronnie wzbierająca w niewielkich grupach, przyczyniają się w niemałym stopniu do powstawania zaburzeń psychologicznych i poznawczych dotyczących personel stacji badawczych na Antarktydzie. Jednak podkreślając prawdopodobny związek między syndromem zimownika a zespołem symptomów znanym jako sezonowe zaburzenie afektywne – które polega na pogorszeniu samopoczucia wraz z malejącą ilością światła dziennego – współcześni naukowcy przychylają się niejako do hipotezy Cooka, który wierzył, że światło ma znaczący wpływ na dobre samopoczucie. Jego szalony pomysł, by ustawiać nagich towarzyszy podróży przed buchającym ogniem, jest pierwszą opisaną w historii próbą stosowania terapii światłem, regularnie wykorzystywanej dzisiaj w leczeniu zaburzeń snu, depresji i wielu innych chorób.

Mimo że Cook jest dziś pamiętany – jeśli w ogóle jest pamiętany – jako szarlatan, który okłamał ludzkość w kwestii zdobycia bieguna północnego, może odkupić swoje winy dzięki kolejnej fazie eksploracji świata przez człowieka, a konkretnie dzięki załogowym wyprawom na Marsa. Pozostałe do pokonania psychologiczne wyzwania takiej podróży w niczym nie ustępują jej złożonościom technicznym. Zgodnie ze słowami Roalda Amundsena: „Czynnik ludzki to trzy czwarte każdej ekspedycji”. Wśród największych zagrożeń, z którymi będą musieli zmierzyć się przyszli podróżnicy w drodze na Marsa, należy wymienić międzyplanetarną wersję syndromu zimownika. Dla dziewiętnastowiecznych eksploratorów nieznanne pola lodowe wokół ziemskich biegunów – szczególnie w przypadku Antarktydy – wydawały się równie odległe, tajemnicze i niezdobyte jak dziś Mars dla nas. Nie

należy się więc dziwić, że NASA postanowiła skorzystać z doświadczenia wypraw polarnych, będących najbliższą ziemską namiastką długich podróży pozaziemskich. W tym właśnie kontekście Belgica pojawiła się w artykule w „The New Yorkerze”, który czytałem w 2015 roku.

Przez ostatnie trzy dekady NASA bardzo ściśle współpracowała z Jackiem Stusterem, behawiorystą i antropologiem, najszerzej znanym dzięki wydanej w 1996 roku książce *Bold Endeavors: Lessons from Polar and Space Exploration* [Śmiałe próby: doświadczenia wypraw polarnych i kosmicznych]. Belgica znalazła się wśród najdokładniej przebadanych przez niego przypadków. Ekspedycje, w których wszyscy podróżnicy ginęli, nie pozwalają wyciągnąć zbyt wielu praktycznych wniosków. To samo dotyczy takich wypraw – tu przykładem może być wyścig Amundsena na biegun południowy w 1911 roku – które przebiegają zupełnie bezproblemowo. Najwięcej praktycznych informacji i wniosków można wyciągnąć dzięki ekspedycjom, które – jak Belgica – napotkały znaczące problemy, zmierzyły się z nimi i je pokonały. Obserwacje Cooka, jego ostrzeżenia oraz wymyślane na miejscu terapie i zalecenia mają bezpośredni wpływ na opracowywane przez NASA procedury postępowania.

Dzięki ankietom przeprowadzonym wśród astronautów Stuster ustalił, że podróżnicy przebywający poza Ziemią szybko nudzą się monotonią posiłków i tęsknią za czymś chrupkim<sup>51</sup>. To przypomina skargę Cooka, którą zapisał w dzienniku: „Tęsknimy za tym, by znów użyć zębów!”. Korzystając z doświadczenia lekarza, Stuster zalecił przygotowanie możliwie jak najszerszego spektrum rodzajów pożywienia. Ogólniej rzecz biorąc, zachęcił również przygotowujących się do podróży na Marsa lekarzy do naśladowania pomysłowości Cooka i wzięcia przykładu z jego wytrwałości w podtrzymywaniu pozytywnego, dobrego nastawienia.

„Właśnie o takiej osobie myślę, kiedy opisuję zadania i obowiązki czekające na lekarza” – usłyszałem od Stustera. „O kimś takim jak Frederick Cook”.

Kiedy już dotrzemy na Marsa, będziemy musieli – w jakiejś drobnej części – podziękować za to również Cookowi.

Kiedy wspomniałem przyjacielowi – redaktorowi, którego zdanie i opinię bardzo szanuję – o swoich planach, by w ramach zbierania informacji do książki odwiedzić Antarktydę, zapytał mnie: „A po co? Dlaczego nie oprzesz się w całości na dostępnych pamiętnikach i dziennikach?”. Nie wiedziałem, jak odpowiedzieć. Moja książka ostatecznie nie jest prostą relacją z podróży. Mój przyjaciel podejrzewał, że zamierzam w ten sposób usprawiedliwić realizację jednego z marzeń i spełnić je na koszt pracodawcy. Miał trochę racji – ale tylko trochę. Nie wiedziałem, co tam znajdę, ale było we mnie głębokie przekonanie, że niezależnie od szczegółowości pamiętników nie zdołam oddać w satysfakcjonujący sposób widoków, dźwięków i zapachów Antarktyki, samemu jej nie doświadczając. Skontaktowałem się z chilijską firmą Antarctica21 i wykosztowałem się na bilet na tygodniowy rejs, zaplanowany na połowę grudnia 2018 roku. Podobnie jak de Gerlache i jego ludzie w podróż wyruszyłem z Punta Arenas. Lecz w przeciwieństwie do nich nad niespokojnymi i niebezpiecznymi wodami Cieśniny Drake’a przemknąłem samolotem, by po dwóch godzinach lotu wylądować w chilijsko-rosyjskiej bazie na Wyspie Króla Jerzego. Tam, razem z innymi podróżnymi, wsiadłem na pokład Hebridean Sky, statku przygotowanego do obsłużenia siedemdziesięciu turystów jednocześnie, którym mieliśmy pokonać Cieśninę Bransfielda i dotrzeć do kanału odkrytego w 1898 roku przez śmiałków z Belgiki.

Całość była dla mnie wielką niewiadomą. Pogoda panująca na tym mroźnym kontynencie jest tak nieprzewidywalna i tak potencjalnie niebezpieczna, że firmy zarządzające statkami pływającymi po wodach wokół Antarktydy nie gwarantują realizacji konkretnego planu, pozostawiając w gestii kapitanów wybór trasy, na podstawie panujących tego dnia warunków, prądów morskich i wiatru. Jednak w zasadzie pierwszym celem każdej jednostki turystycznej ruszającej z Ameryki Południowej w kierunku Antarktydy jest Cieśnina Gerlache’a,

jedno z najbardziej fascynujących i najbardziej fotogenicznych miejsc na Ziemi. Przez cały tydzień podróży czułem zaskoczenie, że wszystkie widoki wydają mi się dziwnie znajome. Z wyjątkiem błękitnawego odcienia lodu całość wyglądała w zasadzie identycznie jak na czarno-białych fotografiach Cooka. Szybko jednak dotarło do mnie, że świat, który eksplorowali podróżnicy z Belgiki, z dnia na dzień odchodzi do historii.

Pewnego mglistego popołudnia, w połowie rejsu, razem z kilkoma innymi pasażerami płynąłem pontonem przez wody kanału, a dookoła delikatnie padał śnieg. Dobiliśmy w pobliżu Wyspy Danco, nazwanej imieniem drugiej ofiary wyprawy, Emile'a Danco. Pingwiny i humbaki przywitały nas prawdziwym przedstawieniem, tak samo, jak wcześniej podróżników z Belgiki. Na pierwszy rzut oka nic się tam nie zmieniło przez ostatnich sto dwadzieścia lat. A jednak uważniejsze spojrzenie pozwalało wyciągnąć zgoła odmienne wnioski.

Przy sterze pontonu siedział Bob Gilmore, geolog z wykształcenia, którego zadaniem było przekazywanie turystom wiedzy na temat Antarktydy. Do jego obowiązków należało również wykonywanie pomiarów temperatury wody, jej zasolenia oraz ilości fitoplanktonu zamieszkującego Cieśninę Gerlache'a, a wyniki przekazywał uniwersytetom i instytucjom rządowym monitorującym zachodzące procesy zmian w tej okolicy, a niemającym możliwości częstszego jej odwiedzania. Gilmore podał mi niewielką próbkę i polecił wypełnić ją wodą morską. W mojej głowie momentalnie pojawiła się myśl, że właśnie wykonuję tę samą pracę, co Racovitza i Arctowski w pierwszych tygodniach 1898 roku. Gilmore wpuścił do próbki kilka kropli jakiegoś roztworu, by zabić wszystkie mikroorganizmy, zanim zooplankton pożre fitoplankton. Następnie zamknął szczelnie próbkę, by przebadać ją po powrocie na pokład statku.

Zachodzące zmiany, które Gilmore obserwował w próbkach pobieranych przez kilka ostatnich lat, były dość subtelne, a jednak alarmujące. Wyższa temperatura powietrza przyspieszyła proces topnienia lodowców. Zwiększony napływ słodkiej wody zmniejszył

z kolei poziom zasolenia cieśniny. Wynikiem była zmiana charakterystyki przebywającego tu fitoplanktonu. Większe okrzemki, będące preferowanym pożywieniem krylu, zostały zastąpione przez mniejsze okrzemki, lepiej przystosowane do życia w wodzie o mniejszym zasoleniu. Trend ten ma potencjalnie katastrofalne skutki: w miarę znikania dużych okrzemek prawdopodobnie zmniejszy się również populacja krylu, który na nich żeruje. A zmniejszona ilość krylu oznacza zachwianie całością tego delikatnego ekosystemu.

Byłem jednym z około pięćdziesięciu tysięcy ludzi, którzy w okresie lata na południowej półkuli Ziemi, na przełomie lat 2018-2019, odwiedzili Antarktydę. Nie zignorowałem faktu, że sama moja obecność na tym kontynencie – a w szczególności spaliny z Hebridean Sky i dziesiątek innych jednostek przemierzających te wody – przyczyniają się bezpośrednio do niszczenia tego magicznego miejsca. Rosnąca popularność Antarktydy jako celu turystycznego jest zrozumiała: nieliczni, którzy mają wyjątkową możliwość jej odwiedzenia, doświadczają czegoś cudownego i zmuszającego do pokory. To ostatnie prawdziwie dziewicze miejsce na Ziemi. Jednocześnie sam pomysł rozwijania tam turystyki jest w jakiś sposób oburzający: tysiące turystów popijających martini i śpiewających karaoke na tych samych wodach, które de Gerlache i jego załoga przemierzali z trwogą, będąc jedynymi ludźmi na całym kontynencie.

Potężne lodołamacze i zaawansowana technologia komunikacji uczyniły podróże na południowe krańce planety znacznie bezpieczniejszymi. A jednak błędem byłoby zakładać, że Antarktyka stała się mniej niebezpieczna. Zagrożenie pozostało, tylko nieco się zmieniło. Kontynent dalej jest wyjątkowo nieprzyjaznym miejscem dla człowieka, tak samo, jak w czasach de Gerlache'a, Scotta i Shackletona. Tylko że teraz jego dostępność znacznie się rozszerzyła w porównaniu do ery pierwszych podróżników, dość szalonych, by zapuszczać się na antarktyczny lód.

Przez miliony lat antarktyczne lodowce spływały do morza i cieleły się, tworząc góry lodowe, a wszystko to w spokojnym, zrównoważonym



tempie. Przez ostatnich kilkadziesiąt lat prędkość tego procesu wzrosła drastycznie w wyniku podniesienia się temperatury w całym regionie do alarmujących poziomów. W czasie fali upałów w lutym 2020 roku na Wyspie Seymoura, na samym krańcu Ziemi Grahama, zanotowano rekordowe 20,6°C. Bardziej dostępna Arktyka daje wgląd w to, jak zmiana klimatu może w najbliższym czasie wpłynąć na najbardziej wysunięty na południe kontynent. W 2007 roku po raz pierwszy w całości otworzyło się dla żeglugi Przejście Północno-Zachodnie, którego pokonanie na pokładzie malutkiej Gjøa zajęło Amundsenowi trzy lata prawdziwej walki. Szacuje się, że do 2050 roku biegun północny latem będzie pozbawiony lodu.

Antarktyczne lody są rezerwuarem przynajmniej osiemdziesięciu procent światowych zasobów wody pitnej. Gdyby rozpuściły się w całości, poziom oceanów podniósłby się średnio o niemal siedemdziesiąt metrów, drastycznie zmieniając mapę świata. Możliwe, że nie doświadczymy tego w najbliższej przyszłości – powłoka lodowa Antarktydy ma miejscami niemal dwa kilometry grubości – jednak każde ocieplenie się klimatu będzie prowadziło do podniesienia się poziomu wód w morzach i oceanach, doszczętnie niszcząc nadmorskie społeczności, i przyczyni się do niewyobrażalnego cierpienia. Ten kontynent to napięta sprężyna, w której skumulowana jest ogromna siła niszczenia.

Gdyby Poe i Verne tworzyli w naszych czasach, ich wyobraźnią zawładnąłby właśnie taki koszmarne scenariusz. Pociągałby ich nie koniec świata, tylko sam koniec świata. Tak jak śmiałkowie z pokładu Belgiki odpowiedzieli na zew, by wyjaśnić tajemnicę Antarktydy, tak dziś naukowcy i podróżnicy muszą wskazać dalszą drogę. Oby starczyło im odwagi Adriena de Gerlache'a, hartu ducha Roalda Amundsena i wyobraźni Fredericka Cooka. Tak jak Belgica, tak i my na własną prośbę wpłynęliśmy w pułapkę, lecz jeśli tamta wyprawa czegokolwiek dowiodła, to tego, że nigdy nie wolno się poddawać i beczynnienie czekać na zagładę. *Audaces fortuna iuvat!*

## PODZIĘKOWANIA

KIEDY ZABIERAŁEM SIĘ DO TEGO PROJEKTU, Antarktyda była w mojej głowie równie pustym polem jak na mapach z końca dziewiętnastego wieku. Może z wyjątkiem kilku przypadkowych faktów i nazwisk - Amundsen, Scott, Shackleton - nie miałem zielonego pojęcia na temat jej historii i geografii. Jeszcze mniej wiedziałem o tym, o czym chciałem napisać książkę. Jednak dzięki mojemu optymizmowi, podobnemu optymizmowi de Gerlache'a, uznałem, że znalezienie drogi w tej mgle nie może być przesadnie trudne. Pięć lat później wiem już, że dawno skończyłbym na skałach, gdyby nie cała rzesza ludzi, którzy pomagali mi w czasie przeprawy.

Nigdy nie będę w stanie spłacić długu wobec wszystkich kobiet i mężczyzn, którzy dzielili się ze mną swoim czasem i wiedzą tylko i wyłącznie z racji wspólnej pasji i zainteresowań. Szczególne podziękowania kieruję do historyka wyprawy Belgiki, Jozefa Verlindena, który od chwili spotkania przy piwie w brukselskim Grand Place był niezmiennie dla mnie szczodry, oraz do Anne Melgård z Norweskiej Biblioteki Narodowej, której kwerenda w archiwum przynosiła skarb za skarbem. Dziękuję również Robertowi Headlandowi ze Scott Polar Research Institute za cierpliwe odpowiadanie na moje pytania dotyczące Antarktydy i jej historii, oraz pozostałym specjalistom, z którymi się konsultowałem: Jackowi Stusterowi, Lawrence'owi Palinkasowi, Susan Kaplan, Sarah Kennel, Kennethowi LaMasterowi, Davidowi Rosie, Danowi Orenowi, Geirowi Kløverowi, Perowi Gislemu Galåenowi, Athenie Angelos, Markowi Leutbeckerowi i Carol Smith. Oraz *veel dank* dla Kurta Van Campa, dyrektora projektu New Belgica, za niezapowiedziany wyjazd do Antwerpii. Przysługi duże i małe były wiatrem, który wypełniał moje żagle.

Czuję szczególną wdzięczność dla Henriego de Gerlache'a, Bernarda de Gerlache'a i Jeana-Louisa de Gerlache'a za zaszczyt pozwolenia na zapoznanie się z notatkami i dziennikami ich przodka; dziękuję również Claude'owi De Broyerowi za umożliwienie mi dostępu do archiwów wyprawy w Królewskim Instytucie Nauk Przyrodniczych Belgii oraz spadkobiercom Georges'a Lecointe'a za wspólne rozmowy.

Wielojęzyczne zasoby archiwalne, które pomogły mi odnaleźć osoby wyżej wymienione, na niewiele by mi się zdały, gdyby nie tłumacze, a konkretnie: Sean Bye, Emma Pressley, Elin Melgård i Tomasz Popławski. Kłaniam się z wdzięcznością Markusowi Voelkerowi za potwierdzenie, że mój niemiecki z liceum (i tłumacz Google'a) jeszcze na coś się przydał.

Dopiero w czasie korekty zacząłem współpracę z onieśmielająco błyskotliwym *fact-checkerem* CB Owensem, który uchronił mnie przed całą masą zawstydzających błędów, odszukał studwudziestoletnie dokumenty, które przez całe lata mi umykały, i który dopiero po zatrudnieniu przyznał się, że czyta po norwesku.

Niniejszy projekt nie wyszedłby poza sferę planów, gdyby nie zespół agencji Aevitas Creative Management - w tym szczególnie moi niestrudzeni agenci Todd Shuster i Justin Brouckaert, oraz mój były szef w Esquire David Granger - ich entuzjazm dla tego przedsięwzięcia był równie ogromny, co oczekiwania z nim związane. Jeszcze większe nadzieje miał mój redaktor Kevin Doughten, który stał się moim najbliższym współpracownikiem. On i wszyscy w Crown - od Lydii Morgan, przez zespół prasowy, aż do dyrektorów artystycznych: Christophera Branda i Eleny Giavaldi, projektanta książki Simona Sullivana oraz odpowiedzialnej za korektę Barbary Jatkoli - pomogli powołać do życia książkę, o jakiej marzyłem, że kiedyś ją napiszę.

W czasie pisania wspierało i doradzało mi wielu przyjaciół i znajomych. Wymienić mogę tylko nielicznych: Alexa Rosa z Open Sky Expeditions, który pomógł mi zorganizować wyjazd na Antarktydę (i niemal naraził mnie na pogryzienie przez pumę w Patagonii); Eda Coucha i Johna Lopeza, anioła i diabła (w tej kolejności), czytających mi

przez ramię pierwsze projekty; moich znajomych z „Departures”, szczególnie Jeffriesa Blackerby’ego, Maurę Egan i Rebeccę Stepler; oraz Justina Bishopa, który zrobił mi zdjęcie na okładkę i zafascynował mnie chłodem.

Najgłębsze wyrazy wdzięczności kieruję do rodziny. Do mojego ojca, który pokazał mi liny żeglarskie. Do mojej matki i jednocześnie najpilniejszej czytelniczki. Do Jessiki Levine, mojej partnerki i największej miłości. I do moich córek, Mai i Leili, które nie mają pojęcia, jak bardzo mnie inspirują.

# WYBRANA BIBLIOGRAFIA

## ZBIORY ARCHIWALNE

Belgijska Ekspedycja Antarktyczna. Archiwalia, Królewski Instytut Nauk Przyrodniczych Belgii, Bruksela.

Cook, Frederick A., Kartoteka osadzonego w Federalnym Zakładzie Karnym w Leavenworth, Amerykańska Agencja Archiwów Państwowych, College Park, MD.

Cook, Frederick A., Dokumenty, Biblioteka Kongresu, Dział Manuskryptów, Waszyngton, DC.

Cook, Frederick A., Dokumenty, Kolekcja wypraw polarnych Stefanssona, Dartmouth College, Hanover, NH.

Kolekcja rodziny de Gerlache'ów, Zingem, Belgia.

Archiwum Towarzystwa Fredericka A. Cooka, Ośrodek Badań Polarnych i Klimatu Byrda (Byrd Polar and Climate Research Center), Uniwersytet Stanowy Ohio, Columbus.

Biblioteka i archiwum, Norweskie Muzeum Morskie, Oslo.

Archiwum Narodowe Norwegii, Oslo.

Biblioteka Narodowa Norwegii, Oslo.

Osterrieth, Leonie, Archiwum Belgijskiej Ekspedycji Antarktycznej, Felix Archief, Antwerpia.

Królewskie Belgijskie Towarzystwo Geograficzne, Archiwa, Wolny Uniwersytet Brukseli.

## KSIĄŻKI I DZIENNIKI

Amundsen, Roald, *Moje życie polarnika*, tłum. H. Thylwe, Warszawa, Iskry, 1993.

Amundsen, Roald, *The Northwest Passage: Being the Record of a Voyage of Exploration of the Ship Gjøa*, New York, E.P. Dutton, 1908.

Amundsen, Roald, *Zdobycie bieguny południowego*, tłum. B. Wojciechowski, Warszawa, Iskry, 1957.

Anthony, Jason C., *Hoosh: Roast Penguin, Scurvy Day, and Other Stories of Antarctic Cuisine*, Lincoln, University of Nebraska Press, 2012.

Arctowsky, Henryk, *The Antarctic Voyage of the Belgica During the Years 1897, 1898, and 1899*, "The Geographical Journal", no. 18 (July-December 1901).

Arctowsky, Henryk, *Die antarktischen Eisverhältnisse: Auszug aus meinem Tagebuch der Südpolarreise der "Belgica" 1898-1899*, Gotha: Justus Perthes, 1903 (tłum. własne autora).

Arctowsky, Henryk, "Aurores australes". *Résultats du voyage du S.Y. Belgica en 1897-1898-1899. Rapports scientifiques. Météorologie* (1901).

Arctowsky, Henryk, *Exploration of Antarctic Lands*, "The Geographical Journal", no. 17 (January-June 1901).

Astrup, Eivind, *With Peary Near the Pole*, transi. by H.J. Bull, London,

C. Arthur Pearson, 1898.

Beattie, Owen, Geiger, John, *Frozen in Time: The Fate of the Franklin Expedition*, New York, E.P. Dutton, 1987.

Beattie, Owen, Geiger, John, *Na zawsze w lodzie: śladami tragicznej wyprawy Johna Franklina*, tłum. A. Gomola, Kraków, Bo.wiem, 2021.

Bergreen, Laurence, *Over the Edge of the World: Magellan's Terrifying Circumnavigation of the Globe*, New York, William Morrow, 2003.

Bergreen, Laurence, *Poza krawędź świata: opowieść o Magellanie i jego przejmującym grozą rejsie dookoła Ziemi*, tłum. J. Pyka, Poznań, Dom Wydawniczy Rebis, 2005.

Bomann-Larsen, Tor, *Roald Amundsen*, transi, by I. Christophersen, Thrupp, Stroud, Gloucestershire, UK, Sutton, 2006.

Bown, Stephen R., *The Last Viking: The Life of Roald Amundsen*, Boston, DaCapo Press, 2012.

Bown, Stephen R., *Amundsen: ostatni wiking*, tłum. K. Cieślik, Poznań, Wydawnictwo Poznańskie, 2018.

Bown, Stephen R., *Scurvy: How a Surgeon, a Mariner, and a Gentleman Solved the Greatest Medical Mystery of the Age of Sail*. New York, Thomas Dunne Books, 2003.

Bridges, E. Lucas, *Uttermost Part of the Earth: A History of Tierra del Fuego and the Fuegians*, 1948. Reprint, New York, The Rookery Press, 2007.

Bryce, Robert M., *Cook & Peary: The Polar Controversy, Resolved*. Mechanicsburg, PA, Stackpole Books, 1997.

Chapman, Anne, *Hain: Ceremonia de iniciación de los Selk'nam de Tierra del Fuego*, Santiago de Chile: Pehuén Editores, 2009.

Cook, Frederick A., The Antarctic's Challenge to the Explorer, "The Forum", no. 17 (June 1894), s. 505 -512.

Cook, Frederick A., *The Great Indians of Tierra del Fuego*, "The Century Magazine", no. 59 (March 1900), s. 720-729.

Cook, Frederick A., *My Attainment of the Pole: Being the Record of the Expedition That First Reached the Boreal Center, 1907-1909. With the Final Summary of the Polar Controversy*, 1911. Reprint, New York, Mitchell Kennerley, 1912.

Cook, Frederick A., *My Experiences with a Camera in the Antarctic*, "Popular Photography", February 1938, s. 12-14,90-92.

Cook, Frederick A., *A Proposed Antarctic Expedition*, "Around the World", no. 1 (1894), s. 55-58.

Cook, Frederick A., *Through the First Antarctic Night: A Narrative of the Voyage of the Belgica Among Newly Discovered Lands and Over an Unknown Sea About the South Pole*, 1901. Reprint, New York, Doubleday, Page & Company, 1909.

Cook, Frederick A., *To the Top of the Continent: Discovery, Exploration and Adventure in Sub-arctic Alaska. The First Ascent of Mt McKinley, 1903-1906*. New York, Doubleday, Page & Company, 1908.

Darwin, Charles, *Voyage of the Beagle*, 1839. Reprint, New York, Penguin Books, 1989.

Darwin, Karol, *Podróż na okręcie „Beagle”*, tłum. K.W. Szarski, Warszawa, Książka i Wiedza, 1951.

Dedeir, Hugo, ed., *Roald Amundsen's Belgica Diary: The First Scientific Expedition to the Antarctic*, transi, by E. Dupont, C. Le Piez, Norfolk, UK, Erskine Press, 1999.

Decleir, Hugo, De Broyer Claude, eds., *The Belgica Expedition Centennial: Perspectives on Antarctic Science and History*, Brussels, Brussels University Press, 2001.

De Gerlache, Adrien, "*Fragments du récit de voyage*". *Résultats du voyage du S.Y. Belgica en 1897-1898 -1899. Rapports scientifiques*, 1938.

De Gerlache, Adrien, *Quinze mois dans l'Antarctique*. Brussels: Imprimerie scientifique Ch. Bulens, 1902 (tłum. własne autora).

De Gerlache, Adrien, *Piętnaście miesięcy na oceanie antarktycznym*, tłum. Zofia Nałkowska, Warszawa, „Naokoło Świata", 1903.

Dobrowolski, Antoni Bolesław, *Dziennik wyprawy na Antarktydę (1897-1899)*, red. I. Łukaszewska, J. Ostrowski, Wrocław - Warszawa - Kraków, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, 1968.

Dobrowolski, Antoni Bolesław, *Wyprawy polarne: historia i zdobycze naukowe*, Warszawa, Henryk Lindenfeld, 1914.

Dodds, Klaus, Hemmings Alan D., Roberts Peder, eds., *Handbook on the Politics of Antarctica*, Cheltenham, Gloucestershire, UK, Edward Elgar Publishing, 2017.

Drinker, Henry S., *Tunneling, Explosive Compounds, and Rock Drills*, New York, John Wiley & Sons, 1882.

Du Fief, Jean, ed., "Bulletin de la Société Royale Belge de Géographie", no. 24 (1900), s. 1-531.



Dunn, Robert, *The Shameless Diary of an Explorer*, 1907. Reprint, New York, Modern Library, 2001.

Dyer, George L., *The Use of Oil to lessen the Dangerous Effect of Heavy Seas*, Washington, DC, Government Printing Office, 1886.

Fletcher, Francis, *The World Encompassed by Sir Francis Drake*, London, Nicholas Bourne, 1652.

Freeman, Andrew, *The Case for Doctor Cook*, New York, Van Rees Press, 1961.

Headland, Robert Keith, *A Chronology of Antarctic Exploration: A Synopsis of Events and Activities from the Earliest Times Until the International Polar Years, 2007-09*, London, Bernard Quaritch, Ltd., 2009.

Henderson, Bruce, *Peary, Cook, and the Race to the Pole*, New York, W.W. Norton & Company, 2005.

Hochschild, Adam, *King Leopold's Ghost: A Story of Greed, Terror, and Heroism in Colonial Africa*, New York, Mariner Books, 1999.

Hochschild, Adam, *Duch króla Leopolda: opowieść o chciwości, terrorze i bohaterstwie w kolonialnej Afj'ce*, tłum. P. Tarczyński, Warszawa, Świat Książki, 2012.

Huntford, Roland, *The Last Place on Earth: Scott and Amundsen's Race to the South Pole*, 1979. Reprint, New York, Modern Library, 1999.

Huntford, Roland, *Two Planks and a Passion: The Dramatic History of Skiing*, London, New York, Continuum, 2008.

Kløver, Geir O., *Antarctic Pioneers: The Voyage of the Belgica 1897-99*. Oslo, The Fram Museum, 2010.

Lansing, Alfred, *Endurance: Shackleton's Incredible Voyage*, 1959. Reprint, New York, Basic Books, 2014.

Lansing, Alfred, *Wyprawa Endurance*, tłum. Z. Obniski, Warszawa, Iskry, 1968.

Larsen, Carl Anton, *The Voyage of the 'Jason' to the Antarctic Regions*, "The Geographical Journal", no. 4 (June-December 1894), s. 333-344.

Lecointe, Georges, *Au pays des manchots: Récit du voyage de la "Belgica"*, Brussels, Oscar Schepens & Cie, 1904 (tłum. własne autora).

Lecointe, Georges, "Mesures pendulaires". *Résultats du voyage du S.Y. Belgica en 1897-1898-1899. Rapports scientifiques. Physique du Globe* (1907).

Lecointe, Georges, *La navigation astronomique et la navigation estimée*. Paris, Nancy, Berger-Levrault & Cie, 1897.

Lecointe, Georges, "Travaux hydrographiques et instructions nautiques." *Résultats du voyage du 5. Y. Belgica en 1897-1898-1899. Rapports scientifiques* (1907).

Marinescu, Alexandra, ed., *Belgica (1897-1899): Emile Racovitza - lettres, journal antarctique, conférences*, Bucharest, Fondation Culturelle Roumaine, Collection le Rameau d'Or, 1998.

Marinescu, Alexandra, *Le Voyage de la "Belgica": Premier hivernage dans les glaces antarctiques*, Paris, L'Harmattan, 2019.

Martin, Stephen, *A History of Antarctica*, Kenthurst, New South Wales, Australia, Rosenberg Publishing Pty Ltd, 2013.

Nansen, Fridtjof, *Farthest North*, London, Archibald Constable and Company, 1897.

Nansen, Fridtjof, *Podróż do bieguna północnego*, T. 1 i 2, tłum. S. Janiszewski, Warszawa, s.n., 1898.

Oren, Dan A., Kozirowski Marek, Desan Paul H., *SAD and the Not-So-Single Photoreceptor*, "The American Journal of Psychiatry", no. 170 (December 2013), s. 1403 -1412.

Palin, Michael, *Erebus: The Story of a Ship*, London, Hutchinson, 2018.

Palinkas, Lawrence A., *Psychological Factors and the Seasonal Affective*

*Disorder*, Reports on the Conference on Polar and Alpine Medicine, presented at the Explorers Club, New York City, September 25, 1999, s. 11-22.

Palinkas, Lawrence A., Suedfeld Peter, *Psychological effects of polar expeditions*, "The Lancet", no. 371 (January 12, 2008), s. 153-163.

Peary, Robert E., *Northward Over the "Great Ice": A Narrative of Life and Work Along the Shores and upon the Interior Ice-Cap of Northern Greenland in the Years 1886 and 1891-1897*, New York, Frederick A. Stokes, 1898.

Pergameni, Charles, *Adrien de Gerlache: Pionnier maritime - 1866-1934*, Brussels, Editorial-Office H. Wauthoz-Legrand, 1935.

Poe, Edgar Allan, *Przygody Artura Gordona Pyma: powieść*, tłum. M. Stemar, Lwów, nakł. Księgarni Dra Maksymiljana Bodeka, 1927.

Poplimont, Charles, *La Belgique héraldique: recueil historique, chronologique, généalogique et biographique complet de toutes les maisons nobles reconnues de la Belgique*, vol. 4, Paris, Imprimerie de Henri Carion, 1866.

Pyne, Stephen J., *The Ice: A Journey to Antarctica*, Iowa City, University of Iowa Press, 1986.

Racovitza, Emil, "Cétacés". *Résultats du voyage du S.Y. Belgica en 1897-1898-1899. Rapports scientifiques. Météorologie* (1903).

Racovitza, Emil, *Vers le Pôle Sud: Conférence faite à la Sorbonne sur l'Expédition Antarctique Belge, son but, ses aventures et ses résultats*, "Causeries Scientifiques de la Société Zoologique de France", no. 7 (1900), s. 175-242.

Schelfhout, Charles E., *Les Cerlache: Trois générations d'explorateurs polaires*, Aix-en-Provence, Editions de la Dyle, 1996.

Sides, Hampton, *In the Kingdom of Ice: The Grand and Terrible Polar Voyage of the USS Jeannette*, New York, Doubleday, 2014.

Sides, Hampton, *W królestwie lodu: tragiczna wyprawa polarna USS Jeannette*, tłum. T. Hornowski, Warszawa, Dom Wydawniczy Rebis, 2016.

Smith, Percy S., *Hawaiki: The Whence of the Maori*, "The Journal of the Polynesian Society", no. 8 (1899), s. 1-48.

Stuster, Jack, *Bold Endeavors: Lessons from Polar and Space Exploration*, Annapolis, MD, Naval Institute Press, 1996.

Verlinden, Jozef, *Discovery and Exploration of Gerlache Strait*, Bruges, 2009.

Verbilden, Jozef, *Poolnacht: Adrien de Gerlache en de Belgica-expeditie*, Tielt, Belgium, Lannoo, 1993. Verne, Juliusz, *Sfinks lodowy*, tłum. A. Zydorczak, Ruda Śląska, Jamakasz, 2015.

Verne, Juliusz, *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi*, cz. 1 i 2, tłum. A. Zydorczak, Ruda Śląska, Jamakasz, 2018.

Walke, Willoughby, *Gunpowder and High Explosives*, Washington, DC, Government Printing Office, 1893.

Wharton, Charles S., *The House of Whispering Hate*, Chicago, Madelaine Mendelsohn, 1933.

## INFORMACJA O ŹRÓDŁACH

MIĘDZY OPUSZCZENIEM WYSPY STANÓW, 14 stycznia 1897 roku, i powrotem do Punta Arenas, 28 marca 1899 roku, podróżnicy na pokładzie Belgiki nie mieli kontaktu z innymi ludźmi. W konsekwencji dostęp do wiedzy na temat ich przeżyć jest w oczywisty sposób bardzo ograniczony. Na szczęście wielu z nich notowało najważniejsze wydarzenia, a większość zachowanych relacji jest zaskakująco szczegółowa i barwna. W przypadku rozdziałów opisujących samą podróż opierałem się w dużej mierze - choć zdecydowanie nie jedynie - na czterech podstawowych źródłach: radosnym *Through the First Antarctic Night* Fredericka Cooka; pamiętnikach Roalda Amundsena, spisanych z istic hemingwayowską dawką męskości i surowości; *Voyage de la „Belgica”: quinze mois dans l’Antarctique*, eleganckiej relacji Adriena de Gerlache’a oraz *Au pays des manchots* (W krainie pingwinów) Georges’a Lecoq’a, przekazie zadziornym, żartobliwym i miejscami poruszającym. Wszystkie tłumaczenia źródeł francuskojęzycznych wykonałem sam.

Wiele szczegółów zaczerpnąłem z dzienników trzech naukowców ze wschodniej Europy, którzy znaleźli się na pokładzie Belgiki. Henryk Arctowski opublikował po powrocie wiele materiałów na temat wyprawy, w tym w szczególności w „The Geographical Journal”. Emile Racovitza pozostawił całą serię artykułów i wykładów, które regularnie wywołują wybuchy śmiechu, nawet wśród współczesnych czytelników. Dziennik Antoniego Dobrowolskiego to wyjątkowo szczegółowa relacja, zawierająca elementy bardzo liryczne, jak i nieokrzesanie wulgarne. Podróż z perspektywy załogi nie została, niestety, tak dobrze udokumentowana jak z perspektywy oficerów i naukowców. Miałem dużo szczęścia, trafiając na dziennik Augusta Wienckego, który, zgodnie z moją wiedzą, nigdy wcześniej nie był cytowany. To przejmujący dokument, pełen nadziei i głębokich przemyśleń, a jego

nagłe zakończenie na dacie 22 stycznia wciąż wywołuje u mnie ucisk w gardle. Pamiętnik prowadził również

Johan Koren, lecz krótko po przybyciu na Antarktydę przestał zamieszczać w nim kolejne wpisy - jest on za to bardzo pouczający, głównie za względu na świetne rysunki.

Do dyspozycji pozostaje jeszcze dziennik komendanta, który, choć często bardzo rzeczowy i konkretny, czego oczekuje się od dokumentów tego typu, zawiera elementy wręcz poetyckie.

Większość materiałów dotyczących wyprawy przechowywana jest w Królewskim Instytucie Nauk Przyrodniczych Belgii w Brukseli. Archiwum to zawiera dokumenty związane z planowaniem wyprawy, jak również wiele wyjaśniające zbiory listów i memorandumów wymienianych z de Gerlache'em w czasie uwięzienia statku w lodzie, a komendanta w jego kabinie. Korespondencja ta została opisana szerzej w czternastym rozdziale.

De Gerlache był chyba najbardziej szczerzy, kiedy pisał do Leonie Osterrieth. Dokumenty z nią związane, przechowywane w archiwum miejskim Felix Archief w Antwerpii, rzucają wiele światła zarówno na proces przygotowań prowadzący do rozpoczęcia ekspedycji, jak i na czas po powrocie z niej, kiedy komendant odbywał rekonwalescencję.

Piszący bez opamiętania Cook zostawił kilka obszernych, rozpaczliwie nieuporządkowanych i nieopublikowanych pamiętników, które dzisiaj przechowywane są w Bibliotece Kongresu w Waszyngtonie. Wśród nich można znaleźć takie pozycje jak *Hell is a Cold Place* (o jego doświadczeniach polarnych), *Out of the Jungle* (o życiu w więzieniu w Leavenworth) oraz *Peeps into the Beyond* (etnograficzne i metafizyczne przemyślenia bazujące na wielu odbytych przez niego podróżach). Kolekcja pism autorstwa Fredericka Cooka w Bibliotece Kongresu zawiera również informacje biograficzne spisywane przez jego córkę Helen Cook Vetter, która poświęciła większą część życia na ratowanie reputacji ojca.

Przez całe dziesięciolecia towarzystwo Fredericka Cooka - Frederick A. Cook Society, starało się realizować ten sam cel. Materiały stowarzyszenia - przekazane w spadku Byrd Polar and Climate Research Center przy Uniwersytecie Stanowym Ohio - zawierają dużą liczbę cennych dokumentów. Szczególnie przydatne okazały się notatki i wywiady zebrane przez biografę Cooka, Andrew Freemana.

Książka Freemana *The Case for Doctor Cook*, opublikowana w 1961 roku, była jedną z kilkunastu pozycji, na których się opierałem, starając się opisać dzieje i czasy, w których przyszło żyć trójce moich głównych bohaterów. Poszukując informacji dotyczących szczegółów życia Cooka z okresu zarówno przed, jak i po wyprawie Belgiki, sięgnąłem po *Cook & Peary: The Polar Controversy, Resolved*, autorstwa Roberta M. Bryce'a, jedną z najbardziej wyczerpująco przebadanych faktograficznie pozycji, na jaką kiedykolwiek trafiłem. By jak najdokładniej sportretować Amundsena, bazowałem głównie na dwóch znakomitych publikacjach biograficznych: *The Last Place on Earth* Rolanda Huntforda oraz *Roald Amundsen* Tora Bomanna-Larsena. To, jak sportretowałem komendanta, opiera się częściowo na *Les Gerlache*, pięknie wydanej pozycji autorstwa Charles'a Schelfhouta, bardzo ściśle konsultowanej z synem Adriena de Gerlache'a, Gastonem.

Ukazało się zaskakująco niewiele książek traktujących o tej konkretnie ekspedycji, z czego żadna nie została wydana po angielsku. Świat entuzjastów Belgiki jest niewielki, ale za to pełen pasjonatów, a ja korzystałem w szczególności z prac dwóch historyków. Jednym z nich jest zmarły niedawno rumuński naukowiec Alexandru Marinescu, którego dzieło o wyprawie Belgiki, *La voyage de la „Belgica”*, zostało opublikowane w chwili, gdy prace nad moim manuskrytem dobiegały końca. Drugim jest flamandzki autor Jozef Verbilden, który napisał kilka książek na temat wyprawy Belgiki.

Przekopałem się przez setki gazet wydawanych po obu stronach Atlantyku. Belgijskie czasopisma - o czym de Gerlache wiedział aż nazbyt dobrze - bardzo dużo pisały o wyprawie. Znalezione w nich artykuły w dużym stopniu pozwoliły mi odtworzyć chwile, kiedy statek

wyruszał w podróż, a potem wracał do Antwerpii. Bardzo często wiele wносиły artykuły publikowane w czasie nieobecności Belgiki, nawet jeśli były całkowicie zmyślane. Wiosną 1898 roku gazety na całym świecie rozpisywały się na temat zatonięcia Belgiki: wpłynięcie statku na skały w kanale Beagle zostało zniekształcone przez całą serię relacji telefonicznych, i to do tego stopnia, że ostatecznie wyglądało jak straszliwa katastrofa morska. (Narzeczonej Cooka, Anna Forbes, zmarła na Brooklynie niecały tydzień po tym, jak „The New York Herald” ogłosił zatonięcie Belgiki).

Wszystkie dialogi umieszczone w cudzysłowie pojawiają się jako takie, wiernie, w tekstach źródłowych. Przybliżone albo sparafrazowane dialogi zostały zapisane kursywą. Opisy wewnętrznych przemyśleń zaczerpnięte są bezpośrednio ze słów lub zapisków danej osoby. Rzadkie sytuacje, w których byłem zmuszony do spekulacji, charakteryzują się doborem słów, który wyraźnie na to wskazuje i za każdym razem bazowałem na logicznej dedukcji oraz skrupulatnych badaniach.

Powiniem napisać kilka słów o fragmentach zawierających szczegóły niepojawiające się w żadnych wtórnych źródłach i wtórnych przekazach dotyczących ekspedycji. Zdarzenie opisane na początku rozdziału trzeciego, kiedy wyczerpany Van Mirlo wymachuje bronią, pochodzi z dziennika Wienckiego, a konkretnie z zapisków dotyczących 3 września 1897 roku. Krwawa bójka w kubryku w porcie Montevideo została opisana przez Wienckiego i Dobrowolskiego w ich pamiętnikach, choć mam podstawy przypuszczać, że autorzy pisali wówczas w pijanym widzie. Opis konfrontacji między de Gerlache'em a Van Damme'em, która doprowadziła niemal do buntu załogi w Punta Arenas, został zaczerpnięty z wpisu komendanta w dzienniku pokładowym, opatrzonego datą 9 grudnia 1897 roku. Scena z 2 stycznia 1898 roku, kiedy Danco z płaczem umieszcza belgijską flagę na maszcie, opisana została w relacji Dobrowolskiego *Wyprawy polarne: historia i zdobycze naukowe* choć stoi w sprzeczności ze wspomnieniami Lecointe'a dotyczącymi tamtych chwil. Nieprawdziwe ostrzeżenie Cooka, że długa



antarktyczna noc może zmienić mężczyzn w impotentów, znajduje się w *Peeps into the Beyond*. Bliskie spotkanie Lecoite'a ze śmiercią w lipcu 1898 roku - opisane w rozdziale 12 - łączy dialogi z *Au pays de manchots* i *Heli Is a Cold Place*. Szczegóły ponurego losu Adama Tollefsena z czasów po zakończeniu ekspedycji, opisane w epilogu, pochodzą z publicznych rejestrów przechowywanych w Norweskim Archiwum Narodowym. Spotkanie Cooka i Amundsena w kopenhaskim hotelu Phoenix we wrześniu 1909 roku łączy kilka fragmentów zaczerpniętych z *Hell Is a Cold Place* oraz z wywiadów Cooka z Freemanem. Historia, jak pamięć jednostki, jest z natury niedokładna. Ilekroć pojawiała się jakaś sprzeczność między moimi materiałami źródłowymi, musiałem uciekać się do oceny na podstawie hierarchii wiarygodności: źródła spisane najwcześniej po zdarzeniu - jak pamiętniki albo dziennik de Gerlache'a - zyskują pierwszeństwo nad opublikowanymi wspomnieniami, spisany miesiąc albo lata później. Wśród autorów pamiętników de Gerlache i Lecoite wydali mi się bardziej wiarygodni niż Cook, który nie mógł powstrzymać się przed okazjonalnym upiększaniem rzeczywistości i nie był szczególnie przywiązany do faktów, o czym świat miał się później przekonać. CB Owens, odpowiedzialny za weryfikację zawartych w książce informacji, opisał to bardzo zwięźle:

„Stojąc przed wyborem: Cook czy ktokolwiek inny, wybrałbym kogokolwiek innego”. Pytanie, kiedy można Cookowi wierzyć, a kiedy nie, nie dawało mi spokoju. Wydaje się, że Cook tracił wiarygodność wraz z wiekiem. Nigdy nie dowiemy się ponad wszelką wątpliwość, czy zainscenizował jedynie zdobycie szczytu Denali i czy dotarł na biegun północny, jednak po przeczytaniu tysięcy stron jego jednoznacznie zmyślonych relacji z więzienia skłonny jestem wierzyć, że dość mocno nagiął prawdę, donosząc o swoich późniejszych dokonaniach. Kiedy jednak sprawa dotyczy Belgiki, jednego z najwspanialszych rozdziałów jego życia, nie mam powodów, by uważać, że Cook nie był w pełni wiarygodnym narratorem. W przeciwieństwie do wypraw na szczyt Denali czy na biegun północny w czasie pobytu na Antarktydzie nie był

sam i każde z opisywanych przez niego zdarzeń miało wielu innych świadków, z których część donosiła o tych samych sytuacjach we własnych książkach. Choć *Through the First Antarctic Night* było pierwszą relacją z wyprawy Belgiki, jaka ukazała się na rynku, żadna z wydanych później pozycji zawierających wspomnienia z niej nie różni się znacząco od wersji Cooka.

I było tak przynajmniej do 1909 roku, kiedy Arctowski napisał i opublikował serię artykułów dla „La Métropole”, w których kwestionował zdobycie bieguna północnego przez Cooka - a przy okazji w wątpliwość podawał ogólnie jego prawdomówność. Oskarżył lekarza o - między innymi - sfabrykowanie opowieści o śmierci kota Nansena, która znalazła się w *Through the First Antarctic Night*. Według Arctowskiego Cook nigdy nie spotkał tego kota, został on bowiem wyrzucony za burtę, na długo zanim lekarz dołączył do ekspedycji. Nie dawało mi to spokoju - aż do chwili, kiedy przeczytałem pamiętnik Wienckiego, w którym znalazła się wzmianka o wyrzuceniu kota za burtę. Jednak ten nieszczęsny kot, według marynarza, miał na imię Sverdrup. Nansen był innym kotem, a właściwie kotką, która przeżyła - przynajmniej jakiś czas jeszcze. Cook został oczyszczony z zarzutów! Albo i nie. Możliwe, że jego wspomnień, podobnie jak mięsa z pingwina, nie da się przełknąć bez dużej ilości soli. Jest za to jeden fakt, co do którego zgadzali się wszyscy członkowie wyprawy, włącznie z Arctowskim: najpewniej żaden z nich nie przetrwałby bez Cooka. Niezachwiana niczym lojalność Amundsena w stosunku do lekarza pozostaje dla mnie niezbitym dowodem, że przynajmniej w kwestii Belgiki Cook zasługuje na pełne zaufanie.

## O AUTORZE

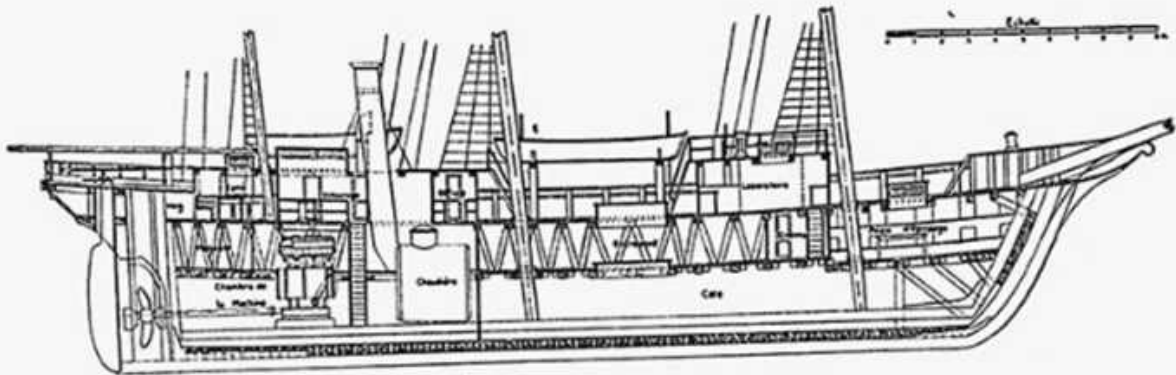
Julian Sancton jest starszym redaktorem w magazynie „Departures”, gdzie zajmuje się kulturą i podróżami. Jego teksty ukazywały się między innymi w „Vanity Fair”, „Esquire”, „The New Yorkerze”, „Wired” i „Playboyu”. Publikował reportaże z każdego kontynentu na Ziemi, włącznie z Antarktydą, którą po raz pierwszy odwiedził, zbierając materiały do niniejszej książki. Mieszka w Larchmont, w stanie Nowy Jork, z partnerką Jessicą i dwiema córkami.



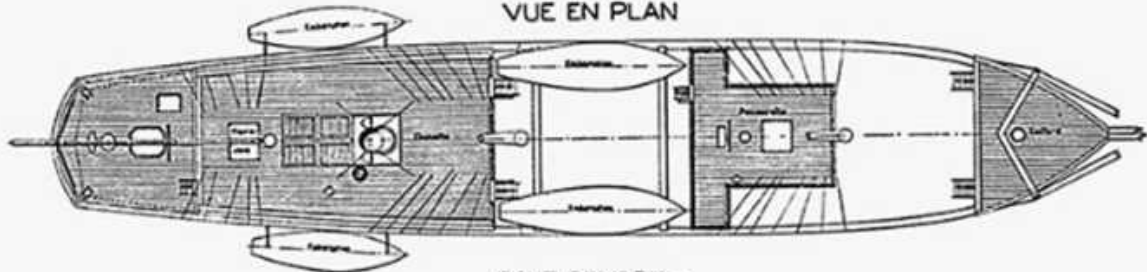
Belgica zacumowana w Antwerpii, na rzece Skaldzie, przed wyruszeniem  
w sierpniu 1897 roku  
Limburgensia - zbiory biblioteki w Hasselt (Limburgia)

# PLAN D'ENSEMBLE

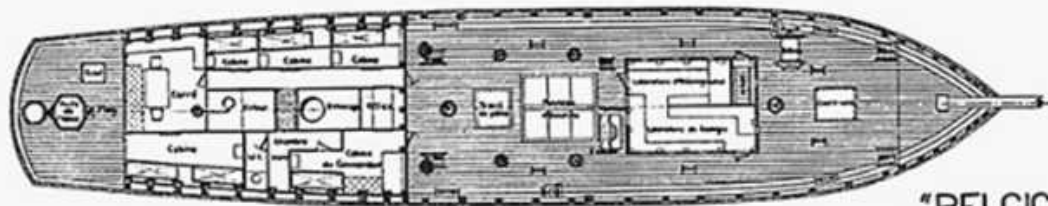
## COUPE EN ELEVATION



## VUE EN PLAN

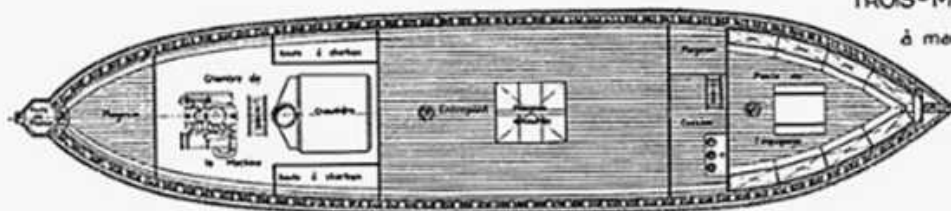


## PONT PRINCIPAL



"BELGICA"

## ENTREPONT



TROIS-MATS BARC  
à machine auxiliaire .

Schemat układu pomieszczeń na Belgice, z kabinami oficerskimi na rucie, laboratoriami na pokładzie środkowym i kubrykiem w forkaście pod pokładem

Za: Fragments du récit de voyage Adriena de Gerlache'a de Gomery'ego,

będących częścią: Résultats du voyage de la Belgica en 1897-99 sous le  
commandement de A. de Gerlache de Gomery, 1936



Komendant Adrien de Gerlache de Gomery  
Kolekcja rodziny de Gerlache'ów



Frederick Albert Cook, lekarz wyprawy, entnolog i fotograf  
Muzeum Follo - MIA



Kapitan Belgiki Georges Lecointe  
Zbiory biblioteki w Hasselt (Limburgia)





Pierwszy oficer Roald Amundsen  
Zbiory biblioteki w Hasselt (Limburgia)



Uroczystość przekroczenia równika na pokładzie Belgiki, 6 października 1897 roku. Albert Lemonnier, kucharz wyprawy, trzyma drewnianą „brzytwę”, by golić nią chrzczonych  
Muzeum Follo - MIA



Trzy kobiety z plemienia Ona, fotografia autorstwa Fredericka Cooka,  
wykonana na Ziemi Ognistej  
Biblioteka Kongresu, Towarzystwo Fredericka A. Cooka



Norweski marynarz Carl August Wiencke w wieku 19 lat  
Limburgensia - zbiory biblioteki w Hasselt (Limburgia)

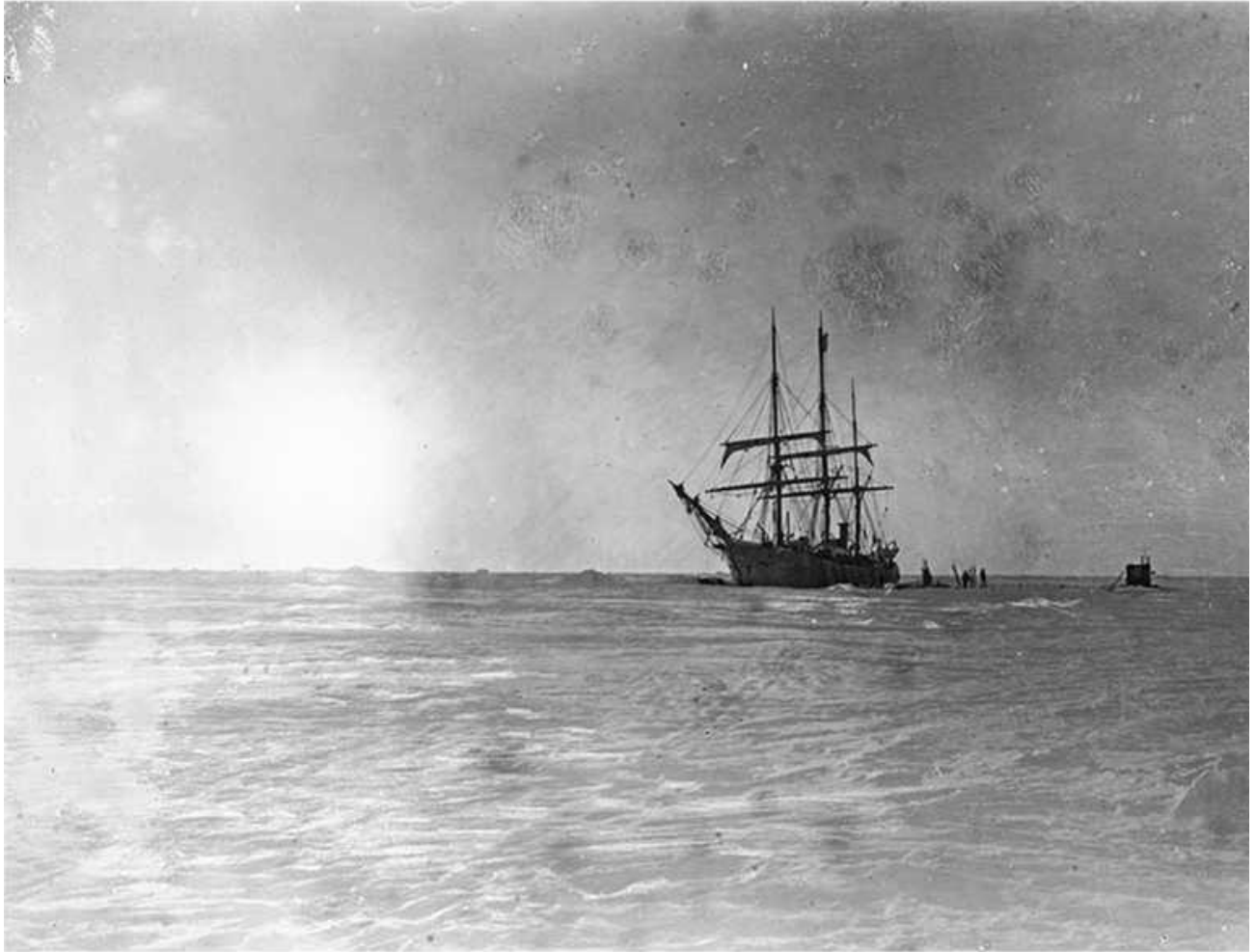


Belgica na kotwicy w miejscu, które dziś znane jest jako Cieśnina  
Gerlache'a, pierwsze tygodnie 1898 roku  
Kolekcja rodziny de Gerlache'ów



Widok z fokmasztu na pak lodowy zagęszczający się wokół Belgiki w lutym 1898 roku

Kolekcja rodziny de Gerlache'ów



Belgika uwięziona w antarktycznym lodowym paku, 1898  
Biblioteka Kongresu, Towarzystwo Fredericka A. Cooka



Naukowcy w laboratoriach: rumuński zoolog Emile Racovitza  
Kolekcja rodziny de Gerlache'ów





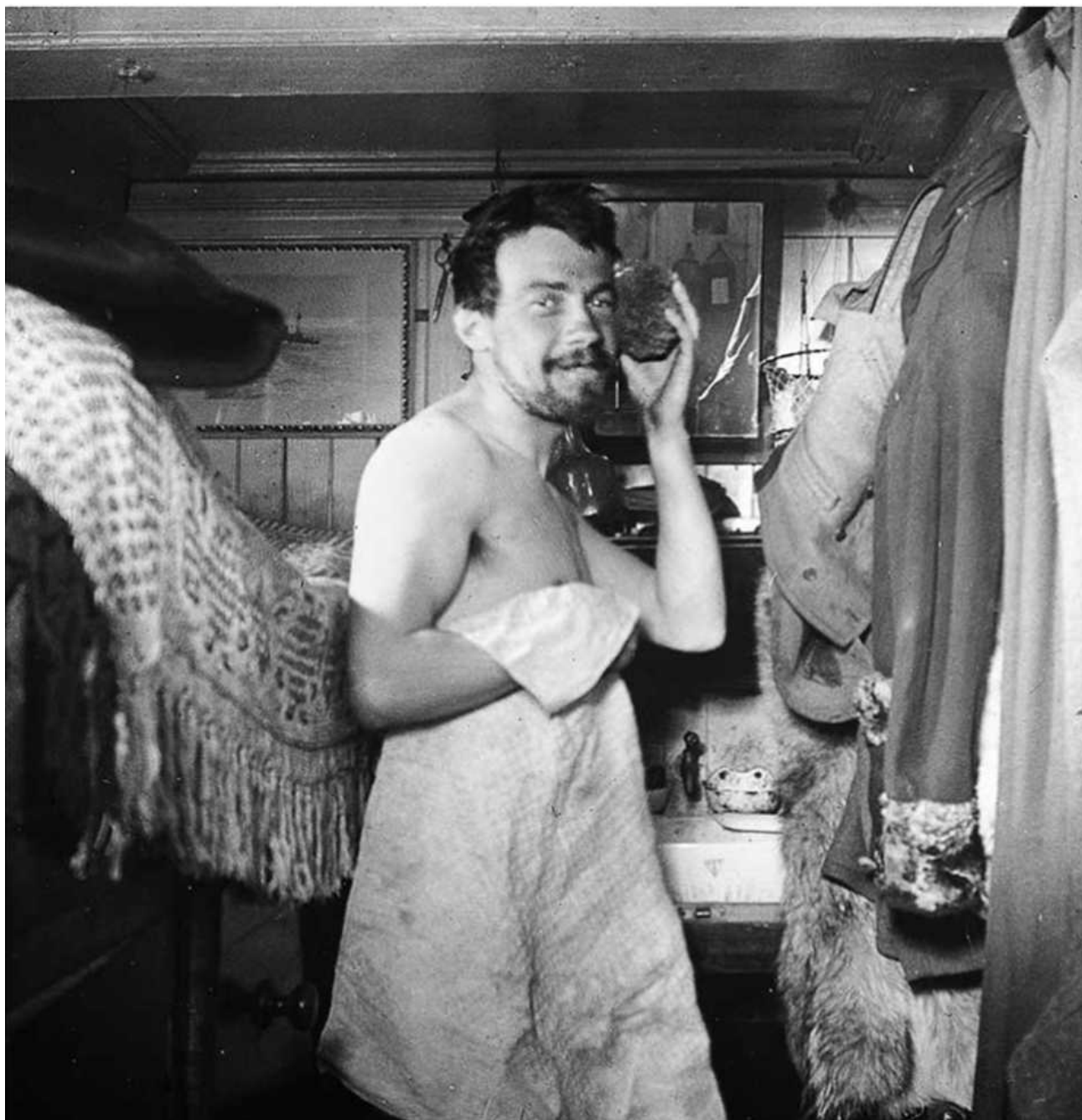
Naukowcy w laboratoriach: polski geolog i meteorolog Henryk Arctowski  
Biblioteka Kongresu, Towarzystwo Fredericka A. Cooka



Karykatura autorstwa Racovitz wyśmiewająca życie na Belgice. Tutaj:  
Arctowski podziwia zorzę polarną, która układa się w słowo „gówno”  
Norweska Biblioteka Narodowa



Drugi mechanik Max Van Rysselberghe topi śnieg na wodę do picia pod  
zadaszeniem wzniesionym na środkowym pokładzie  
Kolekcja rodziny de Gerlache'ów



Dzień łaźni, Lecointe  
Muzeum Fram



De Gerlache i pingwin cesarski złapany na paku lodowym  
Kolekcja rodziny de Gerlache'ów



Amundsen na nartach, ze świeżo upolowanymi pingwinami białookimi  
Norweska Biblioteka Narodowa

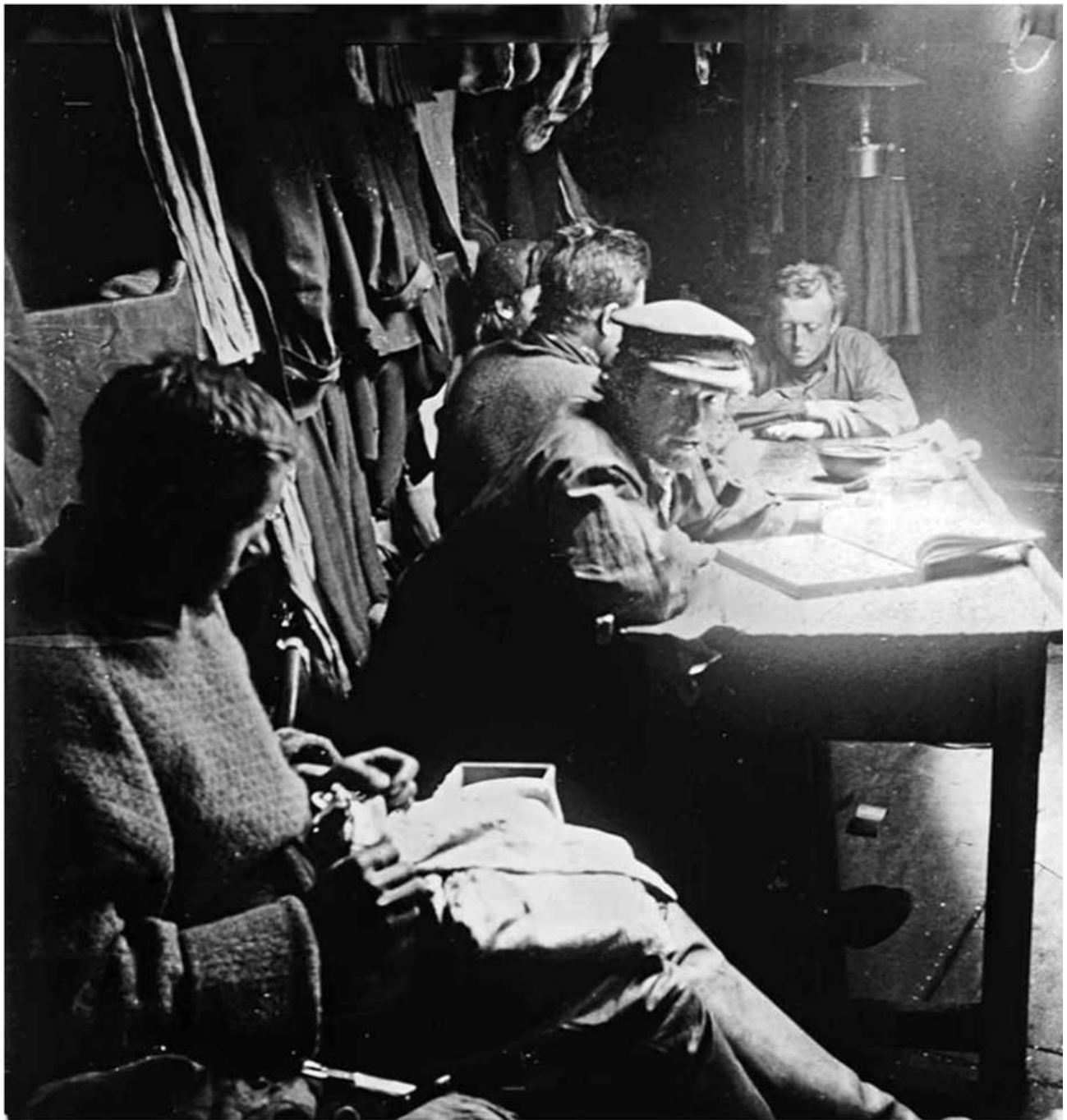


Marynarz Johan Koren oprawia pingwina cesarskiego w mesie oficerskiej  
Kolekcja rodziny de Gerlache'ów



Wycieczka na górę lodową unieruchomioną w paku lodowym niedaleko  
Belgiki  
Dzięki uprzejmości Norweskiej Biblioteki Narodowej





Kubryk w forkasztelu, widok od dziobu. Powyżej, od lewej: Engelbret Knudsen, Jan Van Mirlo (patrzy w obiektyw), Gustave Dufour (dalszy koniec stołu).

Kolekcja rodziny de Gerlache'ów



Ludvig Johansen gra na akordeonie, a Adam Tollefsen (prawa strona, z tyłu) siedzi przy stole. Pozostała trójka to prawdopodobnie Jules Melaerts, Antoni Dobrowolski i John Koren, choć ich zarosnięte twarze czynią ich trudnymi do odróżnienia.

Kolekcja rodziny de Gerlache'ów



Arcydzielo Cooka. Fotografia wykonana przy świetle księżyca, 3 czerwca 1898 roku, czas naświetlania: dziewięćdziesiąt minut  
Kolekcja rodziny de Gerlache'ów



Porucznik Emile Danco, przyjaciel de Gerlache'a z czasów dzieciństwa, zajmował się pomiarami pola magnetycznego

Kolekcja rodziny de Gerlache'ów



De Gerlache w swojej kabinie, gdzie spędzał większość czasu owładnięty  
chorobą  
Kolekcja rodziny de Gerlache'ów



Często wspólnie podróżujący Cook i Amundsen  
Biblioteka Kongresu, Towarzystwo Fredericka A. Cooka



Obozowe wyposażenie wypraw na saniach, włącznie z namiotem genialnego projektu Cooka - kształt stożka pozwalał znosić silne wiatry  
Norweska Biblioteka Narodowa



Posiłek w mesie oficerskiej. Od lewej strony: Arctowski, Amundsen,  
Lecointe, Racovitza i de Gerlache  
Muzeum Fram





Zgubne skutki długiej zimowej nocy. De Gerlache, z twarzą opuchniętą  
przez skorbut.  
Kolekcja rodziny de Gerlache'ów



Zgubne skutki długiej zimowej nocy. Cook, który odmówił ścinania włosów  
w czasie ekspedycji  
Norweska Biblioteka Narodowa



Oblakany Adam Tollefsen  
Norweska Biblioteka Narodowa



Desperacki plan uciezki z lodowej tafli wymagał użycia pił i przecięcia  
ponad dwóch i pół kilometra lodu o grubości przekraczającej metr  
Kolekcja rodziny de Gerlache'ów



Amundsen, po lewej, i Arctowski, przygotowują kostki tonitu w mesie  
oficerskiej  
Kolekcja rodziny de Gerlache'ów



Oczyszczanie z lodu drogi, która, w nadziei podróżników, miała wyprowadzić ich poza pak lodowy. Niektóre fragmenty tafli ważyły kilka razy więcej niż cały statek

Biblioteka Kongresu, Towarzystwo Fredericka A. Cooka

## CZEŚĆ I

1 Swoją drogą często bywała przywoływana, by usprawiedliwić kolonizację i napędzane chęcią zysku wyprawy eksploracyjne; brutalny podbój i wykorzystanie zasobów naturalnych Konga Leopold II z początku również przedstawiał jako misję naukową.

2 Południowy biegun magnetyczny to punkt na półkuli południowej, w którym linie ziemskiego pola magnetycznego biegną prostopadle do powierzchni Ziemi. Nie należy go mylić z południowym biegunem geograficznym, zlokalizowanym na 90° szerokości geograficznej południowej, czyli miejscem, w którym wszystkie południki łączą się i z którego każdy kierunek jest północny. Położenie biegunów magnetycznych stale się zmienia i jest uzależnione od nieustających ruchów w warstwie ciekłego żelaza otaczającego jądro wewnętrzne Ziemi.

3 W taki sposób podpisał się pod listem pisanym w języku francuskim. Rumuński zapis jego imienia i nazwiska to Emil Racoviță.

4 Historycy spierają się, czy Amundsena należałoby nazywać pierwszym czy drugim oficerem. Oficjalnie jego stanowisko rzeczywiście było wskazywane zamiennie jako pierwszego lub drugiego oficera, jednak belgijska i francuska hierarchia w marynarce nie odpowiada dokładnie anglo-amerykańskiej. Jako że Amundsen realizował obowiązki przynależne pierwszemu oficerowi, a nie było innego oficera ponad nim, w dalszej części niniejszej książki będzie on tak właśnie tytułowany.

5 Tutaj również nazwy stopni i funkcji mogą być mylące: de Gerlache był komendantem i dowódcą ekspedycji i załogi statku, a więc, praktycznie rzecz biorąc, kapitanem Belgiki. Tymczasem tytuł kapitana przypadł Lecoite'owi w wyniku równoważności jego stopnia we francuskiej marynarce wojennej (fr. *Lieutenant de Vaisseau*) i „kapitana komendanta” obowiązującego w armii belgijskiej.

6 De Gerlache senior twierdził, że Taquin bywał pijany na wycieczkowym parowcu wracającym z Afryki, a jego zaniedbania kosztowały życie kilkorga pasażerów. Taquin bronił się, tłumacząc, że za jego niedyspozycję odpowiadało zatrucie pokarmowe, a ponadto przekonywał, że nie był pierwszym lekarzem na pokładzie.

7 Dodgers – od angielskiego czasownika *to dodge* – unikać czegoś, odskakiwać, robić unik (przyp. tłum.).

8 Opisy wierzeń inuickich stworzone przez Cooka z powodów oczywistych są niekompletne i nieprecyzyjne. Nie posiadał on wykształcenia w dziedzinie antropologii – która wówczas nie miała jeszcze swojego stałego miejsca w nauce akademickiej – a na dodatek ograniczała go szczątkowa znajomość języka. Mimo to są wartościowe ze względu na to, że mówią o tym, co Cook sam wyniósł z doświadczenia życia między Inuitami.

9 YES AM READY TO COMMAND brzmiał telegram w oryginale, lecz nawet biorąc pod uwagę ogromne skróty i specyfikę tej formy komunikacji, trzeba przyznać, że Cook wyraził się dziwnie i niezrozumiale, bo wiedział przecież, że komendantem wyprawy był de Gerlache. Być może miał na myśli – „Tak, jestem gotów oddać się pod pańskie dowództwo” (Yes, I am ready and at your command”). Mimo to treść telegramu do dziś brzmi zagadkowo.

10 Dziś znana jako Oslofjorden.

- 11 Fragmenty pochodzą z powieści Edgara Allana Poeego *Przygody Artura Gordona Pyma* w przekładzie M. Stemara (Lwów 1927).
- 12 Co oczywiste, doktor Cook nie miał szans zrozumieć ani słowa z francuskiego tłumaczenia.
- 13 A.B. Dobrowolski, *Dziennik wyprawy na Antarktydę (1897-1899)*, Wrocław - Warszawa - Kraków 1962, s. 122.
- 14 W ten sposób Dobrowolski, który nie władał niderlandzkim, zapisał ze słuchu wykrzyczane przez Doma: „niech to szlag”, podkreślając gardłowe „r”. Właściwym zapisem jest: *godverdomme*
- 15 A.B. Dobrowolski, *op. cit.*, s. 133.
- 16 De Gerlache wydał te pieniądze na marne: kiedy Dom w końcu, po kilku miesiącach, powrócił do Belgii, udzielił wywiadu brukselskiej gazecie, w którym zarzekał się, jakoby komendant w Punta Arenas wyrzucił z pokładu wszystkich Belgów. Fałszywe oskarżenia potwierdzały, że obawy komendanta dotyczące niezyczliwości prasy nie były bezpodstawne.
- 17 W niektórych rejonach Antarktydy pokrywa lodowa może osiągać ponad półtora kilometra grubości.
- 18 Zanurzenie góry lodowej uzależnione jest od gęstości lodu, z jakiego powstała, a ten parametr jest uwarunkowany wiekiem lodu - zatem od tego, jak długo i jakiemu ciśnieniu lód był poddany. Przyjmuje się, że przeciętnie 7/8 góry lodowej znajduje się poniżej powierzchni. To oznacza, że góra lodowa sięgająca siedemdziesięciu metrów w górę może być zanurzona na prawie pół tysiąca metrów pod wodę.
- 19 Do takiego wniosku doszedł Racovitza. Część biologów uważa, że za odór w oddechu hubaków odpowiedzialne są bakterie żyjące ich w płucach.
- 20 Przez cały XIX wiek geografowie byli przekonani, że stworzenie pełnej mapy fluktuacji pola magnetycznego Ziemi zredukuje potrzebę prowadzenia nawigacji na podstawie obserwacji gwiazd, trudnej ze względu na nie zawsze czyste niebo, będące niezbędnym warunkiem dla tych działań. Michael Palin, jeden z byłych przewodniczących brytyjskiego Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, określił ten projekt mianem „dziewiętnastowiecznego odpowiednika systemu GPS”.
- 21 Wody, na które wpłynęła Belgica, miały już swego odkrywcę, niemieckiego wielorybnika i podróżnika Eduarda Dallmana, który dostrzegł południowo-zachodnie wejście do kanału, nazwanego przez ekspedycję de Gerlache’a Kanałem Neumayera, w trakcie jednej ze swoich wypraw, w latach 1873-1874 (przyp. tłum.).
- 22 Koło podbiegunowe południowe określa szerokość geograficzną, powyżej której słońce przynajmniej raz w roku nie zachodzi przez dwadzieścia cztery godziny.
- 23 Albo Cook odnosił się do temperatury powietrza, albo świadomie udramatyzował tę sytuację, gdyż woda morska zamarza w temperaturze -1,8 stopnia Celsjusza, a więc nie mogła mieć -6 stopni.
- 24 Wydawcy relacji i opowieści z wypraw łaknęli krwi i grozy. Wydaje się, że większe zainteresowanie przejawiali ekspedycjami, podczas których doszło do jakichś tragedii, niż tymi, gdzie nikt nie ucierpiał. To jeden z powodów, dla którego przełomowa wyprawa sir Jamesa Clarka Rossa do Ziemi Wiktorii w 1841 roku długo musiała czekać, zanim spotkała się z należnym jej uznaniem. Po powrocie Ross przekazał swoją relację redakcji „Gazette”, dziennika brytyjskiej admiralicji, która zleciła wyprawę. Tekst został jednak



odrzucony, gdyż, jak wyjaśnił jeden z przyjaciół Rossa w kręgach admiralicji, pewien członek redakcji miał „niecodzienną zasadę, że z braku jakiegokolwiek opisu rozlewu krwi relacja nie może ukazać się w »Gazette«”. De Gerlache nigdy nie przyznał otwarcie, by takie podejście uważał za choć odrobinę racjonalne, jednak zdarzenie to pomaga zrozumieć, dlaczego odkrywcy jego pokroju tak wiele ryzykowali i dlaczego mieli skłonność do kwiecistego, nienaukowego stylu pisania.

25 Ponieważ jednemu stopniowi szerokości geograficznej odpowiada sześćdziesiąt mil morskich, każda sekunda przekłada się na jedną milę morską (przyp tłum.).

## CZĘŚĆ II

26 Jeden z jego biografów, Tor Bomann-Larsen, twierdził, że Amundsen miał romans z kobietą, u której wynajmował pokój w Antwerpii – aż do dnia, kiedy popełniła samobójstwo. Jednak Bomann-Larsen nie przytacza żadnych dowodów, które potwierdzałyby jego wersję.

27 Racovitza regularnie robił koledze dowcipy. Jeden z nich polegał na podmianie przy śniadaniu smalcu na wazelinę. Naukowiec, promieniejąc z uciechy, obserwował później, jak Arctowski połyka kawałek chleba posmarowany niejadalnym produktem.

28 Tak brzmiał pełen zapis, który Dobrowolski zamieścił w dzienniku w dniach 8 i 9 czerwca 1898 roku (przyp. tłum.).

29 Cook najwyraźniej nie pamiętał upiększzonego prawdopodobnie fragmentu relacji z wyprawy polarnej jednego ze swoich ulubionych bohaterów, *Arctic Explorations* Elishy Kenta Kane’a, zgodnie z którą uwięzieni w lodach zimą przełomu lat 1854-1855 Kane i jego ludzie walczą i pokonują plagę szkorbutu, spożywając mięso szczurów, na które mieli polować za pomocą łuków i strzał.

30 Uważało się, że foki nadające się na futra zostały w znacznym stopniu przetrzebione już w latach trzydziestych dziewiętnastego wieku, jednak wyprawa natrafiła na kilkanaście ich kolonii na Wyspie Stanów.

31 Co dziwne, podczas gdy wszystkie dostępne źródła w relacjach dotyczących powrotu słońca podkreślają diametralną zmianę nastroju wśród podróżników, nie każde z nich podaje jednakową datę jego powtórnego pojawienia się nad horyzontem. Według Cooka i Amundsena miało to miejsce dwudziestego drugiego lipca, Lecoite pisał o dwudziestym trzecim lipca, Racovitza, który nie znalazł się w grupie zdobywającej górę lodową, wskazał na dwudziesty siódmy lipca, natomiast w dzienniku podróży de Gerlache’a notatka o pojawieniu się słońca znalazła się pod datą dwudziestego pierwszego lipca, co, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, pokrywało się z datą belgijskiego święta narodowego, upamiętniającego objęcie tronu przez Leopolda I po rewolucji 1831 roku.

32 We wspomnieniach kapitana bractwo to nosiło nazwę Zakonu *Kjøttbollers*, a jego głową został obwołany Cook; różnice w relacjach zrzucić można na karb zawodności pamięci i żartobliwego charakteru całej ceremonii. Problemem mogła być również bariera zrozumienia, wynikająca z faktu, że każdy z trzech członków zakonu mówił w innym języku. Angielski Lecoite’a był beznadziejny, podobnie jak francuski Cooka, a żaden z nich nie władał norweskim. Ich tłumaczem był Amundsen, który szybko uczył się nowych języków.

33 Jedną z przyczyn, dla których oficerowie zdecydowali się wybrać tonit zamiast dynamitu, był fakt, że poza znacznie większą siłą detonującą, tonit miał wykazywać się lepszą odpornością na ekstremalne temperatury. Jego twórcy najpewniej nie liczyli się z nieludzkimi warunkami antarktycznej zimy.

34 De Gerlache utrzymywał, że dokument ten został antydatowany, gdyż w rzeczywistości on i Lecointe podpisali się pod nim dwunastego sierpnia 1897 roku.

35 Istnieją uzasadnione powody, by wątpić w szczegółowość wspomnień Van Mirlo, gdyż narzeczona Tollefsena miała na imię Alette, nie Agnes.

36 Przebyta droga naniesiona na mapę to płatanina zmian kursów, nierzadko nakładających się na siebie, z których nie da się odczytać żadnych prawidłowości w ruchu lodowego paku. Statek zawędrował z nim na południe, osiągając 71<sup>o</sup>36' szerokości geograficznej południowej (31 maja), na zachód, osiągając 92<sup>o</sup>22' długości geograficznej zachodniej (25 kwietnia), na wschód, osiągając 80<sup>o</sup>28' długości geograficznej zachodniej (22 października) i na północ aż do 69<sup>o</sup>38' szerokości geograficznej południowej (29 października).

37 Relacje nie są jednoznaczne w kwestii przynależności Dobrowolskiego do konkretnej grupy, jednak asystent naukowy pracował równie ciężko jak wszyscy inni. Na początku realizacji planu de Gerlache'a Knudsen był zbyt chory, by opuścić łóżko, ale po jakimś czasie dołączył do reszty.

38 A.B. Dobrowolski, op. cit., s. 210.

39 A.B. Dobrowolski, op.cit.

40 A.B. Dobrowolski, *Wyprawy polarne, historia i zdobycze naukowe*, nakł. Henryka Lindenfelda, Warszawa 1914, s. 104.

41 Henri Somers, najstarszy z nich, w rzeczywistości miał trzydzieści sześć lat.

42 W 1981 roku były pomocnik pielęgniarski Ingvar Ambjørnsen opublikował *23-salen* [23 pokoje], gdzie, nie starając się niczego ukrywać, opisał, jak naprawdę wyglądało życie w tej instytucji. Publikacja wywołała w Norwegii wielkie poruszenie żywymi opisami pacjentów przypinanych pasami i zostawianych tak długo, że leżeli we własnych odchodach, a ich przerażające wrzaski wypełniały korytarze tej ponurej instytucji. Niedługo później większą część budynków wyłączono z użytkowania. Porzucone obiekty, zagrzybione, jakby trawiła je jakaś choroba, stały się celem wędrówek osób poszukujących dreszczyku emocji, przyciągając ich opowieściami o paranormalnych i makabrycznych zdarzeniach. Później wszystkie budynki zostały zburzone - z wyjątkiem dwóch, przebudowanych na luksusowe apartamenty.

43 Po tym, jak Shackleton ze swoimi ludźmi przez niemal pięć miesięcy dryfował na północ, uwięziony w paku lodowym, załoga jednostki przesiadła się do szalup i w siedem dni pokonała drogę na Wyspę Słoniową. Stamtąd dowódca wyprawy i pięciu marynarzy, w najsolidniejszej z otwartych łodzi, ochrzczonej imieniem Jamesa Cairda, pośród szalejących sztormów przepłynęli siedemset dwadzieścia mil morskich i dotarli do wyspy Georgia Południowa, gdzie znaleźli ratunek dla siebie i swoich towarzyszy. Ich podróż znalazła się pośród najbardziej heroicznych czynów w historii odkryć polarnych.

44 Obecnie około trzech milionów dolarów.

45 Amundsen i jego towarzysze uchronili się również przed ślepotą śnieżną. Pozwoliły na to specjalne gogle oparte na pomysłe Cooka, który swoje stworzył, bazując na

podobnych rozwiązaniach stosowanych przez Inuitów, choć sam zastosował w nich filtry fotograficzne.

46 Jakiś czas później Cook przedstawił premierowi Danii Thorvaldowi Stauningowi propozycję przesiedlenia pingwinów na Grenlandię.

47 Robert M. Bryce, autor wyjątkowo szczegółowej i rzetelnej książki *Cook & Peary: The Polar Controversy, Resolved* podaje bardzo przekonujące uzasadnienie.

48 Od 1921 do śmierci w 1939 roku Nansen służył jako wysoki komisarz do spraw uchodźców w Lidze Narodów. Zorganizował w tym czasie wydawanie tak zwanych paszportów Nansena - uznawanych na całym świecie dokumentów podróźnych pozwalających setkom tysięcy ludzi z krajów pozbawionych państwowości przekraczać granice i ubiegać się o azyl.

49 Eksploracja stała się tradycją w rodzinie de Gerlache'ów. Wnukowie Adriena, Jean-Louis i Bernard, brali udział w kilkunastu wyprawach polarnych. Syn Bernarda, Henri, kilkanaście razy odwiedził Antarktykę i zdobył najwyższe szczyty wszystkich siedmiu kontynentów.

50 Dr Lawrence Palinkas, który analizował dane kliniczne Amerykanek i Amerykanów z amerykańskich stacji antarktycznych: McMurdo Station na Wyspie Rossa na Morzu Rossa oraz Amundsen-Scott South Pole Station na biegunie południowym, zakłada, że utrata pamięci i inne upośledzenia funkcji poznawczych, które zaobserwował, wywołane były obniżonym poziomem hormonu tarczycy (T3), który decyduje o gospodarce energetycznej organizmu.

51 Pragnienie szczególnie trudne do zaspokojenia w warunkach nieważkości, gdzie swobodnie przemieszczające się okruszki mogą dostać się w różne szczeliny i zakłócić pracę urządzeń pokładowych.

52 Polskie wydanie wspomnień Adriena de Gerlache'a ukazywało się w zeszytach publikowanych w warszawskim tygodniku „Naokoło Świata” w latach 1902-1903 w przekładzie Zofii Nałkowskiej pod tytułem *Piętnaście miesięcy na Oceanie Antarktycznym* (przyp. tłum.).

53 A.B. Dobrowolski, *Wyprawy polarne: historia i zdobycze naukowe*, Warszawa 1914 (przyp. tłum.).